
Chimera



CHIMERA

TOM I. ZESZYT 1. STYCZEŃ 1901.
REDAKCYA I ADMINISTRACYA:
WARSZAWA — KSIĄŻĘCA 7.

TREŚĆ.

№ 1. — STYCZEŃ 1901.

Ozdoby odbijano pod nadzorem artystycznym
STANISŁAWA KRZYSZTAŁOWICZA.

Klisze rysunków wytrawiono w Zakł. Warsz. Tow. Akc. Artystyczno-Wydawniczego pod kierunkiem F. W. AMSELA.

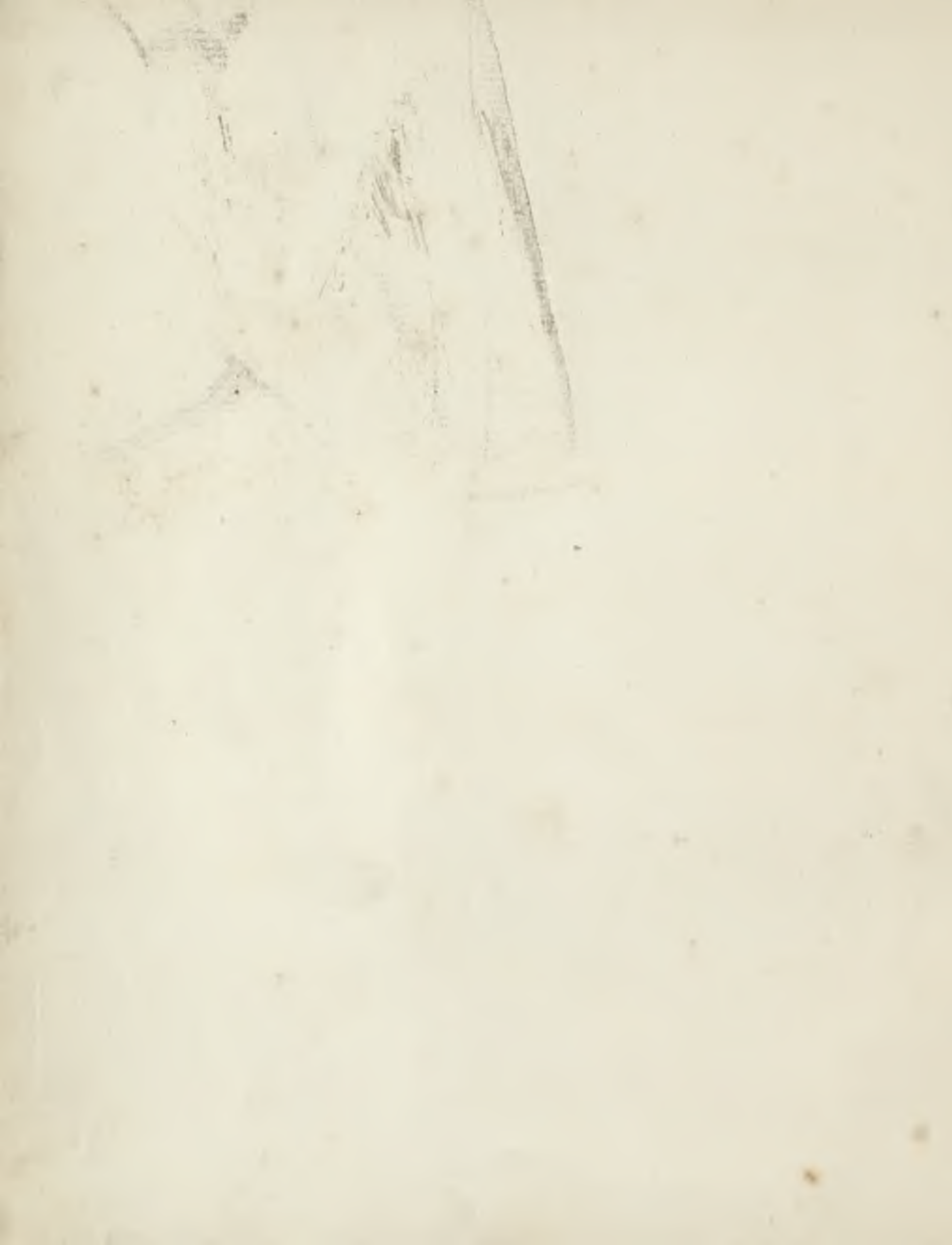
Papier wyrobiono dla Chimery w fabryce C. A. Moesa „Pilica."

Składali: WACŁAW KORAL i CEZARY DMOCHOWSKI.

Łamał ANTONI HURKIEWICZ. Odbijał na maszynie KAROL MALINOWSKI.

Pod zarządem JÓZEFA LENARTOWICZA.

CHIMERA.





TOM PIERWSZY. STYCZEŃ — MARZEC 1901.
WARSZAWA, KSIĄŻĘCA, 7.

Wielki mistrz czeski, jeden z najwyższych duchów świata, wskrzesiciel eposu w całej jego świetności i potędze, z przedhomerowską mytów głębią, poeta otchłannego marzenia i tęsknoty nieukojnej, twórca WYSZEHRADU, KRONIKI O ŚW. BRANDANIE, NEKLANA, JANA MARYI PLOJHARA, TRZECH LEGEND O KRUCYFIKSIE i nadewszystko, KRÓLA KOFETUY i NA SYNAJ, tych dwóch gralów złotych, tających w sobie najświętsze, anielskie, boskie pierwiastki istoty człowieczej,

Juliusz Zeyer

zmarł w Pradze dnia 28 stycznia, w 60 roku życia.

Nad grobem twoim, mistrzu i przyjacielu najdroższy, nie żal winienby mnie przejmować. Wierzę mocno, że „wszystkie ideały wielkiej, prawej sztuki nie są niczem innem, jedno przeczuciem owego intensywniejszego istnienia po śmierci, w którem nasza właściwa, najistotniejsza jaźń zdolną się staje do wyższego i rozciąglejszego pojmowania; w którem ideał jest rzeczywistością, a symbole prawdą wyraźną.“ Wierzę, że w istnienie to wstąpiłeś, że przeczucia twe urzeczywistniły się, że tęsknota twa doszła do kresu, że ze snu życia ziemskiego do życia zbudziłeś się istotnego i wiekuistego. Wiem nadto, iż na ziemi — snadź dla niewielu, lecz dla jedynie godnych właśnie — nie zmilknie nigdy akord, którego pragnąłeś dla książki przyjaciela, a który pieśni twych zasadniczym jest tonem: dźwięk cichy a uroczysty, tęskny i żałosny, jako ów płynący z posągu Memnona w tajemniczej ziemi egipskiej. Żyjesz. Ale odszedłeś, a jak mówiłeś sam, „cienie tych, co odeszli,

Tak ciężko, ciężko padają na serca
Tym, którzy na śmierć czekają tu jeszcze.“

Ze smutkiem też kładę pożegnanie z tobą na pierwszej tej karcie — i, raz jeszcze twych słów używając, proszę cię, drogi a wolny już duchu, byś, jeżeli pamięć nasza trwa po za grobem, skłonił się niekiedy z jasności prawdy w pomrok nasz i wejrzał na tych, którzy tęsknią, jak ty tęskniłeś.

Miriam.

Na Synaj.

Jak często w swojej samotni głębokiej
Myślałem, czem jest istnienie człowieka,
Czem człowiek, dusza, materya, czem Bóg!
Jako każdego, te dawne zagadki
W wiry bezdennych ciągnęły mię myśli,
A gdy mię zawrót chwycił nad otchłanią,
Szukałem w twarzy twej, święta przyrodo,
Marzących owych uśmiechów, co koją.
Lecz ukojenie zawżdy krótkiem było,
I znowu, znowu szukałem daremnie,
Czego po dzisiaj nikt jeszcze nie znalazł;
A gdy duch własny nie dał odpowiedzi,
W czytaniu starych grążyłem się książek,
Aż wzrok się mącił. I stało się oto,
Żem nocy pewnej, burzliwej, jesiennej,
Gdy wicher jęczał, wył w pustem domostwie,
A miesiąc leciał, jako ptak, przez chmury,—
Nad dziwnem dziełem, znękany gorączką,

Nad księgą, z magów złożoną tradycyi,
Usnął na chwilę, i dziwny sen miałem,
Pełny wszystkiego, com czytał, sam myślał,
Sen taki żywy, taki wyrazisty,
Że nigdy już go nie zapomnę w życiu.

Zdawało mi się, żem widział Mojżesza
Na górze Synaj, w oną noc ostatnią,
Czterdziestą z rzędu, jaką tam przeczuwał,
Nim zstąpił na dół, na puszczę, by wieścić
Ludowi swemu, co każe Pan Panów.
Wszystko, co Mojżesz myślał, czuł, wiedziałem
(Tak bywa we śnie), jakbym czuł z nim razem,
Z nim razem myślał, był nim, a wraz sobą.

Czuwał przed ogniem, płonącym wysoko
I strzelającym setnemi języki
W chmurę, co ciężko wisiała nad górą,
A tak niziutko, że skał dotykała.
W niej Jahwe oczom śmiertelnym był skryty.
A Mojżesz, milcząc, patrzał w kraj rozległy,
Co rozpościerał się w dole. Poświata
Biała miesiąca lała się widmowo,
I blada, kształtów pozbawiona puszcza
Taką nieziemską zdała się, upiorną,
Takiem czemś innem, niż zawsze bywała,
Że Mojżesz naraz uczuł lęku tchnienie,
A kłam, omylność, niepewność i złuda
Wszech ludzkich pojęć stanęły złowrogo
Przed jego duszą. Pytanie straszliwe,

Czy JEST istotnie, co być nam SIĘ ZDAJE,
Wstrzęsło nim nagle, i tak go przemogła
Ta nieokreślność rzeczy i poznania,
Że dusza jego z wyżyn świętych ekstaz,
Jako głaz ciężki, stoczyła się w otchłań,
Gdzie chmurne czyha, śmiertelne zwątpienie.

Gdy ta pod górą pobladła kraina
Teraz czemś była tak zupełnie innem,
Niż przedtem zawsze; gdy z postaci obu
Prawdą być przecież jedna tylko mogła,—
Czemu nie mogło złudą też być wnętrzną
To, co był dotąd zwykł brać za głos Boży?
Cóż — gdyby świat ten był jednak pustynią,
Chaosem wrogich, ślepych w boju sił?
Cóż — gdyby snem to było gorączkowym,
Co mu się dotąd objawieniem zdało?
Zadrżał, że pustą jest może ta chmura,
W której — jak wierzył — Jahwe krył się wieczny!
Krew zastygała mu w żyłach, na głowie
Włosy jeżyły się lasem, a z oczu
Łza na myśl groźną wytrysła mu wielka,
Że omamieniem chorobliwem mózgu
Był może głos ów szepczący mu w duszy,
Co bądź jak powiew przewiewał ją cichy,
Bądź orlem skrzydłem unosił potężnie
W zawrotne sfery! Że złudą snadź nędzną
Jego miłości dla ludu był Bóg ów,
Który — jak mniemał — powołał go ongi
Z domu niewoli z Izraelem całym

Na dumną wolność, samoistną dolę?
Patrzał w mrok chmury, a z mroku niemota
Wiała nań tchnieniem straszliwem rozpaczy,
Aż wpółszalony krzyknął: „Ozwij-że się!
Przemów, o Panie!“
Cicho było wokół....
„Niemasz Cię?“ jęknął, „niemasz Cię lub śpisz?“

Głos wyszedł z chmury: „Nie zasypiam nigdy,
I biada światu, jeślibym zadrzemał,
Przed czasem swoim, choć na oka mgnienie!
Świat w tejże chwili zapadłby się w nicość.“

Jakiejż radości nieskończonej szałem
Drgnął Mojżesz cały, gdy głos ten usłyszał!
Więc złudą nędzną nie był jednak Jahwe!
Skłonił w proch czoło, potem spytał znowu:
„Przed czasem, mówisz? Wszakże jesteś wieczny?“
„Jak ty,“ rzekł Jahwe. „Podlegam przemianie,
Wszystko poddane jest jej — tylko nie On.“

Tu z podziwieniem wykrzyknął już Mojżesz:
„Nie jest-żeś Stwórcą i Bogiem jedynym?“

„Jestem,“ głos odparł, „stworzycielem światów,
Które bądź widzisz, bądź na wpół przeczuwasz,
A przecież niczem nie jestem, jak tchnieniem
Ust, które nie są, ani oddychają.
Gdy znów dech wciągną — minąłem, a ze mną
Wszystko, co było mnie i tobie wszystkiem.
Jam przejaw tylko jednej z jego myśli,

Jak człowieczeństwo — tylko myślą ziemi,
Jak człowiek — całej snem tylko ludzkości.
On tak jest we mnie, jak ja we wszechświecie,
I ty, i ja, i wszystko — w nim znów będzie.“

„On tedy światłem jest, duszą, rozumem?“
Rzekł cicho Mojżesz, którego myśl teraz
W głębiach myślenia tak się pogrążyła,
Jak w morzu muszla, a głos mu Jahwego
Znów odpowiedział: „Nie, nie jest rozumem,
Acz jego źródłem, powodem i sprawcą;
Nie jest też światłem, ni duszą, aczkolwiek
Onych obojga wieczną jest przyczyną.“

A Mojżesz na to: „Więc powiedz mi, błagam,
O, powiedz, wysłów święte jego imię,
By dusza moja tajń pochwycić mogła!“

„To niepodobna,“ brzmiała z chmur odpowiedź,
„Tak czyste, proste bezbrzeżnie to imię,
Że w ludzkie słowo wcisnąć go nie można.
Tylko odczuwa się prawdę najwyższą.“
Tu znów się Mojżesz zamyślił głęboko
Tak, że był niemy, i głuchy, i ślepy,
A w bezdniach tajni, w których się pogrążył,
Coś, jako rozbrzask, błyskało mu w dali,
Gdy, szmat po szmacie, wsze wyobrażenia
O kształtach ludzkich zdejmował z pojęcia
Onej pramyśli, która nic wspólnego

Nie może w sobie mieć ani z człowiekiem,
Ani z prażadną istotą stworzoną,
Oprócz zagadki wiecznie ciemnej bytu.
A gdy już wszystko odjął jej, co ludzkie,
Wszystko, co na niej wisiało, jak nędzny
Szych, którym bożka zdobi bałwochwalca,
Tu echo tego imienia czystego,
Które wysłowić nie da się po ludzku,
Jęło ozywać się gdzieś w jego wnętrzu,
To echo, co się do swego pradźwięku
Miało, jak ma się szary cień do światła,
A brzmiało groźnie, druzgocząco: „Nic!“

Ból rozpaczliwy wstrząsnął znów Mojżeszem
I z tych męczących przebudził go myśli.
Spojrzał dokoła. Ogień już dogasał,
Chmura rozwiała się. Kędyż był Jahwe?
Już znikł, a przecież pozostał obecnym!
Toć Mojżesz w sobie czuł go wciąż, a oto
Czyliż nie patrzał nań z dołu, z tej puszczy,
Gdzie rozświt ranny — czar świeży, młodzieńczy
Rozlewał wokół? Pustynia milcząca
Weselną twarzą spoglądała w niebo,
A duch w materyi był taki widoczny,
Że Mojżesz rzewną uczuł w piersi radość
I ze czcią wielbił oną duszę prostszą
A stokroć bliższą swojego prażródła,
Niż dusze ludzi błądzących śród grzechu.
I rzekł: „Jak wszędy obecnym jest Jahwe
I nigdzie razem, tak NIC ono żywe

Jest także WSZYSTKIEM, Bo TAK w niem jak NIE
Czas z góry zstąpić, kędy lud mnie czeka, [jest.
I rzec, co noc mi objawiła wielka." —

Lecz się zawahał. „Jak to wypowiedzieć,
Gdy jasno myśleć sam o tem nie zdołam,
Gdy z każdem słowem, w które chcę to wcisnąć,
Krok czynię w bok gdzieś, błędny i niepewny?
Oh! każde ucho, które mnie usłyszy,
Inne znaczenie da mglistym mym słowom,
I w szarym zmroku nieokreślnych pojęć
Sto nowych bożyszcz, tysiąc, niezliczoność,
Z winy języka powstanie mojego!
Nie, Jahwe z swojem półludzkiem obliczem,
Jak dziś w pojęciach braci moich żyje,
Jest najmożliwszym i jedynym Bogiem,
I tego tylko dzisiaj im obwieszczę.
Resztę pochowam na dnie serca swego."

Wtem strzelił pierwszy, świetny promień słońca,
Jak złoty wykrzyk dnia narodzonego,
A Mojżesz zwolna zstępował w dolinę
Przed czekający swój lud Izraela,
Lecz wprzódy twarz swą osłonił zawojem,
By nikt nie spostrzegł sinej lic bladości,
I by na czole nikt mu czytać nie mógł,
Gdy wieścić będzie, kto Bogiem jedynym.

Juliusz Zeyer.

Los geniuszów.



dowadniać biegunowo przeciwny stosunek popularności dzieł twórczych (w jakiejbądź dziedzinie: nauki czy sztuki) do ich głębokości, subtelności, powszechności przestrzennej, niezmienności czasowej, jednem słowem, do ich genialności, — rzecz prawie zbyteczna. Zastanowić może wszakże, iż prawda ta, stwierdzona niejednokrotnie i łatwa do sprawdzenia dla każdego umysłu nieuwodzącego się mniemanemi zapałami tłumów ku rzeczom istotnie wielkim, wychodzi na jaw, im bliżej dni naszych, tem częściej i tem brutalniej.

Że

. . . . skoro mistrz słowa,
Taki jak Orfej... serce takie... taka głowa

I taka pieśń powstanie, to w jednej wieczerzy
Rozwarkoczonych kobiet, którym naród wierzy,
Zginie!
(C. NORWID)

że Homer,

. . . . . . iż rycerskie ośpiewał herbarze,
Słynniejszy od Hezioda, co sławi ołtarze;
(C. NORWID).

że, wogóle,

Gdy gromka sława przez ulice jedzie,
Natychmiast zapał wita ją niezmierny,
Ale gdy po niej przyjdzie myśl głęboka,
Napewno znajdzie puste wokół place, —
(J. ZEYER).

wszystko to znajduje proste nader wytłómaczenie w inercyi cielesnej mas i eleuteryzmie duchowym genialnych wyjątków; w skłonności większej tłumów do tego, co bliżej ziemi, i odrywaniu się od tejże ziemi nielicznych duchów, czujących, że trzeba,

Aby być narodowym, być nadnarodowym,
I aby być człowieczym, właśnie że ku temu
Być nadludzkim;
(C. NORWID).

w pytagorejskiej, jednem słowem, doktrynie o wiekuistej różności i nierówności dusz.

Ale my, ale nasz XIX wiek „postępu,“ czyżbyśmy taki postęp we wszystkich tych przyczynach zrobili, że o tyle bogatszemi w omawianym względzie chlubić się możemy rezultatami? Zdaje się, że tak. To, co ongi było mimowiednym, elementarnym objawem, podnieśliśmy do zasady. W ochlokratycznej równości

zaprzepaściliśmy wszelką hierarchię. Zrobiwszy ideałem człowieka — mierność (zwaną też przeciętnością czy normalnością), wzięliśmy ją za miarę, i wszystko, co pod strychulec jej zmieścić się nie chce i nie może, napiętnowaliśmy mianem szaleństwa, chorobliwości, zwyrodnienia, lub innemi, niegdyś poświętnemi, a dziś obelżywemi nazwami: mistycyzmu, symbolizmu i t. p. Myt, legendę wreszcie, które ongi, w braku świadomego uznania, otaczały bądź co bądź tych największych, i *eo ipso* najbardziej niedostępnych, atmosferą jakiejś trwogi świętej, będącej inną jeno formą entuzyazmu, zastąpiliśmy gazetą, jej anegdotami czy *interview*'ami, i znieważaniem lub poufałem klepaniem po ramieniu olbrzymów ducha. I tak nam dobrze na padołach i mieliznach, tacy z tego żywota padalców i małżów jesteśmy zadowoleni i dumni, że nie szukamy szczytów ani głębin; nie chcemy znać ich, jeśli same do nas nie przyjdą, a gdyby przyszły, pogodzilibyśmy się może z niemi, ale pod warunkiem *sine qua non,* aby nieco „ustąpiły" ze swej wysokości czy bezdenności. Wymagamy kabotynizmu, żądamy kompromisów, raczymy przyjąć wielkość, jeśli się ona uzna za niewiększą od naszej mierności. Jeśli tego nie uczyni, potrafimy okrzyczeć byle jaką zgodniejszą zdolnostkę za takie słońce, że gwiazda prawdziwej wielkości zgasnąć musi w mniemanych jego blaskach.

Że zaś duchy genialne,

. . . . . *wielkim i samotnym losem*
Niesione tam, gdzie twórczość, więc blizko z chaosem,
(C. NORWID).

nie znają kuglarstw, nie wiedzą, co to kompromis, nie narzucają się tłumowi, pierzchają od banalnego lub brutalnego zgiełku wydarzeń, zbrodniczo nie dostrzegają naszej wielkości, nie schlebiają, nie żebrzą o poklask, i zapatrzone w inne światy, nie myślą przedewszystkiem, aby być „przystępnymi," — więc nigdy może nie było tylu, co w naszym wieku, „przeklętych," jak Verlaine ich nazywa, tylu zapomnianych olbrzymów, tylu niewymownych twórców, odrzuconych, nieuznanych i nieznanych prawie. I ze drżeniem pyta się dusza, czy nie przyjdzie czas, gdy ani jeden z prawdziwych ducha mocarzy szerszym warstwom znany nie będzie, gdy znak geniuszu równoznacznym się stanie z piętnem odrzucenia i zapomnienia? Bo „postęp" w tym kierunku jest ciągły.

W pierwszej wieku połowie, jeszcze, bądź co bądź, jeden wielki duch przysłaniał drugiego. Tłum, jakby nie mogąc znieść zbyt wielkiej ilości słońc, wybierał jedno, o ile można bliżej ziemi krążące, i nie widział już innych. Tak Byron przyćmiewał Shelley'a, tak sława ich obu pogrzebała w zapomnieniu zupełnem bezdennego Williama Blake'a. Tak w błyskotliwej apoteozie Wiktora Hugo niewidzialną stała się gwiazda o ileż głębszego i subtelniejszego Alfreda de Vigny. Tak wyłączne ubóstwienie Mickiewicza odsunęło w cień czarodzieja Słowackiego i ducha-orła Krasińskiego.

Potem zaczyna się dziać coraz gorzej. Za uwieńczoną zdolnością Tennysona znikają wielkie postacie

Rossetti'ego, Browning'a, Swinburne'a; Heine grzebie pod fałdami swej chwały Grabbe'go, a Grillparzer — Hamerlinga; Tegner stawia zwycięzką stopę na karku Almquista; gadatliwość Pola głuszy bronzowe dźwięki poezyi C. Norwida; komiwojażerski Coppée zwycięża w oczach tłumu tytana Baudelaire'a, a hałaśliwy, płytki gbur Zola zasłania takich olbrzymów, jak hr. de Villiers de l'Isle Adam i Barbey d'Aurevilly.

Ostatnie dwadzieścia lat wieku są już widownią niemożebnych *promiscuités* w dziedzinie literatury, bluźnierczych wprost przeciwstawień, plugawiących uwielbień i bezczeszczących zapomnień.

To samo dzieje się, zresztą, w innych sztukach. Któż z wielbicieli Détaille'ów, Bonnat'ów i Colin'ów wie cośkolwiek o Gustawie Moreau? W apoteozach Kossaków jest-że czas myśleć o Wyspiańskich? Falguière'y królują, podczas gdy na Rodin'ów i Vigelandów szyderstwa się sypią i obelgi. Któż nie zna Massenet'a i Mascagni'ego? Któż zna Smetanę lub Cezara Franck'a?

I któż ma znać, któż ma pojmować i odczuwać? — Twórczość prawdziwa, głęboka, będąca nie kopią życia, lecz sięgnięciem w jego istotę i przez to niejako dalszym życia ciągiem i dopełnieniem, jeżeli wzruszyć ma potężnie, wymaga pewnej znacznej siły uczucia i ducha od swych czytelników, widzów czy słuchaczy, a przeto dostępna jest jedynie dla ludzi, zdolnych do nawpół również twórczego spólnictwa duchowego. Zdolność ta kryje się snadź

niegasnącem połyska światłem, w tych duch ostatecznie wyzwala się z efemeryj, podnosi, oczyszcza i do zawrotnych rozszerza bezgranicz. Ale jednocześnie ziemska na nich pada klątwa: mogą rzucać dyamenty i perły najszczersze, nikt się po nie nie schyli, nikt ich nawet nie spostrzeże.

To objaśnia los wszystkich zapoznanych i zapomnianych, których wymieniłem powyżej. To tłómaczy również, czemu taki otchłanny twórca, taki niewymowny poeta, taki ostateczny artysta, taki bogacz barw, taki mag nastrojów, taki mistrz bez zarzutu, jak Juliusz Zeyer, jest nawet u siebie w kraju o całą nieskończoność za mało ceniony, a po za granicami Czech zupełnie nieznany. Jest poetą marzenia — tego świat nie lubi; nie schodzi na rynki — tego świat nie przebacza; jest samotnikiem — za to świat go nie zna.

Z. Przesmycki.

Moja pieśń wieczorna.



On był i myśmy byli przed
początkiem —
niech imię Jego będzie pochwalone!
Razem z gwiazdami byliśmy i słońcem,
zanim się gwiazdy i słońce
jęły rozbijać w swych kołach,
zanim się stało to, co cię pożera.

O duszo, spragniona miłości,
o duszo, spragniona spokoju!

On był i ty w Nim byłaś przed początkiem,
nim jeszcze miłość i spokój
stały się ogniem trawiącym,
zanim się stały zabójczą tęsknicą
i tem kamiennem, ślepem przerażeniem.

Dzień mój przygasa —
za wielkim, niebotycznym przygasa mi szczytem,
krwawą za sobą zostawiając zorzę,
która się czepia ogniami
tych oto smreczyn i ścian poszarpanych,
zatartych śladów moich stóp.
Dzień mój przygasa, ten złoty,
ten lazurowy, ten słoneczny dzień;
w błogosławieństwie swych drogich promieni
wiążący klątwę dla człeka,
dla zbłąkanego pielgrzyma.
Niech gaśnie! niech ginie!
Niech upragniony nadejdzie już wieczór
ze swoją ciszą wieczystą,
która ci mgłami szepce miesięcznemi,
że zanim miłość i spokój
stały się ogniem trawiącym,
za nim się stały zabójczą tęsknicą
i tem kamiennem, ślepem przerażeniem,
On był i myśmy byli przed początkiem...



Błogosławiona niech będzie ta chwila,
kiedy się rodzi wieczorny hymn duszy!

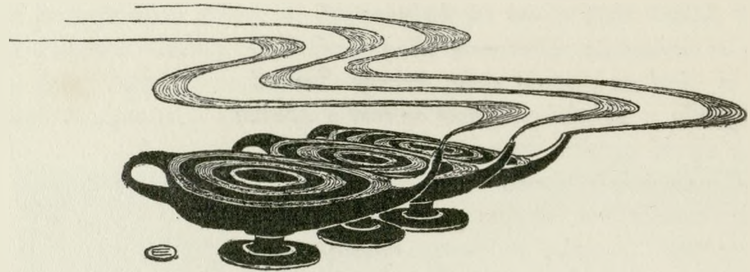
kiedy od cichych pól,
od rżysk i rzecznych pobrzeży,
od przecznic i od ugorów,
od wypaczonych chat
i od tych stodół zwietrzałych
chłopięca płacze piosenka:
A grajże mi, piszczałeczko,
a grajże mi, graj!
Uliniłem cię z wierzbiny,
gdzie ten potok srebrno-siny,
gdzie ten szumny gaj!
Pani pana tam zabiła —
zieleni się, hej! mogiła,
zieleni się, hej!
A ciernisty krzewię głogu
kwiat swój sypie po rozłogu,
a szept idzie z kniej!...
A dusza słucha i słucha...
A dzień jej przygasa,
a ona śladem tęsknicy
płynie rozlewną falą księżycową,
rosami płynie, lśniącemi na łąkach,
i wierzchołkami ukojonych drzew,
i grzbietem białych gór,
ku onym dniom zapomnianym,
gdy miłość i spokój
nie były ogniem trawiącym
ani kamiennem, ślepem przerażeniem.
Przestwór się przed nią rozszerza
i przepełniony wiekuistą nocą,
topi w swych głębiach wszystko, co ją zmogło
urągowiskiem i grzechem,
i wypełnioną pokutą,
wstydu i hańby pociemniałą twarzą,

i podeptaniem świętych, bożych praw,
i krwawą zemsty pochodnią,
i bólu, bólu strasznego
tak pożądanem, a tak żrącem widmem.



Błogosławiona niech będzie ta chwila,
kiedy się rodzi wieczorny hymn duszy!...
Na senne kwiaty wystąpiła rosa,
na łąk płaszczyzny, na ciemny łan zboża,
a ona siadła u brzegu jeziora
i rozmodlona patrzy w jego głębie —
i oparami wznosi się nad wielką,
nad uciszoną, rozmodloną wodą —
i słucha, i patrzy, i szepce
swoje wieczyste pacierze.
Z zapadłych wiosek płyną rozhowory,
w bagniskach dzikie obzywa się ptactwo,
a gdzieś w pustkowiu, a gdzieś na rozstaju
w samotnej chacie pobłyskuje światło,
a tam! zdaleka cicha idzie Śmierć.
Od zórz zachodnich, w ziół zasypiających
rozkosznej woni, piosnka się kołysze,
nad niemowlęcia kolebką wysnuta:
O tej radości, o tem weselu,
o tem cudownem, ukrytem zielu
z za siódmej góry, z za siódmej rzeki,
które na smutek słodkie ma leki.
O tej godzinie, co szczęście niesie,
pieśń się kołysze po krzach, po lesie,

po falach żyta pieśń się kołysze
w tę uroczystą wieczorną ciszę —
a w ślad za pieśnią cicha kroczy Śmierć.
Wyszła z dziedziny, gdzie miłość i spokój
nie są-ci ogniem trawiącym,
ani zabójczą tęsknicą,
ani kamiennem, ślepem przerażeniem,
i w świat podąża, ku onym rozstajom,
k'temu pustkowiu, ku chacie samotnej,
k'temu słabemu, czerwonemu światłu...
Ścieżyną zdąża i traktem szerokim,
po drodze zerwie jakiś kłos zielony
albo też listek topoli
i w zamyśleniu rzuci je pod nogi.
Lekkiemi stopy przygnie jakąś trawkę,
lub owad zdepce na miedzy,
albo swą długą, białą, przezroczystą
zanurzy rękę w staw
i jego srebrną powierzchnię
powlecze rdzą opalową.
Czasem w tym swoim pochodzie
siądzie na chwilę pod krzyżem pochyłym,
na opuszczonej mogiłce,
i głowę ukrywszy w dłonie,
głębokim jękiem zapłacze,
rozlewającym się na okrąg świata,
i potem wstaje i traktem rozległym
albo miedzami idzie znów śród zbóż
k'temu pustkowiu, gdzie w chacie samotnej
czerwone, słabe pobłyskuje światło.
A za nią snuje się smuga
sinych oparów i mgieł,
na których ciężkiem, dalekiem obrzeżu
zachodnia krwawi się zorza.



Czemu nie gaśniesz, ty zorzo?...
On był i myśmy byli przed początkiem,
zanim się stało to, co nas pożera!
Czemu nie gaśniesz?!
Och! jak się w twoich płomieniach
palą te grona jarzębin!
jak się rozżarza ten żwir —
ten szary piasek na drodze pątniczej!
Wybaw człowieka, o Panie,
od żagwi gniewu Twojego!
Dusza ci śpiewa psalm, jak niegdyś, niegdyś —
śród koralowych jarzębin,
przy rozszumiałych, wielkich polach zbóż,
przy tajemniczych pogwarach tych lip,
rozkołysanych Twym świętym oddechem...
Pokorna, cicha, nieskalana dusza
stoi u wrótni kościółka
i psalm ci śpiewa tak wieczny,
jak wieczną ona i Ty!
Na roztęczone mgławice kadzideł
kładą się dźwięki organów,
majestatyczne, cudotwórcze dźwięki,
i podpływają ku cichej, pokornej,
ku nieskalanej, ku skupionej duszy,
klęczącej w progu świątyni.

Grona jarzębin rumienią się w słońcu,
prastare lipy szumią hymn pierwotny,
przenikający głębinę jestestwa,
łan się kołysze, rozłożysty, złoty,
w oknach świergocą jaskółki,
nad poszeptami pacierzy
nieprzeliczonych pątników
białe wzlatują gołębie,
i w rozmodleniu milczącem,
na skrzydłach psalmów, tak wiecznych
jak wieczną ona i Ty,
wznosi się dusza ku Tobie!

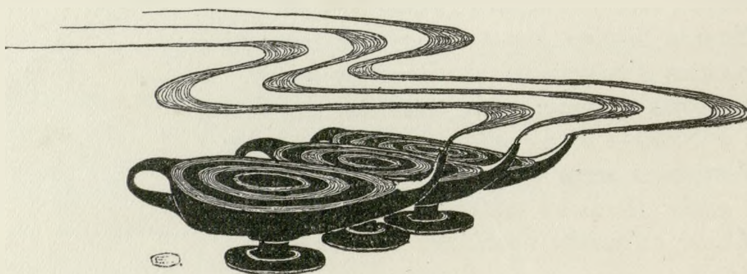


Bo gdzież jest większy pan i król i władzca?
Gdzież moc ci równa i równa potęga?
Sam z Siebie-ś powstał, majestat Twój płonie
na tym z wieczności zbudowanym tronie.
Z Siebie stworzyłeś ten przestwór bez końca
i z Siebie-ś w niego rzucił żar na słońca.
Istnienie-ś swoje zamknął w prochu ziemi
i wichr piersiami oddycha Twojemi.
Duszę człowieka wywiodłeś ze Siebie

wraz z duszą globów, świecących na niebie.
Tyś, Boże, ziarnem i kłosem i listkiem:
Wszystko jest z Ciebie i Ty jesteś Wszystkiem!
I przez Cię wszystko, nieśmiertelny Panie,
ma nieśmiertelne w Tobie królowanie.
Gdzież moc ci równa? gdzież równa potęga?
Gdzież jest ten płomień, co skry twej dosięga?
Gromem przemawiasz z łyskającej tuczy,
Głos Twój morzami i wulkanem huczy,
trzęsieniem ziemi ogłasza Twe wieści,
lub słodko szumi, szemrze i szeleści.
Straszliwym bywasz w Swym monarszym gniewie:
rozkwitłe pola zatapiasz w ulewie,
żagwią pożarów godzisz nam w zagrody,
bijesz dobytek i zatruwasz wody.
Lecz kto opiece Twej odda się szczerze,
tego Twa łaska od złego ustrzeże;
bo czyjaż dobroć Twych bezmiarów sięga?
Gdzież moc Ci równa i równa potęga?...

Błogosławiona niech będzie ta chwila,
kiedy się rodzi wieczorny hymn duszy,
tej nieskalanej, pokornej i prostej!

On był i myśmy byli przed początkiem, —
chwalmy i wielbmy Jego święte imię!



Czemu nie gaśniesz, ty zorzo,
nad oceanem tych ciężkich oparów,
co pochłonęły me słońce?
Księżyc się dźwignął po nad węża gór,
osrebrza brzegi obłoków,
lśni się na rysach śnieżystych;
od wschodu pełza cicha noc,
stoki swym wielkim przytłacza spokojem,
a ty się palisz!
Ztamtąd — od nizin dalekich,
usypiających poza stu wodami,
poza tysiącem dróg,
jakieś się echo przyczołguje w duszę —
Cicho!
To płacz tej dawnej, chłopięcej piosenki:
A graj-że mi, piszczałeczko,
a graj-że mi, graj!
Ulinilem cię z wierzbiny,
gdzie ten ruczaj srebrno-siny,
gdzie ten szumny gaj!
Ach!..
Przeorałem łan o świcie —
od pola do pola,
kąkol wyrósł w mojem życie,
dola-ż moja, dola!
A grajże mi, piszczałeczko,
a graj-że mi, graj!...
a graj-że mi, graj!...
Czemu się żagwisz?...
Niech raz już wszystko zagaśnie!
Jarzębina się rumieni,
szepcą lipy stare,
suchy piasek się podnosi — — —
Czemu nie milkniesz, ty zorzo?

Dla czego krzykiem ognistym,
wystrzelającym z tych przepastnych szczelin,
z pośród tych strasznych dwóch piekielnych ścian,
tak mnie oślepiasz i tak mnie ogłuszasz,
że dojść nie mogę do kresu?
Dzień mój już przygasł,
a zorza jego się krwawi,
jakby się krwawić miała w nieskończoność!...
Wszystko pożera swemi płomieniami —
duszę mi pali i świat cały pali!
Z olbrzymich snopów ognia,
jakby młóconych niewidzialnym cepem,
sypią się ziarna skier
w okrąg na niebo i ziemię!
Księżyc się zajął
i w mgnieniu oka wyrósłszy
w ogromną kulę ognistą,
zaczyna rwać się w kawały
i płomiennemi wali się bryłami
na cielska płonących gór,
na skrawy popiół tych smreków spalonych.
Płoną jeziora,
sto wód się pali
i tysiąc dróg!
Z rozszalałego wnętrza ziemi
ogniem buchają wulkany,
gwiazd miliony tną błyskawicami
spieniony potok płomieni
i z hukiem
giną w czeluściach czerwonych.
Boże!
Czemu mnie karzesz?
W tych rozżarzonych stanąłeś przestworach,
cały spłomienion, większy, niż przestwory,

z krzyżem ogromnym, płomienistym w dłoni,
i rozżagwiony rzucasz na mnie świat...
Karz mnie!
Bom-ci ja człowiek, który wyszedł z grzechu
i prześladowan był przez grzech — do końca!
Moja to wina!
Bo oto moja nieprawość,
mnoga, jak iskry tych ogni,
przeszła granice, Panie, Twych zamiarów!
Ojca-m się wyparł,
a kiedy zamknął powieki,
krzyża-m na jego grobie nie postawił,
bom go nie prosił o garść tego błota,
o nędzny żywot ten!
Moja to wina, moja wielka wina!
Matkę-m wypędził z domu, by nie jadła
strawy, porwanej, większym, niż ja, tchórzom —
a wypędziłem ją w czas, gdy nad ziemią
przebiegał tuman nawałnic,
aby jej w drodze, w bezludnem pustkowiu,
oczy wyżarły błyskawice,
a dąb, walący się od gromu,
aby ją przygniótł swą kłodą na wieczność!
Moja to wina, moja wielka wina!
Oślepłą siostrę spotkawszy żebrzącą
u wrót wspaniałej katedry,
nie czułem tyle odwagi,
aby się dotknąć jej ręki wyschniętej
i na jej krwawe wskazując orbity,
głupim powiedzieć lwom i pustym lwicom:
Idźcie! mnie łaski waszej nie potrzeba —
to siostra moja! przy niej mi pozostać!
Moja to wina, moja wielka wina!
Psa, który zaszedł mi drogę,

i z głodu zęby wyszczerzył,
i miłosierne wlepił we mnie ślepie,
kopnąłem nogą,
aż ze skowytem padł pod moim płotem!
Robaka-m zdeptał —
tysiące owadów
miażdżyłem stopą, wlokąc się przydrożem,
ażeby duszę znudzoną
orzeźwić wschodem lub zachodem słońca.
A pnąc się w górę, ku rzeźbionym grotom,
ku tajemniczym snom stalaktytowym,
albo ku wirchom, zkąd pycha
wygraża światu pięściami z granitu,
kazałem ścinać pachołkom
gałęzie smreków młodziutkich,
gdyż iglicami drażniły mi skronie...
Zabiłem brata,
bo mi się worał w miedzę
i naręcz owsa mi wyżął
dla swego konia —
moja to wina, moja wielka wina!
Chęć mi raz przyszła obłędna,
ażeby kopać dla siebie mogiłę,
bo mi się życie stało cmentarzyskiem,
i w tę mogiłę wtrąciłem bliźniego,
tak, że oszalał między umarłymi!
Moja to wina!
Uwiodłem żonę przyjaciela —
moja to wina!
Pod próg sąsiada kazałem podrzucić
dziecko, zrodzone z mego rozbestwienia.
A raz, to grzech mi tak zaciemnił oczy,
żem po omacku szedł w przepastną głębię
strasznego lasu

i, jadowite wyszukawszy ziele,
świat niem stłumiłem w poczęciu!
Moja to wina, moja wielka wina!
Nie karz mnie, Boże, według moich zbrodni!
W tej gniewu Twego straszliwej godzinie
świat niech się kaja, lecz niechaj nie ginie!
Wielka jest moc Twa i wielka potęga,
lecz czyjaż dobroć Twej dobroci sięga?
Panie!
Rozpalonemi namiętnością dłońmi
umiałem skazić niewinną wstydliwość,
nim się w słoneczne rozwinęła kwiecie.
Podstępnie owoc zerwałem dziewiczy,
słowem, któremu dała moc obłuda,
wielbiąc zbawienie z miłości,
a sobie-m szeptał, jak złodziej, co w każdym
widzi złodzieja: rwij, nim przyjdzie inny!
Za grosz kupionej rozpuście
dałem się wlec po kałużach,
albo gdy przesyt wypił ze mnie krew,
jak widmo-m stawał u bram lupanaru,
i źrenicami, zmienionemi w szkło,
przez które ognia przezierał ostatek,
zazdrośnie-m śledził takich, jak ja — trupów,
by ich rozkoszą zwątloną
podżegać w myśli mą rozkosz przymarłą.
A nieraz podłość tak mi żarła duszę,
że chcąc wypełnić jej pustkę,
mało-m nie szeptał błądzącym przechodniom:
Nie temi drzwiami! tamte wam poradzę!
Moja to wina, moja wielka wina!
Związan ślubami,
które mi jarzmem się stały,
a sił nie mając, otwarcie

zrzucić ze siebie te błazeńskie dzwonki
arcykapłana domowych ołtarzy
i iść, gdzie w słońcu południa,
śród woniejących ogrodów
krwawo się złoci zakazane drzewo,
dawałem w duszy przystęp takim szeptom:
Niechaj-że szatan się zjawi,
i niech uwikła w sieć swojej pokusy
tę, co mi ongi była mocą szczęścia,
a dziś mnie dusi swą cnotą!
Wówczas jej krzyknę: podłaś! i już czysty
w nędznem sumieniu, pójdę spełnić zdradę!
Moja to wina! moja wielka wina!
Oto jest miłość! oto jest to źródło,
z którego bije szlachetność!
Moja to wina, moja wielka wina!
Panie!
Wszystkie ja grzechy wziąłem na swe barki,
bom-ci ja człowiek, bom urodzon z bolu,
bo żal, i rozpacz, i przestrach,
i wyczerpanie, i siła,
są przyczynami mojego istnienia...
Karz mnie! Karz mnie!
W tym rozżagwionym przestworze
masz krzyż z płomieni, większy, niż ten przestwór,
więc bezlitością swych płomiennych rąk
wyciągnij członki moje do ogromu
Twojego krzyża, na którymś zawisnął
Ty sam, o Panie! ongi przed początkiem,
kiedyś się zmuszał, by spokój i miłość
przemienić w ogień trawiący
i w skamieniałe, ślepe przerażenie! —
kiedyś ze swego spokoju
i swej miłości

wydzielał słońca i gwiazdy,
by rozbijały się w swoich elipsach,
aby się stało to, co nas pożera.
Karz mnie, człowieka, co krąży po świecie
z brzemieniem winy na ugiętym grzbiecie.
Wagę masz w ręku i miecz sprawiedliwy,
z którego lecą skry na ludzkie niwy,
a pomsty Twojej płomienna potęga
od pokolenia w pokolenie sięga.
Krew nam pożera i wysusza kości
wieczysta wszechmoc Twej zapalczywości.
Żadna się przed nią groza nie ostała —
niechaj Ci za to będzie cześć i chwała
na wieki wieków... Amen, Amen, Amen.
Panie!
Kłamałem!
Zawiść i zazdrość tuliły się do mnie
zżółkłemi łony i, nagością swoją
opanowawszy mą duszę,
kazały zezem patrzeć mi na sławę
i na bogactwo rodzonego brata.
Kradłem —
w kościele Twoim rozbiłem skarbonę!
Moja to wina, moja wielka wina!
A raz, w czarownem, wielkiem, ludnem mieście,
śpiesząc ku Śmierci, która czeka na mnie,
chciwie wstrzymałem krok przed stosem złota:
i błyskawicą, która idzie z Ciebie,
— moja to wina, moja wielka wina! —
myśl mi przebiegła haniebna:
tak! wymordować czcicieli Molocha
i potem — zająć ich miejsce!
Panie!
Fałszywym byłem prorokiem



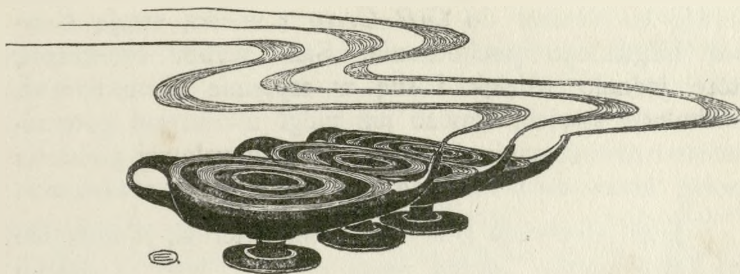
i nie umiałem powstrzymać bluźnierstwa
przeciwko Tobie, tak, jak dzisiaj bluźnię!
Krzywdy-m ja bratu nie przebaczył,
choć sam krzywdziłem jak — oszust!
Pogardę niosłem tłumowi,
jego zczerniałym, spracowanym dłoniom,
jego łachmanom, przesyconym potem!
Ornat na siebie kładłem i koronę
i wziąwszy jabłko do ręki i berło
kazałem klękać przed swoim rozkazem,
jakby nie było Twego majestatu!
Moja to wina, moja wielka wina!
Okręty słałem na spienione morze,
a w bitwach, w mojem wszczynanych imieniu,
tysiące kładły się we krwi swej własnej,
a wszak Ty jeden masz prawo
na życie człeka wydawać wyroki!...
Moja to wina, moja wielka wina!
Karz mnie!
Bom-ci ja człowiek, skazany na karę.
Bo dzień mój przygasa,
a zorza jego się krwawi
i świat się mój pali!
Bo dawno już przeszedł czas
— moja to wina, moja wielka wina! —
gdzie miłość i spokój
nie były ogniem trawiącym,
ani zabójczą tęsknicą,
ani kamiennem, ślepem przerażeniem — — —



A graj-że mi, graj!...
Jarzębiny się rumienią — — —
Suchy piasek się podnosi — — —
A graj-że mi, graj — — —

On był i myśmy byli przed początkiem,
zanim się stało to, co nas pożera...

Błogosławiona niech będzie ta chwila,
kiedy się rodzi wieczorny hymn duszy!
kiedy na wieki — na wieki —
gaśnie jej dzień — — —



Jan Kasprowicz.

Z cyklu, „GINĄCEMU ŚWIATU“ (Dies irae Salome, Święty Boże. *Życie*, 1899).

„AD LEONES!“



o nie był wcale, ani mało obiecujący talent, ani mało dotrzymać mogąca organizacya, ów rudobrody rzeźbiarz, który o godzinie zamknięcia prac chadzał prawie co wieczór do *Café-Greco* z wielką swoją charcicą kirgizkiego pochodzenia. Sam wybór zwierzęcia, które jednało wdzięk i siłę w czytelnie naznaczonych muskułach swoich, dawać już mógł uważnemu postrzegaczowi domniemania korzystnego o umysłowej godności osoby, która to a nie inne upodobała sobie stworzenie.

Jeżeli albowiem generał *Jomini* twierdzi, iż koń, nie zaś kawalerzysta, *„dobrą jazdę czyni“*... tedy, z daleko więcej psychologicznych względów, utrzymywać byłoby właściwem, że dobranie sobie tego lub owego psa rodzaju głośno o dobierającego poczuciach i umyśle znamionują. — Jużci rzeźnik zupełnie innego psa ma na myśli, jak łowiec, albo szlachetna Dama...

Śliczny to był ów rudobrodego rzeźbiarza pies, zwolna przed nim idący z paszczą otwartą i w niej rozesłanym na białych kłach amarantowym językiem, do świeżego liścia purpurowego jakiego kwiatu podobnym. Szedł zwolna, z rodzajem wspaniałomyślnej grzeczności nikogo nie potrącając, lecz gdy mu poczynali umyślnie wadzić uliczni chłopcy, oglądał się raz na pana swego

i w temże samem oka mgnieniu, jak tknięta sprężyna doskonała, z miejsca przeskakiwał całą ciżbę i szedł dalej powoli, gdy za nim chłonący od strachu swawolnicy z bruku się podnosili, jasno na razie nie pojmując, co się stało?... Podobnież i w kawiarni, kilka stołów szkłem zastawionych przeskakiwał, nic nie potrąciwszy, a w też same naturalne i powolne wracając ruchy, żadnego poklasku nie oczekiwał, jakby mniemając, iż każdy z siedzących tam gości potrafiłby toż samo zrobić.

To też cenną była *u wszystkich* śliczna charcica! Gdy mówi się *u wszystkich*, znaczy, u pewnej grupy i u dwóch chórów (greckich), u chóru dopowiadającego swoje słowa i u gestykulującego.

Grupa rudobrodego rzeźbiarza stanowiła zarazem jeden z czterech kątów bilardu, a składała się pogłównie: z Redaktora *Gazety-beletrystyczno-politycznej*, z pięknego śpiewaka, który dawał lekcye cudzoziemcom, z utalentowanego malarza i z młodzieńca-*turysty*, wysłanego przez rodziców, jak sam się wyrażał, *„dla ukształcenia się w zapatrywaniu na rzeczy."* Ten zaś był z *nieodstępnym* (w tym sensie) guwernerem, iż się zwykle obydwaj szukali po mieście, wszędzie o siebie wzajem zapytując i dopiero się w *Café-Greco* spotykali wieczorem.

Wiedzieć to wszystko i szczegóły bardziej osobiste można było prawie mimowolnie. Skutkiem albowiem pewnego rodzaju przezroczystości moralnego powietrza społecznego i skutkiem postaciowania się charakterów (dwóch rzeczy, północnym miastom i ludziom mało znanych), zdarzało się nawet osobie obcej, która aby raz do kawiarni zaszła, rozeznawać nietylko kto? w jakiej gałęzi prac i zachodów? bierze udział, ale nawet i czem w obecności się zaprząta?

Figura taka, jak redaktor, znaną być wprawdzie mogła samym skutkiem swojego publicznego atrybutu,

dopomagało jednak do rozeznania osoby ruchliwe jej spojrzenie, chętne wyrażanie i udzielanie się łatwym i grzecznym gestem, mniej chętne słowem, tudzież płowy parasol, coś do kardynalskiego podobny — i nareszcie, skoro już zaczął mówić, poznawało się po stylu człowieka pióra. Jeżeli kto uwagę kiedy zwrócił na rodzaj świdrów szklanych, obracanych przez ukryty mechanizm i do złudzenia naśladujących bieg źródlanej wody; jeżeli widział takowe szkiełka obracane w paszczach lwów gipsowych, obstawionych kwiatami i zielonością; i jeżeli wspomniał, jak liść żaden żadnego kwiatu nieczuje tam zbliżenia kropli wody ani jej chłodu i życia; tedy, ma on zupełne wyobrażenie o redaktora stylu i jego elokwencyi. Czem zaś jest on zajętym w obecności?... Jużci że stosunkiem jakimś wyjątkowym, bo i staranniej niż zazwyczaj ubrany i o nie regularnych godzinach do kawiarni na ulotne chwilki wstępuje.

Śpiewak także, z płaszczykiem swym na ręku lub na jednym ramieniu, z pobrzmiewającą coś wargą pod zbyt układnym wąsem, i ze zwitkiem nut w ręku, nic nieczytelnego w swojej postaci nie przedstawiał.

Mniej wyraźnym typem był guwerner (poszukiwany przez młodzieńca jemu poruczonego), w mówieniu szybki, ale nie w wymawianiu, seplunił nieco i parskał śliną ilekroć w zapale się poczuwał. Byłby zaś o wiele przystępniejszym i jaśniejszym, gdyby nie przymiotnik „*scientyficzny*“, nazbyt często przezeń używany. Niepłocho jednakże bierał się do pióra, ktoś albowiem, nienajdyskretniejszy, lecz bystrowzroki, rok temu u niego przyjmowany, gdy z rozsypanego na arkuszu białym tytuniu wił sobie cygaretko, wyczytał był dwa pierwsze słowa tytułu i rękopisu: „*Rzut-oka*...“ a jeszcze i wczora tamże i w podobnejże okoliczności niewięcej zdarzyło się mu wyczytać. Wiedziano jednakże, iż pracuje nad „*Rzutem*

oka", ale co u człowieka zewsząd *scientyficznego* dziwniej się przedstawiało, to, że gdy nietrafnie pchnięta przezeń bilardowa kula wykolejała się z widoków jego, natychmiast całą wagę ciała swego przechylając w stronę kierunku życzonego, gestem nogi, pięty i wzrokiem dopomagał, aby inaczej gonił ciężar... co jest przecie równie bezskuteczne, jak *nie-scientyficzne*, będąc przeciw prawom grawitacyi.

O rudobrodym w czarnych aksamitach rzeźbiarzu, który na teraz nieruchomie, jak stary wenecki portret, siaduje i udziału nie bierze w bilardowych zachodach i zapasach, wie się, iż ten dosyć ma całodziennego ruchu w ciągu wielkiej pracy swojej i z wielkim podjętej zapałem, aby jeszcze wieczorem rozrywkowych trudów poszukiwał. Zaś, ażeby mieć naprzód pojęcie o uskutecznianem jakiego artysty dziele, nie potrzeba na to (w przezacnym Rzymie) być do poufnego temuż artyście koła zbliżonym. *Plac Hiszpański* jest właśnie o niewiele kroków od *Café-Greco* — szerokie schody, we dwa skrzydła rozwierające się i podrywające na *monte pincio*, jak gdyby z bruku ogromny jakiś, bajeczny ptak chciał wzlecieć i oczekuje tylko, aż się na piórach jego ludzie ugrupują... Plac ten i te schody stanowią *forum* modelów, to odpoczywających, to oczekujących na zajęcie; wystarcza zbliżyć się do tych grup skulpturalnych, malowniczych i dowcipnych, ażeby o każdego artysty doraźnem zatrudnieniu wszystko usłyszeć. Tam się też wiedziało bardzo dobrze, że kolosalną grupę przedsięwziął rzeźbiarz, że dzieło to ma odbrzmiewać wewnętrznym ludzkości tragedyom, że Eurypidesowego nastroju jest kompozycyą, przedstawiającą dwie postacie Chrześcian rzuconych lwom za czasu Domicyana, a szczegóły te tak już w pogadankach upowszechnionemi spotykałeś, iż, bywało, zażyły kolega nie po imieniu na rzeźbiarza wołał, lecz *„ad leo-*

nes!"... Przyjmował to i skulptor w sposób właściwy, podrywając nieco jedne skrzydło swojego szerokiego kapelusza i ramieniem prawem dodatkując znaczący gest, jakby rzeźbiarskiej gliny garść dorzucał, tak, że zatrzymywała się charcica, pozierając mu bystro w oczy, aby zgadnąć, co życzy? Pewnym rodzajem *symbolu* magicznego stawało się dzieło artysty, zaledwo mające wstąpić na świat, zaledwo rodzące się... Dziennik czytając w kawiarni, donoszący o tragicznem jakiem zajściu w polityce, obracano się nieraz ku rzeźbiarzowi, mówiąc ze stosownym przyciskiem: „*ad leones!*" — na co on z konspiratorską dwuznacznością przez zmrużanie lewego oka odpowiadał. I jednakowoż, mimo pozornej takiego to obyczaju krotochwili, piękne jest (a północnym chłodnym nieznane stronom), ile się i jak się uprzedzająco przyczynia dobra wola publiczności do uzupełnienia i wprowadzenia w życie dzieła sztuki. Lubo szczęśliwym ten tylko artysta, który trzeźwo wysłuchiwać, zrozumieć i przyjąć umiał tyle gościnne dla pracy swojej powitanie!

Że, od mnóstwa lat przyjętym jest obyczajem posługiwać się ustalonym kawiarni Greckiej adresem i tam odbierać listy swoje, przeto ówdzie o rannej zaszedłszy godzinie, nieco zadziwiony byłem, widząc już rzeźbiarza i redaktora. Minąć ich nawet chciałem, domniemywając, iż są wyjątkowym zaprzątnięci interesem, gdy wysłana po mnie charcica zmusiła mię, ażebym do pana jej i przyjaciela jego zbliżył się. Zbliżony zaś, skoro odebrałem ustne zaproszenie, abym na dzień i godzinę naznaczoną znalazł się w pracowni mistrza, dla jej nawiedzenia, rzekłem: „Nie jestem tak bardzo profanem, ażebym „mniemał, iż pokazać nam zechcecie dzieło już ukoń„czone!... lecz myślę, iż dojść mogło do jednego „z peryodów interesujących, kiedy artysta ogół myśli „uwidomił i ustatecznił — lubo, nie bez przyczyny, utrzy-

„mują biegli, że sztukmistrz do końca zachować winien „możność zupełnego swej kompozycyi odmienienia, i że „taka, właśnie i dla tego, ruch, obrót i życie miewa...“

Redaktor z wielką szybkością treść tę popierać i rozwijać zaczął, a lubo notując coś ołówkiem, jednak bacznie się w rozmowie utrzymywał; potem, dla grzeczności, zapytał na raz z rzeźbiarzem, czy nie zechciałbym z mej strony im powiedzieć, nad czem pracuję?...

„Nie zbyt wielki (rzekłem) mój udział w rzeczach „sztuki nie pozwala mi, ażebym mógł czem bardzo popisy„wać się. Za szczerość jednakże szczerością zamieniając, „wyznam, iż niemało w tych czasach bywam zajęty „wykonaniem dwóch głów... Skoro się mówi *dwóch* „*głów*, znaczy zarazem i tego, co się im dla ich zupełności „i ruchu należy, lubo cel i główny interes kompozycyi „we dwóch tylko głowach zawiera się. Zadaniem albowiem „jest: ażeby jedna podnosiła oczy ku niebu, druga zaś „podnosiła oczy patrząc czy to na plafon sufitu, czy też „na hak, gdzie okrągły świecznik umieszcza się. Tej „i tamtej oczy zwrócone są w górę — — — nie taję, „iż mię praca ta dość umęczyła nieraz!“

Rzeźbiarz podparł całe czoło silną swą ręką, tak, iż charcica, u nóg leżąca pierwej, podniosła się i poczęła wejrzeń swego pana poszukiwać — Redaktor robił ołówkiem kreski na marmurze stołu — — ja, uprzejmie pożegnawszy obu, wyszedłem, zaledwo na jedną chwilkę we drzwiach wstrzymany przez młodego turystę, który o guwernera swego zapytywał. Niebardzo wiele jednak uczyniwszy kroków, spotkałem na schodach hiszpańskich guwernera i oświecony zostałem, że zaproszenie do pracowni rzeźbiarza bynajmniej mnie jako fawor wyłączny nie spotkało — że wszyscy znajomi i znani tak samo oczekiwanymi będą; idzie albowiem o ustatecznienie nieodmienne moralnego sensu grupy i atrybutów figurom

właściwych. Nadto, że redaktor swojemi wpływami tej pięknej dopiął rzeczy, iż bogaty korespondent wielkiego amerykańskiego dziennika skłania się ku zamówieniu u rzeźbiarza grupy wiadomej, chcąc ją zakupić i do Ameryki przesłać, jeżeli tak kompozycya jak egzekucya odpowiedzą życzeniom kupującego i jego wyobraźni.

Dzień nawiedzenia rzeźbiarskiej pracowni skoro w swej nadszedł pełni, znalazłem się wśród znanych osób i wśród zajmującego widoku. Od czterech kątów wielkiej sali wprawdzie nieład i nieporuszany kurz dawały ogółowi ramy fantastyczne — lecz kurz, na doskonałe gipsy upadły, podnosi tylko i bardziej uczytelnia harmonię umiejętnej plastyki. Nieład zaś, który sam oku się tłómaczy, nietyle nieporządkiem ile raczej dramą zwać się godzi.

W pośrodku światła miejscowego i pracowni stała i ciążyła wielka masa wilgotnej gliny rzeźbiarskiej, stanowiąca zaczętą grupę, którą z resztki mokrych płócien właśnie artysta odkrywał... Towarzyszyły tej robocie nieskąpo zaliczane naprzód: *bravo! bravo!*... ilekroć odjęta szmata dawała oglądać to ramię trafnie w glinie naznaczone, to biodra, to główne fałdy szat. Męzka postać obiecywała bardzo piękny tors, dziewicza, dramatyczny obrót figury — obie postacie egzaltowały znaki krzyża na sposób *pro Christo* nakreślonego; lew, który zapewne miał się osłupiony słaniać u nóg tych figur, zaledwo był bryłą, podobną do jakiego sprzętu, co tem więcej nadawało pozoru wykończenia częściom grupy dalej posuniętym.

„*Ad leones! ad leones!*“ wołał młody turysta.

A poskoczywszy do najciemniejszego kąta pracowni u drzwi samych, z po za wielkiej figury Dyonizyackiej wyprowadził małego chłopca z serwetą na ramieniu i z koszem wina, co wraz użytem gdy zostało, zwiększyło przyklaski. Sam rzeźbiarz nabrał tonu, nieco, jak należało

było, wyzywającego świat do walki... Guwerner, pomiędzy biusty na ziemi stojącemi wskazując mu najbliższy, rzecze: „Oto, zda mi się, Domicyan!..." „Pan się nie mylisz," rzeźbiarz na to, i kopnięciem nogi odbił nos Cezarowi, aż charcica, która leżała była pierwej jak gryf odlany z bronzu, podniosła się, powąchała odłamy gipsu rozbitego i powróciła ułożyć się w też same monumentalne formy i spokojność. Piękny śpiewak, zarzuciwszy udatnie płaszczyk, począł swoim wybitnym barytonem nucić z razu, a potem na całe tchnienie śpiewać którąś pieśń heroiczną, obfitemi okraszając ją:

„— — *taramta tata rata...*"

Ku czemu młody turysta i malarz niemniej bohatersko wtórowali jeszcze:

„*ramta tarata tata!...*"

Nastąpiło po tych uniesieniach psychologiczno-konieczne uciszenie, zaledwo oderwaną wzmianką malarza przetrącone, który rzekł: — „I mnie, w tych czasach „zdarzyło się coś zrobić, z czego mogę być zadowolonym, „ale będę się musiał u oczytanych ludzi zapytać, co to jest? „co to z tego będzie??... bo to może być *Kleopatra...* „a może *Wniebowzięcie.*"

Uciszenie, skoro do swojej pełni doszło, i gdy wszyscy się spokojnie na siedzeniach swoich znaleźli, Redaktor w sposób następujący, do rzeźbiarza pierwszorzędnie, lecz zarazem i do gości przemówił:

„Tu nikt z nas myśli innej nie ma, albo, zastanowiwszy „się nieco, nie będzie miał innej, tylko, ażeby dzieło ge„nialnego naszego przyjaciela i Mistrza przyszłość zapew„nioną sobie znalazło. Czyli, że końcem końców wydatki „i nakłady są nietylko niemałe, lecz będą się z postępem „zwiększały..."

Tu wszyscy, na rozmaity sposób głową wzruszywszy potwierdzalnie, słuchali dalszego ciągu.

„Otóż, trafiającym się fortunnie Mecenasem w tej „sprawie byćby mógł lub nieledwie że jest bogaty kore„spondent wielkiego amerykańskiego monitora. — Osoba ta „jaką wyznaje religię (a których w Stanach Zjednoczonych „jest kilkadziesiąt), tego gdy nie wiemy, byłoby roztropnie, „może nawet byłoby i estetycznie odjąć *krzyże* z rąk „figur? — Na cóż koniecznie ten znak martwy, którego „uczucie w całości rzeczy i tak jest rozlanem? a dla któ„rego obecności nabywca (dajmy na to *Mojżeszowego „wyznania)* nie będzie mógł w parku swoim przed domem „grupy postawić, i od kupna się cofnie...“

Rzeźbiarz uwagę zrobił, iż te krzyże załamują stosownie bieg głównych linij, lecz, bukszpanowem szerokiem dłutem bawiąc się, wejrzał na wszystkich pilnie, jakby ogólnego uczucia poszukiwał, a że stałem najbliżej, do mnie z pytającym gestem się obrócił.

„Co do mnie,“ rzekłem, „myślę o tem, iż *ujęcie rę„ką krzyża* jest ze znanych dotąd najtrudniejszem choreo„graficznem i plastycznem zadaniem — PALEC DOTYKA „SYMBOLU — to nie może być ani zręczne i wykwintne, „ani niezgrabne — ani grożące, ani bez znaczenia — ani „łatwe, ani przesadne — ani proste, ani przemyślne... ani „piękne, ani niepiękne!... Nic trudniejszego nie znam! — „I artysta, który to zrobi, potrafi wszelką kompozycyę „zrobić...“

Tak rzekłem, mało baczny, iż ta uwaga moja otrzymała właśnie niezamierzany przeze mnie skutek, albowiem na raz Redaktor i malarz zawołali: — „To więc jedna wielka trudność mniej!...“ gdy rzeźbiarz, półgłosem toż samo powtórzywszy, wbiegł na schodki wyrównywające grupie a przy niej utwierdzone, i dwoma zacięciami bukszpanowego narzędzia odjął krzyż z ujęcia figury męzkiej — po czem nad ręką żeńskiej figury zatrzymał cios, ku czemu zawołał guwerner: „Jeżeli dla załamania linii należy

„coś wetknąć w ręce kobiety, to tu prawie scientyficznie go-„dziłoby się nadmienić, iż do Semitów, a przez onych do „Chrześcian, przyszedł był obyczaj jeszcze Chaldejski i Egip-„ski, który zalecał dawanie w rękę *klucza* osobom ważne „rzeczy uczytelniającym, lub zwiastującym (czego zasię ślady „są i w Ewangeliach [klucze św. Piotra] i w Apokalipsie).“

Rzeźbiarz, rękę na czas tej mowy zatrzymaną opuścił z narzędziem na krzyż drugi i kilkoma biegłemi ruchy naznaczył ogólne kształty klucza. Działo się to jakoś magicznie, przez ogólny nakłon pojęć i uczuć, a zupełny brak rozumowanej protestacyi.

Jednakowoż, gdy rzeźbiarz z ostatniego zstępował schodka, zawoła nagle, do Redaktora zbliżając się:

„Ależ to tym sposobem i z tychże względów cała „scena Chrześciańska musiałaby odmienić się!!??...“

Redaktor, biorąc ku sobie jakby na świadki guwernera, z uśmiechem i niecierpliwością rzecze:

„Czy ta grupa jest dziełem historycznem?... czy za „Domicyana nie zaś za Nerona ta scena dzieje się? czy „to są portrety męczennika X i męczennicy X?... jużci że „nie! — toć nie idzie o osobistości, lecz o dramę.“

Ku czemu guwerner doda:

„Jeden scientyficzniejszy *rzut oka* zdolny jest wszystko „wytłómaczyć — to mogą być wcale nie Chrześcianie „rzuceni lwom — to może przedstawiać właśnie że walkę, „właśnie że poświęcenie, właśnie że zasługę! Właśnie że „to wszystko, czego artysta tak wdzięcznie w tej pracy „poszukiwał, co uprawia, i na co publiczność oczekuje.“

Zapluty nieco mówca otarł usta, gdy rzeźbiarz ścisnął ręce obu. Atoli śpiewak, młody turysta, i malarz, zwyczaj mając unikania wszelkich dyskusyj (jako rzeczy próżno głowę kłopoczących), cofnęli się z pracowni cicho i grzecznie.

Charcica, która wychodzących ze zwykłym jej i miejscu odprowadzała ceremoniałem, dała się nagle słyszeć w ko-

rytarzu srebrnym dźwiękiem szczekania... Rzeźbiarz rzucił znak Redaktorowi i nam, że odczytuje z głosu psa, o co idzie? A wtem otworzyły się drzwi i wszedł jegomość miernego wzrostu, w niskim kapeluszu szarym i w szarym ubiorze bardzo świeżym, w białej arcystarannej chustce i kamizelce, z pod której gruby złoty łańcuch rzucał na brzuch kluczyki i pieczątki z drogich kamieni. Był to Amerykanin, korespondent wielkiego *monitora* Stanów Zjednoczonych.

Pozdrowił Redaktora po koleżeńsku, zamienił z rzeźbiarzem ukłony i, komplementu gest względem nas wypełniwszy, prosto do grupy się zbliżył. Chwilkę patrzył szarem i głębokiem okiem, odgarniając na tył głowy kapelusz z czoła i obejmując i gładząc rudawą brodę, która, przy ogolonych wąsach tem bujniejszą się wydawała.

„Życzę mieć szczegółowe wytłomaczenie figur“ — rzekł do Redaktora i rzeźbiarza, który na raz pół krokiem się w tył cofnął, ażeby pierwszego głosu nie zabierać.

„Jest to... jako się nadmieniło było...“ rzekł Redaktor, „jest to patetyczna scena z tragedyi życia człowieczego... „mężczyzna wyobraża tę energię czynu, która pracę po„czyna... kobieta swój udział w niej zaleca...“

„I ona,“ Amerykanin przerwie, „zdaje się, że klucz „trzyma w ręku, gdy niżej widzę“ (i tu wskazał bryłę gliny na lwa przeznaczoną) „widzę *kufer*... ta więc kobieta „wyobraża Oszczędność?... Mężczyzny energia zapowiada „być bardzo piękną i stosowną! — — Mnie się wydaje, że „przy kufrze należałoby dać widzieć narzędzia rolnicze „i rękodzielne... Tak, jak jest, bryła niższa więcej wygląda „na jakie śpiące zwierzę, niż na szkatułę!...“

Rzeźbiarz, zbliżywszy się do grupy, naznaczył kształt sierpa i dwa boki kufra, gdy amerykanin, raz jeszcze obszedłszy dokoła całość rzeczy, zawoła:

„Jaśniej okazanej i piękniejszej myśli dawno nie „napotkałem... Grupa wyobraża KAPITALIZACYĘ „w sposób i wyrozumowany i przystępny... Na dzień „obecny, stosownie do stopnia, do którego posuniętą jest „praca, mniemam, że będzie wystarczającem, gdy kolega „Redaktor zechce na mojej karcie nakreślić...“ tu, oddał swą kartę Redaktorowi, zabierającemu się skrzętnie do pisania, i dalej mówił co następuje:

> „*Izaak, Edgar Midlebank-junior,* u dostojnego „Rzeźbiarza *** zamawia grupę przedstawiającą „KAPITALIZACYĘ, a która ma być z marmuru „białego, bez plamy i skazy, wykonaną — i nie „o wiele przechodzić ceną swoją 15,000 dolarów.“

„Czy tak jest godziwem?“ zapytał Amerykanin, ku czemu rzeźbiarz swoją kartę Redaktorowi nasunął, a ten skreślił:

> „Rzeźbiarz *** podejmuje się wykonać grupę „(KAPITALIZACYĘ) z marmuru białego, o ile „można bez plamy i skazy — nie przechodzącą „o wiele ceną swoją 75,000 lirów, i na rozkaz do- „stojnego Izaaka, Edgara Midlebank (junior) etc. etc.“

Po czem, Amerykanin, pisma oba przez szkiełko uważywszy, życzył położyć daty pominięte, a gdy się to spełniło,zamienił karty mówiąc:

„Jest wszystko, jak należy!... bardzo winszuję Panu „takiego pięknego talentu —“ (tu, dodał uścisk ręki) —„ i ta- „kiej pięknej suki!... Cóż za prześliczne zwierzę! cóż „za rasa!... Z pewnością można rzec, że takiej suki, „takiegoż rodzaju niema drugiej w całem mieście!...“ a to gdy mówił, skłonił się i począł mieć się ku drzwiom.

Co rychlej zatem rzeźbiarz ręką jedną wprawnie porzucił płótna mokre na „*Kapitalizacyę*“, drugą zaś kapelusz uchwyciwszy śpieszył za Redaktorem i guwernerem, komplimentującymi tymczasem odchodzącego gościa, któ-

rego czekał skromny powóz, by niebawem gdzieindziej go unieść.

Serce miałem obrzmiałe i ciężkie, ducha czułem poniżonego... powiew jakiś, czy jęk, Hiobowym nastrojem szemrał mi w ucho:

„Tak to więc wszystko, na tym, słusznie przeklętym „świecie, wszystko, co się poczyna z dziewiczego na- „tchnienia myśli, musi tu być sprzedanem za 6 dolarów!... „*(TRZYDZIEŚCI SREBRNIKÓW)...*"

I jakkolwiek obiecywałem sobie nic wcale nie powiedzieć — nic nie dodać, nic nie powtórzyć, jednakowoż, przenieść na sobie nie mogąc całego ciężaru moralnego, rzekłem do Redaktora:

„Jak to jednak daleko od Wyznawców, i *dla wyznania* „lwom rzuconych, do *Kapitalizacyi!...*"

On zaś, giętkie okulary poprawiając, począł coś parasola ostrzem kreślić na bruku i, nie podnosząc oczu, odrzekł:
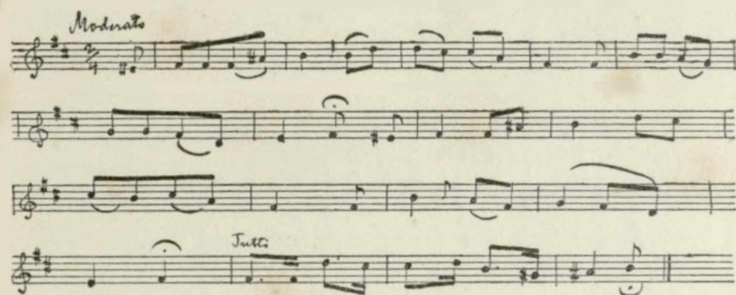
„Redakcya nie jest *telefonem*. My podobnież przecie „czynimy co dzień, z każdą nieledwie myślą i z każdem „uczuciem... *REDAKCYA JEST REDUKCYĄ...*"

„*To, tak jak sumienie jest sumieniem*," odpowiedziałem.



Cypryan Norwid.

Z poezyi ludowej duńsko-norweskiej.



TOR Z HAVSGAARD. *)

Był Tor z Havsgaard:
Jechał zieloną smugą;
Zgubił swój złoty młot,
Szukał go chwilę długą.

TOR HAMOWAŁ RUMAKA WĘDZIDŁEM.

Był Tor z Havsgaard.
Do brata rzekł w te słowa:
— Ruszaj mi do Nörrefjaeld,
Wyświeć, kto młot mój chowa. —

Był Loki Przebiegły:
Do bark przyprawił pierze,

**) TOR AF HAVSGAARD. Grundtvig, Danmarks gamle Folkeviser, Kjöbenhavn 1890. nr. 1.*

Przeleciał przez słony nurt
Na Nörrefiaeldu wybrzeże.

Śród podwórców zamkowych
Skrzydła z ramion poskładał
I szedł, gdzie siedział Tossegreve,
Który doń tak zagadał:

— Witaj Loki maleńki,
Przybywający w gości:
Jak się miewa Huen z Havsgaard
I wszystkie jego włości? —

— Dobrze się ma Huen z Havsgaard
I dobrze włości jego,
Lecz Tor postradał złoty młot,
Przybywam tu po niego. —

— Za złoto, ni czesne słowo,
Tor młota nie dostanie:
Pięćdziesiąt sążni w ziemi
Głębokie ma schowanie.

Tor młota nie odzyszcze,
Niech straci tę nadzieję,
Chyba że z wianem całem
Odda mi dziewkę Freję. —

Był Loki Przebiegły,
Do bark przyprawił pierze,
Przeleciał przez słony nurt
Na przeciwne wybrzeże.

Śród podwórców zamkowych
Skrzydła z ramion poskładał,
Szedł prosto na pokoje,
Do brata tak powiadał:

— Oznajmia Tossegreve,
Że wróci tobie stratę,
Gdy mu dasz dziewkę Freję,
A z nią wiano bogate. —

Słyszała dziewka Freja,
Złość okrutna ją zdjęła:
Z pod każdego paznogcia
Krew na ziemię trysnęła.

Wykrzyknie dumna dziewka,
Porwawszy się ze stołka:
— Nie, nie wezmę za męża
Potwornego pachołka! —

— Słuchajno, siostro moja,
Krewka jesteś bez miary:
Jeżeli znajdę radę,
Jakie złożysz mi dary?

Weźmiemy brata Tora,
Włos szorstki mu przygładzim,
Jak hożą pannę młodą
Do Nörrefjaeld zaprowadzim. —

Był Tor z Havsgaard:
Brał suknie panny młodej;
Loki poszedł za drużbę
Na te weselne gody.

W strojne zamku dziedzińce
Pannę młodą wiódł potem,
Na weselne zabawy
Hojnie sypano złotem.

Prowadził pannę młodą,
Na ławie siedzieć prosił;

Wyszedł do niej Tossegreve,
Bogate dary znosił.

Potem zjadła krzyż wołu,
Dziczych udźców trzydzieście;
Stem chlebów je przegryzła
I pić zachciała wreszcie.

Krzyż wołu i trzydzieście
Dziczych udźców pożarła;
Tuzin beczek oliwy
Wlała na to do garła.

Podszedł ku niej pan młody
I frasownie powiada:
— Co za oblubienica,
Zanadto mię objada. —

Ozwał się mały Loki,
A mówiąc śmiał się skrycie:
— Osiem dni jeść jej nie daj,
Spokornieje jak dziécię. —

Usłyszał Tossegreve,
Rozśmiały mu się lice:
— Nieść tu zaraz złoty młot,
Przed mą oblubienicę. —

Ośm olbrzymów go niosło
Za rękojeść kowaną;
Pannie młodej, to wiedzcie,
Kładli go na kolano.

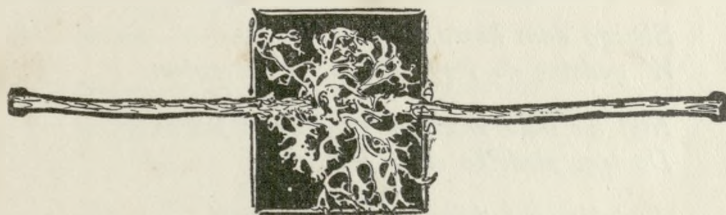
Hej, byłaż panna młoda:
Za rękojeść młot chwyci;
Szczerą prawdę powiadam,
Śmignie nim nakształt wici.

Jednym ciosem zabiła
Potwór duży i brzydki;
Chroniły się ucieczką
Potworków niedobitki.

Był Tor z Havsgaard:
Sprawił im gody młotem;
Pięćdziesiąt pięć olbrzymów
Leżało wkrąg pokotem.

Śmiał się Loki żartowniś,
Powiadając te słowa:
— Wrócić możem do domu,
Panna młoda już wdowa. —

TOR HAMOWAŁ RUMAKA WĘDZIDŁEM.



*KLĄTWA ELFICY *).*

Wyjechał pan Oluf o świcie z domu
I jechał dzień cały do słońca skłonu.

TAK LEKKO PO GAJU ZAWODZĄ TAN.

I wjechał pan Oluf pomiędzy skały,
Tam Elfy i karły w tańcu pląsały.

Tańczyła z karłami rzesza Elfowa,
Pląsała tam sama Elfów królowa.

**) ELVESKUD. Grundtvig, D. g. F. 47.*

Wystąpiła panna z tanecznic grona,
Olufa za szyję wzięła rękoma.

— O panie Olufie, nie taj przede mną,
Powiedz mi, gdzie jedziesz w noc taką ciemną? —

— Ku wyspie ja jadę, w nadmorskie strony,
Na rozmowę jadę do narzeczonej. —

A panna ku niemu ściągnęła ramię:
— Wprzód potańcuj ze mną, Olufie panie! —

— Tańcować nie będę, ni się ośmielę,
Jutro mam odprawiać swoje wesele. —

— Ej, panie Olufie, kochaj mnie, proszę,
Ja tobie bogate dary przyniosę.

Siwego dam konia, co pędzi lòtem,
W godzinę do Rzymu tam i z powrotem.

Nikt nie miał równego przedtem i potem,
Do tego siodełko okute złotem.

Ja tobie wyszukam tak mocnej zbroi,
Że najtęższym ciosom mieczów dostoi.

Ja ci w podarunku miecz taki złożę,
Jakiemu równego niema na dworze.

Z takiego metalu są u mnie sprzęty,
Jak twego łańcucha jarzące skręty.

Złotem brukowane most i dziedzieńce,
Świecą jak manele na twojej ręce. —

— Zachowaj ty swoje złoto czerwone,
A ja witać jadę swą przyszłą żonę. —

— Skoro tedy zemną nie chcesz iść w tany,
Bodajbyś niemocą był opętany!

Co wolisz: czy umrzeć dzisiaj wieczorem,
Czy lat siedem leżeć słabym i chorym? —

— Wolę trupem leżeć dzisiejszej doby,
Niż zim siedem dźwigać ciężar choroby. —

Schylił się pan Oluf, schylił na siodle,
Obok ognia Elfów przejeżdżał wpodle!

Trzasnęła go w piersi między ramiona,
Tak silnie, że runął na ziemię z konia.

Trzasnęła go w piersi z tak wielką siłą,
Że mu jądro serca w głos zadzwoniło.

— Jedź, panie Olufie, jechać ci pora,
Wiedz, że nie dożyjesz jutro wieczora. —

Pomogła mu sama na koń czerwony:
— Jedź, panie Olufie, do narzeczonej! —

Pan Oluf [illegible] dźwignął, zatoczył konia,
Odważnie do [illegible]mu wracał przez błonia.

A kiedy dojeżdżał [illegible] bramę zamkową,
Obaczył mateczkę z siwiutką głową.

— Witaj-że mi, synku, dziecko kochane,
Co ci to pobladło liczko rumiane?

Czemu ci zbielały rumiane lica,
I czemu na siodle taka krwawica? —

— Koń mi się poszpotnął na leśnej drodze
I o pień olchowy zranił się srodze. —

— Zwodzisz mnie, Olufie, synku kochany,
Ty widziałeś kobiet Elfowych tany. —

— Tak, nie bez przyczyny mam lica blade:
Widziałem tańczącą Elfic gromadę...

Moja matko droga, uściel mi łoże,
Prowadź, droga siostro, niech się położę.

Ojcze, weź konika, proszę-ż ja ciebie,
Bracie, śpiesz po księdza, niech mię pogrzebie.

Ja głowę na białe poduszki schylę
I tak będę leżał po skonu chwilę. —

— Wszakże śmierć daleko; pociesz się, dziecię!
Niejeden choruje, nie kona przecie. —

— Co się ma dokonać, niech się dokona,
Ja już żony lubej nie ujrzę doma. —

— Spójrz, panie Olufie, tu-m jest nad wodą:
Komuż pozostawisz tę pannę młodą? —

— Konika siwego ojcu zostawię,
By na dwór królewski nosił go żwawie.

Kolasę zabierze matka rodzona,
Która mię nosiła u swego łona.

Siostrzyczce dam wszystko złoto czerwone,
Najmłodszemu bratu dam narzeczonę.

Wstańcie, bracia moi, konie siodłajcie
I do panny młodej w lot pojeżdżajcie.

Posłyszcie-ż mnie wszyscy, możni szwagrowie,
Dbajcie wy o lubej mej pani zdrowie. —

Pan Oluf odwrócił głowę ku ścienie,
O północy wydał ostatnie tchnienie.

A nazajutrz rano, tym grodzkim szlakiem,
Jechała Krystyna z drużek orszakiem.

Gdy wjeżdżali w miasto, w główną ulicę,
Zajękły dzwonami wszystkie dzwonnice.

Rzekła panna młoda, jadący drogą,
A serce jej biło ogromną trwogą:

— Czemu dzwony dzwonią od każdej wieży?
Czy śmiertelnie chory człowiek gdzie leży? —

— Panuje obyczaj w tym naszym kraju,
Że tak narzeczone swoje witają.

Panuje obyczaj z tej strony wody,
Że we dzwony biją dla panny młodej. —

A kiedy wjechali w dworca podwórze,
Paliło się światło w oknach na górze,

— O pomóż mi, Chryste, w nieszczęsną porę!
Widzę, na dniu białym tam światło gore.

O dopomóż, Chryste, mnie nieszczęśliwej,
Lękam się, pan Oluf może nieżywy! —

Kiedy pannę młodą wiedli do sieni,
Zapłakały płaczki łzami rzewnemi.

Kiedy panna młoda szła do świetlice,
Serce miała ciężkie, choć w różach lice.

I sadzali pannę młodą na krześle,
Wchodzili rycerze, dary jej nieśli.

Prosiły niewiasty sieść na kobiercu,
Ona tak mówiła, ze smutkiem w sercu:

— Widzę tutaj kwiaty i ślubne stroje,
Gdzież ten, co mi wiarę ślubował swoję? —

Rzekła Olufowa matka rodzona:
— Wyjechał na pole ujeżdżać konia.

Zabrał z sobą charty i swe sokolę,
Pan Oluf wyjechał na łowy w pole. —

— Bardziej-że sokoły, bardziej psy lubi,
Niżli narzeczoną, którą zaślubi?

I woli-ż on jechać z pachołkiem w pole,
Niżli ze swą lubą siedzieć przy stole? —

A kiedy zagasły wieczorne zorze,
Poszła panna młoda kłaść się na łoże.

I pozapalano weselne świéce,
Wiedli pannę młodą aż do łożnice.

Wiedli pannę młodą na pościel białą,
Wtem pacholę małe do niej wbieżało.

— Panienko, ja prawdę tobie odkryję:
Pan Oluf na marach, pan mój nie żyje.

Już do trumny pana mego złożono,
Ty młodszego brata masz zostać żoną. —

— Jeszcze dzisiaj wolę zejść z tego świata,
Niż Olufowego zaślubić brata.

Niech się o tem dowie młody i stary:
Za panem Olufem pójdę na mary. —

— Na cóż taić? — rzekła matka jedyna —
W górnej sali leży trup mego syna. —

Ona wszystkie płaczki do się zebrała
I szła się napatrzeć martwego ciała.

Przystanęła w progu i poszła dalej,
Tam, gdzie stały mary na środku sali.

Podbiegła Krystyna młoda do truny,
Podniosła leżące na niej całuny.

I uniosła w górę krwawej okrywy,
Tam leżał pan Oluf i był nieżywy.

Włożyła mu ręce na pierś skostniałą,
Aż jej serce z bólu zadygotało.

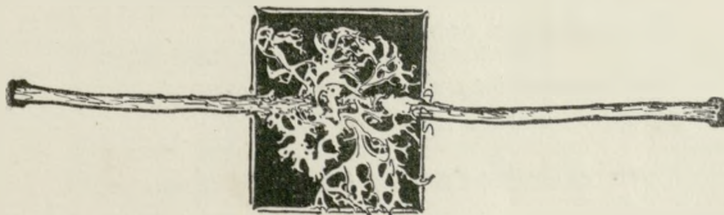
I pocałowała w ust rąbek siny,
Rozpękło jej serce tejże godziny.

Stał się wielki smutek, gdy poszły wieści,
Że tam panna młoda zmarła z boleści.

A z domu Olufa, nazajutrz rano,
Trzy trupy za bramę wyprowadzano:

Jedno panna młoda, drugie pan młody,
Trzecie stara matka, — nieszczęsne gody!

— TAK LEKKO PO GAJU ZAWODZĄ TAN. —



PAN BÖSMER W KRAINIE ELFÓW *).

Pan Bösmer za wodą mieszkał we dworze,
Chował w swoim domu dwie córki hoże.

— A LIPA SIĘ ZIELENI. —

Dwie córki i pięci synów miał młodych,
Śród nich był pan Bösmer, pierwszy z urody.

Elfica mieszkała w głębinie fal,
Długich lat piętnaście trawił ją żal.

Knuła lat piętnaście i wiosnę całą,
By pana Bösmera znęcić się dało.

Późno, o zachodzie, gdy padła rosa,
Włożyła płaszcz modry jak te niebiosa.

Elfica płaszcz modry na barki wzięła
I szła do komnatki pana Bösmera.

Pukała, błagając takiemi słowy:
— Wpuść, panie Bösmerze, wpuść do alkowy! —

— Nikogo-m nie prosił do swej komory,
Nikogo nie puszczę śród nocnej pory. —

Palce miała zwinne chytra istota,
Umiała odmykać furty i wrota.

Palce miała drobne, gibkie i śmigłe,
Odsunęła niemi zamki i rygle.

Na krawędzi łoża siadła u głowy,
Igrając, muskała włos jego płowy.

---

*) HR. BÖSMER I ELVEHJEM. D. g. F. 45.

Igrając, muskała włos jego złoty
I tak doń szeptała głosem pieszczoty:

— Przyrzecz mi, Bösmerze, świętemi słowy
Przybyć do mnie jutro na most elfowy. —

Pan Bösmer się ocknął w samej północy
I mówił, siląc się w sennej niemocy:

— Była-ż tutaj panna cudnego lica,
A taka wysmukła, jak z wosku świeca?

Była-ż tutaj panna twarzy nieznanej,
Czoło miała srebrzyste i włos rozwiany?

A ja-ż jej przysięgłem świętemi słowy,
Przybyć do niej rano na most elfowy?... —

— Śpij, panie Bösmerze, snom nie daj wiary;
Elfica ci stroi obłędne mary. —

— Mym snom, jak Bóg każe, tak niech się dzieje:
Ja dotrzymać muszę, gdy rozednieje. —

Nazajutrz raniutko, o samej zorzy,
Pan Bösmer podróżny strój na się włoży.

Brał krótką koszulę z wełny błękitnej,
Zaczem na wierzch kaftan brał aksamitny.

Więc buty kozłowe wciągał na nogi,
Do podkówek złote wiązał ostrogi.

I wołał pan Bösmer swojej czeladzi:
— Niech giermek siwego konia prowadzi,

Niech mi koń w tej chwili będzie gotowy,
Muszę zaraz jechać na most elfowy. —

Pan Bösmer do boku przypasał bronie,
Mać stara naprożno łamała dłonie.

Pan Bösmer opuszczał dworskie dziedzieńce,
Płakała mateczka, łamała ręce.

A zaledwo wjechał na most elfowy,
Koń mu się o własne potknął podkowy.

Potknął się o własne gwoździe złociste,
Pan Bösmer spadł z siodła w fale pieniste.

Siodło poszło z wodą, rumak utonął,
Pan Bösmer Elficy upadł na łono.

— Witaj mi, Bösmerze, w elfiej krainie!
Już na cię miód czeka sycony w winie. —

— Zachowaj ty swoje wina i miody;
Na taką niedolę zszedłem ja, młody! —

— Powiedz-no prawdziwie, Bösmerze panie:
Gdzie to się rodziłeś, gdzie twe mieszkanie?

Gdzie to się rodziłeś, gdzie żywiesz doma,
I gdzie to przebywa twa narzeczona? —

— W Danii dom rodzinny, mieszkanie moje,
W Danii mi skrojono rycerskie stroje.

W Danii równie stoi dom mojej miłej,
Której będę wierny aż do mogiły. —

Elfica krzyknęła do swoich sług:
— Przynieście tu winem pełny róg!

Przynieście mi tutaj puhar rogowy,
Wrzućcie do puharu kłosek elfowy! —

Wstąpiła służebna na próg komnaty,
Świecił jej się w ręku puhar bogaty.

— Pij, panie Bösmerze, piję twe zdrowie:
Potem, gdzie chcesz żywnie, pojedziesz sobie. —

Zaledwie że usta umoczył w winie,
Świat mu się odmienił w tejże godzinie.

Zapomniał rodzica, rodzonej maci,
I sióstr swych zapomniał, i starszej braci.

— Powiedz-no prawdziwie, Bösmerze panie:
Gdzie to się rodziłeś, gdzie twe mieszkanie?

Gdzie to się rodziłeś, gdzie żywiesz doma,
I gdzie to przebywa twa narzeczona? —

— W krainie elfowej rodzeństwo moje,
Z krainy elfowej te dworskie stroje;

Tu moje mieszkanie, tyś moja miła,
Już nas nie rozłączy, chyba mogiła. —

Elfica pozbyła długiej tęsknicy,
Powiodła Bösmera do swej łożnicy.

Ojciec, matka jego, łzy wylewali,
Bracia i siostrzyczki za nim płakali.

Lecz bardziej kochanka płakała może:
Poszła smutne życie kończyć w klasztorze.

— A LIPA SIĘ ZIELENI. —

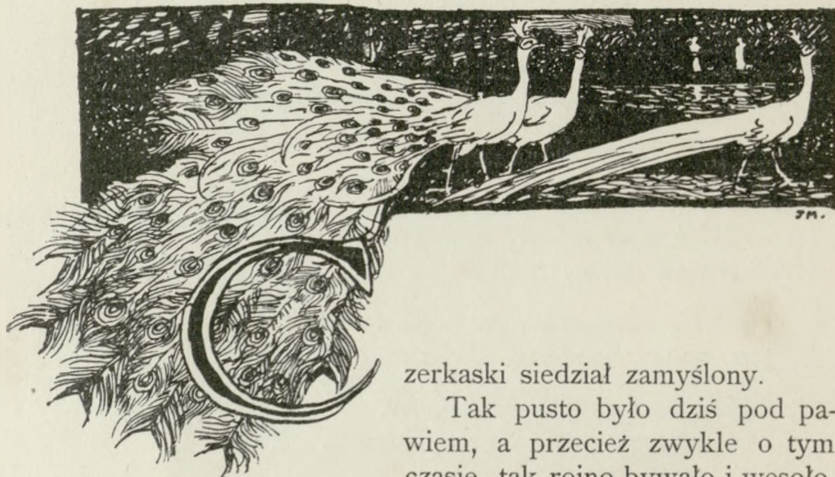


(Dok. nastąp.)

PRZEŁOŻYŁ Edward Porębowicz.

Synowie ziemi.

I. MALARYA.



Czerkaski siedział zamyślony.

Tak pusto było dziś pod pawiem, a przecież zwykle o tym czasie, tak rojno bywało i wesoło.

Właśnie dziś, gdy szukał towarzystwa, gdy po tylotygodniowej samotności zapragnął ujrzeć te twarze, takie mu obce i takie znajome, gdy chciał posłyszeć dźwięk cudzej mowy, gwaru, muzyki...

Wlepił bezmyślnie oczy w drzwi. Na drzwiach wisiał rysunek: paw z podniesioną nogą, pyszny, zuchwały, z roztoczonym ogonem...

„Les paons nonchalants, les paons blancs ont fui...“

Tak, to symbol dla niej. Ona była tym pawiem, strojnym w przepych i bogactwo: pyszna, próżna, zimna — och, jaka zimna...

A przecież niedawno, zaledwie przed dwoma miesiącami siedział tu z nią razem. Z nią razem? He, he — tak, razem, ale ona nie była przy nim. Że też był tak ślepy! niczego nie widział!

„Les paons nonchalants, les paons blancs ont fui...“

No tak! tak Pan Bóg chciał.

Spojrzał na zegarek.

Tak, to dziś premiera jego dramatu... Co nie jest dramatem? Nawet szczęście mydlarza może być dramatem. Bo czyż to nie jest straszny dramat, czuć się szczęśliwym? Ma żonę, kocha ją, ona go kocha — he, he... a tu naraz noga się pośliznęła— komu? no, oczywiście mydlarzowi. Był podpiły, poszedł razem z drugimi, nie wie nawet, jak się to stało... I nagle szczęśliwa para małżeńska znajduje się u lekarza chorób skórnych... Panie doktorze, mówi biedny mydlarz, jestem ostatnim łotrem — ale się stało. O to jedno proszę i błagam pana, nie niszcz naszego szczęścia małżeńskiego, nie wyjaśniaj pan mej żonie natury naszej choroby... Wchodzi ona, ta cnotliwa małżonka, nieświadoma ni grzechu ni złego... Doktór bada. Po długiej, długiej chwili: Łaskawa pani, wniosłaś pani w dom straszne nieszczęście! Ona płacze. Doktór: nie chcę niszczyć waszego szczęśliwego pożycia. Utwierdzę pani męża w mniemaniu, że on temu winien, ale pod jednym warunkiem, że pani nadal nie będziesz go zdradzała...

Ot! i szczęście mydlarza stało się dramatem.

A cóż dopiero szczęście takiego człowieka jak ja! He, he, he.

Zaśmiał się na głos.

Tak, tak, moje szczęście!

Les paons nonchalants...

Och! ten głupi, uporczywy refren!

Moje szczęście, moje szczęście — czyż to było szczęście? Nie! tylko jedna, długa męka, jeden ból, i cierpienie, i gniew...

Machnął ręką i znowu spojrzał na zegarek.

W tej chwili drzwi się otworzyły.

— Co widzę, Janek! Więc wreszcie wyszedłeś z twej nory? Szukaliśmy cię wszyscy, ale, dość niegrzecznie, nikogo do mieszkania nie wpuszczałeś. Mówiono, żeś wyjechał.

Czerkaski podał Szarskiemu rękę.

— Czasami człowiek potrzebuje być sam. Trzeba się nauczyć, być sam — a to trudna rzecz.

— A pewno, że trudna... Jabym nie umiał być sam...

Szarski spojrzał na niego mętnym wzrokiem.

— I cóż — pytał Czerkaski — pijesz jak dawniej?

— Cóż robić? Jeżeli kto pije, to ma do tego tysiąc i jeden powodów, a ja mam tysiąc i siedm.

— Jesteś nieszczęśliwy — co? — Czerkaski zaśmiał się krótko.

— Nieszczęśliwy? Hm... Ale czemuż nie poszedłeś na swoją premierę?

— Po co? By pokłonić się publiczności za tę wielką łaskę, że mnie raczy oklaskiwać? Oni mnie się powinni pokłonić, że ja im tę łaskę robię i rzucam ochłap mego serca przed ich nogi.

Czerkaski znowu rozśmiał się pogardliwie.

— Zresztą dramat nic nie wart. Dość już tej głupiej fabuły, tych zawiedzionych miłości, złamanego życia, oszukanych małżonków, krachów bankowych...

— Więc co?

— Co?—Czerkaski się zamyślił...— Co? przedstawić serce, mózg człowieka na scenie, powyciągać te robaki z serca, z mózgu, upostaciować je, postawić na nogi, zro-

bić z nich żyjących ludzi, którzy się nawzajem zagryzają, szarpią, krwawią, rzucają się na wspólną ofiarę... jeden szepce do ucha podstępne myśli, drugi broni ofiary, a rozum stoi na głowie, albo łazi na czworakach. A co? rozum stoi zawsze na głowie — co? Zrobić taki wściekły karnawał serca ludzkiego, zrobić rzecz, która się dzieje w jednem sercu, a każde inne musi drgnąć, bo i w niem to samo się dzieje — i w trzeciem to samo, i w dziesiątem...

Szarski patrzał zdziwiony.

— Więc takie alegorye!

— O nie! Powiązać to wszystko tak, że to żyje, pozostaje we wzajemnym stosunku, szarpie to biedne serce człowiecze, pcha je w przepaść, podrzuca jak piłkę w górę, znowu strąca w otchłań, aż, aż...

— Aż?

— Aż się skończy męka ludzka i rozpocznie się wsteczna metamorfoza.

— Wsteczna?

— Przez żołądek robaków, jak Szekspir mówi.

Nastała długa pauza.

Z przyległych pokoi dochodził gwar i śmiech gości i stukot bilardowych kijów o kule kościane.

— Dziwnie się zmieniłeś — przerwał Szarski milczenie, które mu widocznie było niemiłe, bo stawał się niespokojnym.

— Ja się zmieniłem? Nie, nauczyłem się tylko być sam.

— A dziś?

— Dziś było mi tęskno za ludźmi.

— Słuchaj, Janek, byliśmy przyjaciółmi, a dziś jestem taki onieśmielony...

Czerski spojrzał na niego smutno i przyjaźnie.

— Och, nie, nie! Ja cię kocham, jak cię kochałem. Tylko wielkie nieszczęścia zmieniają ludzi, tak samo, jak wielkie szczęście...

— Więc czujesz się nieszczęśliwym?

— Nie, to nie! Tylko mi wstyd dawniejszego życia... — zamyślił się. — Trzeba być hardym i splunąć na to głupie mamidło, które szczęściem nazywają. Wiesz, co Nietzsche powiedział?

— Co?

— „Czyż żyłem kiedy dla mego szczęścia? Dla mego tworu żyłem..." Artysta, który nie umie sobie tego powiedzieć z tą samą dumą, nie jest artystą...

— A miłość?

— Piasek, którym nam życie oczy zasypuje. He, he, — miłość, miłość, miłość... Les paons nonchalants... To dobre dla Kuby i dla Maćka, ale nie dla tego, który tworzy...

Drzwi się otworzyły, do pokoju weszło z hałasem kilku młodych ludzi. Byli podnieceni, widocznie pod wpływem silnego wzruszenia.

— Jezus Marya, Czerkaski!

Czerkaski rozśmiał się nagle wesoło.

— No, wróciłem z dalekiej podróży. Nie cieszycie się?

— Ale drogi, kochany chłopie! A tam w teatrze tryumf, tryumf! Jak Kraków Krakowem, nie było jeszcze takiej premiery.

— To znaczy, że dramat nic nie wart!

— W górę, w górę! — krzyknęło kilku. Wszyscy rzucili się ku Czerkaskiemu.

— Ale dajcież mi spokój! Chryste Panie, bo mnie udusicie! — Zadzwonił. — Pięć flaszek szampana! Właśnie tyle wart mój dramat. Hej, Stasinek, zagraj-no „Słońce i pogoda", dawno już nie słyszałem.

Stasinek siadł przy fortepianie i zagrał gwałtowny tusz; potem zaczął z olbrzymim ferworem wybębniać góralską piosnkę.

I zaczęto chórem śpiewać, że mury się trzęsły:

„Będziemy se fiołeczki smykać,
„Będziemy se ku sobie pomykać...“

Przed paru miesiącami siedziała tam naprzeciwko ona — ona, rozpromieniona, wesoła... Czerkaski drgnął.

— Hej do dyabła! Kiedyż będzie ten szampan?

— To dobre, to bardzo dobre — Winiarski przysiadł się do Czerkaskiego — tylko czemuś to dramatem nazwał?

— Jakto?

— Kobieta, która z rąk do rąk przechodzi, nie może stać się dramatem dla człowieka.

Czerkaski zaśmiał się.

— Och, ty słodka, gołębia duszo...

— Hej, Janek, twoje zdrowie! — powstał jeden z malarzy. — Jać tam gadać nie umiem, ale jako najstarszy wnoszę ex officio i ex amore — przepraszam panów, może jaki błąd zrobiłem, ale to już tak dawno, jak odmieniałem officium, — a więc ex officio wnoszę zdrowie tego, tego... no, jakby to powiedzieć... — potarł ręką łysinę... — Dajcie mi tylko chwilkę czasu...

— Zmartwychwstańca — podszepnął ktoś.

— Nie! Tego, tego...

— Proszę, żadnych dywagacyj! — mruknął Stasinek.

— Cicho! Siwcze! Patrzcie tylko, jaki on siwy! Zresztą od czasu, jak Mallarmé napisał swe Divagations, stały się dywagacye formą literacką...

— Do rzeczy, do rzeczy! — krzyknął ktoś z kąta.

— Tak więc, panowie, wnoszę zdrowie tego, który jest coś wart. Fertig! Schluss!

— Hola, ho! — ryknął Stasinek, który już samą atmosferą się upijał.

Zapanował dziwnie podniecony nastrój — gwar, hałas śmiechy, dyskusye...

— Właściwie nie spodziewałem się, żeby ta niesforna banda naszych artystów była tak dobrze wychowana — szepnął Stasinek jakiemuś młodzieńcowi do ucha. — Ani słowa aluzyi do tego szczęścia, które Czerkaskiego spotkało.

— Głupiś — odburknął młody poeta.

— Tylko widzisz — mówił Winiarski tajemniczo do Czerkaskiego — Grecy mieli zadziwiającą rzecz: chór! chór! Nasza głupia demokratyczna sztuka zatraciła chór — trzeba go odnowa wprowadzić...

— I po cóż ma ci się ten chór plątać po scenie? Francuzi mają ten nowoczesny chór, takiego rezonera, który wszędzie się wkręci, wchodzi na scenę i wychodzi, nie wiadomo po co i na co?

— A! nie tak! Powiązać go z akcyą — tak, że zrośnie się z nią, weźmie w niej udział... Maeterlinck ma to czasami — ale u niego to niespojone, wychodzi na wierzch, rzuca się w oczy, i ustawicznie ma się to wrażenie, że pokazuje palcami: teraz czekajcie, bo stanie się nieszczęście!

— Walca, Stasinek, walca!

Stasinek siadł przy fortepianie i niepewnemi palcami błądził po klawiszach z wielką, a pijacką mocą.

Rozległ się nagle wesoły, gwarny śmiech.

Jeden z malarzy udawał, w takt walca, żonglera, który podrzuca kule do góry. Robił to z taką zręcznością, że w istocie zdawało się, iż kule podlatują, spadają; ręce malarza podrzucały się do góry, krzyżowały w podrzucie, cały korpus jego podrywał się, to znowu przysiadał, oczy biegły z natężoną uwagą za iluzorycznemi kulami, wychodziły na wierzch, zdawały się chwytać je w powietrzu, wchłaniać je w siebie i znowu je w górę podrzucać.

Czerkaski śmiał się jak dziecko. Zapomniał o wszystkiem. Śledził tylko z natężoną uwagą ruchy, podrygi, podskoki malarza...

— Jak to dobrze, że tu przyszedłem — szeptał do Szarskiego. — To mózg rozpręża.

— Graj, Stasinek, graj!

Stasinek upadał ze zmęczenia, ale na grzmiący rozkaz jął znowu szukać klawiszy.

Jeden z najmłodszych począł przetwarzać dźwięki na linie... Rozwiesił rolkę papieru na ścianie, przymocował gwoździkami i rozpoczął się walc malarski. Stasinek grał i grał.

Czerkaski zniknął na chwilę: na stole pojawiło się świeżych pięć flaszek.

Na papierze kłębiły się z zadziwiającą szybkością linie, plamy, w kołach, spiralach, parabolach; w kilka minut zakołysało się morze, za kilka sekund wygramolił się potworny Neptun, kilka ciał kobiecych, w sfalowanych liniach, wynurzyło się z morza, potworne, ohydne Nimfy tłoczyły się ku Neptunowi...

— Dość, Stasinek!

Malarz stanął, obejrzał się dookoła i rzekł:

— C'est pour épater...

— Le cul de l'humanité! — krzyknął Szarski.

— Publiczność! — wrzasnął Czerkaski, mocno podochocony — cul de l'humanité! ha, ha, ha...

— Właściwie, moi panowie — Stasinek kiwał swą białą głową na wszystkie strony — niechaj mnie kto objaśni, co to znaczy publiczność? kto to jest publiczność?...

Ryk śmiechu.

Nagle powstał Czerkaski.

— Panowie, proszę o głos!

— Mistrz ma głos!

— Pytanie Stasinka, nie było tak głupie, jak się zdaje. Długo, długo sam nad tem myślałem, aż wreszcie znalazłem odpowiedź w romansie pana Markiza de Sade — wiecie, że lubię straszyć publiczność panem de Sade, tak, jak ongi Baudelaire wystraszał poczciwych burżujów za drzwi, gdy nie mógł znieść ich widoku, tem jedynem pytaniem: Czy jadłeś pan już kiedy móżdżek małego dziecka? Otóż tak samo ja, aby odstraszyć porządnych ludzi od tego tu przybytku, w którym możemy być sami, opowiadam im, że się tu odprawiają czarne msze...

— Ha, ha, ha...

— Pozwólcie, panowie — dywagacye są formą literacką, jak słusznie ktoś przede mną zauważył. — Cierpi wprawdzie na tem sam mistrz, to znaczy ja, bo uchodzę za satanistę, łotra, herszta, ale mnie to robi równą przyjemność, jak Baudelaire'owi. Trochę blagi w tem, trochę kpin, trochę pogardy, a wszystko razem: pour épater le cul de l'humanité!

— Do rzeczy, do rzeczy!

— Zaraz! Od siedmiu lat studyuję sekty satanistyczne i na tym punkcie jestem kompetentny...

— Proszę nie nudzić!

— Zaraz! Otóż przekonałem się, że nie pojedyncze jednostki są satanistyczne, ale to *gros, die compacte Majorität.* Nietzsche bardzo się myli, jeżeli mu się zdaje, że odmienił i przenicował wszystkie wartości. Ta publiczność, ten przez nas pogardzany motłoch dawno już tego dokonał. — I teraz moi panowie przystępuję do jądra rzeczy.

Odchrząknął, wypił szklankę szampana i mówił dalej.

— Jest jeden pan, który się nazywa Borel. Napisał marną książkę: Le Lycanthrope „Madame Putiphar,“ książka wydana 1818 r. w Paryżu w ósemce. Tam stoi napisane: Każdy porządny człowiek powinien mieć przynajmniej jeden tom Sade'a w kieszeni. A ponieważ jestem gentle-

man i bibliofil, więc mam przy sobie te dwa małe pierwsze tomiki: Justine ou les malheurs de la vertu, en Hollande, chez les libraires associés 1791. Rzecz bardzo rzadka.

Ucichło nagle, wszyscy, zaciekawieni, słuchali z natężoną uwagą.

Czerkaski znowu odchrząknął, obejrzał się dookoła, wyciągnął z paletota małą książeczkę.

— Chcecie się dowiedzieć, czem jest publiczność? Zaraz, zaraz...

Począł wertować.

— Mam! Strona 28. Madame Delmonse mówi do Justyny: Nikt nie żąda od nas cnoty, tylko maski cnoty. Jestem nierządnicą, jak Messalina, a wszyscy wierzą, albo zdają się wierzyć, żem czysta, jak Lukrecya. Jestem gorszą ateistką od Vaniniego, a wierzą, z uśmiechem wierzą, że jestem pobożna jak św. Teresa. Jestem fałszywa jak Tyberyusz, a z zezowatem spojrzeniem na bliźniego twierdzą, że jestem szczera jak Sokrates. I pewną rzeczą jest, że jestem trzeźwą jak Dyogenes, pomimo że Apicyusz nie dorównałby mi w rozpuście. Oddałam się występkowi, ohydzie, zbrodni, ale spytaj się mych bliźnich, a powiedzą: Delmonse jest aniołem!“

W gwarnym i rozbawionym przed chwilą, „nonszalanckim paonie“ stało się naraz dziwnie pochmurno i posępnie.

Każdy z tych „artistes maudits,“ tych nędzarzy, co torowali drogi przyszłości, tego nawozu, z którego miało jakieś sprytne ziarno wyciągnąć najkosztowniejsze zasoby do życia, z jego pomocą wybujać i przynieść obfity plon, każdy z nich czuł nad sobą tego strasznego upiora, co ich dławił, powalał o ziemię, tratował, niszczył, — a ich kosztem się żywił, krwią ich serca się odnawiał, myślą ich myślał...

— Publiczność, drogi Stasinku, to Madame Delmonse, a rajfurka pani Delmonse, to prasa!... Nie Nietzsche, ale madame Delmonse wywróciła na ręby wszystkie wartości. Zagładza was, a po śmierci stawia pomniki. Odżywia się kosztem waszego życia, a pogardza wami. Rzuca wam jałmużnę pięciu centów od wiersza, a zyskuje na tem miliony... Ale głupstwo! Panowie piję zdrowie pani Delmonse. Na pohybel Nietzschemu! Ha, ha, ha...

Rozśmiano się nieszczerze, krzyknięto nieszczerze:

— Vive Madame Delmonse! Na pohybel Nietzschemu!

Ale to nieszczerze...

Upiór wpijał w gardło swe szpony, dusił, dławił, ssał krew: a za to chleb ci daję! Pięć centów od kwadratowego centymetra, pięć centów od wiersza, pięć centów za funt gliny!

— Hej, Stasinek! zagraj „Słońce i pogoda.“

— Właściwie należy ci się to za godną i do prawdy najwięcej zbliżoną definicyę publiczności.

Biedny Stasinek siadł znowu przy fortepianie.

— No tak, tak, co to to prawda — mruknął młody rzeźbiarz. — Kurzawę zabili — zabili! — huknął pięścią o stół.

— Podkowińskiego zabili! A teraz go żałują — mruczał Winiarski. — Niech czekają, nim takiego drugiego dostaną.

— Jednak, psia krew, jak satanizm kwitnie! — krzyknął młody pan w bardzo wytwornem ubraniu. — I to nas, nas, nazywają wyrzutkami, potworami, satanistami — hu, hu! Za to, że parę flaszek szampana wypijemy. Madame Delmonse liczy nasze kieliszki!

— „Słońce i pogoda,“ „Słońce i pogoda!“

— „Będziemy se fiołeczki smykać...“

Stasinek dobywał reszty sił, a jego siwa główka kiwała się na wszystkie strony...

Na rysunku nonszalanckiego paona, zawieszonym na drzwiach, rozparł się młody człowiek, i patrzał ze spokojnym, cichym uśmiechem, i kiwał 'głową z głęboką rezygnacyą.

Szarski podszedł taczając się ku niemu.

— Janusz, Janusz — zafantowali mi fortepian!

— Mam jeszcze jeden na składzie, jutro ci go przyślę.

— Janusz, kochasz mnie?

— Kocham.

— Pożycz mi, Janusz, 30 reńskich. Możesz?

— Mogę!

— Ale, Janusz, ty nie możesz — ja wiem, że ty nie możesz...

— Mogę, bo tak, czy tak, wszystko dyabli wezmą.

— Co?

— *Muero, porque no muero.*

— He?

— Umieram, bowiem nie umieram.

— Jakto?

— No, przecież tak młody liryk przetłómaczył to, co Krasiński przed nim przełożył: I tem umieram, że umrzeć nie mogę...

— Janusz, co klepiesz?

— Konam, a skonać nie mogę. To znaczy, że od kwartału bankrutuję.

— To co innego! Janusz, kochasz mnie?

— Kocham! Masz trzydzieści reńskich.

— „Słońce i pogoda...“

— Chryste Panie, mogą człowieka ogłuszyć! — szeptał delikatny Winiarski. Jego suchotnicza twarz była trupio-blada.

— Robaczki! robaczki! Sataniści, sadyści, słuchajcie! — Szarski krzyczał na cały głos.

Uciszyło się.

— Hrabia Ziuziu kupił sobie fonograf za dwa tysiące reńskich, pan Domaszyński automobil, nasz wielki mecenas, który co tydzień pisze obrachunki naszych grzechów, spoczywa w objęciach zacnej, szlachetnej pani Delmonse — a my, my, nędzarze, nawóz — ha, ha, ha...

— Ha, ha, ha!

— Czegóż się śmiejecie? Norwid, Berwiński, Sowiński, Kurzawa, Podkowiński — tysiąc innych: dobre towarzystwo... Otóż oni, ta potężna pani Delmonse ma tysiące i miliony na swoje orgie; ja mam od Janusza trzydzieści reńskich na niewinną zabawę! Kelner, hej, kelner! Pięć dorożek... Zaraz, w tej chwili — orient-expresem!

— Orient-expresem! ha, ha, ha!

— Panowie, na Wolę! na Wolę!

— Dobrze, na Wolę!

Czerkaski siedział, wtulony w kąt kanapy, w głębokiem zamyśleniu. Wytrzeźwiał nagle.

Wszyscy hurmem gromadzili się ku drzwiom, chwytano za paletoty, dorożki zajechały...

Czerkaski wymknął się niepostrzeżenie.





zedł przez planty do domu.

W dali słyszał turkot dorożek. Na Wolę — na Wolę!

Czemu nie pojechał z nimi?

Ogarnął go głęboki smutek i uczucie niezmiernego osamotnienia. Czuł się osieroconym — wygnanym przez los ojczyma z chałupy w świat — w świat! I noc! A tu wiatr gwiżdże, świszcze w pożółkłych, wpół zgniłych rżyskach, i deszcz siecze go po twarzy, biedne łachmany zmoczone do nitki, deszcz ścieka mu po członkach, wsiąka w każdą szczelinę jego ciała — po drodze straszą nagie wierzby — idzie przez pola i ugory, oset szarpie mu ręce, noga lgnie w miękkiej gliniastej ziemi, raz po raz zapadnie się w rów, to znowu potknie się o miedzę — ale idzie, idzie — dokąd?

Obejrzał się zdziwiony.

Przecież to wiosna, wiosna!

Drzewa pękały i wypuszczały listki, miękkie kwietniowe powietrze muskało mu twarz gdyby edredonowym puchem, coś nieskończenie cichego zaległo nad tą pyszną aleją kasztanów — jakiś ton beznadziejnej tęsknoty, coś tak zamkniętego w sobie, że nic nie zdołałoby rozerwać tego skupienia, coś, co tylko szeptem wypowiedzieć by

można, nie! nawet nie szeptem — tylko tą tajemną, ukrytą, wewnętrzną mową: muzyką.

Siadł na ławce, głęboko zadumany.

— Wiosna, wiosna! — szeptał cicho.

I jako widna i szeroka rozpostarła się przed jego oczyma ziemia ojczysta.

Hej! rozkwitły już pola rzepiku delikatnem, woniejącem kwieciem, zieleni się już rozkosznym kobiercem ozimina, umaiły się wierzby zielonym liściem, łąki popstrzyły się żółtym jaskrem, tulą się do trawy skromne anemony...

Zdjęła go tęsknota za domem rodzinnym — chciałby teraz tam być, chodzić, patrzeć, chłonąć to wszystko w siebie...

— Po co? — szepnął nagle.

Wszędzie ból, ból, cierpienie i ta straszna dola, przykucnięta na rozstajnych drogach.

Ale nie mógł się oderwać od tej wizyi ziemi ojczystej.

Kiedy w ciemnych nocach straszą srebrne topole po drogach, gdyby widma w białe płachty przyodziane —

Kiedy z nad Gopła powstają wodne opary i srebrną mgłą rozścielą się na łąkach, a z chałup torfiarzy płynie, poprzez to morze mgieł, biedne, chore światło —

Kiedy mgła wznosi się i roztapia w mżącym dżdżu — o, to już za wiele, — to tylko rozpływanie się czegoś, co było zgęszczone, to tajanie jakiejś zadumy; od dna duszy odrywa się jakiś mglisty szmat, skrapla się w długie, perliste łzy i spada znowu na dno duszy: jedna perła łez za drugą, coraz smutniej, coraz boleśniej... o Boże!

A cały świat staje się straszną, bolesną tęsknotą, w każdej łzie się odbija i spada z nią razem w jakieś przepastne głębie...

To płacz bez jęku — płacze się, a żaden muskuł twarzy nie zdradza płaczu. Płacze się długiemi sznurami szklistych pereł w swoje własne serce.

I jako widna i szeroka przeciągała cała ziemia ojczysta przed jego oczyma ze swoim wielkim majestatem smutku, bólu i tęsknoty:

Kiedy nadejdą noce księżycowe — kiedy nagie rżyska świecą się, gdyby olbrzymia podkowa gęstym, srebrnym gwoździem nabita, kiedy zalega taka straszna cisza, iż się zdaje, że świat cały na chwilę przestał kołować w swych błędnych kręgach, że zatonął w jakiejś strasznej, rozpacznej zadumie, kiedy...

Zerwał się nagle.

Wszystko naokoło niego stało się strasznem, i groźnem, i przeraźliwem.

I głos mu zamarł, jakby go coś ogłuszyło; czuł coś ponad sobą, co krzyczało za wyzwoleniem, a wyzwolić się nie mogło, coś, co czatowało na jego drodze, gotowe do skoku, a poza sobą słyszał ciche powłóczyste kroki — tuż, tuż poza plecami — już go chwyta, już wpija się szponami w pierś, już wgryza się jadowitem żądłem w gardło...

Strach, strach!

Szedł szybko do domu.

Ochłonął nagle.

Ziemia rodzinna!

Tak, z niej, z jej błot, bagnisk, torfowisk wyssał ten jad, który mu każde uczucie przegryza i wszystko na ból przemienia.

Zaśmiał się cicho i znowu przystanął.

Tak! tędy wracał z nią do domu z nonszalanckiego Paona.

Zastanowił się.

Czy kochał ją kiedy? Kochał ją rzeczywiście? Byłaż to tylko próżność, że ma za żonę piękną i podziwianą panią?

Zastanowił się głęboko i sięgnął duszą aż do pierwszego spotkania.

Po cóż się łudzić, po cóż się okłamywać?

Od pierwszej chwili, próżność, próżność!

Próżność ich połączyła, związała, skuła, potem dzieci silniej jeszcze węzły zadzierzgnęły — no, tak!

On był sławny, ona owiana egzotycznym urokiem — tak! i ten zamglony, tajemniczy głos, poza którym żadnej tajemnicy nie było, bo dusza jej płytka, próżna i miałka...

Les paons nonchalants...

Duszo, moja duszo, czemuś mnie oszukała?

Nie kochał jej, ale chciał, by ona go kochała. A ona go nie kochała i kochać nie mogła, bo dusza jej za płytka i za miałka.

I tak parę lat szarpaniny, ustawicznej męczarni. Parę lat wysiłków, by nawzajem nowe tortury dla siebie wyszukiwać, by się coraz wyrafinowaniej szpilkować, kłuć... ach! w tem byli niezrównani!

I jak lekko się rozstali!

Widział ją przed sobą, jak wrogim i hardym wzrokiem patrzyła na niego:

— Teraz wiem, żeś pan mnie nigdy nie kochał. Uwalniam pana z tego ciężkiego jarzma małżeństwa.

A on zimny i spokojny:

— Nie graj pani komedyi. Zdawało mi się, żeś pani dumna, ale sumienie pani tchórzliwe jak u pierwszej lepszej szwaczki. Popełniłaś pani cudzołóstwo — all right — nie sprzedała pani mnie jednemu swej skóry na rynku krakowskim — ale uniewinniać się przed sobą: wstyd!

— Brutal!

— Czemu? A może i jestem brutalny. To jedno tylko za złe pani biorę: taka dumna pani dała się wziąć na lep głupim, ordynarnym pochlebstwom — smarkacza!

Trzasnęła drzwiami.

Tak się rozstali.

Dobrze się stało. Tylko dzieci, dzieci, te biedne sieroty!

— Cóż to? poczniesz się rozkwilać? czy nie będziesz umiał wychować dwojga dzieci? Chcesz się koniecznie odziewać togą nieszczęścia, kiedy to nieszczęście jest twojem szczęściem?

Och, jaka ta dusza kłamliwa i zła!

Była dlań męczarnią i bólem — wyzwolił się wreszcie, a teraz miałby ochotę udawać nieszczęśliwego, zdradzonego Cicisbeo!

Och, nie, nie! Nie pozwolę się ani okłamywać, ani podchodzić.

Jestem wyzwolony!

Co cierpiało? Głupi, samczy instynkt, że opuściła go dla — smarkacza. Jego, Czerkaskiego dla — smarkacza. Ha! cóż robić? La femme de trente ans.

I dla czegoż ta nienawiść ku niej?

Bo mi duszę zbrukała, krzyknęło w nim coś gwałtownie. Bo dusza moja się upadlała, gdym patrzał spokojnie, jak się starała przypodobać każdemu nowemu mężczyźnie, który wszedł w mój dom, jak starała się go ująć i przykuć do swojego rydwanu. Bom malał, gdym jej ulegał, gdym pozwalał na jej kaprysy i zachcianki, gdym kreślił całe ustępy w moich pismach, które się jej — jej nie podobały, by nie wywoływać scen, bom wszedł w błoto i śmiecie...

Hu!

Przyszedł do domu, położył się na sofie i powłóczył leniwie oczyma po ścianach.

Na ścianach były porozwieszane sztychy, podług obrazów Goyi, odtwarzające sceny z sabatów czarownic.

Tam, piekielna, szatańska procesya, skłębiony chaos ludzi obojga płci, wszystkich stanów, każdego wieku.

Kobiety nawpół nagie, z rozwianym włosem, w dzikich podskokach, w epileptycznych kontorsyach, z nieludzko powykręcanemi członkami, z twarzami powykrzywianemi w dzikich rżeniach śmiechu, jęku, krzyku: bestya w człowieku uwolniła się z pęt, piekielna chuć sprzęgła się z pragnieniem krwi, rozpusta i obłęd podniecają się do najstraszniejszej ekstazy w deliryach bólu...

Tam znowu, wielki pan ziemi, ojciec nędzarzy, zrozpaczonych, szukających, ojciec tych, co grzeszą, co wątpią, co się buntują, siedzi w wielkim majestacie na olbrzymim bloku skały straszny, potworny. A u stóp jego, w skupieniu grozy i strachu, przykucnęła gromada ludzi, jego olbrzymia parafia, która ślepo jego rozkazom jest poddana.

Siedzi dumny i wspaniały, bo on jest rzeczywistym władcą ziemi. On opanował mózg człowieka i państwo myśli, które wciąż odnowa wywracają prawa i niszczą stare tablice, — on wzbudza ciekawość, by rozgmatwywać ciemne zagadki i rzeczy, w które ludziom wnikać nie wolno, — on tłómaczy ukryte runy nocy, on daje odwagę, by niszczyć szczęście tysięcy ludzi, aby tylko wytworzyć coś nowego na gruzach, — on wywołuje zbrodniczą chuć, która we wściekłem pragnieniu, by nowe wskrzesić bytu warunki, ziemię rozkopuje, najodleglejsze dale zbliża do siebie, niebo na ziemię ściąga, a państwa ziemi przetrząsa gdyby kostki w skórzanym kubku.

Ścigany, tępiony, wyrasta z własnych popiołów coraz potężniejszy, a wiecznie zwyciężany, pozostaje zawsze zwyciężcą.

A imię jego jest ból i cierpienie. A bólem i cierpieniem jest życie.

A imię jego jest zło, bo wszelki ból tworzy zło, albo korzenie jego tkwią w pierwiastku zła.

I widział go, jak świat cały okrążał, jak obejmował go swojemi szponami, jak zatruwał swym jadem każdą myśl człowieka, wciskał się do pałaców i do nędznych chat, do kościoła i do sal prawodawców, jak niszczył i rozprzęgał wszystkie stosunki, siał nienawiść między ludźmi, wzbudzał gniew i zemstę.

Bo imię jego jest wieczna zmiana, wieczne niszczenie i wieczne odrodzenie.

„Od powietrza, głodu, ognia i wojny,
I od szatana, co w dom przychodzi
I dusze zwodzi,
Zachowaj nas, Panie!“

Czerkaski drgnął. Tak! przyjął go w dom, całem ciepłem sercem, otwartemi rękoma, a potem, potem — he, he: dom jego splamiony cudzołóstwem.

Wstał ze wstrętem i chodził po pokoju.

Myśli leniwo, ciężko przesuwały się w jego głowie, gdyby ołowiane, porozstrzępiane szmaty chmur po burzy.

Przystawał, siadał, to znowu bezmyślnie bawił się rozmaitemi przedmiotami, aż wreszcie oczy jego spoczęły na marmurowej grupie, którą mu przyjaciel, rzeźbiarz, podarował.

Siedzący mężczyzna, a na jego kolanach kochanka. Oplotła jego szyję rękoma, on ją przygarnął całą siłą do swych piersi — świat zanikł, nic nie istnieje prócz nich obojga, stracili poczucie czasu — błądzą w wieczności, są światem sami dla siebie.

Posmutniał.

Miłość! miłość! Ta jego ustawiczna tęsknota, ustawiczne pragnienie. Czemuż nie był nigdy kochany — czemuż nie mógł być kochanym?

A może twórca nie może być kochanym przez kobietę? Czyż nie jest on właściwie li tylko metafizyczną istotą, a zewnętrzny człowiek, ten który pragnie, który

czuje, błądzi i szuka szczęścia, tylko czemś przypadkowem, akcydensem?

I myślą przeżywał całe to biedne życie twórcy: jeden olbrzymi łańcuch nieszczęścia, zawodów, nędzy. Zdawało się, jak gdyby szatan-natura wysilała się, by niczego mu nie oszczędzić, jakby sama się przesadzała w pomysłach nowych katuszy i tortur, coraz to straszniejszych cierpień i mąk. Bo jedyne źródło tworzenia to ból.

Na Wolę! na Wolę! Nędzarze, którzy się przez chwilę chcą oszołomić, by jutro tem silniej i boleśniej odczuwać cały brudny ciężar życia.

Rodzą się nędzarzami. Przyjdą na świat, bieda i niedostatek spoglądają w ich zdziwione oczy — potem straszna walka z życiem, na strychach i poddaszach, w głodzie, błocie, upokorzeniu... Ale idą na przebój. A szatan-los, nieodstępny towarzysz, co chwila nogę podstawia — padają, podnoszą się znowu, znowu się potykają... idą po twardej ścieżce, a szatański ognik błędny wabi ich na najgłębsze bagna — bo tak chciało ich przeznaczenie, że ze swej krwi, ze swego bólu, z błota i bagna życia, mają wskrzeszać cudotwórcze kwiaty, z brudu snuć złote przędziwo, a śmiecie życia pokrywać bogatym kobiercem piękna.

Na Wolę! na Wolę!

Jutro, kochany Szarski, nie zostanie ci z twoich trzydziestu reńskich ani centa, ale dziś stłumisz na parę godzin ból swego serca. I jutro znowu głód i cztery nagie ściany, ale to dobrze, dobrze, bo tak chciało twoje przeznaczenie, byś dzisiaj niszczył wszystkie warunki życia, byś sam pod sobą dołki kopał, byś się wysilał na to, aby wszystkie mosty za sobą popalić...

Czemu?

Byś mógł tworzyć — ha, ha, ha...

I ta garstka nędzarzy, która odwala kamienie od pieczary kryjącej skarby Sezama; co szarpie i rozrywa swe serca, w pogoni za tajnią i głębią myśli i uczuć ludzkich; ci biedni nędzarze, co swoich braci w Chrystusie uczą czuć i myśleć — ha, ha, ha... nowe drogi torują, drą się przez gąszcze i zarośla, łamią gałęzie i tępią ciemne bory, by wreszcie ukazać to słońce, które przecież ma wzejść ponad ludzkością...

Świtało.

Z ciemnej pomroki wyłaniały się Sukiennice i szlachetne linie kościoła Maryackiego. Jakaś dziwna czystość, odświętna białość Zielonych Świątek zaległa uroczystym, rozmodlonym czarem na Rynku.

Stał przy oknie i patrzał długo na tę jasnofioletową, pełną tajemnego uroku, mszę poranną świtu.

Obiegł myślą całe miasto. Smutny a wyniosły Wawel, taki w sobie skupiony, hardy i ponury, jak człowiek w którym się całe życie załamało. Wkulony w siebie, cichy i do ziemi przykucnięty kościół św. Krzyża. Taki cichy, a taki wmyślony w swoje błogie szczęście — ten cudowny kościół, ta „Victoria regia" kościołów, co w cichej nocy rozkwita i zdumiona patrzy, jak się liście rozrastają, rozchylają, a z ich łona wystrzela nagle mistyczny kielich kwiatu. I kościół św. Katarzyny, rozpostarty na ziemi, gdyby dąb, strasznym huraganem wraz z korzeniami z ziemi wyrwany. I kościół Bożego Ciała, jak jedna, twarda, nieubłagana brama raju, przed którą, zda się, stoi Anioł z mieczem płomiennym. Obiegł duszą dookoła to białe miasto, tę skarbnicę wspaniałej, królewskiej przeszłości. Teraz się tu rozpanoszyli kramarze i profesorzy, i ukryta, tchórzliwa rozpusta, i głupia hipokryzya — a wokół płynęła Wisła, leniwo, powoli — bo ma czas, ma czas! — płynęła i ziała zarazą malaryi na to wspaniałe miasto.

Wszędzie malarya! Malarya we krwi i tkankach wynędzniałego żebractwa i żydowstwa, malarya w mózgu i nerwach tych niezdolnych do życia neurasteników, którzy się kiedyś chmarą całą do niego cisnęli, malarya w sercach obłudnego, rozpustnego mieszczaństwa, o małej a niechlujnej duszy.

Zdawało mu się, że całe miasto zarażone było tą szatańską malaryą.

Widział ją w białkach oczu profesora, co z całym spokojem rozwijał tezę, kto ciągnie świnię na targ, powróz czy człowiek? Widział ją na pargaminowej skórze księdza, który był współtowarzyszem i współwinowajcą jakiegoś hrabiego, oskarżonego o nieczystą zbrodnię—malarya niszczyła całe pokolenie wykolejonych i wydziedziczonych, którzy, by żyć, dawali się używać w pokątnej prasie do najwstrętniejszych brudów.

Zaśmiał się smutnie.

Malarya! malarya! I jemu jad choroby poprzegryzał duszę, ręce opadły, a serce boli, boli... Wszystko w tym wielkim relikwiarzu psuł i niszczył ten jad — najszlachetniejsze zapędy, najgorętsze porywy i uniesienia.

A wokół płynęła stara Wisła „srebrną wstęgą“ — płynęła leniwie i powoli i ziała zarazą na miasto.

Jakiś straszny smutek wypełniał po brzegi jego duszę.

Szatan okrążał to miasto.

Przyjaciel przyjacielowi podstawiał nogę, zdradzał jego tajemnice, grzebał mu w duszy nieczystą ręką. Żony oddawały się rozpuście w pokojach studentów i dziennikarzy: fałsz, przedajność, obłuda, i najstraszniejsza ze wszystkich zbrodni, głupota, rozbiły tu swe świątynie.

Pamiętał, jak przed kilku laty powrócił do ojczyzny. Z takiem gorącem sercem, z taką bezbrzeżną miłością, że w każdym uliczniku widział przyjaciela, bratał się z każdym dorożkarzem...

Dziwna wszakże! u progu relikwiarza powitał go błazen!

Przystępuje do niego jakiś młody człowiek, patrzy na niego sztywnym, osłupiałym wzrokiem.

— Pan jesteś naszą chlubą — czyż nie tak?

— Nic o tem nie wiem.

— Przesadna skromność, właściwa tylko geniuszom.

— Nie klep pan głupstw — ot! podaj mi pan rękę i siadaj.

— Panie, nie jestem wart być cielakiem, z którego skóry zrobione buty pańskie, a cóż dopiero podać Mu rękę.

— No to siądź pan — wypijemy kieliszek wódki!

Siedzą chwilę w głębokiem milczeniu.

— I cóż, stary Zygmunt nie zakołysał się na pańskie przywitanie?

— He? Czekaj pan z rok, będzie się kołysał z radości, gdy mnie żegnać będzie.

I cóż pozostało po nim?

Śmieszna karykatura jego stylu, kilka wypaczonych myśli, kilka jego zwrotów, para „schlagwortów“ żywcem wyrwanych z jego książek, wykoszlawionych do śmieszności, a słowa jego, z takim trudem dobierane, stały się obłędnem paplaniem pijanego maniaka.

Zawstydził się. Był niesprawiedliwym. Bo obok niego stało kilku, których kochał i uwielbiał. Z głęboką miłością spoczęła jego myśl na tych kilku odludkach, tych mocnych, co, nieznani, z pogardą dla tłumu, z ubóstwiającym fetyszyzmem dla sztuki szli nowemi drogami.

I Szarski, i Winiarski, i Złotkiewicz, i Broczyński, i jeszcze kilku...

Nie! był niesprawiedliwy.

Z głęboką wdzięcznością myślał o tych godzinach i nocach, które razem z nimi spędził — o tej serdecznej, prawie dziecięcej wesołości, jaką raz po raz się odżywiali,

o tej radości, którą czuli, gdy chodziło o to, by przyjść koledze z pomocą.

Fałszywy obrachunek, fałszywy!

I przeżywał nieledwie każdy dzień, który z nimi spędził, dzień po dniu w ich pracowniach, w ich mieszkaniach, dzień po dniu, w których gromadzili się w jego salonie, dzień po dniu w tym ongi tak wesołym paonie...

A jednak rozpierała mu duszę tęsknota, by uciec ztąd, schować się tak, by go żaden list i żadna gazeta nie doszły. Albo nie!

Tam, ach, tam! Gdzie srebrzą się nagie rżyska w nocach księżycowych, gdzie pod jesień zalega taka cisza, iż zdaje się, że świat przestał kołować w swoich błędnych kręgach, że szatan sam spoczął i przestał okrążać ziemię, przestał podszeptywać ludziom zbrodnie, by żona z lekkiem sercem opuszczała męża, by...

Drgnął. Znów ją ujrzał przed sobą, wiotką, gibką i taką pyszną...

A ruchy jej, te ruchy kobiety, która czuje, że jest piękną, że wszyscy muszą na nią patrzeć i ją podziwiać...

„A krew moja taka młoda i taka wiosenna, jakby młode słońce złoto swoje w mych żyłach rozpyliło...“

Słyszał jej głos przymglony, głos kobiety, która wabi, nęci, kobiety spragnionej nowej zabawki, nowych niewolników.

— Hm, pięknie to powiedziałaś. Śniegi stopniały, lody roztajały. Budzisz się ze snu zimowego. Mocna-ś, co? Silna i spragniona? Na kogo sieci zarzucisz? Aleś młoda i piękna... he, he — trzeba się od ludzi odciąć; człowiek, który ma piękną żonę nie powinien mieć przyjaciół — nie powinien! — krzyknął nagle z wściekłością i trzasnął drzwiami.

Za sobą słyszał jej przeciągły, szyderczy śmiech.

O, tak, tak! Był wtedy śmieszny, czuł się wtedy upokorzonym.

Inaczej powinien był to zrobić — tak, jak ów hrabia.

Zaciął zęby.

Tak! jak on hrabia, co spotyka swą żonę na gorącym uczynku — patrzy przez chwilę na skamieniałą z przerażenia parę — uśmiecha się... jak się uśmiecha? He! Sam trochę zawstydzony, trochę upokorzony? o, nie! wcale nie! W tym śmiechu tkwiła tylko jedna straszliwa pogarda: ecce foemina!

Tak! a na kochanka nie zwraca najmniejszej uwagi. To już szczyt pogardy, to pogarda, spotęgowana do wysokości podniebnych, to Himalaya pogardy. Jabym podskoczył, chwycił hrabiego obu rękoma za szyję i zadusiłbym na śmierć... nie zniósłbym tej obelgi... ale ten pan wytrzeszczył tylko ślepie i patrzał przerażony...

A hrabia mówi delikatnym, uśmiechniętym, jak aksamit w słońcu południa uśmiechniętym głosem: Pomyśl tylko moja duszko, jakaś ty nieostrożna! Drzwi nie zamknąć! Któż widział? taka popędliwość krwi! I pomyśl, gdyby tu był kto inny zaszedł! Co za skandal!

I uśmiechniętym, jak aksamit w południowem słońcu uśmiechniętym krokiem wyszedł z sypialni...

Tak! to piękne! W dwa tygodnie potem znaleziono hrabiego w głębokim parowie z roztrzaskaną czaszką. Spadł z Montblanc'u, a był zaciekłym turystą.

Hej! dusze mieszczańskie, was na to nie stać!

Hrabia kochał żonę. Ona mówiła, że go kocha. On jej wierzył. Hrabia spokojnie patrzał na stosunek swej żony do młodego porucznika.

Patrzał spokojnie. Bo albo kobieta kocha, a wtedy żaden mężczyzna dla niej nie istnieje, albo miłość jej słabnie, a taka miłość nic nie warta, albo też najszczersza miłość kobiety znaczy to, że nie kocha: all right.

Jak się wobec tego zachować?

Cóż z błaznem zrobić? Nic! Błazen, ten quelqu'un, bo wobec mnie każdy jest takiem qualcheduno, nie uwodzi nigdy kobiety. Niema zresztą mężczyzny, któryby był zdolny uwieść kobietę — to nonsens, to infernalna orgia głupoty: mężczyzna nigdy nie robi pierwszego kroku — to słynne „perskie oczko" robi zawsze kobieta. A więc, co zrobić z uwiedzionym biednym samcem, który z całej tej sprawy wynosi uczucie ohydnego wstydu i upokorzenia? Nic, zupełnie nic! Mówi się co najwyżej: wynoś się pan, pókiś cały, i ciesz się, że nie jestem samcem, który drugiemu brzuch rozpruwa, gdy chodzi o samiczkę! Ale nie mówi się nawet: wynoś się pan! Tylko się czeka, spokojniuteńko się czeka.

Bajeczna komedya!

On — ten porucznik naturalnie — staje się coraz słodszym, przyjaźń jego niema granic, niema takiej rzeczy, którejby nie zrobił dla hrabiego. Hrabia byłby strasznie głupi, gdyby chciał sobie popsuć całą komedyą. Jest nadzwyczaj uprzejmy, nawet mniej chłodny, niżeli przedtem. Żona jego jest czulsza, niż kiedykolwiek, a i hrabia ze swej strony twierdzi, że nigdy nie był tak szczęśliwy... Raz pan hrabia zauważył jakieś pomieszanie u nich obojga, nie mógł sobie wybaczyć, że był tak nieostrożny i zobaczył coś przedwcześnie.

Pan hrabia wszystko widział, wszystko wiedział i dziwił się tylko, do jakiej podłości może dojść mężczyzna, który kocha kobietę z — przeszkodami.

Cóż z nią zrobić? medytował pan hrabia. Zabić? po co? nie warta tego! Pojedynek? Ha, ha — jej kochanek — to uwiedzione biedactwo, aż nadto ukarane swojem upodleniem...

I stało się wreszcie.

A panu hrabiemu ośliznęła się noga na gleczerach Mont-Blanc'u.

A dlaczego mu się ośliznęła?

Kochał ją za bardzo.

Tak! — Czerkaski ziewnął. — Kochał ją za bardzo.

Spojrzał przez okno. I dziwna! Rynek, i kościół Maryacki, i kościół św. Barbary, i samotna, osierocona wdowa: wieża ratusza, wszystko to znikło mu z przed oczu — pozostała tylko jakaś przepotężna pustka nieba. Wszystkie gwiazdy pogasły — niebo białe jak droga poprzez świąteczną cichą wieś podczas Zielonych Świątek — tak! — patrzał na niebo — dziwna! bo przecież widział wszystkie gwiazdy w ich biegach, ich szalonym pędzie naokół olbrzymich kręgów.

„Tak, jak się to wszystko na nowo rozpocznie, będę znowu stał przed wami z moją białą różdżką,“ powiedział jakiś Pytagorejczyk. A biedny, wielki męczennik myśli o odwiecznym pierścieniu powrotu, Nietzsche, myślał tak samo.

I co?

Rozwój świata i życia tworzy pierścień — nie biegnie do jakiegoś końca, ale do swego początku...

Na rynku zajechało kilka fur gospodarzy z okolicznych wsi. Z półkoszków i furmanek poczęły kobiety wyjmować konewki z mlekiem, osełki i faseczki masła...

Więc słońce i nasze planety były początkowo wielkiem ogniskiem gazowem, którego środkiem było słońce, a peryferya rozciągała się gdzieś poza Neptun. I to ognisko poczęło się kurczyć, krążyć, szaleć w niesłychanym pędzie; pierścienie się odrywały, pękały, popękane kawałki zbijały się w pięście — pięście, dzikie, odgrażające się pięście stały się planetami i jedna z najstraszniejszych tych pięści, ziemia ze swym biednym padołem płaczu, z tym biednym płazem, czołgającym się przed nieznaną mocą,

cierpiącym nie wiadomo dla czego, radosnym i w niebo rozkoszą wykrzykującym nie wiadomo dla czego, ta ziemia ze swoim płodem to najstraszniejsza, najgroźniejsza skarga...

A wokół płynie Wisła i zieje zarazą malaryi. Rozszczepia im jadem mózg, miliardem zarazków zatruwa im krew...

Ha, ha, ha...

I przyjdzie czas, gdy ciała, krążące naokoło słońca, postarzeją się... gdy jakaś drobnostka wytrąci jakąś planetę z drogi... ta jedna pomiesza tory tysiąca innych; siły centryfugalna i centrypetalna staną się śmieszną teoryą profesorów fizyki, i nagle ze strasznym krzykiem wyzwolenia tysiące znanych i nieznanych planet rzucą się w piekielne objęcia Molocha-Słońca. Ze wszystkich dali, ze wszystkich wysokości ciska się to wszystko, leci, rzuca, obrywa się w to łono strasznej, potwornej matki.

Matka umiera.

He, he! nie umiera, na nowo życie rozpoczyna, rozognia się, pali — i cały system słoneczny staje się odnowa mgławiskiem — ciałem — ogniskiem — i... och! i... pierścień wiecznego powrotu rozpoczyna się na nowo.

I co?

„Tak, jak się to wszystko odnowa rozpocznie, powrócę i ja, i stanę, jak dziś, przed wami z moją białą różdżką.“

I toż jest moje przeznaczenie?

A może to malarya, która ich wszystkich naokół niszczy?

Może i w moją duszę zionęła ta mściwa, ta złośliwa Wisła jad malaryi?

Nie, nie, krzyknęło w nim coś.

I czem jestem?

Byłem i będę.

Milion razy świat się przetworzył; pozostał taki sam, jaki był, milion razy powróci taki sam, jaki był. Byłem,

po milion razy byłem i po milion razy będę. I byłem, i wrócę coraz silniejszy, coraz więcej świadomy. To wszystko, na co byłem ślepy przed milionem lat, przejrzę, gdy powrócę...

A Twoje imię święte niech będzie błogosławione! Ktoś Ty? Czem-eś Ty?

Uczuł straszny lęk. Ale tylko na chwilę.

Bo już, już padł na kolana i oparł skroń o sofę.

Chciał się modlić; nie umiał.

Więc tylko jeden bełkot, jeden krzyk, jeden straszny, cichy smutek:

— Wybaw mnie, Panie!

Turkot na ulicy stał się nieznośny. Oprzytomniał.

— Tak, tak... tak się kończą chwile uniesienia i smutku. Trzeba iść spać — he, he — spać... Och, jaki-m ja zmęczony!

Obejrzał się.

— Wstydzę się! Ja nigdy nie jestem śpiący ani zmęczony.

Położył się na kanapie.

I nadeszła biała godzina. Położył swe serce w białe jej dłonie i płynął tam, gdzie szatan przestał podszeptywać ludziom, by przyjaciel przyjaciela zdradzał, by żona z lekkiem sercem męża opuszczała, by'... by...

Boże, mój Boże...



(Ciąg dalszy.)

Stanisław Przybyszewski.

Żal.

Strącony okwiat grusz na staw nafrunął bielą,
Na skrzek i duży liść okrągły padł grążelom;
Kaczeniec żółty śpi na chabrze wód, i gra mi
Błękitnych szklarek rój—rój skier nad ajerami.

Odbijam senną łódź i płynę ku topielom,
Gdzie w pląsach gony ryb przezroczy nurt popielą,
Gdzie tonie runo chmur i czystość wody plami,
Gdzie szczupak lustro wód przecina pletw ostrzami.

Niekiedy wiosło z dna wywlecze kwiat kaczeńczy,
Niekiedy łodzi burt o suchy trze oczeret—
Siedzibę chmary much. Kapela muszych czered

Dogania senną łódź, i długo za mną dźwięczy
Smętnawy cichy brzęk—jęczenie brzmi komarze;
Oddaję fali ster i wiosło z rąk—i marzę...

Przyjdzie polną drożyną, w biel odziana liliową,
Przyjdzie, kiedy się wdzięczy brzask jutrzenny dąbrowom;
Wróci chabry i maki, by strój łanom barwiły,
Wróci białość czeremchom u wezgłowia mogiły.

Mirt umai grobowce ukochania nanowo,
Z łąki dmuchnie wiatr kwiecia rozżarzone opyły,
Wokół cierni powoje znowu będą się wiły,
Zajrzy osa brzęcząca w konchę malwy różową.

Burz majowych strumienie ubalsamią drzew korę,
I krzewinę okoli nimb tęczowych promieni;
Z latorośli wierzbowej pasterz fletnię uleni,

Zagra... Echo odpowie tam za borem, za borem...
Hej, przyleci dziewczyna, narwie, narwie złocieni
I ożeni złocisty wian z pasterza kędziorem.

Jan Lemański.

Pies.

Ja miałem kiedyś swoją budę — lecz w nocy raz głuszący huk
Obudził mnie obuchem w głowę — i rozszalała masa wód
Na moje wpadła legowisko — i darmo prężył się mój trud,
Daremnie-m się z żywiołem wściekłym o swoją budę gryzł
i mógł!

Zatopił mi ją, a mnie porwał i, z rykiem tryumfalnych trąb,
Zwyciężonego niósł na barach i z mych wysiłków marnych
drwił —
I, oszołomion dzikim pędem, zgnębiony, zabaczyłem sił
I zdałem mu się, nawpół czując, jak niesie mnie na straszną
głąb'.

Na morze rzucił mnie, na morze, co jak pustynia leży wkrąg,
I myśli, żem się tych obszarów bezkresnych, pustych morza
zląkł —
Że będę, łeb ku niebu tężąc, z wściekłości i rozpaczy wył!

Nie będę wył!! — Na żywioł morza, co taki groźny wkoło legł,
Mam — Pies potężny — morze Mocy, huczące burzą skroś
mych żył — —
Mnie stanie tchu! i łap mi stanie! i mój jest niewiadomy
brzeg!

Witoldowi Olszewskiemu.

Zaklęte skarby.

Nagi, smukły, gibki Półzmierzch chodzi cicho puszczą senną,
I raz po raz rękę wznosi między starych drzew korony,
I otrząsa lekko nikły pył ciemności w miał stłuczonej,
I pył pada — pada — pada: starą puszczę bierze w lenno.

A dnem puszczy, od mchów siwych, od pni starych, jakieś płyną
Mgły niechwytne — jak przeczucia, co o jednym wiedzą dziwie,
Przecudownym a ostrożnym, i podchodzą go lękliwie,
A on wciąż im się wymyka, lecąc w przestrzeń mroczno-siną.

Płyną mgły niechwytne, dziwne, przez tajemną, starą puszczę,
Pełzną wiotkie przez zatory pni, co wpoprzek drogi legły,
Przelewają się przez rowy, sączą się przez gęste kuszcze,

Lekko, cicho!... Ominęły ślizgich wężów ród przebiegły
I, przypadłszy przed spróchniałym pniem, za rąbek jego kory
Wychyliły się i patrzą w białe, ciche muchomory...

Bronisławowi Olszewskiemu.

Józef Ruffer.

Gra.

Z fantazyą, z rozhukanem szaleństwem junaczem,
W pogardzie niebezpieczeństw drwiąco rzucam kości
Z przeznaczeniem mem, chytrym i fałszywym graczem,
O całe moje życie, o los mej przyszłości.

Wróg mój drży, niepewnością blady, i na stawkę
Kładzie korzyści błahe obietnicy marnej,
A ja z szyderstwem zimnem patrzę na zabawkę
Nadmiaru mojej siły i buty bezkarnej.

Lekkomyślnie me skarby stawiam, i ze sfory
Wierne psy-wichry moje, lotne białozory
I władce moich stepów, płomienne bachmaty.

Bo rzut mój musi znakiem wygranej bogatej
Paść dla mnie, a dla niego sromem stratnej klęski —
I w twarz mu tryumfalnie cisnę śmiech zwycięzki!

Wspomnienie.

Na to duchowi memu przydane tęsknoty,
Mojej potęgi przyszłej pilne, skrzętne pszczoły,
By zbierały wosk jasny, zapas miodu złoty,
Gdy będę miał zastawiać Bogu Jutra stoły.

I wysyłam je, myślą pogodną wesoły,
Na wonne, żyzne pola i w leśne wykroty
Żywicznych, kwietnych jarów, zkąd mocnemi zioły
Opiłe z ciężkim plonem wracają z roboty.

Ale czasem, zdradziecki, nikczemny pasiecznik,
Ograbiam świętokradczo złotopłynne ule,
Rozlewam miód, roztrwaniam po piasku i mule,

A z wosku lepię bladą gromnicę, by świecznik
Rozjaśnił moich wspomnień bezpłodnych łzawnice...
I w widma, kradnącego mi Moc, patrzę lice...

Rzeźbiarz.

Mistrz uczuł w swojej piersi dech nieskończoności
Potężnej jak ocean, gdy się pianą zwełni,
Chciał wyrzucić z swej głębi moc życiowej pełni,
Której orkan wezbranej potęgi zazdrości.

I w głazie dłonie jego młodzieńca wykuły,
Który miał ludzi uczyć zwycięstw, dumy, chwały.
Posągu człon drgał każdy, siłą napęczniały,
Wszystkie szałem nadmiaru grały w nim muskuły.

A ten, co pierwszy ujrzał boskość w mistrza tworze,
Padł na twarz zatrwożony, szepcąc ciche modły:
„W proch przed tobą mocarze niech padną najpierwsi!“

Mistrz zmarszczył brwi, odtrącił zgiętego w pokorze
I, widząc, jak moc rzuca siew słabości podłej,
Młotem strzaskał posągu granitowe piersi!

Leopold Staff.

Magdalena.

Drobną stopą zdeptawszy syryjskie purpury,
Słuchała nieruchoma, przegięta niedbale,
Owych pieśni śpiewanych ku jej ciała chwale
W świetlicy obwiedzionej kwiecianemi sznury.

Lecz z jej oczu, jak tygrys, co ukrył pazury,
Już dziki szał, przyczajon, zrywał się zuchwale,
I ust zniżał dyszące wilgotne korale,
I rozpalał łaknących ramion jej marmury.

I blada pod złoconych warkoczy płomieniem,
Z piersi, z bioder, szat więzy zerwała i kwiaty...
. . . .
Lecz nagle przez jutrzniane różowe poświaty,
W jej rozwarte od trwogi i lęku źrenice,
Jak mistyczny krąg światła wejrzy blade lice,
Krwawe skronie owite cierni obramieniem.

Święte.

I powstały, jak świetlne wstają meteory,
Z łun pożarnych poczęte i krwawej topieli,
Drogę z tronów krwią znacząc aż do mniszych celi,
Jak rannych sznur gołębic, lecący w przestwory.

I wonieje Chrystusów ogród różnowzory,
Blade kwiaty z śmiertelnej podjęte pościeli,
Cudnych twarzy różaniec opłatkowej bieli,
Słodkiemi wonnościami zbyt pełne amfory.

I po rajskich kobiercach, po niebieskim łanie
Błądzą dziewy męczenne i koronne panie,
Te wszystkie, co obliczem zwróconem od ziemi

W snach widziały aniołów z skrzydłami białemi,
I wierne wciąż czekały, w płomiennej tęsknocie,
Oblubieńca swojego w purpurze i złocie.

Kazimiera Zawistowska.

Las.

Noc jasna... gwiezdnem migotaniem gwarna
I przesycona jutrzni światłem białem.
Las cielskiem swojem, szarem, skamieniałem,
Wrósł w blade niebo niby chmura czarna.

Wtem drgnęły drzewa, dziwną zdjęte trwogą...
Wiatr, co w gałęziach nieruchomie zwisał,
Wstrząsł się, rozbudził, rozgrał, rozkołysał
I zaczął szumieć posępnie, złowrogo.

Hej! jak konary tłuką się i skrzypią,
Jak szemrze liści rozszalałe morze!
Jakieś się licho rozhukało w borze,
A liście z wiatrem sypią się i sypią.

I znowu cicho... tajemniczą burzą
Zbudzone gwiazdy złote oczy mrużą.

Jesienią.

Park drzemie... drzewa, jak schorzałe twarze,
Wokół dziwnemi rumieńcami świecą.
Z szelestem szklanym liście zwiędłe lecą,
Patrząc na niebo, co umierać każe...

O! gdzieś na gwiazdach wicher łka rozpacznie,
Wskrzeszając zmarłe, zapomniane głosy,
Już brzozy płaczki rozpuściły włosy,
Wkrótce się obrzęd pogrzebowy zacznie.

Pomiędzy bagna, mętne, zardzewiałe,
Ścieżki, jak widma, przypadłszy do ziemi,
W pomroku ręce wyciągają białe,

Aż w końcu dwoma liniami jasnemi
W krzyża potworne wyrosły ramiona.
Chodźmy ztąd... cicho... w tej chwili ktoś kona...

Henryk Zbierzchowski.

AXEL.

OSOBY.

AXEL VON AUERSPERG.
ARCHIDYAKON.
Mistrz JANUS.
Komandor KASPAR VON AUERSPERG.
JUKKO, paź Axela von Auersperg.
Herr ZACHARIAS.
GOTTHOLD.
HARTWIG.
MIKLAUS.
MINISTRANT PRZY NABOŻEŃSTWIE ZA DUSZE ZMARŁE.
EWA SARA EMANUELA DE MAUPERS.
KSIENI.
Siostra ALOIZA.
Siostra LAUDACYA, furtyanka.
Siostra KALIKSTA, klucznica.
Mniszki klasztoru św. Apollodory.
Chór starych domowników wojskowych Auersperga.
Chór drwali.

Rzecz dzieje się w naszym wieku, około roku 1828.

Część pierwsza, w klasztorze Trynitarek pod wezwaniem św. Apollodory, położonym na krańcach wybrzeża dawnej Flandryi francuskiej.

Trzy pozostałe części, na wschodzie Niemiec północnych, w starożytnym zamku obronnym, burgu margrabiów von Auersperg, odosobnionym pośród Szwarcwaldu.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

ŚWIAT ZAKONNY.

Zbliżcie się, serca tkliwe: i tu jest kochanie!
Lecz miłość, oczyszczoną, wznieca skra z ołtarzy:
Wszystko ludzkie w tym ogniu ulotni się, zżarzy
A nieśmiertelne pozostanie.

Lamartine.

§ 1. . . . i zmuszajcie je wnijść.



hór klasztorny w kaplicy starożytnego opactwa.

W głębi, wielkie okno witrażowe. — Na lewo, cztery rzędy stall. Podnoszą się one nieznacznie, wielkiem półkolem, wsparte o wysoką kratę okolną, zamkniętą i zakrytą draperyami. W głębi, tuż przy kracie, nizkie drzwi z kamiennemi stopniami, wiodące do klasztoru. Na prawo, nawprost stall, siedm stopni i podnóże niewidzialnego wielkiego ołtarza. — Kobierzec spływa aż na środek chóru, obrzeżając płyty nagrobkowe. Na drugim stopniu, dzwonek i kadzielnice złote. Wyżej, kosze kwiecia. Lampka wiekuista, sama jedna oświeca wnętrze gmachu, z pośród wielkich, owieszonych wotami filarów, które podtrzymują absydę główną: tam, na skrzydłach, wznosi się ambona z marmuru białego.

Postać ludzka, otulona w długie zasłony, z bosemi nogami w sandałach, stoi pod lampą. — Wchodzą, w głębi, Ksieni i Archidyakon w szatach kapłańskich.

Kapłan klęka przed ołtarzem i zatapia się w modlitwie; Ksieni zbliża się do postaci otulonej w zasłony, i nagłym ruchem odsłania jej głowę.

Ukazuje się oblicze niezwykłej, tajemniczej piękności; jest to kobieta. Stoi nieruchomo, ze skrzyżowanemi rękoma, ze spuszczonemi powiekami. Ksieni patrzy na nią, przez kilka chwil, w milczeniu.

SCENA I.

SARA, KSIENI, ARCHIDYAKON, potem siostra ALOIZA.

KSIENI.

Saro! północ Bożego Narodzenia wydzwoni wkrótce, napełniając dusze nasze weselem! Ołtarz zajaśnieje, za chwilę, jak arka przymierza! modlitwy nasze wzlecą na skrzydłach kantyków! Zanim godzina ta minie w niebiosach, muszę ci oznajmić postanowienie święte, które powzięłam co do twojej przyszłości.

Przypomnij sobie, Saro! Twoi ojciec i matka, czując śmierć blizką, wezwali mnie do swej siedziby, aby mi cię powierzyć. Od siedmiu lat żyjesz w klasztorze, wolna jak dziecię w ogrodzie. Ale igraszki dziecinne zawsze były ci obce, i nie spostrzegłam nigdy uśmiechu na twem licu. Co może oznaczać natura równie pilna i równie samotnicza? Skruszyło-ż by ci tak ducha ustawiczne rozczytywanie się we wszystkich starych księgach naszych?

Posłuchaj, Saro, tyś dusza ciemna. Na twarzy twojej, zawsze bladej, połyska odbicie dziwnej jakiejś pychy starożytnej. Pycha drzemie w tobie... oh! harmonie, które wydobywasz z organu, zdradziły cię!... Takie są posępne, że musiałam prosić siostrę Aloizę, aby cię przy nim zastąpiła. — Pomimo ostrożności i prostoty rzadkich twych słów i wszystkich twych postępków, zastanawiałam się

nad tobą długo i rozważnie. Czuję, że nie znam ciebie. Poddajesz się z pewnego rodzaju obojętnością milczącą praktykom naszej obedyencyi. – Strzeż się zatwardziałości serca!

Córko moja, jesteś lampą w grobowcu: ja chcę odżywić cię dla Nadziei. Znikomością jest życie bez modlitwy! Dwudziesty trzeci rok twego życia dobiegł oto do kresu; aby cię ratować, nieodzownem jest namaszczenie — pomazanie! nieodzownem jest, abyś cała oddała się Bogu, który ucisza serca niepokojem miotane. Zaiste, według ludzi, winnabym uznać, że masz wolność opuścić nas; ale, wedle Boga, mogę-ż, ja, której polecono twą duszę, zgodzić się, byś wróciła w wir świata, sama, bogata i taka piękna, pomiędzy pokusy (których nie są mi obce przemoce ponętne, ani rozczarowania śmiertelne)? — Mam-że prawo, skoro mi cię raz powierzono, nie postąpić, w tych okolicznościach, jak mi każe troska o rzeczywiste szczęście twoje, jeśli ty sama niezdolna jesteś go rozpoznać? — Doświadczenie w rozkoszach prowadzi do rozpaczy: później, pomimo woli i chęci, nie będziesz miała siły, aby wrócić; muszę przewidzieć to za ciebie. Jakto? zawrót głowy czyha na cię nad brzegiem otchłani, a ja nie miałabym prawa ocalić cię od zgubnego jej przyciągania! Zaniechanie tego byłoby zdradliwą słabością, z której mogłabyś zażądać odemnie rachunku w dzień ostatni. — Nie zatrzymać cię, gdy chcesz na głowę rzucić się w ciemności! bez kierownika, bez rodziny! i z tym duchem płomiennym, którego odgaduję pod twemi spuszczonemi powiekami? Nie! nie. Nie umiałabyś prowadzić się tam, wedle Boga.— Postanowiłam więc ofiarować cię Jemu dzisiejszego jeszcze wieczora. Tak, dzisiejszej nocy. Chwila milczenia.

Córko moja, gdy przed trzema miesiącami odkryłam ci swe zamiary w tej sprawie, spotkałam się, z twej strony, z odmową. Uciekłam się do *in-pace*, do prywacyj suro-

wych, do umartwień... A podczas, gdy ty, z rezygnacyą zresztą, znosiłaś swą pokutę, nakazałam modły za ciebie i sama wstawiałam się gorąco, ofiarując swe łzy Temu, który jest przebaczeniem samem.

Nie każ mi więc uciekać się znowu do surowości, aby cię skłonić do wejścia w siebie samą i aby cię popchnąć, że tak powiem, ku Niebu. Dziś, w ten piękny wieczór świąteczny, wydobyłam cię z ciemnicy; wybrałam tę noc błogosławioną, aby — pośród kwiatów, świateł i kadzideł — poświęcić cię Panu. Będziesz gorzką oblubienicą w ten wieczór zaślubin.

W ten sposób, łaska zstąpi na cię; zapomnienie uciszy niespokojnego ducha twego; uczujesz wkrótce brzemię miłości bożej; i pewnego dnia (niedaleki on może!), zadrgnąwszy na wspomnienie tej świętej godziny, uściskasz mnie, z twarzą skąpaną we łzach ekstazy i radości. — I wzruszający, budujący to będzie widok dla dziew, pędzących życie w cieniu tego ołtarza. I pojmiesz wówczas, co odważyłam się uczynić, czego spełnienie wzięłam na siebie. — Na teraz, pokój tobie. Odwraca się.

— Siostro Laudacyo, zapal świece.

Ołtarz rozświeca się powoli w ciągu końca tej sceny.

Teraz, siostro i córko moja, powiedziałam ci już: — jesteś bogaczką tego świata. Wstępując tutaj, wyzuć się trzeba z pychy wszelkiej i wszelkiego bogactwa. Jesteśmy biedne, a co mamy, rozdajemy, bo ubóstwo nabiera godności tylko przez miłosierdzie. Przekazano ci zamki, pałace, lasy i ziem przestrzenie. Oto pargamin, mocą którego zrzekasz się wszystkich dóbr swoich na rzecz zgromadzenia. Oto pióro. Podpisz.

Sara rozwiera skrzyżowane dotąd ręce, bierze pióro i podpisuje z zupełną obojętnością.

Dobrze. Tak właśnie.

Patrzy na Sarę, która wróciła do pierwotnej nieruchomości.

Dziękuję. Do siebie, kierując się ku Archidyakonowi: Bóg mnie widzi i sądzi!

Doszedłszy do starego księdza, dotyka jego ramienia i, pochyliwszy się, wymawia szeptem kilka słów.

ARCHIDYAKON, powstając, głosem przyciszonym.

Post, ciemnica i milczenie rozniecają światło w tych duszach pysznych: było to potrzebne! jest to potrzebne. Głośno, zbliżając się do Sary: Saro, siostro Emanuelo w Bogu! Rozwiały się pewne wątpliwości, które kazały nam obawiać się obecności złego ducha w sąsiedztwie twojem. W dniu takim, wprawdzie, usunęliśmy i tak z myśli naszych wszelkie niepokojące, co do ciebie, przypuszczenia: ale jałmużna, którą Bóg dał ci możność obdarzyć nasze zgromadzenie, oczyszcza cię ostatecznie, w naszych oczach, z wszelkich podejrzeń oziębłości. Ona walczyć będzie za ciebie w godzinach zaniedbań i opuszczeń. Za chwilę, przyjmę cię do grona tych, które odtąd są twojemi siostrami. Oddawna, i one, i my, uważaliśmy cię za powołaną i wybraną. Twój nowicyat się skończył.

KSIENI.

Córko moja, odziejemy cię w szaty weselne, opaszemy to czoło wieńcem dziew świętych, jako symbol zaślubin przyszłych. Potem, przyjdziesz tu, na to miejsce, pośród brzmienia kantyków. Legniesz na ziemi, na znak śmierci: rzucą na ciebie całun zmarłych naszych. Pod tą płytą spoczywa Błogosławiona, która założyła nasz klasztor i do której w szczególności modlić się będziesz przed ofiarowaniem. Skoro wymówisz śluby, światowe twe włosy spadną pod nożycami naszej reguły. Potem odzieją cię

w sukienkę świętą, którą zachowasz aż do końca swoich dni próby tu na ziemi.

Młoda zakonnica, dziecko prawie, o czarującej twarzy, w szatach białych i niebieskich, ukazuje się za ołtarzem. Wydaje się nieco bladą. Patrzy na Sarę.

Ja odejdę wkrótce ku swej wieczności; odziedziczysz mój pastorał z kości słoniowej i czynić będziesz, z kolei, to... co ja czynię. Odwracając się: Pójdź, siostro Aloizo! Zakonnica zbliża się.

SCENA II.

CIŻ SAMI, siostra ALOIZA.

KSIENI, ciągnąc dalej:

Siostro Aloizo, oto towarzyszka, siostra nad inne droga, którą kochasz tkliwie i która jest córką naszą najmilszą. Głos twój słodszym jej będziesz od mego, i liczę, że serdeczne twe słowa rozproszą pokusy, które mogłyby powstać w jej sercu w tej godzinie ostatniej. Chwila milczenia — Kochasz ją bardzo, prawda?

Siostra ALOIZA, z powagą.

Tak, matko moja.

KSIENI.

Powierzam ją ukochaniu twemu. Będziesz czuwała i modliła się z nią w oratoryum aż do uderzenia zegaru przed wybiciem północy.

Ksieni powraca ku podstawie ambony, gdzie stoi Archidyakon. Kapłan przegląda teraz pargaminy i papiery przy lampie, którą postawiła na oparciu jednej ze stall siostra Laudacya.

Siostra ALOIZA, do siebie, zbliżając się do Sary.

Mój Boże! Splatając ręce na ramieniu Sary, głosem bardzo cichym, prawie niewyraźnym: Saro, przypomnij sobie nasze róże w alei grobów! Zjawiłaś mi się, jak siostra nieoczekiwana. Po Bogu, ty. Jeśli chcesz, bym umarła, umrę. Przypomnij sobie me czoło, wsparte na bladych twych dłoniach, w ów wieczór, o słońca zachodzie. Jestem niepocieszona, żem cię ujrzała. Niestety! tyś ukochana!... Czarne myśli biorą mnie przez ciebie. Nie mam siły, jeno ku tobie. Chwila milczenia. Ustąp; stań się, jak my, pod welonem! Poddaj się próbie jednej chwili. Wiesz dobrze, iż nie możemy żyć! — Byłybyśmy tak prędko razem, w tem samem niebie, z jedną jedyną duszą!... Saro, spojrzyj na niebo ugwiażdżone w głębi mych oczu: — jak tam uciekają w dal niebiosa zawsze wygwiażdżone! — Zgódź się, pójdź! Ustroję cię sama jako oblubiennicę boską, małżonkę niewysłowną, istotę niebiańską. Boleść zrobiła mnie czarującą, i nie odepchniesz mnie już ze smutkiem, jeżeli na mnie spojrzysz. Jakież znaleźć słowa, aby cię ugiąć? Saro, Saro!

Sara, w milczeniu, rozwiera skrzyżowane ręce: czoło jej pochyla się ku czołu nowicyuszki. Ta bierze ją za rękę. Obie przechodzą zwolna przez sanktuaryum.

Zdławionym głosem, ciszej jeszcze i nagle: Oh! nie opieraj tak czoła!... kolana mi się chwieją!

Sara wyprostowała się i, podtrzymując jedną ręką siostrę Aloizę, bladą jak jej welon, wychodzi z nią razem powoli przez absydę boczną.

KSIENI, wsparta o filar, w zamyśleniu, przeprowadza je oczyma.

Stało się! dziecię uczuwa już zachwyty i upojenia Piekła! Uwodzicielstwo aniołów ciemności! Niesłychana, niebezpieczna piękność Sary zakłóca i niepokoi zgorszeniem swem to serce wybrane. Po namyśle: Siostra Aloiza

obetnie jej włosy dzisiejszej nocy; Sara zostanie bez welonu, z tak obnażoną głową, aż do Trzech Króli.

ARCHIDYAKON, zbliżając się do niej.

Siostro moja, oto tytuły dziedziczne Sary de Maupers i tyczące się jej akta; staną się one za chwilę własnością zakonu; wyobrażane przez nie bogactwa uzupełnią braki skromnych naszych dochodów. Przyjmij je; odeszlesz je jutro do ekonomatu.

SCENA III.

KSIENI, ARCHIDYAKON, potem siostra LAUDACYA.

KSIENI, biorąc pargaminy, z obojętnością:

Dziękuję ci, mój ojcze.

Zaczyna zwijać i wiązać je razem; nagle spojrzenie jej staje się baczniejszem:

Ten herb!... Widziałem go już? — Tarcza oryentalna, podtrzymywana przez te niezwykłe sfinksy złote... I ten szczyt hełmu książęcy...

Pochyla się pod lampą, nad tytułami.

W polu błękitnem, — skrzydlata Trupia Głowa srebrna; nad siedmiopocztem takich-że gwiazd, w samym środku tarczy; z dewizą biegnącą wzdłuż liter nazwiska:

MACTE ANIMO! ULTIMA PERFULGET SOLA.

Prorocze słowa, jeżeli Bóg pozwoli: nie jest-że Sara ostatnią córą książąt de Maupers?... — Ale... te klejnoty, czy drogie kamienie, różnych barw, okrążające, w górnej części herbu, Trupią Głowę, są nieczytelne, heraldycznie: i nie mogę zrozumieć...

ARCHIDYAKON, zbliżając się.

Chcesz, siostro, rozwikłać tarczę herbową, więcej niż dziwną, w istocie, ale po siedmkroć stuletnią, tego domu? Przejrzałem właśnie jej objaśnienie przed chwilą. Jest to bez żadnej wątpliwości tarcza rodu de Maupers, — który nawet podziela ją, w najbardziej zdumiewający sposób, z pewną linią niemiecką wysokiego domu austro-węgierskiego, hrabiów von Auersperg, — szczepu dostojnego, o licznych odgałęzieniach!

KSIENI, po ruchu niespokojnym.

Auersperg!... I... nic, z tej historyi, nie może stać się ważnem w sprawie dziedzictwa Sary?

ARCHIDYAKON, z uśmiechem.

Nie przypuszczam bynajmniej: chodzi poprostu o jakąś opowieść z czasów rycerstwa i pochodów krzyżowych, w której cudowność przeważa nad rzeczywistością. Oto fakta: naczelnicy obu tych rodów byli jednocześnie, zdaje się, posłami, jeden francuzkim, drugi niemieckim, przy dworze jakiegoś sudana (sudana El Kalaba, powiada kronika epoki). Jakiś „mag,“ biorący udział w tajnej radzie książęcia egipskiego, zdołał nakłonić obu rycerzy do przyjęcia tych tajemniczych sfinksów złotych w miejsce dwóch lwów, które dawniej podtrzymywały wspólną im obu tarczę. Dewiza Auerspergów jest jeszcze niezrozumialsza:

ALTIUS RESURGERE SPERO GEMMATUS!

Dajmy pokój tym czczym tradycyom. — Mająca być przyjętą gotuje się, nieprawdaż, do włożenia welonu? Zaznajomiła-żeś ją dobrze, siostro, z rytuałem liturgii naszej, odnoszącym się do jej konsekracyi?

KSIENI, w trosce widocznej, przerywając mu.

Panna de Maupers przygotowuje się do ceremonii, tak, mój ojcze. Chwila milczenia; potem, jak gdyby ulegając nagle nagabywaniu jakiemuś wewnętrznemu: Przed rozpoczęciem nabożeństwa, pozwól mi odwołać się do twej wiedzy co do całego szeregu szczególnych okoliczności, których wspomnienie dotąd jeszcze zajmuje mi umysł. — Okoliczności te poddały mi pewne przypuszczenie... rodzaju tak niesłychanego... że waham się wziąć tu, na swoją odpowiedzialność, przeczucie za pewność: potrzebuję twego zdania, mój ojcze. Chodzi o Sarę. — To młode dziewczę, smukłe i białe jak świeca wielkanocna, jest dla nas sercem zamkniętem, które wie dużo rzeczy.

ARCHIDYAKON.

Ja także nie dowierzam opornej owieczce. Myślę wszakże, iż klasztorny sposób życia przełamie z czasem — chciałem powiedzieć, powróci nam — dzikie to dziecko; tak, ufam, że, przy łasce i ciągłem zwracaniu do Boga, wszystko pójdzie dobrze. — Czyżby prowadzenie się jej było w istocie swej występne?

KSIENI.

Jest zbyt zimno wzorowe. Częstokroć karałam ją, aby wypróbować jej wytrwałość. Znosiła wszystko; ale, powtarzam ci, mój ojcze, uległość jej jest tylko zewnętrzna. Ostrze kary przytępia się na niej i umacnia ją tylko w pysze. Jak gdyby przerywając sama sobie: Ta dziewczyna jest jak stal, która zegnie się w pół, aby potem rozprężyć się lub pęknąć; ma ona (jeśli wolno odważyć się na takie wyrażenie) duszę szpady. I niejednokrotnie widok jej przejął mnie samą jakimś dreszczem tajemnego niepokoju.

ARCHIDYAKON.

Czy nie próbowała nigdy uciec z klasztoru?

KSIENI, potrząsając głową.

Czuje, że we dnie i w nocy ustawicznie na nią baczymy; usiłowanie ucieczki naraziłoby ją na surowsze zamknięcie.

ARCHIDYAKON, patrząc na nią, po chwili.

Trzeba także strzedz się, w tego rodzaju sądach, aby samemu nie mówić pod władzą Szatana! — Dobrze będzie oznajmić siostrze Emanueli, tytułem przypomnienia, o środkach ostrożności, których jest przedmiotem. Oto wszystko.

KSIENI, z nieokreślonym, zimnym uśmiechem.

Pod władzą Szatana?... A więc sądź sam, mój ojcze: oto fakta, w ścisłem ich następstwie. Ja uważam je za... posępne.

Siada, opiera się o jedną ze stall, rozmyśla kilka chwil; potem, powoli, i podnosząc oczy na Archidyakona, który stoi naprzeciwko niej:

Wiesz, ojcze, że prastara sekta Różokrzyżowców zajęła, przed trzema wiekami, w ciągu jakiejś wojny, nasze opactwo. Zostawili oni, na górze, różne dzieła, poświęcone, jak same mówią, dyalektom tyryjskim, zapomnianym narzeczom, których używano w Gezerze czy w Tadmorze — alboż ja wiem?... Zachowałyśmy te pisma, jako osobliwość. — Przedewszystkiem, nie zdumiewająca-ż to rzecz, iż zastawałam często Sarę, zatopioną w wytrwałem dzieł tych badaniu? — Ach, proszę cię, mój ojcze, zauważ dobrze ten szczegół, który za chwilę stanie się nader zajmującym.

ARCHIDYAKON, z uśmiechem zrazu, posępniejąc potem.

Zaprzeczyć niepodobna, iż lepiejby zrobiła, rozpamiętując swe *Laudes*. A potem, księgi te nie są bynajmniej księgami mądrości... Trzeba je zniszczyć, zaraz jutro, spalić na popiół... Różokrzyżowcy, aby uniknąć stosu, mieli zwyczaj ukrywać, pod pozornemi modlitwami, ohydne formuły...

KSIENI.

Księgi te są teraz — niestety, za późno! — w mojej celi. — Otóż trzy lata temu, w pewien ranek zimowy — była to, przypominam sobie, wigilia święta Matki Boskiej Gromnicznej — zeszłam o dość wczesnej godzinie do biblioteki; znalazłam w niej tę zadziwiającą dziewczynę. Przepędziła tam noc, sama jedna, i pomimo ostrego zimna. Nie spostrzegła mego wejścia; nie zauważyła, że na nią patrzę!... Dopalała nad lampą pierwszą kartę zakurzonej księgi, pierwszą, pargaminową kartę owego gotyckiego modlitewnika, o klamrach z emalii, który przysłał nam niegdyś z Niemiec jakiś korespondent Jego Wielkości patryarchy Pola, pobożnego naszego biskupa.

ARCHIDYAKON.

Tak... przypominam sobie... jakiś lekarz węgierski, którego sam patryarcha nie znał wcale i nigdy nie widział: — doktór... Janus.

Siedm płomyków okolnych lampy wiekuistej rzucają nagle jasność bardzo żywą, potem gasną wszystkie naraz.

KSIENI, wołając.

Siostro Laudacyo... Prędko! — Lampa! lampa!... Zkąd to może pochodzić? — Będziesz miała za to pokutę w refektarzu!

Siostra Laudacya przybiega, składając ręce.

Siostra LAUDACYA, wzburzona, z jakimś rodzajem obłąkania.

Moja matko, zapomniałam napełnić ją dzisiejszego wieczora! To prawda! A nigdy mi się to nie zdarzyło, odkąd noszę klucze u pasa.

Zapala lampę, w milczeniu; potem cofa się za ołtarz.

ARCHIDYAKON.

Mówiłaś zatem, siostro, że Sara niszczyła ten pargamin?

SCENA IV.

ARCHIDYAKON, KSIENI, sami.

KSIENI.

Mój ojcze, czy przypominasz sobie choć trochę kartę, o której ci mówię? pokryta ona była znakami zadziwiającej formy, którym niewiele poświęciliśmy uwagi, nie mogąc ich przetłómaczyć.

ARCHIDYAKON.

W istocie: wezwanie pobożne, zapewne?

KSIENI, coraz bardziej zamyślona.

Znaki owe podobne były niezwykle do tych, których znaczenie znajdujemy podane w księgach Różokrzyżowców? — Karta pargaminowa była później dodana w modlitewniku i opatrzona pieczęcią z tym oto herbem.

Wskazuje na tytuły.

ARCHIDYAKON, po chwili.

Nie rozróżniam jeszcze dobrze twej myśli. Ciągnij dalej, siostro. Jakim sposobem ten postępek bez znaczenia... i nawet chwalebny do pewnego stopnia?...

KSIENI, z nieruchomie w przestrzeń wlepionemi oczyma, i jak gdyby mówiąc do siebie samej.

Twarz Sary jaśniała, w owej chwili, wyrazem tajemniczej jakiejś radości! radości głębokiej a straszliwej. Nie, to, co przeczytała przed chwilą, nie było modlitwą!... Powierzchowność jej miała w sobie coś uroczyście nieznanego, niezapomnianego. — Jęłam wypytywać ją, z oczyma w jej oczach, znienacka. — Spojrzenie, które podniosła na mnie powoli, było takie zamarłe, że miałam wrażenie niebiezpieczeństwa. Odpowiedziała mi, po chwili milczenia i z wielką bladością, że zniszczyła, poprostu, czczą pamiątkę pychy... swój własny herb, napotkany na tej stronnicy. — Podejrzana żarliwość! — Odczytałam na nowo list patryarchy, aby upewnić się o prawdzie. Książka pochodziła w istocie od zmarłej kasztelanki von Auersperg — i to zdawałoby się objaśniać, dzisiaj, słowa Sary... A jednak, mój ojcze, zachowałam, wyznaję to, od owej chwili, która trwała mgnienie błyskawiczne, tak, zachowałam pewną myśl... oh! myśl niejasną, zabobonną być może, — ale której nie mogę się pozbyć!... Podejrzenie, które mam względem Sary może, jedynie, dać nam w ręce klucz do tej natury nieodgadnionej, surowej i oziębłej, którą w niej spostrzegamy. Nie widział-żeś jej często, mój ojcze, podobnie jak ja, błądzącej pod arkadami klasztoru, skupionej w sobie i jak gdyby zgubionej w — Bóg wie jakiem — marzeniu milczącem?

ARCHIDYAKON, spoglądając na nią uważnie.

Myślisz, siostro, że młode to dziewczę?...

KSIENI, z wielką chmurą na czole.

Tak, to jest wewnętrzne przekonanie moje, myślę, że Sara de Maupers zdołała wyczytać jakąś radę czy przestrogę posępną, jakąś niezwykłą wiadomość, — jakiś podszept... wszechwładny! jakąś tajemnicę wielkiej wagi, tak, mój ojcze, jakąś tajemnicę pełną znaczenia, niewątpliwie! — która została pogrzebana z tą kartą zniszczoną.

ARCHIDYAKON, po chwili.

Powiedz mi, siostro: wrota główne świątyni będą zamknięte dzisiejszego wieczora, nieprawdaż?

KSIENI.

Założono sztaby żelazne w przedsionku kościoła. Nawa będzie pusta. Marynarze i ludzie z naszej osady pójdą do miasta na mszę północną.

ARCHIDYAKON.

Dobrze. Od chwili, gdy wymówi śluby, trzeba otoczyć ją niesłychanie czujnym dozorem.

KSIENI, półgłosem.

Ależ, nareszcie!... spodziewałam się i musiałam się spodziewać, że dusza ta nie jest ci tak zupełnie nieznaną, mój ojcze! Nie zdradziła-ż się nawet wtedy, gdy w trybunale twoim, na klęczkach...

ARCHIDYAKON, przerywając jej.

Tu nic nie mogę odpowiedzieć: mówmy o tem, co wiemy. Śluby zakonne przynoszą z sobą często łaski szczególne, a widzimy, że ona wielką ma ich potrzebę. Obawiam się, co prawda, aby umartwienia nie były dla niej, do pewnego stopnia, koniecznością...

KSIENI, spokojnie.

Niewątpliwie, musimy ją zbawić! zbawić od niej samej! I jeżeli ma ona w sercu jakiś chwast piekielny, musimy go wykorzenić dla jej zbawienia! — I patrz, ojcze, dokąd sięga uwodzicielska potęga tej młodej dziewczyny! Prosiłam najmłodszą z naszych konwersek, siostrę Aloizę, serce proste i duszę anielską, aby poszukiwała jej towarzystwa. — Miałam nadzieję, że w ten sposób, prędzej czy później, uda się podchwycić jakieś mimowolne wyznanie... dotyczące niebezpiecznych ukrytych myśli Sary. — Cóż się stało? rzecz nieoczekiwana, nieprawdopodobna. — Twarz, niesłychana piękność panny de Maupers oczarowały do głębi siostrę Aloizę: stała się milczącą i jakby olśnioną.

ARCHIDYAKON, który zadrżał.

Strzeżcie się! — To już blizkie starożytnych urzeczeń przez czary! Wstrętne gorączki Ziemi i Krwi wyziewają posępne opary, zgęszczające atmosferę duszy i zasłaniające nagle i zupełnie oblicze Boga. — Post, modlitwa są niekiedy bezsilne!... Niebezpieczna rzecz, niebezpieczna rzecz! z nowym dreszczem: — Zgroza!

KSIENI, lodowatym tonem.

Mój ojcze, zażegnywałam już inne niebezpieczeństwa. Gdy tej nocy odprawiać będziesz nad Sarą nabożeństwo za dusze zmarłe, Poręczycielką jej, odpowiadającą na zapytania, będzie właśnie siostra Aloiza: wybrałam ją na Penitentkę-tłómaczkę. — Co do twojej homilii, ojcze, możesz mówić do Sary, jak gdybyś potrzebował uderzyć serce i umysł pewnego rodzaju niedowiarka... nie dającego się określić! — umysł zwłaszcza! Myślę, że ten jej należy do najabstrakcyjniejszych i najgłębszych!... Moje stadko białych dusz nie zrozumie cię: zgorszenia zatem

niema co się obawiać. — Ona jedna pójdzie za tobą, jestem pewna, z całą łatwością, w te otchłanie roztrząsania myślowego, które są jej aż nazbyt znane.

ARCHIDYAKON, wielce zdumiony, z półuśmiechem.

Jakto? Co mówisz, siostro? — Czyżbyśmy śnili?

KSIENI.

Ach, gdybym śmiała odkryć... całą myśl swoją! A jeżeli dodam przynajmniej, że jej niesłychanie rozległa wiedza, przebłyskująca nieraz w ścisłych i krótkich jej odpowiedziach, dała mi poznać, zbyt późno, niestety, że, gdym ja myślała, iż pozwalam jej bawić się czytaniem, jej nadzwyczajny umysł dotarł, bez pomocy, aż do ostatnich arkanów całej tej erudycyi — ukrytej, tam na górze, w tysiącach dzieł tak różnych!

ARCHIDYAKON, zamyślając się.

Chmurna sierota, zaiste, którą tyle książek mogło nęcić i skusić!

KSIENI.

Bierz, ojcze, poważnie to, co mówię; uważam ją za obdarzoną darem straszliwym, Pojmowania.

ARCHIDYAKON, z powagą.

W takim razie, niech drży, jeżeli nie stanie się świętą! Marzenie zgubiło tyle dusz! — Zwłaszcza w kobiecie, dar ten staje się częściej żagwią pożaru, aniżeli pochodnią światłości... Niechaj zatem nie czyta już, póki wiara, dobrze umocniona, nie oświeci jej o nicości ksiąg ludzkich. Powinna byłaś powiadomić mię, siostro, wcześniej o tej jej właściwości. Jak widzę, muszę zatem z poddaniem

zabawić się w wymowę dzisiejszego wieczora, w mojej nauce egzortacyjnej. Młode umysły, spochmurniałe przez zbyt wczesne rozmyślania, wrażliwe są zazwyczaj na szychy wyrażeń śmiertelnych. — Wymowa! Jak gdyby cała ona nie była pod stopami tych, którzy mogą odmówić Ojcze nasz! Jak gdyby, naprzykład, olśniewające słowo św. Pawła: *Omnis christianus Christus est*, potrzebowało ozdób lub gloss próżnych, gdy samo wyraża Boga! — Niestety! rozumiem zacnego Chryzostoma i jego łzy litości, i wstydu bez wątpienia, gdy widział wiernych swych, jak, zamiast przejąć się treścią istotną, którą głosiły jego słowa, zachwycali się raczej, jak w teatrze, harmonią fizyczną, skorupą świetną, pięknością zmysłową, frazeologią! Jakże błagał wówczas Boga o przebaczenie, dla nich i dla siebie, za śmieszne to zgorszenie! Nędza! Porządne razy dyscypliny, długie i korne modły, ostre umartwienia, surowe posty, oto co daje treść naszej wierze, oto co ma jakąś wartość, oto co w Śmierci znaczy i waży cośkolwiek, oto co stwarza prawo i zamienia w stan stały naszą nadprzyrodzoność. — Ostatecznie! jeżeli potrzeba wymowy, aby przekonać tę duszę zagrożoną... wzgardliwie: będę ją miał dzisiejszej nocy, — tak! i wyczerpawszy całe koło pedantycznych przytoczeń, podług zwyczajów scholastyki świętej, poważę się sam zwalczać, jako krasomówca, jej grzeszne wahania — nie zapominając jednakowoż o wielkiem słowie widzącej u Psalmisty: *Quoniam non cognovi litteraturam, introibo in potentias Dei.*

KSIENI.

A jednak powinnabym przypuszczać, że jest dobrze usposobiona! Może usiłuje modlić się! — Spojrzyj, ojcze, podpisała oto przed chwilą i złożyła w me ręce zrzeczenie się ziemskich dóbr swoich.

ARCHIDYAKON, oglądając akt darowizny:

O! zapomniałem! to prawda. Iluż biednych żywić będziemy mogli! Setki całe! Iluż pielgrzymom ulgę przynieść!... Tak, być może, iż łaska skuteczna tknęła ją! Dręczymy się może jednem z tych podejrzeń bezprzedmiotowych, które duchy Zła zsyłają na nas w okolicznościach uroczystych, aby zaniepokoić naszą słabość!

KSIENI.

Co łóżek dla chorych! Co chleba białego, co kordyałów krzepiących! Ileż dobrego zrobić można przy pomocy tego złota wydartego Mamonowi!

ARCHIDYAKON, w zadumie.

Oręż książęcia Zła zwróci się w ten sposób przeciwko niemu samemu! A więc, pokój niech będzie w nas!

Oboje klękają przed ołtarzem; potem, wznosząc ręce ku Niebu:

KSIENI i ARCHIDYAKON, razem, pełnym głosem.

Chwała Bogu strapionych, który natchnął Samarytanina!

Dzwony. — Ołtarz płonie teraz od świateł, i odblaski szerzą się na całe wnętrze świątyni.

CHÓR MNISZEK, zewnątrz kościoła, idących i śpiewających jednostajnie.

O virgo! mater alma! fulgida Cœli porta!
Te nunc flagitant devota corda et ora,
Nostra ut pura pectora sint et corpora!

Drzwi prowadzące do klasztoru otwierają się; zakonnice w szatach białych, rozpromienione i pełne skupienia, ukazują się i wchodzą w półkole stall. — Starzec, w komeżce akolity, wychodzi z za ołtarza i staje na prawym rogu pierwszego stopnia.

SCENA V.

ARCHIDYAKON, KSIENI, Siostra LAUDACYA, MINISTRANT PRZY NABOŻEŃSTWIE ZA DUSZE ZMARŁE, MNISZKI.

Organ. Cztery rzędy stall zapełniły się teraz. Dwie zakonnice, w habitach świątecznych, zbliżają się do ołtarza, biorą kadzielnice i sypią w nie kadzidło. Inne, stojąc na stopniach z koszykami w ręku, rzucają garściami płatki kwiatów na podnóżek ołtarza. Ksieni, trzymając biały pastorał, zasiadła na swej stolicy opackiej. Odziano ją przed chwilą w kapę jaśniejącą. Harmonia kantyku wzbija się w górę. Archidyakon, w czarnej stule, zbliża się do ołtarza; Ministrant przyklęka. Dzwonek złoty odzywa się. To Introit.

Jedna ZAKONNICA, sama.

In te, Domine, speravi: non confundar in æternum.

CHÓR.

Amen.

ARCHIDYAKON.

Judica me Deus, et discerne causam meam de gente non sancta!...
Po chwili, wstępuje po stopniach ku Cyborium. Części wstępne mszy świecznikowej odmawiają się dalej cichym głosem, w oczekiwaniu północy. Wkrótce dzwonek odzywa się na ofiarowanie: wszystkie mniszki powstają.

SCENA VI.

CI SAMI, SARA i siostra ALOIZA.

Organ grzmi. Sara ukazuje się, odziana w długą tunikę z mory białej, w naszyjniku z opalów świętych, spływającym jej na piersi. Wspiera się na ramieniu siostry Aloizy, bladej i uśmiechniętej. Kwiecie pomarańczowe przeplata jej ogromne włosy, rozpuszczone i spadające falisto, czernią rozwianą, na suknię.

Twarz jej jest jak gdyby wyrzeźbiona w kamieniu.
Na jej widok, kwiaty zaczynają się sypać pod jej stopy, kadzielnice w żywszem wzbijają się kołysaniu.
Klęka przed ołtarzem, na płycie kamiennej, w milczeniu; potem, kładzie się krzyżem, wspierając czoło na splecionych rękach.
Siostra Aloiza upuszcza na nią ogromny całun biały, usiany gęsto plamami złotemi, wyobrażającemi łzy rzęsiste, i nakrywa ją nim całkowicie.
Gromnica mistyczna płonie tuż nad czołem Sary, na pierwszym stopniu ołtarza.

ARCHIDYAKON,

na podnóżku ołtarza, zwracając się do obecnych.

Jest-że tu jaka dusza, która chciałaby ukrzyżować swe życie śmiertelne, wiążąc się na zawsze z ofiarą boską, którą złożę za chwilę?

Siostra ALOIZA, występując naprzód.

Ego pro defuncta illa! Ego vox ejus!

Staje przy Sarze, i śpiewa formułę konsekracyi.

Suscipe me, Deus! secundum eloquium tuum, et vivam!

Dzwon pogrzebowy uderza raz.

MINISTRANT PRZY NABOŻEŃSTWIE ZA DUSZE ZMARŁE.

Si iniquitates observaveris, Domine, Domine, quis sustinebit!

ZAKONNICE, procesyonalnie obchodząc Sarę dokoła, z zapalonemi gromnicami w ręku.

Requiescat, et ei luceat perpetua Lux!

Siostra ALOIZA, pokropiwszy wodą święconą całun pogrzebny.

Resurgam!

ZAKONNICE, oddalone głosy, z organem.

In excelsis.

CHÓR, na scenie.

Amen.

Teraz stary Akolita, na samym podnóżku ołtarza, odziewa Archidyakona w znaki dostojeństwa, przy których dawni wielcy Przeorowie opactw mogli przyjmować śluby pontyfikalnie. W długiej kapie czarnej, spiętej klamrą na ramionach, z infułą mniejszą na głowie, wspierając się na pastorale złotym, Archidyakon, pod baldachimem z czarnej purpury, wyszywanej w złote kościotrupy, który podtrzymują, otulone w długie welony, cztery najstarsze Matki opiekunki Opactwa, zstępuje ku Sarze, ciągle krzyżem leżącej. — Organ cichnie.

ARCHIDYAKON.

Jeżeli ta, która umarła już dla ziemi i leży tu, przed obliczem Boga, odpycha na zawsze nędzne radości, jakie mogą jej dać ciało i krew, niech będzie pozdrowiona u stóp ołtarza!

Siostra ALOIZA, wskazując Sarę obu rękoma.

Ecce ancilla Dei.

Na to słowo, i podczas milczenia, które po niem nastąpiło, siostra Laudacya, na znak Ksieni, zbliża się do siostry Aloizy i wręcza jej wielkie nożyce srebrne. Siostra Aloiza odbiera je i, zmrożona, przymyka oczy.

ARCHIDYAKON, zatrzymując się na trzecim stopniu, do Sary.

Jest-żeś istotnie tą powołaną z Góry, chcącą żyć w kornej czystości, która nas oświeca? tą, która z Cecylią wołać chce ku Stolicy: „*Fiat cor meum immaculatum ut non confundar!*“ tą, która, za dni niewiele, spocząwszy na pięknych skrzydłach śmierci, uleci, wzlotem przeświętym, ku duchom pałającym miłością i światłem, ku *beata Seraphim*, o których mówi zbożny Areopagita? O kobieto! jeżeli ofiarujesz się, niby dobrowolna ofiara całopalna, dla miłości Boga, staniesz się samą miłością urzeczywistnioną, gdy wstąpisz w wieczność swoją. Dzwon pogrzebowy.

Bo wieczność, powiada wybornie święty Tomasz, jest tylko zupełnem posiadaniem samego siebie w jednej i tej samej chwili. A: „Miłość moja jest moją wagą! mówi nam święty Augustyn. Zaprzepaść się zatem, jeżeli jesteś sercem niebiańskiem, w Tym, który jest miłością samą! Wierz, a żyć będziesz; bo Wiara, podług wyrażenia świętego Pawła, jest treścią samą rzeczy, których człowiek *powinien* spodziewać się. Dzwon.

Przez nią odrodzisz się, przemieniona we własny twój kantyk, albowiem dusza jest harmonią, jak mówi, z natchnieniem święta Hildegarda. — *Pulcher hymnus Dei homo immortalis!* powiedział również Laktancyusz, umysł wielce chwalebny i wymowny. Znienawidź jedną rzecz tylko: każdą przeszkodę w powrocie ku Bogu! każdą granicę, to jest, Zło! Znienawidź je ze wszystkich sił swoich! Bo, jak określa z przedziwną ścisłością święty Izydor z Damietty, wybrani, wychylając się z wyżyny Niebios, aby patrzeć na męki potępionych, odczuwać będą na widok ich katuszy, radość niewysłowną, bez czego, owocność dzieł bożych, oraz spółuwielbienie dla nieskończonej ich sprawiedliwości — (które jest *formą* Raju właśnie) — byłyby niezupełne.

Oh! jeżeli nie pojmujesz jeszcze ducha naszych dogmatów, jeżeli twoja glina wstrząsa się nań, niechaj ci dano będzie zgłębić je, skoro Bóg uczynił cię tak dziwnie pilną i wytrwałą, jak gdybyś powołana była do dorównania największym z kobiet świętych. — *Negligentiae mihi videtur si non studemus quod credimus intelligere*, powiedział w bardzo szczęśliwem wyrażeniu, święty Anzelm. Ale badaj z pokorą i, nadewszystko, z sercem zawsze prostem, jeśli chcesz posunąć się naprzód w wiedzy Boga: — w ten sposób zachowasz tę godność nadziei, bez której nawet pokora nie ma wartości doskonałej... i wkrótce, bez

wątpienia, łaska pouczy cię, że jedyną drogą do rozumienia jest modlitwa.

Nie zapominaj, że nigdy nie będziesz duchem czystym: dusza twa nawet, dusza twa nieznikoma, składa się, naprzód, z *materyi*, aby módz wiekuiście odczuwać rozkosz lub cierpienie, pozostając odrębną od Boga. *Materia prima*, powiada Anioł ze Szkoły, pytanie siedmdziesiąte piąte... I pamiętaj, że bulla Klemensa V ściga klątwą każdego, ktoby śmiał zamarzyć rzecz przeciwną! — A gdyby, po za obrębem myślowego posłuszeństwa względem Kościoła, umysł twój buntował się — i szukał Boga w inny sposób, niestety! — powtarzaj sobie gwoli swemu zbawieniu, owo mętne nieco wyznanie retora pogańskiego: „Taka jest próżność i ułomność rozumu Człowieka, że nie zdoła on pojąć Boga, *któremu chciałby być podobien!*“ — Umiej zatem powściągać pychę śmiesznie nędznego rozumu swego. Gdzież indziej szukać dowodu Boga, jeśli nie w modlitwie? Nie jest-że Wiara jedynym dowodem każdej rzeczy? Żaden inny, czy to dostarczony przez zmysły, czy przez rozum, nie zadowolniłby, wiesz to z góry, twojego ducha. Od tej chwili, po cóż nawet szukać?... Wierzyć, nie jest-że to przerzucić się w przedmiot wierzenia swego i urzeczywistnić w nim siebie samego? Twierdź, jak sama jesteś stwierdzona: to będzie najmądrzej!.,. Osiągnąwszy, następnie, przez modliwę, uczucie obecności Boga, trzymać się już będziesz tej mądrości! Dosięgniesz, jednym skrzydeł rozmachem, swojej nadziei. — Podczas gdy nie istniałaś jeszcze, powiedzmy — wczoraj, Bóg wierzył w ciebie skutecznie, ponieważ oto jesteś, cała powołana poza obręb Nieistnienia uprzedniego przez Wiarę twórczą! Odpowiedz Mu więc echem na Jego wołanie! Ty teraz wierz w Niego! Twoja teraz kolej STWORZYĆ Go w sobie, z całego *bytu* twego życia! Jesteś tu na ziemi, nie aby szukać „dowo-

dów,“ lecz aby okazać, czy, przez miłość i wiarę, ważysz wagę zbawienia. Dzwon.

Słuchaj dalej, póki dzwon za umarłych dzwoni dla ciebie. — Gdyby każda z Trzech Tajemnic, tych pierwiastków boskich, nie wydawała się niemożliwą i niedorzeczną glinie i pysze naszych oczu, jakąż zasługą byłaby wiara w nie? I gdyby były możliwe i z rozsądkiem zgodne, uznałażbyś je za boskie, skoro ty, proch, mogłabyś zmierzyć je jedną myślą? Jeżeli zatem są niedorzeczne i niemożliwe, są właśnie tem, czem winny być, i, jak poucza Tertulian, przez to, przedewszystkiem innem, dają najpierwszą rękojmię swej prawdy: ich niedorzeczność ludzka jest jedynym punktem świetlnym, który czyni je dostępnemi naszej jednodniowej logice, pod warunkiem Wiary. Oczyść więc na zawsze duszę swą z tego bielma pychy, które, samo jedno, zasłania jej widok Boga; przestań być ludzką, bądź boską. Świat uważa nas za szaleńców, którzy, tonąc w złudzeniach, poświęcają dni swe dziecinnemu marzeniu, widmu nieba urojonego. — Ale, jakiż człowiek nie przyzna, gdy godzina jego nadejdzie, że rozproszył życie na gorzkie i nigdy niedościgłe marzenia, na znikomości, które go zawiodły, na ciągłe rozczarowania, które nawet miały zapewne rzeczywistość w jego duchu jedynie? Jakiem prawem tedy miałby świat z góry na nas patrzeć, nawet gdyby nam się spodobało przełożyć, świadomie, podniosły sen o Bogu nad śmiertelne kłamstwa ziemi?... Jakto? serca nasze pełne są gorącości i zapału, pogoda nasza stała się głęboką i niezakłóconą, Niebo, odgadnięte, przenika nas, tu już na ziemi, błogosławioną miłością, modlitwa staje nam się wizyą, egzegeza — najprostszym kluczem Oczywistości... a dzieci wieku, w imię bolesnego znużenia, jakie im pozostawia kłamliwa rzeczywistość zmysłów, poważają się zwać urojonem nasze niewątpliwe szczęście? — Precz z tem! Z uśmiechem.

Złudzenie za złudzenie! My zachowamy nasze, *złudzenie* Boga, które jedynie daje swym wiekuiście zaślepionym radość, światło, siłę i spokój. Żadne stworzenie, żadne życie nie uniknie Wiary. Człowiek przekłada tylko jedno wierzenie nad drugie, i nawet u tego, który wątpi, przy całej nieokreślności jego myślenia, wątpienie, które duch jego przyjmuje dobrowolnie, jest tylko pewną formą Wiary, ponieważ, w zasadzie, jest ono również tajemniczem, jak nasze tajemnice. Tylko że powątpiewający pozostaje ze swem wahaniem, które staje się nicościową sumą jego życia. Sądzi, że „analizuje,“ a kopie grób dla swej duszy, powraca ku nicości, która nie może się odtąd zwać inaczej jak Piekłem, — bo zapóźno już, aby módz nie istnieć. Jesteśmy nieodwołalni. Dzwon.

Tak, Wiara otacza nas dookoła. Wszechświat jest tylko jej symbolem. *Trzeba* myśleć. *Trzeba* działać. Jesteśmy zmuszeni do tej niewoli: myślenia. Powątpiewać o tem jest to ulegać jeszcze. Niemasz uczynku, któryby nie był wytworem instynktowej myśli, niemasz myśli któraby nie była ślepą w swoim zarodku pierwiastkowym. Ponieważ tedy nie możemy stać się niczem innem, jak naszą myślą, związaną z tajemnem ciałem naszych postępków, myślmy i działajmy w ten sposób, aby Bóg jakiś mógł w nas powstać! — i to zaraz, od samego początku! jeśli chcemy osiągnąć wiarę, to jest, zasłużyć na zdolność wierzenia.

Wszystkie marzycielstwa przeciwne rozszerzaniu duszy naszej w Bogu, są *czasem straconym,* który Zbawiciel jedynie odkupić może. — Wszystko WYSILA SIĘ naokół nas! Ziarnko zboża, gnijące w ziemi i nocy, widzi-ż ono słońce? Nie, lecz ma wiarę. Dlatego prze się w górę, przez śmierć i skroś śmierci, ku światłu. Tak się dzieje z wybranemi zarodkami wszystkich rzeczy. Wyjęte są jeno zarodki niedowiarcze, w których drzemie Zwątpienie

ze swemi nieczystościami i zgorszeniami, i które, jako zupełnie obojętne, umierają w całości. My — jesteśmy zbożem Boga; czujemy, że wskrześniemy w Nim, — który, podług światłych i wspaniałych słów pewnego teologa, jest miejscem duchów, podobnie jak przestrzeń jest miejscem ciał. Dzwon.

Wierzyć w oczekiwaniu i modlitwie! z sercem pełnem miłości! oto nasza nauka. I gdyby nawet, wbrew możebności, jak Sobór nas uprzedza, anioł z nieba zstąpił nauczać nas czego innego, wytrwalibyśmy, pewni i niezłomni, w naszej wierze. Chwila milczenia.

— A teraz, Ewo-Saro-Emanuelo, księżniczko de Maupers, przypomnij sobie potęgę słów przysięgi, wymawianych przed tymi, którzy zastępują na ziemi Pana, tymi, na ROZKAZ których słowo staje się ciałem. Wymów więc, dobrowolnie, śluby najwyższe, które zobowiążą twą duszę,

CHÓR ZAKONNIC.

Ecce inviolata soror cœlestis!

ARCHIDYAKON, ciągnąc dalej, naprzemian z chórem.

...twoją krew, twe istnienie, w tym świecie i w innym,

CHÓR ZAKONNIC.

Ecce conjux!

ARCHIDYAKON.

...twoją nadzieję jedyną i nieskończoną.

CHÓR ZAKONNIC.

Sacra esto!

ARCHIDYAKON.

Saro! twa obrączka oblubienicy błyszczy na tym ołtarzu. Kocham Boga, to znaczy „Bóg mnie kocha,“

powtarzam ci!... Kochaj więc, i *czyń potem, co zechcesz!* woła Augustyn święty. — Saro, czy słyszysz te głosy, już niebiańskie, które cię wołają?... Jedno słowo, i podniosę prawicę nad czołem twem, aby cię rozgrzeszyć, — i, poświęcona na zawsze Światłu, związana będziesz w Niebiesiech! Wówczas, przed wskrzeszoną, nabożeństwo żałobne, przemieniając się nagle w mszę uwielbienia, w szatach złotych, świątecznych, zakończy się w radości i weselu tej północy Dobrej Nowiny! I lilia twych ślubów rzucona zostanie przez Aniołów w żłobek Dzieciątka,

Dzwon pogrzebowy wydzwania trzy uderzenia bardziej przyśpieszone, potem ucicha.

— Ale... dwudzieste trzecie uderzenie tego dzwonu, który liczy lata umarłych, uprzedza mnie, że trzeba cię pozostawić samą z twą duszą w ciągu tej ostatniej chwili, podczas której winnaś myśleć już tylko o Sądzie nieodwołalnym.

Powierzywszy pastorał swój Ministrantowi klęczącemu po prawej stronie, wstępuje ku cyboryum, aby wziąć Krzyżmo święte.

MINISTRANT PRZY NABOŻEŃSTWIE ZA DUSZE ZMARŁE,

odmawia, głosem monotonnym, tekst świętego Bernarda o *Przygotowaniu do Sądu ostatecznego:*

Attende, homo, quid fuisti ante ortum et quod eris usque ad occasum. Profecto fuit quod non eras. Postea, de vili materia factus, in utero matris de sanguine menstruali nutritus, tunica tua fuit pellis secundina. Deinde, et vilissimo panno involutus, progressus es ad nos, — sic indutus et ornatus! Et non memor es quæ sit origo tua. Nihil est aliud homo quam sperma fœtidum, saccus stercorum, cibus vermium. Scientia, sapientia, ratio, sine Deo Christo, sicut nubes transeunt.

Post hominem vermis: post vermem foetor et horror;
Sic, in non hominem, vertitur omnis homo.

Cur carnem tuam adornas et impinguas, quam, post paucos dies, vermes devoraturi sunt in sepulchro, animam, vero, tuam non adornas,— quæ Deo et angelis ejus præsentenda est in Cœlis!

Milczenie.

Siostra ALOIZA i ZAKONNICE, jednym głosem.

Tuis autem fidelibus, vita mutatur, non tollitur! Et, dissoluta terrestri domo, cœlestis domus comparatur!

Głos dzwonka złotego.

Sara odsłania twarz, dźwiga się z ziemi u stóp świecznika i opiera się na łokciu na pierwszym stopniu ołtarza. Opale naszyjnika mistycznego migocą śród dymów kadzidła; ulewa płatków liliowych zaściela kobierzec dokoła niej.

Podniosła się, śród kadzielnic i gromnic, przed archidyakonem; stoi teraz wyprostowana, nieruchoma, ze skrzyżowanemi rękoma i spuszczonemi powiekami. Na ramionach jej połyskują złote łzy całunu pogrzebowego, którego wielkie fałdy spadają za nią i rozpościerają się na płytach kamiennych.



§ 2. Odstępczyni.

ARCHIDYAKON, zstępuje ku niej z powrotem, trzymając gral złoty.

Tej nocy wzniosłej, wschodzi dla ciebie także Gwiazda królów-Magów i pasterzy!

Odkrywa Krzyżmo święte; mniszki przyklękają.

Odpowiadaj! przyjmujesz Światło, Nadzieję, Życie?

SARA, głosem poważnym, bardzo wyraźnym i bardzo słodkim.

Nie.

ARCHIDYAKON, z dreszczem zgrozy, upuszczając naczynie poświętne na stopnie ołtarza, kędy rozlewa się olej święty.

Wielki Boże!

Cofa się: ręka jego konwulsyjnie chwyta się z powrotem laski złotej pastorału; wspiera się na niej. Zakonnice, przerażone, oddalają się śpiesznie i w nieładzie, gasząc gromnice; brewiarze spadają tu i ówdzie. — Hałas opuszczanych raptownie stall. — Wszystkie mniszki, drżąc i otulając się naprędce w wielkie welony, otaczają Ksienię, która powstała i patrzy na odstępczynię. Osłupienie. Milczenie. Siostra Aloiza padła, jak w omdleniu, u stóp Sary. Dokoła nich porzucone koszyki kwiecia i kadzielnice jeszcze dymiące.

Siostra LAUDACYA, do siebie, żegnając się.

Rozumiem, teraz! złą przepowiednię z dzisiejszego wieczora: lampa Boga zgasła... lampy Panien głupich gasły również przed Oblubieńcem!

KSIENI, blednąc i jak gdyby dusząc się.

O nocy przerażenia!

Północ uderza. — Radosne bicie we wszystkie dzwony w oddaleniu. Dzwonienie sygnaturek.

CHÓR ZAKONNIC, niewidzialny, koło organu, wybuchając nagle.

Kolęda! Kolęda! Alleluja!
Hodie contritum est, pede virgineo,
Caput serpentis antiqui!

KSIENI, bijąc pastorałem w płyty kamienne.

Przestańcie! przerwijcie śpiewy!

CHÓR, koło organu, jednocześnie, głusząc jej głos.

Kolęda! Alleluja! Kolęda!

Zakonnice na ganku organowym, nie widziały zajścia, które zdarzyło się przed ołtarzem: i chóry, przy biciu w dzwony, wielbią z uniesieniem chwałę Narodzenia Bożego. Zresztą, same nie mając dzieci! te dziewice wybrane — na wieść o dzieciątku-królu Aniołów, które zrodziło się w tej chwili, aby ukoić mistyczną ich tkliwość — cóż mogłyby dosłyszeć z rzeczy dziejących się na ziemi? Oh, te słodkie dusze, dziewicze na zawsze, nie wiedzą już o sobie samych!

CHÓR, koło organu, przy rozdwonie dzwonów zwiastujących radosną nowinę.

Adeste, fideles!
Læti, triumphantes!
Venite in Bethleem!

KSIENI, z wielkim krzykiem, pośród brzmiących dalej śpiewów i wybuchów *Alleluja.*

Cicho!... — Oh! to okropne!

Stary Ministrant, przestraszony, ucieka z sanktuaryum.

CHÓR, rozszalały w kantykach radosnych, przy grzmieniu organów i biciu w dzwony.

Natum videte, regem Angelorum;
Deum infantem, pannis involutum!
Venite, adoremus Dominum!

Siostra Laudacya bije gwałtownie w płyty swym kosszturem: kantyki milkną nagle; wielkie draperye z lekkiej wełnianej materyi rozsuwają się, odsłaniając kościół pusty i, pod migotaniem lampek wiszących, między filarami, krzesła, ławki i główne drzwi zamknięte. W głębi, na oświeconym ganku organowym, Siostry-śpiewaczki, zdumione i milczące teraz.

KSIENI, krzyczy, odchodząc prawie od przytomności.

Milczcie! Milczcie!

Dzwony, organ i śpiewy ucichły.

ARCHIDYAKON, z przerażającem westchnieniem.

Nareszcie!

KSIENI, wyciągając swój krzyż, z gestem zgrozy, ku drzwiom koło stall.

Uciekajcie! uciekajcie wszystkie, me córki! Idźcie, każda do swej celi, i tam, padłszy na twarz, w żarliwych modłach, błagajcie Boga o miłosierdzie! Nie będziecie słuchały mszy, dzisiejszej nocy. — Siostro Kaliksto, co mamy w skarbcu?

Siostra KALIKSTA, jąkając się, po chwili milczenia.

Trzysta dwadzieścia trzy sztuki złota, dwanaście talarów, i dwanaście soldów z kwesty dzisiejszej.

KSIENI.

Rozdasz to wszystko biednym jutro.

Drzwi prowadzące do klasztoru otwierają się: mniszki uciekają i znikają jak cienie.

Siostry z chóru opuściły już swe ławki, piętrzące się dokoła organu: — teraz, dwie czy trzy jeno czarne postacie, postulantek zapewne, chodzą tu i ówdzie między opuszczonemi siedzeniami, gasząc świece i zamykając antyfonarze. Niezadługo, ciemność uczyniwszy zupełną, odchodzą i one. Wszystkie zeszły teraz do klasztoru.

SCENA VII.

SARA, KSIENI, ARCHIDYAKON,

Siostra LAUDACYA, Siostra ALOIZA.

Ksieni schodzi ze swej stolicy i zbliża się do Archidyakona; stanąwszy koło niego na stopniach ołtarza, ciągnie dalej, głuchym i przerywanym przez wzruszenie straszliwe głosem, wskazując palcem na Sarę:

Mój ojcze, to był postępek opętanej. Trzeba będzie jutro oczyścić kościół ogniem! Zostawiam cię z nią. Jestem zmrożona i osłupiała. Świętokradztwo... oh! świętokradztwo jest tak wielkie, że Miłosierdzie nieskończone jedynie może je zmazać. Co postanowisz względem nieszczęsnej tej dziewczyny, byłej naszej towarzyszki, zostanie wykonane.

Siostra Laudacya, która została, na klęczkach, przy jednym z filarów, powstaje i nagle zbliża się do Sary.

Siostra LAUDACYA, w uniesieniu, patrząc na nią.

Zarażona!...

Idzie, aby uderzyć ją w twarz; ręka jej, już podniesiona, zatrzymuje się nagle, jakby znieruchomiona tajemnie. Sara nie podniosła nawet powiek, ani zadrżała.

KSIENI.

Furtyanko, oddal się od tej nieszczęśliwej i powstrzymaj oburzenie swe w miejscu świętem!

SIOSTRA LAUDACYA, do siebie, odchodząc w zamyśleniu, ku drzwiom klasztornym.

Jakiś niepokój nagły wstrzymał mą rękę? Dla czego nie uderzyłam?

KSIENI, bardzo cicho, do Archidyakona.

Pamiętaj, nadewszystko, mój ojcze, o czem uprzedziłam cię przed chwilą: postaraj się zgłębić to serce posępne. — Tajemnica, mój ojcze! tajemnica!

Schodzi ze stopni ołtarza i podnosi, wziąwszy w ramiona, siostrę Aloizę, która powraca do siebie.

SIOSTRA ALOIZA, głosem zagasłym, podczas gdy Ksieni uprowadza ją w niesłychanem wzburzeniu.

Żegnaj, żegnaj, Saro!

Ksieni, chwiejąc się sama, doprowadziła ją do drzwi klasztornych. Obie wychodzą. Siostra Laudacya idzie za niemi, rzuciwszy jeszcze ostatnie, złowrogie spojrzenie na Sarę.

Po chwili, słychać hałas ciężkich rygli, zamykanych od zewnątrz. Sara i Archidyakon są sami.

SCENA VIII.

ARCHIDYAKON, SARA.

ARCHIDYAKON, głosem straszliwym.

Kobieto, byłaś nikczemna. Powstydziłaś się Tego... który powstydzi się ciebie. Przeraziłaś dusze równie czyste

jak Gwiazda poranna! Zuchwale wyzywałaś gniew Boży, znieważyłaś Boga, który wydobył cię z nicości i ofiarował ci królewstwo swoje. Zwiesz się Łazarzem, a oparłaś się głosowi najwyższemu, który wołał na cię, byś wyszła z grobu. Odrzuciłaś miejsce przy godach, i to przede mną, który mam posłannictwo zmusić cię, abyś do nich zasiadła. Bo, podobnie jak prawa nakłaniają i znaglają ludzi do obowiązku, tak i Bóg, pierwiastek i cel każdego prawa, każdego obowiązku, każdej siły, może uginać i przyniewalać — cudem — świadomości i wolne wole. Chwila milczenia.

W imię zbawienia twego, za które on, na wiekuiście tajemniczej górze, oddał ducha na Krzyżu nieochybnym, chcę widzieć w tobie tylko ofiarę, obałamuconą przez książąt Piekła. Czego spodziewasz się? Wyzuć ten klasztor z posiadania? Nie, szalona, ty nie wyjdziesz ztąd nawet! — Władza ludzka osłaniałaby dzisiaj twą ucieczkę, wiem o tem: — mimo to nie wymkniesz się. Jeżeli w głębi serca twego kryje się jakaś tajemnica samotna, niby żmija w skały rozpadlinie, puść ją w niepamięć, bo płonną ci będzie: — a będzie ci bezowocną, bo jesteś uboga, odkąd przekazałaś majątek swój na sprawę Wiary... jak gdyby przez ostatni odruch Natchnienia bożego i Łaski! — Nie, nie pójdziesz po drogach, niby błędna tułaczka, rzucać na wszystkie wiatry, podobnie jak inni ludzie, tych resztek duszy, jakie ci pozostały! My odpowiadamy, czy słyszysz, za tę duszę. — Uważasz się za wolną, przed nami, którzy nauczyliśmy ludzi powściągać Siłę i którzy, sami jedni, wiemy, co jest istotą Prawa? Czemże była tu na ziemi kobieta, przed Chrześciaństwem? Niewolnicą. My oswobodziliśmy ją i usamowolnili... i ty ośmielasz się wymawiać, przed nami, słowo wolność, jakgdybyśmy właśnie my nie byli Wolnością samą! — Słuchaj i waż dobrze me słowa: nasza Sprawiedliwość i nasze Prawo nie zależą od tychże pojęć u ludzi.

My to, w ich umysłach, z istoty swej bratobójczych, ugruntowaliśmy i rozniecili, dla ich zbawienia, te idee sterownicze. Zapomnieli o tem, wiem: to też mówią o nich, w dobie dzisiejszej, jak mówili u wieży Babel, nie mogąc porozumieć się jedni z drugimi co do przekręconego słów znaczenia; jest to kara za dawną ich pychę. Supremacya nasza na ziemi jest jedyną sankcyą każdego prawodawstwa. Nikt nie może jej sprawdzać — bo skutek nie może podawać w wątpliwość ani poddawać roztrząsaniu swojej zasady — pod zagrożeniem, że sama ona przestanie być pewnością; i każdy człowiek, niewolnik czy książę, robiąc zarzuty naszemu pokarmowi, ma nasz chleb w ustach, My mamy władzę: wzięliśmy ją od Boga, i zachowamy ją w naszych rękach głębokich aż do wypełnienia się wieków. I to, mimo gróźb przyszłości, mimo złudzeń wiedzy, mimo wszystkich zaraźliwych wyparów mózgu śmiertelnego, aby spełnić się mogło Słowo: *Stat Crux dum volvitur orbis.* Niech nas ścigają karami, niech nas opuszczają, niech nas nienawidzą, niech nami gardzą, niech nas biorą na męki, niech nas zabijają, cóż z tego? Znikomość to wszystko! Bunty bezowocne. Silni naszem sumieniem, niezłomnem zawsze i niezakłóconem, będziemy tymi, których święty Ambroży zwie: „*Candidatus martyrum exercitus!*“ Wreszcie (i to najważniejszą jest rzeczą w tej godzinie straszliwej), mamy Prawo, którego potrójną istotę każde inne przypuszczać musi: tak Syn zrodzony jest przez Ojca, a Duch pochodzi od Ojca i od Syna! I niemasz innej myśli początkowej, ani na ziemi, ani w Niebiesiech.

Ponieważ tedy, Saro, dana mi jest, cudem, możność działania tutaj w sposób skuteczny i zbawienny, uciekam się, w imię Boga, do siły przeciwko tobie, aby cię zbawić od strasznej twej natury. Powrócisz do ciemnicy! Pościć tam będziesz, póki to nędzne, buntujące się ciało nie zo-

stanie uskromione. Piękność twoja, to piekło objawiające się: włosy twe kuszą cię, spojrzenia twoje są błyskawicami zgorszenia! Wszystko to musi zgasnąć prędko i w proch się rozsypać; bo jest to tylko złudzenie ciemności zewnętrznych, kędy wszystko przekształca się i zaciera... świadkiem niech mi będzie robactwo ziemne. Nie zdołałabyś ujrzeć się taką, jak jesteś w tej chwili, i nie umrzeć! — Czy wyobrażasz sobie, że Magdalena nie była równie piękną? Wiedz-że, iż od chwili, gdy oświecona jednem spojrzeniem Boga, poznała siebie nareszcie, wzniosła grzesznica ta zachowała na całe życie, jako wspomnienie, dreszcz zgrozy. Módl się, jak ona się modliła, aby otrzymać to, co nas oświeca! Niechaj ona będzie ci przykładem, aż do ostatniego westchnienia! I będziesz naszą siostrą, naszą świętą, naszem dziecięciem! Chwila milczenia.

Kiedyś, być może, jeżeli skrucha twa będzie szczerą, powrócisz między nas. Powątpiewam o tem; ale obowiązkiem mym jest nie tracić nadziei... bo Miłosierdzie i Miłość boża nie mają granic. Aż do owej chwili modlić się za ciebie będziemy, we dnie i w nocy, w przygnębieniu głębokiem, we łzach i postach! — Ja sam, wymawiając formułę egzorcyzmu, włożę włosiennicę na twą intencyę.

Zstępuje ze stopni ołtarza. — Sara, nieprzenikniona, nie drgnęła nawet ani razu, i nie podniosła oczu.

Ale — oto nagłe natchnienie, które zsyła mi wprost samo Niebo! Pod tą oto płytą spoczywa, między Aniołami, święta założycielka starożytnego tego Opactwa, błogosławiona Apollodora. Podziemie to, sąsiedztwo tych relikwij cudotwórczych — oto *in-pace*, jakiego ci potrzeba. Tam Najłaskawsza owa wstawiać się będzie za ciebie, u twego boku, czasu jawy i snu, uświęcając twój chleb i twą wodę, jeżeli w modłach wspominać ją będziesz.

Końcem ciężkiego pastorału swego odsuwa dwa rygle ogromnej płyty grobowej, potem, wkłada go w pierścień żelazny i podważa. Głaz, ulegając wysiłkowi kapłana, podnosi się. Ukazują się szerokie ciemne schody, wiodące do podziemia grobowego; wielka płyta zatrzymuje się, otwarta, prostopadle na swych zawiasach.

Oto brama... *janua*... przez którą mam prawo zmusić cię do wstąpienia w Życie; bo, jak mówi głęboko św. Ignacy Lojola, „cel usprawiedliwia środki;“ a napisano też: „Zmuszajcie je wnijść!...“ Pójdź tedy, córko ma ukochana, córko najmilsza! — Zstąp do tego podziemia. Wejdź w krainę szczęśliwości! Jałmużna to, którą nas obdarzyłaś, wybłagała ci zapewne ostatnią oną łaskę: korzystaj z niej. Błogosław próbę swą, aby ci oczyszczeniem i win zmazaniem była, i ze swej strony... chyląc się przed nią kornie: — módl się za mnie!

Sara podnosi nareszcie oczy na kapłana. Spogląda na grób otwarty koło niej. Niemo, nie zdradzając w rysach żadnego wrażenia, idzie ku jednemu z filarów. Chwyta, z pomiędzy wotów zawieszonych przez wdzięczność marynarzy, stary podwójny topór obosieczny; potem powraca, zimna zawsze i powolna. Doszedłszy do otworu ziejącego, wyciąga poprostu palec ku jamie, czyniąc staremu kapłanowi nieokreślony, rozkazujący znak: znak, aby sam zeszedł do podziemia grobowego.

Zdumiony, Archidyakon cofa się. Sara posuwa się ku niemu, z podniesionym teraz już i połyskującym w światłach toporem! Starzec rzuca okiem dokoła siebie, potem spogląda na nią. Widzi, iż jest sam: jeśli otworzy usta, groźna broń, w spokojnej pięści młodej buntownicy, gotowa spaść jak piorun. Uśmiecha się z pewnym rodzajem gorzkiej litości, wzrusza smutnie ramionami i, jak gdyby zapobiegając straszliwszej jeszcze zbrodni, spełnia rozkaz, pod zimnem spojrzeuiem oczu Sary.

Osłania się wielkim znakiem krzyża świętego, i schodzi po stopniach, uderzając w nie pastorałem i wlokąc za sobą długą swą kapę czarną; zwolna, głowa jego, w infule złotej, zagłębia się i znika.

GŁOS ARCHIDYAKONA, pod sklepieniem podziemnem.

In te, Domine, speravi: non confundar in aeternum.

SCENA IX.

SARA, sama.

Sara rzuca topór, jednym ruchem zawala głaz grobowy i obojętnie zasuwa końcem sandału wszystkie po kolei zasuwy.

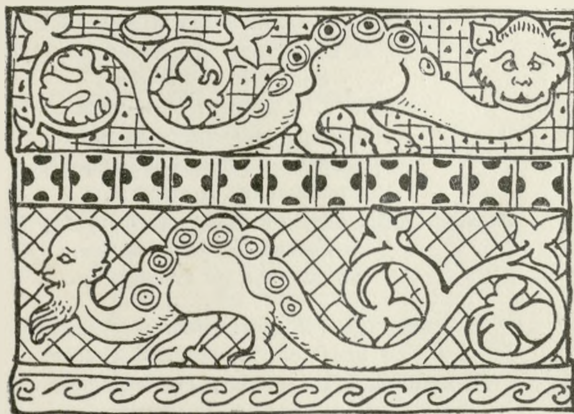
Zrobiwszy to, zbliża się do okna i pociąga silnie sznur od witrażu; okno otwiera się gwałtownie, na ścieżaj. Burzliwy napór śniegu i wichru nocnego bucha na kościół, gasząc świece.

Wówczas Sara rozdziera, w ciemności, całun pogrzebny i związuje mocno na węzeł obie połowy. W chwilę potem, zarzuciwszy habit pielgrzymi na świąteczne swe szaty, i stanąwszy na stolicy opackiej, dosięga, zwinnym i jędrnym podrzutem, do sztab żelaznych, chwyta się ich ręką, i jednym skokiem wydostaje się na brzeg okna.

Potem prześlizguje się, między sztabami, na brzeg zewnętrzny, i patrzy na dwór, w dół, w przestrzeń, w dal, w nieskończoność.

Za oknem widać noc, straszną, ciemną, bez jednej gwiazdy. Wiatr gwiżdże i wyje. Śnieg pada.

Sara zwraca się znowu w stronę wnętrza, przywiązuje do jednej ze sztab żelaznych całun skręcony i potargany, wyprobowuje węzeł silnem szarpnięciem, naciąga na głowę szary kaptur swego habitu, — potem pochyla się, opuszcza i znika, zwieszona od strony dworu, śród nocy dżdżystej i mroźnej, w milczeniu.



(Ciąg dalszy.) Hr. de Villiers de l'Isle Adam.

Ruch etyczny.

(KRONIKA.)

W pewnej gminie
naprawę swego bytu uraiły świnie.
Na wygonie pod lasem
stanął wiec. Za okrasę
ceniony (któż tego nie ceni?)
i za biegłość w mowie,
wieprz Gnojoryj *) na chojaka pień wylazł i basem
zagaił.
— „Szanowna trzodo!
Za łaskawą świniarka i psa jego zgodą,
my niżej zgromadzeni,
świnie i wieprze,
stanowić mamy o zmianie na lepsze.
Ekonomiści nasi (nie ekonomowie)
tudzież inni uczeni ojcowie nierogacizny
twierdzą, że nieszczególne prowadzimy życie.
Spójrzcie w głowizny
wasze... Czy już? Cóż widzicie?
Niewesoły jadłospis: na plewie
pitraszoną karmimy się strawą,
mieszkamy w chlewie,
słowem, gdzie oczy zwrócić: na lewo czy prawo,
w Kiernozi czy Mińsku —
świnie żyją po świńsku"...

Brawo! brawo!
z uznaniem krzyknęli słuchacze.
Tu karmnik Wkorytowlaz, chudszy choć też spory,
mniemając, że perory

---

*) Gnojoryje od świni Noego ród wiodą.

koniec, na drugi pień skacze
z temi słowy;
— „Przedewszystkiem zganię
poprzednika zdanie,
wygłoszone tu z tego, nie z tamtego pieńka
Omyłka maleńka... he, he... Otóż,
gdy na pierwszym planie,
według pana Gnojoryja,
postawimy odżywianie,
łatwo, tuszę,
rozwój słoniny zaleje nam dusze.
Również się z istotą mija
doniosłość faktu, że mieszkamy w chlewie.
Wpierw sobie trzeba pytanie etyczne
zadać: czy żyjem cnotliwie?
a postawiwszy wytyczne,
oprzeć żywota koryto
na ideale“...

— „A bodaj cię zabito
na kiełbasy krakowskie jeszcze w tym kwartale!“ —
przerywa mu Gnojoryj. — „Niech pan się wytrynia
z pniaka,
głów nam tu nie zawracać! Cnota ladajaka,
gdy jak pies mieszkasz a żyjesz jak świnia.
Mawiali Grecy: nie wychowasz lwa na sianie,
a Rzymianie dodali:
w zdrowem sadle zdrowa świnia.

Tu się kwik uczynia.
Poglądy za i przeciw krążą, piana kryje
swarliwe ryje;
niektóry, co ruchliwszy, — dowód kłem popiera, —
zgoła, przywary stare, chociaż nowa era.

Tak gdy rai rzesza,
jakiś stary, cherlawy, z miną apostoła
wieprz się miesza
do sporu. Nie jest on wymowny
i w sylabach niewielu streszcza się. Odkrycie
zrobiwszy jeszcze w prosięcej
dobie, że najtłustszych świń najwięcej

ginie, postanowił wstrzymać tycie
swej osoby. W tym celu nad dwa - trzy korzenie
nie jadłszy, dużo biegał, myślenie
ćwiczył i spał tylko trocha.
Tak żyjąc, chudy, dożył lat Enocha.
Niech tak wszyscy czynią —
Kończył — a ludzie dadzą pokój świniom.

Precz z nim! wrzasnęła tłuszcza z rzadką
jednomyślnością. Także metodę
znalazł! Toć już bodaj z jatką
poznać się lepiej, niż przymierać głodem.
Zaczem nowy rzecznik wstąpił na kłodę.

Był to wieprzak, z mizeryi do świńskiego cienia
podobniejszy niż czegokolwiekbądź innego w świecie;
szczecina mu na grzbiecie
rosła na podób grzebienia —
symbolu czystości.
Mówca chrząknął, jak gdyby wykrztuszając ości
rybie i zaczął:
— „Pozwólcie, że wlezę
też w ten temat żywotny. Jabym radził ascezę.
Niech świnia z wieprzem będzie jako siostra z bratem:
uniknie się zgorszenia, a co zatem
idzie — potomstwa. Jest to sposób jedyny
odzwyczaić człowieka od jadania świniny."
Zaledwie skończył okres, aliści dziewice
i co młodsze matrony, zwlokłszy go z mównice,
wzięły na ryje.

Kiedy tak każdy z mówców dostawał po nosie,
zdawało się,
że już niczyje
się nie ozwie słowo;
lecz przecie dał się słyszeć z teoryą nową
kawał dzikusa, warchoł krnąbrny i przeznaczon
na litewskie szynki.
Ten zalecał prostotę wieśniaczą
wskrzesić. Nie zwłócząc krzynki
do lasu dać nura

i żyć tam jak przodkowie, jak każe natura.
— „Albo to mi źle w lesie? Żarcia tam że ino:
żołędzi w bród, buczyny, a grzybów, a trufli!..
Wycieczki w szkodę można, kto pości,
od czasu do czasu
robić, ziemniakiem wnętrzności
wesprzeć albo i boćwiną, —
swoboda, luz i tyle!.. Miedza, góra, rów-li —
skacz, pyskuj, ryj, dokazuj: po skórze nikt nie da!“

Do lasu, do lasu!
wrzasnęła czereda
i powszechnym cwałem
wyraziła uchwałę.

Tu dziejopis rzuca pióro,
by załamać ręce nad słabą naturą
świńską. Jakie niewytrwałe
dusze zlepia
z ciałem przyrodzenie!
Zaledwie pierwsze wpełzły w bór zachodu cienie,
wszystkim jakoś łzawo
patrzały ślepia,
a kiedy zorza ostatnim szkarłatem
bluzgnęła po niebie,
wróciła trzoda do chlewów — do siebie;
wróciła, tęskniąc za psem, za batem,
za zwykłą strawą
warzoną w saganie, —
wróciła — znowu mistyczne czekanie
oblewać łzami,
zgadując, kto też najprędzej będzie
wędził się w swędzie
jałowca jutro
na polędwicę albo salami.

Jan Lemański.

Kronika miesięczna.

GLOSSY.

Laurowo i ciemno. — Sprawa Reymonta. — Fałat — Kossak. — Konkursy. — Jeszcze konkurs i jeszcze protest.

Laurowo i ciemno. Bywają jeszcze niespodzianki. Oczekiwaliśmy, że prospekt nasz wywoła spory, dysputy, oburzenia wreszcie z powodu mniemanego pesymizmu w poglądach naszych na wzajemny stosunek sztuki i społeczeństwa. Jednego nie spodziewaliśmy się: zarzutu niezrozumiałości. A jednak niezrozumiałemi okazały się zaraz wymienione w nagłówku wstępne trzy słowa prospektu. Nie zrozumieć „ciemności“ kazała snadź miłość własna, ale „laurowość“? toć w tejże prawie chwili wieńczono wybitnego powieściopisarza z rozrzutnością wawrzynów niewidzianą nawet za czasów Krasińskich, Mickiewiczów i Słowackich. Byłyżby to nie wawrzyny, lecz makarony włoskie? Nie chcemy wierzyć, mimo zbyt koleżeńskich „w górę go!“ które niebardzo harmonizują z uroczystościami na Kapitolach. Laurowo było zatem, ale *jest* ciemniej, niż przypuszczaliśmy.

Niezrozumiano wielu jeszcze innych rzeczy. Naprzód „nadiru.“ Że niepojętemi wydały się niebosiężności (któż dziś do nieba sięga?), otchłanności, mistycyzmy, „życie, które się wzbija ponad życie“, absolutne źródliska sztuki — to nas nie dziwi.

Niedarmo od lat trzydziestu zaprzestano myśleć, pracując wyłącznie nad „faktami“ metodą doświadczalną.

...Nun, es naht die Zeit,
Wo Krieg und Frieden, Lieb und Glück, und Gott
Und Glauben nur die Worte sind von dem,
Was sie gewesen.

CHR. D. GRABBE.

I wymienione powyżej wyrażenia nasze nie mogły zatem górnolotną i czczą nie wydać się frazeologią.

Ale nadir? Musimy odesłać nierozumiejących do pierwszego lepszego, najelementarniejszego podręcznika kosmografii, i spytać, gdzież te sławione owoce popularyzacyi nauk ścisłych?

Postawiono nam jeszcze znak zapytania przy wyrażeniu: pycha społeczno-równościowa. Nie miejsce tu obszerniej się nad tem rozwodzić, myśleliśmy jednak — gdyby użyć wyrażeń Słowackiego — o następstwach *„postawienia cielesnego* wszystkich *pod jedną miarą*, podług średniej ludzkiej urody zrobioną, do której niedorosłych żadna ludzka siła nie dociągnie, a wyższych — chyba ucięciem głów — zrównać i przystosować potrafi." Następstwami temi są: mniej lub więcej otwarta nienawiść mierności do wszystkiego, co po nad zwykłą wybija się miarę, i zwalenie *„Hierarchii* zbudowanej *podług zasługi i mocy duchowej."* — Rzecz ciekawa wszakże, iż ów znak zapytania zbiegł się dziwnie jakoś z szyderstwami i urąganiami z powodu wymienienia w prospekcie współpracowników naszych przy technicznej czysto pracy nad pismem. Zatem wyższych od siebie ci panowie znać nie chcą, ale oburza ich wzmianka imienna o pracy zecera czy maszynisty, która jednak, jak słusznie zauważa Morris, tylko przy indywidualnej odpowiedzialności — i, *eo ipso*, osobistej zasłudze — do artystycznych rezultatów i rozwoju samego pracownika doprowadzić może. My zwolennicy hierarchii mielibyśmy być bardziej demokratyczni od panów oburzających się na zarzut pychy społeczno-równościowej?

Niepodobał się i styl prospektu, jak powiadano, napuszysty, pompatyczny, nienaturalny. Przedewszystkiem różne są gusta i upodobania. Pouczający w tym względzie jest poemacik Baudelaire'a o „psie i flakonie":

> — *„Mój śliczny piesku, mój poczciwy piesku, moja ciuciu droga, pójdź tu, powąchaj te przepyszne perfumy, które kupiłem u najlepszego perfumiarza w całem mieście."*
>
> *I pies, kręcąc ogonem, co u tych biednych istot jest, jak myślę, znakiem odpowiadającym śmiechowi lub uśmiechowi, zbliża się i przytyka z ciekawością wilgotny nos do odkorkowanego flakonu; potem, cofając się nagle z przerażeniem, zaczyna szczekać na mnie, jak gdyby z wyrzutem.*
>
> — *„Ach! podły psie! Zatem i ty, niegodny towarzyszu smutnego mego życia, podobny jesteś do publiczności. Tej także nie należy nigdy podawać delikatnych perfum, które ją do wściekłości doprowadzają, lecz troskliwie wybrane plugastwa."*

Tyle Baudelaire. My od siebie dodamy tylko, że sztuka jest dla nas jedną z rzeczy najwyższych i najświętszych, i że mówić o niej umiemy i śmiemy jeno słowami świętemi, solennemi i pełnemi patosu, który nie jest pozą i nienaturalnością, lecz sprężeniem się uczucia aż do męki i rozkoszy zarazem! Napuszonemi przeto mogą się wydać słowa nasze tylko ludziom nie uznającym hierarchii, nie mającym żadnych świętości, i przywykłym z dawna do mówienia o rzeczach najwyższych tym samym żargonem potocznym, który starczy zaledwie na podawanie wiadomości giełdowych lub wypadków ulicznych. Równie nieszczeremi i nienaturalnemi mogłyby im się wydać: wyjęcie fajki z zębów przy wejściu do kościoła lub korna czołobitność przed arcydziełem sztuki.

Pomijamy jako drobiazg zarzucany nam jeszcze nadmiar słów obcych. *Medice cura te ipsum!* Słowo zresztą jest własnością narodów, które je stworzyły, i zbyt gorliwe „czyścicielstwo" jest poniekąd samozwańczem, a w rezultacie daje zwykle swojskie niby, lecz ohydnie brzmiące potworki.

Na zakończenie, damy radę „znawcom sztuki" natrząsającym się z „rozczochranej kobiety" w nagłówku naszego prospektu, aby nieco częściej zaglądali bądź do muzeów, bądź nawet do popularnych ilustracyj w podręcznikach historyi sztuki. Przekonają się wtedy, że takież samo rozczochranie, które im się wydaje modernizmem, znaleść łatwo u niejednego starego, a więc przez nich, na niewidziane nawet, wielbionego mistrza. Że kobieta owa ma twarz przerażoną, nie dziw. Przedstawia Chimerę, która, otworzywszy oczy, spostrzegła Rzeczywistość.

Sprawa Reymonta. W znanej wszystkim katastrofie na kolei warszawsko-wiedeńskiej poniósł, między innymi, ciężki uszczerbek na zdrowiu znany powieściopisarz Wł. St. Reymont. Rzeczą wydawałoby się zupełnie jasną i prostą, iż kolej, której akcyonaryusze ogromne ciągną zyski dzięki liczbie pasażerów, winnaby czuć się w obowiązku wynagrodzenia tym ostatnim *wszelkich* strat, teraźniejszych i przyszłych, wynikłych z katastrofy, która autentycznie nie była rezultatem t. zw. siły wyższej. To też, przeczytawszy w dziennikach, iż Wł. Reymont zażądał odszkodowania w sumie 100,000 rb., byliśmy przekonani, że sprawa szybko i bez uciekania się do sądu, po zbadaniu przez lekarzy i stwierdzeniu stanowiska pana Reymonta w literaturze, załatwioną zostanie. Wbrew tym nadziejom, zamiast wiadomości o takiem rozwiązaniu kwestyi, jęliśmy spotykać w całym

szeregu pism wzmianki o nienasyconym apetycie p. R., o kolosalnym rachunku za jakoby spożyte przezeń w szpitalu praskim „delikatesy“ i szampany, o stałym wzroście tego apetytu upatrywanym w żądaniu owych 100,000 rb. i t. p. Zastanowił nas przedewszystkiem jeden szczegół: Czyżby szpital, posyłając rachunki zarządowi kolei, komunikował je równocześnie redakcyom? Albo, czyżby zwykle tajemniczy zarząd kolei, w tym wypadku, chcąc ulżyć strapionemu sercu, a raczej kasie, oficyalnie lub prywatnie zwierzył się takowym? Pierwsze stanowczo jest wykluczone; drugiemu nie chcąc wierzyć, radzibyśmy poznać źródło tych wiadomości, oraz powód zbyt wielkiej *omyłki* w obliczeniu owych rozchodów w szpitalu.

Jakkolwiekbądź, faktem jest, że p. R. do ostatnich dni żadnej od zarządu kolei na propozycyę swoją nie odebrał odpowiedzi, a przez komisyę lekarską w tych dniach zaledwie zbadany został. Z pewnego źródła dowiadujemy się, że i sprawy innych poszkodowanych tak samo są przewlekane, i wiemy nadto o pewnym wypadku badania przez lekarzy ze strony kolei, które — co najmniej — w dziwny odbywało się sposób. Niechaj zatem pismo, które wystąpiło przeciwko jakoby wygórowanemu żądaniu Reymonta, pytając, co w takim razie dostanie również poszkodowany w katastrofie konduktor, weźmie w opiekę tego ostatniego. My pilnować będziemy sprawy Reymonta, jako współbrata w sztuce. Każdy poszkodowany *musi,* jak powiedzieliśmy, mieć wynagrodzone straty teraźniejsze i przyszłe. Konduktorowi można obliczyć wszystkie widoki jego awansu i według nich unormować należną mu remuneracyę. Reymontowi należą się stracone korzyści nietylko w stosunku do dzisiejszego jego stanowiska w literaturze, ale i do dającego się w przewidywaniu obliczyć rozwoju jego wielkiego talentu i — co razem idzie — wzrostu uznania i poczytności. Wobec tego suma żądana okazałaby się może raczej za małą niż za wielką. Nie należy zapominać, iż, gdyby dziś Sienkiewicz, w podobnym wypadku, zażądał miliona, nikomu by się to nie wydało przesadzonem. Ale coby było, gdyby przed 20 laty zażądał był 100 000 rb.? Przyszłości artystów nigdy napewno obliczyć nie można, a prawo nakazuje rozwiązywać wątpliwości na korzyść poszkodowanego.

Fałat — Kossak. Czy są sprawy prywatne, w które osobom trzecim, do tego niepowołanym, wdawać się nie wolno? Niewątpliwie tak. Między innemi, sprawy honorowe, o ile są załatwiane wedle przyjętego w takich wypadkach prawa zwyczajowego. To też niewypowiedzianem zdziwieniem przejęły nas: stanowisko

zajęte przez prasę względem zajścia pomiędzy dwoma artystami pp. Fałatem i Kossakiem, oraz ojcowsko surowe admonicye udzielane pierwszemu z nich. Był to co najmniej wielki nietakt. Wszelkie wyrazy większej sympatyi osobistej do tego, niż do tamtego, mogły być komunikowane prywatnie, nigdy zaś *coram publico* i w imieniu obrażonego społeczeństwa. Komicznym zaś wprost był wysłany w trakcie załatwiania sprawy między dwoma zainteresowanymi adres grona artystów, wyrażający uznanie dla jednego, naganę dla drugiego. Nie chcemy wierzyć pogłoskom, iż miało to związek z panoramą.

Konkursy. Byliśmy zawsze przeciwnikami wszelkiego rodzaju konkursów, twierdząc, na podstawie prawa obniżania się inteligencyi w tłumie psychologicznym *), iż muszą one doprowadzać do niepożądanych rezultatów. Nie nawrócą nas do nich i chybione próby (np. Kopernik w Krakowie, Mickiewicz w Warszawie) oddawania roboty z góry wybranemu artyście bez poprzedniego współubiegania się. Doświadczenia z Albertami Wójtami, Kołami Zaczarowanemi i np. z budową teatru lwowskiego, były zbyt smutne, abyśmy nie mieli widzieć w nich stanowczego potwierdzenia dla reguły Le Bon'a. A skoro ta się u nas, niestety, *bez wyjątku* stwierdza, nic nie pomogą najlepsze dobre chęci i najniepodejrzańsza dobra wola sędziów konkursowych. W ostatnich czasach jednak zdarzył się wypadek, że nawet ta dobra wola, acz jak widzieliśmy bezsilna i bezużyteczna, lecz konieczna, choćby pro honore domus, — stała się mniej o swoją niepokalaność zazdrosną. Jeden z artystów rzeźbiarzy ogłosił w pismach protest, w którym robi zarzuty gronu swych sędziów i przedstawia cały szereg istotnych nieregularności w załatwianiu spraw, dotyczących współzawodnictwa między nim a drugim artystą. Ponieważ ton protestu nie ma w sobie nic paszkwilowego, a szczegóły jego robią wrażenie stwierdzeń czysto rzeczowych, odpowiedź nań wydawała się wprost nieunikniona. Zarzuty były postawione jasno, kategorycznie, bez żadnych wyślizgiwań się i nieuchwytnych subtelności. Dopóki ich nie zbito, autor protestu ma prawo wymagać od każdego wiary w swe słowa.

Dotychczas odpowiedzi nie było. Zaczepionym wolno milczeć. Rzecz szczególna jednak, iż opinia publiczna, pod sąd której protestujący złożył swe zarzuty i dowody, — także milczy.

---

*) Les décisions d'intérêt général, prises par une assemblée d'hommes distingués mais de spécialités differentes, ne sont pas sensiblement supérieures aux décisions que prendrait une réunion d'imbéciles. *G. Le Bon. Psychologie des foules.* Paris 1895.

Jeszcze konkurs i jeszcze protest. Mówimy naturalnie o wielkim „konkursie stulecia,“ który takie nowe i nieoczekiwane przyniósł rezultaty. Nie uniknął też za to protestu. Pan Hertz w *Przeglądzie Tygodniowym* zwraca uwagę, iż głosując na arcymistrza w dziedzinie matematyki, zapomniano o Hoene-Wrońskim na rzecz Folkierskiego. Zapomnienie to dziwnem jest istotnie po pojawieniu się już przed kilku laty książki p. Dicksteina o twórcy Mesyanizmu, która, według sprawozdania tegoż p. Hertza i, zda się, w tymże *Przeglądzie Tygodniowym*, dawać miała doskonałe pojęcie o Wrońskim, czyli — według dzisiejszego protestu — wykazywać całe jego znaczenie. Zdaje się, że tego — widać — nie zrobiła. Ale czemu p. Hertz zwraca się z zarzutem zapomnienia o Wrońskim do biednych wotantów *Kurjera Warszawskiego*, którym nawet taka wyśmienita przewodniczka, jak książka p. Dicksteina, nie mogła należytej rozwinąć pamięci? Czemu nie karci za toż samo zapomnienie tego samego p. Dicksteina, który, referując w *Prawdzie* (№ I-szy) o postępach matematyki w w. XIX, nie mówi ani słóweczka o tym, którego w książce swej pono nareszcie z pyłu zapomnienia wydobył i o którym przeto sam zapomnieć chyba nie mógł? Któż zagadki tej zbada tajniki?

POEZYA.

Marya Komornicka: *Baśnie i Psalmodye.* Warszawa. Fiszer. — Władysław Bukowiński (Selim): *Nowy zeszyt. Poezye.* Warszawa. Fiszer, — Zygmunt Rostkowski: *Stargane struny, rymów garść.* Warszawa. Okręt. — Władysław Zalewski. *Dziad, baśń liryczna.* Warszawa, skł. gł. Gebethner i Wolff. — Mieczysław Gliński: *Poezye.* Warszawa. Dubowski, — *Z pieśni naszych,* wybór poezyi. Zebrała i ułożyła C. Niewiadomska. Warszawa. J. Lisowska. — *Pisanka.* Książka zbiorowa pod redakcyą Józefa Jankowskiego. Warszawa. St. Sadowski. — M. Lermontow: *Demon.* Przekład Alfonsa Wróblewskiego. Warszawa. Skł. gł. St. Sadowski. — M. Lermontow: *Anioł śmierci.* Przekład Alfonsa Wróblewskiego. Warszawa. Skł. gł. St. Sadowski.

Treścią poezyi musi być zawsze to, co istnieje rzeczywiście, to jest nierozerwalna całość i jedność bytu, która jest nieskończonością, nie zaś pojedyncze, oderwane od całości zjawiska czy wrażenia, które, jako nieistniejące w tem oderwaniu, złudzeniem są próżnem. Do nieskończoności prowadzi i dróg nieskończoność: Goethe idzie przez pogodną a potężną myśli harmonię, Hugo przez antyte-

tyczne dysputy z sobą, Baudelaire przez bezwzględne władanie nad swą wizyą, Verhaeren, Kasprowicz lub Przybyszewski, dając się porywać jej, Alfred de Vigny przez cichą, lecz świadomą kontemplacyę, Novalis lub Verdaguer przez mistyczne poddanie się. Miejsca na wszystkie indywidualizmy aż nadto; spokój czy paroksystyczność, moc czy łagodność, świadoma pewność czy wrażliwe nieokiełznanie, temperament, który unosi, czy panowanie nad twórczością — wszystko jest dobre, byle sięgało w głąb', byle docierało do istoty bytu, byle, mówiąc filozoficznie, uniwersalizowało indywidualność. Wizya rzeczy, jakiemi one są w sobie, to jest, w stałym związku ze wszystkością, i magiczne oddanie, wcielenie tej wizyi, znalezienie dla niej jedynej odpowiedniej formy — oto warunki każdego prawego dzieła sztuki.

Pierwsze utwory p. Komornickiej zwróciły naszą uwagę pewnem dążeniem do wydobycia się z banalnej złudy zjawisk, pewnem, acz dość mętnem jeszcze, szarpaniem się ku dalom, pewnem wreszcie — co do formy — wyzwalaniem się z szablonów i klisz. Jednocześnie wszakże uderzało nas jakgdyby ustawanie w pół drogi, jakgdyby zbyt prędkie zadowalanie się swoją impresyą i znalezioną dla niej formą, jakgdyby brak wytrwałości w dążeniu do ostatecznego pogłębienia i skrystalizowania swej wizyi. W **Baśniach i Psalmodyach** te same znajdujemy cechy, lecz nadto odnosimy wrażenie jakiejś ociężałości czy niezdolności do szerszych lotów, oraz jakiegoś męczącego powtarzania się. Nemezys to snadź niedostatecznych pogłębień. Ton jest odrębny, lecz szczupłość treści wewnętrznej prowadzi do ciągłych nawrotów i wreszcie do tego, co zwiemy manierą. Książeczka nie zdaje się zresztą być wykwitem jakiegoś jednego drzewa marzenia. Słaba zupełnie i pod żadnym względem nic nie dająca baśń *o Ojcu i córce* mogłaby bez szkody dla autorki i czytelników, a tem bardziej dla sztuki, nie istnieć. Lepszą jest *Andronice*. Zbytnio wszakże i w rytmach i w treści nawet pobrzmiewa echami Zeyerowskiego *Króla Kofetuy*. Echami, mówię, gdyż jak w echu dźwięk, tak tu wszystko osłabione jest, zacieśnione i pozbawione bezdennej tamtego arcydzieła głębi. Jest to niby także „baśń o tęsknocie,“ lecz gdy u Zeyera jest to tęsknota wiekuista, wyprzedzająca wszelkie zużycia i niezależna od nich, nieodłączny pierwiastek duszy i owoc kończącego się snadź ze śmiercią dopiero boju ograniczoności cielesnej z nieograniczonością wnętrzną, — tęsknota króla u p. Komornickiej bierze poniekąd początek w nudzie i przesycie, a więc mogłaby mieć i koniec. Sama wieczyście zapatrzona w dal i nie-

odparcie ciągnąca za sobą Króla Kofetuę żebraczka Zeyera jest upostaciowaniem metafizycznej nostalgii, której nic nie ukoi, Andronice p. Komornickiej jest tylko kobietą. Dwie pierwsze psalmodye *(Do pana* i *Pan kona)*, obok pewnej niewyraźności, odznaczają się zbyt koleżeńsko poufałem traktowaniem rzeczy absolutnych. W drugiej z nich pytagorejski czy nietzscheański pierścień wiecznego powrotu niby w pomniejszającem odbił się lusterku. Najlepszą jeszcze jest *Tęsknota*. Jest to także tęsknota czysto ziemska, od kontyngencyj zależna i z pewnym ściśle przedmiotem związana, lecz dramat rozstań z wielką potęgą ekspresyi przeprowadzony został, a w niektórych ustępach brzmią nawet akcenty z jakichś dalszych głębin idące.

Co do artyzmu zewnętrznego, pragnęlibyśmy niejednokrotnie więcej ekonomii, jednolitości i ostateczności w wyrażeniach.

Reszta wymienionych w nagłówku „poezyj oryginalnych" smutne przedstawia żniwo. **Nowy zeszyt** p. Bukowińskiego nie ma ani jednej myśli, ani jednego obrazu, ani jednego akcentu, któryby nie był zużytym i banalnym. Zabójcza proza od początku do końca, nawet w opisach przyrody ani jednego świeższego poetyckiego drgnienia. Poezyę reprezentują chyba rymy, a i te są zaledwie „poprawne" *).

Wydając swój zbiorek p. Bukowiński zgrzeszył przeciwko sztuce, a sobie sławy nie przysporzy. Nakłaniając usilnie p. Z. Rostkowskiego do ogłoszenia **Starganych strun**, do winy względem poezyi dodał w istocie „grzech poważny" przeciwko przyjaźni. To, co powiedziano w przedmowie do *Starganych strun*, budzi w nas szczere i żywe współczucie dla losów p. Rostkowskiego. O książce jego wszakże musimy powiedzieć, iż nie wznosi się ona nad poziom uczniowskich i do tego bardzo nieudolnych prób wierszowania. „Marzyliśmy, kochali i wzlatywali myślą i uczuciem nad poziomy"— powiada w przedmowie p. Bukowiński. Niestety, tego niedość. Przy tworzeniu, przy wcielaniu marzeń, trzeba naprzód wiedzieć i czuć nieco wyraźniej, ku czemu się wylatuje ponad poziomy, i powtóre, umieć wcielić swoje marzenie. Tu różnica między tworzeniem a zdolnością czucia. „Czy sztuka istnieje, czy nie?" — pyta Henryk Laujol w swojej obronie Parnasistów. — „Jeżeli dość jest mieć wiele zmartwień, aby zasłużyć na święte imię poety, czcigodny człowiek, który tylko co odprowadził na cmentarz swą młodą i ukochaną

*) Poprawność taka polega na nieodchodzeniu od wzorów, naturalnie od ich płytkich, zewnętrznych cech, i jest wrogiem prawdziwej twórczości.

córkę jedyną, powinien tylko zrobić na zwilżonym łzami arkuszu papieru krótką wzmiankę o boleści, jaką uczuwa, aby przewyższyć wszystkich artystów bezdzietnych.“

Nie wystarcza też i kochać, aby dobry napisać poemat. **Dział** p. W. Zalewskiego jest „poprawnie“ ubraną w odwieczne rymy — beznadziejną banalnością. Ma jedną zaletę, że zamyka się w parukartkowym tomiku. — Pochwały tej nie można oddać również „poprawnie“ zrymowanym, lecz niemożebnie gadatliwym i spory tomik zajmującym „wzlotom nad poziomy“ p. Mieczysława Glińskiego. Pominiemy pustkę wnętrzną, pełną ideałów, które dawno wszelkie pokrewieństwo z macierzą Ideą straciły, pominiemy wyszarzane, zużyte obrazy, wyrażenia i słowa, pominiemy gniewający wprost po przeczytaniu kilku kart zwyczaj upartego podwajania wyrazów (rozstanie, rozstanie — do mnie, do mnie — za chwilę, za chwilę —wy śpicie, wy śpicie — stań się, stań się — zielenią się, zielenią — gody, hej gody — śmierć, śmierć — wyjdą, wyjdą — mgła, mgła — żal, żal — puść mnie, puść mnie — stój, stój — i tym podobne chińskie tam — tam), które mają prawdopodobnie potęgować wrażenie, a w istocie śmieszą lub nudzą, zwrócić musimy wszakże uwagę na zdumiewające u młodego pisarza starcze jakieś akcenty. Pan M. Gliński wita burzę wiosenną, — „groźnych wichrów królowę w ogniste zbrojną pioruny.“ Jakże mu się ona przedstawia?

Siejąc w koło przestrach i trwogę,
Poważnie (?!) idziesz przed siebie...

Nieco dalej z przedziwną dobrodusznością zapewnia ją o swej sympatyi:

Tyś groźna! Jednak lubię twe grzmoty...

Gdzieindziej, piękna wieszczka wraca w lazury smucąc się nad nędzami ziemi, w oczach ma łzy, serce tonie w tęsknocie, „falą męki tajemnej białe wznosi się łono“ — i autor, z zachwycającą troskliwością, niepokoi się losem tej części ciała:

Czy wytrzyma pierś biała pod cierpienia brzemieniem?

Smutne żniwo! Czczość wewnętrzna, banalność zewnętrzna, oto cechy tych najnowszych płodów „poetyckich.“ O przyczynach, które doprowadziły do tego odpływu rzeczywistej twórczości, pomówimy gdzieindziej.

Lata ostatnie przyniosły powódź antologij. Nie było snadź wydawcy, którzyby nie miał na sumieniu choć jednego takiego wydawnictwa. Układali te zbiory i wybory wszelacy ludzie, często pedagodzy obojga płci, a najczęściej, niestety, poeci — — niestety,

bo pomimo to, lub może właśnie dla tego, dobra antologia jest jeszcze do zrobienia. **Z pieśni naszych** p. Niewiadomskiej jest zbiorem ani gorszym ani lepszym od innych. Pomieszanie dobrych rzeczy z plewą, niedość charakteryzujący dobrych poetów wybór z ich dzieł, pominięcie, nie wiedzieć z jakiego powodu, najmocniejszych nawet (np. Norwida, Kasprowicza, Berwińskiego, Felicyana, Gomulickiego i t. d.) — oto co mamy do zarzucenia książce p. N. I jeszcze jedna uwaga. Wydając antologię „ku uczczeniu *50-letniej rocznicy* (!) śmierci J. Słowackiego," wypadałoby dać nieco więcej ustępów z tego poety.

Co do liczby, rywalizować mogą z antologiami różne jednodniówki i książki zbiorowe. Chaos w nich zwykle gorszy jeszcze niż w antologiach, nieliczne dobre rzeczy giną w powodzi okolicznościowych wierszy i nieudolnych aforyzmów. Są to śmietniki, na których anielskiej cierpliwości czytelnik zdoła niekiedy, acz bardzo rzadko, jakąś perłę czy perełkę wygrzebać. Z imponującej rozmiarami, lecz smutniejszej od wielu podobnych wydawnictw, **Pisanki** przytaczamy subtelny meander Felicyana:

Gdy mówię, czując szron u czoła,
Że lat mam tyle a tyle —
To osobliwie się mylę.
Owszem... tych lat już nie mam zgoła, —
Bowiem któż mieć napowrót zdoła
Coś, co już w mgle jest i w pyle?

Reszta rymowanych czy nierymowanych przyczynków jest, w najlepszym razie, rodzaju nijakiego. Niektóre jednak, acz w przeciwnym kierunku, oddalają się od poziomu. Lubownikom handlu radzimy wziąć pod uwagę tranzakcyę, którą p. Daniłowski proponuje Bogu, zwolennikom zaś szczęśliwych rozwiązań polecamy naiwnostkę p. Czempińskiego.

Zły przekład jest morderstwem, zwłaszcza w poezyi. Niestety, niemasz kodeksu, któryby mógł zapobiedz tego rodzaju zbrodniom. To też liczba i wyrafinowanie przestępstw w tej dziedzinie wzrastają przerażająco. Do jakiego okrucieństwa dochodzą niektórzy skrytobójcy, świadczy *Mary,* do której w dokonanym z angielskiego przekładzie francuskim *Bartka zwycięzcy* modli się chłop polski. Jest to może zemsta za dopełnioną u nas przed laty mniej więcej dziesięciu ohydną dekapitacyę Alfreda de Musset. Pan Wróblewski po dwakroć uśmiercił Lermontowa, i to w **Demonie** przez czystą już chuć morderczą, ponieważ poemat ten był już — wcale nieźle —

przetłómaczony. Zachwycać się poematem to nie dość jeszcze, aby mieć prawo go przekładać. Gdy się tłómaczy arcydzieło, potrzeba nadto umieć znaleźć absolutnie odpowiadający mu ekwiwalent w swoim języku, a to nie jest bynajmniej łatwiejszem od napisania dobrej rzeczy oryginalnej. Niestety, powszechnem jest zapatrywanie, że przekład, to tylko robota mechaniczna, a tymczasem winien on być całkowitem stopieniem oryginału i odlaniem go na nowo. W tłómaczeniach p. Wróblewskiego, darowalibyśmy zmiany rytmów, rymowania w rodzaju: — co tam *lśni* — świał dał *ci,* — dyamentów takich *sił* — czarów nikt nie *pił;* darowalibyśmy nawet błędy stylistyczne, np. ciągłe używanie zaimków osobistych, gdzie one są więcej niż zbyteczne. Przebaczyć wszakże niepodobna starcia całego pyłu poezyi, całego koloru, całej mocy, naturalności i prostoty tego pięknego poematu. Oto przykład:

Tłómaczenie p. Wróblewskiego.

I w uczuć szale
W swoje objęcia schwycił ją.
Całował ustek jej korale,
A obezwładniał mocą swą!
I wzrok potężny wpił w jej oczy,
Przyspieszał w żyłach tętno [krwi,
Poił się wonią jej warkoczy,
Urzeczywistniał grzeszne sny.
Pod czarem władzy niepojętej
W sercu Tamary burza wre.
Zatryumfował duch wyklęty,
Miłością ziemską poił się!
A jad śmiertelny tej pieszczoty
W łono Tamary ogniem [wnikł...
I nocnej ciszy spokój złoty,
Rozpaczy strasznej rozdarł [krzyk!
Wszystko w nim było: ból — [konanie —
Wymówka, miłość — rozkosz, [łzy
I ostateczne pożegnanie:
Nieba—nadziei—wiary—czci! —

Dosłowny przekład prozą.

I lekko
Ustami dotknął palącemi
Jej drżących warg;
Uwodnych kuszeń pełną mową
Na jej błagania odpowiadał.
Potężny wzrok patrzał jej w [oczy,
Palił ją; w pomroce nocy
Ponad nią tuż połyskał,
Nieodparty jak kindżał.
Biada! zły duch tryumfował!
Śmiertelny jad jego pocałun- [ków
W okamgnieniu wdarł się w jej pierś...
Męki pełny, przerażający krzyk
Nocne zakłócił milczenie.
Wszystko w nim było: miłość, [cierpienie,
Wyrzut z ostatniem błaganiem,
I beznadziejne pożegnanie —
Pożegnanie z życiem młodem.

. . . .

Przykre spełniliśmy zadanie· Za jedynie interesującą i ważną uważamy krytykę dodatnią, wynajdującą i oświetlającą w dziełach prawdziwie twórczych najistotniejsze ich pierwiastki i największe głębie. Krytyka negatywna wydaje nam się pomocniczem jeno narzędziem, potrzebnem wtedy, gdy stajnia Augiasza zbyt przepełniona. Obyśmy się do tego malum necessarium jak najrzadziej uciekać potrzebowali.

SZTUKI PLASTYCZNE.

Kilka słów o krytyce. — Salon Krywulta (wystawy: inauguracyjna, Sienkiewiczowska i drzeworytów japońskich). — Wystawa inauguracyjna Towarzystwa Zachęty sztuk pięknych.

Kilka słów o krytyce. Po krytyce, która na dzieło sztuki plastycznej zapatrywała się z punktu widzenia historyozofii, filozofii, tematu i poniekąd znaczenia wnętrznego, nie zwracając zupełnie uwagi na plastyczne ich urzeczywistnienie, — doszła do władzy krytyka czysto fachowa, krytyka techniki, wykonania, z pominięciem zupełnem tego, co jest właściwą istotą i celem sztuki. Pojawienie się tej krytyki było poniekąd wynikiem przekształcenia się poglądów na sztukę u samych artystów. Z zapanowaniem realizmu i reguły, iż „wszystko jest dobre do malowania," doskonałość faktury stała się wyłącznem pragnieniem i jedynym celem artystów. Ubóstwiono rzemiosło. Krytycy, odwiedzając pracownie, zaczęli zwolna zajmować się tem, co było jedyną troską artystów, i mówić o tem w swych sprawozdaniach. U nas, w szczególności, początkiem i źródłem tego zwrotu były oparte prawie wyłącznie na fachowych spostrzeżeniach artykuły Witkiewicza. Jak każda nowość, doktryna ta z początku spotkała się z oporem, niezadługo jednak przemógł — jak zawsze — snobizm, i wytyczne jej punkta przyjęte zostały przez krytyków, nawet niefachowców, a potem przez publiczność. Dziś metoda mówienia o rzeczach, które ludzie fachu winniby sobie szeptać do ucha, zamiast wykrzykiwać je na środkach ulic, stała się zwyczajem ogólnym. Krytyka ta, doktrynalna i nielogiczna, bo zajmująca się, zamiast celem sztuki, środkami do niego prowadzącemi, wywarła na tłum, czerpiący swoją wiedzę z dzienników, wpływ nader niepożądany, powiedziałbym, wprost zgubny. Publiczność nakarmiona i opchana frazesami i terminami, których w dodatku dobrze nie rozumie, straciła całą szczerość, przestała

interesować się tą jedyną rzeczą, która powinnaby ją zajmować w dziele sztuki: wrażeniem, uczuciem, wzruszeniem przez nie wywoływanem. Zwolna rozwinęła się, a dziś wzrasta coraz bardziej, niezdolność zupełna do odczucia przed dziełem sztuki jakiejbądź emocyi szczerej i głębokiej. Nikt dziś nie umie milczeć przed niem chwili, nikt nie patrzy, aby odnieść jakiekolwiek wrażenie, każdy przychodzi z poczuciem sędziego mającego wydać wyrok o doskonałości lub wadliwości technicznej dzieła. Ztąd obojętność zupełna w kwestyach sztuki, albo też entuzyazmy nieszczere, kończące się burżuazyjnem uwielbianiem bądź tradycyjnych sposobików i pomadek, bądź krzykliwych, niby nowych, lecz płytkich prądów.

Umiejętność, znajomość wszystkich arkanów techniki, rzemiosła, jest niewątpliwie rzeczą nieodzowną dla artysty, krytyka jednak ani widza obchodzić one nie powinny. Dla nich istnieć winien tylko rezultat osiągnięty zapomocą tych środków i bez posiadania ich nie możliwy do urzeczywistnienia, ale w istocie swojej będący wypływem twórczości artysty, owocem jego duszy, realizacyą jego wizyi. Sztuka jest jedna, odgałęzienia jej są tylko następstwem różności zmysłów, przez które odbieramy wrażenia. Wnętrzne wzruszenia będące ostatecznym wynikiem wrażeń odbieranych przez różne zmysły są, w gruncie rzeczy, identyczne. I sztuki plastyczne zatem, podobnie jak muzyka lub poezya, o tyle tylko są twórcze, o ile zdołają wzbudzić w nas, bądź świadome bądź instynktowe, poczucie nierozerwalnej istoty bytu, nieskończoności, absolutu. To już wskazuje, że sztuki plastyczne nie mogą być tylko niewolniczem naśladowaniem tego, co realiści czy naturaliści nazywają naturą, a co właściwie jest fenomeniczną jej powierzchnią, rozbiciem jej na poszczególne zjawiska, które w takiem oderwaniu realnego bytu nie mają. Artysta musi patrzeć w naturę, nie po to wszakże, by kopiować ten zjawiskowy płaszcz osłaniający jej istotę, lecz aby, dotarłszy do tej ostatniej, nauczyć się tworzyć w dalszym ciągu tak, jak natura tworzy, to jest wiążąc każdy szczegół z całością bytu.

Powiedzmy dostępniej: — sztuka nie ogranicza się do biegłości technicznej, pozwalającej skopiować wiernie pierwsze lepsze zjawisko zmysłowe; jest ona czemś więcej: stylizacyą, harmonizacyą, transfiguracyą, kompozycyą, wreszcie — nie lękajmy się słowa — kreacyą, tworzeniem. Większość artystów grzęźnie jeszcze w realiźmie, czego dowodzi, nawet u zarzekających się słownie tej doktryny, wybór, najczęściej przypadkowy, odtwarzanego tematu. „Jakąż wzgardę odczuwam"—powtórzy za Voltaire'm każdy realista —

„dla artystów, których powodzenie polega prawie zawsze na temacie!“ Zgodzimy się na to, z małem zastrzeżeniem: „jeżeli jedynie na nim.“ Lecz jednocześnie odpowiemy niemniej ostrą apostrofą Alfonsa Germain: „Jeżeli praca twa, artysto, zależy od przypadkowego spotkania, możesz zrobić dobry obraz, dzieła wszakże nie stworzysz nigdy.“ Bo porozumiejmy się. „Niegdyś“ — zauważają słusznie Barlet i Lejay — „artysta, powziąwszy z góry myśl, szukał dla niej wyrazu zewnętrznego; dziś (leniwszy umysłowo — dodałbym — lub uboższy w myśli) szuka idei poza sobą — w naturze; niegdyś sztuka uganiała się za formą dla Ducha, dziś chce wykrzesać Ducha z Formy.“ Do tego właśnie i jedynie dąży, przetwarzając, stylizując, harmonizując, komponując. „Ale“ — powie niejeden z artystów — „zapomocą tych wszystkich sposobów mogę stworzyć dzieło piękne z najbłahszego tematu — co dawałoby mi prawo do tem większej chluby.“ Chluba, odpowiem, z przezwyciężonej trudności, która nie ma nic wspólnego ze sztuką. A potem, czy trudność ta zawsze i rzeczywiście przezwyciężyć się daje? Jeżeli przyjmiemy, że Piękno jest objawieniem się Istoty rzeczy w materyalnej ich formie, wcieleniem Idei, Słowa w formach natury, manifestacyą nieskończoności w skończoności; jeżeli zgodzimy się, że celem sztuki jest realizacya tego Piękna, albo — jak subjektywniej to objaśniają Barlet i Lejay — „rozbudzenie przez wrażenia rzeczywistości wszystkich wzruszeń duszy, rozżarzenie, rozentuzyazmowanie i w końcu porwanie jej aż ku wzniosłym szczytom Idei“ — to, czyliż, aby dojść do tego wszystkiego, traktując przedmiot błahy, nie potrzeba nieskończenie więcej talentu, wysiłków, niż przy temacie bardziej dobranym i bardziej odpowiednim? Istota, idea, nieskończoność mogą się objawić — przystaję na to — równie dobrze w ziarnku piasku, jak w Himalajach, równie dobrze w wiązeczce marchwi jak w katedrze gotyckiej, ale wydobyć je tam na jaw — trochę karkołomniejsza to sztuka, i wątpię, by ta trudność często była przezwyciężana. Złudzenie zatem, które może doprowadzić jedynie do przewagi „malowania“ (czy rzeźbienia) nad sztuką, „kawałka“ nad dziełem. Zresztą dążąc stale do uproszczeń w technice, do zaniechania zbyt grubych warstw farby, do usunięcia sztuczek, złudzeń wzrokowych, nadmiaru modelacyi, tak drogiej realistom, i zastępując wszystko to linią i plamą jedynie, miano — jak się zdaje, chęć wyrażać tylko rzeczy istotne, pozostawiając inne mniej ważne w niedopowiedzeniu. Czemuż nie zastosować tej zasady w wyborze przedmiotu? Wiem dobrze, iż dotknąwszy tego punktu,

będę miał przeciwko sobie większość malarzy współczesnych. Pomnę, że Millet oburzał się już kiedyś na coś podobnego. „Moi krytycy“— mówił — „to ludzie wykształceni i ze smakiem, ja wszakże nie mogę wleźć w ich skórę, i ponieważ nie widziałem nigdy w życiu nic prócz pól, staram się wypowiedzieć, jak mogę, to, czego zaznałem, gdym wśród nich pracował“ Nieudane szyderstwo fachowca z profanów: bo któż wymagał, aby porzucił swoje pola? Wyobrażam sobie, że nikt. Ale zwracano mu niewątpliwie uwagę, że na polach, równie dobrze jak gdzieindziej, są rzeczy zasadnicze i przedmioty błahe. Trzeba było tylko wybierać albo być dość potężnym na wydobycie tego, co celem jest sztuki, z rzeczy błahych. Że wszystko czynimy zależnem od tej ostatniej zdolności, niechaj dowiedzie i to jeszcze, iż pierwsi gotowiśmy zawsze wystąpić przeciwko tak zwanej „literaturze“ (le littéraire) w sztukach plastycznych. Aczkolwiek ostateczne oddziaływanie dzieł wszystkich poszczególnych sztuk pięknych w duszy naszej wspólną znajduje receptywność, jednak, ponieważ każde odgałęzienie sztuki przez specyalny jedynie organ do tej magicznej retorty najwyższych syntez znajduje przystęp, przeto każda sztuka musi mówić wyłącznie i jedynie swoim własnym językiem, musi używać wyłącznie właściwych jej środków i sposobów ekspresyi. „Literatura“ w malarstwie i rzeźbie oznacza chęć działania na widza inaczej jak przez oczy, t.j., przedewszystkiem przez myśl, a więc pośrednio. Odczuwa się to natychmiastowo, gdyż dzieło sztuki działając drogą należną wywołuje przedewszystkiem bezpośrednie, owładające nieodparcie człowiekiem wzruszenie, które można potem dopiero uświadomić i zrozumieć, podczas gdy, w cudze wkraczając atrybucye, budzi poprostu ciekawość, często nawet silny proces intelektualny, ale ani śladu jakiegobądź wzruszenia.

Zreasumują krótko wszystko, cośmy dotąd powiedzieli, i będą jakby kanonami przy ocenach trzy, wybornie sformułowane przez Barlet'a i Lejay'a właściwości zasadnicze, nieodzowne dla artysty, i odpowiadające im trzy pierwiastki w każdem dziele sztuki.

Artysta winien być obdarzony:

1. *wrażliwością psychiczną,* czyli zdolnością ujmowania idei zasadniczych, przejmowania się poezyą rzeczy i ich duchem — a niemasz nic, coby go było pozbawionem;

2. *wrażliwością formalną,* czyli zdolnością ujmowania, w emocyonalnem ich znaczeniu, form, wziętych jako takie, bez względu na przedmiot, który mogą wyobrażać;

3. *zdolnością przystosowywania* idei do form i odwrotnie.

W prawem dziele sztuki odnaleźć musimy trzy pierwiastki:

I. *ideacyę*, czyli koncepcyę (lub lepiej mówiąc wizyę) Idei;

II. *wykonanie*, które nie ogranicza się do czysto technicznych rzeczy, ponieważ wchodzą w nie nadto: realizacya, czyli wcielenie wizyi, i odrębny styl, czyli właściwy artyście indywidualny sposób oddawania przedmiotów;

III. *kompozycyę wreszcie*, czyli układ przedmiotu, wiążący ideacyę z wykonaniem i harmonizujący ideę, wizyę, linie i kolory.

§§.

Wystawy zbiorowe. Jesteśmy w zasadzie przeciwni wszelkim zbiorowym wystawom dzieł sztuki. Kilka tysięcy, jak w salonach paryskich, lub kilka set, jak u nas, płócien i rzeźb, wyszłych z pod pędzla czy dłuta różnych artystów o najróżniejszych temperamentach, przekonaniach, sposobach wykonania, wytwarzają przerażający chaos, w którym nietylko przeciętny widz, ale nawet krytyk i znawca, w skutek prostego znużenia oka, zgubić się mogą. Każdy z artystów wie, jak groźne są sąsiedztwa na tych targowiskach sztuki, i to sąsiedztwa nie rzeczy lepszych, lecz krzykliwszych, „efektowniejszych,“ które niekiedy wprost zabić mogą dzieło istotnej wartości. Dzieła sztuki wymagają zresztą ciszy, skupienia w widzu, a w tych kramach zatłoczonych gwar panuje straszliwy. Odwracam spojrzenie od obrazu czy rzeźby i pragnę wesprzeć oko na czemś obojętnem, aby ujrzeć w sobie widziane przed chwilą dzieło. Tymczasem zamiast ściany lub harmonijnej draperyi, wzrok mój uderza coś zupełnie z oglądanym przed chwilą obrazem sprzecznego, co w okamgnieniu wytrąca mnie z nastroju i zmąca poprzednie wrażenie. Barwy, linie, style krzyczą ze wszystkich stron, wydzierają sobie uwagę widza, kłócą się między sobą, walczą o byt zajadle — i człowiek przeciętny wyjść musi z wystawy z podobnie mętnem, niewyraźnem, szczegółu żadnego niepomnem, wrażeniem, z jakiem wychodzi się z wielkiego, różnemi drzewy zagęszczonego lasu.

Uwagi te stosują się równie dobrze do muzeów dzieł dawnych, do owych olbrzymich szeregów sal, z których większa część zwiedzających — twierdzimy to napewno — wychodzi, mimo przyjaznej pomocy wyróżniających już wybitne rzeczy „przewodników“ i gwiazdek w różnych Baedeckerach, oślepiona, znużona, mrugająca oczami, bez żadnego istotnego, mocniejszego wrażenia estetycznego. A tam

idzie się przecież z pewnem choćby najskromniejszem przygotowaniem, z pewnemi choćby najbardziej ogólnikowemi wiadomościami o niektórych przynajmniej arcydziełach, które się ma tam znaleźć, z pewną *Ehrfurcht* wreszcie, wynikającą ze świadomości, że to jest muzeum, Louvre czy Galerya Narodowa, przybytek uznanych mistrzów, zbiorowisko omawianych w historyach sztuki arcydzieł. Tam normalny widz nie odnosi również żadnego właściwie estetycznego wrażenia, ale, przygnieciony świadomością uznania wieków, gotów raczej *wszystko* uznać za zdumiewająco piękne, nie wyłączając nawet rzeczy historyczne dziś jedynie mających znaczenie. Inaczej się dzieje na wystawach współczesnej, dzisiejszej sztuki, gdzie tłum odwiedzający żadnej już wskazówki, żadnego nie ma przewodnika, prócz smętnych bardzo i przez podejrzanych znawców pisanych wzmianek dziennikarskich, a dokąd nadto, wyćwiczony na bajecznej dezynwolturze tychże dziennikarzy w traktowaniu dzieł sztuki, przychodzi nie już z kornem do pewnego stopnia poddaniem, nie z chęcią odebrania jakiegobądź podnioślejszego wrażenia i rozkoszowania się niem, lecz z samozadowoleniem sędziego, który powie coś o tem, co widział, choćby właściwie nic nie miał do powiedzenia.

I na działalność artystów wpływają te stałe czy peryodyczne wystawy w sposób bardzo niepożądany. Artysta przestaje właściwie pracować dla tego, aby tworzyć; pracuje dla tego, aby wystawiać. Jest, dajmy na to, w werwie, w rozmachu, drzewo jego marzenia rozrasta się szeroko, twórca czuje w sobie materyał na cały szereg dzieł większych i mniejszych — ale nie zabiera się do nich, lub nie kończy ich, bo i po co, skoro w wielkiej halli targowej, jaką jest np. Salon paryski, czy to największemu mistrzowi, czy poprawnemu zaledwie, bez śladu twórczości, rapin'owi (och, te powodzie rzeczy poprawnych! u nas bywają zresztą nawet i niepoprawne) wolno wystawić tylko bardzo nieznaczną, ściśle określoną ilość płócien czy gipsów. Ponieważ, dalej, w stłoczeniu strasznem, nieraz przepyszna, lecz niewielkich rozmiarów rzecz ginie, uchodzi uwadze widzów, w zabójczem sąsiedztwie kilkumetrowych „maszyn,“ więc ileż to razy artysta dałby zupełnie dobrą rzecz, gdyby w odpowiednich zamknął ją rozmiarach i nie silił się na ogrom. Przy peryodycznych wystawach, ileż to razy artysta, nie mając zupełnie rozpędu ani powodu wnętrznego do roboty, robi jednak, bo musi mieć coś w salonie. Pośpiechy, takie zwykłe, aby rzecz wykończyć na termin otwarcia, źle wpływają też niewątpliwie na jej wartość. Przy stałych wystawach, inne znów szkodliwe strony.

Właściciele sal wystawowych, nie chcąc mieć w nich pustki, zabiegają u artystów, a ci skłaniają się łatwo do wystawienia, skoro jest gdzie, i to pomiędzy innymi. Ztąd odwyknienie od dłuższego przetrzymywania dzieł w pracowni — i nieraz, rzecz, którą twórca, obejrzawszy jeszcze i jeszcze, w dłuższych czasu odstępach, doprowadziłby do większej w każdym razie doskonałości, idzie w świat, w postaci bynajmniej nie ostatecznej.

Cóż na to poradzić? Ideałem byłoby wystawianie pojedynczego dzieła, lub, lepiej jeszcze, grupy dzieł, będących owocem jednego „drzewa marzenia“ u danego artysty. Widzieliśmy takie wystawy Odilona Redon'a, Klaudyusza Monet'a i wielu innych. Nic tam jedno drugiemu nie przeszkadza, rzeczy najwybitniejsze zarysowują się wyraziście, rzeczy drobniejsze, stopniujące wysiłek artysty ku tamtym, potęgują tylko ich wrażenie, a całość daje niesłychanie harmonijny i wyraźny obraz pewnego stanu duszy, pewnego okresu w twórczości artysty, pewnego marzenia w jego całkowitem rozgałęzieniu. Jeżeli do takich idealnych wystaw dojść od razu trudno, niechaj będą ekspozycye pojedynczych artystów, choćby z rozmaitych okresów ich działalności. I tu jeszcze duchowa postać twórcy zarysuje się wyraziście, i tu jeszcze różnice zaznaczać będą jeno rozwój taki lub inny, ale nigdy sprzeczać się ze sobą, albo przeszkadzać jedne drugim. Niech wreszcie, wystawia razem pewna grupa artystów związanych wspólnemi jakiemiś cechami i dająca gwarancyę wzajemnej kontroli nad wartością dzieł wystawianych. Chodzi o to tylko, i o to koniecznie, aby raz usunąć te ohydne jarmarki, pełne tłoku, ścisku, z przewagą zabójczą rzeczy tylko poprawnych (a jak u nas i niepoprawnych nawet), ze stałem, — jak widzieliśmy, na złe wiodącem artystów drogi — istnieniem, z peryodycznemi — co gorzej snadź jeszcze — nieodzownemi terminami, i z kupieckiem ich, przed wszystkiemi innemi względami, znaczeniem.

Salon Krywulta. Kolejne szczegóły refleksyj tych, które snadź po raz pierwszy uderzą wzrok czytelników polskich, znajdą z kolei, przy różnych okolicznościach, należyty sprawdzian i udowodnienie. Inauguracyjna wystawa przeniesionego do nowej siedziby Salonu Krywulta dowiodła, że przy dzisiejszym trybie wystaw arcydzieło nawet przed oczyma odwiedzających przesunąć się może, żadnego, nawet na krytykach, nie zrobiwszy wrażenia. Arcydziełem tem był portret własny Ignacego Pieńkowskiego, górujący tak nie-

słychanie nad kilkoma doskonałemi nawet na tej wystawie rzeczami, że chyba w bezmiernym jego spokoju i głębi znaleść można wytłómaczenie obojętnie pochwalnych wzmianek o nim w krytykach, lub— co gorzej — stawiania go niżej od wystawionego poprzednio, brawurowego, majsterskiego, ale do stóp mu nie sięgającego portretu znużonego młodzieńca w balowym stroju. Co to jest portret? Oddanie wewnętrznego, duchowego charakteru człowieka, nadającego cechy specyalne całej cielesnej jego powierzchowności. Im głębiej tu artysta sięgnie, tem bardziej nieprzemijającym, od cielesnego pierwowzoru niezależnym, samoistnie żyjącym staje się jego utwór. Niewymownie rzadko, nawet mistrzom największym, udaje się sięgnąć ku najgłębszym, ku wieczności zwróconym pierwiastkom człowieka, i wtedy nie jest to już portret jakiegoś danego indywiduum, nie jest to już nawet wizerunek pojedynczego człowieka, lecz jakaś wizya dajmonicznych, nadludzkich w nim pierwiastków, wizya tego, co w glinie ludzkiej na obraz jest i podobieństwo boże. Wtedy powstają takie dzieła, jak Gioconda da Vinci'ego, portret własny Dürera w Prado madryckiem i snadź inne, które mi w tej chwili na myśl nie przychodzą. Cechą, która odróżnia je od wszystkich do tej wyżyny nie sięgających, jest jakaś symbolowa wszechznaczność i niewysłowna pogoda, będąca snadź skutkiem zaniku czy zatarcia się wszystkich trosk, bólów, czy zapałów ziemskich, w obliczu wieczności. Cechy te uderzają i w portrecie Pieńkowskiego — i dla tego nie waham się wymienić jego nazwiska zaraz obok tamtych wierzchołów sztuki malarskiej. Wiecznościowa cichość jakaś i wszechwiedza idzie z tych oczu patrzących ku nieskończeniu i z całej tej prostej, ciemnej, bezpozowej i bezefektowej postaci, występującej z żółto - złotawego, symfonijnego, mimowiednych jakichś tajemnic pełnego tła. Nic w tym portrecie niema zbytecznego i niczego w nim nie brak. Pieńkowski w dziele tem do najwyższych dotarł szczytów. Zarazem wszakże włożyło nań ono niesłychanie ciężkie zadanie, o ile sam sobie w przyszłych utworach sprostać zechce. — Wszystko to *nie* było powiedziane w żadnej historyi sztuki, i dla tego miejscowym znawcom wolno ruszać ramionami. — Będąca prawdopodobnie pierwszym szkicem do tego portretu, *Analogia* Pieńkowskiego jest z tychże samych względów nader zajmująca w głównej i najbardziej skończonej głowie, odskok wszakże od tej ostatniej do omawianego przed chwilą portretu podobny jest do tego, który dzieli Leonardowską głowę Chrystusa w galeryi Brera od tejże głowy w *Wieczerzy*.

Z innych portretów zwróciły naszą uwagę, dalekie od głębi wspomnianego arcydzieła, lecz nader krzepkie, pełne charakteru i odrębnie kolorystyczne portrety Krzyżanowskiego. Pewne hamowanie rozmachu i większe zwrócenie uwagi na subtelności przydałoby się może; bądź co bądź jednak, p. K. jest bardzo pocieszającem zjawiskiem na smętnem tle przeróżnych modnych portrecistów.

Uwielbiany i wynoszony w górę portret własny J. Malczewskiego nie trafił nam do smaku. Wiele w nim pozy, wiele kostyumerstwa, wiele alegorycznych akcesoryów, para, nie wiadomo *cui bono* transponowanych na fantastyczne figury, kolegów, wszystko razem dziwnie niespójne i łamigłówkowate, a co najdziwniejsza, twarz potretowanego, który gdzieindziej umie nadawać głowom swoim tyle ekspresyi, prawie bezwyrazowa. Przy tej sposobności chcielibyśmy w ogóle wyjaśnić nasze stanowisko względem Malczewskiego. Jako artystę, który nigdy nie zadowalał się prostem, rzemieślniczem kopiowaniem natury, dążył zawsze do twórczości i głębi, nie hołdował nigdy modom i przesądom, — cenimy go bardzo głęboko. Dziwaczny jednak konglomerat elementów twórczości, dający się zauważyć w każdej prawie jego kompozycyi, zmusza nas do zastrzeżeń. Malczewski, jak już powiedzieliśmy, posiada niesłychaną zdolność nadawania twarzom swoim potężnej i głębokiej ekspresyi. Wszystkie prawie głowy męzkie w cyklu, przedstawiającym męki twórcy, są wprost wspaniałe, — o ile je wyodrębnić z otaczających każdą, niestety, suchych, rebusowych i niekiedy trywialności zamiast grozy pełnych alegoryj. Malczewski jest przedziwnym pejzażystą; niestety, stafaż prawie zawsze psuje wrażenie. Gdzieniegdzie są to nieusprawiedliwione i bezbarwne fauny, gdzieindziej znowu dziwnie naturalistyczni urlopnicy czy rekruci. Górną połowę jednego z obrazów stanowi cudowny, nawpół wystylizowany, pogodny, melancholii pełny krajobraz drzewny, o niby spłowiałych, gobelinowych jakichś tonach, które budzą w myśli wspomnienie najlepszych starych mistrzów niemieckich. Niestety, zawadza oń i przecina go nawet brutalnie przykrą bielą swego papierowego kołpaka, umieszczony na dole „typ realistyczny,“ mający obok siebie, niewiadomo zkąd znowu, „fantastycznie nagą“ i rubasznie brzydką postać mytologiczną. Sprawdzić to można na dwóch obrazkach, które dotąd jeszcze wiszą u Krywulta. Na jednym, w samotnym zakącie między łanem zboża i białą brzóz kępą, chłop pasie krowy. Temat, zda się, banalny, a rzecz doskonała. Takie tam słoneczne cisze wiszą w powietrzu, takie błogosławiące płyną brzóz szmery, tak miękko zbożowe przy-

ginają się kłosy, tyle tam tego życia, które, tylko po uciszeniu się w sobie, pochwycić i odczuć można. Tuż obok, żołnierz, wracający do swojej zagrody, stoi wsparty o płot sadu. W bardzo majsterskiej, więcej, odczutej, jego pozie uwydatniają się wybornie, tak, że i bez widoku twarzy obejść się możemy, miotające nim uczucia. Cóż, kiedy pejzaż wypadł sucho, bezbarwnie i próżno jakoś.

Nie robilibyśmy tych zastrzeżeń, trzymając się zdania, że kapitalna część jakaś w obrazie okupuje nawet upadki w pozostałych, ale jesteśmy do nich zmuszeni poniekąd przez taktykę „miarodajnej“ krytyki, która, podnosząc dzisiaj dopiero (gdy trzeba pokazać, że się także odczuwa idealizm i rozumie symbole), ale za to bezwzględnie, Malczewskiego, nie widzi równocześnie nic w Wyspiańskim, milczy o nim lub natrząsa się z jego „chorobliwości“ i „deformacyj,“ i zdaje się nie mieć najmniejszego przeczucia, jak kolosalnych rozmiarów to twórca.

Mówiąc o potrecistach, niepodobna nie wspomnieć o Boznańskiej, której bardziej tajemnicza niż głęboka psychologia postaci zyskuje coraz na wyrazistości, i której zajmujące szarości stają się w ciszy swej i skupieniu coraz bardziej kolorystycznemi. Nadto, ciepło niezwykłe przenika ostatnie jej malowidła i zdwojonem darzy je życiem. Od rzeczy wystawionych u Krywulta bardziej zainteresowała nas *Angelina* zawieszona w Tow. Zachęty.

Z pejzażystów, przedewszystkiem pomówić musimy o Stanisławskim. Ten niewymowny niegdyś poeta zmierzchów, sadów ukraińskich, widziadlanych grusz i jabłoni, świecących w mroku białością pni i wyciągających, niby ręce błagalne, rozłożyście pokręcone gałęzie; ten Boecklinowski prawie ożywiacz świata wód i roślin, jakże różne i jak wymowne umiejący nadawać fizyonomie swym mistycznym szeregom czarnych topól nad wodą i swym dziewannom; ten śmiałek, biorący się bez lęku za bary ze słońcem i pożarami odblasków jego na kopułach cerkwi ukraińskich; ten bajeczny odczuwacz sennych, jakgdyby zciszonych w rozkładającem się powietrzu, wilgotnych patyn na słupach lagunowych; ten władca całej gamy tonów, barw i świateł, — wyjawia się, zwłaszcza w ostatnich czasach, jako kapitalny syntetyk nie wahający się poświęcić wszystkich szczegółów krajobrazu dla osiągnięcia bądź epickiej dali i szerokości, bądź niesłychanie intensywnych feeryj świetlnych, w których mógłby rywalizować z Klaudyuszem Monet, mimo zupełnie różnych dróg, jakiemi obaj idą. Syntezą, zresztą, jest całokształt twórczości Stanisławskiego, gdyż dziw! całe te szeregi drobnych rozmiarami obrazków, będących niekiedy pozornie notacyą tylko pewnych szcze-

gołów czy momentów, zostawiają w duszy widza nie wspomnienie sumy poszczególnych wrażeń, lecz jakąś jednolitą wizyę czy to bezbrzeża stepowego, czy jakiegoś morza światłości, czy wielkiego, obejmującego wszystko zmierzchu widziadlanego. Świadczy to o zdolności Stanisławskiego do tego, co jedynie należałoby nazywać symbolizowaniem, to jest, do zamykania w pojedynczym szczególe przeczucia całej natury. Te drobne obrazki są wielkiemi oknami na przyrodę.

I u Krywulta (zwłaszcza: czarodziejski fajerwerk jesiennego obrazu, ogniskujący się ku pierwszym planom w wulkanicznym wprost wybuchu światłości), i w Tow. Zachęty widzieliśmy po kilka pejzaży Stanisławskiego. Ale dla niego właśnie nieodzowną byłaby osobna, wyłączna dzieł jego wystawa, która dopiero pozwoliłaby każdemu ocenić wszystkie wymienione wyżej cechy jego talentu, wadliwy bowiem i nieumiejętny sposób rozwieszania płócien na naszych zbiorowych ekspozycyach najbardziej szkodzić musi jego drobnych rozmiarów obrazkom.

Charakterem Ruszczyca jest siła i, do pewnego stopnia, groza. Jego potoki toczą się ciężko i ponuro, jakby za chwilę miały zerwać brzegi; jego młyny cyklopicznych jakichś robią wrażenie budowli; słynna jego *Ziemia,* z nędznym, mozolącym się na niej płazem, zda się wisieć czy krążyć w przestrzeni pod posępnem tragicznych jakichś chmur nakryciem; konie unoszące szalonym pędem karetę, w alei widmowo gnących się z wichrem drzew-olbrzymów, przybierają kształty jakichś bestyj z Apokalipsy. Cała przyroda zdaje się mieć dla oka artysty charakter przedewszystkiem i wysoce dramatyczny. Transponując wrażenie optyczne na słuchowe, powiedzielibyśmy, że obrazy jego grzmią piorunowo lub przynajmnie huczą głucho. To też niespodzianką pewną był jego *Kościołek* wystawiony u Krywulta. Siła i tu |ta sama, „kościołek“ to raczej pelazgijska jakaś budowa, chmury, acz białe tym razem i uśmiechnione, potężnie ważą się w powietrzu, ale dramatu ni śladu. Ogromna to raczej, krzepka, zdrowa idylla. Całość dyszy pogodą i spokojem słonecznym, a cisza niedzielna i świeżość rosista potężną falą płyną z dotykalnej prawie powietrzni obrazu.

Edward Okuń wystawił u Krywulta mniej trafiający nam do przekonania i zbyt realistyczny na takiego, jak on, twórczego transfiguratora, *Sen,* oraz kilka pejzaży, z których obrzeżony kwitnącemi migdałowcami stok góry z prześwitującem przez mgły u stóp jego miastem, pełen jest tego zupełnie odrębnego, południowego powietrza

i światła, a przepyszna woda przy świetle księżyca, z subtelnemi odbiciami ogradzających ją sztachet, wyśwituje na tłach drugoplanowej czerni nocnej niby tajemnicze szeroko rozwarte oko. Wystawiony w Tow. Zachęty, portret własny i żony na tle średniowiecznego, uczepionego na wzgórzu miasta włoskiego, niesłychanie dyskretny i subtelny w tonach i kompozycyi, oraz pełny szlachetnego, we włoskiej, zda się, sztuce początek biorącego, lecz przytem nader indywidualnego stylu, przekonywa nas raz jeszcze, jak-eśmy to już kiedyś z dawniej widzianego przypuszczali nokturnu, że twórczo-kompozycyjnemu temperamentowi Okunia nie wystarcza sam pejzaż i że dopiero przy pojęciu takowego w sensie Maeterlinckowskiego tła, t. j., jako pierwiastku równorzędnego z człowiekiem i echowo z nim sobie wzajem odpowiadającego, talent jego wybłyska w całej pełni. Oczekujemy z ciekawością większej wystawy, którą Okuń niezadługo, podobno, ma urządzić i wówczas szerzej zastanowimy się nad jego twórczością.

Chełmoński dał las zasypany śniegiem, gdzie delikatne, zielonawe tony błąkają się tęsknie wśród bieli, niby wspomnienia o dniach minionych. Miękka, puszysta cisza leży naokół, osypany przez sójkę śnieg z grzmotem zda się w niej dopadać ziemi.

Wawrzenieckiego znaleźliśmy tylko jedną rzecz, ale jak zawsze interesującą w liniach i kolorach.

Teatr Marcellusa w Rzymie — Józefa Pankiewicza — jest mistrzowskiem dziełem. Mroczność, chłód wiejący, brzemię odczuwalne, dziwne patyny starych głazów zwietrzałych, cała dusza murów! Od katedr Klaudyusza Monet nie widzieliśmy, mimo różnic w traktowaniu, podobnie malowanych ścian starożytnych. Zadowalając się tem jednem malowidłem, położył Pankiewicz u Krywulta cały nacisk na akwafortę, w dziale której jest w Warszawie prawie jedynym, lecz za to niesłychanie tęgim przedstawicielem, czego najlepszym dowodem, iż nawet tak groźne sąsiedztwa, jak Ropsa, Klingera, Liebermana, Herkomera i innych ani na źdźbło mu nie zaszkodziły. Zwłaszcza jego *pointes sèches:* Grobla, Wenecya, Syena i tenże sam, co na malowidle, Teatr Marcellusa zachwyciły nas poprostu smakiem i subtelnością wykonania. Zainteresowały nas również bardzo ciekawe kompozycyjnie i liniowo, acz może nie tak definitywnie dojrzałe jak Pankiewiczowskie, akwaforty F. Siedleckiego. Tenże artysta miał później w Salonie Krywulta niedość szczęśliwe może w koncepcyi, lecz ciekawe liniowo i nader zajmujące w suggestyjnych przejściach barw, pastele.

Aby nieopuszczać dziedziny malarstwa, słów parę jeszcze o wystawie Sienkiewiczowskiej w tymże Salonie, oraz o cyklu węglowych rysunków M. Gajewskiego *). O pierwszej nic dobrego powiedzieć nie możemy. Zdumiewającą wprost jest rzeczą, że dzieła Sienkiewicza, posiadające, bądź co bądź, tyle momentów epickich, natchnęły tylu artystów zaledwie do anegdot. Najlepsze są jeszcze rysunek J. Kossaka, oraz ilustracya Kamieńskiego do *Lux in Tenebris*. Reszta, rysowana przez Tetmajera, Batowskiego, Gorskiego, Jankowskiego, jest wprost nudna i śmieszna. Co do Kostrzewskiego mielibyśmy dość już, i zanadto nawet, jego zupełnie przeżytej maniery. Jarocki w swoim olejnym obrazie do *Quo Vadis* nie wyszedł również po za anegdotę.

M. Gajewskiego pamiętaliśmy z ilustracyj w „Wędrowcu,“ które były szczytnej banalności. Odtąd zrobił niewątpliwie postępy wielkie, aczkolwiek koledzy artyści nie mieli znowu wcale powodu do hyperbolicznych pochwał, jakiemi obdarzali mętny dość *Sen artysty*. Sądząc z kolekcyi prac, obecnie wystawionych u Krywulta, Gajewski ma większe zdolności do krajobrazu, zwłaszcza miejskiego. Jego *Plac Zygmunta* z piętrzącemi się fantastycznie dachami katedry, oraz rodzajowy bardziej widok na Wisłę przewyższają o wiele jego kompozycye figuralne i portrety. Z materyału samego, jakim jest węgiel, nie wydobyto absolutnie nic. Czarności są płytkie i zdawkowe, przejścia mało subtelne.

W dziale rzeźby inauguracyjna wystawa Krywultowska przyniosła szereg gipsów B. Biegasa. Obudziły one w jednych niepohamowane zachwyty, w drugich krańcowe oburzenia. Faktem jest, i to nader pocieszającym, bogactwo wyobraźni, oraz tendencya do pewnego stopnia metafizyczna u młodego tego artysty. Wizya wszakże nie jest jeszcze dość czysto rzeźbiarska, czuje się nazbyt wiele „literatury,“ a także sporo ech Vigelandowskich i Rodin'owskich. Umiejętności jest naogół za mało; obok niektórych świetnych szczegółów, wielu rzeczom zarzucić trzeba niedbałe czy niedołężne, a w każdym razie banalne wykonanie. — Szereg biustów i medalionów S. Ostrowskiego odznacza się energią i charakterem. Pożądanem byłoby nieco więcej subtelności i pogłębienia, nieco więcej twórczego, wewnętrznego podobieństwa, nieco więcej zaznaczania duszy na formach cielesnych. Szkic do grupy na gmach Filharmonii (odrzu-

---

*) O wystawie japońskich drzeworytów dajemy artykuł specyalnego sprawozdawcy.

cony przez komitet) zasługuje, choćby z tego względu na uwagę, że artysta zdołał dość szczęśliwie uniknąć banalności, będącej zwykłym losem tego rodzaju tematów i kompozycyj.

§ §

Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych. Napis *Artibus* obowiązuje. Gdybyśmy go spostrzegli na jakimś nędznym baraku, na jakiejś wielkiej wozowni, rozwierającej jeno chciwie dach ku światłu, nie dziwilibyśmy się bynajmniej. Byłby to symbol widomy położenia czy pomieszczenia sztuki w społeczeństwach dzisiejszych. Na nowym gmachu Towarzystwa Zachęty sztuk pięknych na ironię on nieco zakrawa, zwłaszcza w sąsiedztwie dwóch opasłych kolumn i śmiertelnie banalnego tympanonu. Budynek cały nie ma najmniejszego charakteru, mógłby równie dobrze nosić jakikolwiek inny napis: „Mamonowi,“ albo „Res sacra miser,“ mógłby być hotelem, giełdą, dorobkiewiczowskim pałacem, wszystkiem od biedy, niczem jedynie i nieodzownie. Najmniejszej zaś kwalifikacyi nie ma na salon sztuki, gdyż jest monumentalnem piękna zaprzeczeniem. Wnętrze niemniej dobroduszną jaśnieje banalnością, a nieszczęsne arcydzieło rzeźby polskiej XIX w. smętnie zatraca resztę linij w ciemnym swym kącie. Najgorsza, że światło w salach wystawowych jest wprost zabójcze dla obrazów, na co artyści napróżno, bo zapóźno, się uskarżają. Możnaby spytać, kto pałac ten budował? jaka komisya aprobowała projekt? lub na jakim konkursie plany nagrodzono? Jeśli gmach Filharmonii okaże się równie estetycznym i równie praktycznym, na co podobno się zanosi, Warszawa będzie mogła sobie powinszować swoich komisyj i sędziów konkursowych.

Wystawa inauguracyjna, gdyby nie kilku tęgich intruzów, nie wiadomo co robiących w tem towarzystwie, byłaby klasyczną rewią mierności, braku dążenia do czegokolwiekbądź i nawet słabej znajomości rzemiosła. Zajmijmy się oazami w tej puszczy. O rzeczach Ruszczyca i Okunia mówiliśmy już powyżej. Pankiewicz ma tutaj dziwny portret dwóch dziewczynek, przypominający nieco zdaleka Renoir'a i nie robiący wrażenia za pierwszem spojrzeniem, ale po dłuższem wpatrzeniu się fascynujący poprostu miękką tonów harmonią i jakąś niezwykłą świeżością, a zarazem dojrzałością tych małych osóbek. Pełen skupienia i mocy wnętrznej jest portret księdza na tle wnętrza kościelnego, wystawiony przez Józefa Mehoffera. Odnajdujemy tu cały, krzepki a spokojny, poważny a prosty, na

pozór ku zewnętrznej stronie życia zwrócony, ale tą drogą dochodzący do głębi wnętrznej, talent znakomitego artysty. Rzecz niby malowana zupełnie realistycznie, z niesłychaną dbałością o szczegóły, z zachowaniem, nawet w akcesoryach tła, surowej jaskrawości wiejskich kościołów, ale przy wpatrzeniu się dłuższem cudowna zdumiewa nas transfiguracya. Krzepka, jędrna, postać księdza, zajmująca czarną plamą środek obrazu, zaczyna potężnieć, rosnąć wzwyż na tle niepewnych złot i białości, zmienia się w kolumnę środkową podtrzymującą cały ten wątły kościołek drewniany — i nagle mamy wizyę tych niepoliczonych, bezimiennych słupów, na których wspiera się majestatyczna budowa ziemskiego Kościoła.

Rari nantes — Mehoffer i Pankiewicz — *in gurgite vasto* różnych modnych *(oh! cet inéffable* Mordasewicz!) i mniej modnych, poprawnych, mniej poprawnych i wprost ohydnych konterfektów cielesnej, a niekiedy kostyumowej tylko powłoki człowieczej, których powódź zalała wystawę.

Z krajobrazów również niewiele jest do zaznaczenia. Obok przepysznych rzeczy Ruszczycowskich (jeden cud — owo wspaniałe odbicie płonącej o zachodzie baszty w rzece!), przyciąga właściwie tylko piękny widmowy las we mgłach Witkiewicza. Chełmoński ma rzecz, przy całem majsterstwie, dziwnie niezajmującą. W Stabrowskim znać sporo uczucia, które jednak nie skrystalizowało się jeszcze w indywidualne formy. Coś świeższego, odrębniejszego już powiało nam nawet z drobnego widoczku Dalkiewicza. Z całego szeregu płócien Stabrowskiego najbardziej jeszcze obiecującym wydaje nam się portret panny J. — Rapacki, który miał dość swego talentu, zaczyna teraz podlegać wpływom Boecklina i Ruszczyca.

W fantastycznych kartonach Deskura jest stanowczo zbyt wiele „literatury," acz wyznamy otwarcie, że, w porównaniu z bezmyślnem, powierzchownem kopiowaniem natury, każdy wysiłek podobny wydaje nam się sympatycznym. Wprost ohydne są za to maeterlinckiady Owidzkiego.

Całą wielką salę oddano W. Kotarbińskiemu. Olbrzymi nakład pracy, płótna, farb, umiejętności nawet dość znacznej, ale przy tem jakiż brak twórczości, jaka bezosobistość, jakie sitowiane chylanie się z każdym wiatru powiewem coraz w inną stronę, jaka płytkość, jaka niezdolność do wzniesienia się nad poziom anegdoty! Bezpożyteczne „maszyny"! Patrząc na *Chrystusa,* myślimy o Munkacsym, na *Erosa* — o Böcklinie, na *Pochód Cezara* — o Rochegros-

se'ie, na *Adagio* — o Siemiradzkim, na *W cichą noc* — o Pruszkowskim, na *Rosę* z flakonikiem — o Stachiewiczu, i zawsze to, co mamy przed oczyma, źle na tych wspomnieniach wychodzi, takie wszystko u Kotarbińskiego martwe, zimne, bez wyrazu. W *Pocałunku fali* dal morza ma moc pewną i obszar — cóż kiedy na froncie banalnie malowany „fakt" dziennikarski zabija wnet wrażenie.

W dziale rzeźby, Laszczka dał przepyszne popiersie kobiece w marmurze. Ściągła, nerwowa twarz ze skończoną została oddana finezyą, ze wszystkiemi subtelnościami, z niewymowną miękkością i życiem. Całość trzyma się ogromnie. Linie mają, przy całej prostocie, wiele smaku i wdzięku szlachetnego. Psyche wybija się na twarzy w leciuchnym błysku nieświadomej siebie dwuznaczności tajemniczej. Jest to może jedna z najlepszych rzeczy Laszczki. — Zresztą, nic nowego, niewidzianego już poprzednio, prócz może zbyt słabo Rodin'owskiego gipsu de Turquier'a *Na łonie ziemi*.

Z. P.

Wystawa drzeworytów japońskich. W niesłychanie bogatej, oryginalnej sztuce japońskiej, drzeworytnictwo — zwłaszcza kolorowe — zajmuje jedno z pierwszych miejsc. Wychodzą tu na jaw w całej pełni główne cechy geniuszu narodowego: smak, fantazya, zmysł dekoracyjny i kolorystyczny, wreszcie mistrzostwo wykończenia technicznego. Epoka rozkwitu tej gałęzi sztuki przypada na wiek 18-ty; następnie chylić się poczęła ku upadkowi, jak cała sztuka japońska wogóle, pod zabójczem tchnieniem Europy, tej Europy, która zawdzięcza Japonii powstanie wszystkich nowych kierunków, zwłaszcza w sztuce stosowanej, a przedewszystkiem powstanie krajobrazu nowożytnego. Albowiem, przed znakomitym Klaudyuszem Monet, istnieli, znakomitsi jeszcze, Hokusai i Hiroshige. Ponieważ Hiroshige umarł w 1856-ym roku, odbitki dzieł jego — z małemi wyjątkami — wiele pozostawiają do życzenia. Kolory są już przeważnie „canaille," jak powiedział Goncourt. Wytworność przyciszonych odcieni, bogactwo i blask zawsze w mierze utrzymane, misterność wykończenia, znajdujemy w dziełach mistrzów wcześniejszych, takich jak Shunsho, Toyokuni, Yeishi, Utamaro. Wówczas drzeworyt kolorowy był po prostu dziełem oryginalnem, na które składało się trzech artystów, grających — każdy w swym zakresie — rolę pierwszorzędną. Pierwszy tworzył na cienkiej bibułce, którą drugi niszczył, w miarę tego jak dzieło rodziło się na płycie z wiśniowego drzewa pod narzędziem

rytownika. Trzeci, artysta i znakomity fachowiec, puszczał w świat—czasami w jednym tylko egzemplarzu—z pod prasy ręcznej, rzeczy, na które polują najwykwintniejsi miłośnicy sztuki i muzea całego świata. Najznakomitsi artyści pracowali prawie wyłącznie ad hoc; rozmiłowany w sztuce i wykwintny naród był odbiorcą nigdy nie nasyconym. Drzeworytów japońskich istniały więc miliony i malowały całokształt życia tego narodu. Mamy tu wielkich wojowników i bohaterów legendowych, wojny, legendy, Olimp japoński, kobietę, krajobraz, kwiaty i świat zwierzęcy, mamy uroczystości narodowe, życie teatralne, życie magnatów, wieśniaków i rzemieślników. Właściwie jednak, ponieważ artysta japoński jest zawsze, przedewszystkiem, artystą, nie zaś filozofem, historykiem, poetą lub kaznodzieją, dzieło jego jest zwykle pretekstem do tworzenia, że tak powiemy, symfonij barwnych dla oka, co nie znaczy bynajmniej, aby nie miały w sobie poezyi, wyrazu, myśli, życia. Jest to muzyka kolorów, pieszcząca wzrok. Mamy tu pojedyncze utwory skomponowane w pewnej tonacyi, mamy całe suity z genialnemi modulacyami, wśród których rozbrzmiewają potężne akordy tych głębokich, aksamitnych, czarnych plam, rzuconych z niesłychaną maestryą. Mamy drobiazgi, zdumiewające widza doskonałością i oryginalnością technicznego obrobienia. To surimona, drobne drzeworyty misternie wytłaczane, przybrane w złoto i srebro, wydawane w stowarzyszeniach artystycznych, przy różnych okazyach, i robione przez artystów dla artystów.

Aby zdobyć piękny i możliwie kompletny zbiór drzeworytów japońskich, trzeba być człowiekiem bardzo bogatym, pracować przez całe życie i mieć szczęście—szczęście doczekania się sprzedaży zbiorów jakiego miłośnika przez jego spadkobierców. Albowiem taki zawsze, prędzej czy później, spotyka los długie i wytrwałe zabiegi tych, których rodziny uważają za waryatów, zresztą nieszkodliwych, a którzy tych owoców opiece ogółu nie przekazali. Dziwić się zatem nie należy, że wystawiona przez ruchliwą i zasłużoną na polu naszego życia artystycznego firmę Krywulta kolekcya drzeworytów japońskich daje nader słabe zaledwie wyobrażenie o tem, czem jest właściwie dobry japoński drzeworyt, że jest szczupłą i że są w niej rozmaite i duże luki. Gdy zauważymy, że katalog dzieł jednego tylko Hokusaja obejmuje około trzydziestu tysięcy numerów, dojdziemy łatwo do przekonania, że gmach na pomieszczenie kompletnej wystawy drzeworytnictwa japońskiego kosztowałby miliony. Wystawa, którą w lutym urządzi Towarzystwo Zachęty, choć dziesięć razy

większa, będzie oczywiście, drobnym tylko przyczynkiem do historyi drzeworytnictwa w Japonii.

Przyznać jednak należy z uznaniem, że p. A. Krywult, dał dowód dobrej woli i wielkiej odwagi. Tak jest: barbarzyńcom, jakimi jesteśmy, barbarzyńcom o najdziwaczniejszych wyobrażeniach estetycznych, a raczej estetyce zupełnie obcych, pokazać coś, o czem nie mają absolutnie żadnego wyobrażenia, pokazać drzeworyt, akwafortę, litografię, rzeczy, które — podług nas — nic wspólnego ze sztuką nie mają i nikogo nie interesują, — to odwaga.

Wprawdzie powiadają, że audaces fortuna adjuvat; lecz po polsku znaczy to: Warszawa rusza ramionami.

Feliks Jasieński.

SZTUKA STOSOWANA.

Uwagi ogólne. — Karty pocztowe

Wrażliwość estetyczna nie jest rzeczą wrodzoną jedynie. Można ją rozwinąć w człowieku, który jej nie miał, można ją zabić w osobniku jako tako nią obdarzonym. Obie te funkcye spełnia otoczenie i życie. Jeżeli w najdrobniejszych okolicznościach, w najbardziej codziennych życia szczegółach pozostawać będziem pod nieustannym wpływem brzydoty, możemy z czasem stać się zupełnie niezdolnymi do odczuwania piękna. Jest to snadź proste prawo nawyknienia. Wzrastająca stale atrofia wrażliwości estetycznej w szerokich warstwach społeczeństw w tem właśnie znajduje swe wytłómaczenie. Życie codzienne otacza nas samemi brzydotami, samemi szablonami fabrycznemi, samemi trywialnościami. Żyjemy w miastach, kędy banalnie geometryczne kwadraty ulic zacierają wszelkie poczucie linij, oddaleń, szerokich horyzontów. Mieszkamy w ohydnych szufladach pudełek zwanych domami, w pokojach wyklejonych wstrętnie banalnemi obiciami i wysłanych takiemiż kobiercami. Wszystkie sprzęty domowe, w pogoni fabryk za tanością, wyzbyły się zwolna szlachetniejszych kształtów, acz zdaje się ludziom tylko, że stały się przez to praktyczniejszemi. Po ulicach zacierają w nas do reszty poczucie piękna potworne szyldy i jaskrawo kłótliwe afisze. Weźmiemy książkę do ręki, jest to łachman psujący nam oczy niedołęstwem swych znaków drukarskich. Chcemy książkę oprawić, robi się to fabrycznie, według jednego, zazwyczaj możebnie najbanalniejszego modelu, bez względu

na rodzaj, charakter i znaczenie książki. Zatraciły się pod wpływem drukowanych perkalików, wszelkie szlachetniejsze wzory i desenie. Wszelki ślad smaku, zręczności zaginął w wyrobach z gliny, drzewa i metalu. Nawet, pełna ongi finezyi, sztuka jubilerska kładzie dziś większy nacisk na wagę metalu oraz ilość drogich kamieni, aniżeli na wyrób szlachetny, artystyczny. Jest to kolosalny, niesłychany, zabijający zalew brzydoty we wszystkich sferach, warstwach, dziedzinach, okolicznościach i postaciach. W takiem otoczeniu muszą wyrastać pokolenia zupełnych anestetyków, którzy tak już zrośli się z brzydotą okolną, że nie podejrzewają nawet całej jej ohydy. Że zaś, kto nie czuje brzydoty, ten nie może odczuć i ocenić należycie piękna, więc nadeszła epoka zupełnej obojętności a nawet nienawiści ślepej dla wszelkiej twórczości, dla wszelkiego artyzmu, dla wszelkiej oryginalności. Sztuka przestała wpływać na ludzi, i brakowi jej uszlachetniającego oddziaływania przypisać należy, obok innych przyczyn, to barbarzyństwo, tę surową brutalność, tę bezduszność, jakich objawy w społeczeństwach dzisiejszych co chwila stwierdzać się dają.

Z drugiej strony, praca, skutkiem usunięcia z niej wszelkiej indywidualnej inicyatywy, stała się dla pracownika ciężarem jedynie, zrobiła go ogniwkiem tylko w wielkiej maszynie, odebrała mu całą satysfakcyę z dokonanego dzieła i całą zasługę. Została jeno gorycz i zazdrość względem tych, którzy tak mechanicznie pracować nie potrzebują, którzy jakiemś bardziej indywidualnem cieszą się istnieniem. W pracy takiej człowiek zwierzęceje, i wybuchy jego nienawiści do niesłychanej dojść mogą dzikości.

Wszystkie te fakta mieli na uwadze pierwsi, naprzód angielscy, a potem belgijscy i francuscy, wskrzesiciele sztuki stosowanej do wszystkich szczegółów i okoliczności życia codziennego, i William Morris np., zakładając swoje fabryki obić czy dywanów, albo swoją kelmskocką drukarnię, miał na celu z jednej strony rozbudzenie indywidualnej twórczości w robotnikach, z drugiej zaś, przez otoczenie człowieka samemi smacznemi, wytwornemi, pięknemi rzeczami, pragnął powoli uczynić sztukę i piękno integralną częścią życia, czemś, bez czego równie niepodobna się obejść, jak bez światła i wody. Cele oba snadź trudne do urzeczywistnienia, ale niewątpliwie bardzo podniosłe i dziś zwłaszcza wprost nieodzowne.

Z czasem jednak, propagatorzy sztuki stosowanej, snadź przez rozmiłowanie się w przedmiocie, który ich wyłącznie zajmował, jęli przypisywać jej zupełnie inne, samoistne znaczenie, twierdząc, iż niema różnicy pomiędzy nią, a sztuką czystą, i że artystycznie wy-

konany kobierzec, czy wazon cynowy, czy oprawa do książki jest takiem samem dziełem sztuki jak Gioconda da Vinci'ego, symfonia Beethowenowska lub poemat Danta. Bałamutność tego twiedzenia sama rzuca się w czy. Sztuka czysta zajmuje się wiekuistemi, nieprzemijającemi pierwiastkami w człowieku; sztuka stosowana ma za przedmiot ziemską stronę jego życia, działaniem swojem uszlachetnia i wysubtelnia ją, budzi tęsknotę ku temu, co daje sztuka czysta, i podnosząc w człowieku wrażliwość estetyczną, umożebnia mu odczucie i zrozumienie dzieł tamtej. Jest ona zatem nieodzowna, jest pierwszym i koniecznym stopniem, ale znaczenie jej jest tylko przygotowawcze, lub raczej wychowawcze. Musi ona przyzwyczaić na nowo ludzi do piękna, przejąć ich wstrętem do wszelkiej brzydoty, jednem słowem uwrażliwić ich estetycznie. Dla spełnienia tego zadania musi ona rozszerzyć się na cały obszar życia, ogarnąć wszystkie jego dziedziny, zająć całą przestrzeń, od najprostszych przedmiotów codziennego użytku aż do rzeczy leżących już na rubieży sztuki czystej, w metafizyczne, duchowe sięgającej dziedziny. Co do istoty swej musi ona być przedewszystkiem twórczą i oryginalną, bezpośredniem przekształcaniem życia na piękno, bezpośredniem wystylizowaniem i sharmonizowaniem tego, co mamy naokoło siebie. Wszelkie zapożyczania jej wytworów zkądś z daleka mogą wywołać rozdźwięk zamiast harmonii, wnosząc obce szczegóły w nieodpowiadającą im całość. Zgodność, harmonia szczegółów z całością jest drugim, nieodzownym jej warunkiem. Trzecim jest celowość rzeczy ozdobnej, nie mają to być bowiem zapychające jeno mieszkania zabawki, które prędko mogłyby znudzić się i wyjść z mody, lecz przedmioty użytku, wygody, przez to w pożądany na człowieka oddziaływające sposób, iż są piękne. Sama ozdobność powinna być bezpośrednim wykwitem i skutkiem ich zadania.

Społeczeństwo nasze, bardziej niż którebądź inne, potrzebuje takiego przygotowania przez sztukę stosowaną. Niestety, dotychczas nie mamy jej prawie wcale, tej własnej, tej twórczej, oryginalnej, a echa reform Morrisowskich czy francuskich dochodzą nas drogą wcale nie pożądaną, w postaci handlarskich produktów zastępujących piękno niezwykłością i obliczonych na snobizm ludzki, w postaci ohydnych modernizmów, wytworzonych przez kawiarnie wiedeńskie. Dla tego zwracać będziemy niesłychanie baczną i surową uwagę na wszystkie zastosowania sztuki do życia [meble, obicia, dywany i materye (ich desenie, barwę itd.), bibeloty, ramy, introligatorstwo, wyroby odlewane i kute, afisze, szyldy, ceramikę, wyroby

z drzewa, jubilerstwo (emalierstwo — o ile takowe da się odszukać), wydania książek (papier, druk etc.)], podnosić i popierać wszelkie owoce szczerej i twórczej inicyatywy, i sprowadzać do właściwej miary nie mające żadnej ze sztuką wspólności fabrykaty.

§ §

Na dziś — słów parę o drobiazgu, który jednak taką powodzią rozlał się po świecie całym, tak przesiąkł we wszystkie warstwy społeczne, tak do najodleglejszych przedostał się zakątów, taką powszechną stał się modą, że z nieustannem — nakształt owej kropli, która wreszcie wyżłabia kamień — oddziaływaniem jego poniekąd liczyć się trzeba. Mamy na myśli obrazkową kartę pocztową. Zrodziła się ta odrobinka początkowo z chęci uwidocznienia miejscowości, z której się pisze. Zwolna, do tego, że tak powiem, geograficznego, pamiątkowego czy reklamowego, rodzaju dołączyły się setki innych, i dziś niemasz prawie takiej rzeczy, którejby na karcie pocztowej znaleźć nie można. Wszelkiego rodzaju emblemata, od czułych do uroczystych, od osobistych do szyldowych *ad usum* całych klas czy zawodów; szkice humorystyczne lub pieprzne, karykatury; obrazki realistyczne, sentymentalno-rodzajowe, nastrojowe; stylizowane główki, kwiaty, linie; portrety znanych osobistości, wielkich artystów, sławnych aktorek; portrety własne korespondentów; kopie z dzieł sztuki; i t. d. i t. d. Zastosowano do kart wszystkie sposoby reprodukcyi czarnej i barwnej: fotografię, litografię, foto- i autotypię, heliograwiurę, bodaj akwafortę nawet, a w ostatnich czasach i Szczepanikowskie czy à la Szczepanik odtwarzanie drogą tkacką. Nie zadowalając się kopiowaniem rzeczy istniejących, zaproszono artystów, malarzy i rysowników, do tworzenia specyalnych na te karty ozdób, winiet, znaków, szkiców i kompozycyj. Powstały całe szeregi firm, wydających karty, zaczęły się współzawodnictwa konkurencyjne, zabiegi o wynalezienie czegoś nowego, niezwykłego, na których oryginalność czy dziwactwo częściej zyskiwały niż piękno. I płynie ogromna fala tych świstków w świat, i ludzie, przypatrując im się, albo kształcą sobie oko i zmysł estetyczny, albo — co częściej bywa — nawykają do głupstw, brzydot, nieszczerych sentymentalizmów i pseudo - stylów. Niech ludzie zapalają się do kart, niech zbierają ich kolekcye (lepsze nawet takie zamiłowanie, niż brak jego zupełny), byle z wyborem, z pogonią za rzeczami istotnie pięknemi, nie zaś za liczbą lub rzadkością jedynie. Niech kupcy korzystają i odnoszą zyski z tego *engouement* publiczności, ale niech dają rzeczy mające wartość artystyczną, niech,

się zwracają do doskonałych malarzy i rysowników, niech dając fotografie z natury, dbają o smak i zdjęcie widoku z dobrego punktu, niech pilnują, aby reprodukcya była wytworna, niech wreszcie i przedewszystkiem zwracają uwagę, co na karcie pocztowej jest odpowiednie, a co nie. Oto na czem oprzemy ocenę kilku kolekcyj, nadesłanych nam przez różne firmy polskie.

Wydawcy warszawscy, Winiarski i Sommer, wyeksploatowali przedewszystkiem, każdy na swoją rękę, widoki Warszawy i jej okolic. O litografowanych w kolorach, i kompozycyjnych niby, *souvenir*'ach *de Varsovie* obu firm wolelibyśmy nie mówić wcale. Zdawkowość i rażąca niezgodność barw, szablonowość rysunku i układu, komizm lub sentymentalizm godeł, ozdób i kwiatków, kawiarniany modernizm w kolorowych, niby stylizowanych obramieniach do fotograficznych widoczków — są poprostu wstrętne. Jak gdyby w Warszawie nie było ani jednego artysty, do którego możnaby udać się po rysunek i pod którego dozorem nawet litografie miejscowe do czegoś lepszego byłyby zdolne! Nie zachwyca nas również ciekawostka, wydana przez Winiarskiego: b. Zamek królewski na tkaninie jedwabnej. Szczepanik-że to? Jeśli tak, to, zaiste, wielkie będą jego zasługi na polu deestetyzacyi społeczeństwa. I fotograficzne reprodukcye z natury niezawsze są zadowalające, ale w tym zakresie możemy jednak w kolekcyach obu firm odnaleźć po kilka rzeczy bardzo pięknych: u Winiarskiego — wielki widok ogólny Warszawy od strony Pragi, plac Zamkowy z gmatwaniną dachów, i ogród Saski w okiści śnieżnej, który byłby wprost wyborny, gdyby nie brutalnie przecinające widok napisy czerwone, do których wydawcy warszawscy słabość jakąś mają; u Sommera — panoramiczny widok Pragi, ciekawe Stare Miasto i Zjazd z dołu zdjęty. Firma Sommera ma nadto kilka bardzo smacznych, miedziorytowych widoków Warszawy, które polecamy uwadze kolekcyonerów, oraz wcale ciekawe sceny i typy ludowe z Warszawy i okolic. U Winiarskiego — cała kolekcya autorów, artystów dramatycznych, muzyków, odznacza się porządną robotą, na którą możnaby zwrócić uwagę wydawcy *Albumu pisarzy polskich.*

Co do kopij z obrazów i wogóle reprodukcyj z wielkich dzieł sztuki na kartach pocztowych, uważamy je za stanowczo niestosowne. Pomijamy szkodę, jaka może wyniknąć z niedość dobrej reprodukcyi; pomijamy, że częstokroć dzieło traci wiele na zmniejszeniu go do rozmiarów świstka pocztowego; protestujemy wogóle przeciwko tego rodzaju wulgaryzacyi. Arcydzieło sztuki winno być

oglądane w skupieniu i z poszanowaniem, nie zaś na kartce, którą po jakimś czasie w kąt się rzuca. Zbyt łatwy dostęp do arcytworów spoufala z niemi zanadto przeciętnych widzów i przyucza do lekceważenia tego, co powinno być świętem.

Warszawskie firmy wydawnicze ograniczyły się do reprodukcyj z natury lub z istniejących już dzieł artystycznych, to też ich karty są pamiątkowemi zaledwie. Księgarnia H. Altenberga we Lwowie, przedsięwziąwszy wydawnictwo kart „artystycznych," zwróciła się do całego szeregu malarzy i zdołała do tej chwili skompletować sześć seryj (po 10 kart) w kolorowym druku i jedną w heliograwiurze, gdzie spotykamy cały szereg doskonałych, pierwszorzędnych rzeczy. Pierwsza serya: typów swojskich Wachtla mniej nas zachwyciła. Pomysł stylizowania jest wyborny, ale niechże ono nie polega na oprowadzaniu konturów białemi i czarnemi liniami. Stylizacya to wyzwolenie się z drobiazgów i przeprowadzenie konsekwentne zasadniczych wyłącznie linij i tonów tematu. Wyklucza więc ono polegającą znowu głównie na szczegółach rodzajowość i tani sentyment, których u Wachtla zbyt wiele, a potęguje charakter, którego często brakuje zupełnie. Najlepszy jest żyd nad talmudem z pięknie zużytemi w tle motywami świeczników, niezła kobieta przy kądzieli i chłop z koniem; górskie typy są zabójczo mdłe, a lirnik i polonez banalne do ostateczności. W plamach — dość pogodnej harmonii. — W seryi drugiej spotykamy zaraz na wstępie majstra skończonego. Przy naszem niby gorącem zajmowaniu się sztuką, zdumiewające są pewne ignorancye i zapomnienia. Stanisława Dębickiego — *nomen magnum* — nikt prawie nie zna w Warszawie, a nie wiem, czy dość go cenią we Lwowie. A jednak jest to ten z naszych artystów, który niewątpliwie najwięcej nauczył się od japończyków. Nauczył się, nie wziął; odgadł tajemnicę ich tworzenia i umiał ją przystosować do zupełnie innych tematów i zupełnie innego temperamentu swego. Władając tak pewnie rysunkiem, że ten zdaje się już u niego naturalnym, mimowiednym odruchem; operując przedziwnie plamami, umiejąc doprowadzać barwy do wulkanicznych furyj, albo znowu w epicką harmonizować je pogodę, a w samej istocie każdej z nich jak gdyby nowe, zupełnie nieznane odkrywać dziedziny i moce; ujarzmiając czarodziejsko — nieuchwytne wibracye światła; czując i wcielając jak nikt może u nas charakter, ruch, gest, i, dając przez to wszystko tak pulsującą impresyę życia, że równą już życiu samemu, — umie on nadto czasami symplifikować tak bajecznie swą wizyę, że wychodząc ze szczegółu, z impresyi, wznosi się ona ku wyżynom

szerokiej epiki (jak w tem arcydziełku: *Niedziela w górach* — serya V), lub nawet aż do symbolu, gdzie fakt pojedynczy staje się mikrokosmem, odbijającym w sobie wszystkie makrokosmu tajemnice (jak w tem aż niepokojącem *Babiem lecie* — serya II). A najłatwiej i najlepiej dochodzi do tego przez swoich chłopów, swoich górali, swoją wieś, swoje góry: to jest jego okno, przez które patrząc na świat dostrzega niekiedy samą jego istotę. W tematach innych, pozostając wielkim majstrem, czuje się jednak jakoś nieswojo (*Balladyna, Tańce, Muzyka* — serya VI). — Rozgadaliśmy się może zbyt szeroko *à propos* kart o talencie Dębickiego wogóle, ale chodziło nam o przerwanie raz milczenia, które otacza tego potężnego artystę. Jeżeli dodamy, że Dębicki posiada zdumiewającą miarę i takt artystyczny, że jego kompozycye nie przygniatają, nie zapychają karty, lecz lekko, a jednak nieodzownie, z nią się wiążą, — zrozumie każdy, jak szczęśliwie udało się p. Altenbergowi, że miał tuż, we Lwowie, takiego majstra. Zresztą, nawet na kolegów działa on dobrze: dość porównać dwie ciężkie i nieco martwe karty Zubera w seryi V-ej, z *Karpackimi Góralami* lub nawet *Odprawą posłów greckich,* podpisanemi Dębicki-Zuber, albo surowość koloru w *Chłopce* Augustynowicza (serya IV) z subtelnością tonów w *Fircyku* (serya VI), aby wyczuć to oddziaływanie. Znać je nieco i w *Po burzy*, oraz w *Idylli* Popiela (serya IV), mimo chylącego się raczej ku dramatyczności temperamentu tego artysty. Popiela zauważyliśmy jeszcze w seryi heliograwiurowej reprodukcye wybornie nadające się na kartę (mniej może do teatru) personifikacyj Muzyki, Śpiewu, Tańca i Dramatu. Zwłaszcza ten ostatni jest doskonały. Szerokie, epiczne *Po zwózkę zboża* i zwłaszcza *Bronowanie* Juliusza Kossaka pysznie dekorują górne połowy dwóch kart w seryi IV. Przy tych majstrowskich rzeczach, dziwnie panoramicznie wygląda *Dobosz czwartaków* W. Kossaka, a banalnie jego *Z magnackiej stadniny.* Z pozostałych — niezłe są jeszcze *niektóre* „sumienności“ Sozańskiego, Makarewicza i Weina. Co do Batowskiego i Stachiewicza, pierwszy, wieczny anegdociarz, piłuje nas zanadto swemi „bogatemi“ kolorami, drugi zaś morduje wprost wiekuistą swą blagą.

Wykonanie kart artystycznych p. Altenberga nie jest jednakie. Ogólny poziom jest jednak dość wysoki. Bodajbyśmy takich produkcyj więcej mieli.

Z. P.

KSIĄŻKI NADESŁANE.

POEZYA. — Mieczysław Gliński. *Poezye.* A. G. Dubowski. Warszawa. — Marya Komornicka. *Baśnie i Psalmodye.* J. Fiszer. Warszawa. — M. J. Lermontow. *Anioł śmierci.* Stan. Sadowski. Warszawa. — M. J. Lermontow. *Demon.* Stan. Sadowski. Warszawa. — *Pisanka.* Książka zbiorowa pod redakcyą Józefa Jankowskiego. St. Sadowski. Warszawa. — Zygmunt Rostkowski. *Stargane struny.* Wł. Okręt. Warszawa. — Władysław Zalewski. *Dziad.* Gebethner i Wolff Warszawa — *Z pieśni naszych.* Zebrała i ułożyła C. Niewiadomska, z przedmową Ign. Chrzanowskiego. J. Lisowska. Warszawa. — Władysław Bukowiński (Selim). *Nowy zeszyt.* Jan Fiszer. Warszawa.

POWIEŚĆ. — N. Bardzka. *Utopista.* St. Sadowski. Warszawa. — Jan Barszczewski. *W Kastelu* „Spuścizna po dziennikarzu.“ M. Borkowski. Warszawa. — Anatol France. *Clio.* W. Okręt. Warszawa. — Artur Gruszecki. *Nowy Obywatel.* Gebethner i Wolff. Warszawa. — Artur Gruszecki. *Zwyciężeni.* Gebethner i Wolff. Warszawa. — L. Jahołkowska-Koszutska (Lassota). *Z teki wrażeń.* M. Borkowski. Warszawa. — Rudyard Kipling. *Księga Dżungli.* W. Okręt. Warszawa. — Marya Komornicka. *Szkice.* Skł. gł. W. Obuchowski. Warszawa. — Kazimierz Laskowski. *Wieś. W ojców ślady.* A. G. Dubowski. Warszawa. — K. Laskowski. *Dla zabicia czasu.* St. Sadowski. Warszawa. — Jan Mieroszewicz. *Zginęła głupota.* A. G. Dubowski. Warszawa. — Andrzej Niemojewski. *Prometeusz.* M. Borkowski. Warszawa, — Eliza Orzeszkowa. *Chwile.* Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa. — Walery Przyborowski. *Szwoleżer Stach.* Konstanty Trepte. Warszawa. — Stanisław Przybyszewski. *Homo Sapiens. Na Rozstaju.* Księgarnia Polska. Lwów. — Władysław St. Reymont. *W jesienną noc.* Nakładem Redakcyi „Gazety Polskiej.“ Warszawa. — S. M. Roguski. *Mąż i Pan.* A. G. Dubowski. Warszawa. — Sewer. *Legenda, Kto ona, Euthanazya.* Gebethner i Wolff. Warszawa. — Henryk Sienkiewicz. *Pisma.* t. XXV. Tygodnik Illustrowany. Warszawa. — Michalina Domańska. *Brzydka.* Biblioteka dzieł wyborowych. Warszawa. — Kazimierz Witte. *Szkice z Pamięci.* G. Centnerszwer. Warszawa. — Antoni Fogazzaro. *Malombra.* Przełożył z włoskiego Szet, 2 t. Biblioteka dzieł wyborowych. Warszawa.

TEATR.—Gabryel d'Annunzio. *Sen poranku wiosennego.* Wł. Okręt. Warszawa.— Gerhart Hauptmann. *Woźnica Henszel.* Wł. Okręt. Warszawa.—Maurycy Maeterlinck. *Księżniczka Malena.* Wł. Okręt. Warszawa. — Edmund Rostand. *Księżniczka z za Morza.* Wł. Okręt. Warszawa. — Stanisław Przybyszewski. *Dla szczęścia.* Księgarnia Polska. Lwów.

STUDYA LITERACKIE i ESTETYCZNE. — Róża Erzepkowa. *Jan Kasprowicz.* M. Biedermann. Poznań. — Bronisław Grabowski. *Jarosław Vrchlicky.* Jan Fiszer. Warszawa. — Cezary Jellenta. *Dante Alighieri.* Br. Natanson. Warszawa. — Cezary Jellenta. *Juliusz Słowacki dzisiaj.* Drukarnia Narodowa. Kraków. — Julian Klaczko. *Rzym i Odrodzenie, Juliusz II.* Wł. Okręt. Warszawa. — Marya Konopnicka. *Z Roku Mickiewiczowskiego.* Br. Natanson. Warszawa. — Antoni Lange. *Studya i wrażenia.* Jan Fiszer. Warszawa. — Stanisław Mleczko. *Serce a Heksameter.* Skład Główny Księgarnia E. Wende i S-ka. Warszawa. — Fryderyk Nietzsche. *Ryszard Wagner w Bayreuth.* Wł. Okręt. Warszawa. — Józefat Nowiński. *Sienkiewicz.* Gebethner i Wolff, Warszawa. — Antoni Pilecki. *Przyroda w Poezyi.* Skład Główny St. Sadowski. Warszawa. — John Ruskin. *Sceny z Podróży, Widoki z Natury.* Wł. Okręt. Warszawa.— John Ruskin. *Malarstwo i Poezya.* Wł. Okręt. Warszawa. — John Ruskin. *Droga do Sztuki.* M. Borkowska. Warszawa. — John Ruskin. *Sezam i Lilje.* Jan Fiszer. Warszawa. — Leon Winiarski. *William Morris.* Br. Natanson. Warszawa. — M. Zdziechowski. *Szkice Literackie.* Gebethner i Wolff. Warszawa.

HISTORYA. — Szymon Askenazy. *Dwa stulecia XVIII i XIX.* Gebethner i Wolff. Warszawa. — Józef Dunin Karwicki. *Z zamglonej i niedawno minionej przeszłości.* A. G. Dubowski. Warszawa. — *Potęga Wojenna Rosyi.* Towarzystwo wydawnicze. Lwów. — Fr. Rawita-Gawroński. *Studya i Szkice historyczne, Serya II.* Towarzystwo wydawnicze. Lwów. — *Rocznik Krakowski.* Towarzystwo Miłośników

Historyi i Zabytków Krakowa. 4 tomy. Kraków. — S. Tatiszczew. *Dyplomacya Rosyjska w Kwestyi Polskiej.* Konstanty Trepte. Warszawa.

FILOZOFIA. — Dr. Zygmunt Balicki. *Hedonizm jako punkt wyjścia etyki.* J. Fiszer. Warszawa. — Harald Höffding. *Zasady etyki.* Wyd. „Przegl. filozoficznego.“ Skł. gł. Księg. Fiszera. Warszawa. — W. M. Kozłowski. *Szkice filozoficzne.* Wydanie „Przeglądu filozoficznego.“ Skl. gł. księg. J. Fiszera. Warszawa. — Wincenty Lutosławski. *Z dziedziny myśli.* Jan Fiszer. Warszawa. — Fryderyk Nietzsche. *Tak mówił Zaratustra.* Część I. Przekł. M. Zumft i S. Pieńkowskiego. Wł. Okręt. Warszawa. — Marya Czesława Przewóska. *Z nowych dni.* A. G. Dubowski. Warszawa. — A. Schopenhauer. *Psychologia miłości.* M. Borkowski. Warszawa.

VARIA. — Bolesław Błażek. *Studya psychometryczne.* Towarzystwo wydawnicze. Lwów. — Ze zbiorów Wydz. Liter. w Gostyniu. *Klechdy czyli Baśnie ludu polskiego na Śląsku.* A. G. Dubowski. Warszawa. — Eliza Orzeszkowa. *List do kobiet niemieckich i o Polce—Francuzom.* Br. Natanson. Warszawa. — A. Rauber. *O miłości* Wł. Okręt. Warszawa. — H. Swaryczewski. *Księga Humoru i Satyry.* St. Sadowski. Warszawa. — Dr. Uhma. *Syfilidologia.* Towarzystwo wydawnicze. Lwów. — Władysław Umiński. *Jak powstała nasza ziemia i jaki ją czeka koniec.* A. G. Dubowski. Warszawa. — Dr. L. Weitzenblut. *Poradnik dla mężatek (Mężatka i Matka).* Konstanty Trepte. Warszawa.

MUZYKA. — Ks. Eug. Gruberski. *Kantata ku czci św. Cecylii.* Na chór mieszany. Warszawa.

VARIA.

Nasz pierwszy numer.—Pogrzeb Juliusza Zeyera —Arnold Boecklin —„Chimera“ Gustawa Moreau. — Dekadentyzm.

Nasz pierwszy numer opóźnił się nieco. Nie przepraszamy nawet za to czytelników. Wziąwszy zeszyt do ręki, zrozumieją sami, z jakiemi trudnościami musieliśmy borykać się w Warszawie, gdzie tego rodzaju harmonizowanie zewnętrznej strony wydawnictwa z treścią jego nie było dotąd nigdy wymagane. Pierwsza próba przekonała już jednak kogo należy, iż rzeczy napozór niemożliwe dają się uskutecznić w zupełności przy dobrej woli i chęci. Ufamy też, iż trudności, a przez to i opóźnień, coraz mniej będzie. Tymczasem, ponieważ pismo nasze poświęcone jest nie aktualnościom, lecz niezmiennie dobrym rzeczom, — parodniowe opóźnienie nie zmniejszy w niczem jego wartości. W każdym razie możemy zapewnić czytelników naszych, że swoje dwanaście zeszytów w ciągu roku odbiorą.

Jeszcze jedna uwaga. W № I-ym daliśmy umyślnie przewagę stronie czysto twórczej. Zwolna rozszerzać będziemy i dział studyów i sprawozdań krytycznych z zakresu wszystkich sztuk pięknych. O ruchu literacko-artystycznym za granicą podawać będą wiadomości stali w każdym kraju korespondenci.

§§

Pogrzeb Juliusza Zeyera poruszył widać tych nawet, którzy za życia niedość cenili wielkiego twórcę. Olbrzymie tłumy ludu towarzyszyły pochodowi na Wyszehrad, gdzie złożono zwłoki poety w *Slavinic,* Panteonie czeskim. Przed pogrzebem jeszcze, powstała myśl wzniesienia pomnika Zeyerowi. Nadsyłane składki przyjmuje, upoważniony przez grono przyjaciół i wielbicieli zmarłego, dr. Tomasz Czerny (Praga, Vaclavské namesti № 28). — Wielki poeta i w ostatniej swej woli myślał przedewszystkiem o sztuce i szczerze jej oddanych. Skromne swe mienie i wspaniałe zbiory przekazał instytucyom literackim i artystycznym, dochód zaś z praw swoich autorskich przeznaczył na stypendya dla młodych beletrystów czeskich.

Dla chcących zapoznać się z twórczością genialnego poety nieobojętną będzie wiadomość, iż w *Bibliotece najcelniejszych utworów* wyszedł dwutomowy wybór dzieł jego.

§ §.

Arnold Böcklin wprędce pośpieszył za swymi trzema wielkimi braćmi w głębokiej, twórczej sztuce: Gustawem Moreau, Burne - Jonesem i Puvis'em de Chavannes. Szczęśliwszy — czy nieszczęśliwszy — od nich, większe miał daleko uznanie i popularność. Życiorysów i studyów o nim, różnej wartości, nie brak. Nie brak też i reprodukcyj, niestety, również różnej wartości. *Chimera* postara się z czasem podać jedno z najpiękniejszych dzieł jego w odtworzeniu dającem należyte pojęcie o oryginale.

§ §.

„Chimera“ Gustawa Moreau. Zwracamy uwagę czytelników naszych na wspaniałe to dzieło nieznanego u nas prawie mistrza, który w dziedzinie sztuk plastycznych jest snadź największym twórcą XIX wieku. Obszerniejsze studyum o nim podamy w jednym z najbliższych numerów. — Podobnie jak inne swe dzieła, G. Moreau malował kilkakrotnie Chimerę. Reprodukcya nasza odtwarza — po raz pierwszy w heliograwiurze — obraz będący w posiadaniu p. Desprez'a.

§ §.

Dekadentyzm, to widmo, zrodzone w wyobraźni różnych Nordau'ów, nie daje spać p. Choińskiemu. Obwieszcza on czytelnikom *Kurjera Warszawskiego*, ze zdumiewającą pewnością siebie, iż złowrogi ten kierunek „rozpoczyna u nas kampanię pod flagą *Chimery.*“ Z jakiej agentury wiadomość ta, trudno zgadnąć, skoro prospekt *Chimery* twierdził coś biegunowo przeciwnego, a pierwszy numer

dopiero oto wychodzi. Insynuacye podobnie mizernego i podejrzanego gatunku, opatrzone akompaniamentem anegdot o alkoholizmie Przybyszewskiego i o „wielbicielstwie“ Miriama względem Maeterlinkka, możnaby przyjąć pogardliwem ramion wzruszeniem, lecz uporczywe to przeżuwanie nonsensów śmiech w nas budzi nareszcie. Ależ to już *du gaga,* kochany panie! Tak długo być ofiarą żartu Baudelaire'a, parodyj A. Floupette'a, kabotynizmu Anatola Baju i „naukowych“ zaręczeń Nordau'a. Dowiedz-że się pan nareszcie, że dekadentyzm, jako szkoła czy kierunek, *nie istniał nigdy i nigdzie!* Dekadentyzm jest to nieobecność wszelkiego pragnienia, wszelkiego dążenia, wszelkiej twórczości, wszelkiego talentu, jeśli pan chcesz. Tam więc, gdzie się do czegoś dąży, czegoś pragnie, coś wciela, coś tworzy, coś daje nowego, o dekadentyzmie nie może być mowy. Szukać by go może należało gdzieindziej, snadź u przeżuwaczy wyschłych na wióry „ideałów,“ lecz tam kryje się on zapewne pod właściwszą może nazwą *gagaizmu.* O tym podgatunku dekadentyzmu pomówimy kiedyś obszerniej. Tymczasem, daruje pan, że *Chimera* zawiedzie pańskie oczekiwania. Ma ona wiele do roboty i nie może bawić się w spełnianie proroctw. — Pojmujemy, że sprawi to panu wielką przykrość, zwłaszcza, że niestawiennictwo *Chimery* do tak łaskawego apelu pozbawi pana sposobności do tylu szlachetnych i „krytycznych“ felietonów. Mistrz pański, Nordau, umie jednak w podobnych wypadkach doskonale sobie radzić: puszcza Bańki Mydlane (vide Reclam's Universal Bibliothek 1187), albo poświęca się syonizmowi. Na oba wynalazki nie wziął patentu; naśladownictwo zatem nie jest wzbronione.







TOM 1. ZESZYT 2. LUTY 1901.
REDAKCYA I ADMINISTRACYA:
WARSZAWA — KSIĄŻĘCA 7.

TREŚĆ.

№ 2. — LUTY 1901.

Ozdoby odbijano pod nadzorem artystycznym
STANISŁAWA KRZYSZTAŁOWICZA.

Klisze rysunków wytrawiono w Zakł. Warsz. Tow. Akc. Artystyczno-Wydawniczego pod kierunkiem F. W. AMSELA.

Papier wyrobiono dla Chimery w fabryce C. A. Moesa „Pilica."

Składali: WACŁAW KORAL i CEZARY DMOCHOWSKI.

Łamał ANTONI HURKIEWICZ. Odbijał na maszynie KAROL MALINOWSKI.

Pod zarządem JÓZEFA LENARTOWICZA.

List do Walentego Pomiana Z.

(Zwierzając mu rękopisma, następnie
w XXI tomie B. P. P. wyszłe *).

ABSURDITÉ. — Toute chose avancée par nos antagonistes, contraire à notre routine ou au dessus de notre intelligence.
Dictionnaire contemporain.

I.

Zaledwo się myśl tego wydawnictwa wszczęła,
Pytasz mię, jak je nazwać — Pisma, *albo* Dzieła?
Jakbyś do obu nazwisk tajemne miał wstręty.
Pojmuję to, i wraz ci odpowiem, Walenty!
— A naprzód: gdyby na myśl przyszło księgarzowi
Zebrać regestra, listy, notatki *i* kwity,

---

*) List niniejszy miał być umieszczony, jako *Epilog*, w niewydanym do dziś zbiorku poezyj Cypryana Norwida p. t. *Vade-mecum*. Autor poprzedził w rękopisie ów epilog takiemi słowy: „Nie wahamy się dać tu miejsce Listowi następującemu, którego treść, lubo poufna, tem więcej jednakże należy do niniejszego zbioru, iż *dziennikarstwo* nasze nie zatrzymuje i nie obejmuje nigdy bieżących wrażeń, a przeto znane są nam tylko *apoteozy pośmiertne* i monumentalne owacye. Ukształcić zaś współczesnego sądu nie jesteśmy w możności — owszem, takowego unikamy przez drażliwość zrazu *oględną*, potem *systematyczną*, a nareszcie *nieszczerą*.“
(Przypisek redakcyi.)



Któremi Voltaire (lubo pisarz znamienity)
Zaszczepić usiłował swemu powiatowi
Rękodzielnię zegarków) — o! powiem ci szczerze,*
Iż książkę ztąd powstałą, że taką agendę
Zwałbym Dziełem *i, więcej że jest dziełem, wierzę,*
Niż mnóstwo innych, których i zwać tu nie będę.
— Tak samo: nie tragedye rozwlekłe Byrona
Dziełami jego nazwałbym, lecz te namiętne
Powiastki greckie, których nić u jego łona
Snowała się, a strofy ulatały smętne,
Jak duchy, którym wcieleń czas odmówił chyży,
I płaczą, że nie były armii-biuletynem,
Kochankiem, bohaterem, męczennikiem, czynem,
Że czas skąpił im gwoździ i drzewa — do krzyży...
— Jakkolwiek co innego z tragedyą Shakespeare'a:
Dramy jego są dzieła; *i u Danta niemniej*
Pieśń dziełem jest, *na pozór calej i przyjemniej*
Zamknięta, i dzwoniąca rytmem wkrąg jak sfera.
— Owszem: im większy sztukmistrz, tem słowo a dzieło
Bliżej się (nie w bliźnięcy) w trzeźwy uścisk wzięło,
I jedno znasza drugie, posiłkując wzajem,
Jak prawo, *gdy przekwitnie, ludu* obyczajem.
Zwij więc, jak chcesz. Współczesność minie niestateczna,
Lecz nie ominie przyszłość: KOREKTORKA WIECZNA...

. . . .

Powiem ci tylko, ani ukryć się poważę,
Co myślę, gdy wyrzecze kto słowo: POETA!

---

*) 1. *Promethidion*, dyalogi o sztuce. 2. Pisemko *O sztuce*. W pierwszej z tych dwóch książeczek zapowiedziane było w formie dyalogu to, co drugiej stało się powodem!... — Dziś nastąpiły już *fakta* i pokryły polemikę. *(C. N.).*

Im zdaje się, że dziewięć panien kałamarze
Noszą mu — a warkocze każdej jak kometa,
A wzrok? jak nieba lazur, lub noc południowa,
Szaty? jak obłok, poszept? jak mgła porankowa;
Że jaw, *że jawu złoty wół i lew miedziany,*
I że nietoperz-dziejów, którego wciąż głowa
Dysze, a tułów bywa co wiek wypychany,
Że płowy lampart, tudzież innych bestyj stado,
Mijają go! że łacno do stóp mu się kładą...
Więc czoło wieszcza taką otoczone szczwalnią,
Są, którzy chłodzić radzi słowem przyzwoitem,
I myślą, że sprostują cię i urealnią,
A ty, przy owem *cierpiąc, cierpisz jeszcze przy* tem.

— *Jakoż gdyby Mickiewicz, po owych już wstrętach*
Zapanowawszy; gdyby nie zostawił wieści
O krytykach warszawskich i o recenzentach **),
Nie jeden dziś z objętych w pisma tegoż treści,
Nie jeden z onych, którzy żółć mu nieśli zgniłą,
Przeczyłby: „jako żywo! *(mówiąc)* tak nie było,
„Wcale nie! — *uczciliśmy poetę, aż miło.*
„I żaden wiersz Adama, boleścią wyparty,
„Nie spotworzył się, *prawdę zapisując w karty,*
„*Ni gdzie, w* poety *szale, ulgi szukał* człowiek.
„*Czytelnik to połyka, odkupuje to wiek...*
. . . .
„*Nie! — wcale grzechu tego nie mamy na sobie.*
„Składka jest — jest i posąg — i kwiaty na grobie.“
. . . .

**) *O krytykach i recenzentach warszawskich,* pismo ś. p. Adama Mickiewicza, zakończone temi słowy: „... szczęśliwi! Pisałem w Petersburgu, etc.“ *(C. N.)*.

Podobnież Juliusz, gdyby, w Beniowskim lub w owych
Feuilles-volantes ***), *nie zostawił o współczesnych śladu,*
Że nie on, *oni raczej, przy zmysłach niezdrowych*
Będąc, nadziei jednej szukali — z nieładu!
Aż po niemałej trudów i bólów kolei
Przypomnieli nareszcie... POTRZEBĘ IDEI!
Czy mniemasz, że ciż sami dziśby nie głosili:
„Jako żywo!! — mniej więcej Juliusza-śmy czcili!“

Również — gdy mam już prawdę mówić tym Ichmościom —
Zgon Zygmunta toż winien Polskim wiadomościom ****).
Inaczej bowiem: „Owszem,“ *rzekliby,* „przy zgonie
„Czuliśmy blask, co jego usłoneczniał skronie,
„Rok żałoby, jak Grecya, nosząc, po Byronie!“
A ktoby śmiał zaprzeczyć, byłby to już istny
„*Machiawel, i Demagog, i człowiek zawistny!*“

Więc — z tego wniosek, ile rzeczą jest poczciwą,
Różę zwać różą, tudzież pokrzywę pokrzywą;
Ani że głosić zdrajcą godzi się człowieka,
Który mówi, iż gwóźdź jest podobien do ćwieka,
I, w Chrystusowe wierząc szczerze człowieczeństwo,
Wielbi gwóźdź, *drugim wszakże odradza męczeństwo,*
Głosząc przytem, iż śmierci zniknie z czasem skaza
Przez zwycięztwo — wszelako, że gwoździe z żelaza!

***) *O potrzebie idei,* proza Juliusza Słowackiego, tudzież inne *feuilles-volantes,* w których powiada: że rodacy tak dalece Ideę lekceważą, iż życzyliby sobie, ażeby *Lord Palmerston sam, własnemi rękoma, bomby rzucał na mury chińskie,* nie zaś myślą stanu wojnę czynił. *(C. N.).*

****) *Wiadomości polskie.* Numer pisma, w którym jest doniesienie, jak była uszanowaną chwila zgonu świętej i coraz wiekopomniejszej pamięci największego poety czasu swego Zygmunta Krasińskiego — co wszelako następnie wraz się zatarło i pokryło. *(C. N.).*

Otóż — tych rzeczy wcale ubarwiać nie skory,
Marzyłem o powieści bynajmniej okaźnej,
A która działaby się prozaicznej pory,
Nie czasu fantastycznej doby niewyraźnej,
Nie czasu świtów mgławych, czerwonych zachodów,
Co dziwne tła dla ludzi mają i narodów.
I chciałem właśnie ową że wykazać prozę,
Której się pisarz dotknąć uważa za zgrozę!
W pałace z tęcz, w tęcz szlaki wabiąc czytelnika,
By mu się świat tam zamknął, gdzie książkę zamyka.
— Owszem więc, mój bohater i jeden i drugi
Wielkich nie czynią rzeczy, to zaś ich spotyka,
Co ludzi miernych albo małoznaczne sługi.
Homo - Quidam, *z wejrzenia* coś do ogrodnika
Podobny... *acz przez łzawe oczy Magdaleny*
(I Chrystus Pan nie większej wydawał się ceny,
Ani się jej jak Jowisz *nagle stawił* Stator,
Ani jak mąż wielmożny i rzymski senator).
To więc w nawiasie kładąc, dodać mam niewiele,
Jedno iż: do dziś jeszcze mądrość nasza cała
Składa się z Greckiej, Rzymskiej i tej, co w Kościele
(A która przez żydowski ród nam się dostała).
Zaś, Artemidor *Grek jest i* Zofia *z Hellady,*
Mag *z Izraela — — Młodzian, co upada blady*
Pomiędzy tłumem, wszystko miał na bohatera!
Lecz prawdy chciał i, idąc za mistrzami w ślady,
Tuła się — i fatalność jakaś go obdziera.
Trud - współczucia zawodów nastręcza obficie,
Ten i ów, nim mu prawdę da, zabierze życie,
I pięknym będąc, nie jest ukochan od onej,
Miękkością *popsowanej, a* rytmem *natchnionej,*
Która ma wiele z Grecyi, lecz perska tkanina,
Azyacki płaszcz, jak wężów owija ją ślina.
— I, jakby nie czas już był na miłość, — mój młodzian,

Wywróconego kosza kwiatami przyodzian
Przypadkiem, *więc pogrzebion, jak zabit* przypadkiem
W miejscu, gdzie go sprzeczności zawiodły przypadki;
Prawdy nie znając (lubo może jej był świadkiem),
Bohater! a za pole bitw cóż znalazł?... jatki!
Miałżeby to być przeto obraz pokolenia,
Co w wilię Chrześciańskiej prawdy objawienia,
Między zachodem Greckiej i Żydowskiej wiedzy,
Dziko rośnie *i ginie jak zioło na miedzy,*
A za patronów jeśli w niebiosach ma kogo,
To chyba rzezi ciosem duszki wypędzone
Z ciał, które żołdak rzymski popychał ostrogą,
Przedmęczeńskie i w wieków wieki uwielbione.

. . . .

II.

To, coś dotąd przeczytał, pisać miałem wstręty,
Przeto iż Chemią trąci — trąci alembikiem,
I jest jakobym w bajce handlował bydlęty,
Wołając: zapęd głupi nazywam tu dzikiem,
Wół *z rogi złoconemi jest bursowy cielec,*
Żołądek? *to publiczność, doktryner?* widelec.
— *Któżby chciał tak wycinać w pień gaje majowe,*
By widz leniwy w stronę pozierając owę
Coraz to nowszy przedmiot odbitym czuł w oku,
Niedomyślił się ruszyć — i umarł... w szlafroku!
Ale widziałeś! — ale dotknąłeś rękoma
Publiczności - prywatnej, *ile nieruchoma!...*
I jako z autorem, gdyby który raczył
Nieco się współutrudzić, pierwejby zrozpaczył.
Aż przyjdzie czas niebardzo i wiele czekany,
Gdy jako za Shakespeare'a dni, iż był nieznany,

Wołano, z koni ciężkich zsiadając o mroku:
„William! potrzymaj strzemię — a z którego boku!
„Cóż? będę z lewej strony zsiadał — czyś oszalał?
„Nierozgarnięty chłopiec! lub wódką się zalał...“
I Shakespeare ztąd, gdy stylu jasnego kryształy
Przejmie, — Falstafów lepsze poda ideały!
I będzie postęp wielki w grubiaństwa stronę,
Jakkolwiekby je cudza słodziła ogłada,
Kupiony polor *wdzięczył, guziczki złocone,*
Ton *obcy, który zawsze, czyj jest? się wygada.*
A skoro przez lat wiele cichości i nocy
Pisarz jaki zacniejsze poczucia rozbudzi,
I poczną drgać nasiona czy kamienie w procy,
Czy serca, ku wskrzeszeniu poruszonych ludzi,
I on od niwy własnej wezwany poszeptem
Żywiołów — „jestem!“ *rzecze, — nazwą to konceptem.*
A choćby rzekł „męczeństwo — prawdy jest świadectwem,
Bez względu — krwią, toporem, inkwizycyi śledztwem
Znaczone, czy obelgi pogodnem przeżyciem,“
Katechistyczną nocyę *tę nazwą:* odkryciem!
Jest bowiem męczennika palmy nadużyciem
Nie być wymalowanym z suchotniczą twarzą,
Na węglach, które, iż są gorejące, parzą!
(Indyjskie *to: o ile boli; ile ludzi —*
Francuskie; *a o ile ułomne — to,* ludzi!)

— I koniec jest: że marność ta, pod dni ostatnie
Zygmunta, gdy rozrywał skrzydłami tę matnię,
Nawpół już ulatując; że ta powiatowość
W imię kapusty *(rzeczy zkądinąd wybornej)*
Pozwie go, iż pominął swoją narodowość,
Człekiem *że był zanadto, że minął grunt orny,*
Brzozy płaczące, bydła wracające trzody,
A szukał, szukał kędyś pomiędzy narody,

Gdzieś — u świętego Piotra grobu, lub w nowinie
Apokalipskiej... *perły że rzucał*.......

III.

O! tak, o! tak, mój drogi... czas idzie... śmierć goni,
A któż zapłacze po nas — kto oprócz Ironii?
Jedyna postać, którą wcale znałem żywą,
Pani wielka, i zawsze w coś ubrana krzywo,
Popioły ciche stopą lekką ruszająca,
Z warkoczem rudym, twarzą czerwoną miesiąca.
Ta jedna!... A cóż więcej ci powiem na wstępie?
Oto, że w świat wchodziłem, gdy w największej sile
Poetów trzech *(co właśnie zasnęli w mogile)*
Śpiewało! — *że milczałem — i znów pióro strzepię,*
Jak kłos o sierpa ostrze: a powiedz mi, proszę,
Kto przy mnie jest i fałsze wyrzuca macosze?
Owszem: quantumque reges delirant, Achivi
Flectuntur... *i jest w błędzie, kto się temu dziwi.*
— Jako więc w świata tego którejkolwiek stronie,
Na mchu jeśli w odludnym przylegniesz parowie,
Planeta ci się zaraz pod twe małe skronie
Zbiega, i czujesz globu kulę za wezgłowie;
Tak mówię ci, że skoro istota Poety
Zebrać u piersi swoich nie umie planety,
Całego chóru ludzkich współłez i współjęków,
Od ziemi do macicy tej najwyższych sęków,
Od karła do olbrzyma, od tego co kona
Do tego co zawisnąć ma jutro u łona:
Zaiste — niech mnie taki nie uczy, CO CIEMNE?
A CO JASNE?—on ledwo że wie, co przyjemne!
Bo jam nie deptał wszystkich mędrców i proroków...
Ale mię huśtał wicher, ssałem u obłoków

I czułem prochów atom na twarzy upadłej.
Sfinksy znam, czerwieniły się zkąd? czemu bladły?
Boga, że ZNIKAJĄCY NAM PRZEZ DOSKONAŁOŚĆ,
Nie widziałem, zaprawdę, jak widzi się całość.
Alem był NA PZEDMIEŚCIACH JEGO JERUZALEM,
W wodzie obłoków krzyżem pławiąc się czerwonym,
Zwierzokrzewowe psalmy mówiłem z koralem,
Z delfinem pacierz, glorię *z orłem uskrzydlonym...*
I właśnie, gdy rzecz wszczynam poziomego toru,
To nieprzeto ażebym sługą był wyboru,
Lecz, że mię wciąż dolata trumny zatrzask nowej.
Dziennik donosi: „ten się struł, zabił się owy:
„Pracował w Ossolińskich księgozbiorze sporo,
*„Zbyt czuwał, konstytucyę niedość krzepił chorą...“ *)*

. . . .

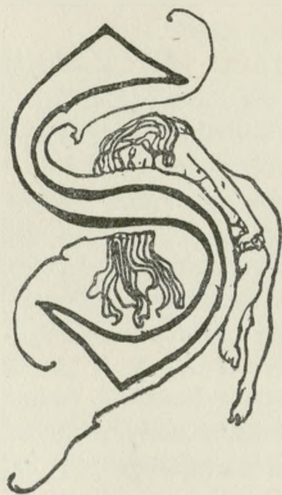
Prawda! prawda! lecz jakżeż może być inaczej??
Skoro, na grobie każdym rozwartym z rozpaczy
Porzucawszy gałązki, zasłonicie przepaść —
Mówiąc: „idź... uszczknij listek!“ Ale któż ci powie,
Że się załamie ziemia i nie możesz nie paść
Nogą na obróconej ku niebiosom głowie — —
Owszem — tę prawdy stronę uważając za rdzę,
Malowany samotrzask zastawią ci w rowie,
Na korzyść serca....
....sercem tem — szkołą tą — gardzę!

1859. Cypryan Norwid.

---

*) *Felicyan Lobezki* (pisarz - malarz) — a *następnie i ten, do którego niniejszy list był pisany!...* Przyczyna tragiczna, dla której wiersza tego nie położyło się na wstępie do przypowieści *Quidam* — raz, że zalegał list ten w papierach zgasłego, drugi raz, że boleśnie było przez długi czas do rękopismu tej treści, *i treści naprzód określonej,* zbliżać się. (*C. N.*)

Synowie ziemi.



zedł przez plantacye, smutny i zgnębiony.

Cały dzień się męczył, próbował pracować, ale jakby kto z jego mózgu wszystkie myśli wymiótł... Czuł: w sercu nie było tej męki, tego cierpienia, które było źródłem jego tworów. Zobojętniał. Wystygł. I nic tylko jakaś bezmierna pustka, niepokój, lęk przed tem, co czeka, przed tą ciemną, głuchą przyszłością.

Przerażał go ten cichy, apatyczny smutek, nurtujący mu duszę. Już się nie szarpał, nie szamotał, już nie umiał zacinać zębów i zaciskać pięści — tylko jedna głucha, samotna pustka, jałowy, szronem pokryty ugór w dżdżysty wieczór Zaduszek.

Szedł, jak we śnie pogrążony.

Ludzie przesuwali się obok niego jak czarne sylwetki. Nie słyszał gwaru ani śmiechu. Raz po raz ktoś go potrącił, ale on nie zważał na to.

Lęk go zdjął, bo nie słyszał odgłosu kroków.

I zdało mu się, że wszyscy ci ludzie są tak smutni i tak cisi, jak on, że lękają się mówić i głośno stąpać, by nie zakłócać spokoju, bo każdy odgłos musiałby wywołać straszne przerażenie i trwogę.

Tak musiał wyglądać świat, gdy ludzkość oczekiwała sądu ostatecznego. Niebo czerwone, jak szafran. Pory roku się zmieniły. Śnieg padał w lecie, piekielny upał w zimie, ludzie przerażeni oddychać nie śmieli, tylko ptactwo szukało w śmiertelnej trwodze, gdzieby się ukryć mogło.

I zdawało mu się, że on tych wszystkich ludzi zaraził swym smutkiem, że smutek jego „jak dżumy plama przeszedł z serca do serca“ — ale nie! przecież się śmiali, chociaż śmiechu nie słyszał, przecież rozmawiali, mieli miny obojętne i wcale nie smutne...

Ocknął się i rozejrzał ciekawie, jakby przedtem ludzi nie był widział.

I uczuł dziką nienawiść i wstręt. Twarze poczęły przybierać jakieś ohydne, potworne kształty, ciała kurczyć się, naginać w kabłąk, garbiły się, to znowu rosły lub malały — usta wydłużały się w dzioby gryfów, chciwych jastrzębi, to znowu w ryje lub pyski ośle, końskie, wielbłądzie — dusze poczęły się obnażać, odsłaniać swą potworną nagość: zdrada, obłuda, zazdrość, chciwość rozpanoszyły się pod czarnem sklepieniem wspaniałych drzew... Czuł się otoczony zgrają tych potworów wrogich, nienawistnych, gotowych w każdej chwili rzucić się na niego, oplwać, obrzucić śmieciami, zmieszać z błotem i kałem, — ranić kamieniami — zdradzać — oszukać — —

— O!... o!...

Chory jestem, zaświtało mu w mózgu.

I oprzytomniał.

Zkąd ta nienawiść w mojem sercu? pomyślał.

Nienawidzą mnie, zdradzają, oszukują, ale to moja wina.

Byłem dobry, ale to nie dobroć serca, tylko dobroć pogardy.

Kochałem, ale nie sercem, tylko... no? czem? Bo ja wiem? Wcale nie kochałem, tylko mówiłem, że ko-

cham... A potem, gdy się znudziłem, gdym duszę wyssał, gdym poznał na wylot to, co mnie nęciło, odrzucałem jak zgniłe jabłko.

Okradano mnie, bom ich zmuszał do okradania. Czy nie mówiłem mej służbie: kradnijcie, tylko nie dużo? — Ha, ha, ha... Dobrze powiedziałem, bardzo, bardzo dobrze...

I przetrząsał swoje sumienie z jakąś wściekłą zapalczywością, wdzierał się z okrutną rozkoszą w najskrytsze zakątki swego serca, wywłóczył wszystkie śmiecie swego życia i coraz większą pogardę czuł dla siebie i dla wszystkich.

Kłamałem, zdradzałem, oszukiwałem, podchodziłem podstępnie ludzi cichego serca, bawiłem się czystemi gołębicami, by im potem szyjki ukręcać, byłem okrutny, rozciągałem dusze ludzkie na strasznych torturach: oto jest obraz i podobieństwo ich wszystkich.

Zdradziła mnie — ale ja ją do tego pchałem, tak! zmuszałem, bo — bo... byłem opryskliwy, i kapryśny, i złośliwy, i mówiłem jej tak: wola twa poddana będzie mężowi twemu, a on nad tobą panować będzie...

I jeszcze jej mówiłem: twój gyrus frontalis tertius w mózgu jest mniejszym od mego, — ha, ha, to nieprawda — ja kieruję się rozumem, a ty instynktem — ja mam ambicyę, by tworzyć, a ty próżność samiczki, by samców ku sobie wabić — a więc jesteś niższem zwierzęciem i musisz podlegać mej woli... codzień mówiłem mnóstwo podobnych rzeczy.

A mówiłem jej to ustawicznie, tylko delikatniej, złośliwiej, z zadziwiającym sprytem i zręcznością, godząc z wielką pewnością w czarny punkt jej duszy.

Na to przyszedł taki pan, ot! taki sobie pan, i mówił jej tak:

Ty jesteś rajem, w którym błogo i rozkosznie spocząć — wprawdzie pod drzewem świadomości, ale to nie szkodzi...

Ty jesteś słońcem, które światy zapładnia... Wprawdzie musiałoby się w tym wypadku dziać to na odwrót, ale to też nie szkodzi.

Ty jesteś gdyby dąb, naokoło którego ja, biedny, słaby bluszcz się owinę — usycham bez ciebie, żyć nie mogę bez ciebie...

Jesteś najpiękniejsza i najmędrsza — jesteś źródłem i aniołem natchnienia — wszystkie wielkie anielice natchnienia nie warte prochu przed tobą zmiatać, ani Hańska, ani George Sand, ani Delfina Potocka...

Ha, ha, ha! No, i jakże się oprzeć tak słodkiej mowie?

A ty, panie Czerkaski, uderz się z całej mocy w piersi i powiedz sobie: jestem łotrem, zimnym, rozważnym łotrem.

Poczekaj, poczekaj, szepnęło mu coś w duszy. Jeszcze nie mów tego, bo tyle rzeczy cię usprawiedliwia.

Żadnych usprawiedliwiań! — Czerkaski zaciął zęby.

Łotrostwo jest łotrostwem!

Uwiodłeś biedną kobietę, osaczyłeś, omamiłeś — jednem słowem uwiodłeś. Wierzyła ci, ślepo byłaby przysięgała na twoje słowa, oddała ci z wiarą i bezgraniczną ufnością swoje serce, a ty je zbrukałeś, a potem porzuciłeś brutalnie, jak parobek, bez jednego słowa, bez jednej kartki papieru.

Boś musiał, krzyknęło coś w sercu.

Nie! bo byłem tchórzem, bom nie umiał, ja, wielki pan przyrodzenia, zrobić tego, co ona zrobiła, bom nie umiał, nie miał odwagi zrzucić z siebie ciężaru, który mnie do ziemi przygniatał, zerwać kajdan, które mnie do galery przykuwały, bo...

Czerkaski wżerał się zębami we własne serce, szarpał je i targał z zapalczywą wściekłością.

Oszukałeś Glińską, zdradziłeś, czemuś to zrobił? Przecież ją kochałeś? Kochałeś, kochałeś, to jedno cię usprawiedliwia, ale czemuś ją porzucił?

Próżno się silił dać sobie na to odpowiedź. Dla tego żeś miał żonę, ale czem była dla ciebie żona? Żeś — żeś...

Nie! nie chciał się uniewinniać. Z obłąkaną zaciętością szarpał swe serce, opluwał się, gardził sobą, czuł rozkosz w poniewieraniu siebie samego, bezczeszczeniu, odzieraniu z ostatnich pozorów uczciwości.

Błąkał się po odludnych ścieżkach parku pogrążony w ciemnej otchłani złego sumienia, z tem jednem w duszy:

Czemuś porzucił Glińską?

I przed oczyma jego wykwitła cicha, drobna postać kobiety, z drobną twarzyczką dziecka i oczyma, co przerażone i wylęknione patrzyły na niego.

Czuł, jak głaskała go po twarzy drobnemi, miękkiemi rękoma: nigdy mnie nie opuścisz — nigdy?

A oczy jej, jak spłoszone jaskółki, biegły za nim, śledziły go, wpijały się w głąb' jego serca, chciały rozgmatwać ciemną zagadkę jej przeznaczenia, bo to ciemne, nieznane serce, wyrokowało o jej życiu lub śmierci... I ten lęk, i ten niepokôj, i ta śmiertelna trwoga, że mógłby ją porzucić!

A przecież ją kochał — poraz pierwszy kochał z tą nieskończoną tkliwością, z jaką się dziecko kocha, z tem wdzięcznem, ciepłem i światłem przesyconem sercem, co czuje, że nigdy tak nie było kochane...

No i czemu?

Teraz uczuł jej łzy, wielkie, gorące łzy, duszę mu przepalały, a mózg mu przewiercało jej rozpaczne pytanie: czemu ja umrzeć nie mogę?

I uczuł bezmiar miłości dla niej. Chciałby się teraz rzucić do jej nóg, całować jej stopy, bełkotać bezładnie słowa miłości, i tulić, i pieścić, i wziąć na ręce, obno-

sić dookoła pokoju — och! kołysać jak dziecko, ażby jej skołatana główka obwisła w cichym śnie na jego piersi.

Tak! przycisnąć, przygarnąć do siebie, jak ten bronzowy Adam na jego biurku.

Zapóźno!

Zaciął zęby.

Wszystko dla niego poświęciła. Czuła, że to zbrodnia, oszukiwać męża, który od rana do nocy pracował w biurze pocztowem na utrzymanie domu — serce krwią się jej zalewało na widok tego człowieka, któremu ona, sierota, wszystko zawdzięczała, bo ją wyrwał z piekła, jakie przechodziła w domu złośliwych, chciwych krewnych, otaczał ją miłością, a teraz czuł, że się w niej coś dzieje, czego nie zna, że staje mu się obcą, że jest dla niego zimną i nieprzystępną. Czuła jego ból, choć słowa nie mówił, płakała, rozpaczała, czuła się potępioną, gardziła sobą, ale miłość dławiła, dusiła wszystko w jej sercu, bo kochała, bo stała się samą miłością.

I widział jej męża, jak przychodzi z biura, zrzuca mundur, w milczeniu je kolacyę, mówi jej dobranoc, siada i znowu pracuje, by się pracą odurzyć, zagłuszyć — widział jej męża, któremu łkanie piersi rozrywa, a który jednak nie płacze, któremu przekleństwa i brudne wyrazy tłoczą się do gardła, a który ma dla niej tylko dobre i łagodne słowa, bo — bo i on ją kocha.

— A ty? ty? Co ty masz w sercu? — zakrzyknął. — Brud i egoizm!

I po raz pierwszy od dawnego czasu uczuł ogromny, bezpamiętny ból.

Całe niebo staczało się wielkim, bolesnym ciężarem na jego głowę — zdało mu się, że słyszy w cichym parku przedśmiertny poszum drzew, a z serca rwał się wielki krzyk za śmiercią, końcem, zagładą...

Przed oczyma przesunęło mu się całe życie, brudne, ciężkie życie, pełne wstrętnych zabiegów za groszem, podstępnej przebiegłości, by ludzi ujarzmić, zbrodniczych łotrostw, by żądze zaspokoić...

Siadł na ławie, głowę zwiesił na piersi. Oddychał z trudnością, a w głowie czuł ogień i żar.

Po chwili podniósł się i znowu wszedł na planty.

Naraz drgnął.

Szybkim krokiem przesunęła się jakaś postać kobieca.

To ona! Glińska! Hanka!

Obrócił się.

Nie, nie — mylę się — przecież to niemożliwe. Daleko ztąd, daleko...

Ona! Hanka!

Nie, niemożliwe... tyle o niej myślałem, że mi żywa stanęła przed oczyma.

I w tej chwili ogarnęła go wściekła tęsknota. Czuł dokładnie jej dłonie na swej twarzy, te białe, miękkie dłonie — to znowu kosztowny jedwab jej włosów przesuwał mu się przez palce, to znowu z rozkoszą chłonął delikatną, nieskończenie wytworną harmonię jej ruchów, widział jej oczy dziecka, co z ciekawością i lękiem słuchały nieznanych dziwów, gdy jej serce swe otwierał... I uczuł nagłą chęć wsiąść do wagonu, zaraz, w tej chwili, pojechać do niej — tylko pociąg musiałby szaleć, bo inaczej umarłby z niepokoju — wpadłby do niej, wziął ją na ręce, uwiózł, pognał z nią na koniec świata...

Ale nagle ujrzał ją straszną, wylęknioną, wpół obłąkaną:

Czego chcesz, czego chcesz? pastwić się nade mną? Ranić? Kalać? Męczyć? Idź, idź, idź...

Opadł.

Chciał jeszcze myśleć, jakby dotrzeć do niej, jak jej wytłómaczyć, że ją kocha, że popełnił łotrowstwo, ale

że to się stać musiało! Tysiące przekonywających argumentów latało mu po głowie, jak pierze obdartego ptaka, ale męka do dna wyczerpała mu duszę.

I tylko jedno pragnienie: ciszy! ciszy!

Zamyślił się.

Nie! nie ciszy! Gwaru, hałasu, muzyki. Czegoś, czemby mógł oszołomić to biedne, rozszalałe serce.

Nagle uczuł silne kłócie w piersiach.

Chory jestem, widocznie chory; to przejdzie... to nic... zaziębiłem się trochę... pójdę do Szarskiego. Prawda, prawda... przecież po to wyszedłem, by pójść do niego... ma grać swoje oratoryum, czy też koncert — Jak mogłem o tem zapomnieć...

I powlókł się do Szarskiego.





ałas, gwar...

Niewielki pokój Szarskiego był zapełniony gośćmi.

Stasinek, który zawsze i wszędzie pełnił obowiązki szafarza, krzątał się między gośćmi, dolewał to wódki, to piwa, przypijał, zachęcał, twierdził, że tyle piękności na świecie, ile się jej w kieliszku znajdzie, kiwał siwą głową i był niezmiernie szczęśliwy.

— Cóż tak mizernie wyglądasz? — spytał Szarski Czerkaskiego.

— Nic, nic, trochę się zaziębiłem, to przejdzie.

— Bardzo-m ci wdzięczny, żeś przyszedł. Ogromnie mi na tem zależało.

— I jesteś zadowolony z tego, coś stworzył?

— Po raz pierwszy w mojem życiu.

— Toś pewno bardzo szczęśliwy?

— Hm, tak — tak... szczęśliwy. Nam się wszystkim zdaje, żeśmy szczęśliwi... a śmierć czeka, czyha...

— Cóż to? Szarski sentymentalny?

— Ha, ha, ha... nie! do dyabła! Tylko się lękam o swoją głowę.

— Bo stanowczo za dużo pijesz.

— Słuchaj, Czerkaski, że też ty możesz takie głupstwa gadać! Każdy artysta żyje tak długo, jak jego twór

wymaga. Co to za ohydny nonsens mówić: coby ten biedny pijaczyna Musset był zrobił, gdyby się na śmierć nie był zapił. Głupstwo! Nie miał już nic więcej do zrobienia. Albo powiedzieć: jaka olbrzymia rzecz byłaby z Króla Ducha, gdyby Słowacki był żył, chociaż jeden rok jeszcze! I to głupstwo. Słowackiego starczyło właśnie na te rapsody, które zostawił, a chociażby był żył sto lat jeszcze, nicby więcej nie zrobił. Artysta, rozumiesz, zawsze to zrobi, co ma zrobić, a czy w ten sposób czy w inny zmarnieje, to tylko obojętna forma zmarnienia. Jeden na suchoty, drugi na pijaństwo, trzeci na rozpustę — no, albo jak chcesz. Ale to zupełnie obojętnie, w jaki sposób się zmarnieje. Bo, bo widzisz — my jesteśmy męczennikami naszego talentu. He, he, he... Coby ten lub ów nie był zrobił, gdyby nie dostał suchot, kiły — gdyby się nie był rozpił, rozłajdaczył — he, he, he... gdyby wuj nie miał wąsów, albo czego innego, to z pewnością byłby ciotką — he, he...

— Tak, tak... może masz racyę. — Czerkaski był dziwnie roztargniony. Tarł ręką czoło, zamyślił się.

— Znasz Glińską?

— Jakto? Ty się o to pytasz?

— Prawda! Prawda! Ale słuchaj, zrobisz mi nieskończoną przysługę, jeżeli się dowiesz, czy jest tu rzeczywiście, czy mi się tylko zdawało, że ją widziałem, bo — bo, wiesz, jakoś mi niedobrze na sercu i mam takie dziwne przywidzenia...

— Ależ, bój się Boga, Czerkaski, ty nic nie pijesz! — Stasinek trzymał kieliszek w jednej ręce, w drugiej flaszkę i nalewał.

— Piję, piję, z tobą, Stasinek, zawsze piję.

— A jabym za tobą w piekło poszedł.

— Wierzę, wierzę — ale słuchaj, Stasiu — znasz Glińską?

— Jakto? to ty nie wiesz? Przecież już od tygodnia tu jest. Jej mąż został przeniesiony na tutejszą pocztę.

Czerkaski drgnął gwałtownie.

— Co, co, co? To prawda?

— Prawda, widziałem ją dziś na ulicy.

— Więc rzeczywiście?

— Ależ tak.

Czerkaski czuł, że słabnie, ale się opanował. I zdjęła go straszna tęsknota za tą kobietą, o drobnej twarzy dziecka, o małych, miękkich rączkach. Mieć ją przy sobie! Był chory, ona potrzebowałaby tylko przyłożyć ręce do jego skroni — nie! położyć miękką dłoń na jego serce, to rozszalałe, chore serce, a odrazu byłoby mu lepiej. Bo był chory — tak! chory...

— Dawno już nie widziałem pana. — Turski serdecznie ściskał dłoń Czerkaskiego. Oczy jego błyszczały. Był widocznie podchmielony.

— To mój drugi występ publiczny od dawnego czasu. Ha. ha, teraz będziecie mnie często widywali. Nie lubię samotności.

Turski patrzał przez chwilę na Czerkaskiego, potem wybuchnął nagle.

— Ja wiem, zbyt dobrze wiem, co pan o mnie myśli. Ja wiem, że mi pan zarzuca, że — że... no tak! że rzucam rzeczy, które piszę, nieopracowane, pisane na kolanie, na targ. Pan mówi o mnie, że mam talent, ale że go marnuję...

— Ależ ja tego nigdy nie powiedziałem.

— Nie powiedział pan? Ale pan to myśli. Tak, to prawda, piszę rzeczy, których się wstydzę. A wie pan czemu? wie pan?

Czerkaski patrzał zdziwiony na Turskiego.

— Czemu? czemu? Bo mokry jeszcze papier muszę posyłać do drukarni. Bo mam żonę i dziecko...

— Ha, ha, ha, ja też miałem żonę — ha, ha, ha...

— Tak, pan miał żonę, ale pan miał i majątek. Słyszę, że pan teraz nic niema, albo tyle co nic, ale pan miał... Nie sztuka, tworzyć rzeczy skończone, gdy się ma pieniądze.

— Tak, to nie sztuka! — kiwał Stasinek siwą głową.

— Niech mi kto da tysiąc, dwa tysiące reńskich, a stworzę taką rzecz, jakiej nikt przedemną nie stworzył. Dajcie mi czas, bym mógł jedno zdanie pisać przez jeden dzień — dajcie mi czas, bym — ha, ha — miał czas pomyśleć, czym napisał głupstwo, czy też dobrą rzecz, a wtedy wolno mnie sądzić...

Turski okręcał guzik od surduta Czerkaskiego.

— Wolno teraz panu mówić: Turski niszczy swój talent, Turski jest dziennikarzem, Turski ma jedno pragnienie, by wydać trzeci lub czwarty nakład, ale panie, ten Turski ma wściekły żal i ból w sercu, że nie może tego zrobić, coby mógł zrobić, bo mu niewolno, bo — ha, ha, ha — ma żonę i dziecko.

Turski był dziwnie podrażniony. I naraz krzyknął na cały głos:

— Pieniędzy, pieniędzy! By módz tworzyć, by duszy nie brukać, by się nie kalać, by — ha, ha, ha...

Ale nagle oprzytomniał. Obejrzał się nieśmiało dookoła.

Nikt nie zważał na ten wykrzyk. Było gwarno i wesoło. Tylko Stasinek trącił Czerkaskiego:

— Ten się zalał.

Czerkaski spojrzał głęboko w oczy Turskiego. Chwilę patrzyli na siebie. Turski był już teraz zupełnie spokojny.

— Nie jestem pijany, panie Czerkaski, ale — ale, jeżeli są tragedye — straszne, okrutne tragedye — to ja je przeżywam. Wiem, że mógłbym zrobić coś wielkiego — ogień mnie trawi — a muszę, muszę ciskać na targ te głupie, nędzne, jałowe rzeczy, bom biedny, bo... ha, ha, ha... Zdaje się, że to pan mówił o malaryi, którą Wisła

zieje, ta Wisła, która ma czas, i płynie wolno, i zieje wolno zarazki choroby, bo ma czas. Ja mam tę malaryę w krwi, w kościach, w każdej cząstce mego ciała... Gryzie, niszczy, truje... To piekielne miasto zabija mnie... He, he... łatwo panu mówić, ten jest żurnalistą, ten stara się przypodobać publiczności, ten znowu chce być na gwałt popularnym. To wszystko panu wolno mówić, bo pan mógł czekać — a jeżeli pan co napisał, to mógł pan schować do szufladki i — prematur in nonum annum... Ale my, my biedacy — he, he... patrz pan: Szarski pije, bo niema nakładcy, któryby jego rzeczy drukował, bo niema orkiestry, ani śpiewaków, bo nie wie, z czego jutro będzie żył, bo lęk i rozpacz w jego sercu. Winiarski mógłby być olbrzymem, gdyby mu dano coś do roboty. Dać mu kościoły, pałace, muzea do malowania! Dać mu nową scenę, olbrzymią, wielką arenę, gdzieby mógł słowem malować — ot! tak!

Turski zakreślił wielką linię w powietrzu.

— Cóż? Winiarski, ma suchoty i głód, głód, głód!

A Turski, ten Turski, który tu przed panem stoi, musi pisać pornografię, by módz żyć. A Kurzawa umarł z głodu, bo miał talent, tylko dla tego, że miał talent. Kurzawa musiał roztrzaskać swego Mickiewicza — tak! Wy wszyscy, którzy macie pieniądze, albo nie macie żony, możecie takie rzeczy robić, — mnie nie wolno! Kurzawa zmarniał, bo Kurzawa miał talent. I teraz na rynku, na tym najpiękniejszym rynku w całym świecie, stoi pomnik, ohyda, hańba, świństwo...

— Tak, to racya! — Stasinek pokiwał smutnie głową.

— Stasiu, serce moje! — Turski objął Stasinka za szyję. — Stasiu, ty nie masz nic do stracenia, ty nie masz żony. Dam ci tysiąc guldenów, jeżeli wysadzisz ten ohydny pomnik w powietrze. Czem chcesz. Bo ja nie mogę. Więzienie...

— Tak, to niemiła rzecz, — wtrącił Stasinek lakonicznie.

— Och, mieć milion! — gorączkował się Turski. — Milion — nie! to za mało — dziesięć milionów! Módz zniszczyć ten pomnik i dać miastu inny — módz zdrapać z wnętrza kościoła Maryackiego te głupie i śmieszne i ubogie i takie bezsensowe malowidła Matejki, tę pstrokatą jajecznicę ograniczonego geniusza...

— Nie klep głupstw! — przemawiał Stasinek dobrotliwie do Turskiego. — Mieć miliard! Ha, ha, ha! Turski, co, kochany chłopie, gdybyś ty miał miliard — nie potrzebowałbyś pisać pornograficznych wierszy... bo to jeszcze popłaca.

Turski umilkł nagle i zwiesił głowę.

Czerkaski milczał i słuchał, ale bardzo roztargniony. Cóż go teraz obchodziło, czy malarya ich poźre, czy nie.

On miał tylko jedną myśl, jedną chorą tęsknotę i pragnienie: Glińska, Glińska...

Teraz siedzi tam naprzeciwko męża, wpół błędna, z tą obłąkaną rozpaczą w sercu. A mąż raz po raz wlepia w nią straszne, smutne oczy. A ją pali ten niemy, bolesny wyrzut, to rozpaczne pytanie: kto mi twoje serce ukradł?...

— Cóż tam, ja mogę zmarnieć, mnie nie szkoda, ja nowej drogi nie wytknę, nowych światów nie odkryję, ale Winiarski, Winiarski...

— Cóż wy tu o mnie gadacie? — Winiarski witał się serdecznie z Czerkaskim.

— I, nic, nic, tylko Turski twierdzi, że gdyby miał miliard, toby razem ze Stasinkiem pomnik na rynku zburzyli i kościół Maryacki obdrapali.

— A dobrze, dobrze! A możeby też wtedy zmusili księdza biskupa, by chciał przyjąć w podarunku moje witraże do katedry. Pomyśl tylko, chcę wszystko zrobić

darmo, namaluję kartony do wszystkich okien, kartony, w których całą przeszłość odtworzę, począwszy od Wandy, i nie chcą przyjąć. Wolą ohydną, fabryczną pstrokaciznę, bo milsza dla oka...

Ucichło nagle.

Szarski siadł przy fortepianie, i odrazu stał się nowym człowiekiem. Przeistaczał się, potężniał, zdawał się nie z tego świata.

Czerkaski widział tyle razy tę dziwną zmianę w Szarskim, a za każdym razem przejmowała go jakaś tajemna trwoga.

Czuł, że w tym człowieku dokonywa się mistyczny ślub z istotą rzeczy, że on w tej chwili odczuwa świat poza wszelką zjawą i ułudą, odczuwa go w jego najistotniejszej głębi, w nagim absolucie, w dźwięku.

Czuł, że ten człowiek rozmawia z Bogiem, że nie potrzebuje symbolu, ani słów, ani przenośni, ale styka się z nim bezpośrednio.

Szarski był śmiertelnie blady.

I nagle uderzył pierwsze akordy, temat swej symfonii, odwieczny temat bólu i cierpienia: Święty Boże, Święty Mocny...

Coś, jakby pokorne kajanie się człowieka przed groźnym a straszliwym majestatem, — biednego człowieka, co nie śmie spojrzeć Bogu w zagniewane oblicze, tylko pokornie, z szeroko rozwartemi rękoma przypada do ziemi i w cichym szlochu błaga i prosi:

Święty Boże, Święty Mocny,
Święty a Nieśmiertelny,
Zmiłuj się nad nami...

Cisza!

I nagle z góry do dołu wściekłe pasaże obłąkanego śmiechu, wycia, płaczu, dzika, spieniona, kaskada cierpienia, bryzgająca krwią serdeczną ku niebu! To znowu wy-

skakiwała groźna pięść szaleńca, co wali o wrota nieba, straszny skowyt na śmierć zranionego zwierza, a przez tę orgię tonów huczał, wył, błagał, kajał się straszny, ponury temat: Zmiłuj się nad nami.

W coraz to nowych modulacyach, w coraz groźniejszej i ponurej tonacyi odzywał się ten straszny krzyk, czasem jak wściekły wybuch geyzeru, czasem przeciągły i długi jak strumień gorącego prądu, czasem jak szczękanie zębami potępieńca, jak łamanie rąk z rozpaczy obłąkanego człowieka, to znowu, jak bolesna, głucha rezygnacya mędrca, który wie, że niema dla ludzi ratunku.

Zimne dreszcze zbiegały Czerkaskiego.

Bo dziwna! Szarski miał nadzwyczajne siły. Fortepian przestał być instrumentem, słuchał go, stawał się jego duszą, największe techniczne trudności stały się prawie dziecinną igraszką. Nastąpiło zlanie się człowieka z martwą rzeczą. Dusza Szarskiego udzieliła się drzewu i metalowi i kości słoniowej. Technika Szarskiego była nieskończenie delikatnym, nieskończenie wydoskonalonym środkiem, by duszę swą do naga wyśpiewać.

Czerkaski przymknął oczy.

To już nie fortepian, to orkiestra cała.

Słyszał skrzypce i fagoty, melodya przechodziła z wiolonczeli na harfy, huczała w podziemnem dudnieniu organów, zrywała się w dzikich fanfarach pistonów, w bolesnem wyciu klarnetów, a grozą i przerażeniem Sądu ryczały trąby straszne Dies irae lęku i cierpienia.

I nagle dziki zgrzyt w niesłychanych akordach, które spadały na duszę, jak siekący, niszczący grad na bujny łan zboża, i znowu cisza.

Na chwilę zrzucił człowiek z siebie kajdany życia, stoi na górze Tabor, wyciąga ręce ku Bogu, bo za chwilę dusza jego oczyszczona ma się wznieść ku chwale wiekuistej.

Ale oto załopotały lękliwe, strwożone skrzydła duszy wygnanej z raju, biedne, błądzące, skołatane skrzydła — dusza wygnana z raju miłości, rozpaczna, a w sercu jej rozpasała się piekielna symfonia bólu, straszliwe Alelujah rozpaczy, przekleństwa, tęsknoty.

To ona, ona, Hanka!

Hanka o bosych nóżkach, w podartej koszulinie, poprzez roztopy i błotne ugory, Hanka deszczem siekana, zraniona, skrwawiona, z gromnicą w ręku, Hanka bijąca się drobnemi rączkami w rozpaczną pierś:

Jam biedna cudzołożnica, wybaw mnie, Panie!

Hanka-Ewa, rozszalała, groźna, z dzikim chichotem, rozpustna i wyzywająca, na przedzie, Hanka tańcząca wściekły taniec miłości i śmierci, a on za nią, jak pies przywiązany do jej stóp, on, dumny szatan, wielki pan serc, on, dziś w grozie Sądu, najbiedniejszy z biednych:

Zmiłuj się nademną!

I piekło się przed nim rozwiera, niebo na niego się wali, a Hanka siedzi przy nim przed otwartym grobem i płacze.

Hanka płacze! Słyszał jej jęk, i serce rozdzierający szloch, i głuchą, obłędną modlitwę bez słów, modlitwę krwią zabiegłych oczu: och, wybaw, wybaw mnie, Panie,

I w dali gromadka ludzi z niknącemi pochodniami w parnej, nieszczęściem ciężarnej nocy. I jak pozagrobowy odgłos bezsiły i zdania się na wolę Boską, cichy jęk: Wybaw nas, Panie...

A Hanka siedzi i płacze, łzy jej z oczu ściekają, jest śmiertelnie blada, i niema, i głucha, tak płakać może tylko trup. A mąż siedzi naprzeciw i szamoce się z sobą, z serca rwie się dzikie przekleństwo, w gardle dusi go straszny ryk Herakla, palonego koszulą Nessusa, ale pyta cicho i łagodnie z bezbrzeżnym smutkiem: czemu płaczesz, Hanka?

Czerkaski wstrzymywał się całą siłą, by nie krzyczeć z bólu.

Temat powracał w pojedyńczych akordach i taktach, ginął, gasł — nie było wybawienia, nie było litości, tylko już bezładne bełkotanie ludzi, nieświadomych tego, co mówią.

Zboża kołyszą się w cichym powiewie wiatru, drzewa szumią tajemniczo, raz po raz odgłos dzwonu, a ponad wszystkiem strach. Samotny człowiek wlecze się po miedzy, a za nim coś, co gotowe do skoku; chytre, powłóczyste kroki — chwila, a śmierć obejmie wściekłemi kleszczami pierś, gardło, wgryzie się zębami w kark...

Strach, strach!

Ale człowiek samotny nie ma już siły, by się opierać, leci z jednej gwiazdy na drugą, w przepaść, otchłań, piekło... głębiej jeszcze, ciemniej jeszcze...

Och!

Raz jeszcze ryknęły organy, zawyły trąby przerażenia, przekleństw i bluźnierstw — ucichło...

Ostatnia przedśmiertna ekstaza, ostatnie pragnienie śmierci, natchnione „Cupio dissolvi“:

Święty Boże, Święty Mocny,
Święty a Nieśmiertelny...

Czerkaski drżał, zimny pot wystąpił mu na czoło.

Śmierć, zagłada, zniszczenie zawisło czarnemi upiornemi skrzydły nad nimi wszystkimi.

Zaległo długie, głuche milczenie.

Nagle zerwał się Szarski:

— Och, dajcie mi orkiestrę, dajcie mi solistów, dajcie mi chóry! Kasprowicz dał słowa, Winiarski namaluje mi dekoracyę, wielką, olbrzymią. Czerkaski, słuchaj! Turski da miliardy! Ha, ha, ha... Dajcie mi orkiestrę! — Huknął pięścią w klawisze. — To nie ma siły, to nie daje najmniejszego wyobrażenia; to musi być śpiewane, wyte,

krzyczane — ha, ha, ha... ja nie wiem, jak to wygląda, ja to tylko w duszy słyszę...

Turski zaśmiał się ochryple:

— Ha, ha, ha... dajcie mu orkiestrę, Winiarskiemu pałace, niebotyczne ściany, muzea, mnie dajcie pieniędzy, Kurzawę wskrzeście z grobu, wysadźcie dynamitem pomnik na rynku, bezczeszczący imię Mickiewicza, zmuście księcia biskupa, by przyjął w podarku witraże Winiarskiego, wyrzućcie z katedry pomniki Zumbuscha, Thorwaldsena — ha, ha, ha... zdrapcie ohydę z kościoła św. Krzyża, pstrokatą jajecznicę z kościoła Maryackiego — ha, ha, ha... Dajcie Stasinkowi baryłkę wódki, a mnie jeden jedyny miliard, a będzie sztuka polska. A jeżeli tego zrobić nie umiecie, to możecie zgnić, zdechnąć na śmieciach, oblizywać sobie palce na jubileuszach zasłużonych... ha, ha, ha — patrzeć na sławy narodowe, co roznoszą nasze imię na wielkoświatowe rynki — a wy gnijcie, gnijcie — wy, Jany Chrzciciele, torujący nowe drogi — ha, ha, ha... Jasny piorun was trzaśnie z waszemi nowemi prądami, powiewami, my w grodzie Krakusa potrzebujemy pleśni, jaką słusznie stare rzeczy świecą, potrzebujemy zgnilizny Stradomia, błota Czarnej Wsi — — Dobranoc! Muszę gotować strawę dla handelków i kawiarni — cały numer Bociana zapiszę na przekór wam wszystkim. Dobranoc! Ha, ha... Chodź, Stasinek, serce moje... Chodź, nas już malarya przegryzła — nam już z tem dobrze.

Cisnął z całej siły stołek o ziemię i wyszedł.

Zdawało się Czerkaskiemu, że w sieni posłyszał głośny ryk.

Ale był już na wszystko obojętny — jedna myśl maniacka krążyła po jego mózgu: Hanka-pokutnica, Hanka-niszczycielka, Hanka z trupią twarzą, po której wielkie łzy spływają, Hanka, Hanka przy stole naprzeciw swego milczącego męża z temi strasznemi, smutnemi oczyma, Hanka...

Na chwilę powstało zamieszanie — ale już wszyscy byli przyzwyczajeni do tych wybuchów wściekłości Turskiego, i za chwilę poczęto dyskutować o nowym utworze Szarskiego.

Szarski przysiadł się do Czerkaskiego.

— Wiesz, zimnym potem się oblewam, gdy pomyślę, że ja tego nigdy na orkiestrę nie posłyszę, że ja to tylko w sercu słyszeć będę, że nic, nic nie wiem o własnem dziele. — Co? pojmujesz, że to tragedya. Czasami obłęd mnie chwyta, że umrzeć mogę, a tego nigdy nie posłyszę. A śmierć czyha, czyha...

— Trudno — mówił Winiarski ze zwieszoną głową. — Pociesz się, ja też nigdy moich kartonów nie zobaczę w świetlistościach witraży... tak, może po śmierci...

Czerkaski z trudem się opanowywał. Głowa mu ciężyła, jakby miał w niej ołów, a w piersiach kłócie, nieznośne, ostre kłócie, jakby mu w płuca rozpalone szpilki wsadzano.

— I cóż? cóż? — pytał Szarski ciekawie.

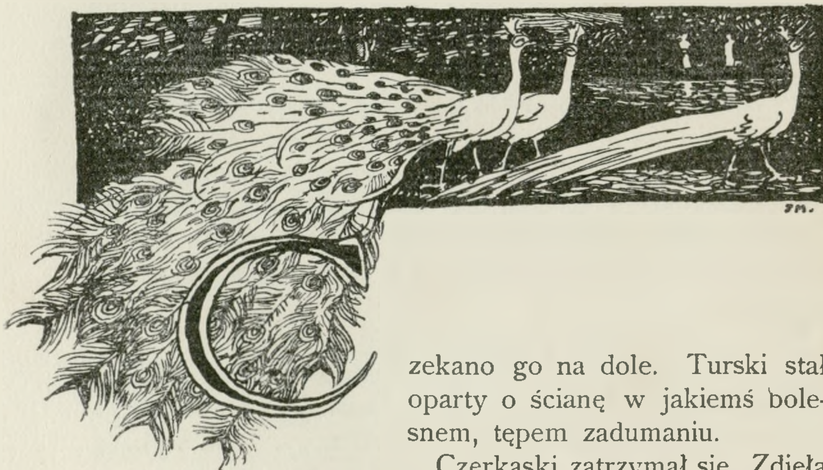
— To wielkie, to potężne. Masz słuszność, że ci pić wolno, dla mnie zostaniesz tem, czem jesteś — wielkim, oderwanym od czasu i tego wszystkiego... Ale wybacz, pożegnam cię teraz. Muszę wyjść na świeże powietrze. Jakoś mi niedobrze.

— Odprowadzić cię?

— Nie, nie...

Wymknął się po cichu.





Czekano go na dole. Turski stał oparty o ścianę w jakiemś bolesnem, tępem zadumaniu.

Czerkaski zatrzymał się. Zdjęła go nagła litość nad tym człowiekiem, któremu matka Wisła malaryą mózg przegryzła.

— A, to pan, pan... — Turski chwycił go pod ramię... — Pan nie wie, że pan się stał moją męką, kłodą na mej drodze, przez którą się przewróciłem jak długi... Dawniej tego nie czułem, a teraz się męczę. Byłem przed paru dniami na pańskiej premierze... Zęby zacinałem z wściekłości. Byłem zazdrosny — tak! zazdrościłem panu. To nędznie, to podle, do tego się literaci nie przyznają, ale ja się przyznaję. A potem, gdym słyszał, że pan to uważa za niegodny rodzaj studyum, to znaczy za coś, co

się nie udało, a co literaci puszczają w świat pod hipokrytyczną nazwą „studyum,“ tom pana pokochał, bo pan szczery, bo pan szuka, a ja myślałem że pan chce już stać na niedostępnych wyżynach... Nienawidziłem pana dawniej...

— No i cóż?

— Cóż? Pan się pyta, cóż? Oto wytłomacz mi pan, czemu ja uczuwałem zazdrość, ja, który jestem silnie przekonany, że daleko lepiej i pożyteczniej spełniam me obowiązki w społeczeństwie, aniżeli wy twórcy, wy Jany Chrzciciele? Wytłomacz mi pan, dla czego wy, których społeczeństwo nie potrzebuje, wypluwa ze siebie, jak ongi ów biblijny wieloryb, któremu Jonasz w żołądku zaciężył, tak, że strawić go nie mógł — ha, ha... prorocy, twórcy i tutti quanti zawsze byli niestrawni — dla czego wy narzucacie się społeczeństwu, czemu na gwałt chcecie się dostać w paszczę tego potwora? Próżność? Pragnienie wieczności? Ha, ha... Patrz pan, Winiarski z głodu przymiera, a odrzucił projekta mecenasa i kazał mu się udać do pokojowego malarza; Szarski, ten Szarski, czemu on tworzy rzeczy, od których obłędu dostaję — a przecież nigdy nie będzie miał orkiestry... od naszej orkiestry on by dostał obłędu...

— Dla czego inni tworzą, nie wiem...

— A pan?.. he, he... ja wiem, czemu pan tworzy, pan jest wielkim panem, pan kocha luksus, i pańska sztuka to luksus, zupełnie niepotrzebny luksus, który ja wszelkiemi siłami zwalczać będę... — Turski był wściekły.

— Poczekaj pan — mówił Czerkaski łagodnie. — Mówiłem, że nie wiem, co dla innych jest pobudką twórczości, ale mogę powiedzieć panu, dla czego ja piszę. Nie z literackiej próżności, bo jej nie mam i nie jestem literatem; nie dla ambicyi, bo niema ludzi, którzyby ją zaspokoić mogli; nie dla pieniędzy, bo pan wie, że moje książki

zaledwie w kilkudziesięciu rozchodzą się egzemplarzach,—ja tworzę, bom się urodził twórcą. Bo tworzyć muszę. To znaczy, tak chciało moje przeznaczenie, bym uświadomił, co dotychczas jeszcze nie było świadome...

— A więc pan żyje dla potomności — ha, ha, — złapałem pana — dla tego wzgardzonego społeczeństwa, dla dorastającego pokolenia...

— Myli się pan, mnie potomność nic nie obchodzi. Nie będzie ani mędrszą ani głupszą niż nasza teraźniejsza generacya. Nic nie znam wstrętniejszego od tej głupiej potomności, tej trzody głupich owiec, wierzącej na słowo jakiemuś panu, który pójdzie na rynek i wykrzyknie: przed pięćdziesięciu laty żył wielki geniusz, trzeba mu pomnik postawić!

— Więc dla czego? dla kogo?

— Dla tego jednego, który moją pracę podejmie, rozszerzy, nakreśli jej nowe, mnie nieznane widnokręgi, i przekaże całość temu, który po nim przyjdzie —i tak przez wieki wieków, aż przyjdzie ten, który nic już sobie uświadamiać nie potrzebuje, bo wszystkiego będzie świadom.

— Tak?—Turski słuchał i śmiał się na cały głos.— Ha, ha, ha, to takie stowarzyszenie, nowa sekta magów, dalszy ciąg generacyi magów — praojciec pański, to Samyasa... co?

— Tak, mój panie, — Czerkaski mówił dobrotliwie i coraz łagodniej. — Sztuka jest wielką tajemnicą, — arkanem, tabu...

— A dla nas, dla nas biedaków, cóż dla nas, którzy was żywimy, podtrzymujemy taką luksusową, tajemniczą sektę — cóż dla nas i dla tej biednej Galicyi?

Czerkaski zaśmiał się, ale równocześnie schwycił się za piersi, więc mówił jeszcze ciszej.

— Dla was? dla Galicyi? Wszystko! Tylko nie chcecie rozumieć, jesteście głusi i ślepi — ale i dla was

mamy, my dzieci Samyasy, coś — zagadkę. Słuchaj pan uważnie:

NASCIT ROCH EPIRO GAZES EREMI ZRIJ.

— He? kpi pan?

— Nie! Ale w tem tkwi cała tajemnica magów i artystów. Tajemnica ta pozwala im jako tako istnieć i wikłać sypły, jakie dusza ukryta porobiła na postronku ciągłości bytu... Tę formułkę znalazłem jeszcze jako dziecko na strychu w papierach mojego ojca, i stała mi się dewizą na całe życie..

— A to znaczy?

— Naści trochę piroga ze serem i źryj! Ha, ha... ale żegnam pana — mam kłócie w piersiach, trudno mi mówić... żegnam pana...

Skręcił w boczną uliczkę.

— Panie! — Turski zastąpił poważnie drogę Czerkaskiemu. — Dla czego pan sobie kpi ze mnie?

— Dla czego? — Czerkaski zamyślił się. — Dla czego? Słuchaj pan, uczułem głęboką litość nad panem, miałem chwilę wrażenie, że pan się rzeczywiście łamie i szamoce ze sobą. Ale to iluzya — ja jeszcze miewam iluzye — wiem, że wy, dziennikarze, musicie wszystko zbrukać, spławić w kale i błocie, korzycie się przed tem, co, mimo wszystkich wysiłków z waszej strony, publiczność uzna za dobre, czołgacie się w piasku przed tem, co się tej przez was pogardzanej publiczności podoba, na kolanach, ze śliną w ustach, z notesem w ręku wleczecie się za człowiekiem, który zarabia sztuką pieniądze, walicie czołem przed tymi, którzy mają powodzenie... ha, ha... Panie! panu się zdaje, że mnie pan w pole wywiódł. Jutro, wiem, będzie artykuł, iż jestem tęgim plagiatorem, jeszcze tęższym

alkoholikiem, uwodzicielem wdów, sierot i niedorosłej młodzieży... Dobranoc panu — pozdrów pan Adolfka.. Stasinek sam się zjawi.

Szedł szybko, pomimo dotkliwego bólu. Ogarnął go wstręt i obrzydzenie. Zaledwie mógł panować nad sobą.

Chciałby krzyczeć, pluć, ciskać przechodniom najgorsze, karczemne wyzwiska... ale nie, nie! po co? Cóż go to wszystko mogło obchodzić? Jego syna Samyasy — ha, ha! potomka Agricoli, John Dee'a, Paracelsa...

Dziwna, że wszyscy marnieli... ha, ha — tylko Nordau, Lombroso, Spencer, i nasi wybitni i najwybitniejsi historycy i krytycy sztuki mają się dobrze.

— Wstydź się, Czerkaski! Gotów cię jeszcze kto posądzić, że masz żal, że jesteś rozgoryczony... a, widzisz, nie masz prawa do tego, bo szedłeś à rebours, bo wszystko na przekór robiłeś, kpiłeś sobie z ludzi i z siebie... Och, jakby to dobrze było wysiadywać jaja, które inni znieśli — co?

Kilku pijanych studentów stało na ulicy; poznali Czerkaskiego:

To on, to on,
To Phaëton,
Co ojca wóz,
Po niebie wiózł...

— I łeb sobie skręcił — co? — zaśmiał się Czerkaski... Ha, ha... udało się wam: to on, to on, to Phaëton — galicyjski Phaëton ... idźcie do Turskiego!

Czerkaski gorączkował.

— Ha, ha — ten głupi Turski myśli, że mnie oszołomi swemi głupiemi frazesami, swoją udaną rozpaczą, że

mógłby być geniuszem, ale — no! i t. d. A może krzywdę mu robię? co?

I w tej samej chwili zapomniał o Turskim.

Był w swoim pokoju, patrzał na szatańskie msze Goyi. Jakże rozkoszował się w tej chwili dziką, szatańską zaciekłością, z jaką Goya ludzi i życie całe w błocie nurza!

Ha, ha, te wstrętne, ohydne potwory, to ludzie — te poprzekrzywiane, bezzębne, zwierzęce mordy to ich twarze, gdy się z nich maskę zedrze — ten obłąkany, śmieszny, wstrętny taniec świętego Wita to taniec życia — ten dom obłąkanych, w którym jeden szaleniec pięścią mur rozwala, drugi wyśpiewuje rapsody i eposy, trzeci przechadza się z głupią grandezzą jakiegoś śmiesznego, obdartego hidalga, te głupie osły, lubieżne kozły, tępe woły, to panteony narodowe — ha, ha...

Drgnął nagle. Wzrok jego padł na list, który leżał na stole.

— Co? co? List od niej, od tej dumnej, hardej, co z taką rozkoszą i taką zajadłością rzuciła mu jego własną hańbę w twarz... ha, ha — świat się przewraca!

Zaćmiło mu się w oczach.

Dostałem malaryi, pomyślał. Malarya, jak najwidoczniej, malarya. Zaraziłem się od Turskiego...

No, więc to od niej list. Tak! to jej pismo. I marka francuska, i stempel z Paryża — więc nie śnię.

I znowu położył list na stole.

Ale głoski poczęły się przeistaczać, ginąć, zacierać, przetwarzać na dźwięki, słyszał jej głos i widział przed sobą jej hardą, wyniosłą postać, kiedy z nienawiścią ciskała mu w oczy ostatnią obelgę.

Więc cóż tam stoi? Cóż ona może mi pisać — to musi być rzeczywiście ciekawe.

Rozdarł kopertę.

„Tak już nizko upadłam, taka się stałam podła i nędzna, że piszę do Ciebie o — powiem ci wprost, brutalnie — o pieniądze.

Chodzę jak obłąkana, zdaje mi się, że śnię jakiś potworny sen, męczę się w tym strasznym śnie, myślę, że się to skończyć musi, ale wiem — wiem, że ten sen potrwa przez całe moje nędzne życie. Zbyt dobrze cię znam, bym się na chwilę łudziła, że mógłbyś mi kiedyś przebaczyć, że mogłabym wrócić do ciebie. To wszystko irréparable, wiem, wiem — ale wiem również, że mi przyślesz pieniędzy.

O! tyś dobry, strasznie dobry, tą zimną, okrutną dobrocią pogardy. Tak nikt gardzić nie umie jak ty, więc nikt nie jest tak dobry.

Może być, że jestem obłąkana, i śmiesznem ci się to wyda, co piszę, ale to dziwna, że ja rzeczywiście tęsknię za tobą, jak nigdy przedtem nie tęskniłam, nawet w tych miesiącach rozłąki przed naszym ślubem.

Chodzę tu po ulicach, po których kiedyś z tobą chodziłam, jakaś nieprzeparta żądza ciągnie mnie do miejsc, w których tyle pięknych godzin z tobą spędziłam; wczoraj patrzałam godzinę — nie! wieczność całą — na lwa belforckiego i myślałam o tobie. On taki dziki, wspaniały i taki pełen pogardy jak ty...

Ale dosyć już, dosyć, dosyć.

Raz jeszcze: przyślij mi zaraz kilkaset franków, bo zmarnieję.“

Czerkaski uśmiechnął się.

Więc miodowe miesiące skończyły się.

Wykrzywił usta pogardliwie, po głowie tłukł mu się uporczywie refren jakiejś gminnej piosnki: zachciało się babie młodego galasa... i znowu się uśmiechnął.

Ciekawe! Utrzymywać żonę własną dla jej kochanka. By mogła w spokoju i bez finansowych kłopotów kosztować szczęścia w nowem małżeństwie.

Śmiał się na cały głos:

Ha, ha, ale to zadziwiające, że ja, ja — ha, ha—mam być — tak — quasi-rajfurem własnej żony... ha, ha — a przynajmniej ułatwiać jej...

Nagle krzyknął jakiś silny głos w jego duszy: Hanka!

Cóż Hanka? Prędzejbym razem z nią zmarniał gdzieś pod płotem, zanim... no tak!

Otworzył biurko, wszystkie pieniądze, jakie miał, włożył do koperty.

„Posyłam pani wszystko, co mam. Niech pani zechce to przyjąć od — dzieci. Czerkaski."

Jakiś ty szlachetny, pomyślał.

Ach! jaka szkoda, że sam sobie w twarz splunąć nie mogę. Czemu? Bo ta twoja dobroć taka marna, tak cię nic nie kosztuje... a każda wiarołomna żona opiewać będzie w bohaterskich rapsodach twą wielkoduszność — ha, ha...

I nagle stanęła mu drobna Hanka przed oczyma, obszarpana, błędna z rozpaczy, Hanka, która od kilku dni nie jadła, opuszczona w obcem mieście, Hanka, której dwie drogi do wyboru pozostawały: śmierć, albo... Drżał, robiło mu się na przemian zimno i gorąco...

Malarya, oczywiście malarya. Zaraziłem się od Turskiego.

Przeliczył pieniądze. Trzysta franków. Mało.

Zrobił na liście dopisek:

„Niech się pani zawsze do mnie zwraca, gdy pani cośkolwiek potrzebować będzie. Zrobi mi pani prawdziwą łaskę, bo nie chcę, by matka moich dzieci głód cierpiała."

Położył się na sofie. Był strasznie wyczerpany i chory.

I nagle ujrzał jakiegoś strasznego, olbrzymiego pająka w rogu ściany pod sufitem.

I dziwna! Ten pająk był bezcielesny, jakby niewidzialny, w czwartym wymiarze — pająk w matematycznem obmyśleniu.

Przeraził się.

Bo ten pająk wysuwał ogromne nogi, powoli, z wahaniem, i znowu je w siebie wciągał.

Czuł, że te niewidome, matematyczne nogi mogą się wyciągnąć w nieskończoność, że gdy się pozwoli im dotknąć, to dotknięcie ich będzie śmiertelne, i ze straszną trwogą przyglądał się ruchom potwornego robaka, śledził, obrachowywał każde najdrobniejsze drgnienie w tych szatańskich nogach.

Wytężył całą siłę, nieznaną mu dotąd siłę woli, by nie rozproszyć uwagi, bo ilekroć zaczął poddawać się zmęczeniu i senności, pająk nogi wyciągał.

I coraz straszniejsze robił wysiłki, bo pająk zdawał się czytać w jego duszy, śledzić jej opadanie i potężnienie, to kurczył się, malał, to znowu rósł i nogi wyciągał, zdawał się macać opór powietrza pomiędzy sobą a swoją ofiarą.

I Czerkaski uczuł nagle nieprzepartą chęć wykrzyczeć wszystkie swe zbrodnie, wyspowiadać się ze wszystkich swych grzechów, i znowu drżał ze strachu, bo czuł, że, jak tylko usta otworzy, będzie zgubiony.

Siadł i całą mocą spojrzał na swego oprawcę.

Pająk skrył się.

Odetchnął.

Ale teraz go ujrzał tuż ponad sobą, chytrego, chciwego krwi, pewnego już swej ofiary...

Zerwał się na równe nogi.

Ochłonął.

Malarya! Malarya!

I znowu się położył...

Ujrzał nagle jakiegoś pana, we fraku, w monoklu, z koźlą brodą, z nieskończenie złośliwym wyrazem twarzy. Wyszczerzał spróchniałe zęby, mrugał oczyma jak stary, bezwstydny rajfur, jedną ręką głaskał swoją zrzedniałą, koźlą brodę, a drugą podtrzymywał nawpół stojącą, otwartą trumnę.

A w tej trumnie — Czerkaskiemu zjeżyły się włosy z przerażenia i wstrętu — w tej trumnie kościotrup, ohydny, niewymownie wstrętny, z wiszącemi tu i owdzie ochłapami zgniłego ścierwa, kościotrup kobiety. W jednej ręce miała wachlarz, który się mechanicznie poruszał, drugą podtrzymywała jakąś szmatę, coś w kształcie zgniłej sukni, i odsłaniała z kokieteryą brukowej nierządnicy swe nagie piszczele.

— Proszę wejść! — wołał pan we fraku. — Pięć centów wstęp...

— Pięć centów od wiersza — huczało mu nad głową...

Rops, to akwaforta Ropsa błysło mu w głowie...

Nie, nie! to madame Delmonse! Madame Delmonse! wołał Winiarski powieszony na szczycie wieży katedralnej w Burgos, powieszony u serca największego dzwonu...

Ależ nie! To znowu Rops...

— Gdzież tam. To rzeczywiście madame Delmonse.

Kościotrup począł się ożywiać, poruszać, nabierać ciała, zgniłego, strupieszałego ciała, pokrytego wrzodami, wyszedł z trumny, stanął na środku pokoju — i jakaś ohydna, hydropiczna nierządnica poczęła tańczyć potwornego kankana...

A wokół niej ciżba ludzi — nie! nie ludzi, bo widział tylko oczy, oczy szakali, tygrysów, zachłanne, drapieżne, chciwe oczy.

— To taniec cnoty i wstydu...

Nierządnica rzucała się coraz bezwstydniej.

— To taniec harmonii i wesela...

Bezwstyd i ohyda tańca przekraczały granicę najwyuzdańszej rozpusty...

Rozległy się oklaski, wycia, wrzaski...
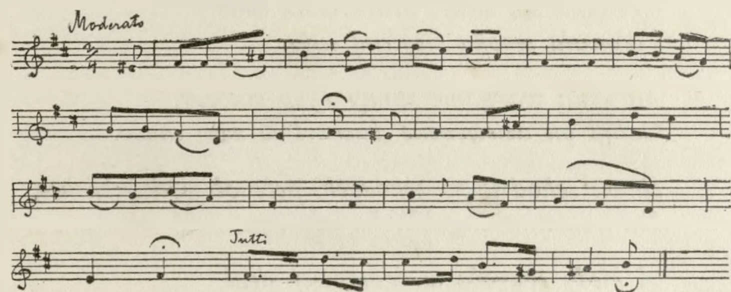
Potem wszystko się rozlało w jakąś rozpaloną, ognistą ciecz — całe morze płomieni poczęło szaleć wokół niego, jakieś płomienne kule, nie, serca, jęły skakać nad jego głową, potem wszystko pogasło — straszna, pusta, przeraźliwa noc...

Hanka! krzyknął i zemdlał.



(Ciąg dalszy.) Stanisław Przybyszewski.

Z poezyi ludowej duńsko-norweskiej.



SMOK).*

Dumna Ingelill siedzi w balkonie,
Do harfy złocistej przykłada dłonie.

— IGRALI NA MURAWIE. —

Pod futrem szkarłatnem bije we struny,
A wtem smok obrzydły przypełznął ku niej.

— Ingelill, Ingelill, kochaj mnie, proszę.
Ja tobie koronę złotą przyniosę. —

— Strzeż mię, Matko święta i wielki Boże,
Ażebym się miała kochać w potworze.

I nacóż mi kochać wstrętnego smoku,
Królewicz jest moim lubym od roku.

**) LINDORMEN. D. g. F. 65.*

I nacóż mi kochać tak brzydki gad?
Wczoraj mi pierścionek na palec kładł. —

— Skoro nadaremne moje zaloty,
Pozwól sieść przy sobie, nie broń pieszczoty. —

Grodziła się odeń: przez białe chusty
Całowała smoka ciepłemi usty.

Muskała wargami zimny pysk smoczy,
Odtąd on dziewczynę dzierżył w swej mocy.

Smok schodził po schodach, pełznął w dziedzieńce,
Szła za nim Ingelill, łamała ręce.

A kiedy stawała w zamkowej sieni,
Wyszli jej naprzeciw bracia rodzeni.

— Słysz, dumna Ingelill, siostrzyczko miła:
Coś to się na smoczą drogę zgodziła? —

— Musiałam gadowi zdać się na wolą,
Los mnie nie uraczył szczęśliwszą dolą. —

Ozwał się gad szpetny, pełznąc przez zioła:
— Tam iść musi każdy, gdzie los go woła.

Twój los na obłokach jest wypisany,
Przeznaczenie twoje nie zna odmiany. —

A wtem na zielonej stanęli łące:
Śród niej łoże stało od srebra lśniące.

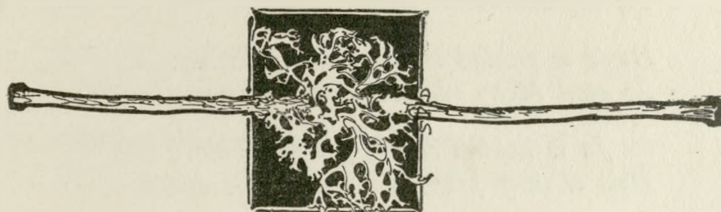
— Ingelill, Ingelill, kładź się na łoże,
Pragnę w twych objęciach doczekać zorze. —

Kładła się wieczorem przy zimnym smoku,
Rano królewica miała przy boku.

Wziął dumną Ingelill w swoje ramiona:
— Dla ciebie me berło, moja korona.

Dla ciebie, Ingelill, korona złota,
Zostaniemy razem po kres żywota.

— IGRALI NA MURAWIE. —



*RYCERZ CISKAJĄCY RUNY *).*

Pan Piotr i pan Oluf ławę zasiedli,

— TAM POD LIPĄ —

Wesołe rozmowy ze sobą wiedli.

— TAM POD LIPĄ CZUWA LUBA MOJA. —

— Panie Olufie, druże mój luby,
Czemu cię mierżą małżeńskie śluby? —

— Na cóż koniecznie szukać mi żony,
Pókim nie stracił lutni złoconej?

Mogę bezżennym zostać do truny,
Jak długo umiem podrzucać runy.

Niema niewiasty takiej na ziemi,
Bym nie zniewolił czarami memi. —

**) RIDDERENS RUNESLAET, D. g. F. 73.*

Pan Piotr uderzył pięścią w róg ławy:
— Panie Olufie, nie bądź tak żwawy!

Jedną ja taką panią znam przecie,
Tej nie zniewolisz za nic na świecie.

Żyje w mym domu prześliczna pani,
Tej nie zniewolisz swemi runami.

Dwór w zakład stawię i ziem obszary,
Że pani Metty nie skuszą czary. —

— Ja w zakład stawię siwego konia,
Dziś w nocy przyjdzie szukać mię doma.

Mój ryngraf srebrny na zakład złożę,
Dziś jeszcze będzie na moim dworze. —

Pod noc opadły mgielne całuny,
Pan Oluf cudnie uderzył w struny.

Wydobył z harfy tony dźwięczące,
Do pani Metty biegły po łące.

Od strun złocistych brzmiał śpiew harfowy,
Słyszała pani Mette z alkowy.

Zerwie się z łoża, przeciera oczy:
— Podobno miałam iść gdzieś tej nocy?... —

Zerwie się z łoża, do siebie gada:
— Nawet mi drużki brać nie wypada. —

Pani Mettelil z maleńką psiną
Przez gaj różany poszła drożyną.

Do drzwi pukała z takiemi słowy:
— Panie Olufie, puść do alkowy. —

— Nikogom nie prosił do swej komory,
Nikogo nie puszczę śród nocnej pory. —

— Panie Olufie, wstań, puść mię, proszę,
Gwoli twych czarów męki przenoszę. —

— Chociażbyś miała cierpieć, niebogo,
W nocy przez próg mój nie stąpisz nogą.

Jużbym ci może otworzył sam,
Gdyby nie druh mój, twój mąż i pan.

Choćbyś mi była sercem oddana,
Bliżej masz jednak męża i pana. —

— Panie Olufie, otwórz mi, proszę,
Już futro moje ubrane w rosę. —

— Jeśli ci rosa na szkarłat pada,
Włosem je wywróć, to moja rada. —

— Skoro napróżno u drzwi twych nudzę,
Każ odprowadzić swojemu słudze. —

— Jasne jest niebo tego wieczoru,
Nietrudno ścieżkę znaleźć do dworu.

Pada miesięczny blask na rozłogi,
Możesz iść sama, nie zbłądzisz z drogi. —

Pani Mettelil z maleńką psiną
Przez las różany poszła drożyną.

Gdy pod zamkową podeszła bronę,
Jużci tam czekał pan Piotr na żonę.

— Witaj, pani Mette, małżonko miła!
Gdzieś-to za domem nocą bawiła? —

— Na błoń w miesięczną wyszłam jasnotę,
Zbierałam kwiaty modre i złote.

W gaju zbierałam rumiane róże,
Wszystkie rozpękły, stoją w purpurze.

Chodziłam sobie w ustroni leśnej,
Podsłuchiwałam słowiczej pieśni. —

— Ej-że, nie pieśni słuchałaś w gaju:
Podsłuchiwałaś, jak harfy grają.

Niewczesna twoja przechadzka nocna
Może nam dwojgu dokuczyć do cna.

Takie przechadzki wiodą do złego:
Bacz, pani Mette, nie czyń mi tego.

Nie pamiętajmy, co źle się stało.
Wróć, pani Mette, na pościel białą.—

Ledwie mu senność oczy przywarła,
Z objęć mężowych już się wydarła.

— Hańba Olufa harfie złoconej,
Która uwodzi uczciwe żony!

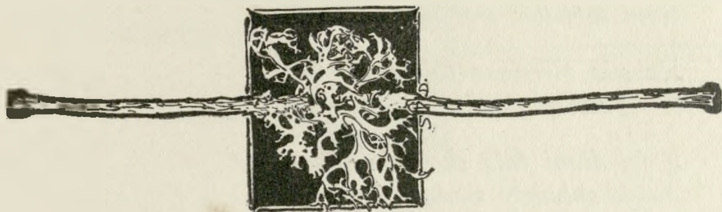
Hańba na lutnię Olufa złotą,
Która tak igra z niewieścią cnotą. —

A wtem wyjęła sztylet z rękawa:
— Niech-że nie ginie ma dobra sława! —

Pan Piotr się zbudził i przetarł oczy,
Ujrzał, że we krwi czerwonej broczy.

Porwał się żywo, skoczył z pościeli,
Ujrzał panią Mette w krwawej kąpieli.

Własny miecz głownią oparł o skałę,
— TAM POD LIPĄ, —
Ostrzem uciszył serce zbolałe.
— TAM POD LIPĄ CZUWA LUBA MOJA. —



KJELD RUNE I TOPIELICA).*

Kjeld Rune zbudował okręt wspaniały,
Jakiego wody nie oglądały.

DO GRENLANDYI ODWOZIŁ SWE ZŁOTO.

Złotem okuty na bortach obu,
Z imieniem Maryi po ścianach dziobu.

Krawędzie rufy miał wyzłacane,
Tam stało imię Jezus pisane.

Żaglowa tkanka jedwab był szczéry,
Jedną z barw słońce, drugą szafiry.

Reje poprzeczne srebrna robota,
Gniazda masztowe z jasnego złota.

Kjeld Rune podniósł kotew i wiosła,
Ażeby fala statek uniosła.

---

*) KJELD RUNE OG HAVFRUEN, D. g. F. 43.

Chciał wysforować statek z przystani,
A wtem go morska spotkała pani.

— Wróć się, Kjeld Rune! nadto-ś zuchwały,
Lub ci rozbiję okręt o skały. —

— Przenigdy w życiu to się nie zdarzy,
Bym topielicy stał na rozkazy. —

Rzuciła pierwszą falę z głębiny,
W sztuki prysnęły reje i liny.

Z jej dłoni fala skoczyła wtóra,
Żagle spłynęły wodą jak pióra.

Sternik u steru stał i powiada:
— Kto tutaj biegle runami włada? —

Klął się Kjeld Rune zacnego rodu:
— Ja kreślić runy umiem od młodu. —

Runy na korze pisał lipowej,
Spętał topielicę możnemi słowy.

Przez słów kreślonych tajemną siłę
Zaklął topielicę w kamienną bryłę.

— Kjeld Rune, Kjeld Rune, posłuchaj, proszę!
Siedm beczek srebra tobie przyniosę.

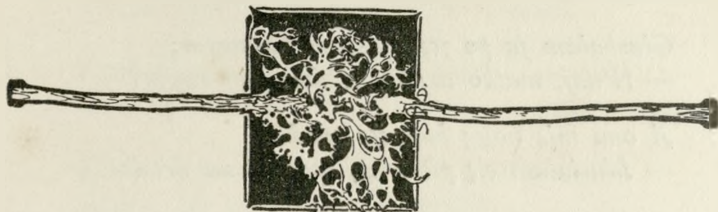
Siedm beczek srebra, ósmą ze złotem,
Ale mi kształt mój oddaj z powrotem! —

— Siedź sobie tutaj, cierp wieczne męki,
Próżno zbawienia czekać z mej ręki.

Krzycz do płynących tutaj pod skałą:
Zaklął mię Kjeld Rune swą dłonią białą. —

Kjeld Rune jechał przez wód odmęty
Od topielicy w kamień zaklętej.

— DO GRENLANDYI ODWOZIŁ SWE ZŁOTO. —



DZIEWCZYNA WILCZYCA).*

Byłam ja dziewczyna drobna i mała,

— DO PEŁNA —

W połogu mateczka moja skonała.

— POD ZIEMIĄ MATECZKA SPOCZĘŁA. —

Rodziłam się na świat wieczornej pory,
Mateczka skonała, gdy piały kury.

Osiem lat żył ojciec we wdowiej cnocie,
Bo nie chciał macochy dawać sierocie.

Lecz kiedy minęło osiem lat,
Samotnym i czarnym zdał mu się świat.

I wyjechał z domu w daleką stronę,
Przywiózł sobie hożą dziewkę za żonę.

Przywiózł dziewkę młodą, piękną jak dziwo,
Macochą być miała złą i zjadliwą.

---

*) MÖ IN ULVEHAM. D. g. F. 55.

Właśnie plotłam włosy w oknie na górze,
Kiedy dojeżdżała w zamku podwórze.

Grzebień za pazuchę skryłam w tej chwili,
Biegłam do macochy witać najmilej.

Głaskałam ją po jej płaszczu pąsowym:
— Witaj, matko droga, w domu ojcowym! —

A ona mię nogą kopnęła srodze:
— Musiałam cię pierwszą spotkać na drodze! —

Zmieniła mię naprzód w małe nożyce
I kazała stępieć na całe życie.

Byłam nożycami jako wypada,
I pani i dziewka była mi rada.

Więc we dnie krajałam białe bisiory,
W złotej skrzynce spałam śród nocnej pory.

Macochę to mierziło,
Że mi tak dobrze było.

Więc mię odmieniła w wojenny miecz
I kazała z domu wędrować precz.

Tak miecz byłam, pełen cnoty i chluby,
Giermkom i rycerzom zarówno luby.

We dnie u rycerza wisiałam boku,
W skórzany pokrowiec kładł mię o zmroku.

Mierziło się macosze,
Że opływam w rozkosze.

Zaklęła mię w postać wilkołaczycy,
Przykazała mieszkać w lesistej dziczy.

Kazała, że nie mam wrócić do świata,
Aż się krwi napiję własnego brata.

Mniemała, że czar jej siły nie straci,
Bo nie było w domu ni sióstr ni braci.

I tak to trwało przez osiem lat,
Żem nie zzuwała wilczych szat.

Wtem, gdy się dziewiąta wiosna zbliżyła,
Zdarzy się macosze, że zastąpiła.

A gdy później nadszedł świąteczny czas,
Chciała do kościoła jechać przez las.

Przyległam nad ścieżką w leśnej gęstwinie,
Kędy byłam pewna, że mię nie minie.

Rozerwałam modry płaszcz u jej łona,
Ściągnęłam na ziemię z siwego konia.

Rozdarłam szponami całą pierś lewą,
Odkryłam na oścież serce i trzewo!

Wyjęłam maleńki braciszka płód,
Pobiegłam do lasu, gdzie żyłam wprzód.

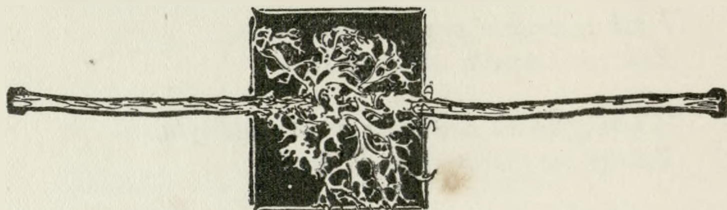
Uczyłam na drobne stawać nożęta,
By go mogła obmyć chrztu woda święta.

A ledwo z krwi brata kroplę upiłam,
Zaraz się w dziewczynę znów odmieniłam.

Sama go zaniosłam pod świętą wodę,
Jak niańka chowałam dzieciątko młode.

Potem mię klasztorne zawarły wrota,
— DO PEŁNA —

Poszłam służyć Maryi po kres żywota.
— POD ZIEMIĄ MATECZKA SPOCZĘŁA. —



DWIE SIOSTRY*)

Przyjechali dwaj panowie,
— A OBAJ CWAŁEM —
Do młodszej siostry swatowie.

— SWATY JESTEŚMY, DZIEWCZYNO,
PRZYJMCIEŻ DOBRZE SWATY. —

Młodszą siostrę poswatali,
Starszej siostry zaniechali.

Młodsza umie płótno tkać,
Starsza umie trzodę gnać.

Młodsza umie złoto prząść,
A starsza ni wełny trząść.

Starsza raz do młodszej powie:
— Siostro, chodźmy ku brzegowi! —

— Pocóż mamy iść nad morze?
Bielizna czysta w komorze. —

---

*) TOISOSTEREN. *Wersya z wysp Faeroër. Cf. Afzelius, Svenska folk-visor, II. 69.*

— Będę z tobą się kąpała,
Abym jak ty wybielała. —

— A kąp się ty do wieczora,
Będziesz dziś, jak byłaś wczora.

Zbielej ty jak śnieg na glebie,
Mój kochanek nie dla ciebie. —

Młodsza usiadła na skale,
Starsza ją strąciła w fale.

Młodsza pręży białe dłonie:
— Ratuj, siostro, siostra tonie! —

— Nie pomogą próżne jęki:
Ustąp mi kochanka ręki. —

— Oddam wszystko, co posiadam,
Lecz kochankiem mym nie władam. —

A wtem wicher południowy
Porwał ciało w nurt wirowy.

I znów powiał wiatr szeroki,
Na wybrzeże poniósł zwłoki.

A wiatr wschodni na ostatku
Rzucił ciało o bort statku.

Trzej rybacy tam się wieźli,
W wodzie martwy trup znaleźli.

Wzięli parę ramion sztywną,
Harfę z nich złożyli dziwną.

Wzięli włosy złotolśniące,
Skręcili z nich struny brzmiące.

— Idźmy z harfą na wesele:
Odprawia się w bliskiem siele. —

I usiedli w kącie sali,
W dźwięczną harfę swą zagrali.

Powiadała pierwsza struna:
— Moja siostra — narzeczona...

Druga rzekła takie słowa:
— Siostra siostry swej katowa...

Trzecia tak strwożyła gody:
— Mój kochanek — sam pan młody...

Panna młoda ogniem płonie:
— Przykry dźwięk w tej harfy łonie...

Pannę młodą krew zalewa:
— Przykrym głosem harfa śpiewa...

— Skoro widzisz, jak cię dręczy,
Struna czwarta niech zadźwięczy! —

Struna jeszcze nic nie rzekła,
Panna młoda już uciekła.

Coraz głośniej harfa brzmiała,
Panna padła i skonała.



PRZEŁOŻYŁ Edward Porębowicz.

CZĘŚĆ DRUGA.
ŚWIAT TRAGICZNY.

...quia nominor leo.
Phaedrus.

§ 1. Stróże tajemnicy najwyższej.



rchitryklin o wysokiej powale dębowej;—świecznik żelazny zwisa z pośrodka skrzyżowanych belek. — W głębi, wielkie drzwi główne prowadzące do przedsionka. Nade drzwiami temi góruje tarcza herbowa Auerspergów, podtrzymywana przez wielkie sfinksy złote.

Na lewo, wielkie okno gotyckie — przez które widać, na widnokręgu, ogromne bory, otulone we mgły.

Na prawo, schody kamienne, zbudowane w murze: u szczytu schodów drzwi łukowo sklepione, wiodące do jednej z wież.

Zmrok już głęboki.

Sala jest tak rozległa, że robi wrażenie kolosalnej budowy z pierwszych dni średniowiecza. — Na prawo, w olbrzymim kominie płonie wielki ogień, oświecający scenę. Przestronną kapę tego

ogniska zawalają stosy zakurzonych foliałów. — Na otaczających komin, szerokich, prostych stołach z czarnego drzewa, widnieją porozstawiane alembiki, sfery astralne, starożytne lampy gliniane, olbrzymie kości zwierząt z zaginionych jakichś rodzajów, zioła zasuszone.

Na murach, trofea z broni starożytnej, sztandary wschodnie, — odwieczne portrety kasztelanek i feudalnych baronów niemieckich. Między zbrojami saraceńskiemi, ogromne sępy i wielkie orły płowe, przybite do ścian, z rozpostartemi skrzydłami.

W drugiej połowie sali, po prawej i po lewej stronie, drzwi; przede drzwiami zasłony z tkanin gobelinowych.

W pośrodku sali, stół zastawiony do biesiady; skóry lisów i niedźwiedzi czarnych okrywają podłogę przed dwoma siedzeniami staroświeckiej formy, ustawionemi u dwóch końców stołu i zwróconemi ku sobie.

Starzec ogromnego wzrostu, siedzący przy kominie, przegląda broń, którą tylko co skończył czyścić. Na sobie ma kaftan z wełny brunatnej, ściągnięty pasem skórzanym, i stare szarawary kawaleryjskie, z tegoż materyału i tejże barwy, co kaftan. Beret pruski okrywa mu rzadkie, białe włosy, przystrzyżone krótko. Na piersi jego błyszczy krzyż Żelazny.

SCENA I

MIKLAUS, sam.

No! — Karabiny, noże myśliwskie... wszystko świeci się, jak srebrne; manierka pełna kirszu; strzeżcie się, wilki!

Powstaje i ogląda się dokoła.

Ach! wieczór już zapadł.

Idzie do okna i patrzy w dal.

Co za wichura, tam, między sosnami! krzewy gną się do ziemi, nietoperze nie latają; pewny znak uraganu. Zamknijmy dobrze okno; wyziewy drzew, zdrowe za dnia, są szkodliwe pod noc, — zwłaszcza w pierwszych chwilach wiosny.

SCENA II.

MIKLAUS, HARTWIG i GOTTHOLD, wchodzą z lewej strony.

Są to dwaj starcy wyniosłej postaci, tegoż wzrostu co Miklaus, odziani jeszcze prawie po wojskowemu, i dość szlachetnego wejrzenia. Na piersiach mają również znaki krzyża Żelaznego.

GOTTHOLD.

Miklaus, czas zapalić światło przy stole biesiadnym.

MIKLAUS, schodząc i zacierając ręce.

I ogień również, bo koniec zimy dobrze się czuć daje!

Zbliża się do komina i dokłada do ognia.]

A zatem, doktór nie zejdzie i dziś do wieczerzy?

HARTWIG, z dreszczem.

Nie. — Brr! nie oszczędzaj chrustu; niech płomieniem bucha! — Oh! cóż za wilgoć sączy się tu z głazów ściennych! — Drugie skrzydło zamku jest, zdaje mi się, mniej przykre? Tu człowiek marznie; a dziwna, bo na dworze ciepło i powietrze staje się ciężkiem — stary znak zbliżającej się burzy.

GOTTHOLD, wstrząsając się również i oglądając się dokoła.

Bo też wiatr przedostaje się tutaj przez bluszcze, które od zewnątrz okrywają zielenią granit murów. Tak, sala ta jest wprost lodowata.

MIKLAUS, układając w stos na kominie ogromne polana.

A no, po cóż się tu przebywa tylko w dni uroczyste? Kiedyindziej, mistrz Janus jedynie zagląda tu od czasu do czasu...

Gotthold zapala wieloramienne świeczniki; Miklaus, powstawszy z przed komina, przygląda się odblaskom świateł na murach,

boazeryach i na poczerniałem złocie półksiężyców nad sztandarami. — Błękitniejące w łunie ognia długie miecze, krzywe szable i sztylety, nieruchome oczy ptaków drapieżnych, złocone węgły ram, lufy rusznic i karabinów, rzucają migotliwe lśnienia, które ożywiają zagasłe w starych portretach oblicza.

Co za zniszczenie! Spójrzcie na te obrazy! Twarde rysy reingrafów, piękne czoła prababek Jego Miłości Axela zatarły się; tkanin rozeznać już niepodobna.

HARTWIG.

A ta zbroja stalowa, cała demeszkowana złotem, zdobyta, w pierwszej wyprawie krzyżowej, przez księcia Elcyasza von Auersperg, rycerza Niemiec, na emirze saraceńskim Saharilu I^{ym}, cała oto stoczona przez rdzę, a drzewce kopii zbutwiało i pękło.

MIKLAUS, poważnie.

Ah! ani myślę ich czyścić; tu straszy!

Trzej weterani, stojąc teraz dokoła białego obrusa i świateł, odcinają się, w oświetleniu, od niewyraźnego tła cieniów, które spełzają ze sklepiennych załomów sali. Są to energiczne i troski pełne twarze; wiek podeszły i pozbawiające ruchu zajęcia w burgu nie przygasiły jeszcze pewności ich spojrzenia. Blizna straszliwa zbrużdża od góry do dołu oblicze Gottholda; — lewy rękaw przy grubym kaftanie wojskowym Hartwiga wiewa od ramienia, a pusty jego mankiet przyszyty jest do piersi; — na czole Miklausa żłobi się, z prawej strony, głęboka zaklęsłość od kuli.

A dokoła nich, w powietrzu sali, unosi się istotnie wrażenie czegoś niesłychanie uroczystego: podlegają mu wszyscy trzej, bez wątpienia, aczkolwiek starają się nie myśleć o niem; nadaje ono niezwykłą powagę ich słowom i milczeniom.

GOTTHOLD, do Miklausa.

Czy wiesz? Komandor opuszcza nas niezadługo. — Otton, służący jego, udał się w drogę, dziś rano właśnie, z tłomokami podróżnemi swego pana... a ztąd do granicy pruskiej daleko!

MIKLAUS.

Co! ten świetny pan wraca do siebie, nie zobaczywszy nawet doktora Janusa?

GOTTHOLD.

Tak. Dzisiejszej nocy. To uczta pożegnalna. — Postaw-no te kilka pęków rozmarynu i to naręcze gołębiego ziela, róż polnych i mięty pomiędzy świecznikami: kwiaty godową zaraz nadają zastawie powierzchowność. A teraz ten koszyk owoców; same najlepsze; ptaki je napoczęły. Nasz gość zna się na tem.

HARTWIG, prawie do siebie.

Dziwny gość, który nie chce nic widzieć!

GOTTHOLD, podejrzliwie.

Hm!... a który widzi wszystko.

HARTWIG, patrząc nań.

Ach! prawda: ty także...—tyś...

GOTTHOLD, nucąc.

Ruda broda, czarny włos,
Pilnuj się, nim padnie cios.

MIKLAUS, patrząc na nich.

Wyglądacie, Hartwig i ty, jakbyście byli zachwyceni tym wyjazdem?

GOTTHOLD, obojętnie.

Ot, człowiek sobie odjeżdża.

HARTWIG, mruczy pod nosem.

Człowiek blady, człowiek szkodliwy!

GOTTHOLD, cicho.

Nasz jest sino-blady, jak srebro! Barwa Judasza.

HARTWIG, po chwilce do Gottholda.

Z takiego lisa nie będzie dobrego futra, — jak mawialiśmy, między kolegami, w Heidelbergu... przed laty.

Wszyscy trzej siadają przy ogniu, który teraz rozpalił się i wesołym bucha płomieniem.

MIKLAUS.

A jednak młody nasz pan zdaje się lubić jego towarzystwo: — jest to przecież jego krewniak. Nieboszczyk hrabia von Auersperg przedstawił go niegdyś królowi...

GOTTHOLD, grzebiąc w ogniu.

Tak, ojciec wydobył go z nizkiego stanu, a on przez lat dwadzieścia nie zatroszczył się nawet o dziecko swego dobrodzieja. — Potrzeba było tej okoliczności spadku, procentów, aby mu przypomnieć, tam, przy dworze pruskim, że krewniak jego, hrabia Axel von Auersperg, książę niemiecki — i, co więcej, głowa linii starszej — żyje samotnie, ze zgrzybiałymi domownikami swymi, w zrujnowanym zamku obronnym, zgubionym wpośrodku olbrzymiego Czarnego Lasu. Wtedy umiał znaleźć przewodników, i sypiać w lepiankach, i wlec się konno tyle dni przez dróżki urwiste, świeże przeręby i drapiące się w górę gościńce!

HARTWIG, z troską na czole.

Tak, masz słuszność, Gottholdzie: ten człowiek nie jest przyjacielem. Nie zapomnę nigdy dnia jego przybycia, w ubiegłym tygodniu; — nie było-ż to w wilię kwietniej niedzieli? — Gdy, prowadzony przez pana Zacharyasza, przeszedł opuszczone sale zamkowe i znalazł

się nagle — on, cały uszamerowany orderami i krzyżami — przed młodym hrabią, — owóż, zamiast wyciągnąć doń obie dłonie, stał długą chwilę, jak osłupiały! — Nas reszty, starych brodaczy, wysłużonych weteranów, żołnierzy z dawnych wojen, domowników teraz, własnowolnie godzących się na to wygnanie, ale którzy, jak mi się zdaje, zarobiliśmy — każdy na swój krzyż Żelazny — z nieco większą trudnością, niż on — bez obrazy — na wszystkie swoje wstęgi i gwiazdy, — nas nie zauważył nawet.

GOTTHOLD, w zamyśleniu.

Nasz hrabia, w żałobie, która tak dobrze przypada do wyniosłej jego postawy, miał, powstając i przyjmując go z poważną prostotą, minę młodego lwa, który w oczach nosi swą rasę. Dumny byłem z niego, podobnie jak w dzień, gdy po raz pierwszy miałem zaszczyt włożyć mu floret w rękę. — I śmiem wierzyć, że dzisiaj Jego Miłość jest, niewątpliwie, jednym z najniebezpieczniejszych szermierzy w całych Niemczech, jeżeli nie najstraszniejszym.

HARTWIG, podnosząc głowę z uśmiechem.

No, ale Jukko, na przykład, nie dworniej się zachował w owej chwili względem tego podróżnika. — Niewiniątko-dyabełek! Przypominacie sobie, że trzymał jedną ręką na sforze trzy swoje zażarte charty, które warczały głucho na widok obcego, — i że uśmiechał się, chyląc głowę? I że spytał cichutko swego pana, czy ma je puścić na tego nieoczekiwanego krewniaka?

GOTTHOLD.

Ha! ha! figlarz!

HARTWIG.

Pociecha i wesele starego burgu — ten paź z jakichś wieków minionych! Co więcej: umysł to już krzepki,

przebiegły, i wprost zdumiewający. — Robi cały wrażenie długiej skry!

GOTTHOLD.

A zwinny jest jak cień.

MIKLAUS, z dąsem starczym.

To złośliwy mały czarownik, który zbyt wiele figlów mi płata.

GOTTHOLD, z uśmiechem.

Ten poczciwy Miklaus!... Dajże mu spokój. Rozgrzewajmy ostatnie nasze sny i rojenia przy jego pięknej młodości, jak grzejemy trzy nasze białe brody przy tym miłym i jasnym ogniu. Niech się bawi, — nawet nami; jego łotrzykowaty uśmiech ożywia nas, i błogo jest patrzeć na niego.

MIKLAUS.

No, no, niech i tak będzie! — Grzebiąc w ogniu; — Ale, wracając do rzeczy, zdumiewacie mię obydwaj, gdy chcecie mi dać do zrozumienia, że Jego Miłość wielkiej dla krewniaka swego nie żywi przyjaźni. A jednak, od pierwszego posiłku, wyciągnięto ze schowań srebrne naczynia stołowe i obrabowano najlepsze zakątki piwniczne.

GOTTHOLD.

Czegóż to dowodzi? Hrabia spełnia tylko obowiązek gościnności, oto i wszystko.

MIKLAUS.

A jednak herr Zacharias...

HARTWIG, zwracając się ku niemu.

Właśnie, właśnie — co mówi o nim stary intendent? To lis przecież; — a przytem zawiadowca spraw pieniężnych, godny czasów, gdy każdy wielki pan miał swego złotnika. Nie sądzę, aby komandor Kaspar zdołał oszukać go przy rachunkach spadkowych.

MIKLAUS.

Otóż właśnie! Herr Zacharias ma o nim bardzo wysokie i przychylne wyobrażenie!

HARTWIG, zdziwiony, do Gottholda.

Czyżby wiek osłabił zwolna jego rozum?

GOTTHOLD, w zamyśleniu.

To, co mówi Miklaus, nie zadziwia mnie wcale: zauważyłem, że od przybycia naszego jegomościa, herr Zacharias jest zatroskany jakiś, milczący... nie wiem co, zresztą... obchodzi go dokoła; — jest niespokojny.

HARTWIG.

Ma coś na myśli.

GOTTHOLD, ciszej.

A potem, on zna odwieczne tajemnice rodziny... nie licząc... tej STRASZLIWEJ.

MIKLAUS i HARTWIG, razem.

Cyt, Gottholdzie!

Trzej starcy oglądają się dokoła z jakimś rodzajem tajemniczego niepokoju.

Gotthold wstrząsa się i nogą, w wielkiem, gwoździami podbitem obuwiu, uderza gwałtownie tlejące czerwono polana: te, nagle, rzucają ogromną jasność płomieni i skier na salę.

MIKLAUS, po chwili, wracając do rozmowy.

Aby skończyć — ja sądzę, że hrabia Axel nie nudzi się bynajmniej ze swym spółbiesiadnikiem. — Jakto! w jego towarzystwie wypija przy jednej wieczerzy więcej wina, niż dawniej wypijał w ciągu dwunastu posiłków: zdaje mi się nawet, że nabiera do niego upodobania — i cieszę się z tego!

GOTTHOLD, podnosząc głowę.

Poczciwy Miklausie, powinienbyś znać nieco lepiej młodego swego pana.

HARTWIG.

On, posuwający wstrzemięźliwość aż do postów całodziennych!

GOTTHOLD.

On, który odmawia sobie wszystkich uciech właściwych jego wiekowi! on, który trawi najlepsze swe lata na czuwaniu, tam, na wieży, — i przez ileż nocy! — przy lampie nad nauką, chyląc się nad staremi rękopisami, w towarzystwie doktora!

HARTWIG, do Miklausa.

Czyliż nie możesz zrozumieć, że przez uprzejmość jedynie wnosi jego zdrowia? Pan zamku musi przyjąć godnie swojego gościa — i oddaje mu, co należy.

MIKLAUS.

No, no! — Jak się wam podoba... A ja wam powiadam, że nasz młody pan bawi się dobrze od tego długiego tygodnia. — Zważcie tylko, te wyprawy na łowy z komandorem...

HARTWIG.

Dajże spokój! Toć to u niego sposób, aby znaleźć się w samotności. Czyż zapomniałeś, że nade wszystko kocha milczenie? — Jeżeli zgadza się niekiedy na towarzystwo Jukka, to dla tego, że dziecko to staje się, przy jego boku, bardziej niemem, niż cień jego własny, i że czuje sam, jak głęboko, na śmierć jest kochany przez tego czujnego stróża o sokolich źrenicach! — Z kimkolwiek innym — chwila galopu na ogierze Wunder — i oto już znikł, przesadzając wąwozy i zarośla. Gunther i Job, dwaj najmniej starzy jego dojeżdżacze, nie próbują już oddawna dotrzymywać mu kroku — a komandor von Auersperg zawsze prawie powraca do zamku w pół godziny po wyruszeniu zeń.

MIKLAUS, z zastanowieniem.

Do prawdy? Ach!... to co innego! Myślałem, że krewniak pomagał nieco naszemu hrabiemu, przez ten dni szereg, w jego niebezpiecznych uganianiach się po lesie...

HARTWIG, z uśmiechem.

Axel von Auersperg nie potrzebuje niczyjej pomocy, gdy chce wytępiać dziki, niedźwiedzie lub orły: wskazując na ściany: patrz. — Niebezpieczeństwa!... Na świętego Wilhelma! wiesz dobrze, iż młody nasz pan tak jest silny, że dusi wilki jednem ściśnieniem za gardło, nie racząc dobywać noża myśliwskiego. Ciszej: Co zaś do tego, co mogłoby grozić mu z odległości, dwadzieścia tysięcy mieszkańców Czarnego Lasu, górników, trepiarzy, drwali, byłych żołnierzy, wszyscy! są mu oddani bardziej niż królowi!

MIKLAUS, namyślając się.

W istocie — w istocie, może i macie słuszność! — Zresztą, rzecz dość zadziwiająca, iż, jak mi się zdaje, nie

poprosił nawet mistrza Janusa, aby porzucił na chwilę swe prace i swą samotność i przyszedł przyjrzeć się nieco temu gościowi.

GOTTHOLD, po chwili milczenia.

Oh! doktór nie ma potrzeby oglądać ludzi, aby ich znać.

MIKLAUS, patrząc nań.

Hę?

GOTTHOLD.

Widzi ich, odgaduje ich w dźwiękach głosu tych, którzy mu o nich mówią.

HARTWIG, kładąc rękę na ramieniu Gottholda, z uśmiechem:

No, no! — Mistrz Janus nie jest czarownikiem. Nie chciałeś przecie rzec tego, Gottholdzie?

GOTTHOLD, poważnie.

Wiem, co mówię. Jeżeli doktór wcale się nie pokazał, to dla tego, że komandor jest sobie kimś obojętnym, który niewart spojrzenia i nie przedstawia, ostatecznie, nic ciekawego Chwila milczenia.

Ale, ale... czy zauważyłeś, że mistrz Janus nie starzeje się, Hartwigu? — A jednak, sporo lat już, odkąd jest tutaj!

HARTWIG.

Co to, to dalibóg prawda! Śmiejąc się: Możnaby pomyśleć, że nabożeństwo do gwiazd chroni od zestarzenia się.

Chwila milczenia.

Słychać tylko buzowanie się ognia w kominie.

GOTTHOLD, szczególnym tonem.

Co do mnie, znajduję, że jego oczy nie są podobne do oczów człowieka z naszego stulecia.

HARTWIG, z przymuszonym śmiechem.

Poczciwy Gotthold! chce nas teraz przestraszyć.

MIKLAUS, zniżając głos, tonem poufnym.

Wyznaję, że jest w nim coś, w tym mistrzu Janusie, co powściąga wszelki wylew przywiązania. Jego sposób świadczenia dobrodziejstw mrozi obdarzonych niemi. — Pamiętasz, Gottholdzie? Leczył, często i skutecznie, i nas, i wieśniaków, mieszkających u skraju Wielkich Lasów: nic i to nie pomogło. Człowiek nigdy nie czuje się swobodnym w jego obecności! Oto od dwunastu prawie lat, posługuję mu codzień, i dziwna rzecz poprostu... ale nie mogę się przyzwyczaić — nawet do myśli, że mnie spostrzegł kiedykolwiek.

HARTWIG, z zastanowieniem i również przyciszając głos.

A my sami, czyliż przyjrzeliśmy mu się dobrze kiedykolwiek? Ilekroć się ukaże, zdumiewa nas jakby człowiek nieznajomy. Gdy się odezwie — rzecz, zresztą, rzadka — to, co mówi, jakkolwiek zawsze nader proste, robi wrażenie odbicia między dwoma zwierciadłami: możnaby w tem gubić się do nieskończoności. — Posłuchajcie! najlepiej nie rozmyślać zbyt wiele o doktorze, — jeżeli chcemy zachować do śmierci nieco zdrowego rozsądku.

GOTTHOLD, poważnie, w tym samym tonie.

Jest to człowiek z natury swojej nieprzenikniony. Wrażenie, jakie robi, opiera się w umyśle człowieka wszystkim nawet potrąceniom życia codziennego. — Przy-

był tu, niewzywany, sam jeden, bez towarzysza, konno, w sam dzień tak nieprzewidzianej śmierci hrabiego Gerarda von Auersperg. Było to u schyłku wojen przeciwko temu tajemniczemu Napoleonowi, — a świtał właśnie pierwszy brzask poranny. Gdy pokazano mu testament, w którym hrabia (który, jak się zdaje, znał mistrza Janusa z pól bitwy) przekazywał mu pieczę nad wychowaniem swego syna, — patrzałem nań z uwagą; miał minę, jak gdyby wiedział oddawna i o zgonie i o tej woli ostatniej.

Od jakiegoś czasu, na dworze zachmurzyło się, i gwałtowne porywy wiatru zwiastują zbliżającą się burzę. — Godzina piąta wybija.

HARTWIG.

Słuchajcie: oto godzina, gdy nasza piękna i czcigodna pani zamku, Liswia von Auersperg, taka podobna do dawnych kasztelanek, schodziła, zamyślona i taka zawsze poważna, na odgłos organu w kaplicy zamkowej. Lat to już temu dwadzieścia.

GOTTHOLD, do Miklausa.

Wiesz — to okno w wielkiej galeryi, kędy słońce przychodzi konać co wieczór? Siadywała tam często, długie godziny, wsparta na framudze, blada, w sukniach żałobnych, z twarzą anioła, trzymając na kolanach swój modlitewnik o klamrach z emalii.

MIKLAUS, GOTTHOLD i HARTWIG, powstając i odkrywając głowy.

W Bogu niech spoczywają dusze zmarłych tego domu!

Siadają napowrót. Chwila milczenia; słychać szum deszczu na dworze.

HARTWIG.

No — dorzuć szyszek sosnowych do ognia, i dajmy pokój tym wspomnieniom. Lata — to wiatru podmuchy, a myśmy liście przez nie unoszone.

GOTTHOLD.

Mniejsza o to. Gdy Axel von Auersperg, w jakiejś chwili uroczystej, przerwie milczenie, zaiste, twardym i gromkim zagrzmi to dźwiękiem.

MIKLAUS, podnosząc głowę.

Wielkie wichry wielkiemi wstrząsają wrotami!

GOTTHOLD, prawie do siebie.

Ach! bo on miał to *zawsze* w naturze swojej, że stanie się człowiekiem... nadludzkim.

Łoskot grzmotów; sine błyski zbliżającej się burzy; dalekie szumy lasów.

MIKLAUS, powstając i idąc ku oknu.

No — to czas!... Niebo zmieniło się w ciągu naszych gawęd o przeszłości! Nawałnica wstrząsa górą całą. Na szczęście, wieżyca zamkowa mocno się jeszcze trzyma.

GOTTHOLD, powstając również i patrząc przez okno.

To prawda. Błyskawice przerzynają już widnokrąg sinemi zygzakami. Spojrzyjcie-no na sosny: patrzcie, jak piorun rozświecił głębokie pod niemi ciemności!

Wszyscy trzej przysłuchują się nawałnicy.

HARTWIG.

Aż tu słychać łamanie się gałęzi. Co za ulewa! Na szczęście, armaty są pod nakryciem i dobrze naoliwione, między blankami muru.

MIKLAUS.

Jakże podmuchy wichury smagają nasze stare okna! Burza wzmaga się. Nie będziemy mieli księżyca tej nocy.

Przeklęta pogoda! Niema wątpliwości, że komandor nie zdecyduje się na odjazd dzisiaj.

GOTTHOLD, z niepokojem.

Deszcz potokami roztrąca drzew listowie. — A Jego Miłość jeszcze nie wrócił z łowów! — Czy też aby wziął swój kaftan skórzany!

Ogromna błyskawica sino-fioletowa rozbrużdża mroki sali.

MIKLAUS.

No, teraz trzaśnie!

GOTTHOLD.

Posępna, ohydna błyskawica, nieprawda-ż?

MIKLAUS.

Zdawało mi się, że Piekło się rozwarło!

HARTWIG, po grzmocie przerażającym.

I to w przeddzień Wielkiej Nocy!

SCENA III.

CIŻ SAMI, JUKKO.

Jukko wchodzi z lewej strony, zadyszany, z rogiem myśliwskim na plecach, w sajaniku z czarnego sukna z szerokim pasem skórzanym, nabijanym kółkami żelaznemi, w zdobnej dwoma orlemi piórami czapeczce futrzanej, z oszczepem w ręku.

JUKKO.

Dobry wieczór, przodkowie!

Opiera oszczep o wyskok muru i zbliża się do nich.

GOTTHOLD, MIKLAUS i HARTWIG, zwracając się ku niemu.

Jukko!

JUKKO, wesoło.

Rozważacie zapewne, wszyscy trzej, zachwycający układ pór roku?

GOTTHOLD.

Rzuciłeś łowy? — Gdzie-żeś zostawił Jego Miłość?

JUKKO.

W pieczarze, o trzy mile ztąd, przyglądającego się, od czasu do czasu, nawałnicy.

HARTWIG.

A dzień?

JUKKO.

Ogromny ryś, wilczyca z całym pomiotem, dwa lisy i sęp. Sęp gubił się w czarnej chmurze, śród grzmotów i błyskawic, gdy kula naszego pana dosięgła go niespodzianie. Oba lisy zabiłem ja. — Ale... chodzi o coś innego... i chciałbym...

MIKLAUS.

Wypij tę szklankę wina reńskiego i chodź się ogrzać, szkaradny chochliku.

JUKKO, pijąc.

Dziękuję. Nie zimno mi. — Muszę wam powiedzieć...

HARTWIG, macając jego rękaw.

Jakto? nic nie masz pod spodem? Zapomniał kaftana!... Cały mokry, jak trawa po deszczu.

JUKKO.

To nic. — Dowiedzcie się zatem...

MIKLAUS.

Dalej-że, siadaj przy ogniu! Zachorujesz jeszcze! Ogrzej się!

JUKKO.

Niema o czem mówić, powtarzam wam! — Wyobraźcie sobie...

HARTWIG, z niepokojem.

Czyżby się coś złego przytrafiło hrabiemu?

JUKKO.

Nie! skoro ja tutaj jestem! — Ach! gdybyście wiedzieli!...

MIKLAUS, do Gottholda.

Dziecko zupełnie zmieniło się od wczoraj, nieprawdaż? — Czemu-ś taki blady, Jukko?

Jukko, skrzyżowawszy ręce na piersiach, patrzy na nich.

HARTWIG.

Mów-że prędzej. Niepokoisz nas.

JUKKO, tupiąc nogą z niecierpliwością.

Do stu piorunów!

HARTWIG i MIKLAUS, do Gottholda, który usiadł w milczeniu koło ognia.

Bądź-że cicho, Gottholdzie. — Do Jukka: Słuchamy cię.

JUKKO, zaczyna opowiadanie.

Wczoraj wieczór...

MIKLAUS, półgłosem.

Ależ grzmi! Słyszycie? hę?

JUKKO, wściekły.

Ah! — Więc ostatecznie, nie chcecie mnie słuchać?... Dobrze. Idę sobie! — Stuletnie gaduły, jakich drugich nie znaleźć!

GOTTHOLD.

Cicho! dzieci mają głos!

JUKKO, ciągle z uniesieniem.

Jakto? Będziecie wkrótce mieli trzy wieki, we trzech razem, — słyszeliście tysiące burz, piorunów, wichur i starć przerażających, i zwracacie uwagę na głupią zawieruchę... gdy ja chcę wam opowiedzieć cudowne zdarzenie?

GOTTHOLD.

No, no, ty głowo szalona!

HARTWIG.

Spokojnie! powoli!

JUKKO, jeszcze tym samym tonem.

Ale ja, który mam sam na siebie lat siedmnaście, ja dbam ot tyle o błyskawice, wicher, deszcz i wszelkie wstrząśnienia!

MIKLAUS.

Dobrze, dobrze. Opowiadaj, po porządku...

JUKKO.

Nie. Pójdę sobie lepiej. Nie dowiecie się nic — i koniec.

GOTTHOLD.

Będziesz ty teraz mówił, urwisie? Cóż to znowu się dzieje?

JUKKO.

Miklaus i Hartwig ciągle będą mi przerywali... a potem... Zresztą, nie: wy nie kochacie mnie...

HARTWIG, z uśmiechem.

Ach, ty zły duszku!

JUKKO.

Nie troszczycie się o to, co mi się zdarza!

MIKLAUS.

Powiedz nam, ale powoli...

JUKKO.

Do widzenia.

Jukko robi kilka kroków ku wyjściu; trzej starcy rzucają się za nim i zawracają go, nawpół uśmiechniętego, nawpół gniewnego jeszcze.

Wówczas, na tle kwiatów na stole, w blaskach świeczników, migotliwych czerwonościach ogniska i błyskawicowych fioletach, namyśla się chwilę, czarny i błyszczący, podczas, gdy trzej domownicy, zasiadłszy dokoła, oczekują słów jego z niewyraźną jakąś obawą.

Zaczyna mówić, uśmiechając się, jak gdyby zatopiony w jakiemś błogiem marzeniu — podczas gdy harfy zdają się, w oddalach, wtórzyć mu z głębin nawałnicy:

Wczoraj, w Lesie, gdy pierwsza błysła gwiazda, spotkałem małą czarodziejkę, oh! tysiąc razy ładniejszą od wszystkich wieszczek Harcu!... młodą dziewczynę. Śpiewała głosem świeższym od plusku źródełek i, kołysząc w jednej ręce koszyczek dzikich wisien, szła wolno pod sosnami. Przewiązała pierwiosnkami dwa ciemne sploty włosów spływające jej na gorsecik aksamitny. Od czasu do czasu głaskała wielkiego, bieluchnego wyżła, który skakał dokoła niej radośnie. Och! jakaż śliczna była! — Oczy jej miały słodycz zmierzchu wieczornego!

MIKLAUS, z uśmiechem.

Aha! młody Jukko już...

Gotthold zamyka mu ręką usta.

JUKKO.

Czas jakiś szedłem za nią, kryjąc się między drzewami. Nagle, rozgarnąłem zarośla i zbliżyłem się do niej. Zaledwie nasze spojrzenia skrzyżowały się, wymieniliśmy uśmiech przyjazny. A jednak, nie widzieliśmy się dotąd nigdy. Uścisnęliśmy sobie ręce, nie myśląc o tem sami. Biały towarzysz jej bacznie mi się przypatrzył; miał również minę, jak gdyby mnie poznawał: w chwilę potem, on i Holf, mój wielki chart, byli starymi przyjaciółmi. W milczeniu, oboje, jedno obok drugiego, przebyliśmy drogę wiodącą do tego potoku, gdzie zaczynają się dęby. Tam domek ma ojciec jej, Hans Glück, gajowy. Wszedłem. Stary leśnik podniósł oczy; potem, przyjrzawszy nam się dobrze, podał mi rękę i przyjął u swego ogniska. — Luiza postawiła dwie szklaneczki na białym obrusie. Ach, jakiż ona wyborny, przezroczysty kirsz umie robić! Dolewała nam podczas gawędki swą słodką rączką... Wieczór już był głęboki, gdy mówiła mi *do widzenia* na progu. Włożyłem jej na palec pierścionek rodzinny, który mi świętym był. — W milczeniu, pocałowała mię w czoło: w oczach jej była dziwna powaga, a dwie piękne łzy spłynęły z jej rzęs na me powieki. — Uciekłem! Byłem taki szczęśliwy, że rozpłakałem się w lesie. Dusiłem się ze szczęścia! Holf szczekał i ciągnął mnie za rękaw ku jej domkowi. — Ach! Luiza Glück! Pocałunek jej niebem jest — i ogniem zarazem: mam w duszy takie radosne, takie rozkoszne pragnienie jej, że oddychać nie mogę, taki jestem w niej zakochany, i tak ją kocham! — Pobierzemy się w jesieni: co najpóźniej! — Jestem... jestem szczęśliwy! — Tylko,

gdyby który z was trzech pozwolił sobie umrzeć przed mem weselem, — ach!... pogniewałbym się!

GOTTHOLD.

Będę twoim drużbą, Jukko.

JUKKO, śmiejąc się i ciągnąc Gottholda za długą brodę.

Dzięki, dzięki po tysiąc razy!

Wskazując na Miklausa i Hartwiga.

A oto dwóch świadków...

HARTWIG.

Jakto! — ależ ja patrzałem... przedwczoraj, na jej narodziny, tej twojej małej Luizy!

JUKKO, z zastanowieniem, patrząc nań.

Przedwczoraj? — W istocie, masz słuszność. Ale dla ludzi zwykłych to stanowi szesnaście lat i pół.

HARTWIG, półgłosem.

Już!

JUKKO.

Jeden powiada: „Już!“ drugi: „Nakoniec!“ Zaczynam wierzyć, że jest to jedno i to samo słowo, wymawiane naodwrót.

MIKLAUS, śmiejąc się.

Wydaje mi się dziwnem, że ojciec Glück — zresztą, dzielny żołnierz saski — daje ci córkę, mój przyjacielu.

JUKKO, kładąc mu rękę na ramieniu.

Jesteś bardzo szczęśliwy, że spotykasz jeszcze rzeczy dziwne, w twym wieku.

HARTWIG.

Miklaus ma słuszność, tym razem: ładny z ciebie chłopak, ale nikły jak cień.

JUKKO.

Mój poczciwy Hartwigu, a ciebie nie boli cień twej lewej ręki przy zmianie pogody?

HARTWIG.

Boli. — I dla czegóż to, mój synu?

JUKKO, rozchichotany.

Ach! spytaj o to kuli armatniej, która urwała ci jej rzeczywistość pod Lutzen. Chciałem tylko, abyś sam stwierdził, że cień jest przecież czemś także.

GOTTHOLD.

Dzieciak ma słuszność, że chce być szczęśliwym, i to co najprędzej! Wyście starzy zgryźliwcy. — Ale baczność! Słyszę... hę? — Te kroki...

MIKLAUS.

Tak, w galeryi Rycerskiej.

HARTWIG.

To nasz gość, myślę. — Żywo, Miklaus! Jeszcze kilka polan do ognia!

JUKKO.

A ponieważ nie widzę powodu, aby okazywać na jego widok radość pełną uszanowania, więc pozdrówmy go krótko i wynieśmy się ztąd.

GOTTHOLD.

To on, w istocie.

JUKKO, zgromadziwszy wszystkich trzech, tajemniczo.

Słuchajcie: — przyszły dziadek waszych synów chrzestnych przysłał mi dziś rano w podarunku dzban kirszu różowego, jakiego sam król nie kosztował. Zapraszam was, przyjaciele, spróbujemy go nieco w zbrojowni. Tam będziemy się czuli u siebie. Czekając na pana, na naszego wspaniałego Axela, rycerza lasów, księcia swej góry, władcę potoków — och! będę pił z wami za zdrowie Luizy Glück mej narzeczonej!

MIKLAUS, GOTTHOLD i HARTWIG, kładąc palec na ustach.

Cyt!

Kaspar von Auersperg wchodzi z prawej strony. — Postawa bardzo wielkiego pana. Lat około czterdziestu trzech. Płaszcz podróżny, z krótką peleryną z czarnego sukna. Pod nim, strój nader wykwintny. Wzrostu wysokiego. — Znaki orderowe na piersiach.

SCENA IV.

CIŻ SAMI, Komandor KASPAR VON AUERSPERG.

KOMANDOR, do siebie, patrząc na nich.

Nie. Nie ci. To głazy, — a dziecko oddane jest duszą i ciałem swemu panu. — Kto inny, marszałek dworu, ten herr Zacharias, — oto jegomość, do którego wziąć się należy.

JUKKO.

Jeżeli komandor von Auersperg pragnie zaczekać tutaj na Jego Miłość, oto wino z Przylądka, knaster, ogień i książki.

KOMANDOR.

Hrabia prędko powróci?

JUKKO.

Za godzinę najpóźniej.

Jukko i trzej starzy weterani kłaniają się i wychodzą.

Od kilku chwil, zdaje się, że uragan ucichł: grzmoty coraz rzadsze i dalsze; deszcz prawie ustał; niebo jednak, widoczne za oknami, jest ciągle chmurne i groźne.

SCENA V.

Komandor KASPAR VON AUERSPERG, sam.

Wspaniali starcy! — To przypomina piękne pole bitwy, piękną zimę i piękną śmierć. Oglądając się dokoła:

Cóż za sowie gniazdo! — Książki, powiada. Historya starożytna, zapewne? Zobaczmy. Otwiera jeden z foliałów.

Wino ujdzie jeszcze; jest równie stare prawie, jak ci, co je zlewali w butelki, a cudowny gatunek jego znosi jednak ten wiek, nie tracąc mocy. Czyta:

Traktat o wtórych Przyczynach.

Ha! ha! wyborny tytuł!... *Traktat o wtórych Przyczynach!* — Ta gwara przedziwnej wydaje mi się jasności!... Ach! ach! — Idźmy dalej nieco. Czyta znowu:

Procul a delubro mulier semper!

Ta dewiza nie jest, przyznać trzeba, nader dla kobiet uprzejma. Czyta jeszcze:

Rozdział pierwszy: *Sędziowie milczący.* — Tam do dyabła!

„*Każde słowo, w okręgu swej działalności, tworzy to, co wyraża. Miarkuj zatem ilość woli, jaką nadajesz zmyśleniom swego ducha.*“

Zamyka książkę i rzuca ją między inne.

Bajdy!

Ziewa. — Potem, zastanowiwszy się nagle i wodząc okiem po przedmiotach dokoła siebie:

Stało się; nie wątpię już o tem. — Mój młody gospodarz wplątał się, najoczywiściej w świecie, w Hermetykę, kabałę i historye sabbatowe! Mistrz Janus to, z pewnością, tchnął weń i nieustannie wsącza mu w głowę te grube zabobony... które długo jeszcze będą zakałą Niemiec. Rozmowy ich toczą się zapewne o Świętej-Vehmie i o... Różokrzyżowcach? Tych ostatnich mieliśmy, rzeczywiście, w rodzie naszym: ale... wówczas gdy to było w modzie. — Pojmuję doskonale, że posępny ten szaleniec nie uważał za stosowne, do dnia dzisiejszego, ukazać się moim oczom profana. W dwóch lub trzech sarkastycznych uwagach załatwiłbym się z nim w najcudowniejszy sposób.

Chwila milczenia. Siada przy stole i nalewa sobie kieliszek wina.

Wyznaję: ta siedziba, razem ze swymi mieszkańcami, robi na mnie wrażenie czegoś niepodobnego do prawdy. Sam sobie wydaję się w niej paradoksalnym. Człowiek opóźnia się tu o trzysta lat, co do minuty. Sądziłem, że egzystuję w zaraniu XIX wieku? — Złudzenie!... Przestępując ten próg, spostrzegłem się, że żyję za cesarza Henryka, w dobach wojen o inwestyturę.

Niech i tak będzie. — Za zdrowie wspomnianego cesarza! Pije.

Otóż tedy, chciałbym przejrzeć jasno to życie niezwyczajne, jakie prowadzi się tutaj. Co do mego szlachetnego krewniaka, czuję zaledwie bardzo umiarkowaną sympatyę do tego młodego bohatera z innego jakiegoś wieku. Ma on, zaiste, charakter... z najbardziej nieuchwytnych. — Zresztą, człowiek, który, zbliżając się do czterdziestki, troszczy się o kogobądź prócz siebie, niegodzien jest żyć. Chwila milczenia.

Przypatrzmy się, jednakowoż: jest to szlachcic z rodu i postawy, i — muszę przyznać — jeden z najlepiej przedstawiających się, mimo nieco posępnej miny. Powierzchowność ma nawet — ze swym wzrostem wysokim — wprost okazałą, a niebrak mu przytem pewnego rodzaju dzikiej wytworności... która przy dworze, gdzie szaleje się za nowością, przepyszne robiłaby wrażenie. Jakbym widział piękne wirtuozki królowej, w wieczór przedstawiania go, — księżnę von Sabelsberg, hrabinę von Walstein, — ah! ah! Powodzenie pożarne na pierwszy rzut oka! lub musiałbym się chyba mylić zdumiewająco. — Umiał przyjąć mnie ze skończenie wytworną uprzejmością, i okazał się prawdziwym wielkim panem, ustępując mi, pomimo ruiny własnego majątku, swoją część spadku... Jestem pewny, że, przy dobrem kierownictwie, hrabia Axel von Auersperg mógłby mi zdobyć, w otoczeniu króla, pewne wpływy... bardzo cenne i użyteczne; — o tej starej sprawie jego ojca i Skarbów tak już dziś zapomniano!

Po chwili milczenia: — Oh! ta moja dawna ambicya, tylekroć zawiedziona do dnia dzisiejszego! Chmurnie, patrząc dokoła siebie: To także czarownica nieodparta!

Spojrzenie jego zatrzymuje się na stole.

Oto wieczerza pożegnalna przed moim odjazdem. Stół, doprawdy, mile uderza oko! — Te ładne kwiaty leśne... wszystko bardzo dobrze i w doskonałym smaku.

Chwila milczenia.

Szczególnem powietrzem oddycha się tutaj! Mam wrażenie czegoś nieznanego w tej starej siedzibie. — Cóż znowu? Sądzę, że zyskałem pewną przewagę nad moim młodym kuzynem: tego rodzaju natury są, doprawdy, dziecięco słabe. — Jestem starszy od niego o jakieś lat dwadzieścia, co, w połączeniu z pokrewieństwem, umożebniło mi pewną swobodę wyrażeń, która wprędce stała się poufałością, pewien ton opiekuńczej wyższości w na-

szych pogawędkach, krótko mówiąc, jedną z tych pozornych niedbałości w mowie, których dobrze wyrachowana szczerość, jeśli tylko umiejętnie ją stopniować, doprowadza nieznacznie daną osobę do cierpliwego znoszenia niegrzeczności wprost już... Spróbuję, dzisiejszego wieczora, zwalczyć wpływ tego mistrza Janusa. Udowodnię przy wetach memu gospodarzowi, że kamień filozoficzny to umiejętność torowania sobie drogi w świecie i zabierania, w dobry czy zły sposób, miejsca, jakie się pragnie zająć. W zamyśleniu: Jak gdyby wszystkie fantasmagorye ziemskie i wszystkie sentencye filozofów mogły równać się z jednem spojrzeniem ładnej kobiety! — A młodość, niestety! piękna młodość! — Oto magia prawdziwa! — Piękne stworzonko — oto co się rozumie natychmiast! bez wysiłku!... Oto co jasne jest każdemu!

Przygląda się kryształowi swego kieliszka pod światło kandelabrów.

Skłonny byłbym myśleć, że wpływ to chmurnego sąsiedztwa lasów, potoków i rozdołów, spotęgowany przez osamotnienie zupełne, wykarmił w jego duchu niedorzeczne owe idee.—Bah! choroba ta dałaby się wyleczyć w tydzień, tam, przy dworze... i pewny jestem, że w moich rękach młody ten człowiek stałby się jednem z najużyteczniejszych narzędzi.

Powstaje i przechadza się tam i z powrotem po sali.

Bądź co bądź, jestem jakiś niespokojny. — Nie może być rzeczą naturalną, aby chłopak, obdarzony, niezaprzeczenie, umysłem bynajmniej nie pospolitym, godził się, bez nacisku jakiegoś, na życie niedźwiedzie, jakie pędzi tutaj hrabia Axel von Auersperg! Największe zamiłowanie do nauk tajemnych nie usprawiedliwiałoby takiego zamknięcia się, takiego długiego, dalekiego i dobrowolnego wygnania. — W tem jest coś innego. — Ciszej i tonem niezwykłego zasta-

nowienia, obrzuciwszy przedtem dokoła salę milczącem spojrzeniem. — Coś tu jest.

Namyśla się, patrząc z roztargnieniem na migoty błyskawic.

Oto cały długi tydzień spędziłem już w tej zapomnianej, blankowanej, odwiecznej jaskini, której architektura, okolica i cisza niczem nieprzerywana mogłyby dziś zajmować jedynie czczych ideologów; niema żadnej wątpliwości, że nie nudziłbym się w niej tak długo, gdyby nie to niewyraźne a uparte wrażenie czegoś nieznanego! — Ponieważ nie rozwiało się ono jeszcze, więc widocznie ma jakąś podstawę, a... ja nie lubię marnować czasu. Pragnąłbym bardzo wydobyć na światło dzienne tę zagadkę. — Brać, przed czasem, na spytki tego pana Zacharyasza byłoby snadź nieroztropnie; ponieważ wszakże dzisiejszego wieczora opuszczam, bez żalu, niepokojącą tę siedzibę, mogę, za chwilę, gdy stary intendent...

Spostrzega wchodzącego pana Zacharyasza.

Ale oto on sam.

SCENA VI.

KOMANDOR KASPAR von AUERSPERG, Herr ZACHARIAS.

Herr ZACHARIAS, w progu, patrząc na komandora.

Nadeszła godzina. Powinność każe mówić.

Zamyka drzwi za sobą z ostrożnościami.

KOMANDOR, patrząc nań, do siebie.

Jeżeli i ten także jest czarownikiem, przyznać trzeba, że Dyabeł zwleka z porwaniem go?

Przyglądając mu się od stóp do głów.

No! ależ... on ma ze sto lat, ten chłopaczek! — Zbadajmy nieco te szczątki człowieka: oko przysłonięte,

dyplomatyczne, usta subtelne... tak, lecz nos nie dowodzi wielkiej bystrości. Dobrze. Głośno: Dobry wieczór, herr Zacharias! — Co panu jest? — Na moją tabakierkę, wydajesz się pan wzruszonym.

Herr ZACHARIAS, poważnie, zbliżając się do Komandora.

Miałem zaszczyt niejednokrotnie spotykać Waszą Miłość, przed laty mniej więcej dwudziestu. — Wasza Miłość byłeś przyjacielem nieboszczyka hrabiego i musisz kochać jego syna.

KOMANDOR, do siebie.

Przywiązanie jest jego słabą stroną. Głośno: Młodzieniec ten ma przyszłość przed sobą, i gotów byłbym do wszelkich ofiar, aby tylko ujrzeć go na odpowiedniem w świecie stanowisku.

Herr ZACHARIAS.

Rozmyślałem we dnie i w nocy od przyjazdu Waszej Miłości. Chwile życia mego są policzone; obecność Waszej Miłości jest sposobnością niespodzianą, z której skorzystać muszę.

KOMANDOR.

Moja obecność?

Herr ZACHARIAS, zajęty swemi myślami.

Tak. Chciałbym odkryć Waszej Miłości coś niesłychanego. Rzecz... Oh! najdziwniejszą z rzeczy. — Jeżeli Wasza Miłość chce ją usłyszeć, muszę się śpieszyć: niełatwa ona do opowiedzenia... czas mija — a Wasza Miłość odjeżdża dzisiejszej nocy.

KOMANDOR.

Jesteś zbyt uroczysty, abyś mógł mówić poważnie, herr Zacharias!

Herr ZACHARIAS.

Wasza Miłość, mówiąc, ważę zawsze wszystkie wyrażenia, jakich używam. Otóż, jest poprostu niepodobieństwem znaleźć ściślejsze do oznaczenia faktów, które chcę przedstawić Waszej Miłości. Krótko mówiąc, jeżeli istnieje na ziemi jaka tajemnica, zasługująca na nazwę SZCZYTNEJ... to, niewątpliwie, jest nią ta właśnie. Sama myśl o niej... sprawia mi zawrót głowy... Wasza Miłość widzi; jestem niespokojny — że mówię o niej!

Szum burzy. Herr Zacharias ogląda się dokoła.

KOMANDOR, po chwili.

Tajemnica ta obchodzi nas obu, hrabiego i mnie?

Herr ZACHARIAS.

Przede wszystkiem. Potem, ziemię niemiecką. Potem... świat cały.

KOMANDOR, do siebie.

Zapleśniały starowina! — Hm! Szczerość nieoczekiwana, i która wprawia mnie w kłopot. — Jaki ton przybrać? Obojętności czy zaciekawienia? — Obojętność jest lepsza: będzie starał się przekonać mnie.

Głośno: Mów zatem. — Ale czemu-żeś taki poważny, jak ambasador ze Wchodu? Zatrważasz mnie. — Czy bardzo długa ta twoja historya?

Herr ZACHARIAS.

Sądzę się w prawie zapewnić, że Wasza Miłość nie pożałuje, wysłuchawszy mnie do końca. — Za pół godziny,

co najwyżej, hrabia będzie tutaj z powrotem: mam więc ściśle czas na opowiedzenie wszystkiego, a milczenie dusi mnie od — och! od lat tylu!

Komandor nalewa sobie wina; siedzi, z uśmiechem na ustach i skrzyżowanemi niedbale nogami, wsparty łokciem o stół i cały w blaskach świeczników. Herr Zacharias stoi przed ogniem, z ręką na oparciu drugiego siedzenia.

Zniżając nieco głos:

Wasza Miłość nie przypomina sobie nadzwyczajnego zdarzenia, które zaszło w Niemczech — a miało swoje echo w całym świecie — w epoce śmierci hrabiego Gerarda von Auersperg?

KOMANDOR, z uśmiechem.

Zdarzenia... nadzwyczajnego?

Herr ZACHARIAS.

Tak.

KOMANDOR.

Nie widziałem nigdy nic nadzwyczajnego pod słońcem, mój panie Zacharyaszu! — Wyjąwszy...

Nagle, jak gdyby uderzony dalekiem wspomnieniem, wstrząsa się, spogląda bacznie na starego intendenta i chwilę siedzi bezmownie. — Potem, głosem zmienionym i poważnym:

Zaczynaj!

Na to słowo, herr Zacharias wydobywa z pod swej opończy mapę wojskową, oraz różne papiery, rozwija je w milczeniu i rozpościera kolejno na stole przed oczyma komandora von Auersperg.



§ 2. Herr Zacharias opowiada.

Herr ZACHARIAS, tonem człowieka, który, z początku, wygłasza rzecz napisaną i nauczoną oddawna, — a potem, zwolna, ożywia się i zaczyna improwizować.

Oto akta i dowody; przenoszą nas one ściśle w ową chwilę Dziejów naszych, gdy zdarzenie, o którem mówię, wyszło na jaw. Jęczeliśmy wtedy pod ciosem najazdu, który dzisiaj wydaje nam się czemś w rodzaju snu straszliwego.

Do kolejnych i szybko po sobie następujących nowin o porażkach poniesionych przez nasze wojska w Niemczech środkowych, przyłączyły się wkrótce pogłoski, nawpół urzędowe, że nieprzyjaciel gotuje nagły ruch zaczepno-odwrotowy ku rozmaitym państwom położonym na tyłach jego pochodu pozornego. Zaraz też miasta w pasie, który uważano za zagrożony, — (elektorski i bogaty gród frankfurcki w szczególności) — jęły drżeć w przeczuciu łupieztw i gwałtów, których można było spodziewać się po żołdactwie francuskiem, sądząc z okropności, jakiemi nowozaciężni zwłaszcza odznaczyli się w prowincyach już zagarniętych! — Napoleon zdawał się zagrażać ze wszystkich stron odrazu; — bo z niezwykłym tym wodzem, który umiał, w przeciągu trzech dni, znaleźć się nagle o trzydzieści mil od miejsca, gdzie go przypuszczały nasze obliczenia, — należało ponurych oczekiwać niespodzianek. Popłoch ogarnął wszystkich: nie wierzono nawet, aby był czas zużytkować pożyczkę wojenną, tylko co zrealizowaną. Wasza Miłość przypomina sobie wejrzenie ówczesne miast środkowych, te domy pozamykane, tę żałobę, tę strzelaninę karabinową w oddaleniu, te nieustanne grzmoty dział, — te rozdzwony alarmowe, niesione przez wiatr po wszystkich drogach...

KOMANDOR.

Pomińmy to.

Herr ZACHARIAS.

Tymczasem, nawet w państwach, na które padł taki postrach, nie znano rzeczywistych rozmiarów niebezpieczeństwa, którego klęskę mogła, w tej samej chwili, spotęgować jeszcze jedna z najniezwyklejszych okoliczności finansowych. Mianowicie, na pięć tygodni mniej więcej przed owemi opłakanemi pogłoskami, gwałtowny napływ złota, będący wynikiem nierozumnej jakiejś, we wszystkich kątach kraju, paniki i, jednocześnie, niczem również nieumotywowanego prądu zaufania — (zjawiska takie często się powtarzają w czasie wojny), — zalał podziemia Banku narodowego we Frankfurcie.

Rozwijając pożółkły, stary arkusz papieru:

Nadaremnie, chcąc zatamować ten potok, Bank ogłosił oddawna, że, dla braku pomieszczenia, nie może już przyjmować innych depozytów jak w sztukach złotych. Oto wyszczególnienie sum i walorów, złożonych w nim wówczas i upakowanych, na każdy przypadek — pod nizkiemi sklepieniami wielkiego Skarbca, — w... czterystu przeszło beczułkach żelaznych, opieczętowanych pieczęciami Związku:

Gotówka, złoto w sztukach monety, sumy kas oszczędności, gwarancya biletów bankowych, unieruchomione przez nagłą przerwę w interesach i handlu normalnym całych Niemiec: 42 miliony talarów. — Gotówka pochodząca ze świeżych emisyj pożyczki wojennej: 76 milionów talarów, w monecie złotej. — Worki drogocennych depozytów powierzonych strażniczemu miastu, dyamenty szlifowane, klejnoty wielkiej ceny, różne drogie kamienie powiązane w naszyjniki i łańcuchy, perły czystej wody, wyroby złotnicze, oprawy artystyczne, sztaby i bryły szczerego

złota, ogólnej wartości 78 milionów talarów. — Przesyłki, w monecie złotej, poszczególnych banków Wirtembergu, Bawaryi, Saksonii i Wielkich Księztw, w charakterze sum umieszczonych bezprocentowo pod opieką miasta państwowego, 75 milionów talarów. — Depozyta różne wysokich rodów szlacheckich i mieszczańskich, 26 milionów talarów, zawsze w złocie obrotowem. — I t. d., i t. d. — Ogół wartości, nagromadzonych w ten sposób w lochach podziemnych i w pomocniczych sklepach Skarbca: około 350 milionów talarów, czyli, jeśli doliczyć przewyżkę pominiętych dopełnień, aktywa nieprawdopodobne, niezmierne, przechodzące miliard sto milionów franków francuzkich i przedstawiające zawieszony nagle obieg przeszło dwóch trzecich ogólnej liczby monet złotych, stempla równie obcego, jak niemieckiego.

KOMANDOR, z wielkiem zajęciem, przyglądając mu się bacznie.

Tak, wiem Ciągnij dalej.

Herr ZACHARIAS.

Oto dlaczego, gdy nowina o ruchu najeźdźczym ku temu punktowi Niemiec ostatecznie zyskała wiarę, naczelna Komisya finansów Związku uznała za stosowne wysłać do zawiadujących Skarbcem przestrogę następującą: — „Ponieważ urzędowo przyznanem jest, że znaczna część tych walorów ma przeznaczenie wyłącznie wojenne, cesarski zwycięzca, gdyby zwrócił się na Frankfurt i zajął go, mógłby z całą prawowitością — zasłaniając się zapobiegawczym i obronnym krokiem wojennym — obłożyć sekwestrem całość tych olbrzymich aktywów. Ponieważ, dalej, wszelkie późniejsze próby ich odzyskania mogłyby — jakikolwiek będzie wynik kampanii — spotkać się z niezwalczonemi trudnościami czy zaprzeczeniami, — należy



przeto, stosownie do zwyczaju obowiązującego w takich wyjątkowych okolicznościach, przedsięwziąć natychmiast środki nagłe, aby walory te skierowane zostały niezwłocznie ku jakiemuś punktowi terytoryum, oddalonemu od pola operacyj wojennych — i położonemu, o ile można, po za obrębem przypuszczalnych zamachów nieprzyjaciela.“ — Otrzymawszy to postanowienie, Rada finansowa Banku narodowego, zgromadziwszy się na posiedzeniu tajnem, wybrała, do kierownictwa tem ciężkiem i pełnem niebezpieczeństw przedsięwzięciem, trzech z pomiędzy najbardziej cenionych dowódców, którzy byli obecni na posterunkach wojennych, sąsiadujących z miastem; byli to generał książe von Muthwild, generał hrabia von Thungern, i wreszcie generał hrabia Gerard von Auersperg, który objął dowództwo naczelne. Chwila milczenia.

KOMANDOR, w zamyśleniu, do siebie.

Tak. Jest to fakt w dziejach Niemiec, który został stanowczo zagadkowym.

Herr ZACHARIAS.

Według jego oceny, dwa tysiące kawalerzystów saskich i ośmdziesiąt jaszczyków amunicyjnych wystarczały zupełnie. Wszelkiego rodzaju rozporządzenia, mające na celu zapobieżenie możebnym bezpośrednim zamachom nieprzyjaciela, zostały tejże chwili rozesłane dowódcom dywizyj otaczających miasto. Miano rzucić się śmiało ku południo-zachodowi, podążyć drogami niewytkniętemi, — hrabia von Auersperg na czele oddziału, hrabia von Thungern przy głównej, środkowej jego części, książe von Muthwild w tylnej straży, — i, zrobiwszy wielkie koło, dojść do miejsca warownego, znanego tylko trzem wodzom wyprawy.

W wieczór tegoż dnia, czterysta drogocennych beczułek żelaznych, pod zbiorową etykietą, opiewającą narzędzia wojenne, amunicyę, i ciężkie pociski, zostały podźwignięte, władowane i unieruchomione za pomocą łańcuchów i lin na ośmdziesięciu jaszczykach; wszystko to w głównym podwórcu Banku narodowego. — Bank sam, opuszczony, na rozkaz z góry, przez wszystkich pełniących służbę urzędników, otoczono, na czas tej operacyi, szwadronami eskorty, które, defilując potem przed przysionkiem, przyjmowały każdą parę wozów między pięćdziesięciu kawalerzystów.

Około północy, opuszczono miasto, trzymane, przez pogaszenie latarń ulicznych, w zupełnej ciemności. — Ku jakiej obronnej miejscowości, umówionej między komendantami i zarządcami Skarbca, miano zwrócić się naprzód?... Niewątpliwie, dano o tem później wiedzieć władzom najwyższym. — Bądź co bądź, pewnem jest, że skutkiem ponawianych ostrzeżeń ze strony wysłanych na zwiady patrolów, po dwóch dniach marszu wprost ku południo-zachodowi, hrabia von Auersperg, mając snadź prawo obawiać się niespodzianego zaskoczenia od frontu, zmienił samowolnie plan pochodu i, na własną rękę, w imię strasznej odpowiedzialności ciążącej na jego honorze wojskowym, zdecydował się, nie ufając już nikomu, zawiadomić kogo należy, dopiero po wypełnieniu *istoty* ciężkiego zadania, które przyjął na siebie.

KOMANDOR, blady i uśmiechnięty.

Siadaj, Zacharyaszu: jesteś stary; to opowiadanie nuży cię. Wypij parę kropel tego wina — lśniącego i słonecznego jak wszystko złoto, o którem mówisz! — To cię pokrzepi.

Herr ZACHARIAS, który odmówił gestem i ukłonem, i który zwolna tonąć poczyna w jakimś rodzaju marzenia wizyonerskiego:

— Wówczas to, zapewne, — w głębi jego pamięci — powstało wspomnienie o niezdobytym burgu, zapomnianym w spokojnych a straszliwych lasach, setkę mil długich. Przesmyki ich, pamiętne jego latom dziecinnym, wydały mu się do przebycia dla wązkich wozów, które ciągnęły za nim, dźwigając znaczną część bogactwa Niemiec! — Przypomniał sobie też, niewątpliwie, że w tych samych lasach, niepogwałcalna kryjówka podziemna, wykopana kiedyś przed wiekami, — ciemnica o dostępach znanych tylko jemu jednemu, mogła, przynajmniej do przypuszczalnego w przyszłości zawarcia pokoju, przechować — wiernie! — to, coby powierzono głębokim jej wnętrznościom. Ku temu zatem miejscu postanowił ostatecznie poprowadzić — drogami zupełnie bezpiecznemi od możliwości zetknięcia się z wrogiem — wojsko i skarby, za które odpowiadał przed ojczyzną... I mianowicie — niech Wasza Miłość raczy zważyć — *aż w ten zapadły zakąt, gdzie się dziś znajdujemy.*

Komandor drgnął — i patrzy nań z osłupieniem.

Niema wątpliwości, że w łonie tego nieskończonego Lasu, w okolicach tego burgu, pod jakiemś skaliskiem, okrytem dzisiaj drzewami i ziołami, musi kryć się wyjście z jednego z tych rozległych podziemi, wyrytych zapewne jeszcze przed średniowieczem, które łączyły się między sobą tajemnemi przejściami, znanemi tylko głowom feudalno-wojskowego rodu, władającego nad tą okolicą, — a służyły, ongi, na wypadek oblężenia, do zaopatrywania burgu w żywność i do wycieczek nocnych... Przypomniawszy sobie, bez trudu, drogę do niezapomnianego tego wyjścia — które, w tej górzystej okolicy Wielkich Lasów, musi otwierać się, do wewnątrz, na jakiejś spadzistości wielkiej...

KOMANDOR, przerywając mu.

Odtąd, nie słucham już. — Gdyby nawet przypuścić w istocie, że hrabia von Auersperg, w fantastycznem postanowieniu, jakie mu przypisujesz, myślał ukryć na swojej własnej, rodowej ziemi, i to nie budząc podejrzeń, owe ogromne „zapasy amunicyi,“ — jakże uwierzyć, by chciał zdać się na łaskę dwóch tysięcy ludzi, którzy, bez żadnej wątpliwości, jutro zaczęliby mówić, z początku między sobą, o szczególnem swem zatrudnieniu wczorajszem? Godząc się nawet, że taka mogła być, na chwilę, myśl jego — zmącona przez zbyt poważne niepokoje, — jakże uwierzyć, by inni dowódcy, tacy jak książe von Muthwild i hrabia von Thungern, nie odradzili mu jej i nie odmówili swego współudziału? — Śniło ci się coś, Zacharyaszu.

Herr ZACHARIAS, zatopiony w myślach i jakby nie słysząc nawet słów jego.

Tak! musiał to być jakiś dżdżysty zmrok, śćmiony jeszcze przez wysokie szałasy listowia i przez gąszcze zarośli, gdy doprowadził, szerokiemi Lasu ścieżkami, o paręset już tylko kroków od miejsca ściśle określonego, gdzie pieczara owa, jeszcze niewidzialna, miała otworzyć się na zakołatanie pana dziedzicznego, — tak, — gdy doprowadził... Podniósłszy głowę i wlepiwszy oczy w Komandora: drobny oddziałek, oh! z dwustu ludzi, być może! — to, co było konieczne, jednem słowem, do kierowania zaprzęgami! — pozostawiwszy, w odległości jednej czy dwóch mil od skrajów boru, resztę swojej eskorty, teraz już bezużytecznej. — Gdy raz wkroczyli w tę niezamieszkałą i tak ustawicznie odludną okolicę, pierścień niebezpieczeństw został gdzieś za nimi daleko.

Jak gdyby patrząc na halucynacyę wyraźną.

Na nagłą komendę „stój“, wymówioną gromko przez hrabiego von Auersperg, wężowata kolumna wozów i ka-

walerzystów zatrzymała się na miejscu, i hrabia von Thungern, opuściwszy jej środek, stanął przed pierwszym zaprzęgiem. Auersperg, zsiadłszy z konia, sam jeden posunął się naprzód, dość daleko, starając się rozpoznać linie drzew, — i na zakręcie jakiegoś odwiecznego żywopłotu z posplatanych gałęzi i wysokich zarośli znikł nagle. — Nikogo niemasz koło niego. — Posuwając się dalej śród gęstniejących mroków, przygląda się uważnie pewnym złomom skalnym, ginącym prawie pod osłoną mchów i traw, a które odróżnił jednak na pierwsze spojrzenie od innych mszystych głazów, otaczających je dokoła. — Wyciągnął się w ich spoinie, której tajemnicę przekazał mu kiedyś, na osobności, ojciec, sam odebrawszy ją od dziada. Za przeważeniem właściwem, zgrzytnęła pod ziemią rdza potężnych dźwigni starożytnych, i oto dwa olbrzymie skaliska rozsunęły się, odsłaniając wejście odwieczne. Powstawszy wówczas, przywołuje, jeden po drugim, każdy z wozów, które, pod jego szybkiemi i krótkiemi rozkazami, przesuwają się po kolei przed ziejącym otworem.

Przy blaskach wielkich latarń ślepych, zapalonych nagle, po trzech ludzi od każdego zaprzęgu, przywykłych do obchodzenia się z działami, przyczepiają szybko do tyłu swych jaszczyków żelazną równię pochyłą, po której — za przecięciem lin siekierami — zsuwają się beczułki kruszcu, przytrzymywane z boków przez słupki ochronne. Toczą się, szybciej już, po spadzistości podziemnej, aż wreszcie, porwane własnym rozpędem, zaprzepaszczają się gwałtownie ku ginącym w ciemnościach granicom długiej pieczary. A wóz oddala się, powracając na dróżkę leśną; wkrótce dogania go następny, — i tak aż do ostatniego.

Dwie godziny wystarczyły. Dwaj pozostali wodzowie, w milczeniu, zajęli z powrotem miejsca na skrajach oddziału — z którym połączy się na umówionym punkcie

hrabia von Auersperg. On, zostawszy sam śród czarnej nocy, zamyka znowu wejście obronne ruchomemi skałami, które przed chwilą usunęły się lub podniosły. Stało się! Zawrotny skarb spoczywa zagrzebany bezpiecznie w nieprzeniknionych ciemnościach.

A teraz, Wasza Miłość, zważmy, naprzód, głębokie i zupełnie naturalne przekonanie, że czterysta beczek żelaznych zawierało, jakto bywa zazwyczaj w artyleryi, wyłącznie narzędzia i pociski z ołowiu, prochu i stali, jednem słowem, wszelkiego rodzaju amunicyę wojenną — (któżby, zresztą, domyślił się prawdy, wobec ich liczby!). — Zważmy, dalej, rodzaj ludzi w tym wyjątkowym oddziale, ich pochodzenie z okolic saskich, najbardziej oddalonych od Szwarcwaldu, — ich obłąkanie się w lasach śród tysiąca powikłanych drożyn, gdzie tylko hrabia von Auersperg mógł nie stracić głowy i kierunku, — ich zmordowanie długą drogą i niespokojne oczekiwanie spotkania z nieprzyjacielem w okolicach mniemanej fortecy, której, jak przypuszczali, miano zasilić kazamaty, — ich, że tak powiem, oślepienie, przez deszcz i zmrok, podczas nagłego przybycia, a potem przez ciemność nocną, podczas powrotu. — Zważmy wreszcie, że sam hrabia dogonił ich po krótkiej nieobecności i stał na ich czele w niebezpiecznym pochodzie, oraz że miano przerzucić ich nazajutrz w oddalone miejscowości, śród najgorętszej akcyi wojennej. — Czyliż przy tych okolicznościach jakiebądź niejasne podejrzenie, gdyby nawet zrodziło się w którym z nich rzeczywiście, nie musiałoby zostać zupełnie bezsilnem? A ponieważ pokój zapowiadał się w dniach najbliższych, jakiejż grabieży można było odtąd obawiać się tutaj?

KOMANDOR, bardzo spokojny, śledząc bacznie pana Zacharyasza.

Jakąż dowcipną opowieść, wymyśliłeś, mój drogi Zacharyaszu!... Niestety! historya twierdzi coś zupełnie

innego. Poucza nas ona, że wysoka Rada finansów Związku poleciła istotnie trzem dowódcom, o których mówisz, przewieźć do pewnej obronnej miejscowości na zachodzie Niemiec olbrzymie bogactwa narodowe. Zniewoleni, przez rozpościeranie się coraz szersze wojsk francuzkich, do zboczeń nieprzewidzianych, trzej konwojujący musieli ciągnąć wzdłuż granicy bawarskiej, a potem zwrócić się ku środkowi kraju: to ostatnie drogami zaznaczonemi na mapach wojskowych.

Herr ZACHARIAS.

Na tej, którą Wasza Miłość ma przed oczyma.

KOMANDOR.

Otóż, o dwadzieścia pięć mil przeszło od najdalszych występów tego Czarnego Lasu — skutkiem, to prawda, jakiejś okoliczności, która została niewytłómaczoną — generał von Auersperg oraz dwaj jego pomocnicy znaleźli się, pewnego dnia, razem na przedzie, w pewnem oddaleniu od konwoju — który, niewątpliwie, dostał się w ręce nieprzyjaciela. Ze szczytu wzgórz obsadzonych, dostrzegł ich patrolujący oddział tyralierów francuzkich...

Herr ZACHARIAS, wskazując palcem na mapie.

Oto miejsce najdokładniej zaznaczone!

KOMANDOR.

Nieprzyjaciel, nie mogąc, w ten sposób, wziąć ich w niewolę, rozpoczął przeciwko trzem oficerom ogień nagły, nieprzerwany i śmiertelny, który, w przeciągu mniej niż kwadransa, wytępił ich, nie zostawiając przy życiu ani jednego. Hrabiego von Auersperg znaleziono przeszytego kilkoma kulami przez pierś i głowę; dwóch innych spotkał tem sam los mniej więcej. — Wobec takiej, wię-

cej niż dwuznacznej, fatalności, nie mogę nie zgodzić się ze wszystkimi, że ten niespodziany wypadek wojenny, w połączeniu z rujnującem pojmaniem lub niepojętem zniknięciem kolosalnych bogactw... które gdzieś się zapodziały... pozostanie na zawsze jedną z najniezwyklejszych zagadek Historyi.

Herr ZACHARIAS.

Wasza Miłość, rzeczą jest, dla mnie, nie ulegającą wątpliwości, że zasadzka obmyślona, że zdrada stanowcza, o wybuchu zbyt późnym dla Wielkich, których była dziełem, kryje się pod mniemaną fatalnością tego zabójstwa wojskowego. — Ach! ileż razy czułem się na jej tropach, w ciągu najszczegółowszego śledztwa, któremu poświęcałem się z taką cierpliwością!... Po cóż nawet odkrywać Waszej Miłości, że księga kwitów, służąca do sprawdzania rewersów wydawanych imiennie z podpisami depozytaryuszów, została zniszczona, spalona! mam na to dowód! — Niech Wasza Miłość dowie się tylko, — iż nieprzyjaciel pojmał same jaszczyki, *nakryte jeszcze, lecz próżne!* — że hrabia Gerard von Auersperg, przed wejściem w ostępy Lasu, wyprawił na pole walki, ku granicom Księztw środkowych, resztę swych dwóch tysięcy ludzi, z którymi nie miał bynajmniej potrzeby łączyć się napowrót, — przeciwnie raczej! — Ztąd ta mała ilość kawalerzystów dokoła niego w chwili śmiertelnego wypadku, który się zdarzył... najdokładniej, w dwa dni po faktach, tylko co odtworzonych przeze mnie.

KOMANDOR, po chwili.

Na czem opierasz te przypuszczenia?

Herr ZACHARIAS, zniżając głos.

W wilię wilii dnia, gdy miał być zabitym, hrabia von Auersperg zjawił się tutaj, w zamku, koło północy.

KOMANDOR, bardzo blady, podnosząc się gwałtownie.

Jest-żeś pewien tego?

Herr ZACHARIAS, spokojnie.

Czuwałem przy pracy w dolnej sali wieżowej, gdy, naprzód, usłyszałem galop jego konia w wielkiej galeryi podziemnej, a potem, nagle, ujrzałem wchodzącego hrabiego Gerarda w płaszczu kawaleryjskim, kryjącym jego uniform.

KOMANDOR.

Tutaj? On!... — Po co?

Herr ZACHARIAS, nieco zdziwiony.

Ależ, jak myślę, aby uściskać w tkliwem pożegnaniu, niestety ostatniem, tę, która, wkrótce potem, miała obdarzyć go synem! Hrabina Liswia von Auersperg, która nosiła wówczas w łonie Jego Miłość hrabiego Axela, usunęła się tutaj na czas wojny, równie z powodu niebezpieczeństw, jak i choroby, która trzymała ją w łóżku, ciągle słabą i cierpiącą; dzięki temu, miała przynajmniej szczęście zobaczenia się z małżonkiem przed śmiercią, która ich połączyła. Fatalna nowina z pozajutrzejszego wieczora nie doszła jej uszu aż do końca. — Być może, iż podczas tych odwiedzin, tak nagłych i tak krótkich, hrabia von Auersperg zostawił jej jakieś pismo nieznane, przeznaczone dla syna, na wypadek, gdyby niebezpieczeństwa, które przeczuwał snadź, uczyniły tego syna sierotą. Co się stało z tem pismem? I czy wogóle istniało ono? Tego nie wiem.

KOMANDOR, który opanował się i rozmyśla od jakiejś chwili.

Herr Zacharias, powątpiewam jednak trochę, mimo najlepszej woli, o rzeczywistości całego tego marzenia!... Ale dla czego uważałeś za potrzebne odkryć mi taką tajemnicę?

Herr ZACHARIAS.

Niestety! dla tego, że jestem bardzo stary, Wasza Miłość! i że umrę niebawem zapewne. — Dlatego, że bezczynność przybiera tutaj rozmiary zbrodni, — i że nie chcę zabierać z sobą na tamten świat wyrzutu sumienia, iż milczałem jak inni! Dla tego, że, po uchwaleniu przed laty nieznacznych odszkodowań, rewersy, wykupione w ten sposób przez Państwa za marne pieniądze, zostały zniszczone — i że, w rzeczywistości, niesłychane te skarby *nie należą, dziś, do nikogo!*... Dla tego, że mój pan, któremu odkryłem wszystko — ze szczegółami, uzasadniającemi lepiej jeszcze me przypuszczenia, — nietylko nie przedsięwziął, ani, o ile wiem, nie zamierza nic dla odzyskania tych bogactw nieobliczonych, lecz zabronił stanowczo wspominać mu o tem kiedykolwiek! Dla tego, że kazał nam przysiądz, mnie i trzem innym jeszcze, że nie zrobimy nigdy najmniejszej o tem wzmianki, nawet pomiędzy sobą, nawet pocichu. — Oto trzy lata upływają dziś od chwili złożenia owej strasznej przysięgi... i nigdy ani słowa! Nie wiem, jaką niezwykłą i straszliwą wiedzę wykłada mu mistrz Janus... ale możnaby myśleć, w istocie, że... *zapomniał!* — U władz najwyższych nie znalazłbym posłuchu, ja, biedny starzec, zgubiony w tych lasach odległych! — Wasza Miłość ma moc. Wasza Miłość ma posłuch u królów! Sądziłem zatem, że wolno mi naruszyć przysięgę, grzeszną zresztą, abyś Wasza Miłość mógł działać w imieniu mego zbyt obojętnego pana. W ten sposób

sława, potęga i majątek spadną nań mimo jego woli!... Chciałem wywiązać się z tego obowiązku względem pamięci szlachetnego jego ojca, krewniaka i przyjaciela Waszej Miłości.

Słychać daleki głos rogu na drodze.

Oto Jego Miłość hrabia Axel!—Niech Wasza Miłość rozstrzyga teraz.

Zwija śpiesznie papiery i chowa je pod opończę.

KOMANDOR, popatrzywszy nań badawczo.

Herr Zacharias, jesteś mądrym i prawym sługą domu. Wszystko, co mogę ci odpowiedzieć, jest, że wyjeżdżam dzisiejszej nocy, i że przed upływem trzech miesięcy usłyszycie o mnie w tym zamku.

Poruszenie radosne pana Zacharyasza.
— Do siebie, namyślając się:

Dobrze. Obliczymy się zatem: o trzy godziny jazdy ztąd, przez Dolne-drożyny, mam pokój przygotowany w zajeździe pod *Trzema Bocianami*, na rozdrożu Leśnego Krzyża; Otto, kamerdyner mój, oraz dwóch pierwszych przewodników, oczekują mnie... Mogę być tam około wpół do dwunastej dziś wieczór. W ten sposób, wypocznę po pierwszych sześciu milach drogi. Jutro, ze świtem, znowu na koń! I za kilka dni będę miał Las za sobą! Potem... powozem pocztowym aż do Berlina! Tam, zrealizowawszy szczątki majątku i wziąwszy się przezornie do rzeczy... czemuż nie miałbym pokusić się, na własną rękę i w tajemnicy głębokiej, o zdobycie tego fantastycznego Runa Złotego?... O zdumiewające objawienie!... Gdyby to było prawdą, jednakowoż!

Słychać kroki w przedsionku.

Ciszej, kładąc palec na ustach.

Milczenie.

W głębi sali ukazuje się Axel von Auersperg. — Wydaje się w wieku dwudziestu trzech do dwudziestu czterech lat. Wysokiego wzrostu i przepysznej męzkiej piękności. Wytworna muskulatura i proporcye jego postaci zapowiadają niezwykłą siłę cielesną. Twarz jego, bladości świetlnej prawie, występująca z pod długich, falistych, ciemnych włosów, ma, skutkiem widocznych śladów ciągłego rozmyślania, jakiś wyraz aż tajemniczy.

Odzian w ubranie ze skóry czarnej, ze stalowemi guzikami. Na głowie ma czapkę wydrzaną, z orlem piórem. Na ramieniu karabin, u pasa topór.

Stoi chwilę nieruchomo, na progu sali.



(Ciąg dalszy.) Hr. de Villiers de l'Isle Adam.



Trzy Strofy.

W gwiaździstą noc
Usnęła dusza ma
W jeziora sennej głębi...

Usnęła tam,
Gdzie wodnej lilii kwiat
Do snu ją ukołysał
Bezbrzeżnym smutkiem swym,
Miłością i tęsknotą.

I powiał wiatr,
A niosąc brzaski dnia
Na ciche stawu oko,

Odleciał w dal,

Na pola kwietnych łąk,
Gdzie o kielichy kwiatów dzwoni
Zapachów mgłą
Dziewiczą.

I oto wnet
Słonecznej chuci żar
Obudził śpiące kwiaty,
I z lotnej mgły
W pragnące serca ich
Miłości wlewał rosę...

I zahuczała pieśń
Przepiękna i wspaniała...

A każdy kwiat
Otwierał kielich swój
Rozkoszą żądz palony,
I słońca żar
Pochłaniał w siebie tak,
Jak gdyby w zmysłów był ekstazie
I umrzeć chciał
Z rozkoszy...

I oto znów
Od kwietnych łąk i pól
Wieczorny wiatr popłynął,

I w czarny las

Niósł śmierci chłód i pył
Spalonych słońcem kwiatów.

I powstał w lesie śmiech
Szyderczy i złowrogi...

I było tak,
Jak gdyby w lesie tym
Jęczały kwiatów dusze,

Jak gdyby wiatr
Niósł z sobą tylko śmierć,

Jak gdyby kłamstwem było życie,

Jak gdyby było snem
Uśpionej mojej duszy.

Józef Rozprza-Krobicki.





Ogród zaklęty.

Tak mi mówili aniołowie,
Co znają prawdę, skrytą w Słowie,
Że tam, gdzie, wisząc nad przestrzenią,
Brzegi wieczności się zielenią,
Przedarłszy czasu mdłe osłony,
Wzgórzami tęsknot otoczony,
Zakwita ogród niezbadany,
Zaczarowany, obłąkany,
Zaczarowany skonem zorzy,
I obłąkany mgłą bezdroży!

Więc wizyą skrzydeł spromieniony,
Szedłem w cudowne owe strony,
Po przez stężałych snów urwiska,
Przez dawnych bytów uroczyska,
I nieraz w dzikiej swej podróży
Spotkałem widma bladych róży,
I mary lilij, co w przestworze

Na widziadlanem tkwią jeziorze.
I spotykałem wśród rozdołów
Omszone zwłoki tych aniołów,
Których Bóg strącił w te bezdenie
Za potępieńcze serc płomienie, —
I spotykałem senne kraje,
Gdzie wszystko mgłą i mgłą się staje,
Gdzie się kołysze w mgieł odmęcie
Dziwaczny okręt przy okręcie,
A melancholii słodkie fale
Przez ich pokłady mkną niedbale
I w bezpowrotne płyną dale!..

Aż wreszcie, depcząc pierś obłoku,
Jakiegoś Boga mając w oku,
Z duszą na wschodzie i zachodzie,
Stanąłem blady w tym ogrodzie!
Tam — każde drzewo jest zaklęte,
Tam są topole — wniebowzięte,
Kaskady — drętwe, w snach skąpane,
Mocą obłędów — sfałdowane,
I takich jezior tonie sine,
Że straszno spojrzeć w ich głębinę,
Że straszno spojrzeć w ich zwierciadła,
By twarz ci nagle nie pobladła,
Gdy ujrzysz skryte w nich widziadła!

Pod jednem drzewem niezbadanem,
Zaczarowanem, obłąkanem,
Gdzie każdy liść od marzeń kona,
Nawpół stworzona, wpół wyśniona,
Królewna cudna odpoczywa!
Z skroni jej warkocz wonny spływa,

Spływa i wpływa w alej głębie,
Zwisa na każdej skały zrębie,
Po wszystkich ścieżkach tak się ściele,
Jak czarodziejskie jakieś ziele,
A w górze — srebrem pałająca,
Niewyczerpana głąb' miesiąca!

Mów mi, królewno moja blada,
W jaki się mrok twój sen zapada?
I z jakich stron — twych oczu dale?
I z jakich mórz — twych warg korale?
I z jakich piekieł twe warkocze,
Po których drżący teraz kroczę,
I mów mi, w jaką wiodą stronę
Warkocze twoje — nieskończone,
Bo mię na wiek, na wiek już cały
Warkocze twoje opętały!

Ach, idźcie wszyscy, idźcie ze mną,
Ku niej — w krainę ponadziemną,
Lecz nie pytajcie mię (o Boże!
I któż mię spytać o to może!),
Gdzie jest ten ogród, gdzie te światy,
Do których wszystkie tęsknią kwiaty,
I wszystkie dusze, snem ozdobne,
Co są do kwiatów tak podobne!
I zkąd ta powieść moja rzewna?
I czem jest cudna ta królewna?
Bo choć mi serce rozpłomienia, —
Już nie pamiętam jej imienia!
I choć mi zawsze taka bliska,
Już nie pamiętam jej nazwiska!
Lecz wiem, że ogród ten — istnieje,

Że tai straszne jakieś dzieje,
Ach, dzieje straszne, niezbadane,
Zaczarowane, obłąkane!
Bo mi mówili aniołowie,
Co znają prawdę, skrytą w Słowie,
Że tam, gdzie, wisząc nad przestrzenią,
Brzegi wieczności się zielenią,
Przedarłszy czasu mdłe osłony,
Wzgórzami tęsknot otoczony,
Zakwita ogród niezbadany,
Zaczarowany, obłąkany!
Zaczarowany skonem zorzy,
I obłąkany mgłą bezdroży!

Bolesław Leśmian.

Modlitwa do duszy.



rzedziwnych baśni mistyczna królowo,
Kwietnych ogrojców przenajświętsza pani!
O daj mi poznać to magiczne słowo,
Co cię mym oczom wywiedzie z otchłani.

Czuję, żeś wiecznie w mej piersi przytomną,
A wraz na słońcach masz tron i królestwo;
I płyniesz, płyniesz tą falą ogromną,
Z której się ziemskie wyłania jestestwo.

Krwi rozszalałej niespożyte tętno
Niesie mi w uszy twych gromów fanfary;
Usta me dyszą twą pieśnią namiętną,
Roztloną w żarach niesytej ofiary.

Ta sama wiecznie i wiecznie odmienna
Otchłannych głębi świata tajemnico,
Zawrotnych szałów potęgo płomienna,
Szarych ugorów półmroczna tęsknico!

Ty, co mię strącasz w plugawe odmęty
I znaczysz Krzyżmem niewinności białej,
Przez którą jestem i grzeszny i święty,
Ukaż się w blaskach wszechpotężnej chwały.

O! daj mi poznać to magiczne słowo,
Co cię mym oczom wywiedzie z otchłani,
Przedziwnych baśni mistyczna królowo,
Kwietnych ogrójców przenajświętsza pani!

Przyjdzie.

Jeszcze nie przyszła, lecz słyszę jej kroki,
Odbite echem w bezprzestrzennej głuszy;
Wiem, że nadchodzi w świątnicę mej duszy
Rzucać najświętszych objawień uroki.

Wiem, że mię wkrótce zabierze na własność,
Wzrok mi jej będzie udręczeń pochodnią —
Lecz gdy mię przelśni ócz magiczna jasność,
Nowe się światy zapłodnią.

O, przyjdzie, przyjdzie w godzinę wieczorną,
Gdy oddech kwiatów zamiera najcichszy,
Bluźnierstwo wsączy w modlitwę pokorną
I orkan dzikich pożądań rozwichrzy.

O, przyjdzie, przyjdzie w płomieniach rozpusty,
W lśniącym przepychu dziewiczych obnażeń,
Z ust Jej wypiję jad spiekłemi usty
I zadrżę dreszczem śmiertelnych przerażeń.

— A moc w niej będzie, jak w bajecznej hydrze,
Straszna i wieczna. Splot zjadliwych węży
Na pierś mi rzuci, — jęk zdławiony wydrze,
I duszę moją na krzyżu rozpręży,
I, krzyk po krzyku rwąc z przepastnych ciemnic,
Dotrze do wnętrza najgłębszych tajemnic.

Edward Leszczyński.



Anioł Pański.

Na wodę legł różowy cień
I rozleniwił jasne fale,
Skroś ciszę pełną złotych lśnień
Winą się wolno i ospale.

Z ogrodów wschodzi zapach róż
I po winnicach się rozlewa.
W oddali — pod melodyę zórz —
Dzwon niewidzialny cicho śpiewa...

Z ukrycia laurowych drzew
Dzwon niewidzialny dzwoni zcicha,
Miarowo spada srebrny śpiew,
Wonią kwiatowych pól oddycha.

Błogosławieństwo ziemi śle
Ukołysanej wielką ciszą,
Góry topnieją w złotej mgle,
Obłoki krwawym ogniem dyszą.

Brzask.

Już dnieje. Szare światło wkrada się nieśmiało...
Patrz... A teraz ktoś złota naprószył na ścianę...
To słońce?! Coś tak gorzko w mem sercu załkało?
— Ciekawym, czy też słońce jest kiedy pijane?

Dobrze... dobrze... pójdziemy. Purpurowe zorze,
Las się pali... Cudowny jest wschód słońca w lesie,
A nad morzem... Bezbrzeżne, nieskończone morze,
Atlantyk!! Każda fala złoty pożar niesie!

Dobrze... pójdę. Jej oczy świeciły jak słońce,
A taki blask z nich płynął, świeży, nieustanny,
Takie światło pogodne, zaziemskie, rzeźwiące,
Niby w godzinę cudu z ócz Najświętszej Panny.

Ależ pójdę już... pójdę... W grabowej altanie
Cichą, żałosną skargą zaszumiały drzewa...
Moja biała królewna, moje ukochanie...
Słyszysz! Słyszysz! Tu, w sercu, echo słów jej śpiewa.

Włodzimierz Perzyński.



Pieśń.



wiaździste niebo — ciemny park drzew, a gdyby mary idą ludzie i śpiewają pieśń.

Słucham — pełen litości — złośliwy — rozsłoneczniony.

Bo w tej pieśni — w prostackiej tej pieśni tkwi jad, kryjomo żrący płomień i bolesna piękność dalekiej, dalekiej ojczyzny.

Oni tego nie wiedzą. Przecież tacy weseli w swej ciemnej, podziemnej pustocie. Ale ja znam tę pieśń...

Bo głąb' duszy przegryza mi ten jad, przeżera ten płomień, i chce wybuchnąć i rozżagwić się. I coś wre we mnie i czeka wielkiego: stań się! — Co się ma stać?

O męko — męko nieświadomej pełni, nieskończenie słodka męko!

Słucham, i siedzę, i czekam — przeczuwam; a oczy moje wdzierają się w dal, zkąd ma nadejść rozkoszna

zjawa, która zbliża się, zbliża z oddali, z dalekiej, dalekiej dali.

Bo jeszcze mnie opływa w rozwiewnych kręgach i wciąż się przetwarza, nieopanowana i nieokiełznana — odwieczna, ciemna przemiana Jedynego.

Męko, wieczna męko! — Nadejdzie-ż koniec?

I jaki?? — —

. . . .

Poprzez gwiazdy błądzą białe obłoki, a wiatr szepcze w cichym poświście; szepcze tajemnym a słodkim głosem, i rozczesuje świecące liście, i w sen kołysze gibkie gałęzie, a ciemne tonie szerokich wód marszczy dreszczem migotliwym w słonecznych blaskach. A światło płynie przez mgły i zwiewne opary, poprzez hardy opór nieokrzesanej materyi — płynie w dół z jasnych wysokości. To światło — ta pieśń...

Związane rymem cztery biedne strofki i prostacza melodya; grube głosy w szorstkiem, nieświadomem nabożeństwie.

Ale niemasz nic we wszystkich oddalach i wszech pobliżach, nic, nic, prócz tej pieśni a przez nią całej mej ojczyzny, która mi się teraz uświadamia, i prócz całej nieskończoności dusz i tej jednej jedynej, nieskończonej duszy.

I teraz jest chwała wysokości, i nędza padołu, i obszar bezkresów marną igraszką, a minuty, godziny, dnie, lata, lat tysiące — podstępna złudą.

I tylko objawione dusze, i w bezczasowej błogości ta jedna, objawiona dusza.

Patrzę na tysiącbarwny wir tych wielu, który jest spokojem jedynych. I odżywa we mnie dreszczem wiecznego powrotu wieczna religia i po wiecznej rozłące wieczne połączenie.

To drżące listowie topoli, co wysoka, smagła, ciemna, szczytnym wierzchołkiem w białe światło wybiega, ten białością lśniący pień brzozy, do ziemi pieszczotnie przykucnięte krzewię, te uciekające i powrotne fale, ta ręka, którą trzymam z rozszerzonemi palcami pod światło słoneczne, ta ręka z siecią i siateczkami żył i żyłek, poorana w dziwne linie: to wszystko, wszystko jest wieczną grą jej siły, psotnem ukryciem, w którem sama siebie szuka i z rozkosznem upojeniem odnajduje się — zawsze i wciąż na nowo się odnajduje.

Taki-m zmęczony, dziwnem przeczuciem zmęczony.

Czy jakaś zapora się usuwa? — Chcesz-że ty mnie odnaleźć? Chcę-ż sam odnaleźć siebie?

Jest-że to nowa igraszka, i coraz nowsza, i coraz piękniejsza, coraz weselsza?

W dali ta pieśń — echem, dalekim, tęsknym odgłosem przebrzmiewająca pieśń...

Ta pieśń...

. . . .

I znowu wszystko ucichło — i drżąca cisza. Czuję, jak każdy nerw drga w mem ciele, skupia się i napręża.

To koniec? Ale jaki?

Jakiż może być? Żaden! Bo nigdy i nigdzie nie masz końca. Zapora, co się usuwa; strzęp mgieł, co przewiewa; radosne, uśmiechnięte wynurzenie się z głębin... Ku jakim widnokręgom?

Szeroki, nieskończenie szeroki jest świat, a jednak zawsze i wszędzie, sami-śmy, jedyni — ty, ja...

. . . .

I cóż ze mnie, gdybym był tą dziką rozkoszą niepokoju, i tą niezgłębioną rozpaczą? I cóż ze mnie, gdybym był ci tylko tym smutnym zlepkiem kości, mięśni, żył, nerwów — nie zaś tą przeczuwającą tęsknotą?

W dzikim pędzie szaleję poprzez czas, dla mnie losem wyznaczony, poprzez mordy, krew, nędzę, poprzez nieprzeliczone zbrodnie, wskroś i przeciw mej gorączkującej a tak siebie świadomej skończoności.

Oszukuję, kłamię, morduję, nienawidzę; rzucam się na oślep we wściekłej rozpaczy w szał i obłęd niepojętej chuci, szaleję w mej ciemności — sprężam się z pożądaniem namiętnem ku poznaniu wszystkich tajni czasu i przestrzeni; chłonę i rodzę moją tysiąckrotnie i jeszcze tysiąckrotnie uciekającą, zwiewną, wiecznie się zmieniającą ułudę huczących światów, wiecznie niezadowolonego poznania; drżę, taczam się poprzez ten wir i zator ginących czasów mej znikomości — wiecznie to samo od krzyku radości do załamującej ręce rozpaczy, od zwątpienia i rozpaczy do krzyku radości; jestem rozkwitem i zanikiem narodów i państw; czołgam się w stępiałem zadowoleniu i czepiam się całą siłą skąpej, mizernej radości życia; chronię się za wał praw — tchórz i mędrzec względem samego siebie; sam się okłamuję, a w ograniczeniu mych zmysłów jestem gnijącą, przemierzwioną kupą gnoju i marnym, biednym kresem...

I cóż ze mnie, gdyby moje stęsknione przeczucie nie zaoszczędziło sobie między tępą rozkoszą i stępiałym bólem kilku różdżek oliwnych, a nagrodą i zwycięztwem całej mej rozpaczy i mych gorących, wściekłych zapasów z sobą samym nie była wiedza i szczęśliwa świadomość dobrze poręczonego spokoju i wciąż nowe ostateczne jego posiadanie...

. . . .

A teraz, spokojny, patrzę na najstraszniejszą ze wszystkich zagadek i odpowiadam na jej najzawilsze py-

tania. W bezkresnych przestworzach żółtych pustyń stoję naprzeciw odwiecznej, potwornej ohydy oczu sfinksa i patrzę ze śmiechem w jego martwe skamieniałe oczy.

I oto cała moja nicość, cała moja pycha, cała moja królewska powaga.

Ja sam jestem jej wielkiem, kamiennem milczeniem. W najtajniejszej mej głębi jestem sam w sobie wielkim, bezmiernym, milczącym spokojem, w mrocznej ciemni spoczywającą mocą i wiedzą, a mimo to wiecznie szarpanym, tysiącokształtnym niepokojem.

To dwoje, a przecież jedno — to jedno jedyne: wielki, bezmierny, milczący spokój.

Ale mój niepokój i rozpacz moja wykrzykuje tysiąc ciemnych tajemnic i pytań, w serce mi je wkrzykuje, wciąż odnowa — by się w mej duszy uświadomić, i upewnić się o swoich nieskończonych przemianach, i odnajdywać się wciąż nanowo w cichej, ukojonej jedności.

A moim niepokojem jesteście wy! Jestem niepokojem jako wieczna i nieskończona różnorodność: jako pierwiastki, słońca, rośliny, zwierzęta, ludzie, i wszystkie jestestwa, i wszystkie dusze: jako to wszystko, jako tego wszystkiego nieogarnione, niepoliczone szczegóły i nieogarnione, niepoliczone przeznaczenia.

I to wszystko wkrzykuje się w mą duszę, znajduje odpowiedź na zapytania i nie znajduje jej, lecz zawsze znajduje nieskończenie błogą odpowiedź: wiekuisty, milczący spokój.

Bo z ciemnych prailów mojej ciszy, spokoju i nicości, pobrzmiewa wiecznie i wiecznie, jako odpowiedź na dziką chuć mej tęsknoty, odwieczne pytanie, jej zawsze jednaki odgłos — i nic — nic — prócz odgłosu.

. . . .

Bo właśnie wtedy, gdy stare pytanie wciąż i wciąż i coraz dziczej krzyczy i wstrząsa posadami odwiecznych mistycznych tajemnic, wtedy — jako pytanie i odpowiedź zarazem — pobrzmiewa ono z powrotem z nieskończonych oddali wiecznego światła i wiecznej pewności, i Jeden się rodzi, który jest jego usty; Jeden, wiecznie Odradzający się, Cichy, Cierpiący pod odwiecznem misteryum, Jeden w którym się skończoność i nieskończoność objawia jako Jedność, sama siebie w wiecznej miłości obejmująca.

Gdziekolwiek wszakże i ilekroć na świecie ten Jeden w skończoność się wrodzi, tam i tylekroć powstaje nowy dzień i nowa, dobra nadzieja. Tam cieszy się radość, tam śmieje się spokój, tam gotuje się do boju nowa, młoda, śmierci urągająca wola, a przed nią nowe tory, i nowy cel bezkresnego urzeczywistniania się.

. . . .

Oto cała moja nicość, moja pycha i ma królewska powaga. Bo jeżeli wiem jedno słowo o pokoju, jest ono niczem więcej jak echem waszego niepokoju i błędnych pytań waszej rozpaczy. A echo to ja odbijam z powrotem w wiecznie poważnym spokoju, jako ten, który jest prawy, pełen prostoty i wylania, jako ten, który słyszy, rozumie, łączy i z powrotem oddaje: wiernie, z prostotą i wylaniem.

I to jest moje straszliwe i nieskończenie błogie przeznaczenie! Jestem niczem, niczem i — wszystkiem!

Wy jesteście mną! tak, Wy! A ja jestem wami. Ty jesteś mną, ja jestem Tobą; Ty jedynie, i tylko Ty jesteś całem mojem dostojeństwem i całą moją nicością. I to jest moja odwieczna, roześmiana świadomość i wieczny brzask młodego dnia...

. . . .

Ale między mną a nią zaległa ciemna noc.

Już zanurzyłem się w jej bezbrzeżną grozę. W grozę i strach między początkiem a końcem. Ona jest tajną śmiercią, która mnie trawi.

Przychodzi z chłodnym dreszczem ciężkiego znużenia. Jest tchórzostwem, które w ciągłem wahaniu czepia się tego, co zostało zwyciężone. Miłością i nienawiścią, która mnie ściga, i setkami przyzwyczajeń i martwych pojęć, które jeszcze żyć pragną, i dręczącem wątpieniem starej ograniczoności. I jest mi ostatnią, nierozegraną jeszcze walką, i ohydną zjawą starego kłamstwa, które wciąż i wciąż zimnym dreszczem zbiega mnie wiecznie żyjącego. Jest straszną martwotą trupa i jego stęchłą, ziejącą zgnilizną. Jest dzikim rozgwarem, rozpacznym zgiełkiem nowych, tylko przeczuć dających się światów, za wielkich, za wspaniałych dla mego tchórzowstwa, o ileż za wspaniałych i za wielkich!

Śmiercią moją jest ta noc, długiem konaniem, ciemną, mętną przemianą dwóch dni, dwóch dni...

Na oślep rzucam się w tę noc, w tę walkę. Z radosną, świadomą odwagą i z mocną, dumną duszą. Ta jest bohaterką duchowych walk, potężniejszą niż wszyscy bohaterzy mocy cielesnej ze wszystkich przeszłości.

. . . .

Daleka, daleka droga! Ciemna, ponura walka! A wynik? A cel? — O, niemocy mego biednego słowa! — celem jest bezbrzeżne morze milczenia.

W niem wreszcie utonę ja, i odwieczny pierścień dusz, i słońc, i niepokoju.

Ja i cały mój niepokój: dusze i słońca. Jam jest to milczenie, i kiedyś sobie je w sobie uświadomię, i spocznę sam w sobie.

Oto jest mój wieczny koniec i mój wieczny początek.

. . . .

Gdy gwiazdy się iskrzą, gdy podmuchy leciuchne szemrzą pieszczotliwie, a ostatnie barwy cicho, faliście igrają — — teraz...

Teraz — o męko nad wszystkie męki! — teraz poznałem moją długą drogę, i dla ślepoty mej świta jutrzenny brzask celu...



PRZEŁOŻYŁ
St. Przybyszewski.

Johannes Schlaf.

Upojenie księżycem.

Wino, które się pije okiem,
Z księżyca spływa modrą falą,
Nad widnokręgów cichych dalą
Morzem rozlewa się szerokiem.

Zgubne, a tchnące mdłym urokiem,
Rady w tym filtrze się kryształą:
Wino, które się pije okiem,
Z księżyca spływa modrą falą.

Poeci zbożni tym wyskokiem
Dziwnym wnętrzności sobie palą,
Chłonąc — póki się z nóg nie zwalą,
Z wściekłemi ruchy, w niebie wzrokiem —
Wino, które się pije okiem.

Ścięcie.

Księżyc, jak szabli ostrz białej
Na ciemnem z mory wezgłowiu,
W sierp się wygina po nowiu
Śród niebios bolesnej chwały.

Wędrowny Pierrot znędzniały
Śledzi — tak klown w pogotowiu! —
Księżyc, jak szabli ostrz białej
Na ciemnem z mory wezgłowiu.

Klęka — i, trzęsąc się cały,
Marzy, iż w czarnem pustkowiu
Za wykup ludzkiemu mrowiu —
Z gwizdem tnie w kark mu zdrętwiały
Księżyc, jak szabli ostrz białej.

Pierrot złodziejem.

Królewskie krwawe rubiny,
Mordów i chwał meteory,
W pomroce drzemią komory
Śród lochów groźnej głębiny.

Pierrot, z kilkoma złosyny,
Kraść idzie, po pitce skory,
Królewskie krwawe rubiny,
Mordów i chwał meteory.

Lecz strach im zjeża czupryny:
Śród aksamitów i mory,
Jak oczy groźnej potwory,
Palą się w głębi witryny
Królewskie krwawe rubiny!

Piosnka o szubienicy.

Oblubienica z szyją jak tyka
Będzie kochanką wam bez pieniędzy,
W wieczystej nędzy wieczni włóczędzy,
Śni - złotki wieczne, a bez grosika!

Taką myśl zawsze, nakształt gwoździka,
Wbija im w głowę pijaństwo z nędzy:
Oblubienica z szyją jak tyka
Będzie kochanką wam bez pieniędzy.

Smukła jest, piękna, choć nieco dzika,
Na piersiach — warkocz konopnej przędzy,
A swym duszącym uściskiem prędzej,
Niż inna, rozkosz wściekłą rozbryka
Oblubienica z szyją jak tyka.

Skrzypce księżycowe.

Zamkniętych skrzypiec dusza drżąca,
Pełna harmonii i milczenia,
Śni, z czarnej skrzynki swojej cienia,
Sen obumierań, trwóg tysiąca.

W bolesnej nocy tej bez końca,
Pod czyjąż ręką wyda brzmienia
Zamkniętych skrzypiec dusza drżąca,
Pełna harmonii i milczenia?

Cieniuchna, biała nić miesiąca
Przedzgonnie słodko wypromienia
Swych ironicznych pieszczot tchnienia — —
I śni, że świetlny smyk ją trąca,
Zamkniętych skrzypiec dusza drżąca.

Kryształ czeski.

Promień księżyca, uwięziony
W pięknym z czeskiego szkła flakonie,
Oto poemat, który wionie
Rondelów tych lekkiemi tony.

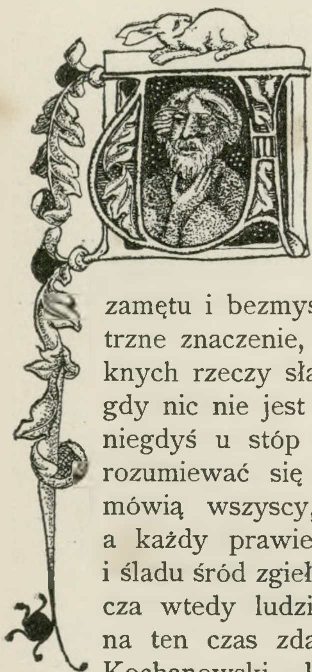
W Pierrota - m zamknął się kokony,
By ofiarować swej madonnie
Promień księżyca, uwięziony
W pięknym z czeskiego szkła flakonie.

W symbolu tego - m skrył zasłony
Wszystko, najdroższa, co mam w łonie;
Jak blady Pierrot żarem płonie,
Tak drga w mej masce pomarszczonej
Promień księżyca uwięziony.

Z cyklu „PIERROT KSIĘŻYCOWY“
PRZEŁOŻYŁ
Miriam.

Albert Giraud.

Walka ze sztuką.



pewnych rubieży ducha obliczać się należy, sprawdzać, co się ma, a co z mniemanych dóbr złudzeniem jest tylko, stwierdzać wreszcie rzeczy, które już istnieją, ale których nikt dotąd sformułować nie umiał czy nie śmiał. Nagląco potrzebne są obrachunki takie w dobach zamętu i bezmyślności, gdy wszystkie słowa straciły wnętrzne znaczenie, gdy nazwy i symbole ongi wielkich i pięknych rzeczy słaniają się po rozstajach niby czcze widma, gdy nic nie jest pewnem dla wszystkich jednako, gdy, jak niegdyś u stóp Babelskiej wieży, co do wszystkiego porozumiewać się trzeba, a porozumieć niepodobna, gdy mówią wszyscy, którzy nic do powiedzenia nie mają, a każdy prawie głos wielki i głęboki bez spółdźwięku i śladu śród zgiełkliwej zanika niemoty. Prawda, iż zwłaszcza wtedy ludzie takim obliczeniom nieradzi. „Człowiek na ten czas zda się sobie namędrszym,“ spostrzegł już Kochanowski, „kiedy nasprośnieyszy; zda się sobie namężnieyszym, kiedy nasłabszy.“ „In den Jahrhunderten vor

uns,“ uzupełnia uwagę tę o parę wieków później Jean Paul Richter, „scheint uns die Menschheit heranzuwachsen, in denen nach uns abzuwelken, in unserem herrlich blühend aufzuplatzen.“

Schyłek wieku ubiegłego, nie ustępujący innym epokom, lub może przewyższający je pod względem owej śmiesznej, dziecinnej zarozumiałości, był widownią zupełnego chaosu duchowego, rozbicia wszystkich pojęć na drzazgi empiryczne, osłabionej zdolności syntetycznego, celowego myślenia i działania, zamętu i anarchii, jakie świat rzadko snadź widywał. Nie dziw zatem, iż przychodząc z uprzedzeniem gotowem o doskonałości i wielkości tak bardzo sławionego, a niestety nader nieokreślonego „postępu,“ i nie mogąc nadto wyjść poza mniejsze lub większe konglomeraty faktów i wznieść się do jakichkolwiek uogólnień, patentowani rachmistrze zasług XIX stulecia dali się oszołomić zgiełkiem szczegółów, ciżbą „wielkich zdobyczy“ i nie zauważyli najcharakterystyczniejszej wieku tego cechy: stałego, co raz gwałtowniejszego opadu ducha, rosnącej nieustannie, i pod koniec wprost już zastraszająco, *nienawiści do wszystkich rzeczy wiekuistych,* nie mieszczących się w granicach zmysłowego, ziemskiego poznania i życia.

Kiedyś, wielka jakaś rewizya przeszłości — bo przyszłość to „korektorka wieczna“ (NORWID) — zmodyfikuje też zasadniczo wnioski ostateczne tych panegirystów i wiek, dla którego niektórzy proponują dziś miano „wielkiego,“ nazwie wiekiem zrzeczenia się ludzkiej godności. Naszem, w tej chwili, przedsięwzięciem będzie jedynie zastanowienie się nad jednem z najbardziej znaczących objawów tej nienawiści, jakiem jest ciągła i coraz gwałtowniejsza *walka ze sztuką.*

Napaści, coraz zażartsze i zmieniające się w końcu w prawdziwą nagankę na każdy szczery, prawdziwy

objaw sztuki, walki ze wszystkiemi próbami szukania nowych dróg twórczych, obnoszenie na tarczach wszelkich płytkich tryumfatorów, wszelkich epigonów, wulgaryzatorów i wdzięczących się do tłumu służalców, zobelżanie lub grzebanie w głębokiem milczeniu największych, najgłębszych twórców, wojowanie ze stworzonemi ad hoc na postrach tłumom widziadłami, z próżnemi treści etykietami i nic nie mówiącemi definicyami zbiorowemi, wreszcie objawy wyraźnej nienawiści do sztuki już samej, jako niepotrzebnie wybijającej z błogiego snu zwierzęcego, nienawiść do wszelkiej głębi, do wszelkiej duchowości, do wszelkiego zapału czy wzlotu, — oto co charakteryzuje całą, przeszło półwieku zajmującą, dobę poromantyczną i różni ją od epok poprzedzających. Trwałe jakoby uznanie ogólne dla wielkich twórców romantycznych nie może służyć za dowód przeciwny, było ono bowiem owocem i ostatnim prawie objawem resztek zniszczonej przez rewolucyę francuską kultury, oraz wielkiego, wyprzedzającego Rewolucyę, i przerwanego przez nią chwilowo, podniesienia duchowego w drugiej połowie wieku XVIII i pierwszej ćwierci ubiegłego. Późniejsze czasy przyjęły już uznanie to nie z wnętrznej potrzeby, lecz jako obowiązujący komunał historyczno-literacki (czego dowodem — jednako hałaśliwe uwielbienia dla zupełnie słabych rzeczy u tych uznanych i dla ich najgenialniejszych podrywów) — i odtąd wielkie i święte imiona szły „jak dźwięk pusty przez pokolenia,“ służąc jedynie za broń ślepą przeciwko nowym wysiłkom i nowym wielkim duchom. Z poromantycznych czasów, niech mi kto przytoczy jeden prawy, głęboki kierunek w sztuce, jednego istotnego, wielkiego twórcę (a jakby dla zrównoważenia tego opadu ducha w masach, tyle było pierwszych, tylu drugich!), któryby nie był odpychany, wyszydzany, lżony, zwalczany, — że pominę już zupełne otaczanie murem mil-

czenia i pogrążanie w niepamięci, co do największych stosowano! Dość przypomnieć napady zdumiewającej zajadłości na Parnas francuski, na bractwo prerafaelitów, na impressyonistów, na widma dekadentyzmu i modernizmu, na Baudelaire'a, Wagnera, Ibsena, Rodin'a, Maeterlinck'a, Przybyszewskiego, na wszystkich, jednem słowem, którzy nie chcieli zejść ze szczytów na poziomy i zrzec się wzlotu, żaru, głębi, składających istotę wielkiej, prawej twórczości. Ciągłość napaści tych wskazuje na istnienie wzmagającej się nieustannie, w każdym zakresie, pod każdą postacią, na całej linii — walki ze sztuką samą, z jej źródłami i jej najwyższą zasadą. Udowadnianie faktami jest tu zresztą rzeczą zbyteczną, gdyż schyłek wieku ujrzał pogromców, czy to śmielszej czy to świadomszej siebie natury, którzy, zrzucając maskę, otwarcie już i bez jakichbądź obsłonek, zaprzeczyli sztuce wszelkich praw do królewskiego stanowiska Pani dusz, Wyzwolicielki z ograniczoności cielesnej, Pośredniczki między indywidualnością i Absolutem, uczynili ją „funkcyą społeczną," zostawili jej rolę rozrywki uprzyjemniającej życie lub wózka dla tendencyj jedynie, i wyraźnie stwierdzili — gdyby nad to podrzędne stanowisko wznieść się pragnęła i śmiała — swą nieprzejednaną dla niej nienawiść. Z początku próbowano pośrednio sprowadzić sztukę z piedestału, wykazując zdumiewające pokrewieństwa między wielkimi twórcami a maniakami, waryatami i kryminalistami, i przeciwstawiając ich w ten niepochlebny sposób zdrowym, normalnym miernościom. Później zaczęto już wyraźniej oburzać się na otaczanie sztuki, a zwłaszcza poezyi, „nimbem przesadnym." Dalej, pozornie uznając jeszcze, że „w społeczeństwie wszystko ma swoją wartość: zarówno rzemieślnik jak rolnik, jak kupiec, jak wreszcie uczony i artysta," — w rzeczywistości zrobiono sztukę jakimś *article de luxe,* bez którego ostatecznie obejść-by się można:

„Nie rozumiem, jakim sposobem można byt narodu robić zależnym od sztuki, która jest tylko jego ozdobą. To raczej sztuka zależy od narodu, od jego skromnych pracowników. Bo co poczęliby wszechwładni poeci, malarze, fortepianiści, gdyby rolnik, młynarz i piekarz nie dostarczył im chleba, szewc — butów, krawiec — modnego fraka, bankier — pieniędzy i t. d.“ (PRUS). Wychodząc z tego stanowiska, zastanawiano się zupełnie poważnie, czy wielki twórca istotnie więcej wart niż włóka ziemi, i czy społeczeństwo nie straciłoby na zamianie, gdyby mu zamiast posiadanych 848000 włók ziemi dano tyluż (literalnie!) wielkich artystów. — Później setkami całemi sypnęły się urągania na „haszyszowe marzenia,“ „arkadyjskie pikniki w wiszących ogrodach,“ i t. p. — co wszystko miało oznaczać sztukę, która nie chciała zaprzeć się swych zadań istotnych i wejść w służbę jakich bądź celów doczesnych. Aż wreszcie przyszła chwila wyznań otwartych. Z jednej strony pada propozycya, aby usunąć ze sztuki „gmatwające rzecz pojęcie piękna“ (TOŁSTOJ). Acz to, może najpiękniejsze z głupstw, jakie się przydarzają genialnym ludziom, znosi w rzeczywistości sztukę samą, przyjęto je z zachwytem i owczym rozpędem, i miażdżąco replikujące zapytania Peladan'a (a czemże będzie prawo bez gmatwającej rzecz idei sprawiedliwości, wiedza bez idei prawdy, moralność bez idei dobra, każda kwestja bez „gmatwającego rzecz“ jej przedmiotu?) przeminęły bez echa. Tenże Tołstoj twierdzi bezkarnie, że „wielkie dzieła sztuki są wielkie *tylko* dlatego, że są dostępne i zrozumiałe dla wszystkich,“ a gdyby kto nie wierzył, dodaje, że „wzruszająca bajeczka lub piosenka, ciekawa zagadka śmieszny żarcik, to coś niesłychanie ważniejszego niż powieść, symfonia lub obraz.“ Inny autor, mówi o Słowackim, że „gdy na orlich skrzydłach wzniósł się i wkroczył do *Dichters Lande*... w osłupieniu niemal

przypatrujemy się nadczłowieczym wzlotom, kręgom i zatokom autora *Genezis z Ducha*... atoli iść za nim nie możemy... prowadzi nas bowiem w zaświaty, na wyżyny tak zawrotne, że *wolimy* pozostać na padole" (T. T. JEŻ). Inny znów ostrzega, że „pogoń za pięknością, to najpewniejsza droga do pozy teatralnej i blichtru scenicznego" (ST. SZCZEPANOWSKI). Inny jeszcze robi zarzut, że „poezya zajmowała w naszem życiu umysłowem zawsze zadużo miejsca" (J. OCHOROWICZ). Reasumują rzecz wyraźne już zupełnie i godne upamiętnienia „Medytacye:" „Co myśleć o społeczeństwie, w którem poezya zasłania wszystkie inne sfery życia, a laury oplatają nogi aktorom?" — „Rasy, do których należy przyszłość, szukają idei pożytecznych; zużyci i dogorywający wzdychają do czystego piękna" (B. PRUS).

Te otwarcie już wrogie wystąpienia przeciwko samej istocie sztuki, to uświadomienie się nurtującej dawno już w tłumach, tajemnej nienawiści do ostatniej — po „wyzwoleniu się" z religij i metafizyk — dusz Pani, jest przełomem stanowczym i czyni z prostego terminu astronomicznego, jakim jest koniec stulecia, ideowy punkt zwrotny i jakgdyby słup graniczny między dwiema ducha epokami.

Walki z nowemi objawami sztuki nie były bynajmniej zjawiskiem nieznanem nawet w czasach dawno minionych. Powtarzały się prawdopodobnie od początku świata. Znajdujemy przynajmniej ślad ich już w Horacyuszowskiem „...metuunt versus, odere poetas," a wyraźniej jeszcze w Juwenalisowskiem:

Poscimus, ut sit
Non minor antiquo Rubrenus Lappa cothurno.

I u nas, już w XVI w., Januszowski zwraca uwagę, iż „wydawać rzeczy nowe y niezwyczayne niebezpieczno."

Im bliżej naszych czasów, tem zjawisko powtarza się częściej. Dość przypomnieć za Mickiewiczem, że Gottsched uważał naśladowniczą szkołę poetów szlązkich, za klasyczną, własne wiersze za najwyższy wytwór klasyczności i narodowości niemieckiej, Lessinga zaś, Klopstocka, Goethego za nieumiejętnych i zuchwałych nowatorów. U nas przybrało to natychmiast kształty homeryczne. „Jedni—świadczy Mickiewicz — śmieją się z Goethego, którego dzieła na całym ucywilizowanym świecie aż do rogatek warszawskich tłumaczono, czytano i ceniono; drudzy cieszą się, że nie umieją po holendersku i nie czytają Lessinga; inni radzą nawet wyciągnąć kordon zdrowia, (— jakaż zdumiewająca paralela z „Dezynfekcyą sztuki“ St. Szczepanowskiego! —) ażeby przypadkiem nauka nie wkradła się z zagranicy.“ A dalej wielka batalia Byrona z krytykami i recenzentami szkockimi, słynna zawierucha około Hernaniego i przedmowy do Cromwella, wreszcie napaści klasyków naszych na Mickiewicza, które dzisiaj tak oburzającemi i bezwzględnie niesłusznemi wydają się właśnie najzajadlejszym dzisiejszych „nowych kierunków“ pogromcom.

Wszystko to jest objawem bardzo naturalnym, psychologicznie i filozoficznie najściślej dającym się wytłómaczyć. Podobnie jak religia, metafizyka, mistyka, — sztuka jest oknem ku nieskończoności, pryzmatem, przez który — nie mogąc objąć jej całej — to z tej, to z owej strony w bezdenną otchłań jej wglądamy. Dlatego niemasz nowej sztuki; są tylko nowe sposoby, nowe próby, nowe pragnienia odsłonięcia, pod nowym kątem, z nowej strony, tej samej, wiecznie jednej, wszystko ogarniającej jedności bytu. Człowiek — powiedział ktoś — jest jak drzewo, którego korzenie i gałęzie rozciągają się w nieskończoność we wszystkie strony. Ale, o ile duch dąży do uniwersalizacyi, do ogarnięcia całości bytu, o tyle ciało do indywidualizacyi, do oderwania każdego poszczególnego

zjawiska od jedności świata. Ciało ma stanowczą przewagę w tłumach, duch działa w jednostkach twórczych. Każdy ruch intelektualny czy artystyczny, to walka spontaniczności z inercyą, ducha z materyą, twórczości z nawyknieniem, uniwersalności z indywidualnością (a raczej z fenomenizmem), nieskończoności ze skończonością. Tłum widzi tylko widzialne tej walki objawy w bohaterach przełomów ostatecznych odnoszących co pewien czas, i na pewien czas, mniej lub więcej głębokie zwycięstwa i wyłącznie obdarzanych z tego powodu mianem geniuszów. Walka wszakże nie ogranicza się w istocie do owych chwil przełomowych. Duch buntuje się ciągle przeciwko ograniczoności cielesnej. Ukryta praca prekursorów (a to znaczy: niemniejszych twórców od zapisanych w dziejach sztuki zwycięzców) trwa ciągle i umożebnia owe peryodyczne przełomy i tryumfy, przygotowując zwolna pełną drgań i pragnień atmosferę i rozbudzając śpiącą normalnie w tłumach pod tłem kontygencyj i efemeryj tęsknotę do wieczności i nieskończoności. Walka z prekursorami tymi jest stokroć bezwzględniejsza niż batalie w chwilach przełomowych, jest to walka stanowczego nierozumienia, kończąca się ich zapomnieniem i przeniesieniem całej admiracyi na przychodzącego w następstwie widzialnego geniusza. Boje te toczą się nieustannie, bo po każdym błysku nieskończoności, po każdem drgnieniu tęsknot, inercya odzyskuje swe prawa, i dzieła uznanych nawet geniuszów, zmieniając się wprędce w martwą literę, z której już pierzchła dla tłumu duchowa treść nieskończona, służą, przez psyttacyzm, do zwalczania nowych ku tejże nieskończoności dążeń. Oto geneza t. zw. martwych reguł sztuki. Idą one dla tłumu a posteriori z twórczości geniuszów. U tych ostatnich miały one istotną wartość i znaczenie kategoryczne; później dopiero straciwszy treść duchową, nabrawszy charakteru anegdotycznego i zmie-

niwszy się w pozorami jeno łudzące widma, obumierają i trupami swemi zawalają drogę nowym ducha wysiłkom.

Dobrze wszakże jeszcze, gdy nowatorzy mają do zwalczania choćby znieruchomiałe i bezduszne formy, ale które są zewłokiem żywej niegdyś i wielkiej treści. Jest to walka twórczości z erudycyą i uczonością, znającemi — choć powierzchownie, choć zewnętrznie — przeszłość sztuki. Takie były starcia dawniejsze, aż po romantyzm włącznie. Późniejsze walki z nowemi objawami twórczości — trudno już zaiste powiedzieć, w imię czego prowadzono. Frazes, bezmyślność, atrofia estetyczna, anarchia pojęć, słaba lub żadna znajomość przeszłości, brak wszelkiego autorytetu, obce sztuce widoki i cele — oto co samozwańczo przeciwstawiało się wysiłkom nowatorów, którzy w ten sposób zmuszeni byli odpierać najuporczywszą z arogancyj, arogancyę nicości. Rozpatrzmy dla przykładu zarzuty czynione przez Mickiewicza „krytykom i recenzentom warszawskim," w porównaniu z analogicznemi walkami późniejszemi przeciwko „nowym kierunkom." Urąga wprawdzie autor „Dziadów" taktyce „recenzentów, lubiących o rzeczy niewiadomej rozprawiać ogólnemi zdaniami, które w literaturze zamiast znaku x używają się" (zdałoby się, że o dzisiejszych krytykach *fabula narratur!)*, — wnet wszakże potem wyznaje, iż „recenzenci, jakiekolwiek jest ich zdanie, należą prawie zawsze do klasy ludzi czytających książki, przynajmniej polskie." *Olim, olim istud erat!* zawołać możemy z Kochanowskim. Jeżeli czytaniem książki nazwiemy nietylko przebiegnięcie stronnic oczyma, lecz zastanowienie się nad treścią rzeczy przeczytanej, to kategorycznie twierdzić możemy, iż recenzenci dzisiejsi nie czytają książek, o których wydają sądy. Uskarża się dalej Mickiewicz, że „w ocenianiu szczegółowem autorów i ich porównywaniu, powtarzały się wiecznie szkolne topiki: ten np. autor lekki, dowcipny, zabawny, tamten ponury, smutny,

górny i t. p.“ Zdawałoby się, iż zupełnie jak za naszych czasów, gdy za całą charakterystykę starczą nic nie mówiące etykiety (ten dekadent, tamten symbolista, ów modernista etc.), lub wyszarzane ogólniki (fotograficzna wierność odtworzenia, baczna obserwacya, drażniące wonie modernizmu i t. p.). Za Mickiewicza jednak tak źle nie było, świadczą o tem zaraz dalsze jego konstatacye. „Sonety aż do najdrobniejszych szczegółów, aż do pojedynczych wyrazów i wyrażeń, a nawet wyrazowych form i zakończeń, gramatycznie, retorycznie i estetycznie rozbierane i sądzone były.“ Gdzieżby dzisiaj recenzent pracę taką sobie zadawał, a nadto na podstawie czegoż wydawałby sądy, skoro i z gramatyką często bywa źle, a dopieroż z retoryką i estetyką. *Corpus juris* szkoły krytycznej w epoce Mickiewicza „składały kursa literatury w liceach i prytaneach francuskich naówczas używane, przedmowy znajdujące się na czele dzieł Corneille'a, Racine'a i Voltaire'a, rozbiory i komentarze.“ Teoretycy umieli jednak coś wówczas, skoro mogli „z litością na mówców wołać: isti homines, me hercule, habet talentum, sed non docti, rhetoricam non frequentaverunt, non illuminant orationem figuris; ubi est hipotyposis, aposiopesis, prosopopoeia, sustentatio, praetermissio? Gdzież są dzisiaj krytycy, którzyby o podobnych rzeczach cośkolwiek, choć ze słyszenia, wiedzieli, którzyby autorowi jakieś uwagi zdolni byli robić co do jego rymów, rytmów, okresów i w ogóle technicznych stron jego twórczości? „W wyroku o stylach, albo raczej o stylu, bo jeden tylko styl znano, do jednego dążono, wyłączną miały powagę retoryczne i gramatyczne o wierszach przepisy.“ Dziś żadnego stylu się nie zna, żadnych retorycznych i gramatycznych przepisów; żadnych się też kryteryów nie ma do sądu, a jednak z zuchwalstwem sądzi się wszystko, co wpadnie pod rękę. I to nietylko krytycy zawodowi. Mickiewicz użala się na pew-

nego recenzenta, który „nie skąpi dlań wyśmienitych przestróg o potrzebie pracowitości, o strzeżeniu się miłości własnej, o posłuszeństwie dla krytyki... Z powołania publicysta i statysta nie śmie *(jednak!)* wdawać się w rozprawy literackie i nie wiedząc sam, czy mu poezye moje podobać się mają lub nie? pyta się o to uczonych warszawskich.“ Użala się Mickiewicz niesłusznie.

. . . . . . Cóż gdyby
Obaczył temi czasy pełne wiatrów mózgi,
I pełne dymów głowy, górne animusze,
Nadęte ambicyą, oraz próżną chwałą;
(K. OPALIŃSKI).

gdyby się znalazł wśród dzisiejszego mrowia reporterów, doktorów, adwokatów, księży, historyków, ekonomistów itp., którzy nie mając najmniejszego pojęcia o sztuce, gorzej, najsłabszego jej nawet odczucia, z całym spokojem i pewnością siebie wydają sądy nieodwołalne?

Dziś wszystko już inaczej, wszystko spoważniało;
Jako mówię, postawy dosyć, wątku mało.
(J. KOCHANOWSKI).

Zaiste, dziś dopiero powtórzyć można za Kantem, iż „in diesem Lande in der That noch kein sicheres Mass und Gewicht vorhanden ist, um Gründlichkeit von seichtem Geschwätze zu unterscheiden.“ Że nietylko u nas tak się dzieje, słuszna przeto zastanowić się nad obejmującą wiek ubiegły ewolucyą, która ze schyłkiem stulecia do tak opłakanych doprowadziła rezultatów.

Rewolucya francuska i czasy Napoleońskie wprowadziły na widownię świata, i to pod hasłem absolutnej równości, całe nowe, dotychczas nie uczestniczące w życiu duchowem, masy społeczne, i dały sztuce nową *publiczność*, zupełnie różną od tego, co tak się zwało przed rokiem 1789.

Jakież to były te nowe warstwy? Przyjrzyjmy się zupełnie objektywnie. Ludzie, którzy dotąd przeważnie nic nie mieli do czynienia z rzeczami intelektualnemi, pozbawieni wszelkiej kultury artystycznej, nieznający żadnych tradycyj twórczych, ignoranci pod temi względami absolutni, zajęci zresztą zbytnio swą nową sytuacyą polityczną i społeczną, aby mogli interesować się rzeczami duchowemi. Pod wpływem trybunad i deklamacyj menerów rewolucyi, stracili oni, już u wejścia, wszelką prostotę i szczerość i, acz przez pewien czas oglądali się jeszcze na sądy i zdania mniejszości kulturalniejszych (cała np. walka z romantyzmem francuskim była wyłącznie jeszcze dziełem tych mniejszości), wkrótce wszakże, z jednej strony przez nienawiść przeszłości i obawę reakcyi, z drugiej zaś dzięki rzuconym przez romantyzm ziarnom indywidualizmu i buntu przeciw wszelkim regułom, zapragnęli, nawet w rzeczach sztuki, rządzić się sami, stawiać własne wymagania i narzucać swe sądy. Jakie mogły być te ostatnie, łatwo odgadnąć. Poruszać ich mogły tylko dzieła odpowiednie do ich słabej wrażliwości i niewyrobionego intelektu, zatrącające raczej grubszy naskórek, aniżeli wnętrze duszne. A więc literatura i sztuka tendencyjna, anegdotyczna, miłosna, melodramatyczna, łatwa do strawienia, niewymagająca żadnej subtelności ani żadnego wysiłku. Rzeczy głębsze, gorętsze, niepozbawione wzlotów mistycznych czy metafizycznych, niezrozumiałych i niedostępnych dla tych nowych przybyszów, zaczęły wprędce robić na nich wrażenie znienawidzonego arystokratyzmu, i niebawem rozpoczęło się usuwanie w cień, w niepamięć różnych Berliozów czy Novalisów na korzyść dostępniejszych dostawców. Takie były cechy wrodzone, naturalne tej nowej publiczności. Rozwinęły się one i ukształtowały ostatecznie pod wpływem tworzących się zwolna nowych warunków życiowych, oraz demokratycznego przymusu co do oświaty

elementarnej bez zapewnienia dalszego, rzeczywistego wykształcenia.

Pod wpływem wzmagającego się coraz potężniej kapitalizmu i industryalizmu, życie rozpościerające się dawniej wolno i szeroko po całych krajów obszarach, jęło skupiać się w olbrzymich, niekiedy zupełnie sztucznie wytworzonych ogniskach. Nastąpiła epoka dyktatury wielkich stolic. „Miasta pijawcze," wysunąwszy drapieżnie swe macki we wszystkie strony, jęły wysysać z najdalszych kraju okolic nietylko bogactwa materyalne, lecz i siły duchowe. W kolosalnem stłoczeniu olbrzymich mas ludności na stosunkowo nieznacznych przestrzeniach musiały wytworzyć się objawy bardzo niepożądane: z jednej strony, gorączkowe ubieganie się za zyskiem, chęć wybicia się materyalnego, zajadła walka o byt — i, jako owoc tego wszystkiego, zupełny brak skupienia, zastanawiania się, istotnego życia wnętrznego, które rozprasza się i zanika w zgiełku stutysięcznych interesów, pogłosek, zdarzeń i szmerów wielkomiejskich; z drugiej, niwelacya ogólna, zatarcie odrębności, sparaliżowanie głębszych porywów indywidualnych i ostateczna, miażdżąca przewaga tłumów psychologicznych, w których intelektualne zdolności osobników zacierają się, a natomiast zwycięzko wydobywają się na powierzchnię wszelkie spryty, zręczności, dowcipy i umiejętności eksploatatorskie. Wielkie miasta doprowadziły do niewidzianego przedtem rozpasania najmateryalniejszych instynktów i żądz ludzkich, do niesłychanego wyjałowienia, wypłytczenia i zmiernienia umysłów, do wyziębienia wszelkich zapałów i uniesień, i wytworzyły to, co Leon Bloy streszcza w słowach: *l'absence radicale, essentielle de l'entousiasme en ces temps-ci.*—Przymusowe wykształcenie elementarne, o którego ujemnym raczej wpływie na moralność publiczną wspomniał już niegdyś Spencer, a którego niewesołe rezultaty stwierdzają staty-

styki współczesne, spowodowało gwałtowniejszy jeszcze napływ do wielkich miast całej masy nie wychodzących poza mierność inteligencyj, które chciały odnieść korzyść bezpośrednią ze swego „ukształcenia.“ Wytworzył się przerażający, nigdy snadź dotąd niewidziany proletaryat umysłowy, pełny samozadowolenia, patrzący wrogo na wychylające głowę z pod równościowego strychulca zdolności i wymagający od nich bezwarunkowego naginania się do przeciętnego poziomu. Rozpasała się frenetyczna orgia mierności, podtrzymywana i podniecana jeszcze przez przeróżnych trybunów i heroldów równości, schlebiających tłumom, mówiących im o „tajemniczych siłach socyalnych,“ które mają być źródłem całego postępu, o ojcowstwie i *eo ipso* zwierzchniczem stanowisku środowisk i chwil dziejowych względem głębszych, genialnych jednostek, o wyższości zdrowego rozsądku mas nad wszelkiego rodzaju filozoficznemi koncepcyami czy intuicyjnemi wizyami artystów. Czas jakiś, ten „zdrowy rozsądek,“ którego istotę rzeczywistą tak wiekopomnie i tak bezlitośnie odsłonił Kant już niegdyś,*) wystarczał, ze swemi dogmatycznemi apoftegmatami, samozadowoleniu i próżności tłumów. Że jednak natura ludzka ma zawsze popęd do pewnej systematyzacyi i motywowania, i że zresztą każda teraźniejszość jest — według Jana Paul'a Richter'a — małpą przeszłości, więc ci sami, którzy odrzucili, lżąc je słowem

---

*) In der That ist's eine grosse Gabe des Himmels, einen geraden Menschenverstand zu besitzen. Aber man muss ihn durch Thaten beweisen, durch das Ueberlegte und Vernünftige, was man denkt und sagt, nicht aber dadurch, dass, wenn man nichts Kluges zu seiner Rechtfertigung vorzubringen weiss, man sich auf ihn als ein Orakel beruft... Beim Lichte besehen, ist diese Appellation nichts anders, als eine Berufung auf das Urtheil der Menge; ein Zuklatschen, über das der Philosoph errötet, der populäre Witzling aber triumphirt, und trotzig thut.

I. Kant: Prolegomena.

Hirngespinnst, wszystkie filozofie i metafizyki, zapragnęli mieć swoją własną filozofię.

I zjawił się „genialny *wulgaryzator,*" August Comte, który zdemokratyzował filozofię i umiał zniwelować wszystko, równie co do doktryny jak co do metody. Przeczuł on i odgadł — powiada E. de Roberty — aspiracye równościowe swojej epoki; zastosował swój pogląd na świat do zdolności umysłowej nowych warstw społecznych; nie przyniósł właściwie nic nowego, związał jeno dogmatycznie w snop jeden pojęcia trzech głównych prądów filozoficznych, które go wyprzedzały: agnostycznego, historyczno-ewolucyjnego i monistycznego, i zdołał sprowadzić je do pozornej harmonii; strzegł się poruszania jakichkolwiek głębszych i zasadniczych kwestyj, badania pryncypiów i punktów wyjścia, bezceremonialnie odrzucał wszystko subtelniejsze i wymagające natężenia umysłu; odwoływał się co chwila do „zdrowego rozsądku" tłumów i doświadczenia codziennego; uspokoił ostatnie skrupuły świadomości ludzkiej, postawiwszy im dogmatycznie granice niepoznawalności; dokonał wreszcie zasadniczej Umwerthung der Werthe, podporządkowując absolutnie człowieka społeczeństwu, temu społeczeństwu, które ma racyę bytu i sens jakiś tylko o tyle, o ile, ułatwiając człowiekowi zwalczanie stawianych przez naturę przeszkód materyalnych, pomaga mu pośrednio do rozwoju idealnego i osiągnięcia najwyższych celów metafizycznych. Nic dziwnego, że usuwając w ten sposób wszystko, co wychodzi poza doczesność, że przemawiając jedynie do niższej, cielesnej połowy człowieka i ubóstwiając ją niejako, że, jednem słowem, schlebiając w ten sposób płaskiej zarozumiałości, lenistwu myślenia, wygodnemu agnostycyzmowi i wszelkiej miernocie, pozytywizm Comte'a natychmiastowe zyskał uznanie i w tryumfatorskim pochodzie zagarnął wszystkie kraje i warstwy społeczne. Uświadomił

on i uprawnił wszystkie bezwiedne pochylenia tłumów z powrotem ku zwierzęcości, całą ich rezygnacyę z godności człowieczej, — i dlatego burżuazyę — w znaczeniu Flaubert'owskiego: *j'appelle bourgeois quiconque pense bassement* — można śmiało, i nawet należy, nazwać jego tworem. *Quiconque pense bassement* — powtarzamy, albowiem burżuazyi nie stanowi wyłącznie pewna klasa, pewna warstwa społeczeństwa, lecz wszyscy, którzy myślą i czują nisko, płasko, przyziemnie, którym „laeva in parte mamillae nil salit“ (Juvealis), którzy zrzekają się wszystkich tęsknot i pragnień idealnych, lub podporządkowują je rzeczom „praktycznym“ i „realnym,“ którzy szydzą ze wszystkich wzlotów, goryczą się na wszystkie porywy i zapały, którzy nie rozumieją, co to jest „życie wzbijające się ponad życie,“ wykazując *ee ipso*, że życiem nazywają jakiś chaos fenomenów żywiołowych; ci wreszcie nawet, którzy, nie czując, jaki to regres, przeciwstawiają z chlubą „żywiołowość,“ to jest sprowadzenie człowieka do roli bezwolnego kółka w maszynie przyrody, uświadomieniu, które jest najwyższym celem istoty ludzkiej. A więc: wszyscy demokraci, którzy upojeni tym swoim tytułem zapominają, że przedewszystkiem są ludźmi; uczeni, którzy, uwielbiwszy „fakt,“ nie pomną, iż twórczość jest zasadniczym warunkiem nauki, i eksperymentują rzemieślniczo pod hasłem *ignoramus et ignorabimus;* księża, którzy, wdawszy się zbytnio w ziemskie sprawy, zapominają o najwyższych celach religii; reformatorzy społeczni i ekonomiczni, którzy nie chcą wiedzieć o żadnych celach i zadaniach człowieka, a teoryę szczęścia budują wyłącznie na dobrobycie doczesnym; artyści, którzy schodząc z podniosłego stanowiska twórców, ograniczają się do roli kopistów i rzemieślników; wszyscy, jednem słowem, którzy *propter vitam vivendi perdunt causas.*

Tych wszystkich, tej ogromnej burżuazyjnej „compacte Majorität“ służebnicą niegdyś była korną, a dziś władczynią jest bezwzględną — rozrosła nagle, gigantycznie, zdumiewająco, nakształt bajecznego głowonoga, prasa peryodyczna. Zacząwszy od przystosowywania się do potrzeb występującej na widownię świata, nowej publiczności, poświęciła ona wprędce, w ofierze molochowi aktualności, — znajomość przedmiotu, o którym się pisze, sumienność i gruntowność w rozpatrywaniu tej czy owej kwestyi, ścisłość i konsekwencyę w udowodnieniach i argumentacyach, samą umiejętność pisania wreszcie, styl oraz indywidualność autorską. Nawet prawi, utalentowani ludzie pióra, nawet pisarze z powołania, nie z rzemiosła, którzy dla jakichbądź przyczyn wpadli w maelstrom dziennikarski, nie zdołali uratować od rozbicia tych kamieni węgielnych zawodu pisarskiego. Konieczność produkowania z dziś na jutro nie pozwalała im ani wyczerpująco poznać przedmiotu, ani dostatecznie pogłębić swych sądów, ani nawet wystarczająco opracować formy zewnętrznej. Wkrótce zresztą, zostali oni zdystansowani i na drugi plan usunięci przez samą kolej wypadków. Przymus szkolny zwielokrotnił niesłychanie liczbę czytelników, niezdolnych w skutek swego pseudo-ukształcenia do korzystania z poważnej produkcyi literackiej czy naukowej, a natomiast ciekawych niezmiernie wszelkiego rodzaju aktualności, spragnionych nie wiedzy, lecz wiadomości. Jednocześnie, ta sama hyperprodukcya niedokształconych ludzi wywołała prawdziwą epidemię pisania, scribendi cacoethes, powiedziałby, przekręcając κακὸν ἦθος, Juvenalis. Dla zapełnienia olbrzymich płacht niepoliczonych dzienników i tygodników, okazała się potrzeba znakomitego wzmożenia produkcyi pisarskiej i liczby piszących. Ponieważ zaś dziennikarstwo stało się zawodem nader zyskownym, więc cała masa ludzi bez talentu, bez kultury, bez znajo-

mości sztuki pisarskiej, ludzi, którzy z równem prawem mogliby — lub raczej nie mogliby — być ratajami, szewcami, lub klownami cyrkowymi, ludzi, którzy — jak mówi Lessing — przez śmierć chyba, stając się prochem z niczego, zyskaćby mogli, ludzi ożywionych jedynie poziomemi żądzami zarobku i taniej sławy, ale duchem i wrażliwością reprezentujących olbrzymie zero, des gens quelconques (słowa humorysty J. Renard'a) qui n'impressionneraient pas une plaque photographique, rzuciła się gromadnie na nowoodkryte, złotodajne Kalifornie tego rzemiosła i obniżyła pod każdym względem, do niemożebnych granic, i tak już nizki poziom prasy. Względy zarobkowe i konkurencyjne wskazały, wprędce już teraz, że niedość jest iść *à la remorque de l'opinion,* niedość dogadzać złym gustom publiczności i do nich się przystosowywać; że trzeba wyprzedzać je, rozwijać dalej i kształtować; że trzeba uderzyć do najsłabszych stron słabej natury ludzkiej, wziąć w opiekę najmizerniejsze instynkty tłumu, bo wtedy, z jednej strony, zdobywa się potężnych sprzymierzeńców w próżności filisterskiej, lenistwie umysłowem i innych podobnych właściwościach czytelników, z drugiej zaś, usuwa potrzebę jakichkolwiek ulepszeń, jakichkolwiek zdolności czy umiejętności. I rozpoczęło się przerażające dzieło korrupcyi, oparte na schlebianiu wrodzonej zarozumiałości ludzkiej i kadzeniu płytkiemu „zdrowemu rozsądkowi.“ Wyrabiano otwartą niechęć do każdej rzeczy gruntowniejszej lub głębszej, jako do zamachu na indolencyę umysłową czytelnika, a zarazem do karygodnej chęci imponowania mu. Ganiono i potępiano z tychże względów każdy poryw ku nowości i oryginalności, a wychwalano natomiast nieprzeszkadzającą dobremu trawieniu banalność, zdawkowość i wierność zużytym frazesom. Uczono zastępować znajomość i zdolność charakteryzowania przedmiotu umiejętnością sprytnego etykietowania

rzeczy jakiembądź, choćby nic nie mówiącem, ale chodzącem odtąd, jak liczman dobrze sfałszowany, słówkiem. Studzono gorliwie wszelkie zapały, porywy i entuzyazmy, ośmieszając je i piętnując wzgardliwemi mianami szaleństwa, młodzieńczości, poezyi (tak!), donkichoteryi i t. p. Zabijano wszelką wrażliwość, odzwyczajając od chwilowego choćby milczenia i zastanowienia; ośmielano wreszcie do wydawania najzuchwalej stanowczych sądów, w najbardziej szablonowych i nic nie mówiących frazesach. Zaraza jęła szerzyć się piorunująco. Obniżenie poziomu dusznego doszło do ostatecznych granic. 99% tego, co się szumnie zwie dzisiaj inteligencyą, podciągnąć można stanowczo pod kategoryę wspomnianej wyżej burżuazyi, która życiem swem zadaje kłam racyi swojego istnienia. Trudno znaleźć dzisiaj człowieka z trochą milczenia, wrażliwości i cichego a gorącego zapału. Na ogół zgiełk tylko „przecinających wszystkie kwestye“ a próżnych treści głosów. Nikt dziś prawie nie żyje, nie czuje, nie myśli dla siebie, dla zgłębienia, rozszerzenia i podniesienia własnej duszy. Wszystko mówi się i robi na pokaz, dla zdobycia bądź zysku bezpośredniego, bądź karyery, bądź popularności taniej. Same cele doczesne i przemijające; o wielkiem słowie: „cóż mi przyjdzie, choćbym świat cały zyskał, jeżelim duszę stracił,“ nikt zdaje się nie pamiętać. Zaraza padła nawet na tych, którzy z natury powołania czy zawodu swego winni byli okazać się niezłomnymi stróżami i obrońcami rzeczy najwyższych, na duchowieństwo i na artystów samych. I ci nawet dali się pociągnąć ogólnemu prądowi i występują częstokroć wrogo przeciwko głębszym sztuki objawom. Co do księży, jakże smutnym — po wielkich tradycyach przeszłości — zjawiskiem jest np. gromadne prawie przyłączenie się do krucyaty przeciwko Pięknu, ogłoszonej przez takie uosobienie płytkości, płaskości dusznej i praktycznego materyalizmu,

jakiem był smutnej sławy Max Nordau. Z artystów znowu

in medio qui
Scripta foro recitent, sunt multi;
(HORATIUS)

mając do wyboru zapomnienie albo popularność, którą daje prasa, ta wyłączna pośredniczka między twórcą a publicznością, większość ich godzi się na kompromisy i ustępstwa oportunistycznie przystosowuje się do zdania ogółu i stacza się powoli na jego poziom.

Widownią walki ze sztuką były początkowo tylko łamy dzienników. Tam ograniczała się ona do inwektyw i napaści przeważnie gołosłownych i dlatego mniej jeszcze szkodliwych. Gdy publiczność została już należycie „wychowana,“ dziennikarze, nie zadowalniając się już sporadycznemi wycieczkami we wzmiankach i doraźnych artykulikach, jęli systematyzować swe teorye i postulaty i pociągnęli za sobą gromady dotkniętych „chorobą pisania.“ I posypały się całe masy broszur, książek, studyów o sztuce i literaturze, pisanych bez najmniejszego przygotowania i znajomości rzeczy, rabujących wprost lub pośrednio dzieła, które jednocześnie lżono lub ośmieszano, robiących zarzuty, które tylko wobec ogólnej bezmyślności na seryo mogły być brane, stawiających wreszcie teorye i wnioski świadczące o braku jakiegobądź przetrawienia nawet tego, co się miało pod ręką, i o zdumiewającej poprostu niezdolności porządnego myślenia. Wiekuistemi pomnikami takich produkcyj zostaną: *Enquête sur l'évolution littéraire* Huret'a (gdzie reporter-autor, podpisany na okładce, lży w przedmowie pisarzy, z których zdań i wynurzeń zlepił swoją książkę, nic absolutnie od siebie nie dodając), oraz ten szczyt akantofagii, ta sui generis biblia pauperum, to vade mecum bezduszności burżuazyjnej: *Entartung* Maxa Nordau, z całem, niepoliczonem potomstwem.

Die Schriftstellerei — powiedział ongi Schlegel — *ist, je nachdem man sie treibt, eine Infamie, eine Ausschweifung, eine Taglöhnerei, ein Handwerk, eine Kunst, eine Tugend.* Z sześciu tych kategoryj dwie ostatnie zawsze były w mniejszości, w drugiej wszakże wieku ubiegłego połowie znikły prawie doszczętnie w czterech pierwszych zalewie.

Nie wojowanie czcze, ani nawracanie tych, co z prądem już poszli, celem jest powyższych refleksyj. Co do pierwszego, powiedział już wprawdzie przed laty Jean Paul Richter: „es gibt Menschen und Zeiten, wo einen rechtschaffenen Mann nichts mehr erquicken könnte als — Prügel die er gäbe"; ale u schyłku wieku zwrócił uwagę Leon Bloy, że życie jest zbyt krótkie „pour rosser tout le monde." Co do nawracania zaś, można rzec śmiało, że byłaby to praca zupełnie stracona. Chodzi nam więc tylko o tych nielicznych, którzy, mając w rzeczach sztuki podnioślejsze aspiracye, nie mogą jednak sami dać sobie rady wśród chaosu pseudo-poważnych, stawianych nowym kierunkom zarzutów (niezdrowia, zmysłowości, kosmopolityzmu, pessymizmu, egotyzmu, niezrozumiałości, mistycyzmu, dekadentyzmu), oraz płytko, bez zrozumienia lub ze złą wolą używanych terminów i definicyj (symbolu, sztuki, piękna, geniuszu, treści i formy, sztuki dla sztuki i t. p.), i błąkają się rozpaczliwie w tym lesie, nie znajdując żadnej ku wyjściu wiodącej ścieżyny. Chodzi nam przedewszystkiem o nowe, wchodzące w życie generacye twórcze, które przez chaotyczną tego wszystkiego gęstwinę przedzierać się muszą. Dziś, jak nigdy, „ludzi młodych myśli dziwnie się wahają" (KOCHANOWSKI za Homerem), dziś, jak nigdy, „es ist dafür gesorgt, dass die Bäume nicht in den Himmel wachsen" (GOETHE). Gwoli tym szukającym, gwoli tym młodym, chcemy rozpa-

trzyć kolejno wszystkie wymienione wyżej zarzuty i określenia, co równoznacznem będzie z próbą rozstrząśnięcia nanowo zasadniczych zagadnień estetyki, sztuki i twórczości. Nauczać nie chcemy nikogo; pragniemy jedynie, aby rozstrząsania nasze obudziły lub podnieciły zdolność głębszego, sięgającego aż ku dnom rzeczy zastanawiania się. Wiedzę, świadomość każdy czerpać musi z siebie, nie z innych, atoli drogę dobrym wysiłkom przez usunięcie namułów frazesowych skutecznie utorować można, i to — po niniejszem wstępnem stwierdzeniu ogólnego stanu atmosfery duchowej — naszem będzie zadaniem.

Zenon Przesmycki.

Wół i Żóraw.

Wiosną, kiedy żórawie
i inne włóczęgi
z cudzoziemskich wróciły wód,
i w młodej trawie ojczystej brodząc
za żerem (wszędzie ściga nas głód),
zwiedzały błonia, moczary i łęgi;
kiedy owadom miłosne mgnienie i śmierci erę
zwiastował czarną jaskółek przylot;
kiedy mazgaje słowiki żonom po gajach kwilą;
gdy nad ruczaje chwiejne wikliny
iście pochylą; kiedy motylom już porzucono,
jak nowe cacka,
w darń polne kwiaty dziecinnolice;
kiedy pastucha, grając tęsknicę swoją
z prostacka,
w fujarki wylot stukał „palicem“;
gdy w jarach jaśmin i głóg zakwita,
powój zroszoną wypręża czarę: —
orką strudzony pod żyta jare, Wół
na pastwisku legł, nieciekawe oko
w dal wlepił i żuł murawę.
Żóraw, co właśnie był na tę chwilę
skończył swą wartę,
skierował w stronę Wołu badyle nożne
i rzekł w te słowa nieco utarte:
— „Witaj mi, jego mości wołowa.“
— „Witajcie kmotrze. Goście z was rzadcy.“
— „Jak zdrowie radcy?“
— „Ot, aby-aby. A wam jak służy?“
— „Dziękuję, nieźle jak po podróży.“
— „Powiedz też, panie obieżyświecie,
czy na obczyźnie słodsze są żaby

i czy nie nuży wciąż tak się szastać
po bożym świecie? Mnie-bo przechadzka nawet
do sioła z roli obrzydła: jest bez pożytku.
Wybacz, jeżeli tem cię obrażę, alebym wolał,
żebyś raz osiadł już, do stu jarzem!
Co cię tam woła?"
— „Dość mam was, bydła, mój czworonogu,
wiosną i latem! Gdybyś miał skrzydła,
to mógłbyś pojąć, co mnie tak goni.
Bodaj w Assyryi czy Babilonii niegdyś bywały
hufce skrzydlate wołów czy byków,
słowem — mołojców: te wzlatywały
nad ziemską trawę... Lecz dzisiaj niema
ni ojców byczych takich ni matek!
Pługi wam tylko
włóczyć niemrawem cielskiem w zagonie!
gnój wam na podściół i czarna skiba!
cała poezya w was — chyba kwiatek
przy sztuce mięsa, po marnym zgonie
za murem jatek!"
Słuchał Wół, słuchał, i coraz niżej
ciężka się schyla głowa wołowa.
— „Tak, tak... Lecz co tam, kmotrze — baj-baju...
Jeśli cię latać już tak przypila —
toć możesz w kraju.
Jeśli koniecznie już tam w niebiosy'ć trzeba,
czyż mało swojskich przestworzy?
Albo to u nas ptaków nie dosyć,
którym nie śniło się o podróży,
i żyją — żyją cały rok boży?
A jak to miło co dnia w rodzinne
wracać pielesze w pobliżu chaty,
albo na strzesze... Cenią cię, strzegą...
A przyjdą mrozy, to z indyczkami
masz pomieszkanie: ciepło jak w uchu,
na zawołanie wikt —"
— „I rozmowa z pseudo-kolegą,
który nad studnią kubełek trzyma, —
życie — niczego!.. Zrozumiej, Wole,
że nie każdemu znów się uśmiecha
kołkiem zabita rodzinna strzecha...

Czy wam tak wiecznie żyć przeznaczono
w ciepłym stosunku z radłem i broną?
Czy wam tu nigdy, nawet we święto
dusze nie płoną?.. I gdzież wy myślą
jesteście, kiedy wytchnienia cisze
legły wieczorne, kiedy uprzęże
zdjęto z was, kiedy zwolna ustają
roboty orne i noc się lęże?
Czy was, w mozole, Wołów oślepłych,
już w nozdrza kole wszystko,
co nie tchnie odorem mierzwy?
Czy wam, ratajom, nic się tu nie śni,
że tam przedwieczne w kamiennej cieśni
szlochają morza, że obłąkany wichr
puszcze łamie, że po szkieletach
brną karawany; że góry tają żar i płomienie
law na zniszczenie prac od stuleci?..
Wam dobrze, którym dość, że rozsądny
wiatr kornie dźwiga wał wiatraczany,
że owinięta we mgły, tumany, śpi
ziema płaska — dobrze wam; ale
nas, ptaki, łowi tu człowiek „cwany“
w wyzysku pęta... Ot masz —
bocianom już niemowlęta każe przynosić!
albo studziany żóraw? — zeń drewno,
skrzypiące skargą w poziomym trudzie
zrobili ludzie. Im jeno pozwól,
wnet cię zaprzęgą. O, sambyś pewno,
stary ciemięgo, zaryczał raźniej,
gdybyś mógł z nami fruwać nad ziemią,
tam, pod chmurami, kiedy w tryanguł zgięci
lecimy — tam... Czy dasz wiarę? — tam niema zimy:
na lodozwały górskie wygnana
ziębnie samotna w bieli skostniałej.
Tam rozbiegane morze się tłucze w dole
o skalną krawędź i pieni
i łamiąc dłonie z bladej bezsiły
powraca w tonie, a my — wzniesieni — lecimy —
klangor dzwoniący!“
— „Tak, tak... poezya... dziecinada...
wyobraźnia chora... Mój kmotrze,

nie żyje się od wczora, słucha się,
gada, toć zawsze coś-nie-coś o uszy się otrze.
Górne loty!.. Poezya!.. Znam ją.
Pamiętam, gdym byczkiem tylim-ot był,
od stadam odbiegł raz i, luzem chadzając,
wlazłem w zakazaną wyczkę.
I cóż powiesz? Poskubawszy trochę,
wróciło się z guzem do obory — i finis.
Takie rzeczy plamią.
Szczerze ci powiadam: rzuć latanie płoche;
jak mnie tu żywego widzisz —
najlepiej przy pracy...
Ale com to chciał mówić?.. Powiedz-no,
dlaczego wy, ptacy,
jeśli lubicie obcy daleki kraj ten,
jeżeli łaskawsze są dla was te morza, te spieki:
nie zostajecie w tym kraju nazawsze?"
— „A ty, szanowna arko rolnicza, powiedz,
czy nigdy nie gna cię w pole
nic oprócz bicza? Jakże z tym Majem?
Pytasz, dlaczego tam na obczyźnie
nie pozostaję? dla czego wracam?
Wracam, ponieważ tutejsza wasza
wiosna... ponieważ... E, co tu gadać!.. Jest chwila
kiedy ból ci się wśliźnie w serce
i dręczy tak, że — zaśpiewasz, krzykniesz
i lecisz... Chcesz jak najdalej być od krainy,
gdzie wszystko pali,
gdzie sztywny kaktus się rozpanasza;
gdzie aloesy, tkwiące w szczelinach,
grzeją zielone cielska, jak płazy;
gdzie oschły cyprys ponuro wwierca
korzeń w upłazy; gdzie cień mordują żary i susze,
gdzie rzeki niebu oddają dusze,
pokotem leżąc, pousychane, jak wężów skóry...
Widać to z góry... Widać, jak pinie zgarbione,
małe, na szczyt się skrabią wyżyn, upałem
zdjęte; w przelocie widzisz odarty
z kory eukalyptus uwiędły, chory, i palmę,
która w cień nie odziewa pnia,
co, bezlistny, jak kij żebraczy

w pustynnym blasku!..
U was inaczej!
Tu już wiosenna przeszła ulewa.
Mokra, spłókana czerni się droga,
niebo różowi ranna pożoga; leniwe chmury
pół-senne biegą, i przydrożami — hen, wedle płota,
wsiowi zdążają zwolna, gęsiego.
I nad rosami pól wczesnem ranem lecąc,
obejmiesz skrzydłem zmachanem
widok tych nizin, tych błót i błoni,
i padniesz w łące, w kwietnej ustroni.
Tu cię muzyką jak najgoręcej wita
owadzi chór i ptaszęcy;
tu ci radośniej dźwięczy brzęczenie
mizernej muszki; radośniej kwitną
małe kwiatuszki, co swe liściny
chwieją posłuszne lichym wietrzykom;
twój nawet, wole, kadłub mnie cieszy...“
— „Przerwij, Żórawiu, do stu lemieszy,
nudną tyradę! Niech tam już sobie
„kwiatuszki“ rade, ale mi nie chwal much,
tych hultajów bąków —
pijawek, co wciąż mnie kłują!
Dość tych zabawek!
Precz z tym owadem, precz z tobą, z Majem!..
To ja, przy sosze, wylewam w glebę
ostatnie poty, od ludzi batem dostaję,
od was pogardę znoszę, hołoty, —
naści!!!“
Tu, chcąc Żórawia przebóść, nastawia
już do napaści łeb, ale Żóraw
zerwał się z muraw, i to go zbawia.

Wół rozjuszony
ziemię w rankorze kopytem orał
i traw zielony liść kalał śliną,
a ptak zaśpiewał jakowyś chorał
i w lazurowe — hen, ku wyżynom —
leciał bezdroże.

Jan Lemański.

GLOSSY.

Krytycy i recenzenci.

Nie bądź mi stryjem, Rzymianie mawiali,
Kiedy się komu karać nie dawali.
(J. KOCHANOWSKI).

Stryjami *Chimerze* chcieli być wszyscy. Powitano ją „życzliwie", ale tak się, widać, przyzwyczajono do pism zakładanych bez świadomości celu i dowiadujących się dopiero od krytyków, po co właściwie były założone, — że i w tym wypadku każdy stryjaszek poprawiał, objaśniał, wskazywał wzory, dawał admonicye lub aprobaty i z łaskawą względnością przyznawał nam „pewne" zasługi. *Di magni, salaputium disertum!* chciało się zawołać z Catullem, po przeczytaniu każdej krytyki z osobna. Nie mogliśmy wyjść z podziwu, że przy tylu znawcach, wiedzących daleko lepiej od nas, co i jak robić należy, kraj nasz oddawna już nie posiada pisma w typie *Chimery*, a raczej daleko lepszego od niej. Chcąc skorzystać z rad wszystkich, ułożyliśmy zdania o każdym po kolei z zawartych w I numerze *Chimery* utworów i artykułów, w tablicę synoptyczną. I śmiechem wybuchnęliśmy serdecznym. W zestawieniu tem dopiero, gdy jedna pewność siebie zaczęła kłócić się z drugim „aplombem," wyszły na jaw olśniewająco: ignorancya zupełna w rzeczach sztuki i literatury, zdziecinnienie poprostu w myśleniu i wnioskowaniu, dziwna mania rozpatrywania sztuki ze wszystkich stanowisk, prócz jedynie właściwego — jej własnego, nawyknienie do szermowania nic nie mówiącemi, przeżytemi pojęciami lub frazesami, wreszcie gruboskórność ostateczna, wykluczająca z góry wszelkie prawdopodobieństwo jakiejkolwiek wrażliwości estetycznej. Biedni stryjowie (jeżeli wyjmiemy kilka poważnych głosów, które cenić umiemy) rozprawiali, zda się, o żelaznym wilku; to też podobnego chaosu krzyżujących się zdań dawno snadź u nas nie widziano. Jęliśmy tedy pytać stryjaszków o legitygimacye. Reporterzy, jako ludzie bezimienni i pozbawieni osobowości, dyskretnie w tył się cofnęli. Z lewicą na sercu sprezentował się posągowo b. (niestety!) poseł narodu, motywując swe prawa do

wyroków o *Chimerze* brakiem jakichkolwiek stosunków z ministeryum oświaty podczas swojej działalności parlamentarnej. Za nim kroczył półoficyalnie c. k. radca i redaktor i, bawiąc się od niechcenia kluczykiem szambelańskim, okazał nam jako dokument wystarczający fotografię swoją z wybitnym powieściopisarzem. Gromadnie posunęli się reformatorzy społeczni, przedstawiając pudełeczka różnych doktrynek, oraz „flaszeczki ducha“ do „wylania ich na miliony,“ i roniąc słodkie łzy wszechwspółczucia. Księża usprawiedliwiali obecność swoją tem, że dawno wszelkie ze sztuką zerwali stosunki. Znawcy obcych doskonałości wydobyli z kieszeni jednozgodnym ruchem najnowszy typ *cri-cri* i oświadczyli jednogłośnie, że czują puls świata bijący na *Avenue de l'Opéra*. Kolej przyszła na różnych Hopsztyckich, którzy mają majątek, stanowisko lub urząd, *a więc* znają się na sztuce. Za nimi delegaci powiatów i zaścianków (zwłaszcza lwowskiego) wołali chórem: „W imię kapusty! w imię kapusty!“ Na końcu szło kilku poetów dziwnego nabożeństwa, kłaniających się na wszystkie strony i plujących żółcią w imieniu zapoznawanych — „uznanych.“

Pełno nas, a jakoby nikogo nie było, powtórzyliśmy cicho za Kochanowskim.

. . . .

Tak jest, panowie, u was to właśnie laurowo i ciemno, czyli — tłumacząc na dostępniejszy dla was język — zarozumiale i bezmyślnie. Nie mamy do was pretensyi za wasze krytyki czy nagany, lecz i polemizować z wami nie będziemy. Niepodona przy każdej kwestyi z każdym z osobna zaczynać od A. Zamiast czynić to dorywczo w odpowiedziach na zarzuty, wolimy systematycznie i konsekwentnie rozstrząsnąć wszystkie kwestye, które się wam wydają spornemi, w seryi gruntowniejszych artykułów. Rozpoczynamy je w dzisiejszym zeszycie i do nich was odsyłamy.

Dwóm tylko panom kategoryczną raz na zawsze musimy dać odprawę, z powodu, iż do niedziwiącej nas płytkości sądów oraz ignorancyi dodali zupełnie wyraźną nieuczciwość.

U p. Krechowieckiego, zestawienie poematu Zeyera z hasłem *écrasez l'infame* można wytłumaczyć tylko jedną z alternatyw: albo p. K. jest tak maluczki duchem, że przez naiwność miesza sprzeczne biegunowo koncepcye, albo też jest to prosta nieuczciwość, świadoma fałszu swego denuncyacya, mająca źródło w nienawiści do wielkiej sztuki, lub też w przyjaźni do pewnego „kochanego“ (nie „dobrego“ — panie K. — „kochanego!“) pana. Że jest to raczej świadoma zła

wola, świadczy cały szereg drobniejszych, lecz niemniej „uczciwych“ insynuacyjek i sfałszowanych cytat z pierwszego numeru „Chimery.“ *Chimera* nie gardzi czytającymi, t. j. ludźmi szczerymi i pragnącymi czegoś; po tysiąckroć natomiast stwierdza pogardę swą dla nieczytających, niemyślących, a zuchwałe wydających sądy — i tych jedynie nazywa „motłochem.“ — *Chimera* mówiła o Sienkiewiczu, nie o panu K., to też nie proponowała wcale wieńczenia go makaronami włoskiemi. Owszem, nie wchodząc w merytoryczne zasług roztrząsanie, zwracała ona jednak uwagę urządzających obchód, że jeśli się kogoś czci, to czcić wypada z należytą powagą, ze świadomością, czem jest wawrzyn, i nie klepiąc wieńczonego po ramieniu. — Niewymownie smaczna lecz i bardzo tania jest insynuacya co do „zawiedzionych ambicyj.“— Denuncyacyjką pod adresem samozadowolenia i próżności tłumów pachnie zarzut „wyniosłej bezwzględności sądu.“ — Uwaga o nadmiarze cytat, mającym dowodzić „nieprzeżucia, nieprzetrawienia“ i braku oryginalności (wszystko to się tak gładko mówi bez dowodów), — nie skłoni nas do praktykowanego tak często „przeżuwania“ cudzych myśli aż do... wydania ich za swoje własne. — Należałoby, dalej, raz skończyć z ciągłem odsyłaniem do języka Kochanowskich, Skargów, Mickiewiczów, Słowackich. Gdyby Skarga oglądał się ciągle na Kochanowskiego, a Mickiewicz i Słowacki spożytkowywali jedynie spuściznę Kochanowskiego i Skargi, to nie mielibyśmy ani języka Skargi, ani Mickiewicza, ani Słowackiego. Gdyby pisarze żyli przeszłością jedynie, byliby tylko jej pasorzytami; gdyby język przestał się rozwijać i wzbogacać, zacząłby w tejże samej chwili cofać się i, mimo całej świetnej przeszłości, po pewnym czasie obumarłby niezawodnie. Jeżeli kto zresztą może mówić o języku, to z pewnością nie p. K. Traktując z góry i protekcyonalnie takich twórców jak Zeyer, Kasprowicz, Przybyszewski, a biorąc natomiast za dogmat prostą omyłkę dziennikarską, nb. sprostowaną wnet potem przez autora (to się po panu K. nie pokaże), stwierdza on dowodnie, że nie tylko nie zna słów najpospolitszych, ale chwiejny jest bardzo nawet w przypadkowaniu. Pomijamy cały szereg innych świadomie pofałszowanych lub wykrętnie komentowanych cytat z *Chimery;* pomijamy insynuacye o „usłużnym reklamiście“ (jeżeli p. K. miał na myśli wzmiankę na parę dni przed jego felietonem zamieszczoną w *Gazecie lwowskiej,* świadczyłoby to tylko o słabych zdolnościach redaktorskich lub zmienności usposobień), — natomiast liczne aluzye do powieści Przybyszewskiego i do „ulubionych mu dziś tematów,“ musimy nazwać prostem — chamstwem.

Artykuł w *Przeglądzie katolickim* pisany jest z pianą na ustach, co już samo nie przystoi księdzu, jakim zapewne jest szlachetnie bezimienny X. Pominiemy tu znowu całą ignorancyę autora, fantastyczne imiona nieistniejących pisarzy (Amginst?!), błędy gramatyczne („nie wielbi tak otchłannego twórcę“ — sic, sic, panie łaskawy!), pominiemy wszystkie tak niesłychanie dowcipne bzdurstwa o panegirykach, laurach, ciemnościach, zapoznaniach. Wszystko to są rezultaty owej piany na ustach, oraz nieuctwa, nad którem w tym samym numerze *Przeglądu katolickiego* zastanawia się w dalszym ciągu ks. Niedziałkowski. W temże samem nieuctwie, nawet co do kwestyj teologicznych, w niezdolności do wzniesienia się ku najwyższym pojęciom teologii i filozofii, można jeszcze i jedynie szukać źródła sądu o *Na Synaj* Zeyera. Za to mianem prostej nieuczciwości napiętnować musimy wszystkie inne zarzuty bezimiennego recenzenta. Popełnia on kłamstwo *świadome,* twierdząc, iż pierwszy akt *Axela,* „pełen jest najstraszniejszych i najszkaradniejszych inwektyw i nikczemnych zarzutów przeciwko życiu zakonnemu.“ *Niema tam* — twierdzimy to kategorycznie — *najmniejszego śladu czegoś podobnego* — i pan X., gdyby się był chciał nieco poinformować, byłby się dowiedział, że hr. de Villiers de l'Isle Adam nie był wcale „ateistą,“ lecz jednym z najżarliwszych katolików. Oszczerstwem równie świadodomem jest zarzut niemoralności zrobiony poematowi Kasprowicza. Znaczenie ma jedynie duch utworu, zamiar autora, nie zaś pojedyncze słowa czy wyrażenia. Gdyby inaczej było, musielibyśmy nazwać niemoralnością prosty rachunek sumienia w książce do nabożeństwa, a jeżeli chodzi o dosadność wyrażeń, to zapewne p. X. nazwałby również bluźniercami — dajmy na to — Odona z Cluny, przy języku którego bledną najśmielsze analizy współczesne, wydają się nieśmiałemi najbrutalniejsze autopsye; Klemensa Aleksandryjskiego, który żądał prawa nazywania wszystkiego po imieniu; św. Bernarda bądź za jego kazanie *de immunditia,* bądź za *Przygotowanie do sądu ostatecznego;* wreszcie wszystkich teologów, którzy skodyfikowali, stworzyli moechialogię. Dla nas jest zupełnie jasnem, że wszyscy oni szukali najjaskrawszych obrazów dla zohydzenia zła — i tylko dusze zepsute mogą dopatrywać się w tem niemoralności. Kasprowicz nic innego nie czyni, i tak zrozumieli rzecz wszyscy sprawozdawcy, z wyjątkiem jednego pana X. To samo powiedzieć musimy o napaściach na „bezeceństwa i hipokryzye“ w powieści Przybyszewskiego. Jeżeli kto hipokrytą się okazuje, to chyba nie autor *Malaryi.* — Całe to wystąpienie, oparte na kłamstwach świadomych i obłudnych insynuacyach jest w najwyższym

stopniu niemoralne, a kto chce moralizować drugich, ten przedewszystkiem dobry przykład dawać powinien.

Medale papierowe. — Po turnieju — wystawa. Warszawskie Towarzystwo Artystyczne okazuje stanowczo murzyński pociąg do szychów i świecidełek. Turniej był, zda się, na to urządzony, by różni „artyści" mogli się sprezentować konno lub pieszo w mniej lub bardziej kolorowych kostyumach, zwykły bowiem cel tego rodzaju karuzelów: wywołanie ogólnego, harmonijnego wrażenia estetycznego (coś nakształt starożytnej orchestyki) — został usunięty na ostatnie plany. Wystawa znowu, jak wnioskować można z regulaminu przedwstępnego, będzie zabawką w medale, i to papierowe, „piśmiennie" dawane. Jest to chyba motyw główny, a kto wie, czy nie jedyny. Wobec nieustającej ekspozycyi dzieł nowych w gmachu Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych i w urządzonym dziś po europejsku Salonie Krywulta, potrzeba jakiejś nowej, trzeciej wystawy byłaby o tyle usprawiedliwiona, o ile ta różniłaby się od poprzednich jakiemiś ulepszeniami lub zmianami zasadniczemi. Niestety, smętnie po polsku, z jeszcze smętniejszemi eksplikacyami francuskiemi, zredagowany regulamin odbiera nam tę nadzieję. Ze złych stron wystaw zbiorowych, o których mówiliśmy w numerze poprzednim, ani jedna nie została usunięta; gorzej: wszystkie zostały skombinowane i przez chaotyczne pomieszanie spotęgowane jeszcze. Ma to być w najszerszem znaczeniu wystawa zbiorowa. Do współudziału Towarzystwo Artystyczne zaprasza nie pewną odrębną grupę, nie jakiś wybór najwybitniejszych artystów, wreszcie nie członków swoich wyłącznie, lecz wszystkich absolutnie malarzy, rzeźbiarzy, architektów i rytowników polskich, — tylko że nie wszystkich na równych prawach. Obok wymienionego w regulaminie *jury d'admission* i *jury de recompences* (tak!) funkcyonuje trzecia jeszcze komisya sędziów, decydujących, komu posłać zaproszenie, a kogo zawiadomić tylko. Dzieła zaproszonych będą przyjęte bezwarunkowo (choćby i najlichsze? co przecież i najlepszemu artyście zdarzyć się może). Zawiadomieni tylko (a tem bardziej niezawiadomieni) poddać się muszą jakiejś, równie bezimiennej, jak komisya zaproszeń, komisyi przyjmującej. Nie będziemy podnosili po tyle razy powtarzanych protestów i zarzutów wszelkiego rodzaju przeciw *jury d'admission,* znamy bowiem złe strony „salonów niezależnych," o ile takowe nie powstały dzięki inicyatywie kilku tęgich, kulturalnych artystów drogą stopniowej kooptacyi. Ale dziwilibyśmy się bardzo, gdyby zupełna anonimowość komisyi zaproszeń i komisyi przyjmującej nie zniechęciła wielu artystów do ubiegania się o papierowy medal „srebrny"

lub „złoty.“ Bo któż, zostawszy raz zdyskwalifikowanym poniekąd przez proste „zawiadomienie,“ zechciałby poddawać się drugiemu kompletowi sędziów, również bezimiennemu w chwili składania deklaracyi? Wielu, nawet z „zaproszonych,“ odstraszyć może sama komedya nagród, o której z przykładów zagranicznych wiedzą dobrze, co mają sądzić. Wystawa skutkiem regulaminu może się nie udać. Ale nie o to przecież chodzi. Towarzystwo Artystyczne chce się zabawić w medale.

„Zahipnotyzowana publiczność.“ — „Wiek XX wypełni walka ekonomiczna... Biada tym, którzy nie potrafią wytwarzać taniej i lepiej... Jakże my wyglądamy wobec tych haseł?... Inteligentny polak nierównie wyżej ceni sobie tytuł poety, muzyka, malarza, aniżeli przemysłowca albo kupca... Nie przedsiębiorczość jest u nas zaszczytną, lecz artyzm!... — Oho! — powie jakiś apostoł estetyzmu — mamy znowu wyprawę przeciw sztukom... — Ale gdzież tam! — odpowiem — niech kwitną sztuki, niech bawią się ci, którym służy dobry humor, niech ludzie zapełniają teatry, sale koncertowe i galerye obrazów. Ale niech wszystkie te przyjemności nie odegrywają roli narkotyków usypiających nas dla rzeczywistego życia.“

Nous voici éclairés: Sztuka jest dla tych, którzy mają dobry humor. Upamiętniamy te nowe „złote myśli“ B. Prusa — bez żadnych komentarzy, odsyłając jeno czytelnika do artykułu „Walka ze sztuką.“

Tredecim.

POEZYA.

Antoni Lange. *Fragmenta.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — G. Daniłowski. *Na wyspie.* Warszawa. St. Demby. — Fr. Mirandolla. *Liryki.* Lwów, Księgarnia Polska. — Leopold Staff. *Sny o potędze.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — Emef. *Szał.* Warszawa. Skł. gł. G. Centnerszwer. — Emde. *Symfonia: Do niej.* Warszawa. Druk W. Tow. Akc. Art.-Wyd.

Fragmenta. Ułomki? Szczątki? Ma-ż to oznaczać wyjątki, najpiękniejsze czy najdroższe ustępy z utworów skończonych, z poematów napisanych czy wydrukowanych? Czy też poeta ukrył w tym tytule melancholijny symbol, że wszystko co się osiągnęło, co się stworzyło, jest tylko złomkiem, fragmentem, zwaliskiem jakiejś kolosalnej, nęcącej a niedościgłej budowy snów o wielkości, mocy,



pięknie i szczęściu? Z pomieszanemi uczuciami smętku i rzewności przewracam karty niewielkiej książki. Cały w niej Lange: dusza na pozór tak bardzo skomplikowana, a w istocie taka prosta i kilkoma pierwiastkami wytłumaczyć się dająca. Ważą się w niej nieustannie, przemagają się naprzemian wzajemnie i kolejno z nową siłą na jaw występują: mistyczne, nieokreślne pragnienia, ku sferom wlokące absolutnym — i dość ciasne doktrynerstwo pozytywne czy naukowe; nieodparte poczucie wiecznej samotności ducha — i społeczne, trybuńskie zapędy; rwanie się ku wyżynom, na które człowiek samotnie jeno iść może — i dziwnie dobrowolne zstępowanie na niziny, aby tam z rozczarowaniem uczuć się jeszcze samotniejszym; utopijne, optymistyczne pragnienia bezpośrednich rozwiązań, uroczyste, weselne z ich niby osiągnięcia entuzyazmy — i znowu, mimo wmawiania w siebie i w innych spokoju, zadowolenia, ufności, ta sama wieczna, nieukojna, dręcząca, bezbrzeżnie smutna tęsknota. Ona była Lilithą, ową „panią piękną i okrutną,“ ona postaciowała się w Venus-Żebraczce, ona kazała poecie pogrążać się w snach proroków, tajniach wedyckich i żądnie wdzierać się w zagadki palingenezy, ona dyktowała mu te bezdennie nostalgiczne ballady pijackie, ona wodziła go, nowego Holendra latającego, po wszystkich krajach i światach, ona, po tylu zwątpieniach i upojeniach twórczych, po tylu walkach i zwycięstwach, wyrywa mu z ust gorzkie słowa:

I życie moje przeszło jałowe, bezpłodne,
I serce moje próżne i jak upiór głodne....

Mówiło się wiele o filozoficzności (chciano rzec zapewne: metafizyczności) poezyi Langego. Weszło to w komunał u wszystkrytyków i sprawozdawców. Nie znam duszy mniej filozoficznej, mniej zdolnej do odczucia jedności świata i do wielkiego syntetycznego ogarnięcia wszystkości. Nie znam też wszakże duszy bardziej i beznadziejniej tęskniącej. Poeta błądzi nad brzegami niezmiernego oceanu zjawisk, i pragnie, i rozpacznie spręża się, aby dotrzeć do jego istoty, aby usłyszeć magiczne słowo, streszczające w sobie wszystkie otchłanie. Jednocześnie wszakże fascynuje go powierzchnia fali, jej załamy, jej grzywy spienione, jej migotliwie tańczące połyski — i ostatecznie suma tych złudnych fenomenów przeważa: poeta daje się otumanić ich wirowi, ich zawierusze, zaczyna przypuszczać, że one to są życiem, prawdą, istotą, i zapomina rzucić się w głąb', gdzie w ogromnej, kryształnej ciszy kryją się tajemnicze, wszystkich tych przemijających fantasmagoryj źródliska. Ilekroć poeta da głos samemu pragnieniu swemu, samej gorącej, gwałtownej, namiętnej tęsknocie, tyle razy ma moc, i ogień, i wielkość, i przeczucie nie-

skończoności, tyle razy rzuca w dusze płodny siew na jakieś przyszłe „sny o potędze.“ Ilekroć wszakże, uniesiony zrozumiałym głodem rozwiązań, przystępuje do budowy bardziej określonego marzeń swych gmachu, tyle razy upada i albo cofa się, pozostaje przy fragmencie, albo też powierzchowną, nie sięgającą w głąb' zadowala się koncepcyą. Więcej szarpań się, więcej podrywów i więcej niedokończonych, lecz wspaniałych fragmentów miał Lange, gdy bawił za krajem. Warszawa, pełna najprzeróżniejszych ciasnych doktrynek i lubiąca narzucać je, była dla ducha jego niezdrowym, malarycznym gruntem. Kiedyś szerzej może przedstawimy bolesne dzieje tej duszy, której namiętne, bijące wzwyż wykrzyki jęły, śród zatęchłej ciszy okolnej, zmieniać się zwolna — tam gdzie poeta najtajniejsze wnętrza swego odkrywa głębie — w niewymownego znękania pełne westchnienia. Dziś skonstatujemy tylko z żalem brak we **Fragmentach** kilku najpiękniejszych — i drogich nam ze wspomnień — poematów, jak „Wyrwidąb i Waligóra,“ niektóre sonety z „Wizyj“, — i inne.

Jeżeli Lange, wskutek swej uczuciowej raczej niż świadomościowej natury, nie ma dość odporności, i częstokroć, ulegając ciasnym, acz pozornie wzniosłym doktrynom, opada z wyżyny najwspanialszych wzlotów na ziemię, to jednak dusza jego drga nieustannie przeczuciami celów ostatecznych, ku którym, jak mówi Słowacki, masa narodu (a tem bardziej, dodamy, każda jednostka) musi być ciągle jako morze przez gwiazdę miesięczną podnoszona, bo inaczej ogarnie ją bezwładność i martwota duszna. P. Daniłowski nawet przeczuć takich nigdy, zda się, nie miał. Horyzont jego widzenia nie sięga poza rozmaite interesa i sprawy czysto ziemskiej, przemijającej natury, które w stosunku do owych celów ostatecznych zaledwo za środek do ich urzeczywistnienia uważane być mogą. Poemat jego **Na wyspie** jest dość suchą alegoryą lub raczej tezą, mającą udowodnić, że sztuka powinna iść w służbę altruistycznych ideałów, jeżeli nie chce zostać „arkadyjskim piknikiem w wiszącym ogrodzie.“ Przypuśćmy, na chwilę, że godzimy się na ten postulat. Zwracamy wszakże uwagę, że samo „ukochanie milionów“ jest tylko frazesem, o ile prędzej czy później nie dowiemy się, w czem ono ma się objawiać. Wszystkie objaśnienia, jakie w tej kwestyi daje Dajmon, nie wychodzą ani na chwilę poza zużyte przez wszystkich trybunów i reformatorów społecznych komunały. Wolność, równość cielesna, dobrobyt fizyczny — oto wszystko! Frazes o „budzeniu duszy każdej słowem: wskrześnij!“ musimy uważać za daremne chełpienie się zdolnością cudotwórczą. Budzi się i wskrzesza nie jakimś wykrzyknikiem, lecz tem, co się w sobie ma i w pieśni zawiera. Aby coś

komuś dać, powiada Elizeusz Reclus, trzeba naprzód coś w sobie mieć. To znaczy trzeba naprzód owładnąć duszą własną, wydobyć na jaw jej najgłębsze pierwiastki — i wcielić je. Tymczasem Dajmon, na definicyę króla, iż pieśń powinna duszy być wcieleniem, odpowiada wzgardliwem: „Niech o sobie pieją samoluby.“ Prawie Nordau'owska głębokość tego pojęcia o egotyzmie w sztuce, jest tak wyraźna, że uwalnia nas od dalszego spierania się o tezę. Nie spieralibyśmy się zresztą wogóle, gdyby p. Daniłowski udowodnił był czynem, faktem, to jest, doskonałością swego poematu, że oddanie sztuki w służbę ideałów ziemskich nie szkodzi jej przynajmniej. Niestety, dowód jest raczej przeciwny. Poemat Daniłowskiego jest suchą, sztuczną i płytką alegoryą. Niemasz tam ludzi, tylko manekiny drapujące się arcykapłańsko w sposób przypominający najbardziej zmanierowanych pozerów romantyzmu. Obrazy i przenośnie są albo banalne, albo niezbyt szczęśliwe (np. owa barka — sonet z banderą zamiast tytułu). Opowiadanie albo jest aktorsko patetyczne, albo też dorównywa co do prozaiczności typowym wzorom Coppée'owskim, sparodyowanym tak bezlitośnie przez Lemaître'a w słynnym „Sonecie.“ Całość robi wrażenie rzeczy mozolnie wykutej i skutkiem tego „poprawnej.“

Liryki Mirandolli smutnym są przykładem chaosu panującego w duszach wielu poetów ostatniej generacyi. Czego tam niema? Zbyt wyraźne, acz przeważnie powierzchowne, odbicia Maeterlinck'ów, Nietzsche'ów, Verlaine'ów, impresyonizmy, „vers-libryzmy,“ i t. p. — a jednocześnie najbardziej zużyte, najbardziej wyszarzane zdawkowości, których tyle się u nas wytworzyło od czasu, gdy poczęto rozmieniać szczere złoto wielkich romantyków na bilon bezwartościowy. Przytem mania ciągłych apostrof pouczających lub ganiących pod adresem innych, a stanowczo zamałe wymagania stawiane samemu sobie. I u Mirandolli wiersze takie jak „Clamantibus“ lub „Przybywaj pieśni,“ zwłaszcza jeśli się je zestawi z wyznaniem słabości własnej w sonecie „Przyjdź,“ wprost komiczne robią wrażenie. A szkoda, gdyż Mirandolla ma niewątpliwą zdolność podchwytywania i wcielania pewnych subtelnych, acz niedość pogłębionych i przez to wpółnieświadomych odcieni dusznych.

Rzeźwiące, krzepkie wrażenie robią **Sny o potędze** L. Staffa i, jako pierwsza książka młodego poety, wiele o jego przyszłości wnioskować każą. Śmiałek to i bogacz nielada, a przytem dziwnie władający sobą, świadomy i wytrwały. Dotarł aż do dna wnętrza swego, odkrył tam „całą bezkształtną masę kruszców drogocennych,“ a odkrywszy nie zaczął rozrzewniać się nad sobą, przeciwstawiać

się innym, lecz poczuł, że mu „wykonać trzeba dzieło wielkie, pilne,“ wykuć sobie z tych kruszców duszę, serce, całą osobowość odrębną. I zdołał urzeczywistnić to w pierwszym już zbiorku. Książka jest jeszcze bardzo nierówna. Mieszają się w niej blade nieco i nikłe wrażenia pierwsze budzącej się duszy, potem różne stymulujące głębszy już pokład duszny wpływy obce, dalej gorączkowe i częstokroć rozpaczne poszukiwania najskrytszych wnętrza swego tajników trwożne poczucie własnej nicości, własnej „małości nędznej“ (póki się nie sięgnie do dna, do istoty), potem „buntu burza jasna“ — aż nareszcie, w ostatnim cyklu, od którego zbiór cały wziął nazwę, odkrycie charakteru swego najwnętrzniejszego, treści swej istotnej, tego, co się ma w sobie i czego się pragnie całem jestestwem. Jakimż tryumfalnym hejnałem gra wtedy „poczucie pełni“ wnętrznej, poczucie odrębnego istnienia.

Wszystko, co we mnie trwożne, poddańcze, pokorne,
Zgniotłem brutalną, dziką pięścią wielkoluda,
Bom ubóstwił potęgi szalejącej cuda,
Orkany rozkiełznane, butne i niesforne!

I rozdzwoniłem serce me w rozgrane tętno,
Rozbujałem mą duszę niezłomną i hardą
W pieśń mocy wielką, prostą, surową i twardą,
W pieśń burzy i swobody, zuchwałą, namiętną.

Znalazłem siebie w wichrów rozuzdaniu ślepem,
W ryku gromu, co wstrząsa oceanu łożem,
W błyskawicy, co pomrocz rozdziera północną.

Teraz jestem bezbrzeżnym, wolnym, dzikim stepem!
Teraz jestem huczącem, rozpętanem morzem
I burzą gwiezdnych wirów potężną, wszechmocną!

Przy takiem rozszaleniu elementarnem, autor miał wszelkie dane, aby zostać poetą „żywiołowym.“ Lecz do mocy przyłączyła się szlachetna duma. Zrozumiał, że wielkość człowieka polega wyłącznie i jedynie na wzniesieniu się nad żywiołowe moce, na opanowaniu ich i świadomem niemi rządzeniu:

Boska to gra — żywioły trzymać na obroży,
Rozhukanych szaleństwem rumaków być panem,
Chwycić burzę za włosy, spętać — niech się korzy! —
I władać jak igraszką grzmiącym oceanem!

Tylko słaby doświadcza czynem swego władztwa.
Zbyt wielką jest potęga ma i me bogactwa!
Dla ogromu mej mocy w czynie ujścia niema!

Boska to gra — czuć siły niespożyte, wieczne,
Jak snem bezczynu w ciszy śpią bezużyteczne
Po wolą mą, co silną dłoń nad niemi trzyma!

Kto pod takiemi znakami w świat wstępuje, ten niewątpliwie do wielkich powołany jest rzeczy. Tylko zawsze ku głębiom! Zawsze z równą mocą, niezłomnością i wytrwałością! Ślemy panu Staffowi, u tych złotych progów jego żywota twórczego, serdeczne, braterskie powitanie.

P. Emef ma w swoim **Szale** parę strof pięknych, ale ani jednego utworu w całości dobrego. Nierówności ogromne w treści i formie niepozwalają nam nic wnioskować z tego krótkiego zbiorku.

P. Emde zrozumie, że o jego **Symfonii** nie mamy nic do powiedzenia.

Miriam.

SZTUKI PLASTYCZNE.

Aleksander Gierymski. — Wystawy. — W kwestyi drobnego nieporozumienia

Aleksander Gierymski

ur. 1852 r. — zmarł w Rzymie d. 6 marca 1901.

Pamiętam go w pracowni. Wracaliśmy z Dębickim z Paryża do kraju i, zatrzymawszy się w Monachium, poszliśmy prosto z dworca kolejowego odwiedzić mistrza. Trafiliśmy w dobrą chwilę. Skończył był właśnie *Plac Maksymiliana* i, czy to było zadowolenie z dokonanej pracy, czy inny jakiś powód, dość, że ten żółciowiec, ten mi-

zantrop przyjął nas nieskończenie życzliwie. Dębickiego wprost nawet jakby radośnie. Poprowadził nas zaraz przed świeżo ukończony obraz i tam, chwytając za rękę mego towarzysza, nieco zdumionego, że mistrz chce rady od młodego chłopca (było to lat temu dziesięć przeszło), jął gorączkowo wypytywać go, jak mu się wydaje ton nieba, czy uważa, że należycie jest pochwycony, czy nie jest zdania, aby go nieco jeszcze rozjaśnić, czy ściemnić. Oglądaliśmy potem inne płótna, parę krajobrazów z gór bawarskich, oraz duży szkic do jakiegoś „obrazu z sentymentem“, jak, z pewną niedbałością, wyraził się Gierymski. Atelier robiło wrażenie pracowni alchemika, owieszone całe tekturowemi, pooblepianemi złotym i srebrnym papierem, reflektorami, służącemi do przypominania rozmaitych, widzianych w naturze kombinacyj świetlnych, a może i do wywoływania niespodzianych, nowych, jakich natura nie zna... Widoczne było, że właściciel pracowni uprawiał całą jakąś alchemię świateł. W ciągu całodziennego później, cygańskiego włóczenia się w trójkę po różnych browarach i winiarniach, uważałem, że Gierymski, w rozmowach o malarstwie z towarzyszem mym, powracał nieustannie do światła. Przedmiot, kompozycyę, „sentyment“, linię, barwę zdawał się traktować jako rzeczy wstępne, przygotowawcze. których znajomość w rzemiośle malarskiem rozumie się sama przez się. Całą natomiast uwagę miał, zdało się, wytężoną na światło, na jego zmiany, kombinacye, oddziaływania wzajemne, przelewania się i stapiania. Gierymski mówił o tem wszystkiem, tonem realistycznego malarza, jako o naśladowaniu natury i największem zbliżaniu się do jej wzoru. Czuć było wszakże, iż światło fascynowało go tak dalece, że — może nieświadomie dla siebie samego — pragnął z całem wytężeniem dotrzeć do jego istoty, wykryć, jak natura je tworzy, i w ten sam sposób, co ona, uzupełniając niejako tę mistrzynię tworzyć samodzielnie w dalszym ciągu.

I tak było niewątpliwie. Gierymski nie był realistą czyli tem, co słowo to oznacza: niewolniczym kopistą, nieprzebierającym w tematach i pragnącym jedynie wiernie oddać to, co natura stawia mu przed oczy. On był przedewszystkiem i jedynie wielkim twórcą, wielkim poetą światła, uganiającym się niezmordowanie i aż rozpacznie za samą światła istotą. Miał, zda się, nadzieję przychwycić ją najsnadniej w owych niepewnych chwilach przejściowych, gdy światłość dzienna przelewa się nieuchwytnie w coraz gęstszą zmroków popielność, albo gdy światła rewerberów i latarń walczą z ostatniemi zmroków szarościami i z tajemniczą nocnego nawet nieba jasnością, albo wreszcie, gdy przedzierająca się przez ścmione wie-

kiem różyce witrażowe jasność dnia roztrąca w mrocznych tumów i bazylik wnętrzach zwisające ze sklepiennych załomów cienie i wywalcza sobie pośród nich miejsce. To też takie były, zwłaszcza w ostatnich czasach ulubione temata Gierymskiego (Plac Maksymiliana, Brama w Luwrze, Wnętrze św. Marka, i inne). Bo nie trzymał się on bynajmniej zasady realistów: tout est bon à peindre. Wybierał i pod koniec zamykał się nawet wyłącznie prawie w kole pewnych tematów; nie był to wszakże wybór co do fabuły, anegdoty, takiego lub innego krajobrazu lub sstafażu, pięknej linii lub kompozycyi, lecz jedynie co do światła. Bylibyśmy skłonni twierdzić, że już w *Trąbkach* i *Solcu* światło odgrywa dominującą rolę, acz Gierymski zwraca tam jeszcze uwagę na charakter postaci i krajobrazu. W ostatnich (wymienionych wyżej) obrazach, wszystko, ludzie, architektura, treść cała obrazu służy jedynie za podłoże światłu, za powierzchnię, na której grać, i za kanty, o które rozbijać się ono może.

Jak namiętna była ta pogoń za tajemnicą światła, jak uparte zmaganie się z nią, świadczy, obok nieprześcignionej pod tym względem doskonałości ostatnich zwłaszcza obrazów Gierymskiego, względnie mała ogólna prac jego liczba. Mocował się on poprostu ze swemi obrazami, długo bardzo nie wypuszczał ich z pracowni, poprawiał, przerabiał, aby, o ile można, zbliżyć się do swojej wizyi świetlnej, do swego snu o jakiejś istocie światła, szarpał się niewątpliwie, dręczył, przechodził martyrium całe, jak każdy z tych nielicznych, co dążą do najwyższych i przez to samo niedających się pochwycić w zupełności rzeczy, — i nieraz, w chwilach zwątpienia i upadku ducha, powtarzał może nawet, „z czołem w lodowatym pocie“:

Żali ten sen, to bóstwo — nie widmem w istocie?

Z tego wytężenia biorą zapewne początek i mizantropia jego, i zdenerwowanie, i może nawet katastrofa ostatnia. Niechaj pamięć jego, jako tego, który życie całe oddał swemu marzeniu, przyświeca wszystkim młodym artystom!

§ §.

Wystawy. I w Towarzystwie Zachęty i w Salonie Krywulta pustka przerażająca. Płócien moc, ale jakich? C'est à s'en aller dans tous les déserts pour y mourir de dégoût afin d'en ressusciter de fureur (L. Bloy). Oazą w tej puszczy są — obok paru dawniej już omówionych na tem miejscu rzeczy, oraz obok Św. Marka i, świadczącego o chorobliwym już jakimś wysiłku, własnego portretu Gierymskiego — te zdumiewające *Kuropatwy* na śniegu, którym tak piękny ustęp poświęcił p. Jasieński we francuskiej swej

książce. Biała równina śnieżna i na pierwszym planie stadko przemykających się cicho, zatroskanych kuropatw — nic więcej! A jednak cóż za zdumiewające i nagłe przeniesienie widza w sam środek natury! Określić wprost niepodobna, co tak niesłychanie działa na człowieka z tego obrazu. Tak działałaby sama natura chyba, a to wskazuje znowu, że niemasz tu nic z realizmu, z kopiowania natury. Odgrywała tu rolę nie obserwacya niewolnicza, nie podpatrywanie jakieś na gorącym uczynku, lecz cudowna intuicya, która nie potrzebuje świadectwa zmysłów. Chełmoński tworzył tu jak natura tworzy.

U Krywulta pociechą oczom są portrety p. Krzyżanowskiego. Postęp od tych, które omawialiśmy w N-rze 1-szym, ogromny. Kobieta w czarnej sukni, jakby zatrzymana w półruchu, żyje niesłychanie. Wolelibyśmy tylko mniej rąbania pędzlem w wykonaniu sukni i tła. Można lepiej wykończyć, a być dalekim od pomadek i zbytnich gładkości. Świadkiem choćby Whistlerowski portret matki w Luksemburgu. Podnieść natomiast musimy przepyszną kolorowość soczystych czarności Krzyżanowskiego. Fantastyczny szkic do portretu p. P. nie trzyma się zupełnie. Biały, dobrotliwy spokój twarzy w rozdźwięku jest zupełnym z wściekłemi, wichurowemi, demonicznemi smugami czarności, które wiją się i splatają naokół. Doskonały jest portret p. Jasieńskiego. Ogromnie w nim wiele skupienia, jedności, a lekkie, lecz nadzwyczaj suggestyjne przymglenie, łagodzące ostrość dotknięć, mile zdziwiło nas u artysty, dla którego obawialiśmy się, wyznajemy to, zmanierowania w stronę energii. Rzeczą niesłychanie ciekawą jest intuicyjny portret Warneńczyka. Przedziwna jakaś ufność dziecięca, oraz gorące, bezgraniczne oddanie się swojej wierze, cechują tę głowę młodzieńczą, na której jednocześnie leży nieuchwytny jakiś cień, jakby przeczucie przyszłych losów tragicznych. Czyżby Z. Sarnecki miał racyę? Czyżby w p. Krzyżanowskim krył się istotnie przepyszny malarz historyczny, taki, jakim tenże być powinien, t. j., potężny wskrzesiciel intuicyjny charakteru epoki i indywidualności? Daj Boże! — Wyborne to malowidło zostało podobno za radą niektórych malarzy warszawskich odrzucone przez osobę, która je zamówiła. Taki sam, zresztą, los spotkał wspaniałe dzieło E. Okunia.

O bogatej wystawie japońskiej ze zbiorów p. F. Jasieńskiego pomówimy obszerniej w przyszłym N-rze.

Z. P.

W kwestyi drobnego nieporozumienia. Tutejsza gmina ewangelicko-augsburska poniosła wielką stratę: zmarł Wojciech Gerson, prezes zarządu zboru i kolegium kościelnego. Był to człowiek zacny, dobry i sympatyczny. Przez długi szereg lat opiekował się ochronami, szwalniami, domem starców i kalek oraz, szkołami gminy ewangelicko-augsburskiej. W chwilach wolnych od wyżej wymienionych zajęć zajmował się malarstwem i pisaniem sprawozdań artystycznych.

Perłą naszej sztuki kulinarnej jest bigos. Rzecz to bezwątpienia dobra; wpływ jednak wywarła fatalny: przyzwyczajono się bowiem u nas robić bigos — zawsze i wszędzie — z rzeczy, które w jednym i tym samym kotle pod żadnym pozorem figurować nie powinny. Wszak dla całego naszego społeczeństwa wyroby rzymskiej filii firmy Fryderyka Pulsa, prowadzonej przez Henryka Pulsa — chciałem rzec: Siemiradzkiego, są dziełami sztuki, a nawet polskiej sztuki. Że ś. p. Gerson kochał sztukę, że pragnął stworzyć sztukę naszą, że pracował niezmordowanie, jak mógł i umiał — nie ulega to żadnej wątpliwości. Nie ulega jednak żadnej wątpliwości również i to, że rezultat tych usiłowań był marny — jeżeli zrobimy przegląd owoców pracy; równający się zeru — jeżeli chodzi o działalność nauczycielską; opłakany wreszcie co do wpływu na czytającą publiczność.

Ponieważ ś. p. Gerson nie był artystą i nie stworzył nigdy dzieła, mającego chociażby dalekie z dziełem sztuki podobieństwo, nie jest — jak głosi prasa polska — artystą wielkim, znakomitym. Ponieważ ś. p. Gerson miał o sztuce wyobrażenie jak najfałszywsze, nie mógł być profesorem malarstwa; nie mógł być również i krytykiem sztuki. Ś. p. Gerson piastował jednakże u nas mnóstwo godności, gdyż społeczeństwo nasze nie wiedziało (i nie wie do dziś dnia), co to jest sztuka, czego ma żądać od dzieła sztuki, czem być powinna krytyka artystyczna i na czem ograniczać się winna działalność nauczycielska, jeżeli jej wogóle w sztuce przyznamy racyę bytu.

Przez pracownię ś. p. Gersona przepłynęły tysiące uczniów. Drobne strumienie, natrafiwszy na bagno, wsiąkają w nie; potężne rzeki płyną dalej i nie poznasz nawet po kolorze fal przebytej drogi. Talent prawdziwy ma to do siebie, że jest zawsze sobą — quand même. Kilku wybitnych malarzy naszych znajdowało się przez chwilę w pracowni ś. p. Gersona; jeżeli tworzą dzieła sztuki, to właśnie dla tego, że się w tych dziełach najdrobniejszego nawet wpływu dopatrzeć nie podobna.

RADA udzielona przez dobrego profesora — rzecz to nader cenna. Tych profesorów jest jednak nie wielu. Na dwadzieścia

tysięcy panien, które wyszły ze szkół warszawskich profesorów, ile jest artystek i co właściwie nauczycielom zawdzięczają? Jeżeli szkoła jest wszechmocną, niechaj nam robi z każdego dorożkarza Rembrandta lub Velasqueza.

Jeśli wszakże żądamy uwolnienia uczniów z kajdan nakładanych na ich indywidualności przez nierozsądnych profesorów, którzy mylą się, utrzymując, że „to można — a tego nie można“ (talent na wszystko odważyć się może!), ganiąc nie to, co jest złe, lecz to, co uważają za złe, przeto że jest INNE, — nie znaczy to bynajmniej, abyśmy tych uczniów namawiali do wyprawiania bezmyślnych harców na wzór cieląt, wypuszczonych na okólnik. „Chlapnięcie“ — dla, tego, że jest chlapnięciem — nie jest jeszcze dziełem sztuki. Dłubanie a subtelność — to dwie rzeczy różne. Pomiędzy szkicem malarza, którego stać na obraz, a szkicem malarza, który się szkicem wykręca, — ogromna zachodzi różnica. Prawdziwy talent jest sam sobie najsurowszym sędzią i nauczycielem. Mistrzów nie należy naśladować, lecz trzeba wielbić i pilnie studyować. Natury kopiować nie należy, w księgę natury trzeba się jednak wczytywać niezmordowanie i dokładać starań, aby patrzeć na tę naturę wciąż nowemi oczyma, wypowiadać otrzymane wrażenia szczerze i w sposób, ile możności, swój. Powtarzamy wreszcie raz jeszcze: walczymy nie przeciwko myślącym malarzom, lecz myślicielom malującym, przeciwko ludziom, którzy artystami nie są, a używają sztuki jako sposobu wypowiadania swych myśli i pragnień. Wielka zachodzi różnica pomiędzy malarzem historycznym a historyozofem malującym. Prawdziwemu artyście wszechstronne i ciągłe kształcenie się nigdy nie zaszkodzi. Z drugiej strony, człowiek wykształcony, lecz nie mający wyobrażenia o tem, czem malarstwo być powinno, nie ma prawa uczyć innych tego, o czem sam nie ma pojęcia. Bezwarunkowo zaś nie miał prawa powstawać przeciwko sosom fioletowym człowiek, który przez lat kilkadziesiąt kąpał świat w „jeneralnym“ sosie rudym.

Działalność ś. p. Gersona, jako krytyka, była zgubną. Wpływ jego na publiczność niewykształconą i obałamuconą — wielki. Każdy młody artysta, godny tego tytułu, mógł nieboszczyka podziwiać w roli głównodowodzącego armią filistrów, każde istotne dzieło sztuki miało w ś. p. Gersonie nieubłaganego wroga. Siał kąkol hojną ręką, utrudniając rozwój tej sztuki, którą szlachetnem sercem szczerze i gorąco kochał. Historya sztuki naszej — jeżeli istnieć będzie — wybrukowaną zostanie dobremi chęciami ś. p. Gersona.

Godzien jest wszelako najwyższego uznania i naśladowania pod jednym względem: za bezwzględne wypowiadanie własnego zdania, wypływającego z szczerych przekonań, po głębokim namyśle, zdania czystego jak kryształ, bez jakiejkolwiek domieszki pobudek postronnych lub osobistych. Tutaj wytworzył szkołę, szkołę, składającą się może z jednego tylko ucznia,*) uczeń ten stoi na przeciwległym biegunie, ale że mistrza zrozumiał i śladem jego iść pragnie, świadczy to, iż, wypowiedziawszy słowa, które wypowiedzieć za obowiązek poczytywał, oddaje mu hołd — jedyny jaki oddać wypada: hołd należny pracownikowi ożywionemu najlepszemi chęciami i człowiekowi nieskazitelnego charakteru.

Uznanie wroga, oparte na gruncie rzeczywistym, było - by dla nieboszczyka z pewnością cenniejsze od nierozsądnych zachwytów przyjaciół. Wszystkich nas, krytyków i artystów, dzielić mogą poglądy na sztukę: niechaj nas wszelako łączy przywiązanie bezinteresowne do sztuki i gorąca chęć służenia jej wedle sił i możności.

Feliks Jasieński.

Post-scriptum. Pan Rabski utrzymuje, iż ś. p. Gersonowi należy postawić pomnik. Co do pomnika — jesteśmy w zgodzie, ale pokłócimy się, gdy przyjdzie na stół kwestya ułożenia napisu. Prawemu obywatelowi — zacnemu człowiekowi, ani słowa więcej. Powiecie, że w takim razie pomnik nie ma racyi bytu? Błąd wielki. Gersonów jest u nas tak mało, że możemy im stawiać pomniki — bez wahania.

KSIĄŻKI NADESŁANE.

POEZYA. — Gustaw Daniłowski. *Na wyspie.* St. Demby. Warszawa. — Emde. *Symfonia: Do niej.* Warszawa. Druk Warsz. Tow. Akc. Art.-Wyd. — Mieczysław Emef. *Szał.* Skł. gł. G. Centnerszwer. Warszawa. — Władysław Karoli. *Przyszłość.* J. Fiszer. Warszawa. — Antoni Lange. *Fragmenty.* Gebethner i Wolff. Warszawa. — Fr. Mirandolla. *Liryki.* J. Fiszer. Warszawa. — Leopold Staff. *Sny o Potędze.* Gebethner i Wolff. Warszawa.

POWIEŚĆ. — Janina Baudouin de Courtenay. *Nowelle.* Skł. gł. J. Fiszer Warszawa. — Artur Gruszecki. *Na Wyścigach*, tom I i II. Biblioteka dzieł wyborowych. Warszawa. — Paź. *Obrazki.* L. Idzikowski. Kijów. — Mieczysław hr. Pininski *Szkice z życia wiejskiego.* H. Altenberg. Lwów. — Fr. Rawita. *Złudzenia.* H. Altenberg.

*) Gdy chodzi o uczniów, nie mówi się o mistrzach takich, jakim jest np. Witkiewicz.

Lwów.—H. Sienkiewicz. *Pisma*, tom. II, III i IV. St. Demby. Warszawa.—A. Suszczyńska. *Przekonana*. K. Grendyszyński. Petersburg.—Cecylia Walewska. *Bez duszy*. T. Paprocki Warszawa.

TEATR. — Lew Tołstoj. *Władza ciemności*. Przełożył M. Przybyłowicz. Spółka wydawnicza Polska. Kraków.

STUDYA LITERACKIE i ESTETYCZNE. — Dr. Jan Bołoz Antoniewicz. *Portret Cecylii Gallerani przez Lionarda da Vinci w muzeum książąt Czartoryskich w Krakowie*. Referat III Zjazdu Historyków Polskich w Krakowie (sekcya IV).—Dr. Jan Bołoz Antoniewicz. *Świątynia Zagadkowa Lionarda da Vinci*. Lwów. — Franciszek Kvapil. *Životem k Idealu. Literarni Vzpominky a Skizzy*. J. Otto. Praga — Edward Porębowicz. *Tryady Zygmunta Krasińskiego*. Lwów. — John Ruskin. *Królowa powietrza*. T. Paprocki. Warszawa. — Hr. Lew Tołstoj. *Co to jest sztuka?* Przełożył A. J. Cohn. J. Fiszer. Warszawa.

HISTORYA. — J. Chociszewski *Historya Polski*. M. Borkowski. Warszawa.— G. Ducoudray. *Historya Cywilizacyi Powszechnej*, tom I—IV „Niwa Polska.“ Warszawa. — Stanisław Krzyżanowski. *Najstarsze karty Metryki Uniwersyteckiej*. Druk „Czasu.“ Kraków. — Stanisław Krzyżanowski. *Poselstwo Kazimierza Wielkiego do Awinionu i pierwsze Uniwersyteckie przywileje*. Druk „Czasu.“ Kraków. — Dr. Bronisław Łoziński. *Agenor hrabia Gołuchowski w pierwszym okresie rządów swoich*. H. Altenberg. Lwów. — *Pamatnik na Oslavu Padesatiletého Panovnického Jubilea Jeho Veliczenstva Cisarze a Krále Frantiszka Josefa I*. Wyd. Akademii Czeskiej. Praga. — Fryderyk Szulc. *Polska w roku 1793*. „Niwa Polska.“ Warszawa. —

HERALDYKA. — Adam Boniecki. *Herbarz Polski*, część I, tom. I—III. Skł. gł. Gebethner i Wolff. Warszawa.

NAUKI FILOZOFICZNE. — Emil Dubois-Reimond. *Granice poznania natury, Siedm zagadek wszechświatowych*. Przekład Marjana Massoniusa. „Przegląd Filozoficzny.“ Warszawa. — Dr. Henryk Gomperz. *Krytyka Hedonizmu*. Przełożył Antoni Krasnowolski. „Przegląd Filozoficzny.“ Warszawa. — O. Herman Gruber T. J. *Życie i Doktryna Augusta Comte'a*. Przełożył ks. Wł. M. Dębicki. „Niwa.“ Warszawa. — Immanuel Kant. *Marzenia Jasnowidzącego objaśnione przez marzenia metafizyki*. Skł. gł. J. Fiszer. Warszawa. — E. Macha. *Odczyty popularno-naukowe*. Przekład Stanisława Kramsztyka. „Przegląd Filozoficzny.“ Łódź. — D. Mercier. *Historya Psychologii Nowożytnej*. „Przegląd Filozoficzny.“ Warszawa. — Ks. R. P. Zahm. *Uczeni Katoliccy*. Szkice z dziedziny wiedzy. „Niwa.“ Warszawa.

ARCHEOLOGIA. — K. B. Madl. *Soupis Pamatek Historickych a Umieleckych v Královstvi Czeském od pravieku do poczatku XIX stoleti*, tom I—IX. Wyd. Komisyi Archeologicznej przy Akademii Czeskiej. Praga. — *Światowit*, tom I i II. Skł. gł. E. Wende i S-ka. Warszawa.

SZTUKI PLASTYCZNE. — Maryan Wawrzeniecki. *Rysunek i Malarstwo*. B. Wierzbicki i S-ka. Warszawa.

GEOGRAFIA. OPISY. PODRÓŻE. — W. Doroszewicz, przeł. z rosyjskiego Zenon Pietkiewicz. *Sachalin*, tom I, II i III. Biblioteka Dzieł Wyborowych. Warszawa. — W. Kędzierski. *Z okolic Warszawy*, (zdjęcia z natury). B. Wierzbicki i S-ka. Warszawa. — Ludwik Leger. *Austro-Węgry w XIX wieku*. „Niwa.“ Warszawa. — Rys. Jan Olszewski. *Brzegiem Wisły*. B. Wierzbicki i S-ka. Warszawa. — Leon Rousset. *W Chinach i o Chinach*. Wrażenia z podróży. „Niwa.“ Warszawa. — M. Serao. przeł. z włoskiego A. Morzkowska. *W Ziemi Świętej*. S. Orgelbrand i Synowie. Warszawa.

PEDAGOGIA. — Edmund Demolins. *Potęga Wychowania czyli Wyższość Anglo-Saksońskiej Rasy*. „Niwa Polska.“ Warszawa.

VARIA. — Adolf D'Assier. *Ludzkość pośmiertna* (Posthumous humanity). *Studyum nad widmami i marami*. Przeł. Dr. Józef Drzewiecki. „Niwa.“ Warszawa. — Filibert Audebrand. *Czy Napoleon był szczęśliwym*. Przeł. Helena Maciejowska.

„Niwa.“ Warszawa. — Rudolf Falb. *Gwiazdy i Ludzie.* „Niwa.“ Warszawa. — Prof. Dr. Stanisław Krzyżanowski. *Wielka własność gruntowa i jej wpływ na organizacyę społeczną i polityczną wieków średnich.* Referat III Zjazdu Historyków Polskich. Kraków. — Ksiądz Piotr Skarga. *Kazania Sejmowe.* „Niwa Polska.“ Warszawa. — Max Wolff. *Zwyrodnienie Kobiety Współczesnej.* „Niwa,“ Warszawa. — *Złudzenia Cywilizacyi.* Przeł. z ang. Helena Maciejowska, „Niwa Polska.“ Warszawa.

CZASOPISMA. — *Książka.* №№ 1 i 2, 1901 r. Warszawa. — *Przegląd Farmaceutyczny,* №№ I i II. Warszawa. — *Pszczelarz i Ogrodnik,* №№ 1, 2 i 3. Warszawa.

LITERATURY OBCE. — Stefan George. *Der Teppich des Lebens und die Lieder von Traum und Tod mit einem Vorspiel.* Zweite Ausgabe. Georg Bondi. Berlin.—*Blätter für die Kunst. Eine Auslese aus den Jahren 1892—98.* Georg Bondi. Berlin.—J. S. Machar. *Confiteor.* 2 vyd. F. Szimaczek. Praga.—J. S. Machar. *Magdalena.* 2 vyd. F. Szimaczek. Praga. — J. S. Machar. *Tristium Vindobona I. XX.* 2 vyd. F. Szimaczek. Praga. — J. S. Machar. *Vylet na Krym.* F. Szimaczek. Praga. — Jan Rokyta. *Lekniny na Hlubinách,* Baśnie. Tiskl Alois Wiesner. Praga. — Jan Rokyta. *Lilie z Tvych zahrad,* Grosman a Svoboda. Praga. — Marcel Barrière. *Le nouveau Don Juan* (T. I. *l'Education d'un contemporain,* T. II. *le Roman de l'Ambition,* T. III. *les Ruines de l'Amour).* A. Lemerre. Paris.

PRZEKŁADY. — *Czarodziejskie powieści Andersena,* tom I i II. „Niwa Polska.“ Warszawa. — J. J. Astor. *Podróż na Jowisza.* Przełożyła Marya Milkuszyc. „Niwa.“ Warszawa. — *Bonaparte i Żydzi,* powieść historyczna. „Niwa.“ Warszawa. — Pisma O. Ludwika Colomy. *Apfe.* Nowelle i Opowiadania, przeł. z hiszp. H. J. Biblioteka dzieł wyborowych. Warszawa. — Pisma O. Ludwika Colomy. *Tumany i kałuże.* Przeł. z hiszp. H. J. Biblioteka dzieł wyborowych. Warszawa. — H. Rider Haggard *Ona.* Przeł. z ang. Marya Goltz. „Niwa Polska.“ Warszawa. — Karol M. Sheldon. *W Jego Ślady. Jakby Chrystus postąpił.* Przełożył Wojciech Szukiewicz. Gebethner i Spółka. Kraków.

CZASOPISMA NADESŁANE

ATENEUM. Warszawa (Luty 1901). — M. Tatarkiewicz: *Msza Majowa.* — St. Piotrowski: *Wspólna własność ziemska.* — I. B. Marchlewski: *Postępy techniki a kwestya społeczna.* — Jozefat Nowiński: *Życie i marzenie.* — S. Dickstein: *Nowe dzieło o Koperniku.* — Maksymiljan Gumplowicz: *Żywot Balduina Gallusa.* — Stefan Żeromski: *Aryman mści się.* — Michał Mutermilch: *Droga sztuki.* — Pst: *Kronika ekonomiczna.* — Henryk Galle: *Z najnowszych powieści.* — *Dwudziestopięciolecie Muzeum Przemysłu i Rolnictwa.* — *Rozbiory i sprawozdania.* — *Nowości naukowe i literackie.* — *Kronika miesięczna.*

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA. Warszawa (Luty 1901). Treść: Adam Krasiński: *Poeta myśli.* — Kazimierz Rakowski: *Kolonia Polska w Berlinie.* — Józef Weyssenhoff: *Sprawa Dołęgi.* — Władysław Bogusławski: *Józef Verdi.* — J. Jeziorański: *Stowarzyszenia Rolnicze.* — Romanus: *Rok jubileuszowy w Rzymie.* — *Piśmiennictwo.* — *Kronika miesięczna.* — *Wiadomości bibliograficzne.*

CZASOPIS MUSEA KRALOVSTVI CZESKEHO. Praha (svazek prvni 1901). Treść: Dr. J. V. Szimak: *Pozustalost Dobnerova.* — Josef Veys: *Hlaholsky zlomek nalezeny v Augustiańskem klaszterze v Praze.* — Jaroslav Kamper: *Julius Zeyer.* —

Dr. V. Flajszhans: *Novie nalezené zbytky t. zv. „zlomku Epickych“.* — Jaroslav Kamper: *Ladislav Stroupeżnicky, jeho żivot a dilo.* — Hanusz Kuffner: *Bojisztie válek husitskych od r. 1419 — 1434. — Hlidka literárni. — Zpravy knihopisné: Publikaczni czinnost Czeské Akademie za rok 1900. — Zpráva o Museu král. Czeského od 1 dubna do 31 srpna r. 1900. — Zpráva o stavu Musea kral. Czeského za rok 1900. — Zpráva o Matici Czeské.*

DIE INSEL (Berlin), März 1901. — R. Dehmel: *Zwei Menschen.* — Callot: *Zwei Kupferstiche.* — H. G. Wells: *Die ungewöhnliche Orchidee.* — O. J. Bierbaum: *Eine sentimentale Reise.* — F. Valloton: *Zwei Zeichnungen.* — J. Renard: *Fuchs* (übers von H. v. Hofmannsthal. — M. Behmer: *Märchen.* — F. Wedekind: *Prolog zum Erdgeist. — Zwei japanische Holzschnitte. — Anmerkungen.*

MODERNI REVUE. Praha (Unor 1901) Treść: Frantiszek Bilek: *Podobizna Julia Zeyera.* — Jirzi Karásek: *Za Juliem Zeyerem.* — Julius Zeyer: *Uryvky z dopisu.* — Otokar Brzezina: *Czisté jitro.* — Viktor Dyk: *Stud.* — Hubert Cyriak: *Husuv pomnik.* Oskar Wilde: *Ballada o żalárzi v Readingu.* — A. P.: *Kronika.* — Jirzi Karmin: *Erotica.* — Jirzi Karásek: *Nové knihy francouzské a polské.* — Alap: *Nové knihy vlaské a szpanielské.* — Jan Opolsky: *Zaslano.* — Viktor Dyk: *Procz ta żaba . . .* — Josef Holy: *Pisnie slepého mládence.* — V. D.: - *Piseń poetowa.* — J. Hnátek, *Vignetta.*

PRZEGLĄD FILOZOGICZNY. Warszawa (Zeszyt I 1901 r.).—Władysław Gosiewski: *Zarys teoryi matematycznej monadologii. — Przegląd krytyczny. — Filozoficzny kongres międzynarodowy. — Psychologiczny kongres międzynarodowy. — Książki nadesłane.*

LA RASSEGNA INTERNAZIONALE. Firenze (1 Marzo 1901). — Ettore Ximenes: *Rodin.* — Alberto Manzi: *La leggenda delle Amazzoni nell' Amasonia (La storia — Le leggende.)* — Francesco Gaeta: *Un romanzo Religioso.* — Guido Gasperini: *Lo Spirito del Risorgimento Italiano nelle opere di G. Verdi.* — La Rassegna Internazionale: *Ramon de Campoamor.* — Ramon de Campoamor: *Gli amori di Giovanna. — (Traduzione di Luigi Suner).* — Sem Benelli: *Rassegna Italiana.* — Amy A. Bernardy: *Rassegna Nord Americana.* — Cesare Levi: *Cronaca dramatica. — Notiziario Generale.*

SLOVANSKY PRZEHLED. Praha. — (Brzezen 1901). Rużena Jesenska: *Z poesie Maloruske. Ivan Franko.* — Sztiepan Radić: *Slovanska politická tragedie.* — Adolf Czerny: *Sto let lużicko-serbske poesie.* — Stan. Klima: *Ze Slovenska. — R: Vystiehovatelstvi z bosenske krajiny.* — Dopisy: *Z Lużice. — Z Dolni Lużice. — Z Krainy. — Z Krakova. — Z Poznanie. — Rozhledy a zpravy: Slovane severozápadni. — Slovane wychodni.*

TYGODNIK ILLUSTOWANY. (Warszawa), № 5 — 8. T. T. Jeż: *Od kolebki przez życie.* — Kazimierz Tetmajer: *Panna Mery.* — S. B.: *Sylwetki galicyjskie (Kazimierz Bartoszewicz).* — W. Bogusławski: *Józef Verdi.* — W. Pr.: *Zawisza Czarny.* — Wł. Jabłonowski: *Z dziedziny myśli.* — Aleksander Kraushar: *Zabytki Warszawskie.* — St. R. Lewandowski: *Teodor Axentowicz.* — Ignacy Matuszewski: *Ideały życiowe Prusa.* — Julian Maszyński: *Źródło stylu zakopiańskiego.* — T. Jaroszyński: *Wystawa sztuki japońskiej. — Kronika. — Sprawozdania. — Ryciny.*

WIADOMOŚCI ARTYSTYCZNE. (Lwów), № 8—12. W. Feldman: *Powieść jubileuszowa Sienkiewicza.* — Zygmunt Noskowski: *Dwie kolędy.* — D - mol: *Suite.* — St. Bursa: *Mieczysław Sołtys.* — s. b.: *Dwudziestolecie „Lutni“ lwowskiej.* — H. Cepnik: *Pierwszy kwartał w nowym teatrze. — Poezye:* Zawrata, Rossowskiego. — *Sprawozdania. — Kronika. — Ryciny. — Dodatki muzyczne.*

WISŁA. Warszawa (Zeszyt I, 1901). — St. Górka: *Skulscy „Ochweśnicy“.* — A. Rummel: *Obrzędy weselne we wsi Masi.* — A. Rummel: *Pieśń dożynkowa.* — Z. A. K.: *„Przepowiadki“ z Józwowa.* — Jadwiga Milewska: *Kołysanki z Ciechanowskiego.* — M. Wawrzeniecki: *Dzwonnica i Wspornik (z rycinami).* — Romuald

Łazęga: *Powiat Brodnicki (z mapą).* — Jerzy Ohr: *Przysłowia Rabinów.* — K. Rhamm: *Przyczynek do historyi rozwoju spichlerza słowiańskiego.* — *Poszukiwania.* — *Sprawozdania i krytyka.* — *Przegląd czasopism.* — *Z akademii Towarzystw i Muzeów* — *Drobiazgi Ludoznawcze.* — *Kącik archeologiczny.*

ZIVOT. U Zagrebu, (Veljacza 1901). — (Treść:) Srgjan Tucić: *Preludi.* — Oton Zupanczić: *Deviza.* — Branimir Livadić. *Mali probici,* — Drag M. Domjanić: *Moja ljubav,* — G. D' Annunzio: *Raskosznik i Lazar* (prevela Nina Vavra). — Sergij P.: *Iz dubrovaczkih soneta.* — Milan Marjanović: *Gabriele D' Annunzio.* — A. G. Matosz: *Mileta Jakszić.* — *Iz knjiżevnog i umjetniczkog svijeta:, Kazaliszte, Knjiżevnost, Umjetnost, Smotra.* — (Ilustracye:) Giorgione: *Venus.* — R. Valdec: *Biskup I. I. Strossmajer. Franjo Raczki. M Dimitrijevicz. Grofica M. Khuen-Hedervary. Kiparstwo Slikarstvo.*

VARIA

Wystawy sztuki w salonie „Chimery". — Roman de Campoamor. — Pomnik Artura Rimbaud. — Biblioteka Asnyka. — Manggha. — Konkurs Związku Naukowo Literackiego we Lwowie. — Od Komitetu Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych. — Wydanie wytworne „Chimery". — Sprawozdanie o powieści i teatrze. — Litografia kolorowa Jana Stanisławskiego.

Wystawy sztuki w salonie „Chimery". Wspomnieliśmy już w prospekcie, że znamy tylko jedną, nierozdzielną sztukę i że na wszystkie jej sposoby czy odgałęzienia jednaką chcemy zwracać uwagę. Sztuki plastyczne, w samem piśmie, z natury swojej, w dostatecznej mierze uwzględnione być nie mogą. Przedewszystkiem, niepodobna okazać samych oryginałów. Powtóre, liczba doskonałych reprodukcyj (dawanie złych uważamy za bezcelowe i nawet szkodliwe) nie może, z powodu ogromnych kosztów, przechodzić pewnych granic. Aby uzupełnić ten brak, nosiliśmy się, już w chwili zakładania pisma, z myślą urządzenia całego szeregu wystaw, które, zaznajamiając zarówno z najkapitalniejszemi dziełami z czasów minionych i z twórczością najwybitniejszych artystów doby dzisiejszej, prowadziłyby do ukształcenia smaku, wyrobienia wrażliwości i podniesienia kultury estetycznej. Mieliśmy naturalnie na oku nie jakieś wystawy zbiorowe, których złe strony wykazaliśmy w numerze poprzednim, lecz ekspozycye bądź pojedynczych artystów, bądź poszczególnych rodzajów sztuki (np. portret, akwaforta, litografia, ornamentyka i t. p.), na których widz odbiera jednolite i stanowiące pewną całość wrażenie.

Dzięki zgodzie artystów, z którymi zmieśliśmy się w tym celu, oraz dzięki niewymownej uprzejmości i dobrej woli p. Feliksa Jasieńskiego, który z całą gotowością oddał nam do rozporządzenia wspaniałe swe zbiory, możemy urzeczywistnić tę myśl wcześniej, niż przypuszczaliśmy.

Z dniem 1 kwietnia otwieramy szereg nieustający tych wystaw, które zostaną chwilowo zawieszone tylko w ciągu trzech letnich miesięcy, od 15 czerwca do 15 września.

Wystawy następować będą po sobie bez przerwy, każda z nich trwać będzie 2 tygodnie.

Wstęp wolny dla abonentów *Chimery* i osób przez nich wprowadzonych, oraz dla artystów, literatów i gości zaproszonych.

Do dnia 15 czerwca odbędą się wystawy następujące:

1 — 15 kwietnia.

Albrecht Durer: *Wielka Męka Pana naszego Jezusa Chrystusa* (12 drzeworytów w reprodukcyi faksimilowej sposobem P. W. van de Weijer'a w Utrechcie). — *Objawienie Św. Jana* (15 reprodukcyj naturalnej wielkości podług rysunków własnoręcznych). — Nadto albumy, edycye i książki: *A. Dürers Sämmtliche Kupferstiche* (wyd. w natur. wielkości A. Zemsch). — *La Vie de la Sainte Vierge Marie* (wyd. P. W. van de Weijer'a). — *Kleine Passion* (wyd. G. Hirth). — *Die Randzeichnungen zum Gebetbuche des Kaisers Maximilian I* (wyd. G. Hirth). — Rysunki Dürera w edycyi: *Handzeichnungen alter Meister aus der Albertina und anderen Sammlungen.* — Charles Ephrussi: *Albert Durer et ses dessins.*

15 kwietnia — 1 maja.

Henryk Rivière: — 2 serye sztychów dekoracyjnych (estampes décoratives) w kolorach: *Les aspects de la nature* (12 oryginalnych litografij). — *Paris* (8 plansz oryginalnych). — Nadto albumy: *La marche à l'étoile, l'Enfant prodigue, Clair de lune.*

1 — 15 maja.

F. Piranesi. — *Rzym w XVIII stuleciu* (30 oryginalnych miedziorytów, oraz słynny z wielkości swej Widok ogólny Rzymu z Janikulu, również w miedziorycie).

15 maja — 1 czerwca.

Stanisław Masłowski jako akwarelista (oryginalne akwarele ze zbiorów prywatnych).

1 — 15 czerwca.

Ornamentyka arabska (dekoracye ścienne, plafony, mozaiki, posadzki, boazerye, witraże, materye, dywany, oprawy, fajanse) w bogatych reprodukcyach chromolitograficznych Lemercier'a, —

oraz kolekcya fotografij z podróży na Wschód (Konstantynopol, Damaszek, Jerozolima, Kair) — widoki i architektura.

W dniu otwarcia konferencya p. F. Jasieńskiego o Wschodzie.

Od 15 września rozpocznie się nowa, następująca serya wystaw:

Hiroshige jako pejzażysta — 300 oryg. drzeworytów kolorowych. Nadto: kilkanaście albumów oryginalnych.

Pejzażyści francuscy Szkoła Barbizońska. (24 faksimil. rysunków T. Rousseau; krajobrazy Millet'a, Corot'a, Dupré'go, Daubigny'ego — w fotograwiurach). Nadto albumy i książki: Millet — *les Paysans;* L. Roger Milès — *Corot; Paysagistes contemporains;* Muther — *Französische Malerei des XIX Jahrhunderts.* Dla porównań: *les Aquarellistes anglais* i *les Dessins à la plume.*

Afisze oryginalne francuskie (Willette, Chéret, Steinlen, Caran d'Ache, Toulouze Lautrec, Moreau Nelaton, Grasset), oraz reprodukcye z celniejszych afiszów artystów innych narodowości. Nadto albumy i książki: E. Maindron — *les Programmes illustrés* i 3 roczniki A. Mellerio — *l'Estampe et l'Affiche.*

Surimona (60 sztuk). Gakutei, Hokusai i jego szkoła.

Max Klinger (Handschuh, Dramen, Ein Leben, Eva und die Zukunft, Rettungen Ovidischer Opfer, Eine Liebe, Christus, Amor und Psyche). Nadto, wszystko, co wyszło o Klingerze.

Wyjaśnień udzielać będzie p. F. Jasieński.

Przyczynek do historyi portretu. Portrety polskich artystów współczesnych: Krzyżanowskiego, Malczewskiego, Pieńkowskiego, Podkowińskiego, Wyczółkowskiego i innych (ze zbiorów prywatnych). Reprodukcye z portretów dawnych mistrzów (Dürer, Holbein, Leonardo da Vinci, Rembrandt, Van Dyck, Velasquez i inni). Nadto: *Allgemeines historisches Porträtwerk* (wyd. G. Hirth), oraz *l'Image de la femme.*

Utamaro. Kobieta i pejzaż (około 100 drzeworytów.) Nadto albumy *les Maisons Vertes* (patrz monografię Goncourt'a).

Gustaw Moreau. Reprodukcye dzieł najcelniejszych — (akwaforty, heliograwiury, fotografie).

W dniu otwarcia konferencya p. Z. Przesmyckiego.

Kuniyoshi — legendy, bitwy, bohaterowie (około 150 drzeworytów).

Akwaforta, litografia i drzeworyt (F. Rops, M. Klinger, Valère Bernard, de Feure, Cassiers, Steinlen, Willette, artyści z Karlsruhe i t. d. — odbitki oryginalne). — Nadto, albumy i książki: *Entr' Actes de pierres* (akwaf. Eug. Béjot); A. Mellerio — *la Lithographie en couleurs; l'Image* (odrodzenie się drzeworytnictwa we Francyi).

Hokusai jako pejzażysta. Plansze drzeworytowe, oraz 40 albumów (Manggha — 9 tomów, 100 widoków Fuži — 3 tomy, i t. d.).

Franciszek Goya. Akwaforty, rysunki, albumy, fotografie z obrazów.

W dniu otwarcia konferencya S. Przybyszewskiego.

Miniatura w Europie do końca XVIII w. (w znakomitych barwnych reprodukcyach Owen Jones'a).

Rysunki starych mistrzów wszystkich narodów (w reprodukcyach faksimil.: *Handzeichnungen alter Meister* oraz *Kupferstichkabinet).*

Harunobu; Koriusai; Shunsho; Yosai (20 tomów: Bohaterowie, uczeni, poeci Japonii); **Korin.**

Ornamentyka ostatniej doby.

Co do **współczesnych artystów polskich** bądź mamy przyobiecane wystawy, bądź spodziewamy się uzyskać współudział: St. Dębickiego, K. Krzyżanowskiego, J. Mehoffera, T. Noskowskiego (litografia), E. Okunia, St. Ostrowskiego, J. Pankiewicza, I. Pieńkowskiego, St. Pstrokońskiego, E. Siedleckiego, J. Stanisławskiego, M. Wawrzenieckiego, W. Weissa, St. Wyspiańskiego, i innych.

Ze względu na ważność **sztuki stosowanej**, pragniemy i jej poświęcić cały szereg ekspozycyj. Mamy już zapewnioną wystawę kowalstwa i ślusarstwa artystycznego. Ufamy nadto, że osoby mające większe zbiory z innych działów tego zakresu (tkaniny, pasy, ceramika, dzbany, konwie cynowe i miedziane, oprawy książkowe i t. p.) zechcą ze swej strony poprzeć nasze usiłowania.

Ramon de Campoamor, jeden z największych i najoryginalniejszych poetów kastylskich, ten, który zamyka dobę romantyzmu hiszpańskiego, a otwiera dwa nowe kierunki: poezyi realistycznej i poezyi filozoficznej, zmarł w Madrycie. Urodził się w tymże roku co Zorilla, 1815. Z utworów jego poetyckich najważniejsze są: *Doloras,* zbiór krótkich, niesłychanie skondensowanych poemacików, tu ironicznych, ówdzie aż humorystycznych, gdzieindziej znowu elegijnych, ale zawsze pełnych głębokiej treści filozoficznej; bardziej rodzajowe, ale o dużej głębi uczuciowej, *Małe poemaciki,* które ktoś nazwał miniaturami wielkich ram życia; wreszcie dwie wspaniałe epopeje filozoficzne: *Krzysztof Kolumb* i zwłaszcza *Dramat powszechny,* obfitujący we wspaniałe, fantastyczne obrazy (że przypomnimy tylko scenę, gdy duch Honoryusza zbliża się do szczątków Karola V). **Życie** warszawskie drukowało w roku 1888 jeden poemacik z cyklu: *Doloras y Cantares,* p. t. *Metampsychozy,* w pięknym przekładzie E. Porębowicza.

Pomnik Artura Rimbaud. Komitet złożony z najwybitniejszych poetów i artystów francuskich zawiadamia nas, że rozpoczął zbierać składki na wzniesienie pomnika znakomitemu twórcy „Statku pijanego“ oraz „Illuminacyj“ w Charleville, rodzinnem jego mieście. Adres skarbnika komitetu: M. Ernest Delahaye, 45, boulevard Pasteur, Paris, XV. (France).

Biblioteka Asnyka. *Zwon* czeski, a za nim i nasze pisma zwróciły uwagę, że książki z biblioteki Asnyka błąkają się już po antykwarniach krakowskich. Zważywszy, iż był to może jedyny poeta w naszej dobie, którego w należyty sposób uznawano, i przypomniawszy sobie, jak niewiele czasu od śmierci jego upłynęło, musimy stwierdzić, że pamięć nawet o wielbionych poetach trwa dosyć krótko.

Manggha. Donoszą nam z Paryża, że książka p. Feliksa Jasieńskiego w języku francuskim p. t. *Manggha,* zawierająca wrażenia z podróży, sztuki, literatury, filozofii, czyli całą i bogatą treść wytwornego duchowego żywota, obudziła w paryskich kołach literackich i artystycznych, z któremi autor przez dłuższy czas dość blizko obcował, żywe zajęcie. Pierwsze wydanie jest już podobno wyczerpane. Paru tłumaczy niemieckich zgłosiło się do wydawcy z prośbą o prawo przekładu. Podamy w *Chimerze* niektóre ustępy z tego ciekawego dziennika à la Goncourt, a tymczasem przesyłamy przyjacielowi naszemu serdeczne powinszowanie.

Konkurs Związku Naukowo - Literackiego we Lwowie. „Związek Naukowo - Literacki we Lwowie“, dla uczczenia dwudziestopięciolecia pracy pisarskiej Henryka Sienkiewicza, ogłasza niniejszem następujący konkurs literacki.

Konkurs obejmuje charakterystyki współczesnych polskich pisarzy i artystów (charakterystykę twórczości lub pewnych stron twórczości poetów, beletrystów, krytyków sztuki i literatury, oraz artystów twórczych, nie zaś odtwarzających tylko). Prace poszczególne nie powinny przekraczać objętości trzech arkuszy (48 stron) druku, formatu „Wiedzy i Życia“ (Wydawnictwo Związku N. - L. Nakład księgarni Altenberga we Lwowie). Termin nadsyłania prac do 1 maja r. b. Prace przesyłać należy na ręce prezesa Związku N. - L. *(„Prof. Jan Pawlikowski, Lwów, ul. 3-go Maja l. 5.“).* Mają one być zaopatrzone godłem, a w dołączonej zamkniętej ko-

percie zawierać nazwisko i adres autora, tudzież jego oświadczenie tej treści: „Oświadczam, że praca pod godłem.... dotąd drukiem ogłoszoną nie była, i że pod warunkami, konkursem oznaczonymi, oddaję ją na wyłączną własność Związku naukowo-liiterackiego we Lwowie".

Nagród ustanawia się pięć: jedna na 200 koron, jedna na 100 koron, trzy po 50 koron. Zarówno prace nagrodzone, jak i te, które sąd konkursowy obok nich jako najlepsze odszczególni, przechodzą na własność Związku. Nawzajem Związek zobowiązuje się ogłosić je drukiem, bądź w wydawnictwie swem „Wiedza i Życie", bądź w osobnem wydaniu, najdalej w przeciągu pół roku od chwili rozstrzygnięcia konkursu, płacąc po 60 koron honoraryum od arkusza (16 stron) druku formatu „Wiedzy i Życia". Nagrody będą wypłacane zaraz po rozstrzygnięciu konkursu, honorarya po wydrukowaniu.

Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem komunikuje nam, że Zarząd Cesarskich fabryk porcelany i szkła ogłosił konkurs na rysunki artystyczne, podług których mogłyby być wykonywane przedmioty z tych materyałów. Warunki konkursu są do przejrzenia w Kancelaryi Towarzystwa.

Wydanie wytworne Chimery. Wiele osób zgłosiło się do nas, bądź osobiście bądź listownie, z prośbą o ułatwienie im nabycia wytwornego wydania *Chimery* przez rozłożenie ceny prenumeracyjnej na raty. Czyniąc zadość temu żądaniu, przyjmować będziemy prenumeratę półroczną w kwocie 15 rb. (z przesyłką pocztową 17 rb. 50 kop.) i kwartalnie w kwocie 7 rb 50 kop. (z przesyłką pocztową 8 rb. 75 kop.).

Ocenę ostatnich powieści, poprzedzoną uwagami ogólnemi o zadaniach oraz o stanie dzisiejszym tego rodzaju poetyckiego, musimy z powodu nawału materyałów odłożyć do następnego numeru, gdzie zastanowimy się również nad teatrem i twórczością dramatyczną.

Litografia pięciobarwna Jana Stanisławskiego będzie może dla czytelników naszych pewną nowością. O ile produkt czysto mechaniczny zwany chromolitografią był u nas aż zanadto może

rozpowszechniony, o tyle oryginalna litografia w kolorach w ostatnich dopiero czasach zwróciła uwagę paru artystów polskich. Nie jest ona jak chromolitografia reprodukcyą tylko faksimilową jakiegoś oryginału barwnego, lecz koncepcyą odrębną, w której pomysł artysty wiąże się z góry z daną techniką, jako najodpowiedniejszą do jego urzeczywistnienia. Artysta sam rysuje na kamieniu, sam rozkłada i kombinuje kolory i kolej ich nakładania, a rola litografa sprowadza się jedynie prawie do starannego odbijania gotowych płyt.

Do egzemplarzy wytwornych dodajemy litografię J. Stanisławskiego w dwóch odbiciach, na matowym szarym, i na białym gładkim, mięsistym papierze. Zestawienie to zainteresuje niewątpliwie znawców i amatorów, pozwalając dopiero ocenić należycie ten niesłychanie intensywny poemat świateł i wszystkie jego subtelności.

W jednym z przyszłych N-ów damy krótki rzut oka na — niedawny i zagranicą — rozwój litografii *barwnej*.

Trzeci zeszyt „Chimery" wyjdzie z końcem kwietnia; czwarty i piąty ukażą się z końcem maja.



OGŁOSZENIA W „CHIMERZE".

„CHIMERA" przyjmuje w dziale ogłoszeń *jedynie* anonse takich firm i zakładów, które w bliższym lub dalszym stoją związku z produkcyą artystyczną i literacką (fabryki i składy papierów, farb, przyborów malarskich, narzędzi muzycznych, zakłady fotograficzne, litograficzne i w ogóle reprodukcyjne, składy obrazów, firmy wydawnicze książek, nut i plastycznych dzieł sztuki, drukarnie, gisernie, księgarnie, antykwarnie, przemysł artystyczny, stałe i peryodyczne wystawy sztuki, sale koncertowe i odczytowe, sezony koncertowe i teatralne, akademie i szkoły sztuk plastycznych, konserwatorya i prywatne szkoły muzyczne i dramatyczne, lekcye prywatne z zakresu literatury i sztuki, pracownie do wynajęcia, adresy i ogłoszenia od artystów pochodzące itd. itd.).

Cena ogłoszeń:

Na stronnicach poprzedzających tekst literacki, za wiersz petitowy lub jego miejsce . . . . **40** kop.
Na stronnicach po tekscie literackim za wiersz petitowy lub jego miejsce . . . . **30** kop.

„CHIMERA" Gustawa Moreau. Niewielka ilość pozostałych egzemplarzy heliograwiury Paulussena z przepysznej tej kompozycyi jest do nabycia *w administracyi „CHIMERY" i we wszystkich księgarniach*, po cenach następujących:

Format papieru 16×24½ cent	Cena rb.	1	kop.	—
Tenże format na grubym papierze	„ „	1	„	50
Format 24×34 na grubym papierze w trzech odbiciach.	„ „	2	„	—
Format tenże, odbicie na chinie	„ „	3	„	—
Format tenże na papierze japońskim (tylko sześć egzemplarzy)	„ „	5	„	—

Przekłady **Miriama:**

Leconte de Lisle — *Erynnie* (tragedya wierszem). Cena kop. 50.
J. Vrchlicki. — *Uszy Midasa* (komedya) . . . . . Cena kop. 50.

Niewielka ilość pozostałych egzemplarzy do nabycia w administracyi *„CHIMERY"*.

„WISŁA"

Miesięcznik geograficzno-etnograficzny z ilustracyami.

W Warszawie — rocznie rb. 6, półrocznie rb. 3.

Z przesyłką pocztową — rocznie rb. 7, półrocznie rb. 3 k. 50.

Premium na rok 1901: obficie illustrowany tom *„Światowita"* za rok 1901.

Redakcya: Złota № 61; administracya w Księgarni Wendego, Krak Przedm. 9. Redaktor i Wydawca. *E. Majewski.*



PIEŚŃ

O STARYM ŻEGLARZU.

W SIEDMIU CZĘŚCIACH.

Facile credo, plures esse Naturas invisibiles quam visibiles in rerum universitate. Sed horum omnium familiam quis nobis enarrabit? et gradus et cognationes et discrimina et singulorum munera? Quid agunt? quæ loca habitant? Harum rerum notitiam semper ambivit ingenium humanum, nunquam attigit. Juvat, interea, non diffiteor, quandoque in animo, tanquam in tabula, majoris et melioris mundi imaginem contemplari: ne mens assuefacta hodiernæ vitæ minutiis se contrahat nimis, et tota subsidat in pusillas cogitationes. Sed veritati interea invigilandum est, modusque servandus, ut certa ab incertis, diem a nocte, distinguamus. — T. BURNET, Archaeol. Phil. *p. 68.*

CZĘŚĆ PIERWSZA.

Stary żeglarz, spotkawszy trzech na uroczystość weselną zaproszonych młodzieńców, zatrzymuje jednego z nich.

Powstrzymał krok jednego z nich,
Powstrzymał żeglarz stary.
„Na siwy włos twój! czego chcesz?
Czego chcą ócz twych żary!

„Na oścież, patrz, drzwi rozwarł swe —
Otworzył dom pan młody:
Ma gości rój ten krewniak mój,
Weselne sprawia gody.“

Położył nań swą chudą dłoń
I „był raz okręt“ — rzecze...
„Precz, starcze! precz z tą ręką twą!
Puść mnie, szalony człecze!“

Weselny gość, pod wpływem oczu starego podróżnika morskiego, zmuszony jest słuchać jego opowieści.

Puścił, lecz wlepił weń swój wzrok.
I na tę moc żeglarza
W miejscu weselny stanął gość
I niby dziecię zważa.

Weselny gość na głazie siadł
I musi bez odwłoki
Słuchać, co mówi stary człek,
Żeglarz płomiennooki:

„Okrętu przód pruł bezmiar wód.
Niemasz jak na głębinie!
Znikł kościół już, szczyt góry znikł,
Latarnia morska ginie.

Stary żeglarz opowiada, jak dobry mając wiatr i toń sprzyjającą, okręt płynie ku południowi, aż dosięga równika.

Po lewej hen! z odmętu fal
Wznosi się słonko boże
I pnie się, pnie, i blaski swe
Z prawej zatapia w morze.

I pnie się, pnie, w południa czas
Nad masztem lśniąc najświetniej“ —
Ma starca dość weselny gość:
Usłyszał granie fletni.

Weselny gość słyszy muzykę weselną, atoli żeglarz opowiada mu dalej.

Jak róży kwiat w świąteczny dom
Oblubienica wchodzi,
Wesoło przed nią głowy swe
Chylą grajkowie młodzi!

Ma już go dość weselny gość,
Lecz musi bez odwłoki
Słuchać, co mówi stary człek,
Żeglarz płomiennooki:

Okręt, zapędzony burzą do bieguna południowego,

„Lecz potem wichr rozpoczął dąć,
A wichr to był szalony,
Walił skrzydłami w okręt nasz,
W południa pędził strony.

Z masztami wskos, w pianach po brzeg,
Jak niby on ścigany człek
Na wroga cień, gdy pędząc, wbiegł,
Przedsię schyliwszy głowę,
Tak okręt mknął, a wicher dął
Na wody południowe.

I przyszedł śnieg, i straszne mgły,
I mróz jął wstrząsać nami,
Nad masztu szczyt zielony lód
Przypływał k' nam falami.

dotarł do kraju lodów i głosów straszliwych, gdzie żadnego nie było żywego stworzenia.

I śnieżny zwał bladawe siał
Promienie przez szczeliny:
I wzdłuż i wszerz ni człek ni zwierz,
A tylko lód był siny.

Gdzie padnie wzrok, tam lodu tłok,
Zrąb piętrzy się na zrębie,
Za złomem złom, z hukiem, jak grom,
Krajał te morskie głębie.

Wtem wielki ptak morski, zwany albatrosem, przedarł się przez męty i śnieżne zamiecie; przyjęto go z wielką uciechą i gościnnością.

Wtem wzbił się ptak na górny szlak,
Na mgliste hen! niebiosa:
Jakby to był żyjący człek,
Witamy albatrosa.

By druh czy brat, on z rąk nam jadł,
Wciąż krążył nad okrętem.
I rozpękł lód i statku przód
Morzem popłynął wzdętem.

I oto albatros okazał się ptakiem dobrej wróżby, i towarzyszył okrętowi, śród zamieci i olbrzymich kier lodowych płynącemu już w kierunku północnym.

Na tyłach wiatr z południa wiał,
Nad nami ptak się waży
I codzień w mig na majtka krzyk
Zlatuje do żeglarzy.

Na masztach on swój miewał schron
Przez mglistych dziewięć nocy,
A z poza gór skłębionych chmur
Lśnił księżyc w białej mocy.“

Stary żeglarz, wbrew prawom gościnności, zabił zbożnego ptaka, który z dobrą przyleciał wróżbą.

„Zkąd taki wzrok? żeglarzu, mów!
Niech strzegą cię niebiosa!“
„Ukarz mnie, Bóg! Do ręki łuk —
Zabiłem albatrosa!“

CZĘŚĆ DRUGA.

„Po prawej już z odmętu fal
Wstawało słonko boże,
I poprzez mgły chyliło się,
By z lewej zapaść w morze.

Na tyłach wiatr z południa wiał,
Lecz ptak się już nie waży,
Na majtka krzyk nie leci w mig
Po jadło z rąk żeglarzy.

Drużyna okrętowa powstaje przeciwko żeglarzowi, że zabił ptaka, który im przyniół szczęście.

Piekielny-m ja popełnił czyn,
Druhowie złorzeczyli,
Że zginął ptak, co na nasz szlak

Dał dobry wiatr w złej chwili.
„Tyś łotr i cham! On przywiódł nam
Szczęśliwy wiatr w złej chwili!“

Ale gdy mgły się rozwiały, byli takimi samymi, jak on, i stali się wspólnikami jego zbrodni.

Nad morza toń, jak boża skroń
Jawi się słońce złote:
„Padł z rąk twych ptak, co na nasz szlak
Zwiał“ — rzekli — „mgłę i słotę.
Wygodził nam, że zabił sam
Ptaka, co przyniósł słotę.“

Wiatr przyjazny wieje dalej; okręt wypływa na Ocean Spokojny, żeglując w kierunku północnym, dosięga równika.

Wiatr dobry dmie, w pian srebrnej mgle
Swobodnie okręt płynie;
My z ludzi snać pierwsza tu brać
Na cichej tej głębinie.

Naraz okręt ogarnia cisza.

Wiatr przestał dąć: ha! smutno wkrąg,
I żagle smutnie wiszą:
„Mów-że ty, mów! Trzeba nam słów,
Bo strach z tą morską ciszą.“

Niebieski strop, jak w żarach miedź,
A słońca twarz płonąca
Rozkrwawia się nad masztem wprost,
Niewiększa od miesiąca.

Tak dzień po dniu bez wiatrów tchu,
Bez ruchu myśmy stali,
Jak malowany statku wzór
Na malowanej fali.

Następuje pomszczenie albatrosa.

Gdzie wzrok twój padł, tam wody świat,
A łódź się w ogień zmienia —
Wody był świat, gdzie wzrok twój padł,
A człowiek marł z pragnienia.

I morza głąb' snadź gniła już!
O, Chryste! cóż się stanie?
Mulisty płaz leniwie lazł
Po mulnym oceanie.

A wśród tych mąk, gdyś spojrzał [wkrąg,
Ognie umarłych płoną:
Widziałeś toń, jak olej wiedźm,
Niebieską, białą, zieloną.

Towarzyszył im jakiś duch; jeden z tych niewidzialnych mieszkańców naszego planety, nie pochodzący ani od dusz ani od aniołów; o czem dowiedzieć się można u Żydowina Józefa i u konstantynopolitańskiego platończyka, Michała Psellusa. Duchów tych jest mnoga liczba, i niema lądu ani morza, gdzieby nie było z nich jednego lub więcej.

A w naszych snach, nieszczęścia duch
Głuchemi straszył słowy,
Że nas na dziewięć sążni w głąb
Od strefy gna śniegowej.

U wszystkich nas wyschnięta krtań,
I język już bez władzy,
Zamarł już głos, jakby nam kto
Nasypał w gardziel sadzy.

W rozpaczy swej, załoga okrętowa chce całą winę zwalić na starego żeglarza i na znak tego zawiesza mu na szyi zabitego albatrosa.

Ach! co za wzrok mi każdy śle
I jak się do mnie zbliża!
I na mym karku zawisł raz
Albatros zamiast krzyża."

CZĘŚĆ TRZECIA.

„Przeminął długi, długi czas!
Krtań wyschła, szklą się oczy!
Ach! jakiż długi, długi czas —
Jak szklą się wszystkim oczy!
Wtem na zachodni patrząc strop,
Wzrok mój coś w dali zoczy.

Stary żeglarz spostrzega na dalekiem morzu jakieś zjawisko.

Wprzód niby coś jak plamki cień,
Potem jak mgiełka szczera,
A potem, wciąż ruszając się,
Jakowyś kształt przybiera.

Cień plamki, mgła i jakiś kształt,
A ku nam ciągle dąży:
Jakby igrało z duchem wód,
Nurza się, wije, krąży.

Gdy się przybliżyło, wydaje mu się być okrętem; drogim okupem uwalnia więc język swój z więzów pragnienia.

Spiekota warg, ni łez, ni skarg
Pośród ginącej rzeszy!
Zgłuchł wszelki zew, wtem — boży gniew!—
Wgryzę się w ramię, wyssę krew
I krzyknę: „Okręt śpieszy!“

Spiekota warg, ni łez ni skarg!
Zdumienie ich ogarnia!
Na licach mrze radośny śmiech,
Jakby pić chcieli, tak chłoną dech —
Straszliwa to męczarnia!

Błysk radości.

Przychodzi przerażenie. Bo czyż może być okrętem to, co płynie bez wiatru i fali?

Hej! — wołam — hej! spokojnie łódź
Z zbawieniem ku nam płynie!
Bez wiatrów tchu, bez szumu fal
Toczy się po głębinie.

Zachodnią głąb spłomienił żar,
Dobiegał dzień do końca!
Ogniami lśni zachodnia głąb',
Pali się okrąg słońca!
Wtem jakiś kształt oddzielił nas
Od płonącego słońca.

Wydaje mu się być tylko szkieletem okrętu.

I słońce plam pokrajał rząd
(O boska chroń Dziewico!),

Patrzało k' nam jak z poza krat
Płomienne jego lico.

Ha! jak mi serce w łonie drży!
Łódź mknie coraz to prędzej!
Jej-li to żagle w słońcu lśnią
Jak biel pajęczej przędzy?

Żebra tego szkieletu wyglądają jak kraty na obliczu zachodzącego słońca.

Przez jej to żebra słońca twarz
Przeziera z blasków wieńcem?
Jedna kobieta jest-li tam?
Czy jest ich dwoje? Mór to sam?
Mór-że jej oblubieńcem?

Na szkielecie okrętu nie ma nikogo, prócz Upiorzycy i Moru, jej oblubieńca.

Jaki statek, taka załoga!

Czelny jej wzrok, a złota cud
Jej włos, na ustach spieka,
Skóra jak biały trądu wrzód —
To Upiorzyca, ta, co w lód
Przemienia krew człowieka.

Mór i Upiorzyca rzucają kości o załogę okrętu, Upiorzyca wygrywa starego żeglarza.

Zrównał się z naszym statku zrąb —
Ci w kości grają!... Piekła!...
„Skończona gra! Wygrałam ja!“ —
Z trzykrotnym gwizdem rzekła.

Niema zmierzchu w obrębie słonecznego dworca.

Zgasł słońca żar, już gwiazdy drżą,
Już ciemna noc przychodzi,
Z cichym szelestem sunie w dal
Widmo tej strasznej łodzi.

Gdy księżyc się pokazał,

Słuchamy wciąż, szukamy w mgłach!
Jak wino z czary, tak mi strach
Pił z łona krew żywota.
Spotężniał mrok, gwiazd przygasł rój;
Przy lampie blady sternik mój —
Skryta nim rozpacz miota.

Z żagli ściekają krople ros,
Księżyc swój srebrny rozwiał włos,
Przy nim lśni gwiazda złota.

majtkowie

I wszystek lud w oblasku tym
W mą stronę wzrokiem toczy:
Upiorny strach na twarzach siadł,
Przekleństwo ślą mi oczy.

jeden po drugim padają nieżywi.

Ni głośny żal, ni głośny jęk,
A tylko smutek szczery:
Z głuchym łoskotem padło ich
Pięćdziesiąt razy cztery.

Upiorzyca natomiast rozpoczyna swe dzieła na starym żeglarzu.

Ulatywały dusze z ciał
Na los zły lub szczęśliwy,
Każda z szelestem obok mnie,
Jak mojej świst cięciwy."

CZĘŚĆ CZWARTA.

Weselny gość w przestrachu, że duch przemawia do niego.

„Stary żeglarzu, boję się,
Boję się ócz twych blasku!
Długiś i smukły i ciemnyś ty,
Jak skiby morskiego piasku).*

Boję się żaru twoich ócz,
Chudej się ręki boję..."

Stary żeglarz zapewnia go jednak, że jest

„Weselny gościu, nie bój się!
Nie zmarło ciało moje.

**) Ostatnie wiersze tej zwrotki zawdzięczam p. Wordsworthowi. Plan tego poematu powziąłem i poczęści wykonałem podczas uroczej podróży z Nether Stowey do Dulverton, w jesieni 1797, w towarzystwie jego i jego siostry.*

żyjącym człowiekiem i opowiada dalej o swojej strasznej pokucie.

Sam byłem, sam! ach! strasznie sam
Na tej bezmiernej fali —
Nie wspiera duszy mojej Bóg,
Nikt nad nią się nie żali.

Tylu ich było! dzielny lud!
A dziś pomiędzy zmarłymi!

Z pogardą wyraża się o stworzeniach spokojnych.

Żył-li bagiennych płazów rój,
Ach! i ja żyłem z nimi.

I zazdrości im, że żyją, a ludzi tylu pomarło.

Spojrzę na bezmiar zgniłych wód
I wzrok odwrócę od toni!
Spojrzę na zgniły pokład nasz,
A tutaj leżą oni!

Spojrzę ku niebu — modłów chcę —
Warga się ledwie rusza:
Szept jeno zdrożny wyszedł z niej,
Wyschła już moja dusza.

Zamknę powieki, lecz jak puls
Źrenice w nie uderzą:
Gniecie je niebios wielki grób,
Gniecie je morze, a u stóp —
U stóp mych trupy leżą.

Atoli przekleństwo żyje dla niego w oczach tych pomarłych ludzi.

Nie tknął ich rozkład, z martwych ciał
Pot lodowaty spływa,
We mnie wlepiony wszystkich wzrok,
Źrenica jakby żywa!

Klątwa sieroty może nas
W piekielne strącić ciemnie:
Ale przekleństwo trupich ócz
Straszniej się wpiło we mnie!

Dni, nocy siedm patrzałem w nie
I marłem — nadaremnie!

W swem osamotnieniu i wytrwałości zwraca się z żalem ku błądzącemu księżycowi i gwiazdom, które w coraz to większej zjawiają się liczbie i poruszają się naprzód; należy do nich błękit całych niebios, tu one mają swą przystań, swoją ojczyznę, swoje własne naturalne schronisko, do którego wchodzą bez poprzedniego zawiadomienia, jak wielcy panowie, których się spodziewano, a których przybycie cichą sprawia radość.

I znów się cichy księżyc wzniósł
Nad moje to pustkowie,
Przy nim zaledwie kilka gwiazd! —
Któż smutek mój wypowie!

Na fale księżyc blask swój siał
Niby kwietniowe szrony,
Lecz gdzie okrętu leżał cień,
Tam na głębinie, w noc i w dzień,
Mienił się żar czerwony.

Przy świetle księżyca przygląda się wielkiemu spokojowi stworzeń bożych,

W cieniu okrętu miałem raz
Zjawisko morskich węży:
Śnieżny za niemi błyszczał ślad,
Lub w płatkach spadał blask, gdy gad
W górę swój grzbiet wypręży.

W cieniu okrętu jakże lśnił
Bogaty czar ich skóry!
Śród aksamitno-czarnych prąg
Błękit i zieleń, a zaś wkrąg —
Ich śladem — łysk purpury.

ich piękności i ich szczęściu.

Szczęsne stworzenia! Gdzież ten człek,
Coby ich czar wyjawił!
Miłość trysnęła w łonie mem
I jam je błogosławił!

Błogosławi im.

Bóg mi okazał litość swą
I jam je błogosławił...

Uroki zaczynają pierzchać.

W tej samej chwili mogłem już
Do modłów złożyć dłonie:
I z szyi mej albatros sam
Gdzieś w morskie upadł tonie.

CZĘŚĆ PIĄTA.

O śnie! rozkoszny, drogi śnie
Po wszystkie krańce ziemi!
Królowo Niebios, dzięki ci!
Sen mi po klęsce strasznych dni
Zjednałaś prośby swemi.

Za łaską Matki Najświętszej, stary żeglarz doznaje ochłody w deszczu.

Śniłem, że naszych wiader rząd
— A było ich niemało —
Wodą wypełnił się po brzeg...
Gdym zbudził się, padało.

Zwilżone-m wargi miał i krtań!
Wilgotne szaty moje!
Snać we śnie-m pił i jeszcze wciąż
Spragnione wnętrze poję.

Wstałem — zaledwiem kości czuł!
Ach! co za lekkość błoga!
Snać we śnie-m zmarł i jestem już
Duchem u Pana Boga.

Słyszy szumy i dziwne spostrzega zjawiska i poruszenia na niebie i wodzie.

A wtem usłyszę dziki świst!
To wicher zawył nagle!
W oddali wiał, lecz w szumie tym
Trzęsły się maszt i żagle.

Górą, w powietrzu, życie wre!
Sto flag ognistych płonie!
Wskroś zygzakami przestwór tną,
A pośród wstęg ich gwiazdy lśnią,
W wyblakłej lśnią koronie.

Coraz to bliżej wicher dmie,
Żagle jak trzcina szumiąca;

Z ponurych chmurzysk leje deszcz,
A w chmurach skraw miesiąca.

Rozdarł się chmur posępny kłąb,
Wypłynął blask księżyca,
A jak ze szczytu stromych skał
Huczącej wody spada wał.
Lała się błyskawica.

Ciała załogi okrętowej zaczynają się ożywiać i okręt się porusza;

Nie sięgnął statku głośny wichr,
A statek się porusza!
Pośród błyskawic słychać jęk...
Ach! jak się lęka dusza!

To zmarli wstają! Język ich
Niemy i nieme oczy!
Choćby to sen był — co za strach,
Gdy człek umarłych zoczy!

Wichr nie pogania: płynie łódź,
Sternik przy swoim sterze.
Jak zwykł to czynić, majtków tłum
Do swoich lin się bierze.
Bezwolnym ruchem każdy z nich
Rzucał swe martwe leże.

Przy mnie bratanka stanął trup —
Kolano przy kolanie!
Jedną ciągniemy linę wraz —
On milczy!... Chryste Panie!"

ale nie dzięki duszom ludzkim albo demonom ziemi czy przestrzeni, lecz dzięki błogosławionemu orszakowi duchów anielskich, zesłanych po wezwaniu na pomoc świętej Opiekunki.

„Stary żeglarzu! boję się!"
„Nie bój się, gościu luby!
Nie potępieńców był to ród:
Okręt mój wiedli wskroś tych wód
Wolni od wiecznej zguby.

Gdy nadszedł świt, bezwładnie maszt
Objęły ich ramiona,
I popłynęła pieśń im z ust,
Pieśń słodka i natchniona.

Płynął im z łon przedziwny ton
Do wschodzącego słońca,
I wracał znów, to sam to współ,
I cudnie brzmiał bez końca.

Raz mi się zdało, że to hen
Trele skowronka płyną,
To znów, że cały ptasząt rój
Zagrał w przestworach pean swój,
Wzbiwszy się nad głębiną.

Raz niby-m słyszał jakiś chór,
To znowu fletni głosy,
Lub też anioła rajski śpiew,
Że milczą w krąg niebiosy.

Ścichło... Lecz w żaglach grała wciąż
Tych słodkich brzmień ulewa —
Aż do południa, jak ten zdrój,
Co skrył się między drzewa
I w noc czerwcową, cichą noc,
Lasem swe pieśni śpiewa.

Aż do południa statek nasz
Śród ciszy mknął łagodnej;
Żaden go wiatr nie pędził w dal
Po tej przestrzeni wodnej.

Samotny duch prowadzi okręt od bieguna południowego aż do Równika, po-

Spodem, na dziewięć sążni w głąb,
Ukrył się duch z dziedziny
Śniegu i mgieł, i on to parł

słuszny hufowi anielskiemu, ale wciąż dyszący żądzą zemsty.

Nasz okręt — on jedyny.
W południe w żaglach zmilkła pieśń,
Przestały dźwięczeć liny.

I okręt stanął... Z góry wprost,
Z nad masztu, w wód przezroczy
Uwięzło słońce, w morza toń
Wlepiło swoje oczy...
A potem — nagle — wprzód i wstecz
W dziki się tan potoczy.

I jak spłoszony potem koń
Skok czyni karkołomny:
Krwi-m uderzenie uczuł wraz
I padłem nieprzytomny.

Demoni, towarzysze Ducha polarnego, zamieszkujący morze, biorą udział w uczuciu krzywdy, która go spotkała; dwóch z nich opowiada sobie, że długa i ciężka pokuta starego żeglarza była zgodna z wolą Ducha polarnego, który się zwrócił ku południowi.

Nie powiem ci, jak długo-m tak
W półmartwym leżał stanie,
Lecz nim się jeszcze zbudził duch,
Rychłom usłyszał głosów dwóch
Przedziwne gdzieś wołanie.

„Powiedz!“ — tak wołał jeden z nich —
„Na Zbawcę! Na niebiosa!
Czy to ten wróg, którego łuk
Uśmiercił albatrosa?

Duch, mieszkający w strefach mgieł
I śniegu, żywił serce
Dla tego ptaka, a sam ptak
Miłował swego znów mordercę?“

A drugi głos łagodny był —
Słodkie, jak miód, orędzie!
„On“ — rzekł — „pokutę spełnił już
I jeszcze spełniać będzie!“

CZĘŚĆ SZÓSTA.

GŁOS PIERWSZY.

„Mów, bracie, mów! Niech język twój
Przemawiać się nie wzbrania:
Powiedz, co robi morze to?
Kto okręt ten pogania?“

GŁOS DRUGI.

„Jak w służbie człek przed panem swym,
Tak morza toń milcząca
Rozwartem okiem patrzy wciąż
W srebrzystą twarz miesiąca.

A on czyż wie, gdzie wieść je ma —
Boć on kieruje morzem!
Odwróć się doń, patrz, jak on toń
Spojrzeniem pieści bożem.“

GŁOS PIERWSZY.

Żeglarz zapadł w letarg, albowiem moce anielskie kazały okrętowi spieszyć prędzej, aniżeliby to ludzkie życie wytrzymać mogło.

„Lecz powiedz mi, jak okręt ten
Bez wiatru mknie i fali?“

GŁOS DRUGI.

„Za nim obcina się ich prąd,
Nie idzie przed nim daléj.

Hej, bracie, hej! Do wyży swej
Uchodźmy — zwłoka szkodzi!
Gdy żeglarz ten swój prześni sen,
Zwolnieje bieg tej łodzi!“

Zwolniał ruch nadprzyrodzony; żeglarz się budzi i rozpoczyna swą pokutę na nowo.

Zbudziłem się. Płyniemy snadź
Na sprzyjającej toni.
Księżyca moc rozprasza noc,
A przy mnie stoją — oni!

Tak! na pokładzie stoją wciąż,
Zamiast spoczywać w trumnie!
W blasku miesięcznym blask ich ócz
Ciągle się zwraca ku mnie.

Klątwa i ból śmiertelnych chwil
Wciąż im się w oczach szkliły:
Chciałem się cofnąć, modlić się,
Ale mi zbrakło siły...

Klątwa została ostatecznie odpokutowana.

Pierzchły uroki... Oto znów
Spojrzałem po głębinie,
Lecz co zobaczył wprzód mój wzrok,
Tylem też widział ninie.

Byłem jak człek, co biegnie gdzieś
Odludziem, zdjęty trwogą:
Spojrzał raz wstecz i oczy już
Odwrócić się nie mogą!
Spostrzegły — ach! — że straszny wróg
Podąża za nim drogą.

Wtem zawiał wiatr... Łagodny wiatr
Dotknął się mojej skroni;
Nad morzem szedł, nie krając wód,
Nie marszcząc gładkiej toni.

Podnosił włos, głaskał mi twarz,
Jak słodkie tchnienie wiosny;
Zdawał się igrać z trwogą mą,
A spokój niósł radosny.

Chyżo, chyżo okręt mknął,
Lekką się pianą zlewał;
Cicho, cicho wicher wiał,
A ku mnie wciąż zawiewał.

I stary żeglarz spostrzega swoją ziemię rodzinną.

O śnie rozkoszny! Czyż to blask
Tej naszej morskiej wieży?
Kościół to mój na wzgórzu tam?
Moich to pas wybrzeży?

Wjeżdżamy w port... O Boże mój,
Nie skąp mi swej opieki!
Spraw, bym się zaraz zbudzić mógł,
Albo niech śpię na wieki!

Śród ciszy wkrąg zatoki toń
Lustrzane miała lica:
To księżyc legł na wody ścieg,
To leżał cień księżyca.

Lśnił skały szczyt i kościół lśnił,
Co na tym szczycie leży,
W miesięcznych blasków cichych skrach
Kąpał się kur na wieży.

W miesięcznych skrach zatoki toń, — —
Wtem z głębi jej, ku górze,
Jakichś się cieniów podniósł huf,
A każdy był w purpurze.

Aniołowie porzucają umarłe ciała,

Tuż przy mym statku stały wraz
Te cienie płomieniste!
Zwróciłem znów na pokład wzrok —
I cóżem ujrzał?!... Chryste!

aby się zjawić w swojej własnej jasności.

Pokotem trup przy trupie legł,
A zaś — o Krzyżu Święty! —
Nad każdym lśnił anielski duch,
Serafim wniebowzięty.

Cicho, bez słów anielski huf
Wabi mnie, wzniósłszy dłonie,

A każdy z nich, jak zbawczy znak
Od lądu, w ogniach płonie.

Cichy, bez słów anielski huf —
I z miejsca się nie ruszy!
Lecz jak muzyka, tak mi szła
Ta cisza do mej duszy.

A wtem retmana słyszę głos
I pluskające wiosła:
Odwrócę głowę — ach! to łódź,
Łódź ku mnie woda niosła.

To retman, tak! i jego syn!
Zaraz się do mnie zwrócą!
O jaka rozkosz! Tej mi już
Zmarli snać nie zakłócą.

Jest i ktoś trzeci — słyszę go...
To nasz pustelnik! Chwali
Stwórcę tą pieśnią, którą sam
Wysnuł w swej leśnej dali.
On z rąk mi ptaka zmyje krew!
On duszę mi ocali!

CZĘŚĆ SIÓDMA.

Pustelnik leśny

Pustelnik on ma w puszczy schron,
Nad morzem schron ma błogi.
Pieśń jego zbożna idzie w świat;
On nas, żeglarzy, wita rad,
Powracających z drogi.

Do modłów klęka w noc i dzień
W zielonej swej dąbrowie;
Mchami porosły dębu pień
To jego jest wezgłowie.

Zbliża się łódź... „Ha! dziwna rzecz!“
— Tak, słyszę, mówią oni —
„Gdzie się podziały światła te,
Ten znak na morskiej toni?

zbliża się zdumiony do okrętu.

Tam uszy — mówi święty mąż —
Są na nasz okrzyk głuche!
Lecz patrz na zeschłe dyle te!
Patrz na te żagle suche!
Cóż podobnego widział kto?
Chyba, że w zawieruchę

Szkielety drzew, co w puszczy mej
Chylą się nad mą wodę,
Gdy sowy huk napełnia bór,
Dla wycia wilka godny wtór,
Żrącego wilczę młode.“

„Panie!“ — rzekł retman — „boję się!
Tam licho nas przywita!“
„Płyń naprzód, płyń! Bez trwogi płyń!“
Odpowie eremita.

Coraz to bliżej sunie łódź —
Lecz jam był skamieniały!
Już się ze statkiem równa łódź —
Wtem grzmoty-ż to zagrzmiały!“

Okręt nagle idzie na dno.

Z pod wody szedł ten straszny trzask,
Coraz to głośniej, dalej:
Dosięgnął statku, rozdarł toń —
Statek się zapadł w fali.

Stary żeglarz znalazł ocalenie w łodzi retmana.

Ogłuszon hukiem, który snać
W niebo i morze godzi,

Byłem, jak on topielca trup,
Miotany w fal powodzi,
A wtem się naraz, niby w śnie,
Ujrzę w retmana łodzi.

Śród wiru, pian, gdzie okręt znikł,
Łódź krąży, łódź się nurza...
Ucichło wszystko, tylko wieść
O huku szła od wzgórza.

Ruszyłem usty; retman w krzyk —
Wraz go zabiła trwoga!
Pustelnik oczy w górę wzniósł
I modlił się do Boga.

Ja wiosła w dłoń! Retmana syn
— Do dziś szalony zgoła —
Zaśmiał się w głos i, dzikich ócz
Ciskając skry dokoła,
„Ha! ha!“ — jął krzyczeć — „teraz wiem,
Jak czart wiosłować zdoła!“

Potem uczułem stały ląd —
Ojczysty kraju miły!
Pustelnik łódź rzuciwszy swą,
Zaledwie stać miał siły.

Stary żeglarz błaga pustelnika, aby go rozgrzeszył,

„Daj rozgrzeszenie, księże, daj!“
On, jakby chciał mieć pieczę,
Wprzód się przeżegnał, potem rzekł:
„Powiedz, kim jesteś, człecze?“

I ciało moje przebiegł dreszcz,
I zdjął mnie ból złowrogi:
Opowiedziałem dzieje me
I byłem już bez trwogi.

i pozbywa się swej kary.

Atoli mimo to ból jakiś zmusza go do wędrówki od kraju do kraju

Od tego czasu nieraz, ach!
Ten ból się na mnie wali —
I opowiadam powieść swą,
Bo mi się serce spali.

I z kraju w kraj, jak ciemna noc,
Tak ja podążać muszę;
A komu z lic wyczytam wieść,
Że może żal mój ciężki znieść,
Temu otwieram duszę...

Hałas się wzmógł, weselny próg
Zalewa fala żywa,
W ogrodzie brzmi poślubna pieśń,
W przestworach się rozpływa,
A tam wieczorny dzwoni dzwon,
Co mnie do modłów wzywa.

Samotną była dusza ta
Wśród bezmiernego morza —
Tak, że nie mogła prawie czuć,
Czy jest gdzie Istność boża.

Dla mnie — weselny gościu, wierz —
Nad wszystko jest wesele,
Gdy do kościoła mogę iść,
Gdzie lud się kornie ściele.

Gdy do kościoła mogę iść
I padać na kolana —
Gdzie wszyscy, starcy, dzieci, młódź
Jedyną tylko żywią chuć,
Aby uwielbiać Pana.

i do rozbudzania swym własnym przykładem miłości

Bądź zdrów! bądź zdrów i pomny słów,
Że ten się modli szczerze,

ku wszystkiemu, co Pan Bóg stworzył i kocha

Kto szczerze kocha wszelki płód —
Człowieka, ptaka, zwierzę.

Kto szczerze kocha wszelki płód,
Ten modli się najprościej:
Bóg, co nas kocha, stworzył świat
I ma go w swej miłości."

Oddalił się ten siwy człek,
Żeglarz płomiennooki,
A za nim w ślad weselny gość
Do domu zwrócił kroki.

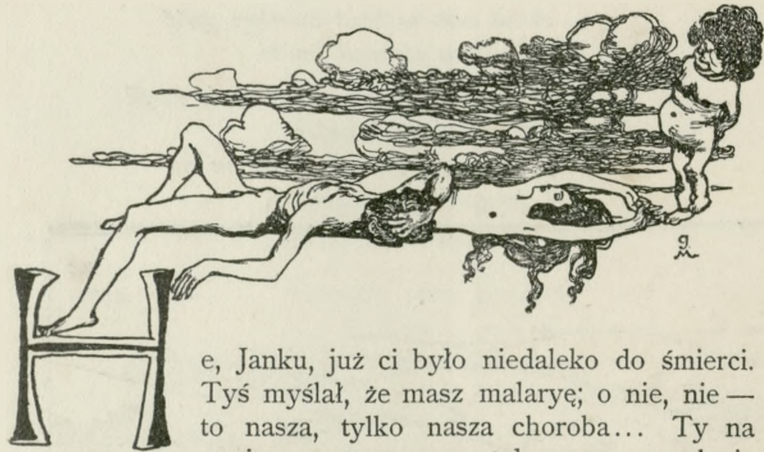
W głębokiej wskroś zadumie szedł
Od ucztujących ludzi:
Jutro się z rana mędrszym on
I posępniejszym zbudzi.



PRZEŁOŻYŁ
Jan Kasprowicz.

Samuel Taylor Coleridge.
1797—1798.

II. ZMIERZCH.



He, Janku, już ci było niedaleko do śmierci. Tyś myślał, że masz malaryę; o nie, nie — to nasza, tylko nasza choroba... Ty na co innego zemrzesz — tak np. na zapalenie płuc, na które o mało co nie umarłeś, albo na suchoty, bo na to zwykle nasi wielcy mężowie umierają, albo wskutek alkoholicznego porażenia, jak Edgar Poe... — i ja — ha, ha — ja, biedny ja...

Szarski śmiał się i co chwila dolewał sobie z butelki. Był widocznie rozdrażniony, a rozdrażnienie jego potęgowało się z każdym kieliszkiem.

Czerkaski chodził po pokoju, blady, wynędzniały i schudzony.

— Tak, tak — niedaleko było mi do tego, by — by... — przecierał sobie czoło ręką. — A pewno, pewno;

byłem bardzo chory. I teraz chodzę tak i myślę, by módz rozróżnić, co w tym całym czasie było rzeczywistością, co snem, co chorem majaczeniem...

Spojrzał nagle na Szarskiego.

— Zmiłuj się, nie pij tak ustawicznie — to mnie tak drażni...

Szarski patrzał pochmurno przed siebie.

— Trudno, Janku — ja muszę pić — mnie nie wolno na trzeźwo myśleć — jabym oszalał... Och, czego ja wódce nie zawdzięczam?... — Zbliżył się do Czerkaskiego i mówił prawie że szeptem. — Wiesz, siedziałem raz w więzieniu; posądzono mnie o to, że kobietę zatrułem. — Nie zatrułem jej, bom za wielki tchórz — ale, Bóg wie, może się dla mnie otruła... Siedziałem tam parę tygodni. — Hu, to straszne, straszne!... celka na jeden metr kwadratowy — zakratowane okienko u góry — we drzwiach dziura, przez którą nam jeść podawano: co tydzień jedna porcya mięsa — ha, ha, ha — mięsa! Rozgotowane gnaty, kości, skóra końska, bo ja wiem...

Szarski był silnie podniecony.

— Było nas dwóch — chodziliśmy naokoło celki jak dzikie zwierzęta w klatce, a, pomnę, była niedziela. Naprzeciwko park, w którym muzyka grała... he, he — przed paru tygodniami jeszcze chodziłem z nią po tym parku i muzyka grała i byliśmy weseli... Piliśmy dużo — bo i ona piła — ha, ha — zalewaliśmy robaka — no i byliśmy szczęśliwi. — Była prawie rozpacznie wesoła, bo niema takiej szalonej wesołości, jak ta rozpaczna wesołość.

Szarski zamyślił się głęboko, mówił przerywanie i bez związku.

— No i cóż?

— Cóż? Nic! Wróciliśmy później do domu. Szliśmy ulicą, powoli, jacyś osowiali i smutni. Nagle przystanęliśmy.

Ulicą jechał dorożkarz, co konie wybiedz mogły, — w dorożce siedziała jakaś pijana para . . On ściągnął surdut ze siebie — pamiętam białe rękawy koszuli — ona zarzuciła ramiona na jego szyję i w pijanej ekstazie śpiewali narodową, amerykańską pieśń — już wiesz — tę z tym idyotycznym tekstem i tą niezmiernie piękną melodyą...

— I?

— I? Hm! — Szarski znowu wypił kieliszek wódki. — Spojrzeliśmy na siebie. Słowa nie przemówiliśmy, ale w sercu jej rozżagwił się ten sam ból, co w mojem. Staliśmy, jak przykuci na miejscu, patrzyliśmy na dorożkę z tą szczęśliwą parą, a w obu sercach naszych ta sama dzika, wściekła zazdrość, ten sam gniew, ta sama rozpacz: dla czegóż my — my, tacy nieszczęśliwi?...

Słowa nie przemówiliśmy. Wstyd nas było naszej udanej, rozpacznej wesołości — no, i w parę dni potem...

Czerkaski siedział zamyślony.

— Uczuliście nagle tę całą nędzę sercową? — powiedział nagle — ten żal za zmarnowanem życiem — za tem wszystkiem — he, he... mój Boże, jak ja to znam — ale, prawda — a cóż ten twój towarzysz?

— Chodził, chodził, chodził, naraz przystanął, spojrzał na mnie tępem, smutnem wejrzeniem i spytał mnie: Powiedz mi pan, co to jest śmierć? Igrałem z życiem czterdzieści razy, bo tyle razy narażałem się na to, że można mnie było zabić, z dachu strącić, podciąć mi rynnę, po której się na dół spuszczałem, zastrzelić mnie, gdym się rzucał na ludzi, co mieli rewolwery w ręku, a ja nic, prócz silnej pięści — i nigdy mi nie zaświtało w głowie, co to jest śmierć — teraz dopiero... Pan wie, jestem złodziejem z zawodu — ha, ha... takim smutnym złodziejem. Inni się obłowili na mój koszt — a ja — ja? nic, panie, nic, ale muszę teraz za wszystkich pokutować. Siedem lat ciężkiego więzienia co najmniej, a to gorsze

od śmierci. Więc poraz pierwszy myślę nad śmiercią. Powiedz mi pan, co to jest? — Aleś ty, widzę, zmęczony. Może ci nic nie opowiadać — co?

Czerkaski położył się na kanapie.

— Nie, nie — śmierć tak mi gorąco w oczy zaglądała, że mnie już wcale nie przeraża. Sądzę, że tylko jedna chwila jest straszna, — ta, w której dusza z ciała się wyzwala, spętana jeszcze, związana z ciałem. I zwolna się odrywa, i widzi wszystko, i czuje wszystko, i krąży naokoło tego martwego cielska... Przyjdzie wielki Bóg i powie: Łazarzu, wstań! — i Łazarz powstanie, bo Bóg ów ma siłę, by odnowa duszę z ciałem połączyć, ale teraz — teraz, jak się dusza wyzwoli, to — no — to już koniec...

Zaległo głuche milczenie.

Czerkaski po chwili:

— No i cóż się stało z twoim towarzyszem?

— Oswoił się ze śmiercią. Skazano go rzeczywiście na osiem lat więzienia. Wysłuchał poważnie i spokojnie wyroku. Stał przy otwartem oknie na drugiem piętrze, bo było strasznie parno — i w jednej chwili, zanim go powstrzymać zdołano, rzucił się z okna na podwórze...

— No i?

— Wszystkie kręgi połamał.

— A ty?

— Ja? — ja? Tego samego dnia wypuszczono mnie na wolność dla braku dowodów. Tak, wypuszczono — he, he — ale śledztwo trwało dalej. I znalazłem się oto pod groźbą piekielną, że mogą mnie lada chwila wsadzić z powrotem do więzienia i zamknąć w tej przeklętej celi naprzeciw parku, w którym z nią ostatni raz byłem; że, smagany strachem i niepokojem, stać będę przed temi chytremi, złemi oczyma sędziów przysięgłych, czytając w ich twarzy, w każdym uśmiechu, w najdrobniejszem

ściągnięciu muskułów swój wyrok śmierci... Śmierci, ot, tej śmierci, jaką poniósł mój towarzysz, złodziej z zawodu.

Czerkaski oparł się na ręku zaciekawiony.

— No i cóż?

— Nic! Począłem pić! Inaczej byłbym oszalał.

Czerkaski położył się nieruchomo na sofie i przymknął oczy.

— Wtedy wódka pomogła?

— Pomogła. Piłem bezustannie. I nigdy takich rozkoszy nie przeżywałem, jak wtedy. Wiesz, kiedy tak zmrok zapadał, a ja z nieskończonym spokojem i z wielkim majestatem króla oczekiwałem żandarmów, którzy mnie za chwilę wywlec mogli i znowu zamknąć w tej obrzydliwej, cuchnącej celce, wtedy tworzyłem swoje największe, najpotężniejsze rzeczy. Gardziłem wszystkiem, by to napisać — po co? dla kogo? Ale byłem niezmiernie szczęśliwy, że serce moje takim ogniem buchało... Pamiętasz moje „Święty Boże?“ Widzisz, to wtedy powstało. Tylko straszniejsze jeszcze...

Zamyślił się.

— Bo jest taki ból, taki przerażający strach, którego nic, nic, nic, oddać nie zdoła, ani słowo, ani muzyka, ani barwa...

Rozumiesz? Ciągną cię pod szubienicę.

Z jednej i z drugiej strony żołnierz. Wyprowadzają cię z celi. Nie rozumiesz, dokąd cię wiodą, chociaż wiesz, że pasmo twego żywota za chwilę — he, he, pasmo twego żywota za chwilę przecięte zostanie. Wczesny ranek. Tak, ot — szósta godzina rano. Ziemia twarda, mrozem ścięta i szron. Ciemno. Naturalnie w korytarzach. I nic nie wiesz, że szron na dworze, ale wszystko przeczuwasz, wszystko wiesz. Nagle wychodzisz na podwórzec więzienny. Nic nie widzisz, tylko oczy — oczy — oczy. Oczy

zdziwione — ciekawe — oczy przerażone, oczy lękiem i strachem przepełnione. I znowu mgła. Sekunda trwa wieczność. Ale to cię nie dziwi. Jesteś już przyzwyczajony: w twojej celce minuta zdawała się dniem całym. I nic — i znowu coś — raz coś widzisz — to znowu mgła. Dwa rzędy ludzi — nie ludzi — tylko strasznych, drapieżnych, lękiem chorych, ciekawością chorych oczu.

Przystajesz. Masz wrażenie, że cię wloką. I nagle — jasna, straszna przytomność: to kat, kat, kat... Nogi dygocą, mózg obłędem spowity. Stawiają cię, podnoszą, czy kładą, tego już nie wiesz — coś na oczach, jakby przepaska, coś, co ci oczy wyłupia — oczy przegryzają tę ścierkę, czy kłodę, raz jeszcze chcą spojrzeć na świat — i nagle szum, łoskot, przerażający krzyk, trzask, z jakim światy się obrywają...

— Dość, dość! — Czerkaski stanął na równych nogach.

Szarski był zimny i spokojny.

— To wszystko przeżyłem — to wszystko stworzyłem wtedy, gdy ani fortepianu, ani papieru do nut nie miałem pod ręką... Ale po co? dla kogo? Szczęśliwy jestem, żem to kiedyś stworzył. W myśli, w sercu, gdzie chcesz...

Długa chwila milczenia.

— Przeżywałem wtedy rozkosze, które ciało moje dreszczem bólu i cierpienia zbiegały — cały świat przeobrażał mi się w ton, dźwięk — odsłaniała mi się naga istota bytu w dźwięku... Bo ta muzyka, którą tworzymy, to tylko ułuda, to tak, jakbyś plewy z mózgu zgarniał, to logiczna, prawom i regułom podlegająca muzyka, to złudna Maya, poza którą kryje się cały ocean nieznanych dźwięków, że tak powiem, z innego wymiaru. To było straszne przerażające. A jam widział te dźwięki, przeobrażały mi się w straszne wizye, w potworne jakieś

widziadła, w niesłychane fantasmagorye, jakie tylko w śnie wywołanym opium otrzymać możesz — wtedy, och, wtedy czułem się twórcą. Pamiętam jeden straszliwy krzyk — ziemia, niebo krzyczały — ten krzyk światy z ich biegów wytrącał — ale tego opowiedzieć nie można... Ha, ha... to było „Święty Boże"... To, com teraz napisał, to karykatura tego, com przeżył, najodleglejsze, sfałszowane echo tego, com słyszał...

Szarski począł mówić bezładnie, z jakimś wielkim bólem.

— I pomyśl, spełniono na mnie tę zbrodnię, że musiałem być przy obdukcyi jej zwłok. Spojrzałem na jej twarz — tę twarz, która była taka piękna ze swoją melancholijną zmysłowością, z tym cichym uśmiechem przemienienia, gdy byłem dla niej dobry... i ta twarz straszna, ponura — z jakimś okropnym grymasem na odętych ustach — te oczy rozwarte, piekielne, szklane, patrzyły na mnie osłupiałe, — och, tak niewypowiedzianie okropne — twarz opuchła, olbrzymich kształtów, zielona rozkładem i zgnilizną... Omdlałem. Ocucono mnie — ha, ha — poczęto urządzać charikiri — brzuch jej rozpruwano — i znowu omdlałem. Wyniesiono mnie, bom wpadł w szał.

Szarski pochylił się ku Czerkaskiemu i mówił prawie szeptem:

— Widzisz, ta twarz stoi mi ustawicznie przed oczyma. Takie było moje przeznaczenie, że ma drapieżna, krwiożercza dusza twórcza potrzebowała tej twarzy, by módz to tworzyć, co tworzy. Moja muzyka z ostatnich lat, to ta straszna, osłupiała twarz z przerażonemi oczyma i piekielnym grymasem bólu wokół ust.

Hanka, pomyślał Czerkaski — Hanka, Hanka. Zabił Hankę, by się stała jego tworem.

— Jakie to dziwne i straszne — zaczął zmęczony. — Jakaś nieznana siła pcha nas w kierunku najdzikszych

cierpień i bólu, wyszukuje najdziwniejsze i najbardziej poplątane konflikty, bo to wszystko ma być pochopem do tworzenia. I to straszne, że myśmy jedyni, którym nie wolno żyć tak, jakbyśmy chcieli, jeno tak, jak nam ta nieznana, piekielna siła żyć każe. I ta cała nasza droga życia: jedno szaleństwo po drugiem, jedną ofiarę po drugiej — szczęście, zadowolenie, spokój naszych najdroższych — rzucamy w paszczę tego straszliwego Molocha — na co? po co?

— Na co? po co? — powtórzył Szarski zamyślony. — Ci, którzy znajdują rozkosz w poklasku i podziwie tłumów, ci wiedzą dla czego — ale ty, który stoisz zupełnie poza społeczeństwem, który wiesz, że jesteś w nim wyodrębnioną, niepotrzebną, a nawet szkodliwą jednostką — powiedz mi, dla czego ty tworzysz? Albo ja? Mam większą pogardę dla ludzi, aniżeli Swift w swoich podróżach Guliwera, a tworzyć muszę...

Czerkaski zaśmiał się krótko.

— Bo musimy. Człowiek rodzi się też, choćby nie chciał... Ale dajmy spokój. Tylem już myślał nad tą zagadką, tak jasno widzę, że jej nie rozplączę — dosyć już tego, dosyć...

Ta szatańska natura chce się przez nas uświadomić — he, he... Nawet Bóg potrzebował widomego syna człowieczego, by się objawić... A natura-ziemia potrzebuje nas, nieszczęsnych swych synów, by się dla innych uświadomić — he, he...

I jak-eś to raz powiedział? Że w każdym z nas uświadamia się jakaś nieznana cząstka natury, a dla tego ostatniego z synów ziemi, dla absolutnego geniusza nie będzie żadnych tajemnic, bo się cała natura w nim uświadomi... Pięknie-ś powiedział, pięknie...

Zamyślił się.

— I to dziwne, że ból, ból jedyny posiada, jak Kasprowicz mówi, ten potężny twórczy głos. Rozkosz, szczęście, zadowolenie — to surogat, to nędzny haracz, który składamy tej biednej naturze ludzkiej — nędzny, mizerny haracz... Ból, ból, im gorszy, im więcej szarpie, tem płodniejszy...

Czerkaski wstał nagle i chodził szybkim, nerwowym krokiem po pokoju.

— Wiesz, ja jestem specyalistą w cierpieniu — he, he, znam się na najstraszniejszych torturach bólu, na jego najwyrafinowańszych odcieniach, ale nigdy nie widziałem tak strasznego, nieludzkiego bólu, jak przed rokiem w San Francisco... Wtedy pojąłem, co to śmierć, co strach Sądu Ostatecznego, co to jest piekielny taniec Miłości i Śmierci. Byłem wtedy strasznie zgnębiony — wyszedłem na ulicę i błąkałem się parę godzin po mieście. Nagle dostałem się w ciemną i widocznie bardzo niebezpieczną okolicę, bo ustawicznie mnie zaczepiano. Na nic nie zważałem — nic mnie wtedy nie obchodziło — byłbym szczęśliwy, gdyby mi był ktoś sztylet wsadził między łopatki. Naraz drgnąłem: Hanka! krzyknąłem mimowoli. Nie wiem nawet, czy głośno to powiedziałem, ale przystanęliśmy i patrzyli na siebie. Twarz jej była zakryta — tylko oczy widziałem, jej — Hanki oczy. Byłem tak oszołomiony, że ani na chwilę nie pomyślałem, iż to niemożliwe, by Hanka mogła być w San Francisco. Jak długo tak staliśmy, nie wiem. Zauważyłem tylko jakiś ruch ręki — szła szybko naprzód — ja za nią. Sen? Wizya? Nie wiem. To tylko wiem, że nie byłem wcale zdziwiony. Tak! to Hanka. Każdy jej ruch poznawałem jak najdokładniej. Hanka ma piękne, nerwowe ruchy, które tyle razy śledziłem, które taką mi zawsze cudowną muzyką na nerwach grały... Teraz przeszła przez ulicę, podniosła suknię, by jej w błocie nie obszargać — tak! to Hanka.

Przystanęła w bramie jakiejś kamienicy i czekała. Podszedłem ku niej. Wzięła mnie za rękę; ta sama, niesłychanie szlachetna, drobna ręka Hanki — tylko Hanka ma taką rękę... Pamiętam dotknięcie tej ręki — nie miała rękawiczek. Weszliśmy na drugie, czy trzecie piętro — nie wiem. I nagle padłem u jej nóg i krzyknąłem: Hanka! Ale znowu nie wiem, czym to krzyknął głosem, czy sercem. Czuję tylko, jaki niesłychanie bolesny uśmiech wykwitł w pokoju. I nawet nie pomyślałem o tem, by jej twarz zobaczyć — po co? na co? Znałem każdy rys, każde drgnienie twarzy, widziałem tę twarz w ciemności pokoju — oczu nie potrzebuję zamykać, widzę z najwyższą dokładnością jej twarz... Nic ze sobą nie mówiliśmy. Zdawało się, że odgaduje każdą moją myśl, że serce jej bije mojem sercem... I z całą straszną, tak długo dławioną namiętnością do Hanki, którą wreszcie odnalazłem, przycisnąłem ją do siebie. A potem dziki szał, upojenie — bo ja wiem, co się wtedy ze mną działo?... „Teraz idź, idź — muszę zostać sama“ — mówiła po hiszpańsku. I nagle zaczęła się śmiać przeraźliwie, kurczowo: Hanka! Hanka! Krzyczała na cały głos z mściwą, wściekłą zazdrością... Widocznie musiałem to słowo powtarzać, a ona czuła, że w niej inną kochałem. „Patrz, twoja Hanka!“ Elektryczne światło rozświeciło do białości trzeźwego dnia cały pokój.

Cofnąłem się oniemiały, przerażony, skamieniały z trwogi.

Cała twarz była jedną raną. Lupus erythematosus rozsiadł się na twarzy nakształt motyla. Nos przeżarty tworzył korpus, a z jednej i drugiej strony twarzy rozciągały się potworne skrzydła ze strupieszałej, ropiącej się skóry.

Otchłanne, zbolałe, zgnilizną śmierci ziejące oczy wlepiły się we mnie, a cała twarz, ta potworna, łuszcząca, ropiąca się twarz drgała kurczowem wyciem:

— Hanka! Hanka! Ha, ha, ha — raz byłam kochana. Teraz mogę zmarnieć, splugawieć na śmietnisku podwórza!

Uciekłem, oszalały z lęku, z trwogi, z jakiegoś nieludzkiego przestrachu. Nazajutrz poszukiwano zbrodniarza, który zamordował prostytutkę — tu następował dokładny opis, jak wyglądała — policya utrzymywała, że samobójstwo wykluczone.

— To straszne! — szepnął Szarski.

— Straszne! Straszne! — Czerkaski znowu położył się na kanapie, zmęczony i wyczerpany.

— Czyś ty ją rzeczywiście tak kochał? — spytał Szarski po chwili.

— Kogo?

— Hankę!

— Czy ja ją kochałem? To mało, ja — ja... — machnął ręką.

— A czemuś ją tak nagle porzucił?

— Nie wiem. Rzeczywiście nie wiem. Nie wiem, nie wiem...

Długie milczenie.

— Byłem przed paru dniami u Glińskich.

Czerkaski zerwał się.

— I co? i co?

— Co? Strasznie zmizerniała. Z początku traktowała mnie prawie nieprzyjaźnie. Może sądziła, że chcę ją wybadać, czy nie zamyśla popełnić jakiego szaleństwa — ale widocznie czuła całą moją szczerość i współczucie, bo nagle zapytała: cóż on?

— Kto on?

Spojrzała na mnie strasznie smutno.

— Bardzo chory — powiedziałem. — Miał ciężkie zapalenie płuc.

Pobladła, ręce jej drżały, na ustach miała skrzywiony, jakby zakamieniały uśmiech.

— A teraz? — spytała po chwili.

— Przychodzi do siebie — powiedziałem — ale bardzo osłabiony.

Dziwne, jak ta słaba, wątła kobieta umie się opanować; była chwila, że mi się zdawało, iż omdlałą podchwycę w ramiona.

— I cóż dalej, cóż dalej? — Czerkaski drżał jak w febrze.

— Nic więcej. Jej mąż nadszedł.

Twarz Czerkaskiego mieniła się ustawicznie.

— Co ci jest? — Szarski przyskoczył ku niemu.

— Nic, nic. Jestem tylko bardzo osłabiony. Mój drogi, pozwól, że zostanę sam. — Zamknął oczy i zdawał się usypiać.

Szarski wyszedł po cichu.





zła, cicha, smutna, przez ciemne komnaty jego duszy.

Szła, jak cichy uśmiech cierpienia prześlizguje się przez kielich więdnącego kwiatu.

Szata jej lśniła gasnącym oddechem nieba, spowitego w mrok, a wokół jej głowy najdalsze przebłyski świtów, co gdzieś na krańcach najskrytszem przeczuciem odczuć się dają.

I jego dusza była dobra i cicha, jakby się w niej rozlała wielkiem błogosławieństwem wszelka łaska nieba, jakby smutnem kwieciem wykwitła w niej muzyka, jaką siostrzane globy kołyszą biedną, zmęczoną ziemię do snu.

Tam gdzieś w dali przebrzmiewał znużonem echem krwawy gniew życia — tam gdzieś w dole szalały gwiazdy w zaciekłej pogoni, ale w sercu jego była cisza i spokój.

Pochyliła się ku niemu.

— Czujesz mnie? — Było to, jak gdyby jedwabne skrzydło chorego ptaka musnęło o serce jego.

— Czujesz mnie? — I jedwabne skrzydło chorego ptaka otulało, pieściło, całowało to biedne serce człowiecze niewymowną pieszczotą.

— Hanka!

— Chodź za mną!

Szedł obok niej, jak gdyby spoczywał na mknącym obłoku, a pod jego stopami uciekała ziemia jak fala pod szybkiem, lekkiem czółnem.

Miękka i jedwabna spoczywała dłoń jej w jego ręku; raz po raz wświecało się jej dobre, łagodne spojrzenie w jego krew.

— Dokąd mnie prowadzisz?

I w duszy jego jął kiełkować strach i lęk. Uczuł nagłe zmęczenie.

— Tu spocznę.

I w tej samej chwili rozpłynęła mu się w oczach: daleki przebłysk, jak zbłąkany promień światła — i znowu ciemno.

A wokół niego szalała ziemia w twórczych porodach — mokra gleba ziała niebieską mgłą, a w sercu jego tęsknota i ból.

Och, kiedy nadejdzie koniec tych szałów, tych cierpień?

Usłyszał nagle muzykę.

O, to pewno Szarski grał.

Jakiś splątany chaos krzyków, bólu, cierpień; coraz silniej wrzał, i kipiał, i pianą szału tryskał w górę, aż nagle przedarł się przez ten otchłanny zamęt jeden ton i wściekłym klinem wbił się w ten orkan dźwięków, rozparł go, rozsadził. Jakby wyłoniło się nagle jakieś straszne widmo. Jakby człowiek wywołał nagle jakąś piekielną

moc, która z groźnym majestatem pyta przerażonego syna człowieczego: czemu przerywasz spokój mój?

I w nocy tej szału i bólu szła ku niemu żona jego, strojna i pyszna, i jak barbarzyńska królewna słaniała się pod kosztownym ciężarem złotych łańcuchów i naramienników.

A on biedny syn człowieczy, syn smutnej ziemi, co czarnym ugorem duszę jego straszyła, co w nią ściekała brudnym, jęczącym deszczem, co mu serce śmiertelnem gzłem moczarów i błota w bolesne sny spowijała, patrzał na nią wściekły, oszalały z bólu.

I zerwał się straszny, i mówił do niej:

— Bo jeżeli żona przestąpi próg obcego męża, ukamienujcie ją! Tak karał Jehowy srogi gniew.

Zdawało mu się, że jakaś cicha, drobna postać przypadła do jego nóg i błagała go, by nie przeklinał, ale on dziki i straszny wlepił oczy w wyzywającą, bezczelnym śmiechem wykrzywioną twarz wiarołomnej żony i mówił dalej:

— Czemuż nie podniosłem pięści, ciężkiej i strasznej jak żelazny młot, i nie opuściłem jej na twoją głowę z siłą, z jaką się kamienne złomy rozwala — czemu nie opuściłem jej na głowę cudzołożnicy?

I znowu posłyszał jakiś straszny, bolesny jęk kobiety, co u nóg jego się tarzała.

— Czemuż nie znalazłem słów tak strasznych i piekących, aby ci zbrodnię twoją krwawem znamieniem na czole wypiekły — na czole cudzołożnicy?

Wiarołomna żona śmiała się z dzikim bezwstydem, a nogi jego obejmowała coraz silniej, coraz lękliwiej drobna, wątła postać:

— Nie przeklinaj mnie z nią razem!

— Czemuż srom mój — wołał — nie przepełnił duszy twej takim strachem i taką grozą, abyś spełniwszy zbrod-

nię, nie śmiała ruszyć się z miejsca, w lęku, że ziemia u stóp twych się otworzy, że piekło cię pochłonie?

Hanka! Hanka! zaskowyczał piekielny chichot w powietrzu.

Ochłonął, potarł czoło.

Ta strojna, ta pyszna, z barbarzyńskim przepychem złotych łańcuchów i naramienników, śmiała się szyderczo.

— Do kogo to mówisz? Do mnie? Jam ci wiarę złamała, ale wtedy, gdyś ty mi ją złamał. Patrz, patrz, jak prosi i błaga, byś jej nie przeklinał. Twoje słowa grzmią w jej sercu piekielnem echem. Mnie nie masz nic do wyrzucenia. Jesteśmy siebie warci.

Odeszła.

Patrzał błędnie na Hankę. A potem przykląkł przy niej. Wziął jej nogi w swoje ręce i całował je: Hanka, moja Hanka!

Hanka płakała.

Tulił i kołysał ją w ramionach.

— Cicho, Hanka, cicho. Ty jedyna, moja, ty nie wiesz, czem dla mnie byłaś i jesteś. Byłaś światłem ciemnego okrętu, co okrąża nieznane wybrzeża. Noc — straszna, burzliwa noc. Rozpacz i bezdenny strach opanowywały mnie, bo-m nie wiedział, gdzie kotwicę zarzucić. Ale tyś była mojem światłem i wybawieniem. To, co było ciemne, stało się jasnem; widnieją wybrzeża, noc mi rozszarpałaś na purpurą świtów rozżagwione strzępy — Ty, pani cudu i cierpień, pani dobroci i wiecznych przebaczeń!

Ale Hanka nie chciała go słuchać. Wyrwała się z jego uścisku, odepchnęła go od siebie i płakała.

— Opuściłeś mnie, zdradziłeś. Nigdyś mnie nie kochał. Za nią szalałeś, za nią cierpiałeś, a ja, ja — czem ja byłam dla ciebie?

I znowu pochwycił ją w ramiona.

Szarpali się chwilę ze sobą.

Nagle zerwał się Czerkaski na równe nogi.

— Co, co? — przecierał oczy. — Ach! to pan, pan Turski — nieprawdaż? Przepraszam pana — miałem taki przykry sen.

— Ja pana przepraszam, żem tak bez ceremonii wtargnął do mieszkania pańskiego... Pukałem kilka razy, wiedziałem, że pan jeszcze nie wychodzi — chwyciłem za klamkę — drzwi były otwarte.

Turski obejrzał się zmieszany dookoła pokoju.

— Wybacz mi pan, ale musiałem się widzieć z panem w bardzo ważnej sprawie. A pan może jeszcze słaby? Wprawdzie dał mi pan poznać w sposób wcale niedwuznaczny, że mnie pan znać nie chce, ale musiałem przyjść do pana.

— A co się stało?

— Pan mi poruszył i roztrząsnął sumienie w dziwny sposób. To takie strasznie upokarzające dla mnie, że i ja należę do tych ludzi, którym pan mówi: naści trochę piroga ze serem i źryj — strasznie upokarzające, bo i ja miałem kiedyś talent — ha, ha, ha... żona i dzieci pożarły mój talent na półmisku razem z pańskim serem...

— Mój panie Turski — przerwał opryskliwie Czerkaski — jeżeli ktoś ma talent, to tego talentu nic nie zniszczy.

Turski był prawie pokorny.

— A ja pozwalam sobie być innego zdania. Daj mi pan milion — nie! pół miliona — ha, ha — tysiąc reńskich, daj mi pan jeden jedyny tysiąc reńskich, a przysięgam panu, że będę miał talent. Albo nie! Daj pan mnie i mojej rodzinie utrzymanie na jakie dwa miesiące — ha, ha: nie można — nie można. Kto inny zająłby przez ten czas moje miejsce w redakcyi, a ja potem mógłbym z głodu zdychać z moim talentem. Nie wolno mi mieć talentu, bo żelazne prawo zarobku w redakcyi „Głosu Narodu“

nie pozwala mi mieć talentu, nie pozwala mi mieć nawet honoru... Ha, ha — teraz wreszcie dotarłem do jądra rzeczy. Otóż przyszedłem do pana, by mu powiedzieć, że położenie me nie pozwala mi mieć honoru. Dziś się ukazał pięcioszpaltowy artykuł przeciwko panu, wstrętny, ohydny. Powinienem był natychmiast wystąpić z redakcyi, ale nie mogę. Tak, powinienem był to zrobić, bom nie czytał jeszcze tak niegodnego i wstrętnego pamfletu.

— A może go pan sam napisał? — Czerkaski śmiał się szyderczo.

Turski zerwał się. Czerkaski uspokajał go.

— Wybacz pan, wybacz... Nie chciałem pana obrazić, ale to zapytanie gwałtem cisnęło mi się na język. Wiem przecież, jak mnie wszyscy nienawidzicie, a przytem jestem jeszcze chory. Szczerze mi pana żal, ale trudno. Prasa unicestwia ludzi, wyniszcza duszę, serce, honor, rozum — o! rozum przedewszystkiem... A zresztą, czegóż wy odemnie chcecie? Cóż ja mam wspólnego z wami? Co mnie to obchodzi, czy mnie chwalicie czy zbezczeszczacie? Oddałem się w wasze ręce, w chwili, w której rzuciłem pierwszą książkę na rynek księgarski, kiedy obnażyłem publicznie moją duszę, teraz wolno wam ją plugawić i błotem obrzucać: moja to wina, moja wielka wina. Bo — nieprawdaż? Jeżeli to, co we mnie najskrytsze i najgłębsze rzucam na rynek, na to wasze ohydne literackie targowisko, to przecież tem samem daję wam prawo patrzeć na to, jak wam się spodoba: uwielbiać, opluwać, ubóstwiać, mieszać z błotem. Nie, nie, kochany panie, to raczej ja powinienem się uniewinniać, bom sam względem siebie popełnił grzech śmiertelny, żem w ręce wasze oddał swą duszę.

Długie milczenie.

— A zresztą, cóż ja mogę powiedzieć, dla czego to lub owo robię? Zaledwie sam sobie zdołam uświadomić,

że coś robię, ale czemu? na co? po co? To jest ta straszna tragedya prawdziwego artysty, że jest jakiemś narzędziem niewidzialnej potęgi, która mu tworzyć każe. Ma ona widocznie w tem jakiś ukryty, nieznany cel, aby go osiągnąć, wyszukuje sobie męczenników, i aby mogli tworzyć, niszczy im życie, robi ich ostatniemi nędzarzami, podstawia im nogę na każdym kroku, robi ich duszę smutną i przeczuloną, by to samo, co drugich zaledwie dotknie, ich śmiertelnie raniło... Bo tylko ból, ból jest macierzą tworu. Et tout le reste — to Bałucki, he, he...

Urwał nagle i spojrzał podejrzliwie na Turskiego.

— Pan może myśli, że mi się trochę w mózgu pomieszało? Co?

Ale Turski był smutny i pognębiony.

— Czy pan rzeczywiście myśli, że ja ten artykuł napisałem? Nie rób mi pan krzywdy. Mną tak coś wstrząsnęło podczas tego strasznego „Święty Boże“ Szarskiego! Wiem, jako kulis dziennikarski jestem naturalnym wrogiem pańskim i najniższym pachołkiem tych wielkości, które z waszych odpadków żyją, sprytnie was okradają i przeżuwają waszą niestrawną potrawę — tak, tak — ja to wszystko wiem, ale...

Spojrzał przeciągle smutnym wzrokiem na Czerkaskiego.

— Nie, nie, panie Turski, nie myślę tego. Ale rozpacz mnie bierze, gdy patrzę na tych nędzarzy. Winiarski w swojem atelier ma jedną kanapę, wilgoć i zimno, a przecież dogorywa na suchoty. Szarskiemu z trudnością uratowało się fortepian od licytacyi. Kurzawa musiał swój korpus w lustrze studyować, gdy tworzył Mickiewicza, bo nie miał czem zapłacić modelu. Ten, który to zrobił — Czerkaski wskazał na grupę, stojącą na biurku — nie ma za co dać sobie odlać w gipsie, w marnym gipsie tego, co mu się już oddawna kruszy i pęka. A pan, pan,

który miałeś rzeczywisty talent, pan dziś na usługach tej potwornej hydry, która nienawidzi sztuki, dla której twórczość wrogą jest i wstrętną... na usługach tłumu, który sztukę ocenia według tego, ile twórca zarabia. Panie? nie lepiej-że byłoby stryczek sobie pod szyją nawiązać?

Turski siedział zamyślony.

— Ja już i o tem myślałem, ale gdy spojrzę na dzieci...

Znowu długie milczenie.

— Wstrętna, ohydna komedya, że ten sam tłum, który dziś artystę kałem obrzuca, za pięćdziesiąt lat go uwielbi! Czy pan sądzi, że to postęp, że ludzkość dojrzewa? Pan sądzi, że dziś Słowackiego tłum lepiej rozumie, aniżeli przed pięćdziesięciu laty? Gdzież tam! Przyszło kilku ludzi twórczych i tak długo działali silną sugestyą na tłum, tak długo walili taranem w mur, aż się rozwalił, i ten wielki nędzarz, ten wyśmiany i błotem obrzucany wchodzi w zwycięskim pochodzie przez wyłom. Ha, ha, ha — mizerna to satysfakcya...

Zaśmiał się nagle i przysunął się do Turskiego.

— Widzisz pan, tak głęboko tkwi to nawet w nas, twórcach, bo, wybacz pan, i ja się do nich liczę, tak głęboko, że i my nawet pragniemy poklasku i uznania tłumu, którym gardzimy — pragniemy, jak ostatni komedyant w Kołomyi lub za Drągiem lwowskim. — Jakie to śmieszne i głupie — co? co?

Turski patrzał zdziwiony.

— Tak, tak, panie Turski, pogardzam sobą w tej chwili, ale jestem tylko, tylko człowiekiem. Ale ja to zmogę. Nauczę się patrzeć na nas, jako na kosmiczną potęgę, w której natura coraz więcej się uświadamia — a wy, wy róbcie z gliny, którą my odrzucamy, bawidełka, idola i bałwanki, któremi tłum się bawi i cieszy, i za które was złotem i zaszczytami obsypuje... Och, niewdzięcznik, niewdzięcznik — po pięćdziesięciu latach

całkiem o was zapomina, a wygrzebuje tych, którzy jak Winiarski z głodu umierali... Ale to widać tak być musi...

— Tak, tak — widać tak być musi...

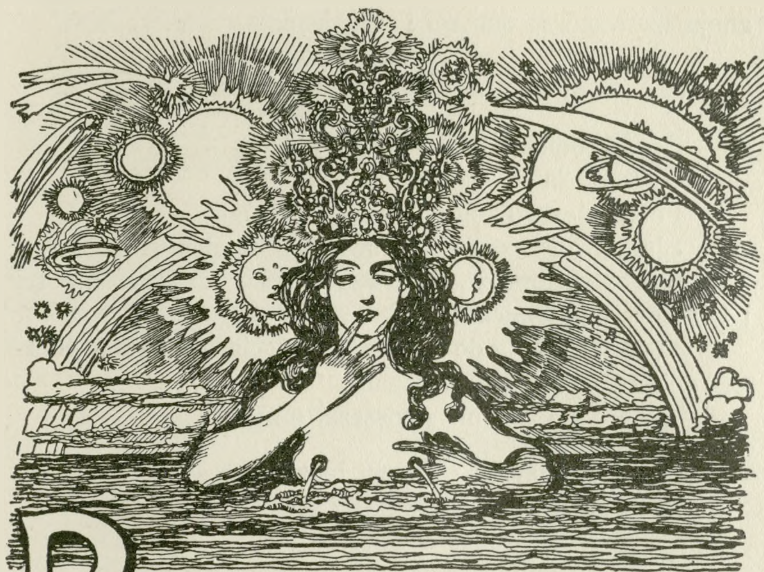
Turski wstał zamyślony.

— Pan mi nie wierzy, że ja nie pisałem tego artykułu?

— Wierzę. A chociażby pan go napisał, tobym wierzył, że pan to zrobić musiał, i nie brałbym panu za złe.

— Tak, tak... musiał, musiał... To straszne słowo. Ale żegnam pana, pan jeszcze chory, pan bardzo podrażniony....





Przedwieczna ciszo —
ukój me serce.
Niezgłębiona tajni życia —
schłoń mą tęsknotę.
Odwieczna falo powrotu i wiecznego bytu —
zlej się łaską nadziei w mą duszę.
Elejson, elejson!

A iż jestem od początku i trwać będę po wszystkie bezkresy wieczności —
wspomóż mnie, Pani!

A iż imię twoje święte mi zawsze było, i nigdy daremnie go nie użyłem —
wysłuchaj mnie, Pani!

A iż najcięższe bólu brzemię wziąłem bez skargi na ramiona i straszny krzyż cierpień dźwigałem w krwawym znoju na wzgórze śmierci i potępienia —

odkup mnie, Pani!

Elejson, elejson!

Źródło bolesnych rozkoszy —
Obłędna łasko natchnienia —
Potępieńcze łkania jesiennych wichur —
Ślubne łoże rozpusty i świętych upojeń —
Krwawy toporze mściwej zawiści i arko miłości i wiecznego przymierza —

do ciebie Pani, wyciągam ręce w zbożnej pokorze, i proszę, i błagam:

nie opuszczaj mnie!

Przeczucie świtu i godzin błękitnych —
Radośny gończe, co wiosnę wieścisz —
Ciepły strumieniu, co lody stapiasz —
Gwiazdo chłonąca wszystkich słońc blaski —
Wartki strumieniu, co gór łańcuchy przerzynasz i kruszysz —

kocham cię, Pani — w krzyż rozciągnięty tarzam się przed tobą, stopy twe całuję i w krzyku uniesienia wołam ku tobie:

Zawitaj, gwiazdo poranna!

Rozpaczny szale zwątpienia —
Rąk opadniętych gryząca trucizno —
Czarowna różdżko, co świętość na kał przemieniasz —
Zatruta strzało, co serca niewinnych szałem piekła spowijasz —
Złudna mgławico, co raje kłamiesz nieznane —
Ku tobie, Pani wyciągam groźną, rozpaczną pięść:

Przeklinam cię!

Matko piękności —
Matko rozpaczy i cierpień —
Matko ułudy i wiecznych upojeń —
Matko cudu i tęsknoty —
Odwieczna zmoro, upiorze, szatanie —
Korzę się przed tobą.
Elejson, elejson!

Coś z duszy wyrwała krzyk grozy — ryk bólu — słodki czar pieszczącego szeptu — ciche łkanie rozmodlonej tęsknoty — rozpaczny bełkot ręce łamiącej pokuty — ciche tam-tam matczynej kołysanki — gniewny rozgwar pomsty i zawiści, —

Ulituj się, Pani!

Coś przed oczyma rozesłała rajski przepych tęcz i świtów i mroków — o, można Pani, co w zaćmieniu słońca, w upiornie czarnym cieniu ziemi straszysz sądem ostatecznym wszelkie jestestwo — co wód głębie ku niebu spiętrzasz — co pustyń piaski od dna odrywasz i żarem słońca przepojoną lawą niebo zaćmiewasz — co wściekłe bałwanów nawroty na spienionych morzach łagodzisz i w uśmiech słodkiej stroisz dzieciny:

Ulituj się, Pani!

Ryku burzy i huraganów —
Roztopie wściekłych barw i rozszalałych tęcz —
Łkający bólu jesiennych deszczów —
Łasko rozrodu i wiosennego szału —
Grozo przekleństwa, szlochu pokuty, szepcie miłości, bełkocie upojeń —
Elejson, elejson!

Dobrotliwa —
Wieczna —
Ułudo — Męko — Rozkoszy:
Amen, Amen, Amen...

I po trzykroć zadzwoniły sygnaturki
Amen, Amen, Amen!

Cisza, wielka cisza przedstworzenia.

Czerkaski wgrządł klęcząc w poduszki łóżka i powtarzał: Amen!

Tak, Amen — straszne, rozpaczne, bezpamiętne Amen!

Tak modlił się ustawicznie do swej strasznej kochanki, a coraz większa niemoc i bezsiła obejmowała jego serce.

Ilekroć zapragnął pracować, czuł jakiś bolesny, przytłaczający ciężar — ani jednej myśli nie mógł rozsnuć, słowo stało się niedołężnem, czczem i pustem. Tak, i jemu przegryzł mózg jad malaryi: serce wyschło, dusza—twórcza, nieznana dusza — straciła głos, bo przestał ją ból sycić.

A on już nie cierpiał, nie umiał cierpieć.

W takich chwilach nienawidził wszystkich i siebie — och, siebie przedewszystkiem!

Wtedy i Hanka usuwała mu się z pamięci, tylko ten straszny potwór — Sztuka — szydziła z jego niemocy, szczerzyła zęby, nęciła, wabiła ku sobie, by go w coraz większej pogrążać rozpaczy.

Bóg jego odwrócił się od niego.

Ta dusza, dusza poza wszelką świadomością, która mu odsłaniała niepojętą piękność, kazała czytać rzeczy tajemne i dla oka ludzkiego ukryte, która mówiła mu o ukrytej istocie rzeczy poza ułudą zjawisk, zamilkła — czyż już na zawsze?

Zdjął go straszny lęk: czyż już na zawsze?

A przecież wszystko, co dotychczas stworzył, miało być tylko przedwstępną pracą, studyum przygotowawczem do tego, co stworzyć, co odsłonić i objawić miał...

Objawić, tak — objawić rzeczy wielkie i ciemne, jak ongi prorocy, co przyszłość odsłaniali.

Ujrzał ciemne pieczary w dzikich, niedostępnych górach, pieczary, w których prorocy-twórcy przygotowywali się do wielkiego święta Zesłania Ducha Świętego.

Prorok-twórca, w długich dniach męki, w postach, w żarliwej a rozpacznej modlitwie, błagał o łaskę natchnienia.

Zwolna obumierało ciało i poczynała się dusza wyłaniać. Straszne wizye rzeczy, które przyjść miały, stawały przed oczyma — potworne, nieznane obrazy mózg szałem spowijaly — dusza się szarpała, by znaleść słowo — och, jedno słowo, któreby to wypowiedzieć mogło.

Lecz nic! Tylko bełkot, niejasny, niezrozumiały bełkot i straszliwa męka wszystkich nerwów i mięśni.

I odnowa żarliwsze jeszcze modły, ostrzejsze jeszcze posty, sroższe jeszcze umartwienia.

I coraz dziksze, potworniejsze wizye zapełniały pieczarę — całe piekło się rozwierało — cała otchłań nieznanego bytu ziała u nóg.

Ale jeszcze nie przyszedł czas, w którym się Słowo narodzić miało.

Bo na te rzeczy jeszcze słowa nie było.

Aż jednego dnia, wśród straszliwych konwulsyj, wśród szumowin, co usta pianą zabielały, wybuchało to olbrzymie, potężne, twórcze słowo, które trony zwalało, nowego Boga wieściło, nowe prawa ustanawiało, państwa burzyło i nowe budowało.

I z tym twórcą porównywał biednego, biednego artystę naszych czasów.

Jakież to wszystko nieskończenie tanie i biedne!

Gotowe formy, gotowe słowo, nawet treść gotowa według głupiej formułki Goethego: „wo man's packt, da ist interessant.“

Och! stworzyć choć jedno słowo, wyrwać je z siebie razem z ochłapem serca — słowo, przy którego porodzie skonaćby można z męki i rozkoszy — słowo tak potężne i groźne, żeby jak rozmach rozszalałej pięści zmiażdżyć mogło...

Kogo?

Ją! — krzyknął — ją!

Tak! ją! ona podcięła w nim żyły, w których się ongi krew twórcza pełnym strumieniem przelewała; ona osuszyła źródło, które niegdyś bogatą łaską promieni w niebo tryskało; ona wyjałowiła pszenną, urodzajną glebę jego duszy — ona, ona!

Bo ją kochał, bo nosił ją w sobie jak wizyę bytów zaświatowych, bo w jej obrazie zbiegały się najskrytsze, najtajniejsze linie jego duszy, bo jak w mistycznej soczewce w niej się skupiło jego tajemnicze istnienie.

Szarpało go coś straszliwie w sercu.

Czuł pragnienie zwalić się jak długi na ziemię, płakać, krzyczeć, modlić się i kajać.

Ha, ha — a ona tam z kochankiem przeżywa teraz radosne, upojne chwile rozkoszy — ona — żona jego!

Otrząsł się.

I nigdy się już jej nie pozbędzie? Więc jeszcze, jeszcze cierpi? I jeszcze ta tęsknota, i jeszcze ta szarpiąca zazdrość?

Nie, nie!

Hej! rozkwitła ziemia, jako widna i szeroka — skrzy się jezioro brylantami i złotem świętej niebios monstrancyi — szumią topole nad brzegiem w sennem upojeniu — kołysze się w skwarnem skupieniu sitowie i las trzcin —

i wszystko tchnie spokojem, uciszeniem, modlitwą — tylko w jego sercu ból, i gorycz, i szarpiąca zgryzota.

Hej! na łące wyśpiewuje Jasiek, jego brat mleczny rozpustne piosnki na melodyę gorzkich żalów, ulinił sobie piszczałkę z gałęzi wierzby, i śpiewa, i gwiżdże, a Wojtek trzaska z bata i pędzi pijany co koń wyskoczy, a Marysia bije kijanką bieliznę w jeziorze, podkasawszy się po pas, a na murawie bielą jurne dziewczyny płótno i uganiają się z parobkami — wiosna, wiosna — roztajały lody i serca, rozkwitły wierzby, pęcznieją brzozy, srebrzą się świeżym liściem topole, tylko w jego sercu smutek i żal.

Jakiż mój początek, jakiż cel, o Panie?

Mamże sam jeden wlec się samotny przez życie, bez chwili szczęścia i wesela?

I cóż zamierzasz, Panie, ze mną w niedościgłych, niepojętych Twych wyrokach?

Mamże, jak on prorok, co z krzemienia swego serca wykrzesał gorący promień Słowa iść między moją brać i czynić Twoje objawienie?

To daj mi ono Słowo, które wszechmoc Twoją wypowie, daj mi je, a podźwignę krzyż jeszcze krwawszy!

A jeżeliś w nadmiarze łaski Twej chciał we mnie objawić nieznanych tajemnic potęgę, to zasiej odnowa plennem ziarnem me serce, ożyw rosą Twej mocy duszę mą, bom biedny, o Panie...

— Jezus Marya, co się ze mną dzieje?

Czerkaski zerwał się przerażony.

Przecież nie jestem chory — przecież mój umysł pracuje trzeźwo i jasno?

Zgrzytnął zębami.

Po coś mnie stworzył?

Nieść objawienie? Czego? Dla kogo? Jam sam — sam — sam! Nie znam nikogo — nie chcę znać nikogo...

Uspokajał się zwolna.

A Jasiek grał na łące, grał na piszczałce ulinionej z wierzby — a Marysia klepała bieliznę kijanką z coraz większą zaciętością — Wojtek smagał konie, że pręgi jak bicze wyskakiwały na skórze — a stary Górny chodził od obory do stajni, od stajni do owczarni, i biadał, biadał, że młoda żona z parobkiem na sianie... Oj, danaż moja dana..,

Ciemniało. Żaby rzechotały w stawach — z dali turkot wozu lub szczekanie psa — Jasiek objął ramieniem Marysię — szeptali długo, szeptali cicho — potem ona krzyknęła, wyrwała się, on ją pochwycił — a Jędrek wygrywał smutne szorce na harmonice — a Górny chodził i myślał — powrozem udusić, czy siekierą, obuchem w łeb?...

Biedny Górny — śmieszny Górny...

— A widzisz, kmotrze, nie mówiłem ci — Ławecki ostrzył kosę osełką — a czemuś się żenił? potrzebne ci to było?

Górny siedział na kamieniu, i myślał, i myślał: powrozem, czy siekierą?

A ja biedny literat, ha, ha, ha — Czerkaski zaśmiał się na cały głos — a ja chciałbym słowem — ha, ha, ha...

Gdybym umiał pisać kamieniem, jak ci, co piramidy budowali, co potężne poematy pisali cegłą, kamieniem i tworzyli gotyckie świątnice — ale ja, biedny marny plebejusz, co pisze atramentem i piórem — ha, ha, ha...

A ty, o Pani, dzika nierządnico, co służysz wybranym i niegodnym —

Ty, której szaty może zdzierać kapłan i pachołek —

Ty, kale, brudzie, piękności —

Bądź mi pozdrowiona!

Tak! Teraz siedzi przy nim — pewno już otrzymali pieniądze — hu, hu — co za brudna myśl! Siedzą przytuleni do siebie — a on mówi do niej:

— Czerkaski, to dobry człowiek.

— Tak, dobry, ale z nim żyć nie można. Jest męczennikiem swego talentu. On nie z tego świata — on sam czuje, że z nim żyć nie można...

Jak pięknie to powiedziała — ha, ha, ha...

Graj, Jaśku, graj! Nie! idź za stodołę — uduś Marysię — a ty, stary, głupi Górny, zdecyduj się wreszcie na powróz lub siekierę —

A ty, głupi Czerkaski, myśl nad słowem, któreby ją zmiażdżyć mogło — ha, ha, ha...

A Ty, o Pani, można niegdyś i potężna, gdyś z piersi proroka serce wyrywała i krwią zbluzgane przed tron Boga rzucała —

Ty, która niegdyś w dziki szał tworzenia całe tłumy wprowadzałaś, że martwym głazem całą swą nędzę, cały straszny ból tego padołu płaczu wypowiedzieć umiały —

Ty, która niegdyś dawałaś twórcy taką moc i potęgę, że niszczył stare tablice i nowe zapisywał — nowy zakon tworzył —

Ty, która dziś, sprzedajna, na wszystkich rynkach, na metry, stronnice, arkusze, kilogramy gliny się liczysz —

Bądź mi przeklęta!

Bądź mi przeklęta! — huknął pięścią o stół...

A może ktoś pukał do drzwi? Zdawało mu się, że ktoś pukał...

Patrzał z trwogą na drzwi.

Drzwi otwierały się zwolna, lękliwie...

We drzwiach stała wysmukła, drobna postać kobieca, czarno ubrana...

Oczy, oczy! Straszne, smutne — nie — nie smutne, wpół obłąkane oczy...

Hanka! Hanka!

Przypadł do jej nóg i w chciwym obłędzie całował jej stopy.

Hanka!!

Hanka stała nieruchoma, martwa — trup...

Hanka!



(Ciąg dalszy). Stanisław Przybyszewski.



O Słońcu.

Błogosławieństwo.

I wiosną złote Słońce nawiedziło sady —
I dojrzał czas, i krasą owoc każdy płonie,
A dumne matki-grusze i matki-jabłonie
Opuszczają ramiona: nie mogą dać rady...

I rozegrzało Słońce skiby czarnej ziemi
I, wdzięczna, w samo serca swojego zanadrze
Wzięła ziarno i teraz patrzy oto: rad-że
Człowiek, że mu się takie bujne kłosie plemi?...

I rozbudziło Słońce krew w Dwojgu Człowieka,
Aż w żyłach im zagrała jak ognista rzeka!
— I nawiedzona była od męża niewiasta...

Czas dojrzał: pierś jej w dwoje mlecznych gron urasta,
I mąż się śmieje onej: że bujne ogrojce
Godne wykarmić wnukom pełne mocy ojce...

Rozkosz.

(Jak hymn.)

Graj! — silniej graj, o Słońce!
Bo niedość rażą mnie twe święte groty,
Co z cięciw harfy niosą pioruny pieszczoty
Boskiej, trawiącej...

Graj silniej jeszcze!
Bo niedość ciałem kłębię się i wiję,
Niedość smagają mnie twe złote żmije
W ogniste dreszcze!...

Mocy-ć nie staje?!...
Więc zawyj w bezmiar swą Rozpacz! i w walce
Z oporem strun niesfornych kalecz do krwi palce,
A potężniejsze graj Raje!...
Takie — że niemi w szał duszę zamącę!
Albo cię przeklnę! — graj! graj!! graj!!! o Słońce...

Gniew.

Trawiona twoim żarem, ziemia ledwo dysze —
Spękanem strasznie łonem dżdżu choć kropli woła,
Pokazując swą rozpacz: zwiędłe, zeschłe zioła,
A ty masz za odpowiedź jedną wrogą ciszę...

Ludowi, co tę ziemię orał, — tak okropnie
Znikczemniał duch i zawiądł od srogości twojej,
Że ani kląć cię nie chce, ni o ciebie stoi,
Jak pies, co, ginąc, nie dba, że go ktoś tam kopnie...

A śród pustynnych piasków — wszakże widzisz, Słońce? —
Twą żagwią zapalona żądza dziką zbrodnię
Spełniła na Człowieku — słuchaj! — bo tam życie

Syn dla wielbłądziej wody ojcu wydarł skrycie!
I — patrz — ten nędzarz zgwałcił godność swą zawodnie:
Nie znalazł wody! Widzisz? — Pastw się! ty, Szydzące...

Posępny, dumny lud.

Oto brat ich powrócił z onej dziwnej ziemi,
Co poślubiona Słońcu. Przeto w jego chatę
Przyszli, aby usłyszeć te w cuda bogate
Powieści, które prawi z oczyma lśniącemi...

Stoją, siedzą w milczeniu — w krzyż zwarłszy ramiona,
Słuchają — i tę ziemię, co ją pieści Słońce,
Bogactwem zasypując, — te ludy kwitnące
Obaczyła ich dusza: młoda, w sny zbudzona...

I myśli lecą! lecą! — niby owe ptaki
Na wyraj... aż — zawrócą im nagle na czoła
I siędą w dumnych oczach: z lotów ni poznaki...

Nie pójdą tam! — bo tutaj ciężki trud ich woła,
Błogosławieństwo woła walk i prac, nużące...
— Posępny, dumny lud!... O, raduj ty się, Słońce!...

Przepastna tajemnica.

Wyznawam, żem niegodny spojrzeć w ciebie, Słońce,
Ja, ziemi proch — a myśli takie mam ponure,
Potężne tak i czarne, iż je jako chmurę
Zwycięzką na twe groty wiodę szalejące...

A czarny cień tej chmury zgnębił moją duszę...
I oto jak wygnaniec chodzę i przeklęty
Po pustkach i trujące samotności męty
Piję — bronię się, wzdragam i — piję, bo muszę!

O jakąś żywiołową mam się winić zbrodnię,
Com — ziemi proch — w swej duszy począł ją niegodnie,
I strach! i strach mnie bierze w ręce swe trzęsące!...

Ah! nie! — jam nie jest winien, Słońce, że i w słońca
Śmie godzić ona Skryta, Zimna i Niszcząca!
Ja myślom swym wypalam oczy! — słyszysz?! Słońce!...

Józef Ruffer.

CZĘŚĆ DRUGA.
ŚWIAT TRAGICZNY.

§ 3. Wytępiciel.

SCENA VIII.

CIŻ SAMI, AXEL VON AUERSPERG.

AXEL.

Kuzynie, pozdrawiam cię.

KOMANDOR.

Dobry wieczór, Axelu. — Powiodły ci się łowy?

AXEL, z uśmiechem.

Jak zawsze.

KOMANDOR.

W tę piekielną pogodę? Byłżebyś *Czarnym Strzelcem?* — Czy słyszysz?... Załóżmy się, że w ulicy wiodącej do zamku mrowią się tłumy złych duchów!

AXEL, idąc powiesić swój ciężki karabin między dwoma orłami na murze.

W kwietniu niepogoda przemija szybko. — Czy stanowczo opuszczasz nas dziś wieczór?

KOMANDOR, rzuciwszy krótkie spojrzenie na pana Zacharyasza.

Muszę; król nie czeka.

Na te słowa, herr Zacharias, zachwycony, opuszcza salę.

AXEL, z uśmiechem.

A więc niech żyje król! Tonem pełnej wdzięku uprzejmości i... do stołu.

KOMANDOR.

Wyborna myśl; jestem przy apetycie.

Siadają. Deszcz ustał: burza poszła, zda się, na lasy.

SCENA IX.

AXEL, KOMANDOR, JUKKO,
potem GOTTHOLD, MIKLAUS i HARTWIG.

Jukko wchodzi drzwiami w głębi; za nim Hartwig, dźwigający swą jedyną ręką ciężki kosz win; — Gotthold i Miklaus wnoszą z prawej strony naczynia srebrne napełnione różnemi potrawami; Jukko bierze dwie z najbardziej omszonych butelek i otwiera je.

KOMANDOR do siebie,w zamyśleniu.

Możnaby pomyśleć, *że zapomniał!*... powiedział ten herr Zacharias. Muszę przedewszystkiem upewnić się pod tym względem.

JUKKO, napełniając do połowy roztruhany z kryształu.

Wino burgundzkie.

AXEL, rozwijając serwetę.

Ominie cię zatem, kuzynie, *maytrank* w naszej okolicy. Szkoda; myślę, że znalazłbyś w nim tutaj prawdziwą świeżość wiosenną.

KOMANDOR, podobnież, niedbale.

Cóż robić! — Twoje zdrowie.

Pije; potem, przyglądając się jakiejś zwierzynie, którą rozkrawa Gotthold:

Eh! byłażby to ćwiartka odyńca! — Zdaje mi się, że odczułem ją w przejściu z jej zapaszku podniecającego! — Ale, teraz myślę: parzykasza zapomniał pewnie o pieprzu czerwonym i o wanilii podczas gotowania? (Próbuje.) — Wcale nie: to wprost opatrznościowe.

AXEL, do Miklausa.

Trochę wody, proszę cię.

KOMANDOR, śmiejąc się, tonem bardzo poważnym.

Co do odyńca, rozkoszowałem się cudownie podanym u radcy aulicznego Johannesa Hernera, w dzień, gdy Jego Królewska Mość raczył obdarzyć mnie kluczami szambelana. Sposób przygotowania jednakże różny był nieco, jeżeli pamięć mnie nie myli. Tak. Samotnik wymagał owego dnia trufli francuskich, korzeni angielskich i wawrzynów sycylijskich. Udrapowany w jasną galaretę z pigw, został nam podany, pełen zadumy, na pościeli z roślin aromatycznych. — Axelu, polecam ten przepis twojemu arcykuchcie: dobry szlachcic nie może nigdy zbyt wiele dbać o swój stół.

AXEL.

Powiedz mi, kuzynie: nawróciłeś zaraz prawie do zamku, dziś po południu; nudziłyż-by cię łowy? — czy też uważałeś, że trzeba się liczyć z siłami, mając przed sobą dwieście mil drogi do zrobienia?

KOMANDOR, jedząc i pijąc.

Chciałem się tylko przedrzemać rozkosznie przy oddalonych dźwiękach twego rogu niezmordowanego, oto wszystko.

AXEL, podobnież.

I — piękne miałeś sny?

Jukko, milczący, napełnia szklanki obydwóch biesiadników.

KOMANDOR, niedbale, z jakąś intencyą oddaloną, *prawie* niewyraźną.

Sny złote. Marzyłem o tym starodawnym królu lidyjskim, który potrzebował tylko zarzucić sieć w swoją rzekę Paktolską, aby wydobyć połów złota szczerego. — Piękny sen!

AXEL, przypatrując mu się bacznie i podnosząc po chwili milczenia swój puhar gotycko-niemiecki.

Za jego rzeczywistość!

KOMANDOR, do siebie, w niepewności.

Hmmh!... Głośno i z uśmiechem odrzucając się w tył ku grzbietowi swego siedzenia: — Axelu, przyszła na mnie kolej melancholii dzisiejszego wieczora, — i to nie tylko dla tego, że cię opuszczam. — Niewątpliwie, zastawa jest wspaniała, oko doznaje wprost rozkoszy, patrząc na te obrusy, na te stare cudowne kryształy czeskie! Ale... jesteśmy sami, — a tam, na kolacyach dworskich, złoto miesza się tak dobrze pod blaskami świeczników z białą cerą kobiet! Ich

oczy, ich złośliwe ząbki białe, ich uśmiechy, takie niedorzeczne a takie czarujące, zlewają się tak dobrze ze światłami! Wielkie kwiaty czerwone, róże zwłaszcza, godzą się tak szlachetnie z czarnemi włosów kaskadami! Aż do jedwabiu skąpanego w ich woni, wszystko, co ma związek z ich obecnością, nadaje taką nieodpartą magię szałowi pięknej kolacyi! — Ach! mój drogi, gdybyś porzucił swe wygnanie i chciał pójść ze mną w ten świat uroczystości, zbytku i miłostek... Zniżając nieco głos, tonem wesołego bałamuta; — słuchaj, gdybyś naprzykład mógł zobaczyć choć raz jeden, jedyny piękną księżnę von Muthwild?

AXEL, zadrgnąwszy niepochwytnie na dźwięk tego nazwiska.

No, i cóżby było, komandorze?

KOMANDOR, do siebie w niepewności.

Hmmh! (Głośno.) — Co? Nie spałbyś od tej chwili! Pomyśl tylko: dziecię wdówka, sprytna do tego stopnia, że, spuściwszy pobożnie oczy, umiała czekać na śmierć męża... z anielską cierpliwością! — Ten poczciwy książę!... Podług jakiejś legendy, rodzic jego, jenerał bardzo ceniony, uległ podobno temuż losowi, co i twój szlachetny ojciec, dostawszy się pod strzały ukrytego oddziału tyralierów nieprzyjacielskich podczas inwazyi. Ród wygasły. Chwila milczenia; — Axel zachowuje swą niewzruszoność. — Jednem słowem, nie wychodząc za mąż po raz drugi, księżna Karola może, ile jej się spodoba, zabawiać się w swoim berlińskim pałacu pod osłoną herbu w żałobie. A powiadam ci, gdyby ci pozwoliła raz jeden, — tobie, upragnionemu z góry na jej festynach nocnych! — gdyby ci pozwoliła ujrzeć migotliwość swych oczu niebieskich, — i swe wargi cudowne! — tak, między kryształem twego kielicha a płomieniem świec... straciłbyś sen napewno.

AXEL, z uśmiechem.

Myślisz, kuzynie?

KOMANDOR, śmiejąc się.

On powątpiewa!... Ach! nie spotwarzaj sam siebie; nie skazuj na próżnowanie swych przyszłych przyjaciół.

AXEL.

Są-ż w istocie tak ponętne kobiety tam, w życiu?

KOMANDOR.

Po większej części. A potem... Tonem poufnym — posłuchaj, to upojenie, że się je porywa niewymownym małżonkom — potraja, zaiste, radość zdobyczy. Każdy człowiek, po trzech miłostkach światowych, pożąda Prozerpiny już tylko wtedy, gdy z jej słodyczą łączy się pieprzyk gniewnej zazdrości chmurnego Plutona! — Czytam w twych oczach zdumienie, właściwe twemu wiekowi; — lecz dla nas, w wielu przygodach miłosnych, palący ból człowieka, z całym żarem kochającego tę, która nas wybrała, stanowi niekiedy główną jej ponętę. Ta właśnie przyprawa, którą wszystkie one rozumieją i która skłania nas często do stanowczego kroku, nadaje taką miłą ostrość owej zabawie w wyższym smaku, która zwie się miłością!

AXEL.

Doprawdy? — Myślałem, że są jeszcze kobiety poważniejszego serca.

KOMANDOR.

No, no, wszystkie one są wcieleniem miłości najwyższej; tylko... mają swoich biednych. Oto co zwie się

cnotą w świecie. — Co do ich uczuć zaś... (długo i głęboko wącha pęk kwiecia leśnego, umieszczony między różnemi szklenicami i kielichami) — cóż mnie obchodzi, czy te kwiaty, o woni tak drażniącej, mają serca poważne czy płoche?

AXEL.

Czy nie powrócisz jeszcze do tego pasztetu z bażantów, kuzynie?

KOMANDOR, przyjmując.

Surowy pogromco wilków, powiem ci, że, zazwyczaj, pasztet wydaje mi się najcięższym z metali, ale że ten tutaj, obmyślony przez głowę pełną natchnienia, usprawiedliwia nieroztropność, jakiej się dopuszczam! Chwila milczenia. — A ty, Axelu? mało jesz i jesteś jakiś... zatroskany!

AXEL.

Myślę, że ulewa pożłobiła zapewne rozpadliny na drodze. — Jukko, spuścisz dwa z pomiędzy brytanów, aby przeszukiwały przed nami wysokie trawy i zarośla. Osiodłasz konie około dziesiątej i przyczepisz ślepą latarkę do każdego łęku. Ja pojadę na Wunderze.

KOMANDOR.

No — ale cóż to za dziwna bije w tej chwili godzina?

AXEL z uśmiechem.

To nie godzina: — to huragan wdarł się do wnętrza baszty i łoskoce śpiżowem sercem w dzwonie wieżowym. Ale godzina będzie dziewiąta, jak mi się zdaje.

KOMANDOR, przypatrując się Axelowi.

Ach! ach! Godzina, gdy kupiec spać się kładzie „ze spokojnem sumieniem“: — a poczciwych przodków niemasz już, aby podebrać go nieco na drogach. — Tak, to prawda, niegdyś pomagaliśmy im od czasu do czasu dźwigać zdobycz, tym „uczciwym“ mieszczuchom, „uczciwym“ kupcom, „uczciwym“ żydom, — całemu najpiękniejszemu wykwitowi flory ludzkiej, jednem słowem! — i to nie troszcząc się bynajmniej, jakich zdzierstw, jakich lichw, jakich oszustw te ich uczciwe dochody były nazbyt prawowitym owocem. Zaiste, nie będę ganił nadmiernie tego postępowania naszych poprzedników! Nie byłoż po wszystkie czasy prawem strzelca wydzierać zwierzynę z paszczy swym psom? — W istocie nawet, prawo, którem się zasłaniali ówczesni panowie feudalni, nie było prawem silniejszego, lecz zuchwalszego!... Stali — każdy sam jeden przeciwko tysiącom: i słuchano się ich. Dlaczego? Bo siła zwraca się tam, gdzie jest śmiałość, ten jedyny kamień probierczy rasowości ludzkiej! Nie mieszałbym też nigdy honoru z uczciwością.

AXEL, jakby nie słysząc.

Dotrzymamy ci towarzystwa, Jukko i ja, aż do rozdroża Leśnego Krzyża, bo można się zbłąkać na różnych okrajach lasu, lub też spotkać się z wilkami.

MIKLAUS.

Karabiny są w pogotowiu, Wasza Miłość, podobnież oszczepy i noże myśliwskie.

KOMANDOR, do siebie, nagle zimny i posępny, patrząc z zastanowieniem na Axela.

No! to wprost nie do pojęcia! Zaczyna mi się zdawać, że nasz herr Zacharias ma słuszność; — jest to sobie

niedbały młodzieniec, który zapomniał. — Kto wie? Przy sposobności, mógłbym mieć za sprzymierzeńców ciemność, potoki górskie!... Wypadki nocne w Czarnym Lesie są niewątpliwie czemś bardzo zwykłem i naturalnem: a ośmielić się skończyć z tem wszystkiem bez zwłoki w dwóch celnych strzałach, — uprościło by znacznie sytuacyę. Nie jest-żem spadkobiercą jedynym? I... jakiego jeszcze spadku, być może!

AXEL.

Gdzież to podziewa się Walter Schwert?

GOTTHOLD.

Udał się na wieś, Wasza Miłość, aby odnowić zapasy zamkowe.

HARTWIG.

Zmoknie, co się zowie, a i rysie, w istocie, błądzą niekiedy w takie noce burzliwe...

MIKLAUS.

Och! Franz towarzyszy w drodze majordomowi: obaj są uzbrojeni, a poszły z nimi trzy płowe brytany, — i Rasch, pies, który nie szczeka.

AXEL.

Poczciwy starowina! Do Miklausa: Każesz przygrzać dlań starego wina francuskiego. — Ach!... nie chcę odtąd, aby wychodził o tak późnej godzinie.

KOMANDOR, półgłosem, w roztargnieniu, składając swoją serwetę na stole.

Jak ty się troszczysz o nich!

AXEL, rzuciwszy okiem ku witrażom.

Ale oto niebo się wyjaśniło; gwiazdy połyskują już gdzieniegdzie. — Czy powrócisz kiedy do nas, kuzynie?

KOMANDOR, podnosząc oczy i spoglądając nań.

Wkrótce, spodziewam się.

AXEL.

A więc za twój przyjazd najbliższy!

Piją, potem powstają.

KOMANDOR, z uśmiechem i z nagłą, niedbałą otwartością serdecznego wylewu.

Axelu, jesteś stanowczo naturą szczęśliwą, i — decyduję się, widzisz oto, zadać ci przed odjazdem najpoufniejsze w świecie pytanie. Mam coś do powiedzenia ci sam na sam.

Na znak hrabiego von Auersperg, Miklaus i Gotthold przenieśli stół, oświecony jeszcze, pod sklepienie, utworzone przez schody kamienne. — Jukko stawia dwie szklenice i dzban na rodzaju kredensu, umieszczonego pod okapem komina; potem z pomocą Hartwiga zbliża do ognia dwa siedzenia.

Sala przedstawia teraz rozległą przestrzeń wolną, kędy, rozmawiając, chodzą tam i z powrotem Axel i Komandor.

Trzej służebnicy i Jukko wychodzą drzwiami w głębi sali.

SCENA X.

KOMANDOR, AXEL, sami.

KOMANDOR, do siebie, uważnie przypatrując się Axelowi.

Nie, temu dzieciakowi nie śni się nawet nigdy o królewskiej tajemnicy, której ostateczną zagadkę mógł by mi snadź objaśnić. — Jak wyrwać mu jakąkolwiek wskazówkę,

której doniosłość uszła jego uwadze. — Niewątpliwie, musi wiedzieć cośkolwiek, sam o tem nie wiedząc. Trzebaby... przed jakiembądź postanowieniem pozyskać zupełne jego zaufanie.

AXEL.

Komandorze, słucham cię.

KOMANDOR, ciągle do siebie.

Bądźmy zatem ojcowscy, opiekuńczy, dobrzy doradcy! Nic nie zastąpi starych maksym mądrości i moralności umownej, gdy chcemy olśnić niedoświadczonych i zyskać nad nimi przewagę ostateczną. — Reszta, co do dzisiejszej zaraz nocy, jest już postanowiona.

AXEL, z uśmiechem.

A więc?

KOMANDOR, głośno.

No, więc — mówię tym razem zupełnie poważnie, — co u dyabła robisz, hrabio, w tej ruderze odwiecznej, w tym zapomnianym burgu, zaprzepaszczonym w samym środku paradoksalnych lasów, podczas gdy przy dworze któregobądź z naszych królów wspaniała oczekuje cię przyszłość? — Masz wiedzę, śmiałość, rozum: poczytałbym ci za winę, gdybyś wiecznie chciał siedzieć z założonemi rękoma wśród tych walących się murów. Naprzód! Wzywam cię, byś rozpoczął swą drogę. Jesteś Auersperg: chwila nadeszła — i musisz sobie o tem przypomnieć.

AXEL, niedbale.

Mówmy o czem innem.

KOMANDOR.

Axelu, kochałem bardzo twojego ojca; muszę mówić w naszem wspólnem starem imieniu. — Co ma znaczyć ta ślepa przyjaźń dla twego niewidzialnego stołownika, dla tego tak zwanego „mistrza Janusa“? — To twój nauczyciel, dobrze! — Towarzysz w każdym razie nieopłacający się chyba, — i który musi być wesoły w wieczory zimowe, jeśli wierzyć jego sławie! — Czyliż człowiek ma prawo poświęcać w ten sposób całą świetność wielkiego i starożytnego rodu nie wiem jakim tam naukom czy badaniom...

AXEL, poważnie i z prostotą.

Muszę cię uprzedzić, kuzynie, że przeniosłem całą mą cześć synowską na człowieka, o którym mówisz. Ojciec mój poznał w czasach wojennych tego towarzysza z pola bitw, który dwa razy uratował mu życie.

KOMANDOR.

Gdyby przynajmniej był to człowiek rzeczywiście zdolny...

AXEL, tonem naiwnym.

Zdolny do czego?

KOMANDOR.

Jednem słowem, ty, dusza młoda, marnujesz najsłoneczniejsze swe lata na czczych zaciekaniach się w mniemanej Wiedzy hermetycznej! — Przebiegłem tytuły niezdrowych dzieł twej biblioteki; upajasz się próchnem wilgotnem? Dajesz się obałamucać obłąkańcowi, który mieszka u ciebie! Wyobrażasz sobie, że istnieje jeszcze „wiedza tajemna“? — Ależ to już tak niewymowna czystość serca, że graniczy ze śmiesznością, mój biedny kuzynie! — Że bawisz się w średniowiecze, — zgoda! Tu postępujesz z umysłu;

rzecz przytem jest niewinna, i nawet nie bez pewnej wielkości; ale posuwać maskaradę aż do wznawiania tradycyj dmuchaczy kamienia filozoficznego! z całym aparatem retort, alembików i butel z rurkami! marzyć o połączeniu merkuryuszu i siarki... ach! po prostu wierzyć temu nie mogę. — Czy wiesz, jakie złoto płynne zostaje na dnie tygli?... Twoja młodość. Dalej-że! Zrzuć do dyabła to przebranie zużyte, w którem zresztą wcale nie do twarzy szlachcicowi! Naśladuj mnie. Chwytaj życie, jakiem ono jest, bez złudzeń i bez słabości. — Toruj sobie drogę! Spełnij swój zawód! — i zostaw szaleńców ich szaleństwu.

AXEL.

Mój kuzynie, oddaję sprawiedliwość wszystkiemu, co powiedziałeś. — Szklankę wina węgierskiego?

Napełnia szklankę Komandora.

KOMANDOR.

Kończmy. Ja jestem *życie rzeczywiste,* rozumiesz mnie? Mniemasz-że, iż jałowe podniecanie sobie wyobraźni (i to w blankowanych zamkach obronnych, które nie mają dzisiaj zdrowego sensu i przedstawiają tylko ciekawostkę historyczną, tolerowaną dla rozrywki przejezdnych) wystarczy, aby dojść do czegoś dotykalnego i stałego? Wyjdź z tego zastarzałego grobowca! Inteligencya twoja potrzebuje powietrza. Pójdź ze mną! Poprowadzę cię tam, na dwór, gdzie rozum nawet jest niczem bez umiejętności zachowania się. Rzuć tutaj swoje chimery! Stąpaj po ziemi, jak przystało człowiekowi. Siej postrach dokoła siebie! Stań się znowu potężnym. Nie darowuj niczemu! Musi ci się powieść! I rzuć w pokrzywy i potoki wszystkie te rupiecie czczych złud, z których będziesz się śmiał

do łez, zanim trzy tygodnie upłyną, jeżeli pójdziesz za mną w świat królewski. Po raz ostatni zaklinam cię pójdź i rozpocznij nareszcie swą drogę. Cóż może cię zatrzymywać tutaj? Nie masz przecież tajemnic, jak mi się zdaje, ani powodów pieniężnych, ani namiętności żadnych! A zatem, zkądże to niedorzeczne wygnanie?

AXEL, spokojnie, siadając koło kredensu.

Mój drogi, serdeczny kuzynie, wzruszyło mnie do łez, w istocie, głębokie zajęcie memi sprawami, o jakiem świadczą twe słowa. Rady twoje, znać, że pochodzą od jednego z najwymowniejszych ludzi w świecie, — i niema wątpliwości, że skorzystam z nich w odpowiednim czasie i miejscu.

KOMANDOR, do siebie.

Do wszystkich dyabłów, — nieodgadniony dzieciak!... Co myśleć nareszcie? Czyżby zapomniał rzeczywiście, czy też zachowuje milczenie przez nieufność instynktową? I sama ta legenda wreszcie czy ma jakąśkolwiek podstawę? Na cóż narażam się, jeżeli spytam go w tej chwili, w sposób wyraźny i stanowczy? Czy zmilczy czy przemówi, będę miał przynajmniej jakąbądź pewność. Dalej zatem, pomacajmy go za serce.

Głośno: — Pozwolisz-że uchodzić z kolei wszystkim sposobnościom do rozbudzenia przygasłej sławy rodu, — ty, głowa linii starszej? I to dla przyjemności zagrzebywania umysłu swego w mgławicowych jakichś medytacyach? Obojętność twoja wprawia mnie w osłupienie. Stanowczo. Chwila milczenia.

Widzę, że z propozycyami memi będzie jak z owemi mniemanemi skarbami, wiesz dobrze — z owemi niesły-

chanemi bogactwami, które stary mój druh, hrabia von Auersperg, twój ojciec, miał zadanie ratować za czasów inwazyi francuskiej, po naszych porażkach; z temi prawie całkowitemi skarbcami więcej niż trzech państw Związku, ubeczkowanemi należycie w monecie brzęczącej! — Krótko mówiąc, jeżeli, pod tym względem, nie wyprowadziła mię w pole najnieprawdopodobniejsza legenda, wyhaftowana z przejęciem i rozkoszą, jak tyle innych, na mętnym lecz niezaprzeczonym fakcie historycznym, zdawałoby się, — hę?... że to wszystko nie jest, być może, absolutnie stracone? że ośmdziesiąt wózków frankfurckiego banku narodowego były puste, gdy wpadły w ręce dwóch czy trzech oddziałów nieprzyjacielskich, w ciągu tej śmiertelnej utarczki, w której ojciec twój stracił życie; — że, wreszcie, czterysta beczułek złota w monecie i w sztabach, nie mówiąc o skrzyniach drogich kamieni, powinnyby być gdzieś niedaleko ztąd, w okolicach tej majętności, czy ja wiem! Posłuchaj, Auerspergu, zdaje mi się, że nawet pół pewności pod tym względem zasługiwało przynajmniej, aby rzecz zgłębić. A więc, cóżeś próbował, o coś się pokusił, czego-ś szukał, co-ś obmyślił? Nic, zdaje się!... Tymczasem, wyznaję, że z pomiędzy różnych marzeń to właśnie było najmniej niegodnem uwagi, fakt bowiem historyczny, powtarzam, dawał mu grunt rzeczywistości; na tej podstawie dopiero spoczywała sprawa, która, nawet *przy niepewności swej, byle dobrze poprowadzona,* mogła — i może jeszcze — stać się dla nas więcej niż zyskowną. Słuchaj! jestem twoim krewniakiem, twoim starszym kuzynem, twoim przyjacielem; sprawa nasza jest jedna; możesz zatem zwierzyć mi się zupełnie. Dowiedziałem się tej historyi, dalibóg że przypadkiem, dziś dopiero. Na Boga, zbierz swe wspomnienia, zanim odjadę! — Ile jest ścisłej prawdy w tem wszystkiem?

Podczas tej rozmowy, Axel przypatrywał się Komandorowi z wielką baczności. Teraz powstaje i zwraca się ku drzwiom w głębi sali.

AXEL, spokojnie.

Chwilę, komandorze, proszę cię. — Wołając: — Herr Zacharias!

Komandor von Auersperg, powróciwszy ku ognisku, którego wysokie płomienie opurpurzają go nagle ogromną światłością, nalewa sobie wina w szklankę.

Herr Zacharias ukazuje się w głębi sali, za nim Jukko.

SCENA XI.

CIŻ SAMI, Herr ZACHARIAS i JUKKO.

JUKKO, do siebie, z uśmiechem, rzuciwszy krótkie spojrzenie na Axela.

No, no, grom padnie tu za chwilę.

Herr ZACHARIAS.

Wasza Miłość mnie woła?

AXEL, półgłosem.

Bliżej do mnie.

Herr Zacharias się zbliża; Axel spogląda nań przez chwilę w milczeniu: — potem cichym głosem:

Mówiłeś!

Herr ZACHARIAS, po chwili.

W imieniu rodu, któremu służę od lat osiemdziesięciu, ośmieliłem się, Wasza Miłość, chcieć zbawić od zapomnienia, zanim umrę, ten skarb niezmierny!

AXEL, z przerażającem spojrzeniem, głucho.

Dość!... Do Jukka, bardzo cicho: Dwie szpady. I niechaj za chwilę, Gotthold, Miklaus i Hartwig stawią się tutaj w swych dawnych uniformach, z pochodniami, — i ze swemi staremi mieczami w ręku. Milczenie.

Herr Zacharias wychodzi, chwiejąc się, drzwiami w głębi sali. Jukko znika na prawo, dawszy znak porozumienia hrabiemu von Auersperg.

Koniec tej sceny odbywał się na progu i nie był słyszany przez Kaspara von Auersperg. — Od kilku chwil, burza na dworze, po krótkiem uciszeniu się, odzyskała całą swą gwałtowność. Deszcz zaczyna znowu dzwonić o szyby witraży. Od czasu do czasu błyska się.

SCENA XII.

AXEL, KOMANDOR, — potem JUKKO i TRZEJ DOMOWNICY WOJSKOWI.

KOMANDOR, siedząc tyłem do sali i grzejąc się przy ogniu.

Hrabio, bądźmy praktyczni, nie zapominajmy, żeśmy na ziemi. — Ja podejmuję się zwrócić w należyty sposób uwagę panujących Wirtembergu, Bawaryi i Saksonii na ewentualną możebność odzyskania tych nieprawdopodobnych bogactw zaginionych. I, jeżeli, jak przypuszczam, jest istotnie coś poważnego na dnie całej tej zwodnej historyi, ręczę ci, rozumiesz mnie dobrze, że wydobędę ze sprawy tej więcej niż książęcą dla nas obu fortunę. Gratka byłaby zresztą nietylko niespodziana, lecz po dwakroć cudowna: bo jestem zrujnowany, mój drogi, i jakieś kilka tysięcy florenów, które pozostawiasz mi, bez sporu, z dziedzictwa naszego ostatniego kuzyna, Wilferla von Auersperg, są dla mnie zaledwie lekkim oparem, jaki wywołałoby kilka kropel tego oto złotego wina na tej oto rozpalonej do czerwoności łopatce. Więc cóż? Czy nie przypominasz sobie jakiej wskazówki, jawiącej się nagle, jak błysk, podczas twych rozmów z leśnikami, — wskazówki, dotyczącej naprzykład możebnych wyjść ukrytych z podziemi starożytnych w tej górskiej okolicy Czarnego Lasu? Jakto! Oddział z dwustu ludzi prawie,

włóczący się po lasach, nie zostawił w najstarszych pamięciach kraju, żadnego śladu jakiegobądź postoju chwilowego? Czyżby tak niezwykłe obmyślono i przedsięwzięto środki ostrożności? Czy nie słyszałeś nigdy nic w tym przedmiocie, choćby niepewnego? Czy nie spotkałeś nic w papierach ojcowskich... w sekretnych tytułach przodków? To niesłychane, ostatecznie! Pomyśl, że gdybyśmy mieli dane: 1-o pewność istnienia do dzisiaj tych bajecznych wartości, i 2-o jeden lub dwa punkty znaczne, stwierdzone na podstawie starych tradycyj osobistych czy lokalnych, rzeczą byłoby nieulegającą wątpliwości, iż poparłszy to wszystko pewnemi rachunkami, znanemi dobrze pierwszemu lepszemu inżynierowi wojskowemu, — możnaby w przeciągu kilku dni uzyskać kredyt pięciu do sześciu milionów talarów. I powiadam ci, że przed upływem dwóch miesięcy, co najwyżej, — albo zresztą trzech czy czterech, jeśli chcesz, — prace i rozkopy poważne w okolicach tego burgu, przy użyciu, w razie potrzeby, dniem i nocą górników... Pomyśl o pełnym chwały i niesłychanie zyskownym wyniku tego wyjątkowego zdarzenia! Toż byłby krzyk w całych Niemczech. Mówże.

Odwraca się; widzi hrabiego von Auersperg stojącego w głębi sali, z chmurnem czołem i skrzyżowanemi na piersiach rękoma.

No, cóż tam? cóż się stało?

Powraca Jukko. Młody paź okazuje w milczeniu swemu panu dwie szpady bojowe, które trzyma w połowie kling. Gotthold i Miklaus, w swych dawnych uniformach kirasyerów białych, ukazują się w głębi sali, wznosząc, każdy, pochodnię w lewej ręce, a w prawej trzymając miecz nagi. Hartwig trzyma miecz swą jedyną ręką. Pożółkłe grzywy kasków mieszają się z włosami białych ich wąsów.

Wchodzą w milczeniu, ustawiają się, każdy przed jednemi z trojga drzwi, i zatrzymują się w nieruchomości. Komandor patrzy na nich nieco zdziwiony.

Tam do licha! czyżby się gotowała jakaś ceremonia fantastyczna?... Może przypadkiem twój „mistrz Janus“ chce nam pokazać jaką piękną sztukę czarodziejską? Byłaby to uprzejmość istotnie zachwycająca.

Powstaje.

SCENA XIII.

AXEL, KOMANDOR, GOTTHOLD, HARTWIG, MIKLAUS, JUKKO, później, pod koniec, MISTRZ JANUS.

AXEL, zbliżając się do Komandora, z ukłonem.

Mój kuzynie, robiłeś przed chwilą uwagi poufne, które mnie obraziły. Dasz mi za to natychmiast satysfakcyę. Przestajesz być moim gościem. Jako plac boju, sala ta jest wyborna, zwłaszcza podczas takiej, jak dzisiaj, burzy...

KOMANDOR, po chwili milczenia.

Szaleńcze, masz gorączkę!

AXEL, ciągnąc dalej.

Zdobyłeś sobie w Niemczech sławę magistralnej biegłości w walce na szpady; szpada więc będzie naszą bronią. — Będziemy się bili bez miłosierdzia i odpoczynku. .

KOMANDOR, przerywając.

Jakto! i ludzie poddają się w ten sposób napadowi obłąkania, któremu uległ w tej chwili hrabia von Auersperg?

AXEL, kończąc spokojnie swe zdanie.

...do upadłego, na śmierć.

KOMANDOR, krótko i wyniośle.

I z jakiegoż to powodu?

AXEL.

Och! bardzo często, przy rozmaitych przygodach podróżnych, człowiek zmuszony jest nagle chwytać za szpadę, bądź na skręcie wielkiego gościńca, bądź w głębi uliczki jakiegoś miasteczka przypadkowego... z powodu kłótni bez dość wyraźnej przyczyny, — lub też z powodu prostego napadu. Nie potrzebuję zatem motywować nadmiernie porywczości mego wyzwania, zwłaszcza skoro ofiaruję ci pojedynek najściślej poza tem trzymający się reguł.

KOMANDOR.

Bah!

AXEL.

Sądź sam. Póki ja trzymam się na nogach, nie wyjdziesz z tej sali; ale ponieważ jesteś więźniem mojej obecności jedynie, dość ci będzie sięgnąć mnie ciężko, aby dano ci przejście natychmiast bez żadnej trudności.— Gdyby przewaga została przy tobie, przypuszczam to na chwilę, lecz kosztowała cię jakąś cięższą ranę, zostaniesz otoczony pod moim dachem tą samą, co ja, pieczołowitością. — Jak tylko wyzdrowiejesz, będziesz odprowadzony z honorami aż do granicy tej ziemi, bez najmniejszego znaku niechęci ze strony moich. — Nie możesz odrzucić obecnych tutaj świadków: są to kawalerowie Żelaznego Krzyża, a co do mojego pazia — poręczam, że jest on z rodu równie uczciwego jak dzielnego. Ci świadkowie, zatem, dotrzymają, na honor i wiarę swoją, nic nie omijając ani zmieniając przez jakiebądź podejście, słowa, które ci daję... i które jest słowem ich pana i przyjaciela.

Zwracając się ku nim; — Przysięgajcie.

Połyski kling i pochodni, które drgają w pięściach starych żołnierzy, budzą potoki skier w stali kirysów. Nakoniec wszyscy trzej wyciągają poziomo swe miecze w milczeniu. — Jukko, na rozkazujące spojrzenie Axela, podnosi prawą rękę po chwili ponurego wahania.

Zaprzysiężone.

JUKKO, z prostotą, lecz tonem chmurnym.

Poniewolnie.

KOMANDOR.

No! to-m dobrze otoczony? — Ach! ależ to jaskinia rozbójników ta twoja buda, kuzynie! Tylko do dyabła, wypadałoby przynajmniej wywiesić tabliczkę dla uprzedzenia podróżników!... Zapewne! nie odmawiam nigdy spotkania, — nawet w podobnych warunkach: ale jakże brać poważnie cały ten tragiczny aparat, pełny niemożebnie rażącej staroświecczyzny? Doprawdy, zakrawa to na jakąś próbę sztucznych strachów, a te nie robią na ludziach broni najmniejszego wrażenia. Osobiście, nie mogę się powstrzymać od uśmiechu na widok tego wszystkiego. — Wierzaj mi jednak, przerwij co żywo to popisywanie się, które mogłoby już drogo cię kosztować, gdybym był rzeźnikiem niewiniątek.

AXEL, niewzruszony.

W razie, gdybym ja miał rękę nieszczęśliwą, zostaniesz złożony pod zamkiem, w krypcie rodzinnej. — W akcie wszelako, który bez zwłoki oznajmiłby królowi o nagłym twym zgonie, figurowałbyś, muszę cię o tem uprzedzić, jako zaginiony w jednem z licznych trzęsawisk tych lasów rozległych.

Wskazując atrament, pióro i pargamin na jednym z czarnych, prostych stołów, zawalonych księgami, po prawej stronie komina.

Jeżeli zatem masz jakie rozporządzenie do zrobienia, pisz je i śpiesz się, jeśli łaska.

Komandor wzrusza ramionami, zakłada ręce na krzyż i patrzy nań zimno.

Nie? — Tem lepiej.

Zwraca się do Jukka; paź wręcza mu dwie szpady. — Powróciwszy przed Komandora, podaje mu je rękojeściami:

Wybieraj.

KOMANDOR, z podrażnionem i wyniosłem zniecierpliwieniem.

Proszę mi zrobić miejsce!

AXEL, zimno.

Zrób sobie miejsce.

KOMANDOR, schwyciwszy na wszelki wypadek jedną ze szpad, — głucho.

Strzeż się!

AXEL, spokojnie.

A więc baczność!

KOMANDOR.

Po raz ostatni, w imię nazwiska, które obaj nosimy, wzywam cię, abyś sformułował swe zarzuty przeciwko mnie.

AXEL, półgłosem.

W górę pochodnie!

KOMANDOR.

Milczysz?

Axel, który, ze szpadą w ręku, oddalił się, aby zająć stanowisko, odpowiada tylko lekkiem, potwierdzającem skinieniem głowy.

Podłość!

Błyskawice, przedzierając się przez witraże okienne, mieszają się w wysokiej sali z połyskami pochodni i szpad. Oddalone rozhuki gromów. — Axel, zadrgnąwszy, zbliża się do Komandora.

AXEL, spokojnie i straszliwie.

Przypatrz mi się dobrze, oko w oko. Jakież inne szczere zetknięcie było kiedykolwiek możliwe między nami, prócz starcia na szpady. Myślał-żeś, że mnie dotykasz, gdy ściskałeś mą rękę? Iż widzisz moje prawdziwe oblicze, gdy uśmiechałem się do ciebie? Musiałem znosić nieprzystojność i ubóstwo twych słów — w ustach gościa, który siedział przy mojem ognisku... ale w sobie słuchałem innych niż twój głosów.

Słyszałem wszelako i ciebie, jak słyszy się niejasne krzyki zwierząt, gdzieś w dali, wśród lasów. — O! nie wstrząsaj się, nie dręcz tak swej szpady: bezużyteczne udawanie przede mną.

KOMANDOR, zamachnąwszy się z gwizdem długą swą klingą.

Szaleńcze! ja ci...

AXEL, niewzruszony.

Za chwilę. Po trzykroć wyzywałeś mnie, aby ci odpowiedzieć. Nie słuchaj, teraz, jeśli nie chcesz: czyliż mówię dla ciebie jednego!... Czemużby nieuwaga ta miała mnie wzruszać, skoro wiem, że nigdybyś nie zdołał mnie zrozumieć!... Ale uprzedzam cię: twoja nieroztropna chełpliwość odebrała ci prawo przerywania mi, a chcieć przywłaszczyć je sobie nanowo, byłoby tylko nowym dowodem płochości twego charakteru, która ostatecznie

mogłaby znużyć mą szlachetność. Zatem, mniej hałasu: — i przyjrzyjmy się nieco, kim jesteśmy obaj, ponieważ sam tego chciałeś.

Milczenie, przerywane tylko szumem ulewy i łoskotami grzmotów. Komandor zakłada ręce na krzyż, jak gdyby decydując się na niewzruszoność w roli ciekawego widza.

Ty, który tak chętnie postanawiasz „szaleństwo" innych, jakież dowody rozsądku dałeś nam sam tutaj! — Upominałeś mnie, aby „szukać fortuny," ofiarując siebie za *przykład do naśladowania:* w chwilę później wyznałeś mi, żeś zrujnowany!... Zamiast występować z tak wysokiego tonu, czemu nie zacząłeś raczej od leczenia własnego swego umysłu z mniemanej mądrości, która do takich zaledwie zdołała doprowadzić cię rezultatów?

Ale nie; ty uważasz się za umysł zahartowany „doświadczeniem," przenikliwy, potężny, nieprawdaż? i zdaje ci się, że możesz zwycięzko mierzyć się, za pomocą prostego sarkazmu, z przeolbrzymim wysiłkiem koncepcyj, które ci są niedostępne, nauk, które ci są wzbronione, roztrząsań, których pogodna i surowa piękność musi wydawać ci się jałową, a przez to jest ci wiekuiście nudną, to jest, na zawsze zakazaną.

A jakiemiż to pożytecznemi przedmiotami zastępujesz tak często w pogawędkach korzyść, kryjącą się, być może, w tych rzeczach? Poważnemi rozbiorami korzeni w jakimś sosie, albo hymnami uwielbienia na cześć smakowitości jakiegoś pasztetu! — Zaiste, gdyby nawet przedmiot moich badań ulubionych był równie błahy, jak sądzisz, nie widzę bynajmniej, co tak wielkiego zyskiwałem na zamianie, słuchając cię dziś wieczór.

Idźmy dalej. — Oczkując z nie wiem jakiemi widziadłami, przez szkiełka dobrej kolacyi, wyszydzałeś zdrowe złudzenie mej wiary w jedyną miłość małżeńską, — tak jest, jedyną, która zasługuje na nazwę miłości.

A cóżeś wynosił, cóżeś uwielbiał, okrywając wzgardą to młodzieńcze, dziewicze i tak godziwe marzenie, które przedewszystkiem miało prawo, jeśli nie do twego „szacunku“ — (wydajesz mi się niezdolnym uczuć go przed czemkolwiek w świecie) — to przynajmniej do twego milczenia? —

Ach! wstrętne rozkosze: upojenia nędznego cudzołóztwa. Tak, że pod świętym dachem mojej matki musiałem rumienić się przez ciebie, a w pewnej chwili uczułem coś w rodzaju wstydu przed czystem kwieciem za odrażający sposób, w jaki je wąchałeś.

Prawda, pobrzękiwałeś co chwila, z butą wyniosłą, tytułem szlachcica; powtarzałeś to słowo przy każdej sposobności, jak mieszczuch dorobkiewicz. — A jakimż dowodem szlachetnego pochodzenia lub pańskości wewnętrznej uświęciłeś przed chwilą tę głupią i zbyteczną tutaj zarozumiałość?... Byłeś zdumiony, widząc, że troszczę się o poczciwego sługę, który postarzał się w mym domu, i który idzie jeszcze w tej oto chwili, zgubiony wśród burzy i niebezpieczeństw nocy, pełniąc swą służbę.

W tej siedzibie nareszcie, której raczyłeś wydrwiwać jedynie żałobę, starożytność i chwałę, — podczas gdy heroizmowi tylko przodków, którzy uświęcili ją swą obecnością, zawdzięczasz tę trochę wartości, jaką mieć się zdajesz, — w tej siedzibie, powtarzam, proponowałeś mi, jeśli dobrze pamiętam, oddać, za twym przewodem, nieskazitelność mego umysłu i życia w jarzmo tysiąca śmiesznych intryg, iść ziewać przy twoim boku w różnych przedpokojach książęcych, i nazywałeś to „torowaniem sobie drogi.“ Dla ciebie jest to może prawdą. Idziesz za upodobaniem swojej natury. Ale twoja natura nie jest moją, oto wszystko. Mniejsza o to! — Moja droga? stulecia mi ją wyznaczyły. Jakże możesz przypuszczać, że uda ci się sprowadzić mnie z niej przez swoje rady,

skoro, według twych własnych wyznań, zero jest mniej więcej sumą okrągłą i wynikiem „praktycznym,“ do którego doprowadziły cię — pod względem położenia w państwie, wpływów, znaczenia rzeczywistego, sławy i fortuny — twe sprytne i sceptyczne maksymy, próżne jak łupiny orzecha, odrzucane przez małpy? Mniej zarozumiałości, i uważaj tutaj za waryata tylko siebie samego. — Jeżeli nie umiałeś godnie podołać... nawet swoim mizernym ambicyom, nie oskarżaj trafu: on nie winien twej doskonałej nieudolności... chyba, że chciałbyś mu zarzucić, jako zbrodnię, swe własne istnienie.

Komandor von Auersperg przygląda mu się z uśmiechem wzgardliwej obojętności. Obydwaj odcinają się migotliwie, jak w pośrodku kuźni olbrzymiej, na tle nieustannych odbić ogniska, pochodni i błyskawic.

— Nie potrzebujesz zwracać mi uwagi, wiem sam, że w oczach większości ludzi, nic nie zdołałoby usprawiedliwić nagłej i miażdżącej słów mych twardości, ze szczególnym uśmiechem: bo, ostatecznie, nieprawdaż? lubować się gościnną biesiadą i powiedzieć to z pięknym humorem swemu gospodarzowi, weselnie wznosząc puhar, — mówić z miłością o słodkich kobietach dalekich, — upajać się z rozkoszą zmysłową aromatycznem lasów kwieciem, — pozwolić zadrgać parę razy, w porywie słów przyjaznych, dumie krwi szlacheckiej, — wyznać — nie próbując nawet udawać skromności — swą zupełną obojętność względem pojęć urwistych i myśli rozległych, — przypomnieć z umiarkowaną uprzejmością, która zawsze ma źródło w sympatyi, o jakich przeznaczeniach zdaje się zapominać ten, którego młodość już zamyka się w samotnem wygnaniu... jest-że w tem choćby jedna zbrodnia obrazy gościnności? Czemuż więc te przedmioty gawędki, takie miłe i pociągające same przez się, stały się nagle między nami dwoma czemś tak... posępnem?

Upewniałeś mnie o „przyjaźni rodzinnej,“ o „szczerem porozumieniu,“ o „przywiązaniu, które przetrwa każdą próbę,“ o „pomocy serdecznej,“ o „znajomości sfer najwyższych, które oddawałeś na moje usługi,“ czy ja wiem! o upojeniach, o bajecznych miłostkach, o światłach olśniewających! — o kobietach uśmiechniętych przy wspaniałych biesiadach!... Wszystkie te słowa, takie zniewalające skutkiem bezpośrednich obrazów, jakie według mniemań ludzkich zawierają w sobie i magnetycznie wyziewają, — tak jest, to prawda! wszystkie te słowa wymawiałeś przedemną! — otulając je nadto w pożyczane wykwintności twego rodzaju, zdobyte przez ocieranie się o dworaków.

Tu hrabia von Auersperg zmuszony jest podnieść głos, aby górować nad przerażającym i wzrastającym nieustannie łoskotem nawałnicy.

Ale, pod osłoną tego, o czem mówi, każdy tłómaczy, wywołuje i wyraża zawsze tylko siebie samego.

Otóż, poczęte przez ciebie, nasycone twojem jestestwem, przejęte nawskroś twoim głosem, odbite przez twój umysł, wcielone w wewnętrznej istocie twej obecności, rzeczy, które były treścią tych słów, wydobywając się z twojej natury i wymówione przez ciebie, dochodziły do mnie jedynie jako tyleż wizerunków ciebie samego, wybitych w dźwiękach nijakich, o wibracyi zawsze obcej ich znaczeniu, i zaprzeczającej mu.

Bo rzeczy te, pozornie zawarte w słowach, które same przez się mogą mieć zawsze tylko znaczenie możliwościowe, — wydawały mi się, gdy ty je pomyślałeś, *mniemanej* jedynie tożsamości z owemi, tęż samą noszącemi nazwę, — których żyjące złudzenie słowne, oczarowałoby mnie może. Jakże, w istocie, było je *poznać!* Suche, wstrętne, niepokojące, lodowate, — wrogie, od tej chwili, samym nazwom swoim, które zdawały się przy-

własczać sobie na twoim języku, aby mnie w błąd wprowadzić, — niosły mi one w twych powiedzeniach, obnażonych z ich obrazów *rzeczywistych*, tylko woń serca wyschłego, tylko wrażenie trupiego bezwstydu duszy, tylko głuche ostrzeżenie o ciągłym, kryjącym się za wszystkiem zamiarze zdrady. I ponieważ potrójny ten pierwiastek stanowił, w moich oczach, atmosferę wnętrzną (w której ty wyłącznie mogłeś oddychać) twego mieszańczego, dwuznacznego, wystygłego i pełnego ciemnych zakrętów jestestwa, słowa twoje rozbrzmiewały tylko... jako niewyraźne dźwięki, tłómaczące jedynie wrodzony ci zanik tych samych rzeczy, których starałeś się narzucić mi pragnienie. Tak, że pod mamiącemi zasłonami twej gawędki, haftowanej w ten sposób w piękne słowa-widziadła, ty sam, wiedz to — posępny i mieniący się współbiesiadniku — i ty sam tylko — w całej objawiłeś mi się okazałości.

Kaspar von Auersperg, z brwiami, niewidzialnie prawie zmarszczonemi, lecz z twarzą bardzo bladą, patrzy nieustannie na Axela, nie rozkrzyżowując ani na chwilę rąk, w milczeniu.

Cóż mnie to wszakże mogło obchodzić! Był-żem twoim sędzią! Miał-żem obowiązek potępić cię czy rozgrzeszyć? — Zresztą, biła godzina, gdy szambelan musiał powracać do swego łańcucha, do swych... przyjemności, — i miał uwolnić moją samotność od swego nic nieznaczącego cienia. Obowiązkiem gościnności, przekazanym mi przez przodków, było zatem ukryć przed nim zupełnie poważną radość, jaką sprawiało mi jego pożegnanie. Oto dlaczego miałem odprowadzić cię do progu z całą przychylnością i z życzeniami szczęśliwej podróży. Byłeś dla mnie tylko przechodniem, podobnie jak wielu innych, i miałeś prawo do względów, należnych kształtowi ludzkiemu. — Zresztą, pozdrawia się przecie nawet umarłych!

Wtem, spostrzegłem się, że zużytkowałeś swe wolne tutaj chwile! — i że podchwyciłeś jedną z najważniejszych tajemnic mego domu.

Komandor zadrżał na te słowa; potem, jakby straciwszy poniekąd głowę, patrzy w osłupieniu na hrabiego von Auersperg, z ustami na wpół otwartemi.

KOMANDOR, do siebie, ze drżeniem.

Ach! więc to jest powód!... Jakto,—więc to prawda!

AXEL, głosem tak twardym i tak głuchym, że chwilami brzmi to jak pomruk lwa.

Zaiste, żarzące się poruszyłeś popioły. Nie powinieneś był ani wywiadywać się, ani słuchać! Twoje nieszczęście, że uległeś pokusom. Zasiedziałeś się jako szpieg, w tem zamczysku. — Ale jam smok, strzegący mej ciężkiej tajemnicy, i nie dopuszczę, abyś ją rozgłosił. — Wyczytałem, zresztą, w twych oczach zamiar zamordowania mnie dzisiejszej nocy, — (zapewne, aby tem swobodniej módz doprowadzić do zaniku całe to wielkie marzenie w jakiemś podejrzanem przedsięwzięciu) — i śmiałem się, pewny, że cię na tem przyłapię, w chwili twego „odjazdu.“ — Tak, po dwakroć, za stołem, rozróżniłem ten piękny zamiar w twym głosie świetnego złoczyńcy — i, pod maską roztargnienia, śledziłem wszystkie nikczemne twe myśli.

KOMANDOR, zaciskając pięść na głowni swej szpady i prawie do siebie samego.

Jakto! ten samochwał nosi się z zamiarem przywłaszczenia sobie w całości tej olśniewającej góry złota!... Trzeba zaniepokoić naprzód tych żołnierzy.

Opanowuje się, — potem, bez żadnego przejścia, głosem suchym i surowym.

Podobnie przesadne i napuszone obelgi nie znajdą we mnie nic, prócz obojętności. Trzymam w ręku szpadę — i, za chwilę... Naprzód, wszakże, muszę porozumować nieco z mniej wysokiego tonu, jeśli łaska,—ponieważ z wyrażeń twych spostrzegam, że stoisz poza obrębem prawa. Ukrywasz tutaj, w drodze dziedzicznej, depozyt znacznych wartości narodowych. Jesteś już zbrodniarzem względem państwa, żeś je na tak długo unieruchomił, a dziś pierwszy lepszy Niemiec może cię zawezwać do zwrócenia tych skarbów krajowi, hrabio von Auersperg! Zatrzymać u siebie znaczy w tym wypadku ukraść.

AXEL, po chwili niewyraźnego zdziwienia.

— Hę!... Zkądże się zjawił ten sędzia surowy? — Przy stole, wysławiał nam z całym ogniem owych tradycyjnych panów wielkich dróg, których z dumą nazywał „przodkami“ i których zbójeckie wyprawy wynosił pod niebiosa. — Teraz znowu przemawia jak sądownik, i nie szczędzi nam łekcyj prawości. Co może oznaczać ta szlachetna zmiana frontu?

KOMANDOR, z zimnym uśmiechem.

Słowa moje były próbą — uzasadnioną, jak się zdaje. Zatem, obmyślasz grabież tego depozytu, powierzonego twemu honorowi synowskiemu?

AXEL.

A przed chwilą, ten prawy doradca robił mi zarzut, że nie pokusiłem się nigdy o spełnienie tej grabieży. Ale to była także zapewne próba, nieprawdaż?

KOMANDOR.

Śmiej zatem dowieść, że cię spotwarzam i zwróć, powiadam, krajowi...

Zatrzymuje się.

AXEL, z uśmiechem.

Śmiej, ty sam, dokończyć!

KOMANDOR, przygryzając nieznacznie usta.

Och! masz tylko obowiązek *wyjawić* urzędownie...

AXEL, wzruszywszy ramionami.

Przed chwilą, obowiązkiem moim było *zwrócić* to, czego nietylko nie posiadam, lecz czego istnienie samo jest niepewne! Teraz, — niech po prostu *wyjawię* urzędownie, i już mi wszystko odpuszczono.

Hrabia von Auersperg, przed zmuszeniem przeciwnika, przez zniewagę bezpośrednią, do natychmiastowego skrzyżowania szpad, zwrócił się ku trzem weteranom, zapewne chcąc wydać jakiś rozkaz ostateczny.

Nagle, spojrzawszy na nich, zadrżał...

Niewątpliwie, po wybuchowych tonach oskarżenia, wnoszonego przez młodego ich pana, drgnęli oni świętem wzburzeniem i, w zamęcie umysłów swych, brali nawet niekiedy bronzowe dźwięki jego mowy za gromów rozhuki. — Ach, jakże nienawidzili tego niebezpiecznego przeciwnika o zimnych oczach i tonie siepacza! Ach! gdyby nawet walka za chwilę najszaleńszą być miała, pełni byli ślepej wiary w słuszność zwycięztwa! — Przy ostatnich jednakowoż słowach Komandora cień jakiś padł na szczere ich oblicza: niepokój, którego od lat nie śmieli wyznać przed sobą, zbudził się nagle w ich sumieniach, zawsze prawych i prostych.

W istocie, to, co było powiedziane przed chwilą, jako dostępniejsze dla prostoduszności i nieokrzesania ich sądów, wydaje im się powłoką, kryjącą w sobie bądź co bądź pewną ciężką prawdę, — o której, przez szacunek dla niechybnego i nietykalnego honoru ich pana, starali się nigdy nie myśleć. Spoglądają wzajem na siebie: oddaliby całą krew swoją, aby tylko raczył odpowiedzieć.

Oto dlaczego hrabia von Auersperg, podchwyciwszy te spojrzenia, zrozumiał tajemny zamiar swego przeciwnika, w którego wpatruje się teraz z przerażającą uporczywością.

I przez długą chwilę, ponieważ nawałnica oddaliła się znowu, w wysokiej sali nie słychać nic, prócz szumu nieustannej, potokami spadającej z nieba ulewy, która przy nagłych podmuchach wichury rozbryzguje się hałaśliwie o szyby witraży.

Po gwałtownej walce wewnętrznej:

— Niech i tak będzie!...

Wskazując szpadą starych żołnierzy:

— Dla nich to, dla nich — jedynie! rozumiesz mnie! zgadzam się odpowiadać na tym szacownym gruncie „legalnym,“ z którego, pragnąc zgorszyć i otumanić tych ludzi, zwracasz się do mnie z krętactwami kauzyperdy lotaryńskiego. — Nie obawiam się ani cienia tych nietoperzych lotów.

— Żołnierze, którzy jesteście naszymi świadkami, osadźcie pochodnie w żelaznych ramionach lamp ściennych, i bądźcie sędziami.

Zwraca się do jednego z siedzeń, siada w niem i wspiera się prawym łokciem na stole jeszcze oświeconym: nagą szpadę trzyma pochyło między skrzyżowanemi nogami, opierając lewą rękę na rękojeści.

Gotthold, Miklaus i Hartwig posłuchali rozkazu. — Stoją teraz nieruchomo, z prawicami na długich mieczach.

Jukko wspiera się o grzbiet siedzenia swego pana.

— Twierdzę, że co do faktów, które zganiono w mem postępowaniu, jestem W PRAWIE działać według mego uznania — i, jeżeli potrzeba, przyjmuję indagacyę.

KOMANDOR, niewzruszony, ze szpadą w ręku, stojąc w głębi sali.

Mówiłem, że byłoby najelementarniejszym obowiązkiem pańskim zawiadomić, niezwłocznie i przed jakimbądź pojedynkiem, Państwo, od którego zależysz i które,

osłaniając twe prawo dziedzictwa, pozwala ci mówić tutaj tonem pana. Jesteś jego poddanym i, jako taki, winieneś zwrócić się z uwiadomieniem bądź do jego skarbników najwyższych, bądź do jego książąt, bądź wreszcie do tych z jego przedstawicieli, którzy, uświęcając, w jego imieniu, Prawość wszystkich, stanowią je poniekąd i są jego mandataryuszami.

AXEL, odcinając zimno każde swe słowo.

Och! gdyby im podobni oszczędzili sobie niegdyś mordu, spełnionego na moim ojcu, aby, za pomocą podziemnych machinacyj, i na swą korzyść osobistą, odzyskać skarb powierzony urzędownie jego mieczowi, — i za który wiarołomstwo ich zaciekle czyniło odpowiedzialną jego pamięć wojskową, — olbrzymie bogactwa, o których pan mówisz, byłyby oddawna w rękach prawowitych. Ale zapomina się tutaj, że ja jeden mam prawo oskarżać! — Otóż, Państwo — jeżeli te osobistości były jego mandataryszami — odpowiada solidarnie za ten czyn. Skutkiem tego, Prawość jego (której oni byli przedstawicielami) leży martwa, krzywoprzysiężka i czcza! znicestwiona, jednem słowem! u mego progu... Byłoby więc dość słusznem, gdyby więzy mych obowiązków względem tworu wyobraźni jakim jest państwo, — pod wpływem wspomnianego potwarczego zabójstwa, którego nic nie zdoła mi wynagrodzić, — zelżały nieco. — Oto dla czego wdzięczność, którą chciałoby jeszcze wmówić we mnie lub narzucić mi plemię morderców, nie może, zdaje mi się, zniewolić mego sumienia do poświęcenia... choćby jednej wolnej chwili... na układanie „zawiadomień,“ które, ku radości sławetnej bandy, mogłyby naprawić niezgrabność popełnionej zbrodni.

KOMANDOR, spokojnie.

Jakto! nie była-ż by to, przeciwnie, wyborna sposobność, aby pociągnąć do odpowiedzialności państwo samo, wskazując mu łudzącą pozorami prawdy i sprawiedliwości ewentualność, która sama na myśl się nasuwa? Z jakiego powodu pozwalasz wyśliznąć się tej sposobności?

AXEL, zawsze tonem urywanym i lodowatym.

Ponieważ Państwo, — które dało mi tutaj zdumiewające przykłady, — pozwoliło sobie, zawsze na moją szkodę, zamknąć ostatecznie tę sprawę przez samowolny dekret, znoszący bezapelacyjnie nawet moje prawa oskarżyciela, — nie mam odtąd, pod żadnym względem, obowiązku zawiadamiać go o mniej lub więcej chimerycznych hypotezach. podobnie jak ono nie ma prawa mnie słuchać, samo odebrawszy sobie możność dawania posłuchu.

KOMANDOR.

Odziedziczyłeś względem wszystkich obowiązek niespełniony!

AXEL.

Dajże pan spokój! Nieskazitelność wiedzie cię na manowce! Od żołnierza, który padł za swój obowiązek, żadne Państwo, — a to moje, jak mi się zdaje, mniej niż jakiebądź inne! — nie ma nic więcej do żądania. Spełnione czy nie, zadanie jest skończone: a dziecko żołnierza nie odziedzicza nigdy spraw służby nieboszczyka.

KOMANDOR, między dwoma ciężkiemi rozhukami grzmotów.

Są wypadki wyjątkowe, nieprzewidziane, gdzie każdego szlachcica samo jego szlachectwo zmusza do poddania się pod sąd króla, którego wyroki, same jedne, nie znają apelacyi.

AXEL, głosem powolnym, surowym i gorzkim.

Ludzie zapominają, że król już rozstrzygnął. Kim-że jestem według jego własnego powiedzenia? „Potomkiem człowieka, którego *dwuznaczna i niewyraźna niezdolność* zgubiła bezpowrotnie nieobliczone oszczędności całych Niemiec.“ Werdykt, wydany na podstawie pozorów i bez żadnego śledztwa — (z ważnych zresztą powodów!) — przeciwko nazwisku, streszczającemu w sobie siedm wieków wielkich czynów — Przypuszczając nawet, że ta etykieta, wypisana przez króla na takiem nazwisku, nie uwalnia mnie od wszelkiej uległości względem lekkomyślnego majestatu człowieka, który nie wahał się rzucić mi taką zniewagę, twierdzę, że nie pozwala mi ona, z całą godnością, oznajmić mu tego, co musiałoby zawsze być tylko usłużnem i poufnem *zwierzeniem się*. Bo to ostatnie przybrałoby dzisiaj domyślny, acz nie wyrażony, charakter formalnego zaprzeczenia względem wyroku, którym nierozważnie śmiał przyćmić dostojną pamięć mego ojca. A *na czem-że* opierało by się to zaprzeczenie? Na przypuszczeniach równie spornej wiarogodności, jak domniemania mego starego intendenta, pana Zacharyasza?... Ach! twierdzę, że najdrażliwsza prawość nie może zmuszać mnie do narażenia się na podobnie jałową śmieszność. Mam co innego do roboty.

KOMANDOR, powolnie.

A zatem, zapisuję to sobie w pamięci, mogąc objaśnić swego króla słowem umiarkowanem i poważnem—

które, być może, rozpędziłoby mroki, otaczające w historyi imię twojego ojca, — wzbraniasz się stale i uparcie.

AXEL.

Zupełnie obce to sprawie pozory słuszności, których czczość wykaże prosta uwaga przezorności najelementarniejszej!... Oto bowiem nie w żadnych snach, lecz w rzeczywistości, alternatywa, jaka wynika ze spełnienia mego obowiązku synowskiego.

Przypuśćmy, że, mimo poszukiwań—podjętych z wielkim kosztem na wiarę czegoś w rodzaju wątpliwej legendy, — zagadkowe bogactwa te nie zostaną odnalezione. Jakież wtedy na imię ojcowskie posypałyby się podrażnione sarkazmy, jakie gadaniny zawiedzionych chciwości, jakie coraz bardziej potwarcze aluzye, zważywszy zwłaszcza nowe światło, w jakiem wystąpiłaby śmierć jego. Błędność przekonania powszechnego musiałaby tylko wzmódz się jeszcze.

Przypuśćmy teraz naodwrót, że bogactwa zostały nagle odzyskane. Odkrycie ich zadrasnęłoby niewątpliwie bezpieczeństwo, zaufanie i honor publiczny, w ich najbardziej „urzędowych“ przedstawicielach, i pociągnęło za sobą nieuniknione niesławy i „najprzykrzejsze“ w świecie zgorszenie. Następstwa są jasne. Opierając się na świadectwie całej Przeszłości, Racya Stanu, idąca przed każdą słusznością w sprawach tego rodzaju, a przemilczana przez pana tak dyskretnie, podyktowałaby, nieznacznie, Dziejom i przekazała przez nie potomności, co następuje:

Niewiadomo jeszcze, w jakim celu generał von Auersperg, na kilka dni przed wpadnięciem w ręce nieprzyjaciela, postanowił na swoją odpowiedzialność — otaczając się ostrożnościami, które zdumiewają i uniemożliwiają wszelkie wyjaśnienia—zagrzebać w najtajniejszym zakącie jednej ze swych

najodleglejszych majętności olbrzymie bogactwa, o których mowa. Historya nic orzec nie może co do przyczyn, które go skłoniły do tego utajenia grosza całych Niemiec. Syn jego wszelako, Axel von Auersperg. przez szlachetną swą restytucyę *zatarł to, co w lekkomyślnym postępku ojcowskim było niewłaściwego i nawet dziwnego, — i co na chwilę przyćmiło herb, dotąd bez skazy, tego rodu.*

Tak, taki byłby wspaniały przyrost sławy, którym odnowiłbym pamięć bohaterskiego mego ojca. Otóż, moja miłość synowska, przenikliwsza od pańskich rad, ostrzega mnie, że, w tych okolicznościach, nie byłoby z korzyścią nawet dla mojej rodziny odgrzebywać tę sprawę.

KOMANDOR.

I przekonywując siebie samego temi paradoksalnemi subtelnościami godzisz się, przez jakieś szczególne zaniedbanie, na fakt dokonany omyłki, ciążącej na tych popiołach. Podczas gdy, jak powiadam, proste oświadczenie na radzie ministrów mogłoby, wbrew twym bezpodstawnym przewidywaniom przywrócić nazwisku twemu, które jest również mojem, cały dawny honor!

AXEL.

Och! *moi* nie potrzebowali nigdy nikogo do stanowienia o naszym honorze, zważywszy, że ojczyzna zbudowana w ciągu wieków przez czyny nasze i równych nam magnatów wojskowych, zawdzięcza nam najczystszą cząstkę swojego... — Nikt nie ma prawa sprawdzać honoru tych, których czynnością naturalną jest nadawanie rzeczywistego znaczenia honorowi innych ludzi, i nie troszczymy się też bynajmniej o szacunek bez wartości owych przechodniów (choćby nawet najliczniejszych), którzy pozwolili sobie choć raz go roztrząsać. Nie biorę

przeto pod uwagę ostatnich słów pańskich. Jestem tutaj w swoim domu dziedzicznym, przy ognisku wygnańczem, w ziemi wygnania, bo ojczyzna jest mi już tylko miejscem pobytu. Nie troszczę się o to, co może być zagrzebane w okolicach tej siedziby, bo ojciec mój nie zostawił mi żadnej wskazówki pod tym względem. Żadne ustawodawstwo nie nakazuje mi zajmować się tem, i nikt nie może zaprzeczyć mi PRAWA do odrzucania trosk tego rodzaju.

KOMANDOR.

Ojciec twój nie zobowiązał cię przecież jednocześnie, abyś zagrabiał w ten sposób dobrobyt wielu milionów ludzi niewinnych. W imię uroszczeń, które żywisz przeciwko niektórym, zasłaniasz się opuszczeniem w Prawodawstwie, [aby zwalić na wszystkich ciężar urazy równie przesadnej, jak niesprawiedliwej.

AXEL, z uśmiechem.

Zaiste, najmniej sprytny zawiadowca spraw pieniężnych jednego z najdrobniejszych Państewek Zachodnich, ograniczyłby się w tej chwili do przyjrzenia ci się w milczeniu: bo osłupieć można, słysząc, jak człowiek, żyjący przy dworze, daje dowód równie głębokiej ignorancyi. Jeżeli wiadomości twoje o naturze złota sprowadzają się do umiejętności wydawania go, są one zbyt niedostateczne, aby mi wolno było dać ci odpowiedź.

KOMANDOR, niewzruszony, nie rozumiejąc słów przeciwnika.

Wykręt, wypowiedziany z powagą, nie może dotknąć tego, który broni dobra ogółu.

AXEL.

Dobro ogółu! Cel szlachetny, którym przy okrzykach wieków książęcy zdziercy uświęcali we wszystkich

krajach łaskawe swe łupieztwa, i który pozwala dziś jeszcze wydzierać tłumom błogosławieństwa, ogołacając je spokojnie ze wszystkiego w imię ich dobra właśnie. Nie, nie mam bynajmniej zamiaru wzywać tu na rabunek zwykłych rycerzy „dobra ogółu."

KOMANDOR, zimno.

A więc! Jeżeli dla tych zwodniczych powodów, nie masz ochoty sam zająć się zawiadomieniem państw zainteresowanych, pozwól innym wziąć na siebie odpowiedzialność pod tym względem, — i wkrótce ludzie przyjdą uwolnić cię od tego złota, z którem nie wiesz co robić i które jest ci zupełnie obcem.

AXEL, spokojnie i wyniośle.

Dlaczegóż, mogąc się oprzeć, miałbym pozwalać, aby tysiąc lub dwa tysiące bydląt ludzkich na twoim żołdzie, zjawiwszy się tutaj nagle, bezcześciły przez czas dłuższy, bądź siłą, bądź prostackim śmiechem, bądź samą obecnością swoją, jedyne miejsce wygnania, w którem pragnę zagrzebać godność mego życia? Wiem. Ludziom litery prawa może się to wydawać zupełnie prostem. W imię tego „dobra ogólnego," którego wstrętne kłamstwo przed chwilą nam się ukazało, — pod pozorem wreszcie potrzeby odzyskania tego, w wyobraźni snadź tylko istniejącego złota, — gromadom odkopywaczy ma być wolno przyjść zbezkształcać tę ziemię, która jest ceną krwi całego, streszczającego się dziś we mnie rodu, — plądrować glebę, którą moi synowsko deptali od wieków. Cóż za wagę mogą mieć me sentymentalne przeciwdowody! Danoby mi odszkodowanie, nieprawdaż, po zrąbaniu lub wyrwaniu z korzeniem, za te tysiące starych drzew, które są dla mnie dawnymi przyjaciółmi? — Nie. Milczenie wielkiego Lasu — tej marchii, której jestem margrabią — nie

jest na sprzedaż. Droższe mi ono nad wszystkie słowa: jest to mienie święte, z którego nie pozwolę się wywłaszczyć i którego wszystko złoto waszych banków nie mogłoby mi wynagrodzić. I gdyby nawet wynikiem tego miał być mniemany wzrost „dobrobytu“ wśród miliona obojętnych jednostek, twierdzę, że, na tej samej wadze, garstka drobnych kamyków nadaremnie przeważa jeden drogi kamień, — i że dobrobyt ten, z punktu widzenia SŁUSZNOŚCI rzeczywistej, nie zrównoważy spadłej na mnie krzywdy.

KOMANDOR.

Kogóż przekonasz, że nie warto poszukiwać takich bogactw, choćby za cenę wszystkich milczeń?

AXEL, wzgardliwie.

Siebie samego: to wystarczy. Sądzę nawet, że dowiodłem oddawna, iż zadanie to nie przedstawia dla mnie żadnych trudności. — Zkądinąd, zupełnie zrozumiałem jest, że pan przekładasz Złoto (choćby ono było złudą wyobraźni) nad wszystkie milczenia, — ponieważ Milczenie nie przedstawia dla ciebie nic, prócz ziewania. W istocie, słowo to, czcze od chwili, gdy przywłaszczasz sobie prawo wymawiania go, nie ma (acz złożone z tych samych zgłosek) cienia pokrewieństwa ze słowem, które wymówiłem przed chwilą. Nadaremnie wysilasz się, by zmieszać oba i sprowadzić do tej samej wartości... z uśmiechem: jest to postępowanie fałszerza lub papugi.

KOMANDOR, niewzruszony.

Jednem słowem, gdyby, dzięki niespodzianemu odnalezieniu jakiejś wskazówki ojcowskiej, udało ci się odkryć te wielkie bogactwa, jakiż byłby, według ciebie, twój obowiązek?

AXEL, spokojnie.

Zagrzebać je, o ilebym mógł, jeszcze głębiej pod ziemią, dla honoru ubogich.

KOMANDOR, po chwili milczenia.

Figiel dziecinny, którego trwanie skończyłoby się z nadejściem wieku zastanowienia.

AXEL, poważnie.

Powątpiewam, czy wiek ten nadejdzie kiedy dla pana.

KOMANDOR.

Dobrze. Uważasz, zda się, że wolno ci przeistaczać świadomie postępowanie tego, który — składając tutaj, aby lepiej zapewnić im czasowe bezpieczeństwo, te bogactwa narodowe — miał zamiar zwrócić je w całości umocowanym przedstawicielom Niemiec, gdy chwila nadejdzie!

AXEL.

A tymczasem, dzięki umocowanym przedstawicielom Niemiec, nadeszła jego chwila. Gdziekolwiek, zatem, byłyby teraz owe skarby, tutaj czy gdzieindziej, co mnie one mogą obchodzić! Niech śpią pod ziemią. Podzielam ze wszystkiemi przynajmniej jedno prawo: niewiedzenia nic o nich. Dzięki morderczej dwulicowości waszych mandataryuszów, niewiadomo, co się stało z waszem Złotem. Z drugiej strony, Niemcy orzekły przedawnienie mych słusznych praw do śledztwa w sprawie wypadku, który tłómaczy i uzasadnia owo zniknięcie. Zresztą, czas przytłoczył już brzemieniem swem stare te dzieje... — i niechaj tak pozostanie.

KOMANDOR, niewzruszouy.

Jednem słowem, znasz pochodzenie bogactw zagrzebanych — odtąd już bez żadnej, według mnie, wątpliwości — pod twoją ziemią! Unicestwiać je w ten sposób, jest to jeszcze rozrządzać się niemi; otóż, na jakież prawo możesz powołać się co do nich?

AXEL.

Na prawo zachowania ich w zapomnieniu.

KOMANDOR.

Z jakiego tytułu?

AXEL, powstając, chmurnie i spokojnie.

Z tytułu krwi, która je zbroczyła — i zapłaciła.

Po dość długiej chwili:

Dodam jeszcze jedną rzecz, o którą nie pytasz mnie. Jest w Niemczech tylu nieszczęśliwych, których wygłodniała nędza — wasze dzieło, panowie, — napawa wstrętem tych, którzy na was patrzą, — że byłoby, do pewnego stopnia, nikczemnością odbierać sobie doszczętnie prawo niesienia im pomocy, — w razie, gdyby naprzykład Złoto, o którem mówimy, samo wpadło w ręce, BEZWZGLĘDNIE jako coś *niespodzianie znalezionego.*

W istocie, po wykreśleniu go ze wszystkich pamięci, po przedawnieniu na mocy wyroków urzędowych, po zrzeczeniu się wszelkich roszczeń ze strony tytularnie wynagrodzonych, sto lat mogłoby, zaiste, przejść jeszcze nad niem, nie wyzwalając go ani o źdźbło więcej. I co z niego pozostało? legenda. Jeżeli istnieje ono jeszcze, stemple na monetach czynią z niego coś w rodzaju uherbowanej kopalni, — leżącej, niewiadomo gdzie, pod ziemią

tego Lasu. To cudo bez właściciela jest zatem na łasce wybrańca losów, którego poprowadzi ku niemu wyrok Konieczności, czuwającej nad powodzeniem lub niedolą człowieka. Tak, jego *prawowitym* dziedzicem będzie pierwszy lepszy wędrowiec — który — gdy grunt zarwie mu się pod nogą — zapuści się chwiejnie i naoślep w podziemne przejścia, kędy skrzą się te martwe bogactwa. Dlaczego? Ponieważ otrzyma władzę nad niemi tylko od Trafu, który jest jedynym dzisiaj ich *właścicielem*.

Owóż — żadne pismo nie wydało mi tajemnicy głuchego zakąta, sklepionego w mrokach podziemnych, kędy drzemie państwowy skarb niemiecki. Ojciec mój nie ukazał mi się, aby mi ją wyjawić. Gdyby, zatem, bogactwa te same wpadły mi w ręce, niespodzianie, bez jakiegobądź występnego poszukiwania z mej strony, — to jest, gdybym i ja także pozyskał względem nich przywilej zwykłego przechodnia, — w imię jakich-ż przesadnych wyrzutów sumienia, w imię jakich kłamliwych skrupułów miałbym odrzucać królewski obowiązek bronienia ich wartości od nizkich użytków, w których tylu żyjących nie omieszkałoby po waryacku je zbezcześcić? Dlaczego miałbym wzgardliwie zwracać Przeznaczeniu — od którego przecież przyjąłem życie! — ten ciężki, nowy dar, którego szafarzem czyniłoby mnie ono poniekąd? Powtarzam raz jeszcze: nie przedsiębiorąc nic dla zdobycia tego dziedzictwa, z wiedzą, że jest ono tutaj, — czułbym się jednak wybranym do zawładnięcia niem, jeśliby samo przyszło do mnie z głębin Nieznanego. Choćby mi się wówczas ukazało jak jakiś ogrom niepojęty, w promienistej swej grozie, twierdzę, że byłoby mi ono... czemś w rodzaju kieski zgubionej, którą noga pielgrzyma potrąca wieczorem na drodze, — podczas gdy oczy jego tkwią tylko w gwiazdach!

KOMANDOR.

Co do mnie, myślę poprostu, co następuje. To, co jest pod ziemią, należy do państwa. Gdyby zatem, zwietrzywszy tę wielką tajemnicę, posłano tutaj kilka kompanii podkopników i pionierów wojskowych, musiałbyś pozwolić Państwu odebrać swą własność, bo te oddziałki byłyby z pewnością mało wrażliwe na butę słów twoich.

MIKLAUS, HARTWIG i GOTTHOLD, z krótkim, pewnym siebie i głośnym śmiechem.

Oh, ho, ho!

JUKKO, wzruszając lekko ramionami.

Szkoda doprawdy, że człowiek niema ochoty śmiać się.

AXEL, do Komandora.

Złudzenie! — Ani jeden cios motyki nie padłby tutaj, ani jeden z tych nieszczęsnych nie wyszedłby z okolic zamku. I właśnie... tylko aby uniknąć zaraźliwych wyziewów, które mogłyby wywiązać się z daremnej ich rzezi, wolę zabić ciebie jednego.

KOMANDOR.

Hę? Sen-że to? Zatem ważyłbyś się na bunt przeciwko Prawu? przeciwko Państwu? przeciwko królowi?

AXEL, ze wzgardliwą powagą.

Ja jeden wiem, jakie olbrzymie niebezpieczeństwa, jakie zasadzki śmiertelne ukrywa i może nagle odsłonić ten Las wojskowy, gdzie od trzech wieków nasz ród rządzi! Czterystu lub pięciuset żołnierzy, wysłanych dla przekopania wzdłuż i wszerz tej ziemi, nie zdołałoby zrobić dwudziestu mil drogami leśnemi w kierunku mego zamku, a już oto, skutkiem prostego, przypadkowego nie-

szczęścia, grunt, zajęty przez nich chwilowo, zawarłby się nad niespodzianem ich schłonięciem, czyniąc ich podobnymi do Złota, którego szli szukać. — Wynik: gdy takie nieobliczalne wypadki tamują w samych zaczątkach przedsięwzięcie, samo przez się niepewne i wątpliwe, ludzie nie bardzo kwapią się do nowych prób, tak niebezpieczne przynoszących korzyści; czas mija wśród wahań, śledztw daremnych, wyjaśnień nic nie wyjaśniających: wreszcie przychodzi stroskane zapomnienie... — Krótko mówiąc, rzeczy zostałyby w pierwotnym stanie, zgodnie z ukrytą mą wolą.

KOMANDOR.

Przypuszczam, że nie jest ci obcem, co mogą w jakiembądź miejscu, kilka setek lub w razie potrzeby tysiąc ludzi doskonale wyćwiczonych i umiejętnie kierowanych; — czyżby jednak sumienie twe nie cofnęło się, mimo wszystko, przed zbrodniczem tem szaleństwem?

AXEL, z uśmiechem.

Tutaj już nie potrzebuję nikomu zdawać sprawy. Pod tym względem nie mogę uznać żadnego sędziego. Wszelkie zgody, nagany, osłupienia z jednakową spotykałyby się u mnie bezwrażliwością; w mojem „sumieniu“ ja jeden mam prawo roztrząsać i rozstrzygać: postanowiłem — i wszystko skończone.

KOMANDOR.

Te bezwstydne przekonania mogą być tylko nadludzkiemi, mój panie, a to jeszcze bardzo niewiele.

AXEL, powstając.

Wolno panu wysilać się nadaremnie, by w to uwierzyć. — Ale ponieważ wartość pańskich dowodów została



sprowadzona do nicości, możemy zamknąć rozprawy. Nie na to trzymamy szpady w ręku, by spierać się bez końca.

Widząc, że Komandor von Auersperg uśmiecha się na to słowo, ciągnie dalej z gwałtownością, wracając do poprzedniego rozjątrzenia.

Ach! widoczna, że polegając na zaprzysiężonem mem słowie, zawierzasz ślepo swej umiejętności władania tą bronią. A jednak przysięga moja winna ci była wskazać już, jaką wiarę przeciwną muszę sam żywić, skoro zgadzam się na uświęcenie, tajemniczą krwią walki otwartej, mych praw do milczenia i zapomnienia, — podczas gdy byłoby mi wolno unicestwić cię bez niebezpieczeństwa. — Otóż, przepowiadam ci: nie ujdziesz mej szpady. Jest to, jak gdyby grom cię miał razić. Usunę cię bez gniewu, jak się usuwa kamień z drogi, — i śmierć twa nie przerwie w mym umyśle biegu ani jednej z myśli wyższych od wszystkiego, co nas w tej chwili zajmuje, — a tobie nieznanych bezwzględnie. Jesteś nicością i zaprzeczam twojemu istnieniu, nie lękając się ani jednego wyrzutu sumienia. Nie mam do ciebie żadnej urazy, nie widzę cię. Dla mnie jesteś bez życia: jesteś wiekuistą ćmą, która własnowolnie rzuciła się, by zginąć, w światło wiekuiste. — A teraz dość, jesteś uprzedzony. Skończyłem.

KOMANDOR, do siebie.

Och! muszę jeszcze dowiedzieć się czegoś, zanim go zabiję! — Głośno, zimno: — Zabawiłeś mnie, sam się zmęczyłeś; oto najwyraźniejszy wynik twej przemowy. Streśćmy się. Chcesz ograbić różne Państwa niemieckie z sum, stanowczo nieobliczalnych, — a ja przeszkadzam ci. Doskonale. W takich okolicznościach, wybaczysz hrabio... upuszcza wzgardliwie szpadę, nie zwykłem bić się. Nie mogę robić tego zaszczytu opryszkom, — chociażby pochodzącym z mojego rodu.

AXEL, głośno, z wielkim spokojem i powagą.

Gdyby ojciec mój, zbyt chętny do niesienia pomocy, nie był zaszczycił cię niegdyś, w chwili znużenia, pozwalając ci dotknąć swej ręki, — i gdyby (przez roztargnioną pobłażliwość, która osłania cię od dwóch godzin) nie był spokrewnił cię z nami, — byłbym dawno już wymierzył sprawiedliwość tej złej wierze, tej junakieryi, temu bezwstydowi czczemu: — ale teraz już, skończmy nareszcie.

Spokojnie, i jak gdyby oznajmiając rzecz bardzo prostą:

Burg mój był kluczem wojskowym jednej z marchij niemieckich. Reskrypt cesarski nadaje udzielnemu panu tej okolicy prawo wymiaru sprawiedliwości za zbrodnie i występki nawet w czasie pokoju. Do Jukka, wskazując mu jeden z karabinów: — A więc, w imię tego mandatu dziedzicznego, bierz tę broń, mierz w samo serce tego człowieka i — jeżeli w tej chwili nie podniesie szpady — pal!

Jukko rzuca się ku ścianie, chwyta broń, odciąga kurek, wraca, staje o trzy kroki od Komandora i nagle bierze go na cel.

KOMANDOR, zdumiony i blednąc nieco.

Tam, w Prusach, wiedzą, że jestem tutaj. Będziesz musiał zatem zdać sprawę ze swoich słów i czynów. Aby osłonić proste zabójstwo, wyprowadzasz świadomie fałszywe wnioski z prawa martwego, z przywileju feudalnego, który, wyszedłszy z użycia, przestał istnieć. Udajesz, że nie wiesz, w jakim wieku żyjemy.

AXEL, obojętnie.

Och! datuj się pan od jutra, jeżeli ci się spodoba. Ja — jestem.

KOMANDOR, z kurczem zimnego gniewu.

Dość tego nareszcie! To pan mówisz ciągle tylko o *wczoraj*, nie bacząc zupełnie na *jutro*. Mnie wystarcza,

żem człowiek obdarzony jakim takim rozumem, że datuję się tylko z wieku, w którym istnieję, — że jestem tylko człowiekiem *dnia dzisiejszego.*

AXEL.

W takim razie, strzeż się: ten ma się ku końcowi.

KOMANDOR, wstrzymując się jeszcze, ale cały drżący, prawie do siebie.

I powiedzieć, że ja sam, własną ręką, muszę ułożyć na wieczny spoczynek tego patetycznego zapaleńca, podczas gdy wystarczyłoby donieść słowa jego królowi, aby porządna garstka policyantów, za prostem zezwoleniem ekstradycyjnem, zjawiła się tu bez zwłoki, skrępowała jegomościa w jego własnej ruderze i uwiozła, z kagańcem na pysku, do jednej z fortec!

JUKKO, półgłosem.

Znak, Wasza Miłość, — i dam ognia.

KOMANDOR, junacko skrzyżowując ręce.

A więc dobrze, każ mnie pan zamordować! — albo, dotrzymując danego słowa, odpowiedz wyraźnie na ostatnie pytanie: *Gdzie jestem, i kto pan jesteś?* — Tylko, tym razem, proszę być stanowczym, ścisłym i jasnym. W naszym świecie, nie cenimy wcale gromkich frazesowiczów.

AXEL, z ruchem zniecierpliwienia.

My znowu tutaj nie lubimy bajarzy o niczem. — Ah! więc odważasz się posuwać wyzywające zuchwalstwo aż do żądania, abym dotrzymał, względem twej ciekawości, *więcej* nad dane ci słowo! Chmurnie: Dobrze, — zostaniesz zaspokojony. Do Jukka: Spuść broń, na chwilę. Potrzykroć szambelan ten groził nam swoimi królami, swoimi żandar-

mami i podobnymi sobie, — bo puszenie się tego pawia zdaje się mieć na celu popisywanie się jeno kluczami wyhaftowanemi na grzbiecie jego pokojowego uniformu: — zaiste, to zasługuje nareszcie, aby mu sprawić porządny zawrót głowy! Niechaj się zatem dowie, *gdzie jest i kto ja jestem:* — przysięgam, że nie będzie miał czasu zapomnieć o tem.

Ujmuje swoją szpadę w połowie klingi, zbliża się do Komandora, który patrzy nań ze skrzyżowanemi rękoma, — i rękojeścią dotyka jego ramienia.

— Jesteś w tym jedynym Lesie, którego mrok sto mil okrywa. Zaludnia go dwadzieścia tysięcy leśników z groźnemi karabinami, są to dawni żołnierze, zrodzeni, co do jednego, z krwi dziedzicznie mi wiernej. — W pośrodku, czuwam sam, w odwiecznem domostwie kamiennem, które odparło już trzy oblężenia.

Od brzegu moich rowów obronnych aż do najdalszych okrajów Lasu, wioski i folwarki, za pomocą umownych znaków, znoszą się z sobą ustawicznie; pięć dni najwyżej wystarcza w zupełności, aby wszyscy bez wyjątku wiedzieli o rozkazie wydanym z murów zamkowych, — o ostrzeżeniu raczej! bo, o ile się jest kochanym, ostrzeżenie więcej warto od rozkazu, a w tych lasach serca zdziczały do tego stopnia, że ty sam nie znalazłbyś pośród ludzi tych zdrajcy. Cóżby to znaczyło, zresztą? O wszystkich nieoczekiwanych gościach, kierujących się *w moją stronę,* czy to jest jedna czy kilka osób, odbieram natychmiastowe i najszczegółowsze zawiadomienie:—odpowiednio do liczby podróżników, przedsiębiorą się wszędzie potrzebne środki ostrożności, jeszcze przed ich nadejściem. Wstąpiwszy raz w szerzące się bezkreśnie obszary tego Lasu, jakże żyć, kierować się, znaleźć na noc schronisko, posuwać się naprzód, jednem słowem, — i nie być spo-

strzeżonym? Bez mej bezpośredniej pomocy, — czyż dotarłbyś aż do mnie? Nie. Na wiele dni przed twem przybyciem, wiatr oznajmił mi, w istocie, że dwóch jeźdźców... Przerywa nagle i spogląda nań swemi jasnemi oczyma: i nawet jedna — kobieta...

Chwila milczenia: — potem, do siebie — jak gdyby ostatecznie rozwiązawszy jakąś wątpliwość, na widok uważnej niewzruszoności Komandora:

— (Nie znają się).

Wracając, zimno, do przerwanego zdania:

...wędrowali ku mej siedzibie. Tropiono ich, śledzono, podsłuchiwano. — Posłałem wtedy przewodników, którzy w niecały tydzień doprowadzili cię do moich progów. — Mówiłeś przed chwilą o wysłaniu „oddziału policyantów," dla ujęcia mnie w mojem własnem gnieździe?... Cóżby z nich wkrótce zostało, za moją wolą, śród nieprzebytych gąszczów leśnych, — gdybym, przeciwnie, nie kazał przeprowadzić ich z kolei, aż do mojego mostu zwodzonego — który opadłby przed nimi, na imię króla? — Weszliby — przybierając, naturalnie, ton rozkazujący — na wojskowy podwórzec zamku... — Wówczas, nie ruszając nawet z miejsca żadnego z mych służebników...

Idzie do okna, otwiera je — i nagłym gwizdem swej świstawki polowej rozdziera szumy ulewy i mroku.

Przerażające ujadania, pomieszane ze szczękiem łańcuchów, rozlegają się w dole; słychać gwałtowne uderzenia ciężkich mas, rzucających się na potężne podwoje.

...tak, mam tam, czy słyszysz? około trzydziestu dogów ulmskich, z wielkiej rasy płowej, używanej na wojnie. Ta rozjadła sfora, słuchająca mnie jednego, potrzebna mi jest podczas łowów nocnych: przeszukuje ona nieustannie wszystko dokoła mnie śród Lasu. W kilka chwil pozostawiłaby ona z twych ludzi na zarosłym trawą bruku tylko kości skrwawione. — Niewątpliwie, opłakiwałbym,

głośno, ten wypadek, — którego nagłość tak nieprzewidziana... nie pozwoliła mi ani zapobiedz mu, — ani nawet dowiedzieć się o *celu* tego poselstwa! — I dałbym urzędowe napomnienie mym psom, w obecności wszystkich mieszkańców zamku, bo nie chcę bynajmniej uchodzić za buntownika!... Myślę wszakże, iż, po dwóch lub trzech takich zawodach, zaprzestanoby nasyłać mi tego rodzaju gości. — Zaniechaj tedy dziecinnych pogróżek, które wywołują tylko uśmiech na twarzach tych starych żołnierzy i tego dziecka.

. . . .

Przypuśćmy teraz — (bo trzeba wszystko przewidywać) — że, za podszeptem takich jak ty doradców, władca jednej z „ojczyzn“ niemieckich, rozgniewany powtarzającemi się niepowodzeniami, tak kosztownemi i groźnemi przytem, — nie mogąc znieść tego ciągłego upokarzania swych wyraźnych rozkazów, — powziąwszy nadto, być może, pewne podejrzenia co do „oburzających“ tych faktów, — i zacząwszy niedowierzać w sposób bardziej świadomy nietylko mnie, lecz i memu milczącemu otoczeniu, — przypuśćmy, powiadam, — bo nie podobna przewidzieć do jakich postanowień „oburzenie“ tego lub owego książęcia może go doprowadzić! — że ten władca prawowity wysłałby nagle poważniejsze nieco siły, — ośm do dziesięciu tysięcy ludzi, dajmy na to, — z poleceniem, aby zająć siłą zbrojną Czarny Las, zrównać z ziemią mury mego zamku i przyprowadzić mnie przed jego oblicze, żywego, czy martwego! To wszystko, jedynie, aby „Siła pozostała przy literze Ustawodawstwa.“

W imię Prawa ludzkiego, oświadczam, że zwalczać samotnego wygnańca, którego winą jest zaledwie słuszna samoobrona, milczenie i swoboda, ale który w każdym razie postanowił bronić swego odosobnienia i raczej wy-

lecieć w powietrze z całym swym zamkiem, aniżeli się poddać, — tak, twierdzę, że zwalczać tego człowieka byłoby czynem godnym urągowiska dziejów i wzgardy narodów, czynem nie przysparzającym bynajmniej honoru krajowi.

Ale mniejsza o to!... Dzięki tym z moich, którzy — w ciągu długich lat, z tą samą dziedziczną cierpliwością, jakiej ja daję dowód w tej chwili, — uzbroili mój zamek, jestem gotów stawić czoło tym wojowniczym kaprysom. Pochodząc z rodu żołnierzy i znając ściśle przestrzeń, jaką oddział z dziesięciu tysięcy ludzi, podzielony na kolumny szturmujące, oraz pierwsze i drugie rezerwy, może zajmować *tutaj*, mam oddawna przygotowany cały plan postępowania.

Hrabia Axel von Auersperg powraca i siada, — w tejże samej co poprzednio postawie, wsparty łokciem na pełnym jeszcze świateł stole. — Rozhuki grzmotów, potopowe trąby nawałnicy przybliżyły się znowu od kilku chwil, ogarniając wyżynę burgu, jak gdyby ostatnim uściskiem.

Przedewszystkiem, dowiedz się, że górska i lesista okolica zamku staje na zawadzie wszelkim ruchom artyleryi: ze wszystkich stron, w istocie, rozbiegają się w dal okrężne i rozległe rozdoły, toczące się gwałtownie rzeki, miryady skał i olbrzymie drzewa, stłoczone w taki gąszcz, że gdyby je podpiłować u podstaw, nie mogłyby paść, tak wspierają się jedne o drugie: ich upadek, zresztą, zatamowałby pochód całej armii. — Zapuszczać się z działami w głąb takiej okolicy, z zamiarem zburzenia murów mego zamku, wymagałoby zaiste bardzo ciężkich — i zupełnie jałowych — ofiar krwi, czasu i złota... i to tylko na to, aby zostać odpartym. Żadna kawalerya nie mogłaby poruszać się w tej krainie, — której mapy wojskowe, poprawiane co wiek według nowych doświadczeń, istnieją *tylko* w mych rękach; dodam, że zaznajomiłem się z niemi

dokładnie, nie czekając na nagłe wtargnięcie pułków nieprzyjacielskich. Potrzebaby, zatem, innych żywiołów, aby módz napaść na mnie. — *Zdawałoby się,* że jedynie znaczne oddziały piesze, zapędziwszy się w ten Las wyjątkowy, mogłyby dotrzeć, acz z wielkiemi trudnościami i w nieporządku zupełnym, do mych okopów, tam w dole, to jest, znaleźć się, przed jakąbądź inną akcyą, pod bezpośrednim i nieustannym mym ogniem.

Bo zapomniane blankowania tego zamku obronnego zostały zaopatrzone, przed dawnemi czasy, w czterdzieści ośm ciężkich dział oblężniczych, oh! zawsze świecących jak złoto, a te, na pierwsze wezwanie, chociażby jutro, znajdą doskonałą obsługę w załodze tęgich weteranów, doskonale z niemi obytych. — Z wyżyny, na której burg ten panuje, potężny ich ogień osłania pas dwumilowy przeszło, a w pasie tym urodzajna gleba utrzymywana jest ciągle w takim stanie, by mogła zaopatrywać nasze okopy zupełnie wystarczająco w chleb, żywność, wodę i wszelkie zapasy wojenne. Co do mych lochów fortecznych, ich zasieki amunicyjne są dość zasobne na długi nawet opór. Ztąd owo względne ubóstwo, z którego jestem dumny.

Oto dlaczego, przy zbliżaniu się nieprzyjaciela, żaden akt władzy, wyjawiający rzeczywistą moją potęgę, nie zaświadczyłby otwarcie o mym buncie. — Nic. Nieskończone przestrzenie drzew, trzęsawisk, przepaści i rozpadlin zachowałyby swą zwykłą, naprzód, wiejską, potem dzikszą powierzchowność, — i pierwsze szeregi piechoty, wstąpiwszy w nie, słyszałyby, od wioski do wioski, jeno koła powroźników, siekiery drwali, spokojne młotki trepiarzy, szmery źródeł i kołysanki piastunek. Nic nie zdradzałoby oporu, niebezpieczeństwa. Gdzieniegdzie zaledwie, na wybranych drogach, przedsięwziąłbym pewne nowe kroki w promieniu pięciu do sześciu mil od mych okopów.

Po cóż w istocie byłoby niepokoić tych, których mógłbym nazywać moim ludem, przed nadejściem ściśle określonej chwili, gdy, po nieodzownej napaści na nich samych, Las musiałby sposępnieć nieco? Po rzuceniu się wojsk przybyłych na pierwszą osadę, wszyscy, bez żadnego rozkazu, sami cofnęliby się tutaj! Dla obrony w Lesie, mamy urządzenia, zupełnie nieznane waszym żołnierzom, a które wywarłyby na nich przygnębiające, — piorunujące nawet, jestem tego pewny! — wrażenie. Śród czarnej nocy, podczas ciężkiego snu waszych tysięcy ludzi, oto nagle polanki leśne zmieniłyby się w rozpalone piece; pośród duszącego żaru, płonących drzew i zarośli, wybuchy podkopów jęłyby łączyć się z głuchym chrzęstem tysięcy wystrzałów karabinowych, i wschodzące słońce oświeciłoby prostą i nieprzerwaną rzeź. W zimie, rzecz odbywałaby się jeszcze straszliwiej: bo na gruntach tych, przygotowywanych od dawnych lat, zachowałem olbrzymie środki do gromadnych zagrzebań — a mogąc zużytkować te miliony zapaśników, którzy się nie cofają, a których ludzie zwą drzewami, wiem, jak się ogładza, jak się rozdrabnia, jak się doszczętnie osłabia siły... które zresztą, pod żadnym względem nie dorównywałyby siłom, kupiącym się pod mojem dowództwem. Udałbym nawet może porażkę. Są dwie ścieżyny, które doprowadziłyby, dąjmy na to, szturmujące kolumny aż do mych zielonych płaskowzgórz i mego rowu obronnego: wtedy mógłbym nietylko pchnąć z wyżyny ich kolosalne skały, których miażdżące działanie byłoby nieuniknione, lecz kilkoma wybuchami podkopów, ułatwionych przez otaczające zamek dokoła odwieczne lochy wojenne, poderwać grunt i nadać owym ścieżynom taką urwistość... że uczyniłaby ona stanowczo niezdobytem to stare zamczysko, — którego ogień wówczas dokończyłby dzieła. Chimerycznem byłoby chcieć ustalić liczbę uciekających, którzy, bez osłony, bez prze-

wodników, błąkając się po lasach, osaczani, jak dzikie zwierzęta, przez śmiertelne moich obławy, próbowaliby dosięgnąć skrajów Lasu, aby zanieść do kraju wiadomość o klęsce niewytłómaczonej. — Za tą poszłyby wkrótce: niespodziane zaskoczenie jednego z blizkich miast obronnych, wezwanie do niezadowolonych magnatów i, w końcu, niewątpliwie, wojna domowa w całych Niemczech. Po jednej lub dwóch bitwach, wydanych, stosownie do zupełnie dojrzałego planu działań wojennych, wiem, jakiego winnego usunąłbym ze świata. — Moje PRAWO zostałoby nienaruszone; — bo przecież nie ja sam wyjmowałbym siebie z pod ustaw obowiązujących?

Oto *miejsce*, gdzie jesteś, panie szambelanie. Co do „*mnie,*“ jestem, po prostu, dość niewygodnym marzycielem, którego pańscy książęta lepiejby może nie zaczepiali. Jednem słowem, — (aby nareszcie skończyć raz ze słowami, nieprawdaż?), — słyszałeś pan zapewne... o młodym człowieku z czasów dawno minionych, który ze swego zamku Alamont, zbudowanego na płaskowzgórzu syryjskiem, noszącem nazwę *Dachu świata,* zmuszał dalekich królów do płacenia mu haraczu? — Zwano go, jak mi się zdaje, Starcem z Góry? — A więc...

Na dany znak, Gotthold i Miklaus ujmują znowu swe pochodnie; — Axel powstaje, potem, oświetlony czerwonemi odblaskami całej sali, patrząc na przeciwnika, głosem spokojnym:

... a więc, ja jestem Starcem z Lasu.

KOMANDOR, nieco oszołomiony, lecz poważniejąc nagle, mierzy go wzrokiem od stóp do głów, jak gdyby dla niestracenia miny.

Buntowniku! Śmiesz przywłaszczać sobie — takie prawa!...

AXEL, z ogniem w oczach.

Nikt, nigdy, nie miał innych praw nad te, jakie przywłaszczył sobie — i umiał zachować. — I wiedz, że

mam zamiar zdobyć je wszystkie! za pierwszym podstępnym krokiem... twoich panów.

KOMANDOR, przyglądając mu się, półgłosem.

Mogąc być królem, czemu nim nie zostać?

AXEL, wskazując, końcem swej szpady, szpadę leżącą na ziemi.

Mam co innego do roboty.

Głębokie milczenie.

KOMANDOR, z lodowatym i bladym uśmiechem, jak gdyby decydując się na coś.

Stanowczo, robisz ze mną, co ci się podoba! Dalejże! zarzynajmy się: niech i tak będzie.

Schyla się i podejmuje swą szpadę; potem tonem niezwykłym:

Byłoby może prawidłowiej zdjąć górne ubranie, tak mi się zdaje przynajmniej.

AXEL, nie zauważywszy nawet nizkiego i podejrzliwego słów tych znaczenia.

Zgoda.

Obadwaj, pośpiesznie, wbiwszy szpady w podłogę, rozbierają się do pasa, rzucając odzież na siedzenia. Dwie muskulatury ukazują się: u hrabiego von Auersperg giętka, atletyczna, falista; u Komandora krzepka, zwinna, odporna. Chwyciwszy nanowo broń, oddalają się o pięć lub sześć kroków od siebie, w samym środku sali.

KOMANDOR, głosem pewnym i urywanym.

Żołnierze, którzy nosicie Żelazny krzyż, ja, Herman Kaspar von Auersperg, baron Jego Mości króla naszego, Komandor orderu Orła czerwonego, biorę was na świadków, żem protestował przeciwko samowolnemu postępo-

waniu kuzyna mego, hrabiego Axela von Auersperg, który, przeszedłszy względem mnie wszelkie granice w groźbach, junakieryach i zniewagach, stawia mnie w naglącej i nieodwołalnej konieczności... targnięcia się na jego życie.

Jednym okólnym rzutem oka ogarnia salę, mającą być placem boju.

AXEL, półgłosem, uśmiechając się.

Dumne słowa! kiedyż nastąpią czyny?

KOMANDOR, ze szpadą w pogotowiu.

Tym razem czekam ja, mój panie.

AXEL, stając w pozycyi.

Oto jestem.

Dwaj przeciwnicy, zbliżywszy się do siebie z niesłychaną szybkością, złożyli się, wiążąc same końce kling. Natarcia Komandora von Auersperg, przyśpieszone, następują po sobie z szybkością spustów cyngla, z doskonałością ruchów niezrównaną. Axel, wyniośle, tyleż razy spotkał stal przeciwnika w tak twardych zasłonach, że skry z niej trysły. Chwil kilka mija w ten sposób.

Teraz, szpady, poznawszy się i jak gdyby oceniwszy wzajemnie, nie spotykają się już. Starając się wprowadzić w błąd jedna drugą przez gęste pchnięcia zwodzone, odgadują się i unikają wzajemnie. Wiążąc się co chwila z powrotem i migocąc pod pochodniami, w zaplotach bez zetknięcia widzialnego i prawie bezdźwięcznych, wydają się one dwiema smugami świetlnemi. Niespodzianie, dwa pchnięcia, z wejrzenia śmiertelne, ale podchwycone w samej ich błyskawiczności przez surową gardę młodego hrabiego, zostają mu zadane, jakby jednym rozpędem. — Axel, w ciągu kilku chwil, odkąd klingi się skrzyżowały, nie wyprężył jeszcze ani razu ramienia. — Na dworze, co chwila, rozhuki grzmotów.

KOMANDOR, do siebie, cofając się o krok i jak gdyby przejęty posępnem zdumieniem.

Eh! ależ... zdaje mi się — że jestem zgubiony.

Oczy Gottholda, dotąd niespokojne, śledziły bacznie przebieg walki, jak gdyby czytając w powikłaniach zwodzeń. Rozjaśniają się na widok hrabiego von Auersperg, posuwającego się żywo o krok, po cofnięciu się Komandora, i kurczącego się w sobie, w sposób zapewne znaczący dla starego żołnierza. — Jukko, ze skrzyżowanemi rękoma, bardzo blady, patrzy, stojąc przy Miklausie, którego pochodnia drży; — w głębi sali, Hartwig, z ręką kurczowo zaciśniętą na rękojeści miecza, przymknął oczy, bo łza niepokoju wytrysła z nich i stoczyła mu się aż na wąsy.

Tymczasem natarcia strony przeciwnej mnożą się z każdą chwilą, umiejętne, dokładne, o zaledwie widzialnym rysunku końca szpady, niby groźne połyski, górą i dołem: Axel stoi jak skamieniały pod osłoną ruchliwej swej pięści i nie dającej najmniejszego dostępu swej szpady.

Wtem, po uniknionem pchnięciu — którego zamiary cień gniewnego znużenia zbytnio uwydatnił na chwilę, — Axel, w piorunującem wydłużeniu dzikiego zwierza, rozpręża się, z wyciągniętem poziomo ramieniem i klingą: nagle pomiędzy walczącymi krople krwi tryskają w powietrze. Komandor Kaspar von Auersperg wydaje krótki, chrapliwy krzyk, który głuchnie w jakiemś zdławieniu; — skręca się konwulsyjnie, trzepie obu rękoma, wypuszcza broń, potem chwiać się zaczyna; kolana zginają się, pada na twarz, z wyciągniętemi obu rękoma: — wkrótce, po jednej jeszcze konwulsyi, pozostaje bez ruchu; w trzy sekundy szeroka kałuża czerwona powstaje i zwiększa się ciągle przy lewym jego boku.

JUKKO, rzuca się ku niemu, podnosi go, odwraca, potem dotyka jego rany.

Serce przeszyte. Wszystko się skończyło.

Milczenie.

AXEL, do siebie, w zamyśleniu, patrząc na swego przeciwnika, już nieruchomego.

Przechodniu, — przeszedłeś. Oto pogrążasz się w Niepodobnem do pomyślenia. Dzięki twemu ciasnemu samo-

zadowoleniu, rozwinęły się w ciągu twego życia tylko instynkta zwierzęcości, opornej wszelkiemu doborowi boskiemu! Nic nie *przyzywało* cię nigdy z poza granic tego świata! I dokonałeś się. Spadasz w głąb Śmierci, jak kamień w próżnię, — bez przyciągania i bez celu. Szybkość takiego spadania, spotęgowana przez wagę jedynie idealną, jest do tego stopnia... niezmierna... że kamień ten, w rzeczywistości, *nie jest już nigdzie.* — Zniknij zatem, nawet z przed oczu moich.

Głośno, zwracając się do trzech starych żołnierzy:

Zbliżcie się.

Gotthold i Miklaus przybliżają się: — pochyleni pod swemi pochodniami, przyglądają się ciału, wyciągniętemu na podłodze. Jukko, z rękoma zakrwawionemi, podtrzymuje zsiniałą twarz nieboszczyka na swojem kolanie. — Hartwig nadbiega z głębi sali i przypatruje się również.

Długie, nagie miecze połyskują dokoła zmarłego.

— Dzięki, starzy przyjaciele, za niepokój, który znieść musiało wasze przywiązanie! — Niech uspokoją pana Zacharyasza.

Wskazując ciało komandora von Auersperg:

— Do podziemi, koło grobowców, — dziś w nocy jeszcze!

GOTTHOLD, do ucha Axela, osłaniając ręką swe słowa, z powodu ogłuszającego rozhuku piorunów, które biją teraz zapewne w szczyt wieży zamkowej.

Grób gotów, Wasza Miłość: grób Waszej Miłości, — wykopany niegdyś, na stanowcze życzenie Waszej Miłości...

AXEL, niewzruszony.

Niech i tak będzie: popiół za popiół.

Rzuca swą szpadę, do połowy zakrwawioną.

Od jakiejś chwili, drzwi łukowo sklepione, u szczytu schodów kamiennych, otworzyły się cicho przed nieznaną osobistością.

Nowoprzybyły jest wysokiego wzrostu i cudownej ciała budowy. Twarz jego, o rysach czystych, nie wydaje się obliczem człowieka z naszych czasów ani z naszych krain; przypomina ona niezwykle, hieratyczne lub królewskie, wypukłorzeźby na prastarych medalach medyjskich. Zdaje się on mieć lat około pięćdziesięciu, jakkolwiek ogień jego poważnych oczu świadczy o pewnego rodzaju potężnej, wiekuistej młodości cielesnej. Surowa piękność całej jego postaci, świetlna bladość jego oblicza, wspaniały wyraz jego spojrzenia — muszą, zdawałoby się, wiecznie ciężyć na pamięci tych nawet, którzy ujrzeli je raz jeden tylko.

Ciemne, faliste włosy, z których kilka dopiero srebrem połyska — nieco dłuższe zaledwie ponad zwyczaj przyjęty w armiach — dzielą się nad tajemniczem czołem, którego wypukłości zmuszają do zastanowienia. Ciemna broda przypomina brody postaci rytych na śpiżach niniwickich. Błyskawice olśniewającem oblewają go światłem.

Odzienie jego, robiące wrażenie uniformu czarnego bez szpady, przypomina z początku ubiór węgierskich lekarzy wojskowych; liczne wszakże szczegóły, dziwnie surowej prostoty, wskazują raczej, że jest to odzież jeźdźca, zawsze gotowego do długich podróży: — odzież, którą pilśniowy kapelusz o szerokich skrzydłach i płaszcz uzupełniałyby dostatecznie.

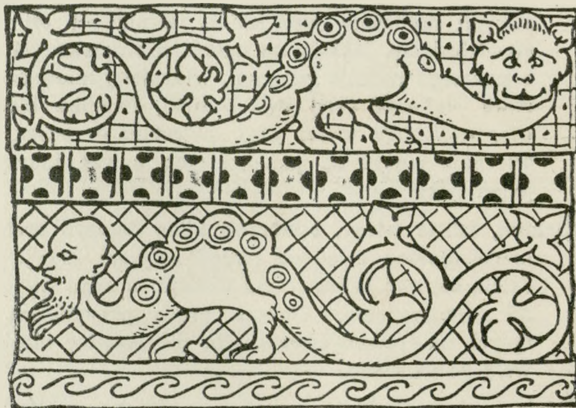
W chwili, gdy nowoprzybyły zaczyna zstępować ze schodów, Gotthold i Miklaus, z pomocą Jukka, podnoszą martwe ciało Komandora von Auersperg i, poprzedzani przez Hartwiga, który przyświeca im pochodnią, zwracają się ku drzwiom środkowym. — Hrabia von Auersperg przywdziewa z powrotem porzucone na siedzeniu ubranie. W chwili, gdy przepasuje swój kaftan z ciemnej skóry, nieznajomy, teraz już na ostatnich stopniach schodów, ukazuje mu się nagle.

AXEL, do siebie.

Mistrz Janus!

Chwila milczenia. Potem z głębokiem westchnieniem:

Ach! czuję, że staję się znowu tylko człowiekiem w obecności tego żyjącego.



(Ciąg dalszy).

Hr. de Villiers de l'Isle Adam.

Dziękczynienie.



Panie, Panie, Panie!

Oto w przedporannym, ciepłym, cichym deszczu stoję przed Tobą na ziemi kwitnącej, na ziemi dymiącej wonią najcudniejszą, na kadzielnicy Twojej, zawieszonej w niebie na promieniach świtu.

O jakżem szczęśliwa, Panie mój! o jak bezgranicznie upojona szczęściem!

Dałeś mi dziwną duszę i dziwne ciało, bym się radowała szczęściem tajemniczem.

Ty jeden znasz me tajemnicze szczęście, Ty, któryś policzył moje klęski i nędze, który płynąłeś nademną chmurami, gdym biegła wśród cierni, bagnisk i bezdroży.

Ty jeden znasz dreszcz niepojętej roskoszy, z którym przelatuje po mnie tajemniczy urok rzeczy.

Niemowlę jest dusza moja na piastunnem ramieniu aniołów, które ją niosą;

Niemowlę, rozradowanemi oczyma witające świat nieznany, i uroczy, odkąd rozdarłeś przed nią zasłonę cudu i ukazałeś jej oblicze Swoje we mgłach porannych.

O Panie, Panie, miłujesz mnie, miłujesz proch swój i kwiat swój i swoją lutnię czarodziejską.

Odwróciłeś burzę od mego domu i nie dałeś potworom wypełznąć z pieczar podziemnych, bym się radowała szczęściem.

Otom przed Tobą, prosta i w niebo strzelająca, otom przed Tobą, trzcina grająca u nieskończonych wód.

Otom przed Tobą, kwiat w ciemnej nocy rozkwitły, gęśl dziękczynienia, drgająca w przedporannym wietrze.

Weź mnie w rękę, kwiat swój, gęśl swoją i dzwon swój. Niechaj po polach leci wołanie dzwonu, niech się po jeziorach i lasach rozśpiewa śpiew jego serca.

Ciśnij w niebiosa dym swój, chmurę i ptaka swego, niechaj rozpowie gwiazdom, żeś go nie opuścił,

Żeś mnie umiłował, choć nędzna jestem i niewidoczna i kwitnę niewidocznym kwiatem,

Że nie ustaje szczęście moje, szczęście dziwne, szczęście tajemnicze —

W letnie noce, gdy w wietrze kołują zielone łodzie świetlików nad drzewami,

W letnie noce, gdy księżyc srebrzy wodę i białe widma chodzą po moczarach —

W letnie noce, gdy dzwoni rzęsisty, ciepły deszcz na liściach, gdy trzciny grają u nieskończonych wód i ziemia dymi wonią tajemniczą.



Marya Komornicka.

Drzeworyt japoński.

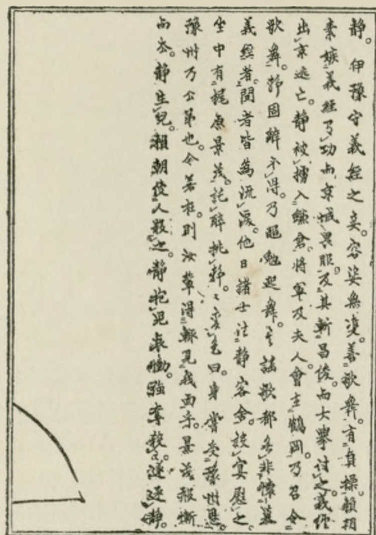


ardzo niedawną, stosunkowo, jest znajomość sztuki japońskiej w Europie. Wprawdzie, w siedmnastym już wieku, holenderskie i portugalskie okręty przywoziły całe ładunki lak, tkanin, oraz porcelany hizeńskiej, które, budząc upodobanie do pewnych niesymetryczności, ruchliwości, niespodzianości, spowodowały nawet, niewątpliwie, po części upadek ciężkich, pompatycznych akademizmów Ludwika XIV i wytworzenie się lekkiego, żywego, wdzięcznego stylu Ludwika XV. Sądzono jednak ogólnie, że jest to już wszystko, co ten daleki, za barbarzyńców uważany naród dać może, i nie przeczuwano ani na chwilę, do jak wspaniałego rozwoju doszły w „państwie wschodzącego słońca“ (Dai Nippon) wszystkie sztuki gałęzie. Mylne pojęcia te mogły uledz sprostowaniu dopiero w połowie minionego stulecia.

W szóstym jego dziesiątku, zawarte ze Stanami Zjednoczonemi i z różnemi państwami europejskiemi traktaty handlowe, oraz nawiązane stałe stosunki dyplomatyczne, umożebniły poniekąd cudzoziemcom dostęp do tajemniczego dotąd kraju. Następne dziesięciolecie otworzyło go już na oścież. Wielki przewrót polityczno-społeczny obalił (1868) prastarą, feudalną organizacyę państwa japońskiego, zburzył tysiącletnie tradycye i pchnął cały naród na nowe drogi. Japończycy zapragnęli cywilizacyi europejskiej i rzucili się z takim zapałem do przyswajania sobie jej zdobyczy, że chwilowo poszło w pogardę wszystko co swoje. a więc i sztuka narodowa. Zobojętnienie to nie trwało długo, bo już od połowy siódmego dziesięciolecia poczęto zakładać muzea (w Tokio, w Nara, w Kioto), urządzać wystawy retrospektywne i przedsiębrać wszelkie środki, celem zgromadzenia i zachowania w kraju dzieł dawnego artyzmu swojskiego. I owa wszakże krótka doba zapoznawania własnych bogactw artystycznych wystarczyła przybyłym ze wszech stron zbieraczom i handlującym do wykupienia i wywiezienia na obczyznę znacznej ich części. Podczas gdy Japończycy gromadnie nawiedzali Europę, aby kształcić się w jej politechnikach, uniwersytetach i akademiach wojennych, Europejczycy niemniej gorliwie i niemniej licznie wędrowali wszerz i wzdłuż po całej Japonii, poszukując: starych bronzów, emalii, fajansów i porcelan, rzeźb z drzewa i kości słoniowej, wyrobów z laki, zbrój, kling i gard, materyj, kobierców i haftów, albumów, książek z ilustracyami, malowideł oryginalnych (kakemonów i makimonów) i drzeworytów czarnych i barwnych. Z początku poszukiwania te były przedsiębrane przez pojedyńcze osobistości, bądź dłużej, w takim lub innym charakterze, przebywające w Japonii (jak dr. Anderson z Londynu, dr. Gierke z Wrocławia, prof. Ernest Fenollosa z Bostonu), bądź też przybyłe specyalnie z za-



miarem poznania kraju i kolekcyonowania jego osobliwości (jak Cernuschi, Duret, Guimet, Régamey i inni). Wkrótce jednak zaczęto organizować całe misye, zakładać stałe agentury i, nie zadawalając się poszukiwaniami u wydawców w Tokio, Kioto i Osaka, zwracać się aż do rodzin pojedyńczych z propozycyami sutych cen za zbiory starych dzieł sztuki. Tak wielkie było zapotrzebowanie na te rzeczy, tak wielki zapał do tej nowości, tak wielki rozpęd do kolekcyonowania, zwłaszcza drzeworytów barwnych. Pierwsza pobudka wyszła od takich artystów, jak Stevens, Whistler, Diaz, Fortuny, Legros, a nieco później Manet, Fantin-Latour, Degas, Monet i inni, dla których malowidła i drzeworyty japońskie, zupełnie różne pod względem rysunku, kolorytu i kompozycyi od całej sztuki europejskiej, prawdziwem były objawieniem, prawdziwem odsłonięciem nowych, nieznanych dotąd widnokręgów. Do malarzy przyłączyli się wnet wytworni miłośnicy sztuki, subtelni krytycy i utalentowani pisarze, jak Goncourt'owie, Champfleury, Burty, Zola. Około nowoodkrytej sztuki zrobiło się głośno. Uzupełniły znajomość jej i wzmogły bardziej jeszcze zamiłowanie wystawy powszechne: w Londynie 1862 r., w Paryżu 1867 r., w Wiedniu 1873 r. i w Paryżu 1878 r., zwłaszcza dwie ostatnie, gdzie dział japoński urządzany był przez p. Wakai, gruntownego znawcę sztuki swego kraju. Teraz pośród całego szeregu

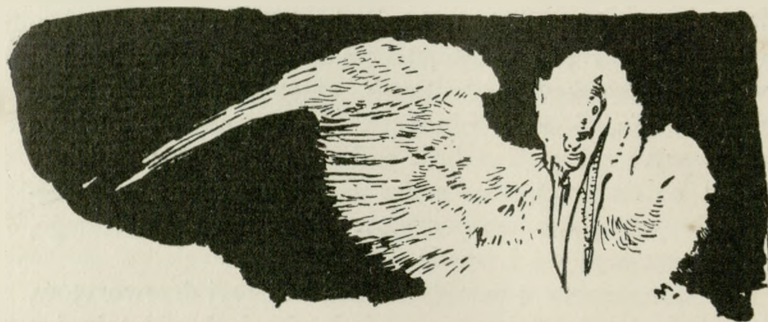


zbieraczy, posiadających mniej lub więcej bogate kolekcye, zajęły miejsce rządy, bądź nabywając całe gotowe już zbiory, bądź polecając kompletowanie ich dla siebie. W roku 1882 zarząd British Museum kupił od d-ra Andersona za 30,000 rb. składający się z 2,000 numerów zbiór japońskich i chińskich malowideł i drzeworytów. Profesor Gierke sprzedał swe 200 wyborowych kakemonów rządowi pruskiemu. Prof. Fenollosa zgromadził dla bostońskiego Museum of Fine Arts olbrzymią kolekcyę składającą się z 400 parawanów, 4,000 malowideł i 10,000 druków. Rząd francuski posiada tylko 2 niewielkie zbiory drzeworytów w Luwrze i w Bibliotece narodowej, zato wiele jest w Paryżu kolekcyj prywatnych, częstokroć bardzo bogatych (Bing'a, Gonse'a i innych). U nas, piękną kolekcyę drzeworytów i gard zebrał p. Feliks Jasieński; mniejszy może co do ilości, lecz nader ciekawy i cenny w szczegółach jest zbiór drzeworytów Stanisława Dębickiego, artysty-malarza we Lwowie.

Jednocześnie z powstawaniem kolekcyj drzeworytów, rozwijała się i literatura przedmiotu — i dzisiaj cały już szereg dzieł ułatwia znakomicie pracę osobom, chcącym rozejrzeć się w dziejach tego odłamu sztuki japońskiej. Wymienimy tu tylko epokowe poniekąd książki: Andersona (Japanese Wood Engravings), Gonse'a (l'Art Japonais), Fenollosy (Masters of Ukiyoye), Seidlitz'a (Geschichte

des japanischen Farbenholzschnitts), oraz Duret'a (Livres et Albums illustrés du Japon). Wszystkie te dzieła, zresztą odznaczające się wielką erudycyą i sumiennością, grzeszą tylko zbyt kolekcyonerskim, że tak powiem, punktem widzenia i oceny. Mamy tu na myśli stawianie na pierwszem miejscu rzeczy nie najlepszych, lecz najrzadszych i, naodwrót, zaniedbywanie rzeczy artystycznie nader wartościowych, z powodu ich większej dostępności. Seidlitz występuje poniekąd przeciwko tej wadzie, lecz w dalszym ciągu książki, sam jej, niestety, ulega. Jałowemi wydają się nam, nadto, spory o japoński czy też europejski punkt widzenia przy ocenie estetycznej pojedyńczych dzieł i artystów.





Właściwe początki drzeworytu japońskiego zbiegają się, co do czasu, z zasadniczym przewrotem w malarstwie japońskiem i z powstaniem, po szkołach: buddyjskiej, Tosa i Kano, nowego kierunku Oukiyoye, który wszyscy prawie badacze japończczyzny pojmują, jako styl ludowy, gminny,

popularny, a który tylko E. de Goncourt i Bing tłómaczą właściwiej, jako *szkołę życia (ouki* znaczy pływać po wierzchu, unosić się nad czem; — *yo* — świat, życie, współczesność; — *ye* — styl, sposób). Poprzednio malarstwo japońskie zamykało się wyłącznie w pewnych sferach i dziedzinach. Szkoła buddyjska, zajmując się jedynie przedmiotami i pierwiastkami religijnemi, tą częścią istnienia ludzkiego, która wznosi się ponad przemijające nędze i radości świata, wyobrażała postacie swe w jakiejś nieruchomości świętej, w jakimś ogromnym, pogodnym spokoju, dążyła w rysach oblicza, przez najwyższą prostotę, do istoty samej, unikała wszelkiego podobieństwa, wszelkich cech indywidualnych, trzymała się zresztą, podobnie poniekąd, jak malarstwo bizantyjskie, stałych rytualnych zwyczajów i sposobów, a z rzeczywistości odtwarzała tylko ornamentacyjne szczegóły odzienia i innych akcesoryów, zato wszakże ze świetnością i bogactwem, przypominającemi starożytne miniatury indyjskie i perskie. Obie szkoły świeckiego malarstwa, które w XIII wieku zastąpiły i usunęły w cień sztukę religijną: Tosa, reprezentująca narodowy styl japoński (Yamato-ye), i Kano, biorąca początek w protegowanych przez Szogunów wpływach chińskich, były, mimo różnic zasadniczych i trwającego aż po wiek XVII zajadłego współzawodnictwa, przedstawicielkami sztuki arystokratycznej, uprawianej wyłącznie przez członków rodzin feudalno-szlacheckich (daimio) i zajmującej się jedynie prawie życiem tych sfer uprzywilejowanych. I makimona*) szkoły tosajskiej, przypominające czystością konturów, dokładnością wykończenia, subtelną wykwintnością kształtów, oraz niesłychaną świetnością kolorytu, malarstwo miniaturowe, i kakemona szkoły Kano, unikające drobia-

*) Makimona — zwoje, rozwijające się poziomo; kakemona — pionowo. Olejne malarstwo nie istniało w Japonii, malowano tylko wodnemi farbami i tuszem na zwojach papieru lub materyi jedwabnej.

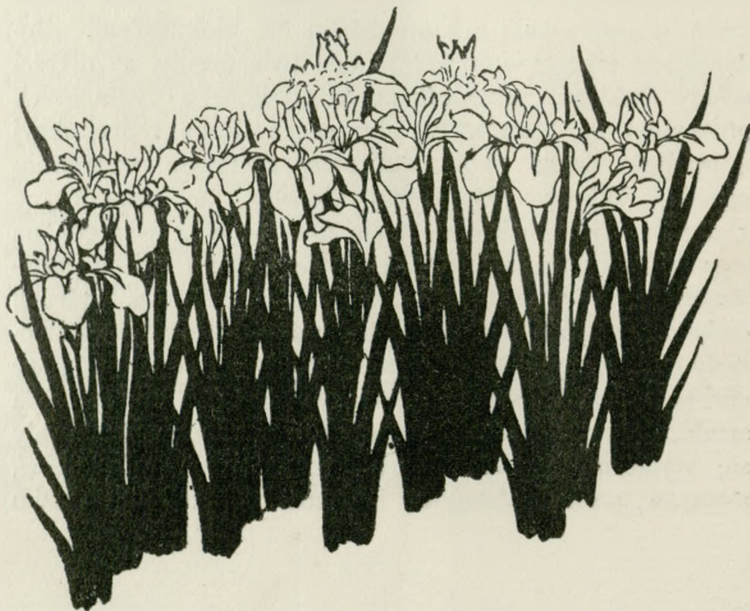
zgowości w wykończeniu, nie znające koloru, ograniczające się do białości i czarności, i opierające się przedewszystkiem na śmiałości syntetycznych, kaligraficznych — pod wpływem chińczyków, pociągnięć pędzla, — były wyrazem wytwornej, głębokiej, wyrafinowanej estetyki sfer uprzywilejowanych i, nawet schodząc do tematów gminnych, przeobrażały i stylizowały je według konwencyonalnych poniekąd, zwłaszcza pod koniec, reguł tej ostatniej. Szkoła Oukiyoye, której ojcem był pierwszy w Japonii malarz niearystokratycznego pochodzenia, Iwasa Matahei (z końca XVI i początku XVII w.), a która w następstwie zapanowała zwłaszcza w powstałym w tejże epoce drzeworycie, nie była, wbrew ogólnemu twierdzeniu, demokratyczną reakcyą przeciwko dawnym szkołom „sztuką wyszłą z wnętrzności narodu,“ „wyrazem ludowego geniuszu,“ lecz rozwinięciem jeno tamtych poprzedniczek i wyzwoleniem indywidualności artysty, Nie odrzekła się ona bynajmniej dawnych tematów, uprawianych wyłącznie w tamtych dwóch szkołach, lecz dołączyła do nich cały szereg nowych. Aż po ostatnich artystów minionego wieku, Hokusai'a, Kunisadę, Kuniyoshiego, nie znaleźć ani jednego, któryby w liczbie dzieł swoich nie miał, obok scen ludowych, pejzaży, wizerunków aktorów, kurtyzan, także całej masy utworów na tle starożytnych legend religijnych i historycznych, obrazów bitw, ilustracyj czynów bohaterskich, i nawet zupełnie fantastycznych tematów. Szkoła Oukiyoye nie zamykała się bynajmniej w ciasnym zakresie tematów najbardziej dostępnych dla ludu, ogarniała ona wszystkie zakresy



życia: od najgminniejszych aż po najbardziej wymagające kultury duchowej. Z drugiej strony, szkoła ta (czy styl) nie oznaczała bynajmniej — mającego na celu udostępnienie sztuki szerszym, niekulturalnym warstwom — zgminnienia w wykonaniu, obniżenia bezpośredniej, czysto artystycznej wartości dzieł i utworów. Seidlitz zaznacza z naciskiem, za Fenollosą i Andersonem, że sam Matahei został sławnym zgoła nie dla wprowadzonych przezeń po raz pierwszy do malarstwa tematów, lecz dla siły, oryginalności, zmysłu dekoracyjnego i skończoności stylu, pod względem których nie ustępował najlepszym tosajczykom i kanojczykom. Szkoła Oukiyoye zniosła tylko wszelkie formułki i dała wolność zupełną najrozmaitszym sposobom widzenia i wcielania. Każdy artysta mógł mieć odtąd i miał *swój styl* odrębny, i, dla widza, nie pierwszy raz oglądającego drzeworyty japońskie i przeto nie gubiącego się w ich chaosie, niemasz nic bardziej różnego nad utwory, dajmy na to, Kiyonagi i Outamara, nie mówiąc już o takich biegunowych przeciwieństwach, jak tenże Outamaro w zestawieniu z Kuniyoshi'm lub Hokusai'em. Złudnem jest także rozpowszechnione twierdzenie, że artyści szkoły Oukiyoye przenieśli punkt ciężkości z oryginalnych malowideł na drzeworyty, aby przez liczbę reprodukcyj udostępnić dzieła twórczości swej szerszym warstwom narodu. Wbrew twierdzeniu Gonse'a, że „japończycy klas wyższych gardzą rodzajem Oukiyoye ze względu na jego nizkie pochodzenie,“ E. de Goncourt i Seidlitz udowadniają, że artystyczne odbitki drzeworytowe, których cudowna harmonia kolorów do dziś nas zachwyca, zajmowały miejsce podobne, jak drzeworyty i miedzioryty w epoce europejskiego Odrodzenia, uważane były za takież dzieła sztuki, jak oryginalne kakemona i makimona, dostawały się wyłącznie prawie do rąk wytwornych miłośników, artystów, pisarzy, daimiów, i stanowiły przedmiot zbytku

aż po pierwszą połowę minionego wieku, gdy żądni zysku i schlebiający smakowi niższych warstw wydawcy jęli zadowalać się byle jak ciętemi drzewkami, przestali zwracać uwagę na rodzaj papieru i zastąpili ściszone, subtelne, harmonijne barwy dawnych odbitek krzyczącemi, niezgodnemi i niewykształcony jeno motłoch pociągnąć mogącemi kolorami.

Specyalne oddanie się artystów szkoły Oukiyoye drzeworytowi nie miało żadnych celów ubocznych i popalaryzatorskich. Było ono, tak samo jak w Europie pojawienie się autolitografii barwnej w drugiej połowie minionego wieku, prawdopodobnie wynikiem tego, że artyści, spostrzegłszy możebność wywoływania za pomocą nowej techniki nowych, niedostępnych przy innym sposobie postępowania, wrażeń i efektów artystycznych, zapragnęli rozszerzyć dziedzinę twórczego uzewnętrzniania się przez zużytkowanie tych nowych środków.



Drzeworyt japoński różni się zasadniczo od obu znanych typów europejskiego: równie od samodzielnych, artystycznych drzeworytów z epoki Wohlgemutha, Dürera, Holbeina i Cranacha, jak od późniejszych robót czysto reprodukcyjnych. Z pierwszemi spokrewnia go, bądź co bądź, ta samodzielność i artystyczność, ten charakter stworzonego odrębnie, dla danej techniki i z poczuciem jej warunków i korzyści, dzieła sztuki. I dla europejskich *peintres-graveurs*, i dla mistrzów japońskich, drzeworyt był zupełnie odrębną dziedziną, w której zamykali to, co w innej technice należytego wyrazu znaleźćby nie mogło. Były wszakże i pewne różnice. Przedewszystkiem, wielcy rytownicy europejscy zwracali się, w miarę potrzeby, do różnych materyałów: miedzi, stali, drzewa, kamienia, — podczas gdy japończycy, którzy umieli jednak rytować niesłychanie subtelnie płytki metalowe, służące do ozdoby różnych przedmiotów sztuki, nie wpadli nigdy na myśl, aby zużytkować ten sposób do druku, i znali tylko drzeworyt. Powtóre, wymienieni wyżej mistrzowie niemieccy, nie ograniczając się daniem rysunku, cięli niekiedy, acz nie zawsze, sami w drzewie. Malarz japoński, chociaż bezwątpienia pilnie nadzorował i cięcie i druk, sam nigdy nie był rytownikiem. Dawał tylko rysunek na cieniuchnym papierze, który przyklejano prawą stroną do drzewka i przez który rytownik ciął, niszcząc w ten sposób oryginał. Wreszcie, mistrzowie europejscy ograniczali się w drzeworycie, prawie wyłącznie, do światłocienia, podczas gdy japończycy doszli zwolna do drzeworytu wielobarwnego. — Z reprodukcyjnemi drzeworytami europejskiemi nie ma drzeworyt japoński żadnej absolutnie wspólności. Niema w nim żadnych transpozycyj (np. różnych kolorów na różnego rodzaju kreski), nic nie jest pozostawione osobistej inicyatywie rytownika, obowiązkiem jego jest tylko jak najwierniej uwypuklić na drzewie

każdą linię czy kreskę rysunku. Artysta daje na tym ostatnim wszystko, rytownik nie ma nic do zmieniania i uzupełniania — i, wskutek tego, odbitka tak wykonanego drzeworytu jest najściślejszem *facsimile* oryginału rysunkowego.

Sama forma drzeworytu japońskiego (wielkie lub małe *quarto*), taka różna od wydłużonych pionowo kakemonów lub szerzących się poziomo w nieskończoność makimonów, wskazuje, że bierze on początek z ilustracyi książkowej. Pierwszy przykład takich ilustracyj o charakterze — co do treści i formy — czysto narodowym, spotykamy w roku 1608 w powieści historyczno-rycerskiej Isse monogatari. Po niej, stosunkowo nieliczny szereg podobnych książek ciągnie się przez cały prawie w. XVII. Ilustracye ich są rysunkowemi kopiami miniatur, wykonanych przez artystów szkoły tosajskiej, które, pierwotnie, zdobiły zbytkowne dzieł tych rękopisy. Po wydrukowaniu czarno tych ilustracyj, wydawcy kazali później częstokroć iluminować je ręcznie, trzymając się gamy kolorów, używanej w szkole Tosa.

Oryginalny, twórczy drzeworyt pojawia się dopiero w okresie zwanym przez Japończyków, którzy dzielą swą chronologię na pewien rodzaj cyklów, *genroku*. Epoka ta, obejmująca koniec XVII i pierwsze lata XVIII wieku (1688—1703) i będąca dla sztuki japońskiej mniej więcej tem, czem wiek XV był dla sztuki włoskiej, zdumiewa niesłychanie bujnym rozkwitem wszystkich naraz sztuk pięknych, oraz ilością wielkich ludzi we wszystkich dziedzinach artyzmu. Obok znakomitych poetów i malarzy, żyli i działali wówczas tacy mistrzowie sztuk dekoracyjnych, jak Korin, niewymowny artysta laki; Kenzan, znakomity twórca w dziedzinie ceramiki ozdobnej; Rytsuo, sławny inkrustator i cyzeler; wreszcie, w obchodzącym nas zakresie drzeworytu, właściwy twórca jego i założy-

ciel, ISHIGAWA MORONOBU. On pierwszy wyprowadził swą sztukę z naśladowania i odtwarzania, czasami nawet dość niedbałego, tradycyjnych tematów i stylów; on pierwszy, podejmując stworzony przez Matahei'ego, lecz później zapomniany styl oukiyoye, rozszerzył dziedzinę twórczości do całego obszaru życia; on pierwszy wreszcie, wyzwalając się z konwencyj i formułek, starał się w ilustracyach swych o indywidualne życia tego odczucie i oddanie. Rzecz prosta, iż, z jednej strony, odrazu nie mógł przezwyciężyć



wpływów przeszłości i wyzbyć się różnych archaizmów, z drugiej zaś, jak zwykle bywa przy pierwszem zetknięciu z naturą i życiem, nie zdołał uchronić się od częstych naiwności, oraz od pewnych uchybień pod względem czysto dekoracyjnym. Linie są niekiedy twarde, nieharmonijne; w załamach sukien i draperyj uderza często blaszana sztywność; w kompozycyi brak czasem spokoju. Ale za to, jakaż męzka energia, jaki charakter w postaciach, jaki wyraz uczuć w napozór monotonnie nieruchomych twarzach, jaki ruch i życie w gestach, postawach, ugrupowaniach, jaki śmiały, pewny, oryginalny rysunek, zastępujący linią, konturem wszystkie dla modelacyi kładzione cienie, i nadający kompozycyom plastyczność wypukłorzeźbną prawie. Współcześni i najbliżsi następcy tego ojca drzeworytu japońskiego, Kwaigetsudo, Okumura Masanobu, Sukenobu, mogli mieć więcej smaku dekoracyjnego, więcej płynności w liniach, większą miękkość w draperyach, więcej wdzięku, słodyczy lub szlachetności w postaciach niewieścich. Nie dziw. Szli utorowaną już przezeń drogą — i mogli rozwijać czy ulepszać te lub inne strony. Co do bogactwa inwencyi twórczej, oraz co do płodności niesłychanej, ogarniającej wszystkie tematy i zapoczątkowującej wszystkie rodzaje, żaden z nich mu nie dorównał.

Drugim wytycznym punktem w dziejach drzeworytu japońskiego jest pojawienie się w początku XVIII wieku pojedyńczych rycin, w przeciwstawieniu do albumów i książek ilustrowanych, wyłącznie prawie u Moronobu panujących, — oraz coraz częstsze, nie przypadkowe już uzupełnianie czarnych odbitek drzeworytowych ręcznie nakładanemi barwami, które musiało doprowadzić do druku kolorowego Obie reformy te wiążą się z imieniem TORII KIYONOBU, założyciela szkoły czy dynastyi artystycznej Torii, która w ciągu całego XVIII wieku zajmo-

wała się przedewszystkiem odtwarzaniem postaci aktorów w różnych rolach, oraz głównych scen ze sztuk najbardziej ulubionych. Była to chwila, gdy teatr, w którym żywi, prawdziwi aktorzy zajęli miejsce dawniejszych lalek mechanicznych, jął wywierać niesłychany wpływ na lud, — i Kiyonobu, stwarzając swój nowy rodzaj, odpowiadał niejako smakowi i upodobaniom publiczności. Odtąd, przez cały wiek XVIII, nie było prawie artysty, któryby nie próbował stać się popularniejszym dzięki popularności odtwarzanego przez się aktora. Jako jeden z bardzo nielicznych wyjątków przytoczyć można Outamara, który stanowczo odmawiał rysowania sław teatralnych, twierdząc dumnie, że chce zawdzięczać wszystko *tylko* swemu talentowi malarskiemu. Ale nawet ci, którzy, poczynając od Massanobu, zajmowali się teatrem tylko ubocznie, większe znajdując upodobanie w odtwarzaniu kobiecych postaci, oraz scen rodzajowych, poczęli je teraz umieszczać na pojedyńczych kartach — i luźna rycina jęła zwolna zyskiwać pewną nawet przewagę nad wydawnictwami albumowemi i książkowemi.

Plakatowo poniekąd traktowane, obliczane na wrażenie z odległości, silne, szerokie, wyraziste wizerunki aktorskie Kiyonobu i jego pierwszych uczniów i zwolenników drukowały się przez dość długi czas czarnemi tylko liniami, a iluminowano je ręcznie, z początku jednym jaskrawym i aż brutalnym kolorem, pomarańczowym (tan) lub karminem (beni), potem zaś coraz bogatszemi barw kombinacyami, aż wreszcie, w tak zwanych *urushiye* (malowidłach lakowych), ucieczono się nawet do laki i proszku złotego.

Z roku 1743 (udowodnił to Fenollosa) pochodzi pierwszy znany druk barwny, gdzie i kolory nakładane są już nie ręcznie, lecz za pomocą kolejnego odbijania osobnych dla każdej barwy klisz drewnianych. Autorem



tej dwubarwnej ryciny jest SHIGENAGA. Czy wynalazek był jego własnym, czy też artysta ten miał tylko szczęście, że, z najdawniejszych dzieł, nowym sposobem wykonanych, jego właśnie się przechowało, — niewiadomo. Dość, że imię jego związało się z tym postępem w rozwoju drzeworytu. Nowy sposób zyskał natychmiastowe uznanie; kolorowanie ręczne czarnych druków nie ustało wprawdzie w tej chwili, ale usunięte zostało na drugi plan — i wszyscy artyści rzucili się do drukowania, naprzód, w dwóch użytych przez Shigenagę barwach: różowej i zielonej. Zkąd się wzięła ściszona, harmonijna kombinacya tych dwóch właśnie kolorów, po zupełnie innych, inaczej układanych i daleko bardziej urozmaiconych barwach przy malowaniu ręcznem, nie wyjaśniono jeszcze. Tem dziwniejszem też może się wydawać, że przetrwała ona bez zmiany, u wszystkich spółczesnych artystów, niespełna lat dwadzieścia. Dopiero około r. 1760, Shigenaga, uczeń jego Toyonobu, oraz malarz Kiyomitsu ze szkoły Torii, jęli dążyć do stopniowego zwiększania liczby barw i odcieni, bądź przez wprowadzanie nowych kolorów, bądź przez mieszanie farb, bądź wreszcie przez nakładanie jednych plam barwnych na drugie. Dążenia te wszakże ograniczały się z początku do trzeciego koloru: Shigenaga wprowadzał żółty; Toyonobu — żółty, a potem niebieski, i próbował, prócz tego, osiągnąć nowe tony przez drukowanie czerwonej barwy na zielonej; Kiyomitsu uporczywie używał koloru niebieskiego, tak, że po tej oznace rozpoznawać można jego dzieła. Nadto, barwy pokrywały z początku rycinę tylko w części: odzież wyobrażonych na niej osób i pewne kontury; tło, nie grające jeszcze żadnej roli, świeciło bielą papieru, a wiele akcesoryów drukowało się się tylko czarno, bez udziału kolorów.

Około roku 1765, uczeń Shigenagi, SUZUKI HARUNOBU zrobił stanowczy, przełomowy krok naprzód i otwo-

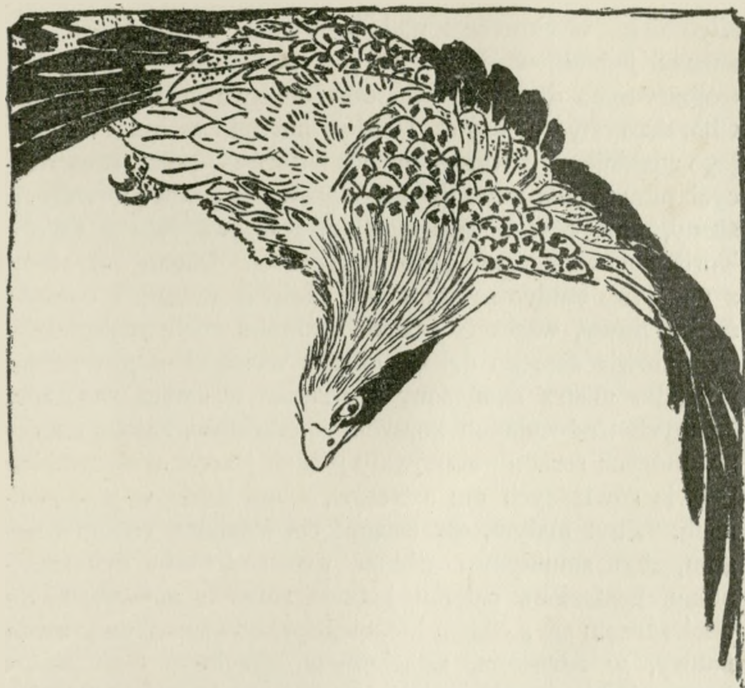


rzył nową epokę w dziejach drzeworytu japońskiego. Przedewszystkiem, ugruntował ostatecznie drzeworyt wielobarwny. Pomnożywszy liczbę klisz do sześciu, siedmiu i nawet dziesięciu, zużywszy umiejętnie drukowanie jednych kolorów na drugich, oraz tak zwane odciski ślepemi kliszami*), zdołał osiągnąć takie urozmaicenie i taką świetność kolorytu, a zarazem taką czystość i subtelność tonów, że mało z późniejszych artystów pod tym względem przewyższyć go zdołało. Jednocześnie wprowadził w swych rycinach i kakemonach przestrzeń, głąb, tło, wyjarzmiając się w ten sposób z pod przeważających dotychczas tradycyj czysto dekoracyjnych i dążąc niejako do bliższego, acz zgoła nie niewolniczego, oddania natury. I na tło i na akcesorya wszystkie rozlewał równie hojnie bogactwo swych kolorów jak na figury pierwszoplanowe, tak, że występująca dawniej jaskrawa białość papieru znikła zupełnie pod wzorzystą barw harmonią. Cała technika wielobarwnego drzeworytu była gotowa, i następcy nie potrzebując już myśleć o niej, mogli za przykładem Harunobu tem swobodniej oddać się wydobywaniu na jaw swej indywidualności, swego sposobu patrzenia na świat i swej odrębnej wrażliwości na kolory. Nie dziw też, iż teraz nastała doba największego rozkwitu ryciny barwnej. Cały szereg wielkich mistrzów i pomniejszych talentów jął bądź stosować nowe odkrycia i pojęcia do tradycyj wciąż jeszcze

---

*) Były to klisze, któremi na sucho, bez koloru, lecz za to wypukło wytłaczano na samym końcu różne delikatne szczegóły rysunku.

rywalizujących z sobą od czasów Masanobu i Kiyonobu kierunków, bądź odrębne, na tle reformy Harunobu, torować sobie drogi. Ruch ten rozpoczął się bezpośrednio między rówieśnymi Harunobu i najbliższymi jego uczniami i następcami. Koriusai, prawdopobnie uczeń Harunobu i naśladowca jego rysunku, z jednej strony zaznaczył się odrębnym, niezwykle głębokim kolorytem, a zwłaszcza umiejętnością używania wielkich płaszczyzn czarnych, z drugiej zaś, rozwinął do doskonałości sposób tłoczenia ślepemi kliszami wzorzystych rysunków na materyach i ubraniach, oraz wizerunków zwierząt i ptaków (słynne są jego walczące koguty, kaczki w sitowiu, oraz biały kot czyhający na motyle). — Kitao Shigemasa, spółczesny Harunobu, niepewniejszy snadź od od niego w kolorycie, lecz najlepszy rysownik pośród swej generacyi, okazał się mistrzem skończonym w oddawaniu żywości ruchów oraz wężowo wijących się fałdów odzienia. Przeceniony nieco Katsugawa Shunsho, założyciel niesłychanie licznej szkoły i malarz aktorów przedewszystkiem, uderza ogromną potęgą, równie w rysunku jak w kolorycie, oraz wielką żywością i pomysłowością postaw i ruchów. Natomiast, brak wyrazu w twarzach, oraz będąca skutkiem nadmiernego uganiania się za dekoracyjnością, twardość jakaś i kanciastość w fałdach szat i draperyj, były prawdopobnie powodem, że kilku najzdolniejszych jego uczniów opuściło go z czasem, aby pójść w ślady Kiyonagi, który wyobraża najwyższy rozkwit sztuki japońskiej w dziedzinie wielobarwnego drzeworytu pod koniec XVIII stulecia. Używając porównania, rzecby można, że Kiyonaga zajmuje, względem odznaczającego się przedewszystkiem szorstką aż siłą Shunsha, oraz względem wyobrażającego zmanierowany nieco wdzięk Outamara, to samo stanowisko, co Lionardo da Vinci względem Michała Anioła i Botticellego.



Jak Harunobu był wynalazcą ostatecznie udoskonalonej techniki drzeworytu wielobarwnego, oraz założycielem nowego kierunku w sztuce, opartego na twórczem, nie naśladowczem, zwróceniu się do natury, tak TORII KIYONAGA wyobraża mistrza skończonego, który, samodzielnie i twórczo torując sobie szlaki, umiał, w przeciwieństwie do rówieśników, częściowo i powierzchownie korzystających z nowych środków, zużyć, zharmonizować je wszystkie dla swoich celów, i który, dążąc jedynie do wielkiego, prostego piękna natury, zdołał urzeczywistnić w tworach swoich szeroki, prawy realizm, nie mający nic wspólnego z powierzchownym naturalizmem i oddający człowieka i życie z całą intensywnością i głębią. Uczeń

Kiyomitsu, wychowany pod wpływami szkoły Torii, zaznaczył jednak, w pierwszych już, poświęconych teatrowi, trójbarwnych drzeworytach, odrębną swą indywidualność. Charakterystycznem jest, między innemi, że na rycinach jego znajdujemy zawsze — oprócz aktorów — także, stanowiących niby szematyczne tło dla odgrywanej przez pierwszych sceny, muzyków z orkiestry. Ale ciasny zakres szkoły Torii nie wystarczał jego twórczości. Usunął się tedy z widowni, studyował zapewne gorliwie naturę i bacznie śledził nowy, wszczęty przez Harunobu ruch artystyczny. W połowie ósmego dziesięciolecia wystąpił z powrotem, już jako mistrz skończony i przełom w sztuce znaczący. Żadnych tradycyjnych konwencyonalizmów, żadnej maniery, których resztki pokutowały jednak jeszcze u wszystkich prawie rówieśnych mu artystów, — ani śladu w jego rycinach. Zbyt małym, dla osiągnięcia wdzięku, rękom i nogom, zbyt smukłym i gibkim, gwoli efektowi dekoracyjnemu, postaciom, całemu, jednem słowem, samowolnemu obchodzeniu się z ciałem ludzkiem przeciwstawił on prawdę natury, w zdrowem, szlachetnem, greckiem tego słowa znaczeniu: harmonijne ciała wymiary, pełne prostoty naturalnej rysy twarzy, pozbawione wszelkiej przesady — czy to w stronę większej siły i wyrazistości, czy w stronę wdzięku — postawy i ruchy. Nie uganiał się za żadnemi wyjątkowościami, wyrafinowaniami, zbyt indywidualnemi cechami, a jednak postacie i twarze mają u niego ogromnie wiele życia, szerokiego człowieczeństwa i nawet jakichś perspektyw ku głębiom wnętrznym. Nie szukał też żadnych zbyt gwałtownych uzewnętrznień namiętności czy uczuć; z rycin jego tchnie ogromny spokój (oddający zresztą wybornie charakter ludów wschodnich, ukrywających, ile możności, wzruszenia duszne), ale w spokoju tym niema żadnej sztywności, jeno jakaś męzkość, jakaś podniosłość, jakieś wysokie poczucie godności ludzkiej.

Do tej reformy, dotyczącej oddawania postaci ludzkich, dodał Kiyonaga drugą: co do ich otoczenia. Z punktu widzenia prawdy, pojmował już Harunobu, że należy je umieszczać nie na tle białego papieru, lecz na tle zaznaczonej przestrzeni. Kiyonaga, wychodząc oprócz tego, z jeszcze innych, czysto artystycznych, kompozycyjnych względów, wymagających, aby płaszczyzna obrazu była całkowicie i w miły dla oka sposób wypełniona, jął dodawać owo tło przestrzenne *zawsze* (w postaci bądź wnętrza domu, bądź pełnych głębi i powietrza krajobrazów), traktować je z równą prawie uwagą i staraniem, jak pierwszoplanowe figury, i poniekąd zespalać, harmonizować je z niemi. — Podnieść wreszcze należy miękką a wytworną naturalność szat i draperyi, odbijającą tak niezwykle od sztucznej i przez to nieraz sztywnej dekoracyjności fałdów i załamów u innych artystów; dalej, doskonałe i uwidoczniające się natychmiast powiązanie grup, zarówno przez rozmieszczenie kompozycyjne uczestniczących w nich postaci, i przez urozmaicenie i odpowiedniość wyrazów twarzy; nakoniec, magistralny, pełny siły i giętkości rysunek, oraz niesłychanie subtelne poczucie harmonii barw, i — co najważniejsza — podporządkowanie obojga, jako środków jedynie, twórczym celom artysty.



Nie dziw, że tak potężna i szeroka indywidualność musiała wywierać wpływ na całe otoczenie. Jęli ulegać mu, acz może bezwiednie, starsi nawet rówieśnicy Kiyonagi, jak Buntscho i Toyoharu; najzdolniejsi, jak wspomnieliśmy już wyżej, uczniowie Shunsha: Shunman, Shuntscho i Shunzan, opuścili go, by iść, acz bez niewolniczości, za nowym, potężniejszym mistrzem; całe dziewiąte dziesięciolecie panuje Kiyonaga samowładnie prawie w dziedzinie drzeworytu. Ślady jego oddziaływania znać, mimo wszelkich różnic, nawet na trzech wielkich artystach, Yeishim, Outamarze i Toyokunim, którzy, po jego usunięciu się z widowni w 1790 r., przodujące w sztuce zajęli stanowisko.

Ostateczne urzeczywistnienie celów i dążeń, przewijających się przez cały dany okres w dziejach sztuki, — jest jego zamknięciem. Wnet potem rozpoczyna się poszukiwanie nowych celów, wytwarzanie nowych pragnień i zadań. Ogólna ta reguła i w historyi drzeworytu japońskiego znajduje potwierdzenie. Oparte na klasycznej prostocie piękno Kiyonagi było ostatnim, doskonałym wyrazem tego, ku czemu dążyli: Moronobu przez siłę i energię i Harunobu przez wdzięk delikatny. Dalej w tym kierunku nie było pod względem zasadniczym nic do zrobienia — i komu siła talentu nie pozwalała zostać prostym epigonem, ten musiał śmiało rzucić się ku nieznanym bezdrożom i próbować stu dróg, szukając swojej.

Oto był prawdopodobnie powód tego dziwnego zamętu, jaki panuje w ciągu ostatnich lat dziesięciu wieku XVIII i pierwszych pięciu ubiegłego; tego gorączkowego poruszenia, tej „nerwowości,“ o której ze wzgardą suchego uczonego mówi Seidlitz; tego rzucania się najmocniejszych nawet w coraz inne, biegunowo przeciwne strony. Fenollosa uważa pewne rozhukanie wyobraźni za następstwo stosunków politycznych i widzi w niem jedyną ucieczkę

dla wolnych duchów, którym marzenie musiało zastąpić rzeczywistość. Seidlitz, słusznie snadź, bierze za powód szlachetnej wytworności we wzroście, postawie i wyrazie, nadawanej przez Yeishi'ego i Outamara postaciom swych kompozycyj, pochodzenie obu tych artystów z arystokratycznej, na chińskich wzorach kształconej szkoły Kano. Problematyczniejszem znacznie jest drugie jego objaśnienie, czyniące zmianę ideału piękna w sztuce wynikiem zmiany w obyczajach i warunkach życia społecznego, bo najczęściej przecież dzieje się naodwrót. Duret, nie tłómacząc rzeczy bliżej, twierdzi, że sztuka Outamara jest owocem nadmiernie skomplikowanej wrażliwości i uczuciowości, i wskazuje na analogię z XVIII wiekiem we Francyi. Seidlitz, który nie uniknął widać zarazy Nordau'owskiej, traci mimo swej uczoności równowagę, z ironią już odzywa się o chęci wyrażania niewyrażalnego (des Unsagbaren), oraz wcielania w niezwykłe kształty pewnych tajemnych myśli i odczuć, i w końcu otwarcie uracza Outamara dzisiejszą obelgą, zwąc go dekadentem.

Wszystko to może tłómaczyć po części jedną stronę twórczości u trzech następców Kiyonagi: idealizacyę kobiecych postaci, wyrafinowanie, uganianie się za subtelnościami, uwysmuklanie figury, doprowadzanie do nadmiernie wydłużonego owalu okrąglutkiej i pyzatej twarzy kobiet japońskich, znieruchomianie maskowe rysów oblicza, jednem słowem, zupełnie odwrócenie się od natury i zatonięcie w marach wyobraźni. Któż jednak i jak zdoła, wobec tego, objaśnić jednoczesne zwrócenie się tychże artystów ku tejże naturze, gorliwe studya nad nią i wprowadzanie jej, nie już z wyborem i syntezą, jak u Kiyonagi, lecz z naturalistyczną drobiazgowością do swych kompozycyj. YEISHI zbliża się do Kiyonagi w szerokich, spokojnych ugrupowaniach osób na tłach krajobrazowych. Atoli nie komponuje on już tych scen z należytą syntezą i stara-



niem o harmonię. Chodzi mu przedewszystkiem o żywe i prawdziwe oddanie pewnego faktu, o dokumentarne odtworzenie powierzchownego snadź, lecz nader ruchliwego i urozmaiconego życia różnych klas i stanów. Dość porównać naprzykład jego „Łapanie szarańczy“ (w kolekcyi p. Jasieńskiego) z takim, dajmy na to, „Tarasem nad brzegiem morza“ Kiyonagi.

Dzieła OUTAMARA więcej jeszcze dostarczą nam dowodów. Przedewszystkiem wymienimy — świadczące bezpośrednio o niesłychanie sumiennych i gorliwych studyach nad naturą i o zdumiewającem majsterstwie w jej odtwarzaniu — księgi owadów (Yehon-moushi-yerabi), muszli (Shiohi-no-tsouto = wspomnienie odpływu), i ptaków (Sto krzykaczy). Do pierwszej z nich, Sekiyen, nauczyciel Outamara, napisał słowo końcowe, które, jak twierdzi Seidlitz, jest wprost hymnem na cześć wprowadzonego do sztuki, przez Outamara, naturalizmu. Podobnież, rodzajowe jego sceny, zwłaszcza z owej ulubionej mu dzielnicy Zielonych Domów (Yoshivara), świadczą raczej o zainteresowaniu się życiem, jako takiem, aniżeli o dążeniu do artystycznych, transfiguratorskich jego odtworzeń. Pomijamy, że niemasz tam ani śladu znanej z wielkich plansz, „idealizującej kobietę,“ rysunkowej maniery Outamara. Nawet i kolor wszakże — taki niesłychanie subtelny i harmonijny na tryptykach i pojedyńczych rycinach — nabiera w albumach, o których mowa, pewnej surowości, pstrocizny. Jakże daleko od tak sławnej, dzięki Goncourt'owi, *Kroniki rocznej Zielonych Domów* do tego cudu prawdziwego, pod względem harmonii, słodyczy i tajemniczości barw, jakim jest rycina, przedstawiająca „księżniczkę, która zeszła ze swego wozu cesarskiego i przechadza się na wsi.“ Wreszcie, o studyach Outamara nad naturą świadczy też rola pejzażu w jego kompozycyach. Zlewa on go, jeszcze bardziej może, niż Kiyonaga, z całością, i nadaje mu w ten

sposób nieodzowne, częstokroć dominujące w kompozycyi znaczenie. — I TOYOKUNI zaznaczył dość wyraźnie szczery zwrot ku naturze, równie w szeregu pełnych niewymownej świeżości krajobrazów (np. „Odpoczynek na polu ryżowem,“ albo owo przepiękne „Marzenie nocne“), jak w tem nawet, że objąwszy po Kiyonadze wizerunki aktorskie, zaczął dawać je nie w otoczeniu teatralnem, lecz na tle wsi, ogrodów, na wycieczkach lądowych i wodnych, w towarzystwie pięknych kobiet i t. p.

Tylko poszukiwanie nowych dróg objaśnić i pogodzić może takie pozorne sprzeczności, jak najwyższe wyrafinowanie i zwrot ku naturze, jak owo pragnienie wyrażania najtajniejszych uczuć i myśli i zadawalanie się powierzchowną anegdotą. Ono jedno również zdolne jest wytłómaczyć zmiany i przełomy, jakie każdy z trzech omawianych artystów przechodził w ciągu twórczej swej działalności. Od najdrobiazgowszego pilnowania się natury do najbardziej rażących nienaturalności, od największej prostoty do wychodzących już poza granicę malarskiej możebności wysubtelnień, przerzucały się te dusze twórcze, szukając wyrazu i uzewnętrznienia należytego dla niedość jasnych swych pragnień, a im która z nich była potężniejsza, tem częstsze wstrząsały nią snadź wątpliwości, tem częstsze widzimy w jej dziejach zmiany, targania się i nawroty. Yeishi, wyszedłszy przez rodzaj naturalizmu z pod wpływu Kiyonagi, trwał długi czas w tem dążeniu do prostego, wiernego oddawania życia i dopiero pod sam koniec wieku przerzucił się ku mającym na celu uwydatnienie subtelności niewyrażalnych deformacyom kształtów, wydłużeniom postaci i znieruchomieniom twarzy. Outamaro uspokoił się nie tak prędko i kilkakrotnie przerzucał się z jednej ostateczności w drugą. W samym początku, i nawet jeszcze w okresie owych albumów z zakresu historyi naturalnej, znajdujemy go pod wpływem Kiyonagi, zmodyfikowanym

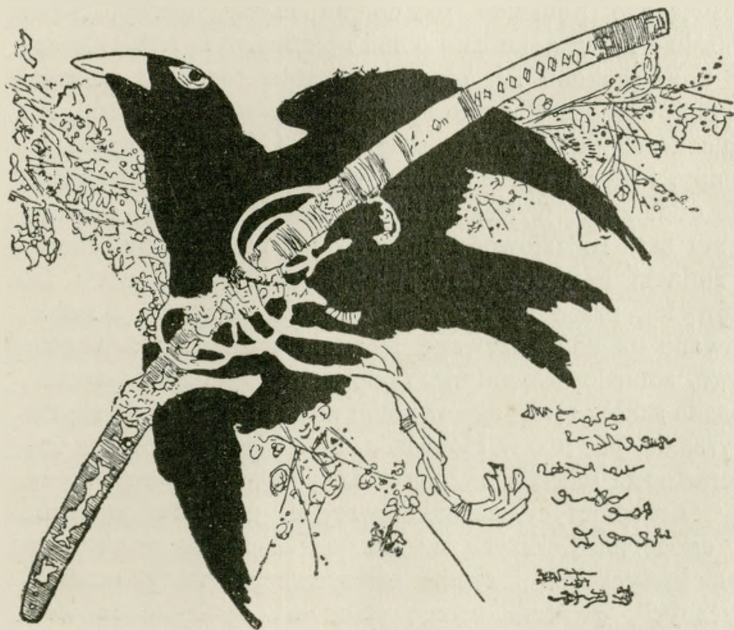
jedynie przez pewne chylenie się ku drobiazgowości naturalistycznej. Lata 1795—1805 przedstawiają dobę wychodzących zupełnie poza granicę rzeczywistości idealizacyj i wysubtelnień, epokę tworzenia owych niezwykłych postaci kobiecych z głowami trzy razy dłuższemi od swej szerokości i ze wzrostem, mieszczącym w sobie dwanaście długości tej wydłużonej głowy. Potem wszakże maniera ta ustaje znowu; w albumach poświęconych Yoshivarze widzimy mistrza z powrotem w pełni rodzajowego naturalizmu, a w całym szeregu tryptyków, między innemi, w owym przepięknym, wyobrażającym młodego daimio, który tańczy wśród otoczenia kobiet, odczuwamy znowu uszlachetniający wpływ Kiyonagi. — Toyokuni częstsze snadź jeszcze przechodził przełomy. Uczeń Toyoharu, rozpoczął od przypominających bardzo styl Kiyonagi spokojnych postaci w pełnych wdzięku ugrupowaniach. Mówiliśmy już wyżej o sposobie traktowania przezeń wizerunków aktorskich. Ten zwrot ku naturze reprezentuje drugi okres jego rozwoju. W połowie ostatniego dziesięciolecia wieku zbliżył się do maniery Outamara, ale, współzawodnicząc z nim oraz z Yeishim i Shuntschem o pierwszeństwo po ustąpieniu Kiyonagi, wyrobił sobie indywidualny, nieco szorstki i kanciasty styl, zarówno w liniach, jak w kolorycie, niepozbawiony pewnego odrębnego, acz nieco cierpkiego wdzięku. Typowym przykładem tego ostatniego przetworzenia się artysty



może być tryptyk, przedstawiający spacer trzech kurtyzan pod parasolami, w czasie śniegu, utrzymany w tej właśnie, nieco chmurnej, symfonii kolorów żółtego, zielonego i szarego, z rozrzuconemi gęsto i ostro czarnemi, kanciastemi plamami (kol. p. Jasieńskiego).

Chcąc objaśnić stanowisko i główną zasługę Yeishi'ego, Outamara i Toyokuni'ego w dziejach drzeworytu japońskiego, pominiemy przedewszystkiem tak bardzo podnoszoną przez de Goncourt'a i wielu innych dokumentarną dzieł ich wartość, ta bowiem nie ma ze sztuką nic wspólnego. Zamilczeć również można o roli ich, jako malarzy kobiety japońskiej w szczególności. W epokach idealizacyjnej maniery dawali oni w swych postaciach nieco chorobliwe wizye własnej wyobraźni, nie mające nic wspólnego z malutką, tłuściutką, o pyzatej nieco twarzyczce, japonkę rzeczywistą. W dobach większej naturalności znowu, nie poszli pod tym względem ani o krok dalej od Harunobu i zwłaszcza Kiyonagi. W rysunku osiągnęli wprawdzie niesłychaną delikatność odcieni, ale te tak często graniczą z manierą, że każą z żalem wspominać o pozbawionym snadź tych subtelności, lecz jakże pewnym i skończonym rysunku Kiyonagi. Za to nie mieli równych sobie między poprzednikami, i może nie mają równych w całej sztuce, nietylko japońskiej, lecz i europejskiej, pod względem koloru. W bogactwie i doborze barw, w niesłychanej czystości i subtelności tonów, w symfonijnem zlewaniu się ich, działającem nie optycznie już tylko, lecz na całą jak gdyby wrażliwość wnętrzną widza, — doszli oni do najwyższej doskonałości, zostawili za sobą daleko wszystkich najwybitniejszych malarzy japońskich, i twarde dają zadanie każdemu, ktoby chciał z nimi współzawodniczyć. Wprost nie do wypowiedzenia są: przedziwne, jak gdyby senne, ściszenia barw u Yeishi'ego; nieziemsko słodkie melodye jasnych żółtości, przechodzących w barwę bzu fioletów

i dyskretnych oliwkowości, przerywanych tu i owdzie głębokiemi, czarnemi tonami, u Outamara; wreszcie, spotęgowane jeszcze przez dobrowolny tu i owdzie odcień dysonansowy, bolesne nieco, lecz krzepkie symfonie Toyokuni'ego. Była to jak gdyby ostatnia, przedzgonna, jesienna apoteoza niewymownej, lecz, niestety, i niepowrotnej barw harmonii, gdyż zaraza szła właśnie z Europy, i sam Toyokuni, który pierwszy wprowadził użycie farb anilinowych, jest już znacznie surowszym i brutalniejszym w ostatnich swych dziełach.



Wiek XIX przyniósł zwrot ku naturze i życiu zewnętrznemu. Była to, niewątpliwie, reakcya po doprowadzonych do ostatnich granic stylizacyach i subtelnościach mistrzów końca poprzedniego stulecia, a z drugiej strony, dalszy poniekąd ciąg ubocznie od czasu do czasu uprawianego przez nich naturalizmu. Porozumieć się wszakże trzeba co do tego ostatniego słowa. Dekoracyjny zmysł Japończyków, będący zasadniczą cechą ich charakteru twórczego, nie pozwolił im nigdy zadowolić się niewolniczem i drobiazgowem naśladownictwem natury, na podobieństwo naturalizmu europejskiego. Uważali oni świat zewnętrzny zawsze tylko za materyał, z którego dopiero obserwacya artysty, wybór i synteza mogą coś zrobić. I teraz tedy przeważono się ku pewnym tematom, zaczęto czerpać motywy z rzeczywistości zamiast z wyobraźni, poświęcono poniekąd piękno na rzecz prawdy, nigdy wszakże nie zapomniano o linii i plamie, z tą tylko różnicą że teraz szukano ich obu nie w sobie, lecz po za sobą. Tematów nie zastąpiono bynajmniej jednych drugiemi, nie rzucono zgoła motywów religijnych i fantastycznych, legendy, historyi, postaci kobiecych, wizerunków aktorskich, nie oddano się wyłącznie krajobrazowi, światowi zwierzęcemu oraz rodzajowości ludowej, nie może tu być mowy o żadnem bezwzględnem „Einkehr in's Volksthum.“ Co najwyżej, przez reakcyę, po długiem czerpaniu z siebie, dawano pewną przewagę tematom ze świata zewnętrznego, zaniedbywanym nieco poprzednio. Wogóle wszakże, zasada szkoły Oukiyoye w nikim może nie uosabiała się tak wyraźnie, jak np. w Hokusai'u, który, pod względem uniwersalności właśnie, nie ma w całej Japonii równego sobie.

Europejczycy, zaznajomiwszy się ze sztuką japońską w epoce największych na naszym Zachodzie roztkliwień demokratycznych i czysto naśladowczych teoryj naturalistycznych, zwrócili uwagę tylko na tę część ludowo-

rodzajową w twórczości HOKUSAI'A, zrobili go wyłącznie malarzem ludu i dla ludu, i okrzyknęli, wbrew zdaniu Japończyków, największym artystą „kraju wschodzącego słońca,“ zapominając nietylko o współczesnych mu Hiroshigem, Kunisadzie i Kuniyoshim, lecz nawet o wielkich mistrzach XVIII wieku i największym z nich — Kiyonadze. Komunał ten trwał po ostatnie prawie czasy, aż wreszcie, jak każda przesada, wywołał zbyt surową reakcyę. Mamy tu na myśli Seidlitza, który zarzuca Hokusai'owi brak literackiego wykształcenia, pozbawiony wszelkiego stylu realizm, niezdolność do wyższego pojmowania sztuki, stawia go bez porównania niżej od wielkich mistrzów XVIII w. i posuwa się do słów: „wie er sich im wesentlichen mit Hilfe seines Talents durchgeholfen, so ist er auch stets ein Handwerker geblieben.“ Surowy ten wyrok zdumiewa tembardziej, że Seidlitz wie dobrze o uniwersalności Hokusai'a, mówi o niej szeroko, poświęca artyście — w stosunku do Kunisady, Kuniyoshi'ego i Yosai'a — nader wiele miejsca, znać go więc chyba powinien

Niewątpliwie, Hokusai nie był z rzędu tych najwyższych mistrzów, którzy oglądali w wizyach swych i wyrażali w dziełach największe, niewyrażalne głębie istoty bytu. Powierzchnia, strona zewnętrzna, zbyt go pociągały i absorbowały, aby miał chęć i możność szukać jeszcze czegoś poza niemi. Umiał, to prawda, mamy tego dowody, przez niesłychaną intensywność w oddaniu stron zewnętrznych, uwydatniać niekiedy w prostem zjawisku jakąś wielką, wiążącą się z niem całość żywiołowych mocy. Przypomnimy tylko tę wspaniałą „Falę“ w „36 widokach Fużi,“ dającą poczucie całego oceanu, z jego potęgą i ogromem, z burzami i ciszami, ze schmurnieniami posępnemi i pieszczotliwemi błyskotliwościami. Atoli był to zapewne bezwiedny rezultat, o którym sam artysta

nie myślał bynajmniej. Dowodem jest poniekąd uganianie się niezmordowane za oddaniem całej niezliczoności drobnych faktów i stron życia, jak gdyby artysta nie czuł, że zbytecznem jest odtwarzanie szeregu zjawisk, o ile się w jednem ujawnić zdoła wewnętrzną, wiążącą je wszystkie łączność. Hokusai, po którym zostało 30,000 rysunków i 500 ksiąg ilustrowanych, musiał nieodzownie rozdrobnić siłę swego talentu, osłabić lotność swej wyobraźni i uniemożebnić sobie wszelkie skupienie, jedynie prowadzące do dzieł twórczych. Rosła niewątpliwie biegłość jego, jako rysownika, jako spostrzegacza i odtwórcy zewnętrznych, powierzchownych cech każdej rzeczy, ale musiała zanikać zdolność docierania aż do tych rytmów najgłębszych, które są wszystkich rzeczy istotą i których drganie w dziele sztuki stanowi o jego pięknie. Ztąd pochodzi niesłychana pełnia charakteru w większości dzieł jego, ale jednocześnie brak częsty piękna, stylu wielkiego, dekoracyjności nawet, które poświęcano bez wahania na rzecz owego charakteru zewnętrznego. Powiedzenie Seidlitza, że Hokusai pozostał zawsze tylko rzemieślnikiem, jest, acz w przeciwnym kierunku, taką samą przesadą, jak poprzednie jednozgodne umieszczanie go na czele i powyżej wszystkich artystów japońskich; twierdzić jednak można stanowczo, że pośrednia, potrzebująca stymulu z zewnątrz twórczość jego, ustępuje nawet przed głęboką choć nieco zmanierowaną subtelnością Outamara, nie mówiąc już o męzkiej harmonii tronującego na najwyższych szczytach Kiyonagi.

W blaskach chwały Hokusai'a, w zgiełku okrzyków, obwołujących go najwyższym i poniekąd jedynie godnym uwagi artystą japońskim, zgasły, zamilkły imiona trzech rówieśników jego: Kunisady, Kuniyoshi'ego i Hiroshige'a. Nawet reagujący przeciwko uprzedzeniom pierwszych chwil Seidlitz, po 13-tu stronicach, poświęconych Hoku-



sai'owi, zdobywa się zaledwie na 2 lub 3 stronice dla Kunisady i Hiroshige'a i na kilkanaście wierszy dla Kuniyoshi'ego, twierdząc— trudno zaiste zgadnąć, na podstawie czego — że zwłaszcza pierwszy i ostatni z tych trzech artystów, wyobrażają upadek ostateczny drzeworytu japońskiego. Pozwalamy sobie przeciwstawić temu twierdzeniu kategoryczne przekonanie, że trzej ci artyści rozpoczynali, przeciwnie, zupełnie nową epokę w dziejach ryciny wielobarwnej i że — gdyby nie zgubne wpływy Europy oraz zmienione zasadniczo warunki polityczne i społeczne w państwie Mikada — kierunek ten liczyćby mógł na snadź świetniejszy jeszcze rozwój, aniżeli szkoły i kierunki wieku XVIII-go. Upoważniają nas do zdania tego nowe zupełnie pierwiastki, na których trzej ci artyści oparli swoją twórczość. Za punkt wyjścia służyło im rozbudzone z początkiem XIX w. poczucie przyrody, ale tylko za punkt wyjścia. W przeciwieństwie do Hokusai'a, który ugrzązł całkowicie w obserwacyi i odtwarzaniu natury, ci trzej wzięli w niej tylko ożywczą — po dobie maniery Outamara — kąpiel i na tle nowych, zaczerpniętych z niej danych, jęli tworzyć samodzielnie. Krajobraz, który w XVIII wieku służył przeważnie za tło dla figur i uzewnętrzniał niejako ich nastroje, u Hokusai'a zaś był mniej lub więcej odczutą kopią natury, — u HIROSHIGE'A staje się czemś nietylko zupełnie samodzielnem, ale nadto głęboko

twórczem. Pomijam wprowadzane przezeń na tło pejzażu sceny historyczne i podaniowe; pomijam wznowione z całą świetnością tradycye dekoracyjności; pomijam uwydatniające się pierwszy raz u niego z całą wyrazistością wpływy sztuki europejskiej (cienie padające od osób i przedmiotów, ulepszenia perspektywiczne i kompozycyjne). Wszystko to poniekąd znaleźć można i u Hokusai'a. Zasadniczą wszakże różnicę stanowi to, że pejzaże Hiroshige'a nie są prostemi, dekoracyjnemi lub nastrojowemi, widokami takich lub innych miejscowości, o tej lub innej porze, w takiem lub innem oświetleniu, — lecz wspaniałą i zuchwałą próbą ujawnienia, usymbolizowania pierwiastkowych, podstawowych sił przyrody w danem pojedyńczem zjawisku. Ten biało-szafirowy obraz wodospadu, taki wdzięczny, taki dekoracyjny zdaleka, zmienia nam się w oczach, w miarę zbliżania się do ryciny, w groźny, twardy słup, uosobienie przerażającego ciężaru, który — czujemy — jak miażdży wszystko, co na drodze swej napotka, i jak, dopadając do ziemi, wbija się głęboko w jej łono. Grzmot i huk zdaje się iść z cichego rysunku, przygniatająco wyłania się zeń nieubłagana konieczność: prawo ciężkości. — Hiroshige nie dba o tanie prawdopodobieństwa, o łatwe naturalności; pozwala sobie niekiedy na rzeczy pozornie nieprawdopodobne, które jednak przy dłuższem patrzeniu okazują się jedynemi i nieodzownemi dla wywołania danego wrażenia. Kto widział kiedy taki deszcz, jak u niego w owym krajobrazie nad brzegiem rzeki? Kto widział kiedy takie sznury, takie pasma, takie wstęgi, takie szable, takie kosy bezlitosne? Ale, po wpatrzeniu się, kto kiedy czuł przed innym obrazem, z taką niesłychaną intensywnością, jak deszcz siecze, smaga, tnie, chlaszcze, ogłusza, oślepia, przybija człowieka do ziemi? — Kto widział kiedy orła obejmującego skrzydłami całe widnokręgi? Hiroshige jednak daje takiego. Daje go na

olbrzymiej wyżynie, gdzie z ziemi winienby się on punkcikiem ledwie dostrzegalnym wydawać, a każe mu wprost nie mieścić się w ramach obrazu, przesłania nim całe w gwiażdżących się ciemnościach tonące niebo; z nerwowo, chciwie wyprężoną w dół szyją, ze zwisającemi bezczynnie skrzydeł piórami, każe mu spadać jak piorun, jak głaz, na cichą, uśpioną w śniegu wioszczynę, która, zda się, za chwilę zniknie pod olbrzymiem skrzydeł jego nakryciem. Kto — spytamy teraz — lepiej oddał wielkość, potęgę i kolosalne loty króla ptaków?

Jeżeli Hiroshige wprowadził nowe, twórcze pierwiastki do krajobrazu, KUNISADA uczeń Toyokuni'ego, objąwszy w spadku po nim odtwarzanie aktorów, niemniej ważne w dziale swym zaprowadził reformy. Urozmaicił niesłychanie scenerye wprowadzeniem pejzażu, spotęgował, niekiedy aż do przesady, malujące się na twarzach wyrazy uczuć, zbogacił kolosalnie wzorzystość szat i nadał naturalniejszą miękkość ich załamom, wprowadził zresztą nowych współaktorów: widma ukazujące się w rozdarciu czy prześwietleniu kulisy. Te ostatnie zajmowały go nawet widać specyalnie, skoro wydał osobno poświęconą im seryę rycin (124) p. t. Miyamato Mansashi.

KUNIYOSHI wreszcie, również uczeń Toyokuni'ego, poświęcił się przedewszystkiem oddawaniu czynów wojennych oraz legend i dramatów historycznych i podaniowych. W bataliach, pierwszy wprowadził starcia zbiorowe, zamieszania szturmów, zgiełkliwe zamęty bitw, gdzie każdy szczegół zosobna jest dość wyraźny, a wszystko razem tonie w jakiemś przerażającem skotłowaniu się. Nad temi ciężkiemi pochodami wojsk, od których grzmot idzie głuchy, nad temi przerażającemi zwarciami się hufów ginących w tumanach pyłu i dymu, rozwieszał ciężkie, apokaliptyczne jakieś chmury, przesłaniał niebiosa całe tragicznemi jakiemiś zaćmieniami, a to wszystko nie dla-

tego, żeby tak właśnie w danej chwili miało być w przyrodzie, lecz aby spotęgować wrażenie grozy i tragiczności, aby okazać, że dzieje się coś straszliwego, co może dla całych narodów przełomowe mieć znaczenie. To też obok faktu, który artysta daje nam na rycinie, mamy, dzięki tym różnym suggestyom jego, coś więcej jeszcze: słyszymy grzmot pochodu dziejów, czujemy ścieranie się całych epok, całych cywilizacyj, widzimy, że to nie anegdota, lecz ściśle związany z całością epizod z wielkiego i nieprzerywającego się ani na chwilę eposu. P. Jasieński miał słuszność, przyrównywując Kuniyoshi'ego do Matejki, gdyż te właśnie cechy epickie wspólne są im obu i wyróżniają ich z całego szeregu anegdociarzy, fabrykujących kolosalne „maszyny“ historyczne i batalistyczne. Lilipuci rozmiar rycin Kuniyoshi'ego, w stosunku do kolosalnych batalistycznych płócien Matejki, i brak jakiejkolwiek różnicy we wrażeniu odnoszonem przez widza, świadczą tylko o doskonałości malarza japońskiego, pod względem kompozycyi i rysunku, i o tem jeszcze, że wielkie płótna nie są jednak nieodzownie potrzebne do odtwarzania wielkich scen dziejowych. W kompozycyach legendowych i fantastycznych, zdumiewa znów Kuniyoshi niesłychanem bogactwem wyobraźni i bajeczną we wcielaniu widzeń swych intensywnością. Jego „Gra o stawkę,“ którą w czarnej litografii p. Krzyżanowskiego dodajemy do niniejszego numeru, jest Goyowską prawie wizyą.

Z tego, co się mówiło zosobna o twórczości każdego z trzech powyższych artystów, wyczuć już mógł czytelnik, że cechą, wspólną im wszystkim i charakteryzującą zapoczątkowany przez nich nowy styl, jest siła, szerokość i rozmach, czasem aż nieco brutalny. Zdawaćby się mogło, że owa kąpiel w naturze tak ich skrzepiła i ośmieliła. Energiczne, wyraziste linie, wielkie płaszczyzny, skupiona i zużywająca wszystko do celów swoich kompozycya,

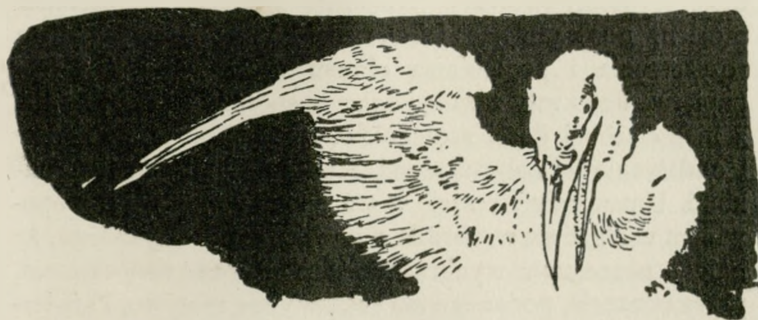
buchające nadmiarem życia ruchy i wyrazy twarzy, szerokie traktowanie akcesoryów — oto co charakteryzuje zwłaszcza dzieła Kunisady i Kuniyoshi'ego. Tego ostatniego godne są pod tym względem uwagi szczególnej krajobrazy, przypominające potęgą i wielkim stylem Ruszczyca, oraz ze scen życiowych chociażby owo słynne „Samobójstwo“ (skok dwojga w uścisku z mostu w rzekę), odtworzone w „Japonii artystycznej“ Bing'a.

Siła ta zaznaczyła się wprost przełomowo w kolorze. Minęły bezpowrotnie słodkie harmonie łagodnych, jakby przycichłych barw ośmnastowiecznych. Hokusai, używając jeszcze w albumach różowości i szarości miękkich, na rycinach pojedyńczych uciekał się już przeważnie do energiczniejszych zabarwień: ciemnego szafiru lub fioletu i ciemnej lub jasnej zieloności, uzupełniając je żółtościami i szarościami jasnemi. U Hiroshige'a, a zwłaszcza u Kunisady i Kuniyoshi'ego, koloryt dochodzi nagle do najwyższej potęgi i świetności. Teodor Duret opowiada z zachwytem o jednym z albumów, poświęconych scenom życia codziennego a będących owocem współpracownictwa Kunisady i Kuniyoshi'ego. „Oko doznaje,“ są jego słowa, „szczególniejszej rozkoszy, jakiegoś rodzaju upojenia, ślizgając się po tych płaszczyznach, gdzie zielenie, modrości i czerwienie najgwałtowniejsze nałożone są obok siebie bez półtonów i przejść, a gdzie jednak w całości obrazu nie brak nigdy harmonii i gdzie ani jedna nuta krzykliwa lub dysonansowa nie daje się wyczuć.“ W wizerunkach aktorskich Kunisady znać poniekąd wpływ Toyokuni'ego, zwłaszcza pod względem używania czarnych plam i płaszczyzn. Ale po za tem, zamiast kilku wymienionych powyżej barw, z których Toyokuni układał swoje posępne nieco harmonie, u Kunisady rozbłyska cała ich tęcza, i to nie w ściszeniach i półtonach, lecz z całą gwałtownością, z całą jaskrawością, i niewidzianem dotąd tonów uroz-

maiceniem. Artysta umie z takim smakiem rozkładać i wiązać te rozmaitych gatunków czernie, szafiry, niebieskości i zielenie, że nawet surowe niekiedy tony farb anilinowych, których użycie on właśnie po Toyokunim ostatecznie zaprowadził w swym kraju, — nie dają się zbyt przykro uczuwać w ogólnej, mocnej, soczystej i bogatej harmonii. — Zupełnie odrębny dobór barw utworzył sobie, zwłaszcza w batalistycznych rycinach Kuniyoshi. Wszystko tam ściemnione, zmatowane, jakby przysłonięte chmurami pyłów i dymów, jakby kąpiące się w krwawych oparach. Żadnego tonu niemasz czystego. Zamiast wszelakich czerwieni, mamy tylko ceglastości, przechodzące całą skalę, od najjaśniejszych, prawie różowych tonów aż po brązy ciężkie i energiczne; kolor niebieski reprezentują wyłącznie habrowe stalowości zbrój; modrość nieba nie istnieje dla artysty, zakrywają mu ją zawsze apokaliptyczne chmurzyska, których ton przelewa się od żelaznej lub żywszej, stalowej czarności aż po brązowość krwawemi niepokojącą odbłyskami. Całość składa się, nader zgodnie z treścią ryciny, na jakieś wrażenie ciężkie, groźne, tragiczne, które artysta prawdopodobnie chciał osiągnąć.

Oryginalna, wybitna twórczość Hiroshige'a, Kunisady i Kuniyoshi'ego byłaby niewątpliwie otworzyła przed sztuką japońską, a zwłaszcza przed drzeworytem kolorowym, nowe drogi rozwoju, gdyby nie fatalne wpływy cywilizacyi europejskiej, która obdarzywszy naród japoński demokratycznemi doktrynami, militaryzmem i duchem kramarstwa, odebrała mu jeden z najwyższych skarbów, jakie społeczeństwo mieć może i dla wytworzenia których jedynie istnieje: sztukę. Na tych trzech mistrzach kończą się dzieje drzeworytu artystycznego w Japonii. Wspomnieć jeszcze należy o zupełnie osobno stojącym artyście, który, widząc upadek ryciny barwnej, próbował przeciwdziałać mu przez powrót ku tradycyom starych szkół malarskich co do

rysunku i przez zupełne usunięcie koloru z drzeworytu. Był to KIKUTSCHI YOSAI, pisarz razem i rysownik. W wielkiem 20-to tomowem dziele p. t. *Zenken Kożitsu* (życiorysy wielkich ludzi przeszłości), chciał on jak gdyby przypomnieć wyradzającym się pod wyżej wspomnianemi europejskiemi wpływami pokoleniom wielką przeszłość narodu. Wysiłek nie odniósł skutku, pokolenia poszły swoją drogą, ale dzieło pozostało, pełne prostoty niesłychanej w rysunku, podniosłości w stylu i urozmaicenia w postaciach. W Japonii przeciwstawiano go Hokusaï'owi, jako wyobraziciela dobrego smaku, oraz szlachetności w wyborze tematów i ich wykonaniu; demokratyczna Europa, uganiająca się za charakterem i ludowością przedewszystkiem, chociażby na niekorzyść istotnego zadania sztuki, jakiem jest piękno, mało się nim zajmowała i zajmuje. Bądź co bądź, pogodna, niezależna i samotnie, wśród ogólnego upadku sztuki, stojąca postać, robi — niby ostatnie echo tak świetnej ongi symfonii artyzmu japońskiego — niewymownie sympatyczne, lecz i pełne smętku niepowrotnych rzeczy wrażenie.



Wpływy cywilizowanej Europy zniszczyły sztukę japońską. Było to odwdzięczenie się za dobroczynny i otwierający drogi nowego rozwoju przewrót, jaki w dru-

giej połowie minionego stulecia wywołały w sztuce europejskiej wielobarwne drzeworyty japońskie. Wydobyły one malarstwo europejskie z brudnych, przez sztuczną mieszaninę barw tworzonych sosów ogólnych, przywróciły poczucie świeżych, świetnych kolorów natury i postawiły wymaganie twórczego, harmonijnego ich łączenia. Okazały dowodnie, iż rzeczą sztuki nie jest ani stałe, konwencyonalne upiększanie natury według pewnych szematów, ani ścisłe, fotograficzne jej odtwarzanie, i przypomniały, że wszystkiem winna być wolna indywidualność artysty, dla którego natura jest tylko materyałem przy tworzeniu. Zniosły uganianie się naturalistyczne za zbyt bezpośredniem i drobiazgowem złudzeniem ocznem, przekonały, że niepotrzebne i nawet szkodliwe są zbyt ciężkie, materyalne modelacye, i że linia oraz plama barwna wystarczają zupełnie. Poderwały i nazbyt regularnie rytmiczny, geometryczny rodzaj kompozycyi, datujący od mistrzów renesansu, i bezmózgą bezkompozycyjność naturalistyczną, przeciwstawiając pierwszemu pełną wdzięku, niewymuszoną niesymetryczność, drugiej zaś — zasadę dekoracyjności twórczej. Wskazały zbyteczność wielkich płócien, udowadniając faktem możebność niesłychanego rozszerzania i pogłębiania obrazu na zwykłej ćwiartce papieru. Postawiły zasadę i odkryły sposoby wydobywania, z niepoliczonej ilości szczegółów, samej tylko istoty rzeczy i oddawania jej najprostszemi, nieodzownemi jedynie środkami. Unaoczniły wreszcie w ten sposób, że artysta niepowinien ubiegać się w obrazie o powiedzenie wszystkiego, że należy pozostawić wyobraźni widza wolność uzupełniania, przez odczucie, podanego mu suggestyjnie motywu, i stwierdziły w ten sposób jedyną prawą i wszędzie zastosować się dającą zasadę piękna, która polega na zamykaniu w ograniczonych, zmysłowych kształtach i formach, bezdennych perspektyw ku odczuć, lecz nie wyrazić się dającej jedności bytu.

Niestety, nie wszystkie pierwiastki geniuszu japońskiego równomiernie oddziałały na Europę. Właściwie oddziałały prawie jedynie strony formalne. I nie dziw. Pierwsze przywiezione do Europy drzeworyty dostały się w ręce bądź kolekcyonerów zawodowych, bądź przejętych do głębi doktrynami demokratycznemi i naturalistycznemi pisarzy, bądź wreszcie artystów-malarzy. Ci wszyscy potworzyli o sztuce japońskiej komunały, które na długi czas stały się obowiązującemi. Kolekcyonerzy podnosili tych z artystów japońskich, których dzieła były najrzadsze i najtrudniejsze do dostania. Autorowie, o których wspomnieliśmy, rozrzewniali się nad fałszywie zresztą pojmowaną szkołą Oukiyoye i wychwalali specyalnie rzeczy mające wartość dokumentarną lub ludowo-anegdotyczną. Malarze wreszcie, którzy będąc dzisiaj *przeważnie* fachowcami, a twórcami tylko niekiedy i nieświadomie, widzą w dziełach innych artystów wyłącznie prawie stronę formalną, techniczną, „kawałki,“ sposoby, „bajeczne“ lub bajecznie złe fragmenty, lecz nigdy nie są w stanie ogarnąć i ocenić całości, zasady, istoty twórczej danego dzieła sztuki, — pobrali od Japończyków i jęli wysławiać to, co odpowiadało najbardziej temperamentowi, usposobieniu, rodzajowi talentu każdego z nich z osobna. Tak — zwraca słusznie uwagę Muther — Whistler kładł głównie nacisk na ich wytworną subtelność tonów i kapryśnie dowcipny sposób traktowania pejzażu, Degas — na fantastycznie swobodne ugrupowania i niedoścignione zuchwałości w kompozycyi, Manet — na pełną świeżości i życia świetlność ich obrazów. Tak — dodamy od siebie — Monet zawdzięcza im swe harmonijne fajerwerki świetlne i barwne, tak afiszyści francuscy od nich nauczyli się dekoracyjnego używania linii i plamy, tak wzrost niesłychanie szybki i bujny autolitografii barwnej, jako zupełnie samodzielnej gałęzi sztuki malarskiej, jest niewątpliwie tylko naśladowaniem samo-

dzielności drzeworytu wielobarwnego w Japonii. Zasada główna (twórczość, syntetyczność, zostawianie pola wyobraźni widza, jednem słowem, otwieranie perspektyw ku głębiom niewyrażalnym) przeszła prawie niedostrzeżona. Nie pozwoliło jej, zresztą, zauważyć samozadowolenie europejskie, które przyznając łaskawie i protekcyonalnie tym azyatom różne zalety, raczej formalne, stanowczo zadecydowało ich niższość pod względem intelektualnym i twórczym. Oto co mówi sprawiedliwszy zazwyczaj i spokojniejszy od innych Teodor Duret *(Critique d'avant-garde* p. 164): „Japończykom brakło zawsze całego pewnego porządku rzeczy. Nie znali oni wcale wielkich systematów metafizycznych czy filozoficznych, wyidealizowanych kompozycyj poezyi epicznej, długich utworów prozą lub wierszem, których części systematycznie powiązane tworzyłyby całość logiczną. Brakło im również tego, co odpowiada w sztukach plastycznych tym manifestacyom myśli i wyobraźni. Nie uprawiali oni ani wielkiej architektury monumentalnej, ani rzeźby, odtwarzającej ciało ludzkie w pełni siły i piękności, ani malarstwa, biorącego za temat wielkie skomplikowane sceny z życia rzeczywistego lub z baśni podaniowych. Sztuka japońska nie wzniosła się zatem na wyżyny, których dosięgła sztuka europejska, ale ta względna niższość nie przeszkadza jej być całością harmonijną i skończoną, a pewne części, w których specyalnie odznaczyła się, przewyższają części odpowiednie w sztuce europejskiej.“ Ile słów, tyle nieprawd. Trudno polemizować wyczerpująco. Ale oto kilka faktów w kolei, odpowiadającej konstatacyom p. Duret. A biblia japońska, *Kożiki,* będąca źródłem i podstawą religii Shintoistycznej, i zawierająca, jak każda mytologia, ukryte w mytach zarodki najwyższych pojęć metafizycznych? A nieustępujące najbardziej wyidealizowanym legendom europejskim podania, dajmy na to, o bohaterskiej Żingu-Kogo, albo

o Adzumie, tym wzorze tkliwości i poświęcenia, albo jeszcze o wierności bez granic 47 Roninów? A *Isse monogatari*, a *Heiżi monogatari*, a *Soga monogatari*, wyliczane przez samego p. Duret w „Katalogu japońskich książek i albumów ilustrowanych"? Co do architektury i rzeźby, wydawnictwa Bing'a i Gonse'a powiadają coś zupełnie zaprzeczającego twierdzeniu p. Duret'a, a powiedzenie popierają nader przekonywającemi odtworzeniami w wielkich planszach. W malarstwie, Kiyonaga dał typy szlachetnej siły i piękności ludzkiej, nie ustępujące utworom rzeźby greckiej, Co p. Duret nazywa „wielkiemi skomplikowanemi scenami życia rzeczywistego," nie bardzo rozumiemy; co zaś do ilustrowania „wielkich scen" z baśni i podań, przypomnimy, że — od nieznanego autora rysunków w *Isse monogatari* aż po Hokusai'a i Kuniyoshi'ego — nie było artysty, któryby się tem nie zajmował.

Przy takiej, kontynentalnej czy szczepowej zarozumiałości Europejczyków, rzecz prosta, iż sztuka japońska nie mogła odrazu wywrzeć całego swego wpływu. Może się to kiedyś stanie, przy bardziej sprzyjającym nastroju duchowości europejskiej.

Zenon Przesmycki.

Bajeczki.

Wstęp. Od czasu wynalezienia bajki, zwierzęta, skłonne do czytania i przyjmowania dobroczynnych wpływów literatury, to i owo w naturze swojej przeinaczyły. W bajeczkach poniższych o takich właśnie ulepszonych stworzeniach mowa.

Kruk i Lis. Kruk siedział na gałęzi, trzymając w dziobie kawał sera. Ujrzał to Lis i mówi: „Słyszałem, że pan ślicznie władasz tenorem i że to u was rodzinne. Zaśpiewaj, proszę.“ Kruk zjadł naprzód ser, a potem rzekł: — „Czy masz pan młodszego brata? Tak? a więc przyjdź z nim jutro, o tym czasie, w to miejsce, to wam powiem, żeście kpy obadwa. Czy nie wiesz, że jestem tym samym krukiem, którego już rak wystrychnął na dudka wychwalaniem przodków. *Malo accepto stultus sapit* — wiesz pan. Czytałem, i, ostatecznie, albo się korzysta albo nie. Pan, widzę, masz jeszcze dużo starej naiwności, chociażeś lis. Żegnam.“ I odleciał.

Orzeł i Kruk. Widząc Kruk, że Orzeł leci w górę z baranem w szponach, rzekł: — „Dobrze, że jestem krukiem: przynajmniej się nie nadźwigam.“

Wdzięczny Lew *(Leo generosus).* Myśliwy, spotkawszy Lwa rannego w łapę, spytał, co mu dolega. — „A coś mi wlazło, chciej-no zobaczyć.“ Myśliwy spojrzał, wyjął cierń z rany, opatrzył ją i, zadowolony ze swej czułości, z radośnie bijącem sercem, chciał odejść. Ale zwierz zawołał: — „Czekaj-no, nic pilnego.“ To mówiąc, uderzył myśliwca zdrową łapą i, zabiwszy, zjadł z dobrym smakiem, ile że był głodny.

Młynarz, Syn jego i Osieł. Młynarz z synem prowadzili osła na sprzedaż. Młynarz nie chciał trudzić zwierzęcia, siadając na nie, a syn wolał biegać po przydrożach, zerwać od czasu do czasu kwiatek, albo rzucić kamieniem w ptaka i, oczywiście, chybić. Gdy tak idą, spotkali gromadę gapiów krzyczących: patrzcie, patrzcie — idzie trzech osłów. Młynarz popatrzał na nich, policzył i rzekł: — „Was więcej.“ I szli dalej.

Lew i Komar. Komar, rozgniewany na Lwa, że ten większy od niego, wyzwał go na pojedynek. Wyzwanie przyjęto,—z pewnem zdziwieniem i ciekawością, ale przyjęto. Komar zatrąbił do ataku i zaczął pić krew z lwiego nosa. Lew poczekał, aż owad nikczemny całkowicie krwią jego się wypełnił i obrzękły spadł na ziemię. Wtedy zdeptał go końcem pazura i odszedł do domu.

Wilk i Jagnię. Jagnię piło ze strumienia, a widząc w oddali zbliżającego się Wilka, poczęło uciekać. Wilk biega szybciej od Jagnięcia, to też łatwo je dopędził i pożarł.

Pustelnik i Niedźwiedź. Pustelnik zaprzyjaźnił się z Niedźwiedziem tak, że byli prawie nierozłączni. Pewnego razu Pustelnik spał, a po twarzy mu chodziła mucha. Widząc to Niedźwiedź, póty ją spędzał, aż Pustelnik się wyspał. A kiedy już wstał i rozmawiali o czem innem, Niedźwiedziowi ani przez myśl nie przeszło wspominać o tym wypadku. I do dziś Pustelnik nie wie, jak to Niedźwiedź uratował mu życie.

Kto raz skłamie, ten skłamie i drugi raz. Mały Tomasz pasał owce. Pewnego razu, chcąc zażartować ze starszych, przybiegł do wsi z krzykiem, że wilk zjada owce. Starsi, uzbrojeni w kłonice i widły, pobiegli, a nie zastawszy wilka i widząc owce w słusznem zdrowiu, poznali, że z nich zakpiono. Wskutek tego zbili małego Tomasza na kwaśne jabłko. Po raz wtóry bał się już żartować ze starszych. A teraz jest zupełnie poważnym, dużym Tomaszem i żartuje tylko z młodszych.

Gołąbek i Pszczółka. Widząc srebrnopióry Gołąbek, że Pszczółka tonie, rzucił się i wyciągnął ją na brzeg za skrzydełko. Uratowawszy Pszczółkę od śmierci, zaczął myśleć, jakaby go za to miała spotkać nagroda. A że od Pszczółki, prócz miodu, niczego spodziewać się nie mógł, zjadł więc ją samą, i wkrótce potem, za karę, zginął w *tir au pigeon.*

Jan Lemański.



Kronika miesięczna.

GLOSSY.

Fundacya hr. M. Tyszkiewicza. — Owcze pędy.

Fundacya hr. M. Tyszkiewicza. Mimo rozdekadentyzowania się (ah, ta rozpacz Bolesława Prusa!) społeczeństwa naszego, co ma niby oznaczać stawianie przez nie sztuki na pierwszem miejscu, nic u nas nie było tak zupełnie pozostawione własnym środkom i opatrzności Bożej, jak ta właśnie sztuka. Nie mówimy tu o zabezpieczeniu losu materyalnego artystom, jakkolwiek i to zasługiwałoby na wzięcie w rachubę, z uwagi, że prawa sztuka, ta najprodukcyjniejsza dla społeczeństwa, bo wyszlachetniająca i uczłowieczająca je gałąź żywota duchowego, dla twórców samych jest tak niewdzięczną, że nie zabezpiecza im nawet najpierwszych potrzeb materyalnych. Chodzi nam o rzecz ważniejszą: o zabezpieczenie talentom twórczym, ze wszystkich dziedzin sztuki, możności pełnego rozwoju, ten zaś osiągnąć się daje tylko drogą odpowiedniego kształcenia się, przez zdobycie szerokiej kultury estetycznej, przez rozszerzenie, za pomocą odpowiednich podróży, horyzontów myślenia i czucia, i przez podniecenie siły twórczej wielością nowych a szlachetnych wrażeń. Na to wszystko artystom naszym, przeważnie, środków brak. O ile nad nauką i uczonymi społeczeństwo nasze rozciągnęło troskliwą i do pewnego stopnia wystarczającą opiekę, podtrzymując dwie instytucye naukowe, stwarzając cały szereg stypendyów i pomocy na studya, badania i kształcenie się, o tyle z analogicznych potrzeb sztuki i artystów poprostu jak gdyby nie zdawano sobie sprawy. Przypomnimy tutaj fakt charakterystyczny, że ktoś, wzruszony uroczystością sprowadzenia zwłok wielkiego poety do kraju, ofiarował znaczniejszą sumę — na rzecz sztuki, literatury? na umożebnienie rozwoju największego nowym jakimś twórcom? — nie! — na badania przyrodnicze! Artyści plastyczni mają jeszcze pono parę stypendyów, rozdawanych przez Warsz. Towarz. Zachęty Sztuk Pięknych, stwierdziliśmy jednak naocznie, w Paryżu i w Monachium, że stypendya te, wystarczające zaledwie na najskromniejsze utrzymanie w ciągu kilku miesięcy, a nakładające obowiązki półrocznego, czy nawet rocznego pobytu w tych miastach

i nadto wysyłania Towarzystwu pewnej liczby studyów czy obrazów, pozwalają co najwyżej szarpać się przez czas dłuższy z czarną nędzą, a niekiedy i zemrzeć z głodu. Jak przy takich okolicznościach myśleć o kształceniu się i wewnętrznym rozwoju artysty? Literaci nie mają nawet takich ironicznych stypendyów i pomocy, rzadko któremu uda się wyjechać gdzieś dla przeprowadzenia pewnych studyów, przyjrzenia się wielkim zbiorom dzieł sztuki i t. p. To też nigdy może kultura literacka nie stała u nas tak nizko, jak w chwili obecnej.

Fundacya hr. M. Tyszkiewicza, spowodowana, zda się, jeszcze raczej czysto humanitarnemi uczuciami, aniżeli refleksyami w rodzaju powyższych, kładąca bowiem jako warunek pobytu w willi włoskiej niezdrowie lub znużenie artysty, jest jednak niewymownie pocieszającym objawem. Przypomniano sobie nareszcie o sztuce i artystach, i to o sztuce i artystach w najszerszem słowa znaczeniu, ponieważ fundator miał na myśli, jednako i bez żadnej różnicy, twórców ze wszystkich gałęzi sztuki. Rzecz sama przez się godna już jest najwyższego uznania. Znaczenie jej wszakże wprost nieobliczalnem być może, jako pobudki do dalszych działań w tym kierunku. Po tem pierwszem szlachetnem przypomnieniu czynem społeczeństwu o obowiązkach względem sztuki, komuś innemu przyjdzie może na myśl, że niemniej ważnem, a może ważniejszem od ratowania artysty znękanego już chorobą lub znużeniem, jest danie mu pomocy w chwili, gdy w pełni pragnień, zapału i dążeń twórczych, nie może on jednak nic uczynić dla swego rozwoju wewnętrznego, z powodu zupełnego braku środków materyalnych. Pierwsze, przynosząc ulgę cierpiącym i znużonym, lecz, skutkiem choroby i zmęczenia, prawdopodobnie już nie tak twórczym artystom, jest poniekąd wyrazem uznania i wdzięczności za to, co zrobili dotąd, za przeszłą ich twórczość i za siły stargane w służbie sztuki. Drugie zapobiegałoby zbyt prędkiemu sił narganiu, umożebniało pełny rozwój świeżemu i kipiącemu sił nadmiarem talentowi i w ten sposób byłoby prawdopodobnie, w części, powodem powstania całego szeregu dzieł twórczych, które, przy innych, niesprzyjających okolicznościach, mogłyby przesunąć się przez duszę artysty, lecz nie dojść do wcielenia. Takie ma znaczenie starożytne zdanie: *sint Maecenates, non deerunt, Flacce, Marones.*

Jeżeli refleksye takie zaczną się budzić zwolna w różnych wyższych umysłach i powodować odpowiednie czyny; jeżeli z czasem uda się, choć w części, zaspokoić palącą potrzebę, o której

mówiliśmy; jeżeli kiedyś zdołamy dojść do stworzenia jakiejś instytucyi w rodzaju czeskiego stowarzyszenia *Svatobor*, mającego na celu umożebnianie artystom twórczym kształcenia i rozwijania się przez podróże i oglądanie najwspanialszych tworów sztuki czy natury; jeżeli, skutkiem tego wszystkiego, tak zaniedbana kultura literacka i artystyczna podniesie się w kraju naszym, — z wdzięcznością wspominać trzeba będzie fundacyę hr. M. Tyszkiewicza, która, zwróciwszy po raz pierwszy uwagę na sztukę i artystów, byłaby poniekąd źródłem całego tego ruchu.

§ §

Owcze pędy. Zamieszczony w przeszłym numerze artykuł p. Jasieńskiego o ś. p. Gersonie, wyprowadził z równowagi codziennych i tygodniowych sędziów sztuki w obrębie rogatek warszawskich. Posypały się obrony w imię wszystkich możebnych rzeczy. Wspomniano, naturalnie, o *de mortuis* i świeżej mogile. Pozwolimy sobie przypomnieć sąd wydany przez Gersona *nazajutrz* po śmierci Matejki *(Kurj. Warsz.* z 3 list. 1893). Była tam mowa o „niemocy w zakresie idealnej twórczości,“ o „niejasności ideowych pomysłów, nie dających się odczytać bez objaśnień piśmiennych“; był sakramentalny zarzut braku perspektywy; było sprowadzenie całej genialności wielkiego mistrza do „wyrazistości postaci“ i do techniki rysunkowej. U nas, gdzie spokojnie wymawia się jednym tchem: „Gerson i Matejko“ albo „Matejko i Gerson,“ nikt może nie zdaje sobie sprawy, że wszystkie „superlatywy negacyi“ p. Jasieńskiego anielskiej, zaiste, są łagodności w zestawieniu z tym sądem o olbrzymie. Drugi podobny sąd, *nad niedawną również mogiłą,* znajdujemy w felietonie Gersona *(Kurj. Warsz.)* o wystawie Podkowińskiego. Oszczędził-że tu krytyk zmarłemu artyście choć jednego zarzutu? Oto wykaz krótki: „grzeszne zaniedbanie daru nieba,“ „brak samopoznania,“ puszczanie się ustawiczne na „manowce aberracyj fantazyjnych,“ „ciągłe zrywanie się do lotu i ciągłe (!) upadki,“ „niezrozumiałość i nieodpowiedniość form“ (zwracamy uwagę, iż mowa tu, między innemi, o takim niewymownym cudzie jak *Nokturn)*, zanik, w wielu pracach, nawet wyrobienia rysowniczego, brak poczucia koloru — jednem słowem, talent zmarnowany przez to, że nie chciał zrzec się „marzydeł o nowych drogach“ i naśladował „NIEDOŁĘŻNEGO (musimy to podkreślić dwa razy) Claude Monet'a.“ — Oba wystąpienia te nie miały tak bezpośredniego, logicznego powodu, jak artykuł p. Jasieńskiego, nie były reakcyą przeciwko nadmiarowi i przesadzie uwielbień, przeciwko prawdziwej orgii chwalb

i zaszczytnych tytułów, przeciwko propozycyom pomników (przypomnimy, że Matejko nie ma jeszcze pomnika), jakie po śmierci ś. p. Gersona zalały szpalty dzienników warszawskich; — nie miały zatem pobudki do surowej bezwzględności, która była wprost *konieczną* w artykule p. Jasieńskiego. Czemu pedantyczno-katońskie sądy ś. p. Gersona o „błędach“ dwóch tak wysoce twórczych indywidualności, nie wywołały gromadnych wyjawów oburzenia, podczas gdy protest p. Jasieńskiego, sprowadzający do właściwej miary sumiennego, wytrwałego, ale pozbawionego wszelkiej indywidualności, wszelkiej twórczości pracownika, rozpętał prawdziwą burzę reporterską, — tajemnica to owczych pędów warszawskich. Jakim ś. p. Gerson był krytykiem, wskazują dostatecznie powyżej przytoczone sądy. Wnioskować z nich można coś i o profesorze. Co zaś do malarza, zaściankowa naiwność obrońców nie znalazła lepszych argumentów nad medale na wystawach wszechświatowych, nad podnoszoną przez dzienniki paryskie „wzorowość“ rysunku i kompozycyi, wreszcie nad wyrok Witkiewicza przyznający ś. p. Gersonowi „mistrzowstwo pejzażowe.“ Na medale ruszyć musimy ramionami. Kto choć raz był za kulisami którejkolwiek z wystaw powszechnych, wie dobrze, iż rozdawnictwo nagród, zwłaszcza wystawcom obcym, opiera się raczej na wszystkich możliwych względach ubocznych, aniżeli na wartości dzieł wystawionych. — Wzorowość znowu jest sobie czemś bardzo blizkiem poprawności, która oznacza brak błędów, to prawda, lecz i brak zalet jakichkolwiek, jednem słowem, mierność. Jeśli o artyście nie mogę powiedzieć nic innego nad to, że jest wzorowym, świadczy to, że nie ma on żadnych cech osobistych, że nie dał nic nowego, nic swojego, nic indywidualnego, nic twórczego. — Co do „mistrzowstwa pejzażowego,“ jeżeli wyrażenie to oznaczać ma znowu „wzorowość,“ moglibyśmy, opierając się na danem tylko co objaśnieniu tego wyrazu, nadmienić jedynie, że argument to przeciw p. Jasieńskiemu — żaden. Jeżeli zaś chodzi o coś innego, o to, co właściwie mistrzowstwem się zowie, o odrębną wizyę twórczą i zdolność *jedynie odpowiedniego* jej wcielenia, — to, mimo przywołanego autorytetu Witkiewicza, zapytać musimy, jaki epitet w takim razie odpowiadałby godnie krajobrazom Chełmońskiego? W jaki sposób zapełnić niesłychaną przestrzeń, dzielącą tych dwóch „mistrzów“? — Wszystko to są rzeczy nader proste, które, bez zaściankowych zaślepień i bez powodowania się względami sztuce obcemi, każdemu niewątpliwie na myślby przyszły. To też tylko owczemu pędowi przypisać

możemy fakt, że, z wyjątkiem *Przeglądu Tygodniowego*, nikt nie powstał przeciwko urządzanej na p. Jasieńskiego nagance. Pęd ten widocznie był tak silny, że — ku zdumieniu naszemu — pociągnął nawet artystów, którzy zkądinąd zwykli twierdzić, że „sztuka to nie pomidory," i skłonił ich do grożenia p. Jasieńskiemu, że nie zmieni ani o źdźbło sądu potomności. Potomność, mój Boże! Zdaje się, nie będzie ona ani o źdźbło różna od pokoleń dzisiejszych i przeszłych. Zawsze nieliczni tylko czuć będą, rozumieć i oceniać dzieła sztuki, bez względu na wszelkie uboczne okoliczności; tłum iść będzie zawsze za komunałami, choćby najbardziej nieusprawiedliwionemi. P. Jasieński mówił niewątpliwie do owej mniejszości. Wyroki większości, czy dzisiejszej czy potomnej, nic go zapewne nie obchodzą.

Tredecim.

SZTUKI PLASTYCZNE.

Salony. — Nasze wystawy.

Salony. Tak zwany pałac sztuki, siedzibę Towarzystwa *zachęty* sztuk pięknych, możnaby raczej nazwać przytułkiem dla wszelkiego rodzaju niedołęztw artystycznych, gdyby nie wywieszane od czasu do czasu i jak gdyby zdumione otaczającemi je sąsiedztwami, widziane już nieraz, ale oglądane z równą zawsze rozkoszą, dawniejsze arcydzieła mistrzów. I teraz zebrano w jednej z sal wspaniałe towarzystwo, złożone z Brandta, Chełmońskiego, Podkowińskiego, Malczewskiego, i innych, chwalebnie wyosabniając je tym razem (acz niezupełnie) z pomiędzy mizeryj, zapełniających zazwyczaj sale. Jest to jeszcze najlepsza rzecz, jaką zarząd Towarzystwa jak najczęściej robićby powinien. *Trzeba* zwracać się do arcydzieł, chociażby już niejednokrotnie wystawianych i oglądanych (arcydzieło zresztą widzi się zawsze po raz pierwszy), jeżeli sztuka nowa, że tak powiem, bieżąca, nic wybijającego się po nad mierność dostarczyć nie może. A taki jest właśnie, jeżeli wyjmiemy kilku tęgich artystów, stan dzisiejszy sztuki warszawskiej. Człowiek z rozpaczą poprostu błąka się wzdłuż ścian tego bazaru tanich wyrobów malarskich, szukając daremnie czegoś, coby go, nie już twórczością, lecz chociażby umiejętną, wyróżniającą się techniką zainteresować mogło. Niekiedy błyśnie pośród przerażającej martwotą swoją sza-

rości ogólnej rzecz wybitna, doskonała, ale rzadkie to nader zjawisko i zazwyczaj niedługo oglądać się dające. Tak, przed jakimś czasem, uderzyły nas przedziwne rysunki węglowe p. Karola Tichego. Nie będziemy mówili o znakomitym ich rysunku, który specyalnie zwrócił uwagę kilku wybitnych kolegów artysty po fachu; pominiemy również, acz dałoby się o tem niejedno powiedzieć, prawie twórcze już, Redon'owskie operowanie głębokiemi czerniami i białościami olśniewającemi, które wskazuje dopiero, co z samego materyału, jakim jest węgiel, wydobyć można. Rysunki p. Tichego należą do rzeczy, przed któremi o tych środkach artystycznych nie ma się czasu myśleć, ulegając całkowicie wrażeniu wybijającej się z nich ogromnie duszy. Mamy zwłaszcza w pamięci wyzierającą mgławo z otchłannych czarności, cichą a tak niewymownie bolesną główkę dziewczyny. Artysta osiągnął tu najwyższy stopień ekspresyi, gdzie fakt, postać, twarz, stają się już ogniskiem, gdzie się zestrzela, zwierciadłem, gdzie się odbija całość jakiegoś uczucia, gdzie — jak w danym razie — bolesna dziewczyna staje się bolesnością samą. Rysunki p. Tichego przypomniały nam na pierwszy rzut oka czarne litografie Henryka de Groux, ale wpatrzenie się bliższe okazało nam zupełnie wyodrębniające je cechy: spokój ogromny, przeciwstawiający się furyom malarza belgijskiego, oraz dyskrecyę wielką w uwydatnianiu wyrazu, silniejsze może robiącą wrażenie, aniżeli nieco przesadne czasem, niespokojne, kurczowe, targające ekspresye tamtego. — P. Kamieński konstatuje na innem miejscu, ze słusznem oburzeniem, fakt szybkiego usunięcia rysunków p. Tichego z wystawy. Ponieważ motyw braku miejsca jest, co najwyżej, humorystycznym, nasuwa się dylemat: albo gospodarze i zarządcy nowego „pałacu *Zachęty*" tak należycie znają się na sztuce, że nie wiedzieli, iż usuwają najtęższe na całej wystawie rzeczy, albo też usuwali świadomie niebezpiecznego współzawodnika, który przez kontrast mógł zaszkodzić wszystkim sąsiadom. Oba rozwiązania zagadki byłyby poprostu godne — podziwu.

O salonie dorocznym klubu artystycznego mało mamy do powiedzenia. Śnieg p. Weysenhoffa jest bardzo dobry, ale zbyteczne są krzyki o jego fenomenalności, bo przecież „śniegowców" mieliśmy wielu nie gorszych, a nawet lepszych (niewymownego w wprost w tej dziedzinie Chełmońskiego, a nadto bardzo tęgich Wieruszów-Kowalskich, Fałatów i innych). P. Trzebiński znowu, acz również odbija bardzo od otoczenia, jest jeszcze nader surowy i daleki od cudownego symfonizowania świateł wieczornych w obrazach Gierym-

skiego. Z nielicznych rzeźb, grupa p. Ostrowskiego ma w sobie wiele skupionej uczuciowości i dość siły w głowie mężczyzny, szwankuje natomiast bardzo pod względem linij. Lepszy jest znacznie biust artytysty Krzyżanowskiego, wykonany przez tegoż rzeźbiarza, który wystawił jednocześnie w sali rzeźby, na dole, bardzo piękny medalion p. L., oraz ciekawie skomponowaną głowę Szopena. O reszcie „dzieł“ na wystawie klubu artystycznego zamilczeć można.

Salon Krywulta coraz pewniej i śmielej rozwija godną największego uznania działalność. Po wystawie drzeworytów japońskich, dał obecnie wspaniałą kolekcyę autolitografij i akwafort czarnych i barwnych, przeważnie artystów francuskich, zapowiada zas na jesień okazałą wystawę Goyi. Są to wielkie zasługi, zupełnie innego pokroju, aniżeli praktykowane ongi przez Towarzystwo zachęty sztuk pięknych sprowadzanie kolosalnych „maszyn“ Rochegrosse'ów, Munkacsych, Brożików i innych. Postępując w ten sposób p. Krywult może trwale zapisać nazwisko swe w dziejach istotnego ruchu artystycznego w Warszawie. Rozpatrzenie szczegółowe wystawionych akwafort i autolitografij odkładamy do następnego numeru, gdzie powiążemy je z szerszym artykułem o całym tym odłamie sztuki malarskiej, który nie przedstawia bynajmniej jakiejś demokratycznej dążności w sztuce, lecz ma wyraźną, z istoty swej wypływającą samodzielność.

Ze świeżo wystawionych rzeczy artystów polskich, zwraca uwagę — obok kilku ciekawych stylizacyj Wawrzenieckiego, oraz jednego rysunku i jednego portretu Krzyżanowskiego — niewielki obrazek p. Tichego. Wzdłuż rozwiniętego ukośnie przez obraz szeregu stojących ze świecami zakonnic (różnorodność wyrazów ich twarzy odbija obojętną beztroskość okólnego życia w obliczu czyjejś, *cudzej* śmierci), przechodzi ciężkim, dudniącym zda się głucho krokiem (tak brzmią zapewne kroki przeznaczenia) karawaniarz, unoszący niedbale pod pachą trumienkę dziecięcą (tak snadź los unosi bezlitośnie rzeczy już niepowrotne). Nawiasami określiliśmy nastrój, jaki artysta zdołał wydobyć ze zwykłej sceny życiowej przez twórczą kompozycyę, przepyszny ruch karawaniarza i przez czarną, posępną plamę na tle głębokich, niewzruszonych szafirów. P. Tichy jest stanowczo ogromnym talentem i radzibyśmy poznać więcej jego rzeczy.

Wystawa zbiorowa krajobrazów p. Wrzeszcza robi dziwne wrażenie. Nieco zamało tam umiejętności, dużo naiwnych prób i chęci, ogromne gubienie się w szczegółach, a jednak z malowideł tych bije taka szczerość, taka świeżość i prostota, takie ukochanie

swoich tematów, taki brak wszelkiej blagi malarskiej, że człowiek z sympatyą patrzy na nie i nawet powraca do nich. Zwłaszcza niektóre kwiaty i motywy leśne poprostu pachną.

Nasze wystawy w salonie *Chimery*, dobiegają do zamierzonego w przedwakacyjnym sezonie kresu. Liczba osób zwiedzających stale i z prawdziwem zajęciem te ekspozycye dała nam miłą świadomość, że w Warszawie istnieje spora gromadka szczerych miłośników sztuki, dla których wysiłek nasz nie pozostanie bez korzyści. Dziwną natomiast wydałą nam się nieobecność artystów i krytykow sztuki, tem dziwniejszą, że, zwłaszcza niektóre z wystaw, przez wyczerpujące zgromadzenie materyałów, dawały taką sposobność dokładnych studyów i takie ich ułatwienie, z jakiemi nieraz i zagranicą trudno się spotkać. Widocznie dla tych panów, powstających co chwila na „rozczochrany modernizm" *Chimery*, Dürer jest mało zajmującym mamutem, o którym zresztą niema nic do powiedzenia czy pomyślenia, bo wszystko powiedziano już — w encyklopedyach; Piranesi osobistością nieznaną, którą nie warto się zajmować; Rivière wreszcie jakiemś dziwnym, pogodnym „modernistą," nie podobnym ani do Saszy-Schneidra, ani do pani Costenoble, na którego zatem niemasz jeszcze gotowej etykiety. To też w czasopismach czytaliśmy tylko ogólnikowe wzmianki, zbudowane na podstawie naszych zapowiedzi, ale szukaliśmy napróżno choćby jednego wrażenia osobistego, jednego spotrzeżenia samodzielnego, jednej szczerej i — o tyle o ile — nowej uwagi. Musimy zatem sami, co do jednych rzeczy, dać gościom naszym najkonieczniejsze informacye, co do innych zaś, podzielić się z nimi garstką wrażeń i refleksyj, które, jako punkt porównania, posłużyć im mogą do sprawdzenia swych własnych. Uczynimy to w przyszłym numerze po zamknięciu ostatniej z wystaw przedwakacyjnych.

Z. P.

ARCHITEKTURA.

Garść wspomnień i uwag z powodu projektów na kościół Zbawiciela.

...Pod jasnem, turkusowem niebem, śród ciszy stepu, ruiny dwu greckich świątyń: szeregi kolumn doryckich, na których słońce położyło złotawą patynę. Przedziwna harmonia, pogoda i smak wykwintny; pod niebem Italii — geniusz grecki. — To Paestum; ogromna melancholia pustki naokół, — ogromne, spokojne piękno, w głazach zaklęte.

. . . .

Ponury, szary dzień jesienny; olbrzymie miasto tonie w ciężkiej, zimnej mgle; zczerniały kolos potężnie wyrasta z ziemi i z niebem się zlewa. Nawy, tonące w pomroce, końca zda się nie mają; mrok pełza, ściga gasnący dzień, potężnieje, coraz nowe obszary bierze w posiadanie, wspina się po ścianach. Noc, noc straszna, przygnębiająca, śród groźnych murów... Notre Dame de Paris.

. . . .

Krwawią się rubiny w witrażach od promieni zachodzącego słońca. Strzeliły w górę olbrzymiemi snopami kolumny, tworząc kamienny bór. I zagrzmiała pieśń, i szła po tym borze fala dźwięków, wzmagając się i słabnąc, aż wreszcie znikła gdzieś w górze. Notre Dame de Chartres... skała, przybrana w misterną sieć koronek i legion tulących się do niej posągów, strzelająca ku niebu dwiema wieżycami. U stóp legło miasto, otoczone wieńcem kwitnących lip...

. . . .

Żar południa. Ciasną uliczką płynie zgiełkliwy, różnobarwny tłum, śród kurzu, podnoszonego kopytami koni, osłów i wielbłądów.

Ogromny dziedziniec, okolony niskiemi galeryami. Arkady w formie podków, wyrastające z setek kolumn. Wsparci o słupy, profesorowie, spokojnie, poważnie, objaśniają koran, a wianki uczniów, siedzących na ziemi, słuchają w skupieniu, lub uczą się wersetów na pamięć, głośno... I szmer idzie monotonny, usypiający, jak z ula... Wstąpił muezzin na szczyt minaretu i popłynęło wezwanie do modlitwy, takie dziwne, jękliwe... El Azhar. [1]

. . . .

Świątynia — synteza. Powstawała z jestestwa narodu, nie zaś z duszy pojedyńczego artysty. Najpotężniejszy, najcudniejszy poemat świata chrześciańskiego — to katedra gotycka.

Istniało malarstwo religijne — Fra Angelico, genialnie naiwny, Boticelli, pełen słodyczy i wdzięku; istniała też świątynia, bo żyła w ludzie całym duszą, zdolna do stwarzania, wcielania swych marzeń i pragnień, dla której wcielanie to było rzeczą pierwszorzędnej wagi, najważniejszą z potrzeb.

Dzisiaj dusze narodów znikczemniały; tylko tu i owdzie strzelają kwiaty pojedyńcze śród chwastów: artyści. Na świątynię złożyć się muszą wieki i pokolenia.

---

[1] Alma mater — w Kairze.

Więc niema malarstwa religijnego i niema świątyni. Rzeka nie płynie, gdy źródło wyschnie. Kluje się nowy styl, ale kluje się dopiero, i rzeka popłynie — jeśli popłynie — innem zupełnie korytem. Panowanie żelaza, panowanie przemysłowca, inżeniera. Banhof, hala targowa; budowle imponujące tylko ogromem, tryumf matematyka, ale nie artysty.

A więc przeżuwanie form dawnych, potwory powstałe z krzyżowania stylów; bezczelna a głupia kradzież, która zdobytych skarbów uporządkować i zużytkować nie umie, świętokradzkie restaurowanie czyli niszczenie zabytków godnych szacunku lub podziwu — wzdłuż i wszerz Europy. Fabryka, aby się w niej urodził towar; banhof, skąd go na cztery strony widnokręgu rozwiozą pociągi; hala — potrzebna, aby go w niej sprzedać. Jako kwiat — tingel-tangel. Na całej linii styl inżeniersko-bankierski. Ach! ten nowy kościół w Lugdunie, te wielkie domy w wielkich miastach, ta genialność w plagiacie... i ten brak smaku, pomysłowości, przyzwoitości chociażby, w projektach na nowy kościół w Warszawie! Wieże *na* kopułach, berlińsko-krakowskie kapuśniaki, klosze na ser, zamki obronne à la Robida, a nawet secesyjny budyneczek à la Ver Sacrum, skojarzony z czemś w rodzaju kopuły na katedrze św. Pawła w Londynie. Ale wybrać trzeba. Skoro nic nowego a dobrego niema, bo i być nie może, trzeba wybrać to, co jest przynajmniej o tyle o ile przyzwoitem zużytkowaniem form znanych. A więc dwa projekty w stylu gotyckim, najodpowiedniejszym, jako idącym ku górze, do szczupłego placu, otoczonego kamienicami: I. „Memento“ i II. „Święty Boże.“ A zresztą, gdyby się był nawet zjawił artysta z projektem wspaniałej świątyni, czyby genialny pomysł mógł się przyoblec w ciało? Nie, albowiem zabrakłoby miejsca, pieniędzy, i ZAPAŁU CIERPLIWEGO. Każda z przepysznych katedr kosztowała dziesiątki milionów i budowała się przez szereg wieków. Dzisiejsza dewiza brzmi: Schnell, schlecht und billig. Mamy więc domy, w których ludzie się modlą, ale znikły — i kto wie, czy nie bezpowrotnie — DOMY BOŻE.

Cóż mówić o budowaniu nowych, kiedy niszczymy istniejące, wszelkiemi sposobami. Nikt dziś w Europie nie pojmuje, że np. wandalizmem i głupotą bezdenną jest robienie pustki naokoło katedr, usuwanie tego malowniczego wieńca domków, tulących się u stóp prastarego olbrzyma. Cóż to za rozkosz wędrować całemi godzinami — istna podróż odkrywcy nowych światów — wązkiemi, cichemi, krętemi uliczkami, z podniesioną głową, zachwycając się

coraz to nowym szczegółem, coraz to nowem oświetleniem. Godna oprawa dla tych drogocennych kamieni, które tylko tracić mogą i tracą, gdy je się ciśnie na wielkie, puste, lub pełne zgiełku place, otoczone ohydnemi kamienicami, które wznosi sztuka... spekulacyjna.

Feliks Jasieński.

KSIĄŻKI NADESŁANE.

POEZYA. — L. Ariosto. *Orland oszalały*. Przeł. Felicyan. Bibl. Dzieł Wyb. Warszawa. — M. Konopnicka. *Italia*. Gebethner i Wolff. Warszawa. — Lamary. *Fiołki*. L. Anczyc i Sp. Kraków. — Ada Negri. *Niedola. Burze*. Przeł. Marya Konopnicka. Natanson. Warszawa. — Jan Pietrzycki. *Poezye*. Gebethner i Wolff. Warszawa. — J. Żuławski. *Poezye II*. Gebethner i Wolff. Warszawa.

POWIEŚĆ. — Wiktor Gomulicki. *Biała*. Gebethner i Wolff. Warszawa. — Multatuli. *Wybór z pism*. „Przegląd Tygodniowy." Warszawa. — Przybyszewski Stanisł. *Na tym padole płaczu*. Z rysunkami S. Wyspiańskiego. — Marya Rodziewicz. *Błękitni*, tom I i II. Biblioteka Dzieł Wyborowych. Warszawa. — H. Sienkiewicz. *Pisma*, tom XXVII i XXVIII. Listy z Afryki, część I i II. Redakcya Tygodnika Illustrowanego. Warszawa. — Alfred de Vigny. *Cinq-Mars*. Przeł. W. Łaszczyński. Tomy I, II i III. Biblioteka dzieł wyborowych. Warszawa.

STUDYA LITERACKIE i ESTETYCZNE. — P. Chmielowski. *Henryk Sienkiewicz w oświetleniu krytycznem*. Towarz. Wydawn. Lwów. — G. Korbut. *Michał Wiszniewski i spuścizna po nim*. E. Wende i Sp. Warszawa. — Augé de Lassus. *Sztuka w Egipcie*. W. Okręt. Warszawa. — Ks. Karol Niedziałkowski. *Czemu dziś w poezyi nie mamy słowików*. Józef Zawadzki. Wilno. — Adam Pług. *Deotyma (Jadwiga Łuszczewska)*. Warszawa. — John Ruskin. *Królowa powietrza*. Przeł. W. Szukiewicz. T. Paprocki i Sp. Warszawa. — J. A. Święcicki. *Historya literatury powszechnej*, tom I. Bibl. Dzieł Wybor. Warszawa. — St. Tarnowski. *Józef Szujski jako poeta*. Gebethner i Wolff. Warszawa. — H. Ułaszyn. *Bronisław Grabowski 1841 — 1900*. Spółka Wydawn. Polska. Kraków. — Kazimierz F. Wize: *Godzina myśli. O istocie sztuki*. Nakład autora. Kraków.

HISTORYA. — A. Gruszecki (podług Lavisse'a, Rambaud'a i innych). *Napoleon I w świetle najnowszych badań*, tom I i II. Bibl. Dzieł Wybor. Warszawa. — Dr. M. Gumplowicz. *Żywot Balduina Gallusa*. Odbitka z „Ateneum." Warszawa.

NAUKI FILOZOFICZNE. — D. Mercier. *Logika*. „Przegląd Filozoficzny" Warszawa. — T. Ribot: *Współczesna psychologia niemiecka*. E. Wende i Sp. Warszawa. — Henryk Struve. *Ruch etyczny nowszych czasów*. E. Wende i Sp. Warszawa.

SZTUKI GRAFICZNE. — *Najdawniejszy widok Lublina*. Wydał H. Łopaciński. Nakł. H. Krause. Warszawa. — Jan Matejko. *Ubiory w dawnej Polsce*. B. Wierzbicki S-ka. Warszawa.

VARIA. — Z. Gloger. *Rok polski w życiu, tradycyi i pieśni*. J. Fiszer Warszawa. — W. K. *Dreyfusjada*. Nakład autora. Warszawa. — P. Klejn. *Jak pielęgnować zęby i usta*. Tow. Akc. S. Orgelbranda Syn. Warszawa.

mi, że z powodu *braku miejsca* (rysunki p. Tichego są *bardzo małe)* usunięto je czasowo!! A jednak *zostało* dość miejsca pomimo wszelkich wystaw specyalnych, dla *masy* bardzo *podrzędnych* obrazków, budzących niesmak tylko i psujących gust publiczności.

Nie mówię już o krzywdzie, jaka się wyrządza artyście takiemu, jak Tichy, którego dzieła nie mają, to prawda, pięknych ram, ale i bez takowych błyszczą jak gwiazdy. Pytam tylko, czy godnem to jest Towarzystwa, które mianuje się „zachętą,“ i zadaniem którego jest podnosić sztukę i kształcić smak publiczności?

Tichego znałem kiedyś osobiście, w 1892 r. w Paryżu. Nie sądziłem, żeby poszedł tak wysoko! i jego świetne postępy ucieszyły mię niezmiernie.

Racz przyjąć, Szanowny Panie, słowa głębokiego szacunku.

ANTONI KAMIEŃSKI.

Warszawa, d. 4 maja 1901.

Nasze wystawy. Z przyjemnością śpieszymy powiadomić naszych czytelników, że liczba wystaw w salonie *Chimery,* do których mamy już zupełnie gotowe materyały, powiększyła się jeszcze o całą nową seryę. Dzięki kolekcyonerskiemu zamiłowaniu pana Feliksa Jasieńskiego i uprzejmości jego w udzielaniu swych zbiorów, mamy znowu do rozporządzenia następujące cykle dzieł w najlepszych reprodukcyach:

Rembrandt van Rijn: 1) Rysunki (Handzeichnungen) — 200 tablic facsimilowanych, w opracowaniu Lippmana i innych; 2) akwaforty wszystkie, we wszystkich stanach — dwa wydania: a) senatora Rowińskiego (około 1000 plansz) i b) Dutuit (facsimile Charreyre'a)— 360 plansz; 3) Rembrandt jako malarz, opracowanie Bodego, wydanie Sedlmeyera, pięć wielkich tomów.

William Hogarth. Sto kilkadziesiąt wielkich fotolitografij.

Arnold Böcklin. Sto kilkadziesiąt wielkich fotograwiur z dzieł mistrza.

Nadto, na ogólne żądanie, powtórzymy raz jeszcze wystawę Dürera, na której budząca największe zainteresowanie Apokalipsa św. Jana wystawiona zostanie w świeżo sprowadzonych, będących ostatnim słowem reprodukcyi facsimilach Van de Weijera z Utrechtu.

Robimy zabiegi w celu skompletowania wystawy drzeworytnictwa polskiego. Otrzymane już przyrzeczenia dają nam nadzieję, że doprowadzenie jej do skutku jest tylko kwestyą czasu.

Wystawa ornamentyki arabskiej (1—15 czerwca) zamyka cykl przedwakacyjny. Porządek dalszych wystaw, które rozpoczną się

znowu d. 15 września, zostanie ogłoszony w numerze sierpniowym *Chimery*.

Sprawozdania z książek — nie chcąc kawałkować zbytnio tragedyi hr. Villiers de l'Isle Adam'a, ani też rozdzielać na części artykułu o drzeworycie japońskim, — zmuszeni jesteśmy, dla braku miejsca, odłożyć do następnego numeru.

Zeszyt podwójny „Chimery," za kwiecień i maj, obejmujący 22 arkusze druku i 2 plansze osobne, zostanie rozesłany abonentom z końcem czerwca, zeszyt zaś za czerwiec w pierwszej połowie lipca. Następne zeszyty ukazywać się już będą we właściwych terminach. Opóźnienia dotychczasowe, będące skutkiem trudności technicznych, czytelnicy nasi — ufamy — wybaczyć nam zechcą.

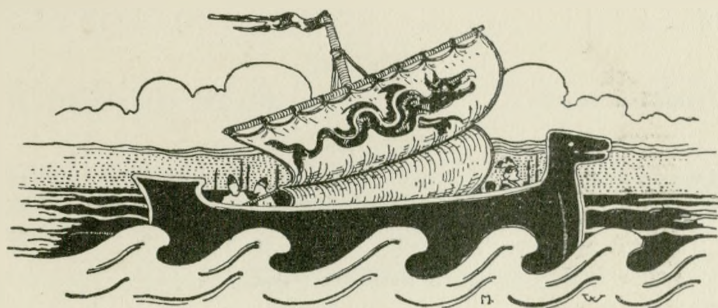
Abonentom kwartalnym przypominamy, że niniejszy zeszyt 3-ci zamyka kwartał pierwszy, i prosimy o jaknajszybsze odnawianie prenumeraty, gdyż, z powodu ogromnych kosztów nakładu, stosujemy ilość odbijanych egzemplarzy do liczby żądań, skutkiem czego zbyt późne zgłoszenia nie będą mogły być uwzględnione.





Stanisław Brzozowski, sekretarz redakcyi Chimery, jeden z najzdolniejszych poetów ostatniego pokolenia, zmarł dnia 23 kwietnia r. b. Był to jeden z sumiennych, tak nielicznych niestety, artystów, którzy dbają jedynie o jakość, nie zaś o ilość swych utworów. Nie wydał licznych tomów czy seryj, nie notował skrzętnie w rymach każdego drobiazgu wrażeniowego czy uczuciowege, nie uganiał się za dającą popularność wszędzieobecnością w pismach peryodycznych. Ogłosił tylko w „Życiu" krakowskiem niewielką garstkę utworów lirycznych, lecz te są, prawie bez wyjątku, doskonałe, pełne treści głębokiej i nieomylne w formie. Umysł, wyćwiczony na najwyższych spekulacyach filozoficznych, chronił go od wszelkich małostek sentymentalnych czy rodzajowych. Bogata wyobraźnia darzyła go niezwykle soczystemi lub pełnemi żaru południowego obrazami. Głębokie poczucie tajemnej, wnętrznej istoty języka umożebniało mu wspaniałą, próżną wszelkich „podpórek" i zbyteczności, orkiestracyę każdego poszczególnego wiersza. Właściwości te, w połączeniu z surową dyscypliną artystyczną, jakiej dobrowolnie poddawał się przy tworzeniu, miały za owoc utwory pełne ogromnej kondensacyi, perspektywiczności symbolowej, gorącości i powagi. Nieliczne są również, lecz również doskonałe, po większej części, przekłady z Baudelaire'a, Verlaine'a, Maeterlincka i innych. I tu bowiem należał on do owych nielicznych, którzy tłómacząc, odtwarzają, którzy stapiają obcy klejnot na kruszec w duszy własnej i potem odlewają go nanowo. Umarł młodo. Może, gdyby żył dłużej, mógłby szerzej rozwinąć się i zrobić wiele więcej, to wszakże co zrobił dotąd, zapisze go już trwale w pamięci wszystkich prawych artystów i miłośników sztuki.

Strapionej rodzinie redakcya *Chimery* przesyła szczere wyrazy najgorętszego współubolewania.



SPIS RZECZY,

UŁOŻONY ALFABETYCZNIE WEDŁUG NAZWISK AUTORÓW.

(TOM I. — 1901.)


JS



3000.

14/8/1983